

FELIKS SADOWSKI

OKRUCHY

Wydanie multimedialne

Elk, A.D. 2008

ISBN-978-83-912710-1-8

SPIS TREŚCI

SZANOWNI PAŃSTWO!.....	3
SŁÓW KILKA.....	5
REPATRIACJA.....	7
PUNKT WIDZENIA.....	11
KLONOWANIE JESTESTWA.....	15
STEREOTYPY.....	26
GLOBALNY SHTETL.....	35
POJEDNANIE.....	44
BARAK ZWANY PRL.....	51
REWINDYKACJA.....	54
ROZSTAJNE DROGI.....	58
STUDIUM.....	62
UESOWO.....	68
POLIBUDA.....	74
INTERNATIONAL CENTER.....	86
BIAŁE NIEDŹWIEDZIE.....	93
WIEŻA BABEL.....	100
MONO.....	128
TESTY.....	131
ŚWIAT CIENI.....	143
STÓŁ.....	158
JOGGING.....	164
WIOSENNE WODY.....	195
MIEKKIE ŁADOWANIE.....	197
NIE SAMYM CHLEBEM.....	204
PŁOŃSKI.....	207
PROWOKACJA LIPPMANA.....	215
BYĆ ALBO NIE BYĆ.....	222
DWIE STRONY MEDALU.....	238
JANEK KENNEDY PADŁ.....	249
DOLAROWE BUMERANGI.....	254
DRUGIE POKOLENIE.....	262
WŁAMANIE DO RAJU.....	279
SPRAWIEDLIWOŚCI PAŁACE.....	284
JAK NIE KIJEM TO PAŁKĄ.....	294
REFLEKSJA.....	297
OPINIE.....	298

Książka „Okruchy” jest udostępniana jako „freeware”. W związku z tym za korzystanie z książki nie jest pobierana żadna opłata. Akceptowane są jednak dobrowolne datki od osób, które w ten sposób zechcą wynagrodzić pracę autora przekazując DOWOLNĄ kwotę (darowizny), z kraju lub zagranicy, na konto autora:

Nr rachunku: PL 22 2340 0009 6550 1030 0000 218

Kod SWIFT: EFGBPLPW

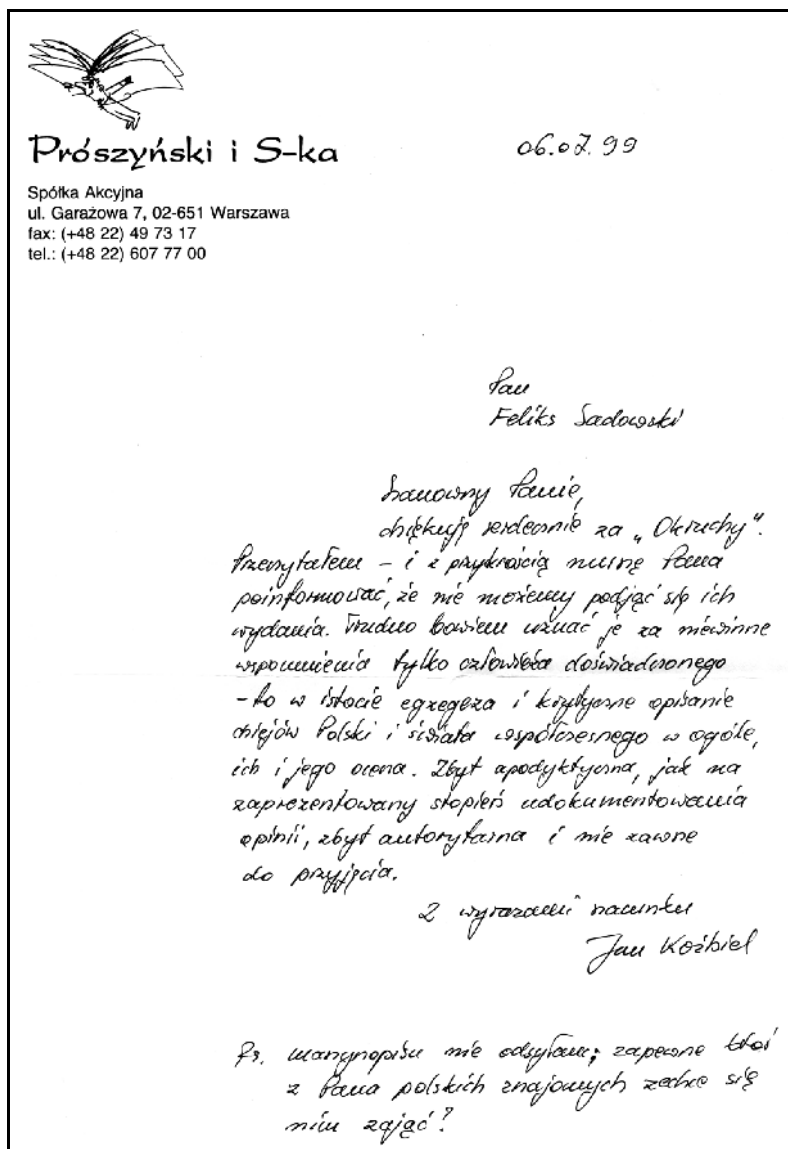
SZANOWNI PAŃSTWO!

Na podstawie wydanej na początku listopada 1999 r. książki (ISBN 83-912710-0-5) przedstawiam nowe wydanie „Okruchów” z odnośnikami do dostępnych¹ w wydaniu na CD plików multimedialnych (w kolorze czerwonym) i witryn internetowych (w kolorze niebieskim). Gdyby niektóre witryny przestały istnieć, wówczas niebieski tekst pozwoli na samodzielne wyszukiwanie odnośnych informacji. Mam nadzieję, że udostępniając książkę jako „freeware” znajdzie ona szerokie grono czytelników przełamując tym samym niechęć instytucjonalnych wydawców do jej publikowania.



1999 r.

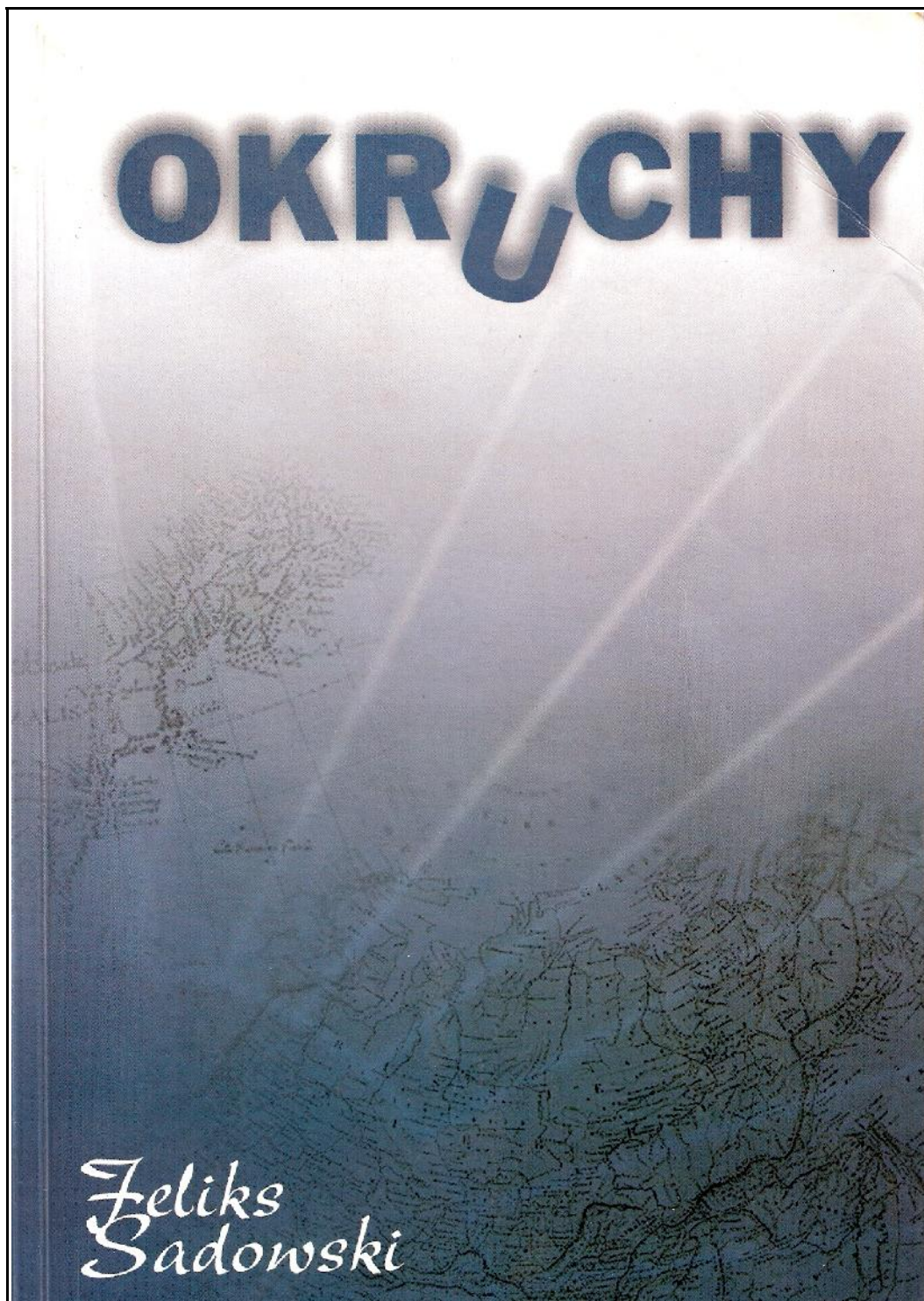
Niechęć wydawców dobrze ilustruje przedstawiona poniżej opinia pierwszego potencjalnego wydawcy:



Czytając „Okruchy” i porównując z tym, co wydarzyło się w międzyczasie, przekonacie się Państwo, jak poważnie mylił się recenzent Spółki „Prószyński i S-ka”!

¹ Ze względu na małość WFDiF do „dostępnych” nie należy 2 minutowy fragment lekcji powołany na str. 185.

Dziękując moim synom za pomoc w przygotowaniu książkowego wydania „Okruchów” przedstawiam poniżej okładkę zaprojektowaną przez mojego syna Bartłomieja Sadowskiego.



SŁÓW KILKA

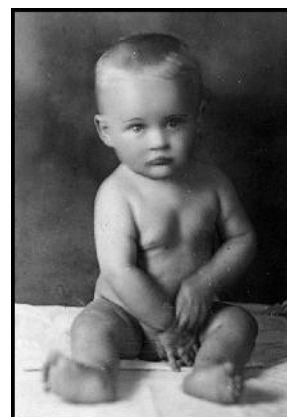
Przed opublikowaniem „Okruchów” poprosiłem parę zaprzyjaźnionych osób o przejrzenie brudnopisu. Spotkałem się z opiniami – tak, to było tak..., jednocześnie jakoś inaczej. Zgadzam się z tymi opiniami, ponieważ opisywane wydarzenia każdy widział na swój sposób. Niemniej jednak fakty odbierane są jako zgodne z tym, co kiedyś zaistniało, a różnice wynikają z osobistej „perspektywy widzenia”, chociaż nie tylko. Część, w istocie mała część, opisana jest na podstawie relacji uczestników lub świadków opisywanych wydarzeń. W takich przypadkach może być wiele relacji, niekoniecznie zgodnych ze sobą. Ponadto, fragmenty „Okruchów” zawierające odczucia i opinie przedstawiają mój punkt widzenia, być może odmienny od punktu widzenia moich przyjaciół.

Innym istotnym czynnikiem podobnym do „punktu widzenia” jest sposób postrzegania rzeczywistości, szczególnie po upływie dużej ilości czasu od zaistnienia opisywanych wydarzeń. Postrzeganie na bieżąco jest zdominowane najdrobniejszymi przyziemnymi potrzebami dnia codziennego. Wracając do odległych wydarzeń, upływ czasu w sposób naturalny eliminuje nieistotne wspomnienia. To „sito” czasu eliminujące nieistotne wspomnienia może być właśnie przyczyną widzenia przeszłości w „różnych odcieniach”, w zależności od osobistego „punktu widzenia”.

Ponadto, oprócz rzadkich momentów „wspomnieniowych” spotkań, moi przyjaciele nie „przeglądali przeszłości”. Nawet czytając „Okruchy” ich czas bieżący, tak jak kiedyś, był wypełniony natłokiem różnych codziennych obowiązków. W moim przypadku w trakcie pisania „Okruchów” udało się mi w pewnym sensie odizolować od codzienności, aby wykonać postawione zadanie. Czy udało się mi to? Moja refleksja na ten temat znajduje się w drugiej połowie książki. Niezależnie od tego, czy udało się mi czy nie, nie usiłowałem wzorować się na mistrzach pióra – po prostu moje życie zawodowe układało się daleko od pióra, chociaż nauka nie idzie w las.

Weryfikując tekst „Zerowego Wydania”, w którym wykorzystałem uwagi i wskazówki wymienionych w nim osób, uwzględniłem to, czego w międzyczasie nauczyłem się. Wprowadzając zmiany w dalszym ciągu polegam na własnym odczuciu sposobu wysławiania się. Takie podejście gwarantuje najbardziej autentyczne i ekstremalnie „autorskie” przedstawienie tego, co chciałem napisać, oraz pokazanie świata takim, jak ja go widziałem i odczuwałem. Z tego względu rezygnuję z profesjonalnej korekty, zostawiam „Okruchy” jako autentyczny dokument jednostkowego życia, nawet zmian sposobu przelewania tego życia na papier, od brudnopisu, poprzez „Zerowe Wydanie”, do obecnego wydania..., i..., ewentualnych przyszłych wydań, do których opracowania zdążę jeszcze przyłożyć moją rękę.

Nie żyłem jednak na bezludnej wyspie. „Jednostkowe życie” jest życiem w społeczeństwie. W „Okruchach” ukryte są cząstki mojej rodziny, moich przyjaciół i innych ludzi, z którymi obcowałem. Przecież każdy człowiek rodzi się jako *tabula rasa*, czyli czysta karta (w sensie *nie zapisana*), na której życie robi swoje notatki” – a piórem, którym pisze życie, są głównie ludzie, z którymi stykamy się. Odczytanie tych „notatek życia” nie jest łatwe. Tym niemniej „Okruchy” są próbą utrwalenia przynajmniej części tego, co życie zapisało na mojej niegdyś „nie zapisanej karcie”.



Moja tabula rasa

Aby odwzorować „tętno“ życia – zawarłem w „Okruchach“ różne wątki i tematy, nie usystematyzowane, przenikające się, z większym lub mniejszym sensem splecione. Z tego względu trudno jest określić *gatunek literacki* „Okruchów”. Nie jest to autobiografia, chociaż dużo tego jest. Nie jest to publicystyka, chociaż..., chociaż są wątki polityczne, społeczne, obyczajowe, przygodowe, a także sensacyjne – tak jak w życiu.

Z podziękowaniami wszystkim, których osobowości wzbogaciły treści zapisane na mojej „karcie życia”, a szczególnie Krystynie, która oprócz obdarowania mojego życia swoją osobą i synami, cierpliwie pozwalała mi pisać..., godzinami, dniami i miesiącami. Była też pierwszym czytelnikiem. Po przeczytaniu powiedziała: *Może jeszcze coś z Ciebie wyrośnie?*

F.S.

PS

Odpowiadając na sugestie czytelników zwiększyłem czcionkę o „jedno oczko“. W międzyczasie zainspirował mnie pomysł Normana Daviesa podpatrzony w jego wspaniałym dziele zatytułowanym „**Europa**“. Zastosował on „kapsuły tekstowe“ w pewnym sensie zastępujące przypisy na dole stron lub na końcu książki. Czytając jego książkę uświadomiłem sobie, że przypisy, wymagające przeniesienia wzroku do innego miejsca w książce, lub nawet na tej samej stronie, najczęściej są pomijane lub poważnie zakłócają tok czytania. Dlatego zamieniłem większość przypisów na wstawki w tekście, które zostały ujęte w kwadratowe nawiasy i wydrukowane mniejszą czcionką. W rozdziale „Testy“ zachowałem eksperymentalne wyrównanie tekstu do prawego marginesu. Jak dotychczas, oprócz uwag przy pierwszym kartkowaniu, nikt nie krytykował tego eksperymentu?

Dużą satysfakcję sprawiły mi opinie i refleksje czytelników znajdujących w „Okruchach“ części swojego życia, niekiedy odtworzone z mglistych wspomnień dzieciństwa. Ukazało się parę pozytywnych recenzji, które albo nie wspominają o zawartej w „Okruchach“ tematyce żydowskiej, albo uznają ją za kontrowersyjną. Utało się, że o Żydach można mówić tylko dobrze, albo wcale. W polskich publikatorach (nie tylko) uwypukla się cierpienia Żydów i ich dorobek, tak jakby inni nigdy nie cierpieli i nie mieli liczącego się dorobku. Śmieszne to jest i irytujące, trąci fałszem i „praniem mózgow“, w efekcie wywołuje reakcje niechętnie Żydom.

Nawiązując do tych reakcji chciałbym, aby „Okruchy“ trafiły pod „żydowskie strzechy“. Mam wrażenie, że przeciętni Żydzi żyją w jakimś urojonym świecie, wykreowanym przez ich żądnych pieniędzy i sławy ekstremistów. Wystarczy zauważyć, że z powojennego uczucia sympatii do Żydów praktycznie nic nie pozostało, co będzie dalej? Wszystko wskazuje, że pod szczelną pokrywą kontrolowanych przez Żydów mediów ciśnienie osiąga krytyczne wartości, wybuch może być katastrofalny.

Kliknij aby zapoznać się z opiniami o książce „Okruchy“: [OPINIE CZYTELNIKÓW](#)

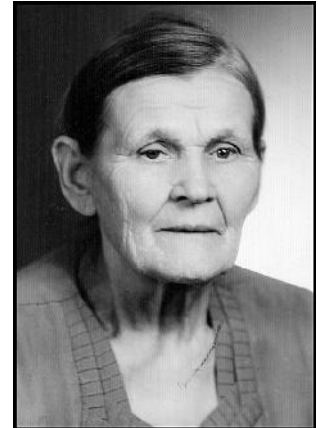
REPATRIACJA

Białystok... Miałem chyba około czterech lat? *Zaraz będzie Białystok* – podsłuchałem z rozmów dorosłych. Przywarłem do szczeliny pomiędzy deskami towarowego wagonu, aby zobaczyć ten biały stok... Nie było ani stoku, ani śniegu – nawet niczego białego. Dorośli nie byli w nastroju do tłumaczenia czegokolwiek, szczególnie takiemu brzdącowi jak ja. Wiedziałem o tym i nawet nie pytałem.

Cały wagon towarowy był wypełniony skrzynkami, pudłami, tobołkami i innymi gratami, a na tym wszystkim – pod wodzą „Babci Staruszki” – liczna rodzina i ja, wyglądający przez szparę pomiędzy deskami, kiedy wreszcie będzie ten biały stok?

Z rozmów dorosłych wyłapałem słowo „repatriacja”. W odróżnieniu od słowa Białystok, które kojarzyło się z górką o białych stokach, nie wywoływało ono żadnych znanych skojarzeń. Powstawało nowe skojarzenie: wagon towarowy z rozsuwanymi wrotami; stacje; przynoszenie wody; handel wymienny; stanie na bocznicach, dopóki dorośli nie wyciągnęli czegoś z tobołów, aby jechać dalej – jednym słowem – *repatriacja!*

Zakwaterowanie w wagonie przeciągało się. Z postojami i „przetoczeniami” dotarliśmy aż na południowo zachodni kraniec ziem odzyskanych. Potem cofnęliśmy się na północno wschodni kraniec, do Elku. Może początkowo dorośli chcieli być bliżej zachodu, być może oczekiwali, że z zachodu przyjdzie wyzwolenie od komunizmu. Dowiedziałem się później, że przeważał głos babci: *z Elku będzie bliżej wracać do Wilna.*



„Babcia Staruszka”

W słowie „[repatriacja](#)” zawierał się mój cały ówczesny świat, podskakujący na złączach szyn. Miał on nawet swoje rozgrzane do czerwoności słoneczko, którym był okrągły żelazny piecyk. W czasie przetaczania dorośli musieli przytrzymywać „słoneczko” nogami krzesel – nie można było wówczas piec plasterków buraków cukrowych na rozgrzanym blacie. Po przetoczeniu wszystko wracało do normy, pojawiała się nawet gorąca herbata. Podczas wieczornych rozmów „słoneczko” długo nie zachodziło, a jego ciepło usypiało mnie wtulonego w czyjeś ramiona.

Czy była to repatriacja, czyli powrót do kraju ojczystego? Na pewno nie. Dla mojej rodziny krajem ojczystym była ziemia, którą opuszczaliśmy. Czy był to wyjazd dobrowolny? W pewnym sensie tak, nikt nas pod lufami karabinów nie wsadził do tych bydlęcych wagonów. Tym niemniej było bardzo duże prawdopodobieństwo, że bez tego „dobrowolnego” wyjazdu, wepchnięto by nas do jakichś innych bydlęcych wagonów i wywieziono w bezkresy tego „pierwszego na świecie kraju sprawiedliwości społecznej”. A jaka to była sprawiedliwość, ludzie, szczególnie za Linią [Curzona](#), doskonale wiedzieli.

W gorszej sytuacji byli ci, którzy nie byli Polakami, nie mieli nawet szansy „repatriowania się”. Olbrzymie rzesze Białorusinów, Estończyków, Litwinów, Łotyszy i Ukraińców (a także innych) wywieziono z ich ojczyzn [[Deportacje](#)]. Wywieziono do łagrów, lub do innych odległych miejsc Związku Sowieckiego. Niektórzy z nich, którzy mogli powołać się na polskość, wyjechali do Polski – w pewnym sensie uratowali się od niesłychanej poniewierki lub śmierci. [Między innymi rodzina mojego serdecznego przyjaciela Olka, Algimontasa Guzika, Polaka i jednocześnie Litwina.]

Okrutnej „repatriacji” doczekali się Ukraińcy (nie tylko), których koniec wojny zastał na terenach zajętych przez armie zachodnich aliantów. To też nie była repatriacja, ponieważ pod lufami karabinów obłudni alianci odstawiali ich do „pierwszej na świecie ojczyzny ludu pracującego”. „Repatriowali” ich wbrew ich desperackim protestom, wbrew deklaracjom, że sowieckie łagry nie są ich ojczyzną. Wiele z tych osób wolało samobójczą śmierć, niż repatriację do takiej ojczyzny. [Mało znane, wręcz ukrywane, współdziałanie zachodnich aliantów z sowieckimi ludobójcami.] Także niektórym z nich pomogło dobre fatum polskości. Niezależnie od tego, czy akceptowali swoją polskości, czy nie, uratowali się, wyjechali jako Polacy do nowych krajów osiedlenia.

W goryczy powojennego losu Europy Centralnej takie manipulowanie deklaracjami o narodowości wywoływało dodatkowe, niepotrzebne napięcia, pomiędzy tak ciężko doświadczonymi emigrantami. [Europa Centralna: kraje i narody pomiędzy Niemcami a Rosją uprzednio zdominowane przez ZSRR]. Po upadku „imperium zła” opadły napięcia, Polacy są dumni, że właśnie polskości przyczyniła się do uratowania dużej ilości obywateli naszej kiedyś wspólnej sarmackiej ojczyzny. A ci uratowani przez polskości też przyznają, że to kiedyś często nie chciane obywatelstwo uchroniło ich przed aliancką skrupulatnością w egzekwowaniu umów ze Stalinem, zbrodniarzem nad zbrodniarzami.

To, co robili komuno kabaliści trudno nazwać repatriacją, w jakimkolwiek aspekcie. Wiele poczynań dokonanych w czasach dominacji czerwonych i brunatnych totalitaryzmów było na tyle nowych, że nie miało swoich nazw. Powstały nowe nazwy jak: wrogowie ludu, łagry, czystki etniczne, holokaust i rewolucja kulturalna. Gdyby połączyć wszystko, co jest zawarte w powyższych nazwach, z samouwielbieniem komuno kabalistów, mistyfikacjami i ich maniacką pewnością, że są wybrańcami historii – wówczas mielibyśmy prawie pełny obraz istoty komunizmu.

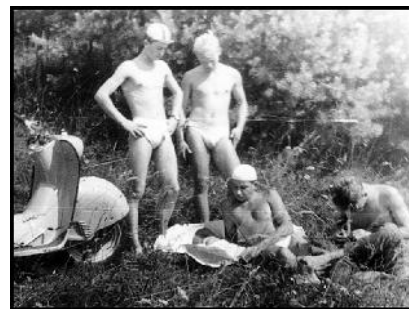
Faszyzm, o ile był zbrodniczy, o tyle był uczciwszy od komunizmu. Przy wielu podobieństwach do komunizmu nie oszukiwał, że celem jego jest dobro ludzkości. Na szczęście oba systemy już nie istnieją, oby nic podobnego nie zaistniało w przyszłości. Niestety, żadne istniejące lub przyszłe muzea holokaustu i zbrodni komunizmu nie ustrzegą nas. Historia uczy, że ciągle pod tym lub innym szyldem jakieś rasy, narody lub koterie, uparcie dążą do zdobycia hegemonii. Po doświadczeniach komunizmu i faszyzmu trudno oczekiwać, że otwarcie wyjawiają swoje cele. Raczej, po opanowaniu publikatorów, będą tworzyli fikcje, fałszowali historię i obraz świata. Będą tresowali przyszłe ofiary „poprawnościami politycznymi”, będą nagradzali posłusznych i piętnowali tych, którzy ośmielią się mówić prawdę.

Podobnie jest przy tresurze niedźwiedzi, gdy do nauki tańca stawia się je na gorącej płycie. To nie wesoła muzyka cyrkowa, ale pieczenie w łapach, zmusza je do podskakiwania. Gdy już dobrze podrygują, wówczas dostają swoje niedźwiedzie smakołyki. Po jakimś czasie wystarczy muzyka i smakołyki, niedźwiedzie tańczą, jak im zagrają – wyglądają nawet na szczęśliwe. Dla postronnego obserwatora może wydawać się, że niedźwiedzie rzeczywiście pięknie tańczą i są szczęśliwe, może nawet one same tak myślą, jeżeli myślą...?

Ludziom proponuje się więcej „smakołyków” niż niedźwiedziom. Gorące płyty podsuwają im rządzący, różnego rodzaju „autorytety”, szare eminencje i ich „eksperci”. A „muzyka” w naszych czasach płynie wszystkimi strumykami publikatorów: garnąć pod siebie, sprzedać się, wyżyć się. Publika podryguje, w tym i nowa publika, bo te oglądane na ekranach telewizorów amerykańskie niedźwiadki tak fajnie tańczą i serdecznie rechoczą. Nowa publika nie wie, że rehot jest mistyfikacją, że te wytresowane niedźwiadki tak naprawdę nie wiedzą, co jest grane. [Do ścieżki dźwiękowej dodawane są całe gamy pojedynczych i grupowych śmiechów ([Laugh track](#)) tworzących wrażenie obecności rozbawionej publiczności i niesłychanego poczucia humoru twórców spektakli. Technika ta znana jest także jako „Sweetening” (dosładzanie).] A co najważniejsze, nowa publika nie wie, że w Ameryce są też inne niedźwiedzie, nie dające się wytresować, gniewne i myślące, przemilczane lub przedstawiane jako zwierzyna do odstrzału. Czy ulegną tresurze? Czy będą „odstrzelone”? ... A może „repatriują” się do ojczyzny swoich dążeń bez konieczności opuszczania rodzinnych miejsc?

Jak długo to będzie trwało?

Dla czterolatka jeden miesiąc to dwa procenty jego życia, dla pięćdziesięciolatka dwa procenty życia to już jeden rok. Może dlatego wydawało mi się, że moja dziecięca „wagonowa repatriacja” trwała bardzo długo? W zaawansowanym wieku powstaje nieodparte wrażenie, że kiedyś czas zupełnie inaczej płynął. Jeszcze w szkole, lub nawet na studiach, jeden rok był długim wyczekiwaniem na wakacje. Później, w miarę przybywania lat, rok mijał jak z bicza trzasnął. A 20 letni pobyt w USA?...



Czas zupełnie inaczej płynął...

W 1993 roku, po trzynastu latach pobytu w USA, wybrałem się po raz pierwszy do Polski. Była to bardzo emocjonalna podróż. Zazwyczaj łatwo zasypiam we wszelkich środkach lokomocji (szczęśliwie udało się mi opanować ten odruch w czasie prowadzenia samochodu). Tym razem nie zmrużyłem oka. Nawet nie dlatego, że leciała duża grupa Żydów, którzy stawali w przejściach i kiwali się nad głowami pasażerów nieustannie odprawiając modły. [Goje, pomimo, że byli wyraźnie poirytowani, zachowywali się spokojnie. Dopiero, gdy o świcie zaczęli żarzyć okazałe kadzidło, poprosiłem „kadzidłowego” o zaprzestanie kiwania się nad moją głową i zgaszenie kadzidła. Był głuchy na moje prośby. Zwróciłem się do stewardesy, rozłożyła ręce. Za chwilę, wyglądający na tajemniczą młodą osobę, usiadł w pobliżu i bacznie mnie obserwował. Zaznaczam, że nie był to lot czarterowy dla wyselekcjonowanej publiczności. Wbrew rozsądkowi i dobrym obyczajom LOT nie uprzedził pasażerów, że będą podróżowali w „latającej synagodze” z otwartym ogniem rozsiewającym kłęby duszącego dymu. Gdyby tak „kadzidłowy” zaczął kadzidłem o któryś fotel, różnie mogłoby się to skończyć?]

Jednak podczas tego lotu coś innego nie dawało mi spać. Coś głęboko ukrytego poza racjonalną częścią mojej świadomości. Zrozumiałem to później, gdy w ramach tej podróży do Polski wybrałem się na parę dni do Wilna. Wracając z Wilna przylepiłem się do okna wagonu. Patrzyłem na zielone pagórki upstrzone ogródkami, bogatymi i mizernymi daczami z zarzuconymi na linie energetyczne kablami podbierającymi „kazionną” energię, na krzątających się ludzi.

Nie było to takie zwykłe „patrzenie”. Od tych pagórków wiatr przygnał błąkające się tam spojrzenia i uczucia moich bliskich, i im podobnych, opuszczających kiedyś te strony na zawsze. Później był las, drzewa, krzaki przy torach, jakieś przesmyki pomiędzy drzewami, języki mchu, wykroty odkrywające gołą ziemię. Niby zwykły las, jednak jakiś inny...

Wiele razy ruszając w podróż patrzyłem na uciekający czas mierzony przesuwającymi się widokami. Wszystko, co widziałem wyjeżdżając z Wilna, było bardzo zwyczajne. Nie potrafię opisać, czym różnią się widoki za oknem wagonu po przekroczeniu granicy, albo koło Ełku. Jednak odczułem, wręcz fizycznie, że ta ziemia koło Wilna to część mnie, część mojego jestestwa. A wyjechałem taki mały, w międzyczasie tyle razy tam byłem i nigdy tego nie odczuwałem. Aby to odczuć widocznie potrzebne były te lata za „wielką wodą”? Potrzebne też były lasy amerykańskie, naprawdę inne, choć na pierwszy rzut oka bardzo podobne, przeważnie liściaste, z chaszczami broniącymi wstępu. Inne, pomimo podobnych na oko grzybów. Pomimo, że gdzieś można nawet prawdziwą czarną jagodę lub jeżynę znaleźć.



Album z Wilna

W pewnym sensie był to mój drugi powrót, jednak nie taki sam jak pierwszy. Nigdy wcześniej nie byłem poza Polską tak długo, nieprzerwanie przez trzynaście lat. Kiedyś, po zakończeniu studiów w **Leninradzie**, też wracałem do Polski, ale pobyt za granicą nie był nieprzerwany – wakacje spędzałem w kraju. Wiadomo było, kiedy wrócę, że na pewno wrócę. Wracając z Leninradu miałem podobne odczucia, jak tysiące innych młodych ludzi powracających do swoich domów po zakończeniu studiów. Studiowałem trochę dalej niż inni i w innym języku, jednak w ciągłym zespoleniu z całym poprzednim życiem.

W Leningradzie była nas duża grupa młodych ludzi z różnych uczelni w Polsce. Ten powrót z Leningradu po zakończeniu studiów nie budził takich emocji jak powrót z USA do Polski po 13 latach nieobecności. [W 1963 roku, przypuszczalnie na polecenie [Chruszczowa](#), zainicjowano masową wymianę studentów. Było więcej miejsc niż chętnych do wyjazdu. Kryteria były proste: po dwóch latach studiów żadnego oblanego egzaminu i średnia około czwórki.] Nie czuliśmy się tam wyobcowani, w ramach naszej uczelni i Ziomkostwa Studentów Polskich w Leningradzie kontynuowaliśmy nasze polskie studenckie życie. [Zrzeszenia Studentów Polskich za granicą przyjmowały nazwy „Ziomkostwa”. Słowa tego nie należy jednak wiązać z tak dobrze oklepanym w PRL „rewizjonizmem” – pomimo, że lubiliśmy kawały o wytyczaniu polsko chińskiej granicy w okolicach Uralu.]

Wyjazdy i powroty?... Przychodzą na myśl słowa piosenki: *Kto cygańskie życie ma, tego wciąż po świecie gna*. Cygańskie życie może być wyborem, może też być rozumiane jako fatum, coś, od czego nie ma ucieczki – przeznaczenie! Jak było ze mną? Trudno byłoby mi na takie pytanie odpowiedzieć: wybór, przypadki, zdolność do podejmowania ryzyka zmian? W sumie jednak przeznaczenie uruchomione tą pierwszą „repatriacją”. Ponieważ, jak mówią „uczeni ludzie”, ciało raz rozpędzone pędzi dalej...

Po ponad sześćdziesięciu latach wędrówki po świecie uważam, że moje przeznaczenie było łaskawe dla mnie, właściwie nic nie chciałbym zmienić, nawet, gdybym mógł. Byłem w wielu miejscach, które tak jak obrazy za oknem jadącego pociągu uleciały w przeszłość. Już nikt nigdy nie zobaczy tych miejsc, jakimi one były. Nastąpiło wiele zmian, są w tych miejscach inni ludzie i inna rzeczywistość..., i mnie tam nie ma. Zobaczyłem i przynajmniej częściowo zrozumiałem wiele rzeczy, które trudno wyczytać w książkach. Poznałem wiele osób, niektóre z nich to moi serdeczni przyjaciele. Uczestniczyłem w różnych wydarzeniach, poważnych lub zabawnych, mając czasami „więcej szczęścia niż rozumu”.

Dopiero około pięćdziesiątki uświadomiłem sobie, że moje życie było pełne przygód. Nawet pobyt w USA, kojarzący się najczęściej z pracowitymi „wakacjami”, był dla mnie wielką przygodą, a jednocześnie „odkryciem Ameryki”. „Odkryciem”, ponieważ Ameryka jest inna niż myślałem przed pobytem tam. Jest też na pewno inna, niż wyobrażają ją sobie ludzie z zewnątrz, a także większość tych, którzy byli tutaj, aby budować „drugą Amerykę”. Być może nawet urodzeni w USA, zamknięci w kręgu codziennej rzeczywistości pracy i domu, pozbawieni perspektywy przybysza, mogliby ją na nowo odkryć? A może nie potrafię zrozumieć istoty Ameryki...? Może ciągle jestem w trakcie jakiejś nie kończącej się repatriacji wypatrując przez szpary świadomości, kiedy wreszcie będzie ten Biały Stok – czysty najczystsza bielą?

PUNKT WIDZENIA

Z pierwszych czterech lat mojego życia – do repatriacji – co nieco pamiętam. Pewnych rzeczy lub wydarzeń nie mógłbym pamiętać, ponieważ nawet rejestrując wszystko i dokładnie w „super pamięci”, były one poza kręgiem mojego postrzegania. Dowiedziałem się o tych wydarzeniach od innych osób, lub domyśliłem się, o ile to było możliwe próbowałem zweryfikować moje domysły.

Pisząc „w *super pamięci*” nawiązuję do wydarzenia, które przytrafiło się mi rzeczywiście. Był to koniec września 1963 roku. Zaraz po przyjeździe do Leningradu, tuż po otrzymaniu miejscowej legitymacji studenckiej, wybrałem się na Syberię. Chciałem poznać jedynego mężczyznę z rodzeństwa mojego ojca, który przeżył II wojnę światową. Stryjek Franek odnalazł mnie rok wcześniej poprzez Czerwony Krzyż.

Aby kupić bilet kolejowy potrzebna była rosyjska legitymacja studencka lub inny sowiecki dokument tożsamości. Spieszyłem się z wyjazdem, ponieważ zapowiedziano nam, że bez pozwolenia OWIR nie możemy oddalać się dalej niż 50 km od Leningradu. [OWIR – Wydział wiz i rejestracji cudzoziemców.] Liczyłem na to, że w pierwszym miesiącu naszego pobytu nie zapamiętają nas wszystkich i nie zauważą mojej czasowej nieobecności. A gdyby mnie złapali? Mógłbym tłumaczyć się, że nie rozumiałem odnośnych pouczeń, ponieważ z językiem rosyjskim byłem na bakier.

Podróż trwała ponad 60 godzin, była bardzo wyczerpująca. U stryjka, po lekko zakropionej kolacji, położyłem się spać. Wkrótce miałem wrażenie, że łóżko podryguje i chybotaje się, tak jakbym znowu był w pociągu. Wiedziałem gdzie jestem, ale nie mogłem wyzwolić się od rytmicznego stukotu kół wagonowych i chybotania. W pewnym momencie stało się coś dziwnego, leżąc z zamkniętymi oczami zobaczyłem swoją rękę, ale inną, małą, przecinającą widelcem kluskę ziemniaczaną okraszoną skwarkami słoniny. Czułem smak i zapach, widziałem wszystkich przy stole – całą rodzinę. Słyszałem ich rozmowy, dźwięki naczyń i sztućców, a także moje myśli, co będą robił po obiedzie? Wszystko dokładnie i w kolorach.

Byłem przerażony, wiedziałem, że to co widzę i czuję jest dokładnym odtworzeniem jakiegoś przypadkowego fragmentu mojego dzieciństwa, myślałem, że zwariowałem. Zdawałem sobie sprawę, że jeżeli rzeczywistość mojego dzieciństwa nie zniknie, nie będę mógł żyć normalnie, chyba, że w „normalności” Tworek? Chciałem coś zrobić, „wyłączyć” tą „*super pamięć*” z czasów mojego dzieciństwa, nie udawało się. Dopiero po babci kompocie z suszonych owoców poczułem, że muszę pójść do ubikacji. Idąc „za potrzebą” udało się mi wyłączyć tą „*super pamięć*” i wrócić do ówczesnej rzeczywistości.

Przez jakiś czas po tym wydarzeniu bałem się ponownego seansu „*super pamięci*”. Gdybym mógł ją kontrolować i podróżować w „wirtualnej rzeczywistości” mojego przeszłego życia, dlaczego nie? Wiem jednak, że „*super pamięć*” istnieje. Świadomość tego pomagała i pomaga mi w przyswajaniu nowych rzeczy. Do egzaminów wystarczyło jednorazowe przeczytanie podręcznika lub notatek kolegów. Prowadząc w Ameryce swoje sprawy sądowe czytałem jednorazowo duże ilości tematycznych opracowań. Gdy zaistniała potrzeba, miałem jasny obraz, co i gdzie mogę znaleźć. Wierzę też, że w wyjątkowych sytuacjach, na przykład umierając, może odtworzyć się całe życie.

Najdawniejszym elementem mojej pamięci jest wizja, że ktoś mnie podrzuca do góry. Mam jakąś pewność, że był to mężczyzna. Zawsze, gdy pojawiała się ta wizja, kojarzyłem ją z moim ojcem. Ciepłe, dobre uczucie jakiegoś szczęścia, miłości i bez troskiej zabawy. Urodziłem się 14 stycznia 1941 roku. W czerwcu tego roku, w dniu rozpoczęcia wojny niemiecko sowieckiej, ojciec pożegnał się z nami i nigdy już nie widzieliśmy go. Pojawiające się wspomnienie walczy z rozsądkiem – jak mógłbym cokolwiek zapamiętać z pierwszych sześciu miesięcy mojego życia? Nawet, jeżeli jest to późniejsze wspomnienie nie związane z moim ojcem, jest ono dobrym początkiem moich wszystkich wspomnień. Zaryzykowałbym stwierdzenie, że ciepło i dobroć tego wspomnienia legły u podstaw mojego punktu widzenia.

Pamiętam też olbrzymie schody. Aby dojrzeć wielkie drzwi wejściowe na szczycie schodów musiałem zadzierać głowę wysoko do góry. Wiem, że wdrapałem się na te schody, ale dokąd i po co doszedłem, tego już nie pamiętam. Będąc dorosłym dowiedziałem się od najbliższych, że jako brzdąc wybrałem się z domku babci do mamy, która pracowała w szpitalu jako pielęgniarka. Musiałem mieć mniej niż cztery lata. Jak znalazłem ten szpital i mamę? Nie mam pojęcia. Do dziś mam niejasne wrażenie, że tak wielkich schodów już nigdy później nie widziałem, nawet na obrazku. Jednak przyglądając się im w mojej pamięci dochodzę do wniosku, że było osiem, może dziewięć stopni od poziomu ulicy. Mam też inny obraz, tak jakbym widział siebie małego z lotu ptaka, wtedy mogę policzyć tylko cztery stopnie. Może były to jakieś inne schody ukryte gdzieś w mojej pamięci? A może obecnie „liczona” ilość stopni jest uogólnieniem życiowego doświadczenia, że duże schody wyglądają o wiele mniejsze po ich pokonaniu, a szczególnie po spojrzeniu na nie z perspektywy czasu.



Z mamą

Z upływem lat, identycznie jak w przypadku schodów, moje odczucie ongiś dużych i bardzo dużych problemów utraciło swoją wagę, zmniejszyło się w perspektywie przeszłości... A ile śniegu było zimą?... Idąc z mamą świata nie widziałem za usypanymi wałami odgarniętego śniegu. Gdy rosłem dziwiłem się bardzo, że jest coraz mniej śniegu? Z czasem zrozumiałem, że moje oczy „rosły do góry” razem ze mną, po prostu zmieniał się mój punkt widzenia.

Niewątpliwie wszystkie nasze spostrzeżenia zależą od „punktu widzenia”. W czasie pobytu u stryjka Franka za Uralem poznałem jego dzieci. Staszek miał około piętnastu lat a Władek około dziesięciu. Staszek zaprosił mnie na spacer, aby pokazać ich miasto – Iwdiel Gidroliznyj. Podstawowym budulcem było drewno: drewniane parterowe domki, płoty, a na głównej ulicy drewniane chodniki z drewnianymi poręczami odgradzającymi chodnik od jezdni. Jezdnia nie utwardzona, pełna kolein wypełnionych wodą pomieszaną z pierwszymi pokruszonymi płytkami lodu. Staszek wskazał na piętrowy budynek z cegły i powiedział: *Popatrz, jaki budynek, kirpicznyj, (z cegły), czy u was w Warszawie są takie budynki?... Nawet bania (łaźnia) tam jest i klub oficerski.* Powiedziałem mu, że są, że nawet większe budynki bywają. Wyglądał na zaskoczonego: *Jak to tak..., może powiesz mi, że w Warszawie są takie budynki jak w Moskwie?* Odpowiedziałem mu, że są – nie takie same – ale bywają równie wielkie, także nie tylko w Warszawie, w wielu innych miastach w Polsce i na świecie.

Był zaskoczony, chyba mi nie dowierzał, ale trzeba było zająć po chleb – sprzedawali tylko po jednym bochenku na głowę – wróciliśmy z dwoma bochenkami. Tam, szczególnie na Syberii, tak ich wychowywano: była tylko Moskwa i Związek Radziecki – jedyne „cuda świata”. A chleb?... Dzięki władzy radzieckiej dostaliśmy dwa bochenki. Zresztą wszystko, co istniało, istniało dzięki władzy radzieckiej, dzięki Wielkiej Rewolucji Październikowej, dzięki ukochanemu genialnemu przywódcy towarzyszeni _ _ _ _ _ (wpisać odpowiednie nazwisko). Taki był właśnie *punkt widzenia* mojego stryjecznego brata rosnącego gdzieś tam, gdzie diabeł mówi dobranoc. A stryjek Franek po latach spędzonych w łagrze może sam niewiele wiedział o świecie, a może wołał, aby dzieci nie wypaplały, że coś o tym zewnętrznym świecie wie?

Punkt widzenia?... Jakież rozległe było pole za płotem domku mojej babci. Ciekaw świata próbowałem pokonywać ten płot i zakaz oddalania się, ale kozy pasące się tuż za płotem pilnie strzegły swojego terenu, pewnego razu przewiozły mnie na rogach. Pamiętam to pole i gdzieś daleko za polem olbrzymi murowany dom. Pamiętam też ten dom osmalony, dymiący, z językami ognia liżącymi ściany nad oknami.

Ale najpierw znalazłem się w bardzo dziwnym miejscu. Teraz wiem, że był to schron wykopany na podwórku posesji mojej babci. W schronie było bardzo ciemno, z jakichś powodów kojarzył się mi z kinem. Być może moja matka wzięła mnie kiedyś ze sobą do pracy na jakiś obowiązkowy pokaz okupacyjnej „gadzinówki”, aby mieć pretekst do wyrwania się do domu tak szybko, jak to było możliwe? Tak jak jej wszystkie siostry była atrakcyjną kobietą, będąc z dzieckiem łatwiej mogła uniknąć nagabywania...

W schronie musiała być bardzo napięta atmosfera, jak przed dramatycznym filmem – jakieś ściszone rozmowy..., lub modlitwy. Nagle ciemność przeszła w oślepiającą jasność. Podobno było bardzo głośno, ale ja nie przypominam sobie żadnego dźwięku. Byłem przekonany, że to film, a nie wybuch granatu wrzuconego do schronu.

Po zbliżeniu się wojsk sowieckich w ramach [Planu Burza](#) rozpoczęła się w Wilnie Operacja [Ostra Brama](#), walki trwały w całym mieście. Podobno w tym dużym budynku za polem byli zgrupowani Żydzi pracujący na potrzeby armii niemieckiej, po otrzymaniu broni też przyłączyli się do powstania. Niemcy z pobliskich koszar przeczesując teren natknęli się na, schron zaczęli wrzucać granaty do środka. Trudno w to uwierzyć, ale dwa pierwsze okazały się niewybuchami, wyrzucone na zewnątrz też nie wybuchły. Dopiero trzeci wybuchł śmiertelnie raniąc dziadka, który miał czas stanąć na dole wąskiego przejścia do wnętrza schronu. Po zorientowaniu się, że w schronie są cywile, głównie kobiety i dzieci, pozwolono nam wyjść. Dzięki interwencji jakiegoś starego żołnierza niemieckiego nie rozstrzelano nas wszystkich za te dwa pierwsze wyrzucone na zewnątrz niewybuchy.

Właśnie wtedy zobaczyłem ten duży murowany dom z językami ognia wydobywającego się z czeluści okien. Mama położyła mnie w rowku pomiędzy grządkami, kazała leżeć i nie podnosić głowy, ponieważ kule świstały. Staralem się zobaczyć, co takiego dziwnego działo się z tym domem, ale grządki mi przeszkadzały. W powiązaniu z tymi wydarzeniami pamiętam przejście ulicami Wilna. Był bardzo wielki bałagan, wszędzie pełno jakichś szczątków. Zdziwiony zauważyłem roztrzaskany słup telegraficzny, taki potężny, a był roztrzaskany. Pamiętam też osmalony tors człowieka, bez ubrania i głowy. Wszystko wokół było bardzo dziwne i nie było to kino, ponieważ było jasno. Nie odczuwałem żadnego strachu, patrzyłem oszołomiony, na pewno nic z tego nie rozumiałem.

Byłem też w jakimś dużym pomieszczeniu, coś w rodzaju remizy strażackiej. Był basen lub baseny z płaskimi obmurowaniami i bardzo dużo ludzi. Musiałem uważać, aby wymykając się co chwila trafiać do swoich. Po jakimś czasie znalazłem dobrą zabawę, kogo tylko mogłem ciągnąłem do basenu i podtrzymywany za rękę chodziłem po jego obramowaniu. Pamiętam też cmentarz, prawdopodobnie pogrzeb dziadka Antoniego. Było ciemno, ktoś trzymał mnie na rękach. Daleko, dokąd tylko mogłem wzrokiem sięgnąć, widziałem morze chybottliwych światełek. Teraz obraz ten kojarzy się mi z Zaduszkami, jednak nie musiały to być Zaduszki. Przypuszczalnie mieszkańcy Wilna grzebali swoich bliskich poległych w czasie powstania i przejścia frontu, a może też usypywano pierwsze mogiły ofiar nowej władzy?

Będąc w Wilnie w 1993 roku wybrałem się na grób dziadka. Poprosiłem wujka Wasię, aby pokazał mi jakiś stary dom podobny do domku mojej babci. [Wasia - mąż Jadwigi, najstarszej siostry mojej matki. Tuż po wojnie poznała Rosjanina, Wasyla Kuczerowa, wyszła za niego i jako jedyna z rodzeństwa matki nie wyjechała do Polski.] Okazuje się, że są jeszcze takie domy – właśnie w okolicy cmentarza. Z późniejszej rozmowy wynikało, że blok, w którym mieszkają, zbudowano na obrzeżu posesji mojej babci. Wyszliśmy na podwórko, wujek pokazał gdzie był schron. Spytałem o pole, które było za domkiem i o duży murowany dom. Wujek twierdzi, że ten dom dalej stoi, wyremontowany, ale chyba nie ma racji. Ani dom ani pole nie są tak duże, jak utrwalone w mojej pamięci, nawet biorąc poprawkę na w pełni wyrosnięty punkt widzenia.

Być może w miarę poznawania świata w nowych coraz większych wymiarach wszystko uśrednia się i relatywnie zmniejsza się, tylko odległe w czasie wrażenia pozostają nie zmienione? Będąc w Ełku konstatuję, że wszędzie jest blisko. Jednocześnie ze szkolnych czasów pamiętam, jak daleką wyprawą było przejście od ogólniaka do stacji. Gdybym ciągle mieszkał w Ełku, być może i dzisiaj byłoby wszędzie tak daleko, jak pamiętam? Subiektywne zmniejszanie się wszystkiego kiedyś odbieranego jako wielkie dotyczy też relacji z otoczeniem. Gdy byłem w podstawówce realnym światem odniesienia był dom, w którym mieszkalem, klasa i koledzy z podwórka. W tym świecie powstawały sympatie i antypatie, wojska podwórkowe, wspólne działania i odczucie własnej hierarchii. Tworzyły się wzorce wartości i postępowania. Wszystko na zewnątrz tego małego podwórkowego świata wydawało się być czymś niezbyt ważnym, a nawet w pewnym sensie wywodzącym się z naszego podwórkowego świata.

Później, w ogólniaku, świat odniesienia urósł do całego miasta. Po wyjeździe na studia proces postępował dalej, była to już cała Polska... I co dalej...? Świat odniesienia powinien powiększać się on do rozmiarów „globalnej wioski”. Nie odczuwam jednak, aby mój świat odniesienia powiększał się dalej. Pomimo, że obleciałem kawałek tej globalnej wioski, jakoś nie czuję mojego zespolenia z nią. Trudno znaleźć globalne wzorce wartości lub autorytety. Najczęściej prezentują się różne „salonowe autorytety“ trudniące się manipulacją i okłamywaniem ludzi.

Do przyjemnych wspomnień z wczesnego dzieciństwa należy wizja beztroskiej zabawy z moim rówieśnikiem [przypuszczalnie cioteczny brat, Gierek Jarocki]. Ciepło, słoneczna pogoda, bieganie i chowanie się, w pamięci coś jasnego, niezwykle radosnego. Dorośli mieli w tym czasie wiele poważnych problemów, zbijali jakieś skrzynie, coś nosili, pakowali, a może odkopywali (penetrowali ziemię długimi prętami), ale nas to nie dotyczyło – bawiliśmy się świetnie.

Oczywiście, pamiętam choinkę Bożonarodzeniową i wujka Gienka [brat mojej matki]. Gdy gdzieś nie „latał” czasami zabawiał mnie pokazywaniem sztuczek. Przedmioty znikwały i pojawiały się w różnych nieoczekiwanych miejscach. Raz nawet zaczarował moją małą, nazywała się Maka, na szczęście szybko ją odczarował. Teraz ja pokazuję podobne sztuczki maluchom. Coś niby rzucę nie wypuszczając z ręki, potem znajduję w innym miejscu. Maluchy, tak jak ja kiedyś, mają dobrą zabawę z takim „wujkiem czarodziejem”.



Wujek Gienek

Bacznie obserwowałem tego podrastającego wujka Gienka, coś znosił i chował w różnych miejscach. A było tego wokoło pełno: naboje, od najmniejszych do zupełnie porządnych pocisków. Długie palące się z sykiem łaski prochu, nadawały się nawet do rozpalania drewna, aż ręce swędziały, aby tego dotknąć. Musiałem dojść do wniosku, że piec kuchenny i „skarby” wujka są dla siebie stworzone.

Korzystając z nieuwagi dorosłych – bo gdzieś pod skórą odczuwałem, że nawet nie dotykając zapalającą się moją łaską – wrzuciłem do paleniska dwa naboje i grzecznie usiadłem w kąci. Na efekt nie trzeba było długo czekać, huknęło, cały przygotowywany obiad znalazł się na suficie. Chyba dostałem w skórę, ale nie mogę sobie tego przypomnieć. A może darowali mi, ponieważ nie podłożyłem niczego o większym kalibrze.

Był też w babci domu strych. Tak jakbym widział w pamięci jakieś pomieszczenie gospodarcze..., i drabinę. Trudno mi tam było wleźć, ale jakoś wleźłem. Już zabierałem się do przeglądania ciekawych różności, gdy nagle coś zajaśniało w najciemniejszym rogu pod sklepieniem, gdzie belki idące ukośnie do góry łączyły się ze sobą. Spojrzałem i od razu wiedziałem, że to jest Bozia. Niepodobny do tego malutkiego dziecka trzymanego na rękę, jak na obrazie babci. Dorosły, jaśniejący niesłychanie intensywnie i kolorowo. Patrzyłem nie wiem jak długo, nie bałem się, odczuwałem wielki spokój. Nie słyszałem żadnego głosu, ale od wewnątrz wiedziałem, że to jest dobry Bozia, że nawet nie gniewa się na mnie za to, że bez pozwolenia wleźłem na ten stryszek. Od tego czasu wiem, że gdzieś tam w tych wileńskich stronach – tak jak pisał Konwicki – mieszka dobry Bozia, dający spokój i nie gniewający się za byle głupstwa. Myślę, że przynajmniej część tego spokoju została we mnie do dzisiaj. Może dzięki temu spokojowi miałem wiele szczęścia w życiu, chociaż nie wybierałem najłatwiejszych ścieżek?



Moja mała Maka

KLONOWANIE JESTESTWA

Psycholodzy twierdzą, że trzeba dużo do dziecka mówić, bawić się z dzieckiem, i to od pierwszych dni życia. Nie wiem jak było ze mną? Urodziłem się w trudnych czasach – wojna – byłem półsierotą. Chyba nikt z rozmowami ani zabawami nie przesadzał? Nie było telewizji, pierwsze radio pojawiło się w domu na początku drugiej dekady mojego życia. Dlatego zamiast popadać w letarg przed telewizyjnym ekranem nauczyłem się słuchać, obserwować i poznawać otoczenie. To znaczy wszystkie miejsca, gdzie tylko mnie oczy i nogi zaniosły.

Najciekawszym było podsłuchiwanie dorosłych. Wieczorami zbierali się przy stole lub koło pieca i długo, długo, ciągnęli różne opowieści. O wydarzeniach dnia, o dziwach, cmentarzach i duchach..., lub o skarbach... Czasami głos ściszyli i mówili o tym, co ich najbardziej bolało, o czym nie mogli mówić głośno. Ja udawałem, że bawię się czymś.

Im później było, tym bardziej starałem się być niezauważalny. Wiedziałem, że gdy zadam jakieś pytanie lub narobię hałasu, to mi każą pójść spać. W ten sposób, niekiedy, udawało się mi dotrzeć do końca ich rozmów.

Pamiętam mieszkanie w Ełku przy ulicy Wojska Polskiego 100 (obecnie 33), zbierała się cała rodzina. Zaraz po wprowadzeniu się nie było światła elektrycznego. W jednym z pokoi stał żelazny piecyk z rurą, chyba było to nasze „słoneczko” z wagonu repatriacyjnego? Ja miałem tylko jedną zabawkę, mały drewniany samochodzik, ale było naokoło wiele wypalonych budynków i tuż zaraz jezioro. Wszędzie, w poniszczonych budynkach lub w jeziorze mogły być skarby i duchy, albo przynajmniej topielcy, łapiący zniecka za nogę, gdy wbrew zakazowi dorosłych wślazło się do wody.

Pewnego razu, siedząc przy ciepłym piecyku, układałem z polan różne budowle. Było już późno, dorośli ściszonymi głosami rozmawiali o jakiejś bombie, która mogłaby całe miasto zniszczyć. Mówili, że ich Wilno, gdzieś tam za granicami, miało złe proroctwo, że wszystkie źródła będą zatrute, a tylko te wytryskające spod poświęconej wierzby dadzą dobrą wodę. Rozumiałem, że może stać się coś strasznego, że może być wojna, ale gdyby ta bomba atomowa nie zniszczyła Wilna, wówczas po wojnie będziemy mogli tam wrócić i nie będziemy musieli ściszać głosów. Tak się zasłuchałem, że nieostrożnie zwałem polana, zwrócili na mnie uwagę i pogonili spać. Na pocieszenie wujek Gienek powiedział: *Będiesz chyba inżynierem, takie tu konstrukcje z polan budowałeś.*

Wujcio jakby zgadł, albo wyprorokował. Ze sposobu w jaki to powiedział zrozumiałem, że być inżynierem to jest coś ważnego. Rzeczywiście, stało się tak, jak powiedział. Po latach nauki i po dosyć długim okresie pracy w tym zawodzie doszedłem jednak do wniosku, że najważniejszą rzeczą jest to, aby nie musieć mówić ściszym głosem.

W tym okresie czasu takie ciche rozmowy były na porządku dziennym w większości polskich rodzin. Niezależnie od tego, ile dzieciarnia mogła zrozumieć z tych rozmów, coś w naszej świadomości zostawało. Stawaliśmy się podobni do naszych dorosłych, tak jak oni, nauczyliśmy się mówić ściszonymi głosami. Naszymi bohaterami i wzorcami stali się ich bohaterowie, przewrotnie nazywani zapłutymi karłami reakcji. My, wbrew wszelkim wysiłkom władzy ludowej, stawaliśmy się takimi prawdziwymi, często jeszcze zasmarkanymi karzełkami reakcji. Nikt nie może mieć wątpliwości, że dzięki pokoleniu naszych rodziców i już wyrosniętym karzełkom reakcji, nie musimy dzisiaj mówić ściszym głosem. Stało się coś, czego najęźsi zachodni sowietolodzy nie dopuszczali nawet do myśli, komunizm upadł, stracili biedacy dobrą pracę. Jednak ich następcy budujący pod różnymi hasłami totalitarny globalizm znowu zmuszają ludzi do prowadzenia rozmów ściszonymi głosami. [Np. w USA zaczyna się mówić „ściszonymi głosami” o likwidujących wolność „antyterrorystycznych” ustawach, o stosowaniu klasycznych sowieckich metod inwigilacji i prowokacji, o dyspozycyjności wymiaru sprawiedliwości, itp.]



Słuchać, obserwować, poznawać.

Z tej właśnie atmosfery powszechnego braku akceptacji narzuconych władz rodziły się pierwsze próby organizowania się, zawiązywały się przyjaźnie i wspólne mniej lub bardziej poważne działania. To na pewno jakiś „karzełek” rzucił kałamarzem w portret Stalina, cały Ełk mówił o tym. To takich karzełków wyrzucano ze szkoły lub karano rodziców za nieprawomyślne wychowywanie.

Ja dostałem porządne lanie – naprawdę bardzo porządne – na szczęście od rodziców. [Po powtórnym małżeństwie mojej matki miałem ojczyma, Jana Hula, Polaka pochodzenia białoruskiego. Starał się nie przykładać do wymierzania kar cielesnych, najczęściej słusznych, ale czasami musiał mnie przytrzymać, gdy zbyt sprytnie uciekałem.] Po przeniesieniu się do mieszkania przy ul. 6 Kwietnia (obecnie Piłsudskiego) ciągle bawiłem się z kolegami z okolic ul. Wojska Polskiego przy rzece. Z moich odłożonych do prania spodenek mama wyciągnęła nabazgrany spis członków naszej organizacji. Nie miała wątpliwości o co chodzi, musiałem położyć się na taboretach. Nakazem rodzicielskim i solidnym pasem organizacja została rozwiązana. Na tle naszych uwielbianych bohaterów wypadliśmy bardzo blado. Nie mogę sobie przypomnieć jakie argumenty, oprócz pasa, były używane. Wiem, że nie starano się zmieniać naszych kielkujących zapatrywań politycznych. Raczej dostaliśmy lekcję, że nie możemy nic zrobić, oraz przestrożę, co mogą zrobić z nami inni, gdyby w ich ręce wpadła ta kartka.

Pomimo „złego wpływu” dorośli nie zaprzestali słuchać ściszonego radia. Z bełkotu zagłuszonek wylapywali tak potrzebne słowa i wiadomości, aby nie dać się zwariować i nie poddać się nachalnej propagandzie „najlepszego z najlepszych ustrojów”. Dowiadywali się, że nie są sami w swoich myślach, że istnieją różne formy oporu, że istnieje inny świat mówiący to, czego nam zabraniano.

Po tym laniu nie dałem się namówić do żadnej organizacji. Przez pewien okres czasu bawiłem się z Ejsmontem, który mieszkał na ulicy Orzeszkowej przy Mickiewicza, sugerował, że ma powiązania z jakąś organizacją. Pojawiali się też jacyś starsi sugerujący przystąpienie do organizacji antykomunistycznych, jeden jakoby był delegatem z Białegostoku? Już sama różnica wieku nie budziła zaufania, może był prowokatorem? Ponadto był domowy pas i opowieści o metodach UB.

Osobnym rozdziałem klonowania jestestwa była szkoła. Było dużo przedwojennych nauczycieli, także młodzi nauczyciele nie wykazywali entuzjazmu w wychowywaniu nas w socjalistyczno internacjonalistycznym duchu. Oczywiście, w programie był Pawłow i Miczurin, ale zawsze, gdy uczono nas o jakimś wielkim radzieckim uczonym, otrzymywaliśmy anegdotyczne antidotum. Na przykład na temat odruchu warunkowego Pawłowa: *przed przedwojenną wystawą udekorowaną tu szyneczka, tu szyneczka, a pośrodku kielbaseczka ciekła ślina, po zmianie dekoracji na tu kwiatuszek, tu kwiatuszek, a pośrodku Stalinuszek zamiast śliny zalewała ludzi zła krew*. Niezależnie od poziomu anegdotek, lub ich relacji do prawdziwych osiągnięć ośmieszanych osób, były one reakcją na wmuszanie fikcji, że wszystkie wielkie osiągnięcia ludzkości zawdzięcza się Rosjanom, w domyśle ZSRR. Takie i inne anegdotki były też sposobem uzewnętrzniania opozycji przeciwko rzeczywistości, którą nam narzucano.

Jeżeli o którymś z nauczycieli mówiono, że był akowcem, otaczała go aureola naszego podziwu. Jego słowa nabierały większej wagi, niezależnie od tego, czy uczył języka polskiego, matematyki czy historii. To nie znaczy, że od razu stawaliśmy się aniołkami a znajomość przedmiotu osiągała szczyty. Zawsze byli dobrzy, średni i marni uczniowie, a wśród nich grzeczni lub łobuziaki. Jednak, gdy w toku lekcji zaczęliśmy wylapywać aluzje, a czasami wręcz jasne sformułowania o patriotycznym charakterze, wówczas przycichały szepty, cała uwaga koncentrowała się na nauczycielu. Nawet ci z ostatnich ławek przerywali pogaduszki lub błogą drzemkę z otwartymi oczami.

Z wielu nauczycieli pamiętam tylko jednego, który starał się uformować nas „po linii” (przez krótki okres czasu uczył języka rosyjskiego). Pozostali odklepywali czasami wymagane formułki, ale nie nalegali na ich przyswojenie. Wyprowadzali klasy na poranne apele, aby odśpiewać sztandarowe „Naprzód młodzieży świata”, ale nie karali tych, co z różnych względów nie otwierali ust lub nie przejawiali żadnego entuzjazmu. Zawsze potrzebni byli, i będą potrzebni, tacy odważni i patriotyczni nauczyciele.

Gdy ogłoszono wiadomość o śmierci Stalina, nikt nie ganił nas za nasze trudno ukrywane zadowolenie. Komunikat o śmierci Bieruta zastał nas w sali gimnastycznej. Przerwaliśmy grę w piłkę i z okrzykami „hura” zaczęliśmy wdrapywać się na drabinki gimnastyczne, wymachiwać rękoma i zeskakiwać. Profesor Ignatowicz był na pewno zaskoczony – skąd taki entuzjazm u tych łobuziaków, czasami leniwych i nieskorych do wysiłku, ale nie skarcił nas. Spokojnie przerwał nasz spontaniczny „wiec”, skierował do szatni i nakazał, abyśmy w czasie organizowanego właśnie apelu powstrzymali się od niepotrzebnych gestów. Co ważniejsze, nie złożył na nas żadnego meldunku, może tylko w gronie bliskich mu osób zastanawiał się, co z nas wyrośnie?

Przed obowiązkowymi pierwszomajowymi pochodami zapowiadano sprawdzanie list obecności, ale nie sprawdzano. Po zbiórce na Placu Wolności przy ogólniaku [obecnie zabudowany], już przed dojściem pochodu do ul. Wojska Polskiego, większość z moich kolegów wymykała się z pochodu na naszą własną zbiórkę, na moście, aby pójść za jezioro. Zaopatrzeni w kajzerki i kielbasę zwyczajną (a w ostatnich klasach nawet jakiś „patyczak” się trafiał) odbywaliśmy pierwszą po zimie wręcz rytualną kąpiel w lodowatej wodzie.

Powiedziałbym, że nasi profesorowie traktowali nas bardzo dobrze, chociaż czasami surowo. W pierwszych klasach szkoły podstawowej za wybryki dostawało się jeszcze linijką po łapach, albo stawiano nas do kąta. W starszych klasach reprimenda wychowawcy, lub nawet dyrektora, także wzywianie rodziców, były na porządku dziennym. Profesor Bieniewski, jak fama głosiła były akowiec, niesłuchanie celnie uciszał zapamiętałych uczestników „morskich batalii“. Nawet „głębokie zanurzenie” w ostatnich ławkach nie mogło uchronić przyszłych admirałów przed precyzyjnym i niespodziewanym „trans-klasowym” atakiem. Odstrzelona spod tablicy torpeda w postaci mokrej szmaty lądowała na głowie delikwenta wymuszając natychmiastowe zawieszenie broni, przynajmniej do przerwy. Co gorsze, „marynarz” momentalnie przeistaczał się w „szczura lądowego” i wycierając rozmokłą kredę z nosa musiał szparko odstawić szmatę do tablicy.

Większość nauczycieli potrafiła utrzymać nas w ryzach bez używania żadnych środków specjalnych i konsekwentnie realizowała wymagany program. We wdzięcznej pamięci zachowała się część nazwisk, niekiedy zastały tylko przydomki. Było paru pedagogów, którym nie udawało się utrzymać dyscypliny. W takich przypadkach postronny obserwator mógłby pomyśleć, że naprawdę pochodzimy od małp.

Żałuję bardzo, że nie byłem pilnym uczniem. Ileż potrzebnych rzeczy mogłem nauczyć się już w szkole! Wiele braków nadrobiłem później, ale nie wszystkie. Po pewnym czasie zrozumiałem ile straciłem, a też to, że nie ma nic aż tak trudnego, czego nie można nauczyć się. Trzeba tylko chcieć, włożyć trochę pracy i znaleźć sposób uczenia się. Trzeba też uwierzyć w siebie, że naprawdę nie ma rzeczy trudnych! Może dzisiejsi słabi i bardzo słabi uczniowie zrozumieją, gdy przeczytają moje wyznanie, że nic straconego, że nawet najgorszy uczeń może stać się dobrym uczniem, że warto uczyć się.

Ze wszystkich przedmiotów najważniejszy jest język polski (przynajmniej w Polsce). Nauka innych przedmiotów, zrozumienie świata, wszelka działalność ludzka, byłyby nie do pomyślenia bez znajomości języka. To właśnie język zdefiniowany jako „*zasób wyrazów, zwrotów i form określanych przez reguły gramatyczne, funkcjonujący jako narzędzie porozumiewania się*”, czyni z nas ludzi (homo sapiens) – członków społeczeństwa władającego danym językiem i członków rodu ludzkiego.

Kiedyś nie rozumiałem, jak ważny jest język polski, nie przykładałem też znaczenia do poznawania i zapamiętywania nowych słów/terminów wprowadzanych przy nauce różnych przedmiotów. W wielu przypadkach **zapoznanie się z terminologią i definicjami to prawie wszystko, co jest potrzebne do zrozumienia i nauczenia się nawet bardzo trudnych rzeczy**. Bez znajomości terminów i definicji powstaje bariera tajemniczości, niepojętości i nieosiągalności wykładanych przedmiotów. Niekiedy nawet nauczyciele nie dostrzegają, na czym polega czasami wręcz namacalna trudność przekazania swojej wiedzy. Najczęściej jest to brak „wspólnego języka” – uczniowie nie znają terminów i definicji.

Będąc u krewnych w Paryżu w przeciągu paru godzin nauczyłem ich dorosłego już syna potęgowania, pierwiastkowania i logarytmowania. A był uważany za kompletnego głęba z matematyki. Na pewnym etapie nauki skierowali go do szkoły gastronomicznej, aby oprócz dodawania składników do potraw nie miał już żadnej innej styczności z matematyką. W paru linijkach zapisałem mu na kartce „co jest co” (definicje). Przy „kucharskiej” znajomości dodawania, odejmowania i mnożenia, był w stanie rozwiązywać dosyć skomplikowane zadania.

W nauczaniu pomaga czasami silna osobowość..., lub uroda? Pamiętam, gdy zapaliłem się do nauki języka polskiego. Przyczyną tej zmiany było pojawienie się młodej polonistki, tuż po studiach, musiała być bardzo ładna. Paru z nas wynegocjowało miejsca w pierwszym rzędzie, siedziałem, chyba z otwartą gębą, i po raz pierwszy pilnie słuchałem. Duże zaległości utrudniały mi zrozumienie niektórych gramatycznych zawłości, ale nawet jakiegoś wierszyka nauczyłem się na pamięć, także coś z niechodliwej literatury obowiązkowej przeczytałem od dechy do dechy. Niestety, uczyła nas bardzo krótko. Odstąpiliśmy pierwsze ławki dla naszych grzecznych, zawsze przepisowo ubranych i „zatarczowanych” koleżanek. Gdyby uczyła dłużej, to może nie miałbym tylu braków, które przeszkadzały mi w pisaniu „Okruchów” a także w dogłębnym opanowaniu języków rosyjskiego i angielskiego?

Na szczęście poprzez całą zawieruchę wojenną i repatriację rodacy przechowali nasze polskie przedwojenne, a nawet starsze książki. Niektóre były tak „wyczytane”, że z twardych okładek zastały tylko strzępy. Miały te książki niesamowite wzięcie, a czytało się je jednym tchem. Szczególnie książki o patriotycznych treściach, tak niechętnie wydawane przez nowe władze. Kim byśmy byli bez przeczytania Trylogii Sienkiewicza...? Co z nas zostanie, jeżeli w programach nauczania zabraknie tych książek?

Czytanie takich książek, a później innych, było moją „okresową chorobą”. Gdy po przeczytaniu jakiejś książki „wyzdrowiałem” – to znaczy, kiedy wróciłem do zwykłych podwórkowych zabaw i zajęć – następnego bakcyła łapałem po odwiedzeniu cioci Ireny. [Irena Nowicka, siostra mojej matki.] Zaraz mi podsuwała książkę: *Zobacz, jaka ciekawa...*, i było następne czytanie... Czasami kończyłem pod kocem z latarką, ponieważ kazano mi zgasić światło. Między innymi dzięki tej cioci i jej książkom nie przepadłem zupełnie z języka polskiego.

Najwięcej książek przeczytałem jednak w czasie rocznego zatrudnienia jako nauczyciel. Trafiały do moich rak od znajomych a także z Biblioteki Miejskiej w Elku. Dzięki temu zdobyłem sporo wiedzy, poznałem różne sposoby widzenia świata, wiele opisywanych miejsc i wydarzeń. Gdzież tam telewizji lub filmom do książek! Książka dla umysłu jest tym, czym jest sala gimnastyczna lub siłownia dla mięśni. Czytając książki trzeba widzieć w wyobraźni twarze i krajobrazy, kolory i zaświaty, odczuwać zapachy, łyzy i radość. Film lub telewizja podaje wszystko gotowe. Jeżeli ktoś chce wyrobić sobie wyobraźnię i giętkość umysłu oglądając film lub telewizję, to będzie tak, jakby przygotowywał się do biegu maratońskiego jeżdżąc samochodem.

Na ekranach dominuje Hollywood. Po ptakach mordercach Hitchcocka pojawiły się szarańcze, pszczoły, olbrzymie myszy i potwory z całego wszechświata – na szczęście supermani nie śpią. Niektóre filmy mają zaćmienie „dydaktyczne”. Wychodząc z filmu [Dzień niepodległości / Independence Day](#) nie można mieć wątpliwości, że gdyby nie genialni Żydzi i sprawni fizycznie Murzyni, to nie tylko Ameryka, ale i cały świat uległby zagładzie. [Aktor grający głównego bohatera jest bardzo podobny do niesławnego Morela, siepacza UB. Dzięki „etnicznym” dojściom bez trudu znajduje się u boku prezydenta. W krytycznym momencie, po wypiciu całej butelki (równiacha), zamiast rzygnąć, rozszyfrowuje pozaziemską cywilizację.] A te „action movies”...? Gdy obejrzy się jeden trzeba być naprawdę idiotą, aby oglądać następne. Jeżeli romantyczna miłość, to setki zapalonych świec, a prawie cała reszta hollywoodzkiej produkcji ocieka krwią i bezsensownym okrucieństwem.

Trudno mi samemu zrozumieć, dlaczego od czwartej klasy byłem takim słabym uczniem – przecież nie było jeszcze telewizji i hollywoodzkiej szmiry wokoło. Nie mogę tłumaczyć się, że siedzenie przed szklanym ekranem ogłupiało mnie. Moi najbliżsi koledzy byli dobrymi lub bardzo dobrymi uczniami. Może w porównaniu z moimi kolegami brakowało mi nadzoru w domu.

Moja matka jako położna miejska była ciągle poza domem. Ojczym był meliorantem, wyjeżdżał w teren, był też aresztowany przez UB i przez kilka lat nie dawał znaku życia. Dopiero po śmierci Stalina odezwał się z dalekiej północy ZSRR. Rosłem samopas, gdy coś nabroiłem najczęściej dostawałem lanie. Przez krótki okres czasu miałem nawet korepetycje – bez żadnych znaczących efektów.

Najbardziej pociągała mnie technika, coś tam z tego wujowego „będziesz inżynierem” musiało we mnie utkwić. Nieocenionym w mojej samo edukacji był „[Młody Technik](#)”. Nie przepuszczałem żadnego numeru. Samoloty, rakiety, opisane możliwości podróży kosmicznych, a czasami zupełnie bzdurne opowiadania o cudach kolchozowej techniki radzieckiej. Ciekawe, jakie miałbym wrażenie, gdybym zjrzał do tego teraz? W każdym bądź razie lektury „Młodego Technika” były bardzo pouczające, zajmujące i inspirujące.

Innym polem doświadczeń technicznych było samo życie w zniszczonym wojną mieście. Kikuty ścian i kominów aż prosiły się, aby je podciąć. Unikając przywalenia paroma tonami padających cegieł trzeba było w porę uciec, nagrodą był łomot i widowiskowe tumany kurzu. Była to żmudna praca, przez wiele dni trzeba było wykruszać cegłę po cegle, przewidzieć, w którą stronę to wszystko runie, oczyścić drogę ucieczki i w odpowiednim momencie skompletować widownię młodocianych entuzjastów odgruzowywania.

Oprócz burzenia były też projekty budowlane: schrony ze szczątek murów desek i cegieł, ziemianki kopane i maskowane w zakamarkach ogrodów lub w okolicznych laskach, szałas, itp. Jednak najniebezpieczniejszą częścią tych doświadczeń technicznych była pirotechnika, a materiałów było pod dostatkiem. W lesie koło [bakutilu](#) wystarczyło pogrzebać w ziemi, aby znaleźć naboje. Proch miał dziesiątki zastosowań, a „zenitówki” były „rozbrajane” w ogniskach na odludnych polanach. [Oby nikt nie powtarzał tak idiotycznych zabaw.] Na szczęście do rzadszych znalezisk należały pociski armatnie i moździerzowe.

Jeden z takich pocisków z trudem wiozłem rowerem trzymając go za pazuchę. Był to tylko pocisk moździerzowy, ale na tyle ciężki, że ciągle wymykał się spod koszuli – nawet przy zaciśniętym na ostatnią dziurkę pasku. Trzeba było rozwiązać problem z przechowaniem. Dzięki znajomości domowych obyczajów wiedziałem, że z cotygodniowych porządków wyłączona jest podłoga pod babci łóżkiem. Tylko przed Wielkanocą i Bożym Narodzeniem babcia wyciągała walizki i myła tam podłogę, położyłem pocisk pod ścianą za walizkami. Przed świętami schowałem go w przygotowanej skrytce w gruzach na terenie ogródka należącego do urzędu melioracyjnego.

Było paru wtajemniczonych kolegów, na ich prośbę zaniósłem pocisk do ustronnego miejsca, aby mogli go obejrzeć. Zebrała się spora grupka, niektórzy przyciągnęli za sobą kilkulatków. Niespodziewanie jeden z kolegów stwierdził „*to jest niewypał*”, zanim zrozumiałem jego intencje rzucił pocisk uderzając jego czubkiem o duży kamień. Zamknąłem oczy, gdy otworzyłem, pocisk toczył się po ziemi odbity od kamienia jak piłka, złapałem go i uciekłem. Wieczorem wrzuciłem go do starej poniemieckiej studzienki telekomunikacyjnej, przysypałem gruzem. Z czasem cały teren plantowano i chyba zasypano studzienkę. Być może leży tam do dzisiaj, jakieś półtora metra pod powierzchnią ziemi.

Po tym wydarzeniu zrezygnowałem z wypraw do lasu koło bakutilu, a także z kolegi, który na nasze szczęście miał rację – pocisk nie wybuchł. Wydarzenie to odsunęło mnie od całej grupy kolegów z ulicy Wojska Polskiego przy wieży ciśnień, którzy w dodatku zaczęli podkradać słodczyce ze sklepów itp. Parę lat później dowiedziałem się, że przynajmniej jednego z nich aresztowano. Nie wiem jak potoczyło się ich życie, ale chyba tak, jak w starej anegdotce o Leninie: *Spotkały się dwie kumy, zaczęły rozmowę o synach: Kumo, mój syn jak Marks, nauka i praca, nauka i praca. Druga kuma postanowiła przebić ją: A mój syn jak Lenin – więzienie, ucieczka, więzienie, ucieczka...*

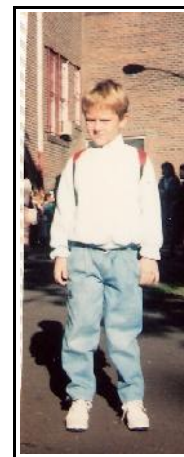
Po zrezygnowaniu z zabaw z niewypałami pojawiły się nowe zajęcia. Trzeba było robić tratwy z sitowia, aby dostać się na bezludną wyspę na Sunowie. Nawet z kolegą Andrzejem Zimnym przeprawiliśmy tam parkę królików – na polowania w czasie wakacji.

Sporo czasu zajmowało nam przeszukiwanie piwnic zburzonych domów, aby odkryć tunel prowadzący jakoby pod jeziorem do więzienia: [Elk/Historia](#). Ponieważ więzienie było kiedyś zamkiem krzyżackim, śniły się nam różne znaleziska. Szable i zbroje rycerskie, ale takie małe, pasujące na nas. Jeżeli nie zbroje, to w snach znajdowaliśmy ponemieckie motocykle, też takie małe, jak dla nas. Gdyby nie motocykle, wówczas i rowery by „obleciały” – na balonówkach – takie, jakimi co ważniejsi urzędnicy przyjeżdżali do miejskiego i powiatowego urzędu przy ulicy 6-go Kwietnia (obecnie Marsz. Józefa Piłsudskiego).

Organizowaliśmy takie eskapady, ponieważ nasi zapracowani rodzice nie mieli zbyt dużo czasu na zajmowanie się nami. Nie byli w stanie kontrolować naszych poczynań – zresztą, tak jak większość rodziców, kiedyś, teraz, i w przyszłości. Nie znaczy to, że mieliśmy nieodpowiedzialnych rodziców, ufali nam. Gdy mieli sygnały o jakichś naszych wykroczeniach, wówczas słusznie dostawaliśmy lanie. Wykroczenia były różne, np. wybicie piłką albo palantem jakiejś szyby. Wyniesienie w „plener” segmentów metalowych form melioracyjnych do odlewania betonowych kręgów, przypominały tarcze rycerskie wielkoludów. Podbieranie w okolicznych sadach rozplywających się w ustach papierówek, spóźnione powroty ze źle zaplanowanych wypraw, itp.

Trafiały się też grubsze sprawy, niekoniecznie zakończone paskiem. Prawie naprzeciwko domu gdzie mieszkałem był magazyn narzędzi i materiałów budowlanych. Murowany barak o rozmiarach dużej stodoły z kłapą od zaplecza do wydawania narzędzi. Któreś z dzieci penetrujących wszystkie dziury i niedomknięcia zauważyło, że kłapa odstaje od ściany [nie było żadnej kłódki, tylko haczyk od wewnątrz]. Po podniesieniu kłapy ukazały się niebywale skarby: wiertła, śrubokręty, obciążki, wiertarki z korbką, młotki – wręcz cuda powojennej techniki. Braliśmy wszystko, co ładniej wyglądało. Korbkowe wiertarki miały największe powodzenie – kręciło się korbką, a koniec furkotał jak szalony! Na drugi dzień lekko skacowany magazynier, widocznie po jakichś imieninach w magazynie, chodził po okolicznych domach. Zebrał zdecydowaną większość naszych łupów, oczywiście po rodzicielskich pytaniach: byłeś tam, co brałeś, gdzie to masz?

Wspomnienie to nasuwa mi porównanie z przygodą mojego najmłodszego syna w USA tuż po rozpoczęciu nauki w pierwszej klasie. Niedaleko nas było składowisko zdezelowanych samochodów (junkyard). Była tam też dziura w siatce, przez którą w poszukiwaniu „skarbów” dorośli i dzieciarnia włązili do środka. Razem z kilkoma rówieśnikami włązł tam też mój synek. Wśród rozwalonych samochodów, z których wyjmowane były różne podzespoły, pomiędzy porzucanymi w błocie częściami samochodowymi, rozbitymi szybami i innymi niebezpiecznymi pułapkami, jedno z dzieci znalazło zepsutą latarkę. Wyrzebali też jakieś centy, normalnie nie podnoszone nawet z dopiero co zamiecionego trotuaru. Gdyby wszyscy złożyli je do kupy, starczyłoby chyba na lizak, a może nawet na dwa? W tym momencie wkroczyła władza, czyli policja sławnego ze stadionu giganta miasta East Rutherford w New Jersey. Jeżeli byli tam inni dorośli poszukiwacze „skarbów”, uciekli. Dzieciarnię aresztowano i spisano protokół, ile który miał zabłoconych centów, a latarka była grubszą sprawą – ponieważ miał ją mały Murzynek, sympatyczne grzeczne dziecko, rodzynek w tym białym towarzystwie.



Dzieci trzeba było zabrać z komisariatu, później była komisja (kolegium) mająca pełnomocnictwa sądu dla nieletnich. Przy próbie wyproszenia mnie za drzwi, nie zgodziłem się na seans „resocjalizacji” bez mojej obecności, za karę musiałem pojawić się z moim pierwszoklasistą w sądzie powiatowym dla nieletnich. Przed wyznaczoną datą wystąpiłem z pisemną prośbą o umorzenie postępowania i ukaranie właściciela złomowiska za brak zabezpieczenia terenu oraz narażanie dzieci na niebezpieczeństwo, bez skutku. Sędzia w sądzie powiatowym (Bergen County) przeprowadził całą sprawę w pełnym majestacie prawa, jedynie policjant, który aresztował dzieciarnię, poczuł się wreszcie zażenowany. W swoich zeznaniach potwierdził istnienie dziury w siatce, że latarka nie była nic warta, że jakieś tam centy mogły już być w kieszeniach pacanów lub były gdzie indziej znalezione.

Wyrok brzmiał, o ile dobrze pamiętam, pół roku nadzoru rodzicielskiego „w zawieszeniu“. Dużo, bardzo dużo rzeczy, w amerykańskim systemie sprawiedliwości jest zaskakujących. My, po „rabunku mienia władzy ludowej”, nie dostaliśmy nawet w przysłowiową dupę. Sprawa była jasna, magazynier nie dopełnił swoich obowiązków. Ale i on na pewno nie musiał stawać przed wysokim trybunałem PRL, ponieważ nie była to ani Ameryka ani ZSRR. Był to siermiężny PRL, zaludniony jednak naszymi ludźmi, Polakami, zdającymi sobie sprawę z tego, w którym momencie prawo przeistacza się w groteskę, szczególnie, że takie sprawy były bardzo skutecznie „osądzane“ rodzicielskim paskiem. Jednak po zakazaniu paska być może nie ma innego wyjścia i trzeba rodziców i dzieci wzywać do sądu dla nieletnich?

Zabranie nam cudów PRL-owskiej techniki nie pozwoliło na przedwczesne zostanie mechanikami, powróciliśmy do dawnych zajęć. Pomimo intensywnych przeszukiwań piwnic zburzonych domów nie znaleźliśmy tunelu pod jeziorem ani też wysnionych skarbów. Podobno parę lat później podczas odgruzowywania jakiegoś budynku znaleziono resztki tunelu? Sfrustrowani zajęliśmy się budownictwem.

Gdy byłem w siódmej klasie ktoś rzucił pomysł zbudowania czegoś własnego, takiego jak dom lub mieszkanie – podpatrzony przedmiot pożądania w świecie dorosłych. Znaleźliśmy odpowiednie miejsce. Było to betonowe obmurowanie pod balkonem od podwórka mojego domu. Tak się tym przejęliśmy, że nie było już innych zabaw, innych celów, tylko rozmowy, jak to zrobimy, co będzie w środku. Nie myśleliśmy, po co? Co my tam będziemy robili? Zabraliśmy się do roboty. Trzeba było zrobić drzwi, zamknięcie, podłogę, siedzenia, stół, półki, przydałaby się także kuchenka. Nieważne, że wewnątrz miało około 1,5m na 2,5m i 1,5m wysokości, marzenia mają to do siebie, że nawet betonowe klatki przybierają rozmiary pałaców.

Zrobiliśmy wszystko według planu! Po obrzydliwym oczyszczeniu odchodów z tej podręcznej ubikacji włóczęgów i pijaków dzień po dniu układaliśmy podłogę z cegieł. Sklecieliśmy stół i ławkę, przebiliśmy nawet około dwadzieścia centymetrów betonu na rurę naszego wymarzonego żelaznego piecyka. Drzwi były zamykane i otwierane bez klucza. Służyła do tego schowana między deskami główka szprychy rowerowej podnosząca zasuwkę. Gdy już wszystko było zrobione, to znaczy, drzwi otwierały się i zamykały, lampka z rozebranej latarki zapalała się przy suficie a w piecyku wesoło paliły się nazbierane gałęzie – poczułem wielki niepokój. Czuję, że nadchodzi coś nieuchronnego niweczącego nasze wielkie marzenie zbudowania własnego miejsca. Podważającego tygodnie zapału, pracy, wzajemnego porozumienia i współdziałania.

Po ostatnim, być może desperackim i już bez uprzedniego zapału zaproponowanym pomysłem, okleiliśmy gliną rurę piecyka, ponieważ wykuta przez nas dziura była za duża. Wtłoczyliśmy się wreszcie wszyscy do środka, usiedliśmy na naszej ławeczce..., położyliśmy ręce na stole..., i..., nastąpiła cisza. Nie było już żadnych rozmów, jak i co zrobimy, żadnego zapału, który tak nas łączył przez tygodnie budowania „naszego domu”. Znowu poczuliśmy się małymi drobinami tego wielkiego świata, jeszcze nie dorosłych, a już powtórnie samotnych w swoim jestestwie.

Nastąpiła pustka, wielka pustka, ale tak przejmująca, że trawiłem ją przez długi okres czasu. To nie znaczy, że zostaliśmy oniemiałymi z rękoma opartymi o nasz mizerny stół, albo, że psychicznie ja jeden tam zostałem. Wszyscy musieliśmy przeżyć ten moment podobnie, tylko czy wszyscy pamiętamy to? W pewnym sensie czuję do dzisiaj twardość i chropowatość tej deski na pieńkach, szumnie nazwanej ławeczką. Zrozumiałem, że człowiek jest w swojej świadomości samotny, niezmiernie samotny, dopóki wspólne myśli i działania nie zmiękczą tej skorupy samotności. Wydaje się też, że ważne marzenia lub cele powinny być trudne, bardzo trudne, raczej ogólnikowe. Tak wybrane, aby nie można było ich szybko osiągnąć. Przekonałem się, że zbyt łatwe i szybkie spełnienie marzenia, lub osiągnięcie ważnego celu, może wywołać „stres spełnienia”...

Z marzeniami zawsze są jakieś problemy. Marzenia najczęściej odnoszą się do odległych miejsc i niecodziennych sytuacji. Zazwyczaj istniejąca wokół nas rzeczywistość postrzegana jest jako nudna i nieciekawa. Kiedyś wyobraźnia zamieniała dzieci w Indian lub traperów, później np w Janka z filmu „Cztery pancerni i pies”. Teraz, niestety, dzieci często wzorują się na „bohaterach” pełnych przemocy i morderstw filmów – nie zawsze są to niewinne zabawy.

Aby neutralizować różne negatywne wzorce młodzi ludzie powinni mieć dużo zorganizowanych pozaszkolnych zajęć. W USA na pierwszym miejscu jest sport, gloryfikuje się najmniejsze osiągnięcia – jest to dobry pomysł. W porównaniu ze szkołami w USA my mieliśmy bardzo mało takich zajęć. Nie było też atmosfery skłaniającej nas do uczestnictwa w tych zajęciach. Tym niemniej udało się mi poznać podstawy szermierki. Skończyłem kurs radiotelegrafistów, „bipałem” niezłe alfabetem Morsa. Należałem do kółka modelarskiego, rzucałem oszczepem i dyskiem. Mieliśmy też okresowe „napady” tworzenia drużyn piłki nożnej a zimą drużyn hokeja – najlepsze kije wyszukiwaliśmy w pokreconych krzakach bzu. Po wymianie waluty jednogroszówki, piątki i dwudziestki, okazały się niezastąpione do gry w czasie przerw w cymbergaja.

Przy wszystkich tych zajęciach zostawało mało czasu na naukę. Gdy byłem w 9 klasie profesor Szymkiewicz, nasz długoletni wychowawca, zatrzymał mnie po którejś lekcji i powiedział: *Otwierają szkołę budowlaną, wygląda na to, że nie skończysz ogólniaka – po skończeniu dziewiątej klasy przenieś się do tej szkoły, będziesz miał dobry fach murarza albo stolarza.* Nie miałem nic przeciwko tym profesjom, ale nie mogłem wyobrazić sobie, że opuszczę moich kolegów z klasy – taka perspektywa wstrząsnęła mną do głębi. Zacząłem wreszcie odrabiać lekcje i pomału emigrować z ostatnich rzędów do środka klasy.

Nigdy nie zapomnę tej najważniejszej dla mnie lekcji geometrii. Siedziałem już w środkowych rzędach, tuż za jednym z prymusów – Kazikiem Mieczkowskim. Profesor Szymkiewicz przedstawił zadanie na tablicy, spytał, kto je rozwiąże. Żadna ręka nie podniosła się do góry... Kazik, jakby zrobił jakiś ruch ręką, ale nic, ręka nie doszła nawet do poziomu oczu. Profesor przynaglał, a ja czułem, że wiem jak je rozwiązać. Nie dowierzałem sobie, ale podniosłem rękę do czubka głowy..., i natychmiast opuściłem. Profesor zauważył i z niedowierzaniem zaproponował: *No... Sadowski..., chodź tutaj do tablicy, może razem rozwiążemy to zadanie.*



Moja dziewiąta klasa

Nastąpił moment pełnej koncentracji, spoglądając na zdziwione miny kolegów i profesora podszedłem do tablicy. Rozwiązałem zadanie sam, bez niczyjej pomocy. Zrozumiałem, że kluczem do nauczania się jest minimum uważania na zajęciach..., i..., ODRABIANIE LEKCJI.

Ta rzetelna i w dobrej intencji wypowiedziana rada profesora Szymkiewicza – o przejściu do innej szkoły – zdecydowała o mojej przyszłości, wręcz odmieniła mnie nie do poznania. Do zakończenia ogólniaka (wówczas 11 klasowego) nauczyciele nie zdążyli zauważyć tej odmiany, pomimo, że wreszcie zacząłem uczyć się tak, jak powinienem to robić od dawna. Miałem już wcześniej pewne sukcesy. Profesor Domańska uczyła nas chemii. Na pewnym etapie byłem tym uczniem, który jako jeden z nielicznych rozumiał, co wykladała, oraz sensownie odpowiadał na zadawane pytania. W czasie lekcji wręcz patrzyła na mnie, gdy ze zrozumieniem potakiwałem głową, kontynuowała lekcję.

Stało się tak dzięki pozalekcyjnym zajęciom w Kole Chemików, ale nie tylko... Po zakończeniu eksperymentów z niewypałami, pod wpływem „Młodego Technika”, zapragnąłem być pilotem lub budować samoloty i rakiety. Z zajęć w Kole Chemików wiedziałem już, co to jest fosfor i sól Bertholleta (chloran potasu). Biegając po korytarzach po zakończeniu jakichś późnych zajęć odkryliśmy, że zapomniano zamknąć drzwi do pracowni chemicznej. Zabraliśmy „wybuchowe” chemikalia oraz parę innych, do robienia dymu. Głównym celem nie były jednak wybuchy a rakiety. Jako małe rakiety wykorzystywane były gilzy KBKS skrzętnie zbierane po każdym strzelaniu w ramach przysposobienia wojskowego. Ładowane były siarką z zapalek lub czasami prochem z rozbieranym kulek. Kolega Koprowicz miał więcej prochu, ponieważ rozbierał naboje do dubeltówki ojca. Ale proch nie był dobrym „paliwem raketowym”. Gdy odpaliło mu w twarz dostał porządne lanie, zeszło też sporo czasu zanim znikły mu prochowe piegi.

Zacząłem samodzielne eksperymenty, nie chciałem jednak mieć piegowatej twarzy i dostać lanie. Opracowałem bezpieczną metodę mieszania soli Bertholleta z fosforem (nie wyjawię, lepiej jednak nie mieć naśladowców). Zabrałem się też do zrobienia super paliwa raketowego. Pomysł wzięłem z „Młodego Technika” – wspomnieli, że do produkcji stałego paliwa raketowego Amerykanie używają mieszaniny asfaltu i utleniacza. Zacząłem uczyć się chemii w szkole i w domu. Myśląc o doborze odpowiednich proporcji składników paliwa musiałem zrozumieć, co to są wartościowości i gramocząsteczki. Nauczyłem się korzystać z tablicy Mendelejewa a chemia stała się jedynym przedmiotem, w którym byłem naprawdę dobry. Pośród trójek nieodmiennie zapełniających moje świadectwa, właśnie z chemii pojawiły się dobre oceny. Pomimo dużych postępów nie udało się mi ustalić właściwych proporcji dostępnego lepiku i soli Bertholleta. Gdybym miał mieszać czyste pierwiastki, wówczas mając pod ręką mamy wagę aptekarską nie miałbym żadnych problemów. Ale nie miałem pojęcia, jakie pierwiastki i w jakich proporcjach znajdują się w lepiku? ... Zacząłem nawet kupować niechodliwe książki z chemii organicznej, ale niestety, nie mogłem z nich nic zrozumieć. Pozostała jedynie możliwość robienia próbek o różnych proporcjach składników i ich testowanie.

Poważnym problemem było wymieszanie lepiku z utleniaczem, był zbyt gęsty, trzeba było roztopić go przed wymiesaniem. Aby nie uzyskać napalmu zamiast paliwa raketowego i uniknąć losu Sławka Koprowicza, podgrzewałem lepik w kąpeli wodnej. Do prób różnych mieszanek służyły: płaska sprężyna z jednym końcem zamocowanym i próbną rakieta na drugim końcu, lub wagonik na rozciągniętym drucie (mama w moim pokoju często suszyła pranie). Próby odbywały się po ciemku, skręcenia sprężyny przy różnych mieszankach były rejestrowane aparatem fotograficznym z otwartą przesłoną. Szybkie wyniki (bez potrzeby wywoływania filmu) dawała próba z wagonikiem – o jakości paliwa świadczyła odległość przesunięcia wagonika. Po pewnym czasie dobrałem najlepsze proporcje. Domieszka magnezji (taka archaiczna lampa błyskowa) przyspieszała start nie zamieniając jednak paliwa w materiał wybuchowy.

Nocami odpaliłem parę rakietek z mojego „Cape Canaveral” na wysypisku śmieci, które było kiedyś w obecnie zasypanej kotlinie przy ul. Piłsudskiego. Gilzy karabinowe napełnione moim paliwem ze świstem wzbijały się w niebo. Elementy wyrzutni, zrobionej z poniemieckiego „Małego Konstruktor”, zawijane były podmuchem wylatujących gazów. Niestety, a może na szczęście, skończył się zapas soli Bertholleta – z powodu braku dostępu do strategicznych surowców upadły plany odstrzelenia pierwszego satelity.

To, co było w sklepach spożywczych nadawało się jedynie do robienia świec dymnych. W czasie dużej przerwy odpaliliśmy jedną z takich świec w szkolnej piwnicy. Efekt przerósł nasze oczekiwania (pocieszam się, że pierwsze rosyjskie próby jądrowe też przerosły ich oczekiwania) – zamiast lokalnego zadymienia gęsty dym doszedł aż do pierwszego piętra. Profesor Szymkiewicz musiał mieć dobrą siatkę wywiadowczą, wyłowił mnie bezbłędnie. Nie zaprzeczałem, rozbroiłem się oddając drugą nie odpaloną świecę. Musiałem też przekazać moje tajemnice technologiczne: co, ile, dlaczego, jaki zapłon. Po moich wyjaśnieniach całą klasą udaliśmy się na nasze małe boisko za salą gimnastyczną. Na polecenie profesora, w ponurym nastroju przed porządnym laniem, odpaliłem moją świecę dymną – zadziałała. Profesor podsumował: *Dobrze dobrałeś składniki, ale źle wybrałeś miejsce na próby. Tym razem nie wezwę twojej matki, ale, jeżeli jeszcze raz pojawi się jakiś dym w szkole, albo coś w tym rodzaju, będzie z tobą bardzo źle.*

Dlaczego mi darował?... Może na podstawie własnego życia przypuszczał, że dla naszego pokolenia też potrzebne będzie obycie z pirotechniką? Wiedzieliśmy o tym, że był aresztowany przez UB, że jest ciągle wzywany i znajduje się pod nadzorem. On ze swojej strony wykorzystywał każdą okazję, aby trafić do naszych serc i umysłów, aby przekazać swoje ideały służby ojczyźnie i obowiązku wobec niej. Wiedzieliśmy o czym on mówił, chłonęliśmy jego słowa. Stawaliśmy się kontynuacją jego pokolenia, wspaniałego pokolenia Polaków wychowanych przez II-gą Rzeczpospolitą. Wychowując nas w ten sposób wypełnił swoje posłannictwo nauczyciela i Polaka. Niestety, zmarł tuż przed naszą maturą, zabrakło nam jego błogosławieństwa, lub przynajmniej ostatniej lekcji wychowawczej przed rozpoczęciem naszego dorosłego życia. Trudno to ocenić, na ile my, jego uczniowie, postępowaaliśmy zgodnie z jego intencjami. Uważam, że w większości przypadków nie zawiódłby się na nas. Było wielu takich nauczycieli, którzy nas wszystkich – moje pokolenie – wychowywali, uważam, że udało się im to.

W połowie lat siedemdziesiątych spotkałem jednego z kolegów z ławy szkolnej. Wspominaliśmy nasze „zielone lata” i nauczycieli. Podał w wątpliwość moją oceną profesora Szymkiewicza – miał dostęp do akt UB w Białymstoku. Unikając wszelkich szczegółów powiedział, że nie był on takim, jakim odbieraliśmy go – oniemiałem. Po chwili refleksji doszedłem do wniosku, że jakiegokolwiek akta nie zmienią mojego zdania. Być może po aresztowaniu czymś go złamali, może zdradził jakąś tajemnicę z konspiracji, albo kogoś, lub dla uratowania życia podpisał wymuszone zeznania. Jeżeli tak było, to nie zmarnował tej uratowanej części swojego życia. Niezależnie od zawartości akt – prawdy czy kłamstw – podpisanych czy nie – zrobił wszystko, abyśmy byli dobrymi Polakami i ludźmi. Śledząc zmienne losy lustracji, dekomunizacji i „teczek”, zastanawiam się, jakie by były wyniki lustracji mojego wychowawcy...? Czy pozwolono by mu uczyć w szkole? W jego przypadku, gdybym nawet wyczytał w jego „teczce”, że poddał się w czasie przesłuchań, że podpisał akt lojalności – nawet, jeżeli zgodził się być konfidentem – współczułbym mu tylko, że nie wytrzymał cierpień. Jednocześnie nie przestałbym go szanować i doceniać jego wkładu w moje i moich kolegów wychowanie.

Nie unikał też trudnych tematów. Na jednej z lekcji wychowawczych, po przedstawieniu swoich poglądów na temat narodowości i ojczyzny, pytał każdego z nas indywidualnie: *Kim ty jesteś?*. Może niewłaściwym było postawienie takiego pytania w klasie, która na pewno nie była etnicznie jednorodna. Wszyscy, oprócz jednego ucznia, odpowiedzieli: *Jestem Polakiem (Polką)*. Jedynie Ginter „Omega” (Jezgarek) powiedział: *Ja jestem Niemcem*. Wspomnienia z czasów wojny były jeszcze bardzo świeże, nawet u dzieci. Zanim znalazłem się w szkole przeczytałem i nauczyłem się na pamięć „Wicka i Wacka” [Taki powojenny komiks dla dzieci, nawiązujący do okupacji i wyśmiewający Niemców.] Propaganda komunistyczna przedstawiała świat dwu wartościowo: dobrzy Rosjanie wyzwoliciele, źli Niemcy zbrodniarze, żadnych półcieni. Wydawać by się mogło, że tego typu pytanie i odpowiedź Gintera sprowokują jakieś incydenty, dyskryminację tego naszego kolegi. Nic podobnego nie wydarzyło się, tak jak był jednym z nas, tak i został. W dalszym ciągu wpadaliśmy, gdy nie było jego rodziców, do ich marnego mieszkania na poddaszu i graliśmy w tysiąca. Latem włóczyliśmy się razem z nim po opuszczonych ogrodach, których dużo było w okolicach Elku, objadaliśmy się papierówkami i innymi owocami. Przyszedł jednak czas, kiedy jego rodzina otrzymała zgodę na wyjazd do RFN. Byłem u niego w przededniu ich wyjazdu, nie żegnaliśmy się w jakiś spektakularny sposób, ale było mi smutno, widziałem, że jemu też było smutno. Ciekaw jestem, jak mu się życie ułożyło, może go kiedyś jeszcze spotkam?

Wiele lat później, gdy pracowałem w Warszawie, widziałem w telewizji film opisujący relacje pomiędzy polskimi i niemieckimi dziećmi tuż po wojnie. Fabuła wyglądała na prawdopodobną, ale była całkowicie sprzeczna z moim doświadczeniem. Mówiłem żonie, to nieprawda, tak nie było, przecież znam to z własnego doświadczenia. Chciałem nawet w jakiś sposób interweniować, zdawałem sobie jednak sprawę, że moje obserwacje i doświadczenie niczego nie zmieniają.

Demonizacja Niemców, dobór tematów propagandy ukazujący ciągle zagrożenie przez zachodnioniemiecki rewizjonizm, tworzenie mitu o agresywnym charakterze Paktu Północno Atlantyckiego, itp, miały na celu postawienie nas w sytuacji bez wyjścia – tylko na smyczy władzy ludowej, tylko z ZSRR. Dlatego też pamiętne „przebaczamy i prosimy o przebaczenie” doprowadziło władze komunistyczne do furii. Zganiano wiece protestacyjne, rozwieszano plakaty, „masy pracujące” pojawiały się w godzinach pracy pod kościołami blokując procesje i wznosząc antykościelne okrzyki. Trzeba przyznać, że wiele osób nie rozumiało doniosłości tego prostego „[Przebaczamy i prosimy o przebaczenie](#)”.

Teraz wiemy, że oprócz czysto chrześcijańskiego znaczenia, był to początek wyzwania się z matni sowieckiego szantażu geopolitycznego. Był to także początek nowego spojrzenia na Niemców jako na ludzi, otwarcie furtki do pojednania. To proste „przebaczamy i prosimy o przebaczenie”, razem ze zmianami, które następują, być może stworzy w naszej historii następny cykl przyjaznych stosunków z Niemcami? Były takie okresy dobrych stosunków, zaćmione przez rozbiory i II wojnę światową. To nie znaczy, że nie ma zagrożeń. Najgorszym jest odwieczny niemiecki trend parcia na wschód i podważanie wyników II wojny światowej.

Po ogromie cierpień zadanych przez Niemcy hitlerowskie patrzyenie na Niemców jako na ludzi było bardzo trudne. Już sam dźwięk języka niemieckiego wyzwał intensywnie uczucie wrogości. Nawet język polski skażony naleciałościami niemieckimi tworzył barierę niechęci. W myśl doktryny „dziel i rządź” wykorzystywały to narzucone nam władze. Wielu przedwojennych mieszkańców Ełku mieszkało byle jak, tak jak mój przyjaciel Ginter i jego rodzina, albo jak Gromadzki, tzw. autochton, mieszkający w piwnicy budynku gdzie ja mieszkałem. Władza ludowa nie faworyzowała nikogo oprócz swoich janczarów, a autochtonów lub pozostałych jeszcze Niemców spychano na najgorsze pozycje.

My repatrianci nie rozczulaliśmy się nad ich losem, tak jak nie rozczulaliśmy się nad naszym własnym losem. Po prostu musieliśmy żyć w świecie, który nie był naszym dziełem, którego nie mogliśmy zmienić. Przy okazji zrobiono wiele krzywd dla dawnych mieszkańców ziem odzyskanych. Niestety, w wielu z nich zabito ich kiedyś bardzo intymne poczucie polskości, poczucie, które jest niezależne od miejsca pobytu, urzędowego zaszeregowania, nawet od znajomości naszego języka.

Nasza repatriacyjna pierwotnie oczekiwana tymczasowość pobytu na tych ziemiach, a także system komunistyczny, nie sprzyjały właściwemu zagospodarowaniu i dbałości o przejęte mienie i tereny. Z jakim smutkiem Gromadzki oraz inni dawni mieszkańcy musieli patrzeć na dewastacje, zaniedbania, często bezsensowność poczynań socjalistycznej „gospodarki”. Repatriowani też to widzieli, pamiętali przecież swoje małe domki w malwach, zadbane, które zostały gdzieś tam za nową granicą, lub istniały już tylko w pamięci, ponieważ byli świadkami ich zniszczenia. Repatriowani też pamiętali, że tam gdzie ich już nie ma była rozsądna cywilizacja, zadbane miasta, szkoły i teatry, kiedyś zwyczajna codzienność – później raj utracony. To właśnie pamięć przeszłości i powszechny ból były wykładnikiem tych czasów, ale w Polakach, szczególnie repatriowanych z Kresów Wschodnich, ciągle tkwiło niepokonane: *Przeżyliśmy najazd szwedzki, przeżyjemy i sowiecki.*

Będąc w jednym worku powojennej rzeczywistości: repatriowani, autochtoni i pozostali Niemcy, na pewno mieli różne nostalgiczne wspomnienia z przeszłości. Jedyłą różnicą w tej nostalgii wspomnień było to, że „repatriowani” w najmniejszym stopniu nie poczuli się do jakiegokolwiek winy za rozpękanie całej tej zbrodniczej zawieruchy komunizmu i faszyzmu. Teraz, po latach, kto ma kogo przeproszać?... Sztuczne gesty, puste słowa. Myśląc o tamtych czasach pochyłmy raczej nasze głowy w żalu i zadumie nad losem naszych przedwojennych zniszczonych cywilizacji, wyzbądźmy się nienawiści, przebacmy sobie w głębi naszych serc – tak jak dawno temu w naszym imieniu zrobił to Kościół, wbrew ówczesnym władzom.

Także nasi Bojkowie, Łemkowie lub Ukraińcy – jak kto woli – powinni ujrzeć, że w tym samym czasie, gdy prowadzono akcję [Wisła](#), pacyfikowano też rdzennie polskie wioski i miasta. Nie było to uciążliwe publiczne biczowanie nieprawomyślnych wieśniaków – tak jak podobno bywało przed wojną na Zachodniej Ukrainie – po prostu mordowano prawdziwych i domniemyanych przeciwników PRL. Ta sama władza wysiedlająca ich, mordowała polskich patriotów, wielu „przesiedliła” do sowieckich łagrów. Tak jak ginęli młodzi Ukraińcy, tak też ginęli młodzi Polacy, świeć Panie nad ich duszami.

Można przeproszać, kajać się, nawet za niezawinione grzechy, za cykl zbrodni zainicjowanych poza naszą kontrolą, polemizować, kto miał rację lub prawo... Problem polegał na tym, że nie było żadnego cywilizowanego prawa, było komunistyczne bezprawie. Obcy nam ludzie – naród wybrany czerwonego cielca – przeciwstawiał nas sobie, mamił, kłamał i mordował. W swoim okrucieństwie wyzwał też wzajemne okrucieństwo ofiar – takie krwawe „dziel i rządź”. Musimy w końcu uwolnić się od zła, które nas prześladowało. Panowie Łemkowie, Ukraińcy, Rosjanie, Niemcy, i inni, przestańmy przeproszać się, zacznijmy normalnie żyć bez obciążenia wzajemnych relacji balastem historii! Niech te czasy zostaną w mogiłach...

Tylko na Zaduszki zapalmy wspólnie świece...

STEREOTYPY

Chyba łatwo zauważyć, że języki bardziej odległych narodów brzmią przyjemniej, lub słucha się ich bez emocji. Jest w tym coś takiego jak to, że bliscy sąsiedzi nigdy nie są obojętni (film [Sami Swoi](#)). Dalecy sąsiedzi postrzegani są jako fajni, albo w ogóle nie mamy o nich wyrobionych opinii. W tych sprawach, oprócz osobistego doświadczenia, dużą rolę odgrywa coś, co można nazwać stereotypami. Coś, co jest głęboko schowane we wnętrzu człowieka, być może w podświadomości. Coś, co narasta od pierwszych dni życia, jest uwarunkowane otoczeniem, wychowaniem, wykształceniem. Jest to wizja świata i ludzi oparta najczęściej na obiegowych opiniach o innych narodach, szczególnie o sąsiednich. Pomijając narody i grupy etniczne, są to często obiegowe opinie o mieszkańcach sąsiednich miejscowości, dzielnic, lub też o różnych zawodach, itp. Niewątpliwie, każdy człowiek ma jakieś stereotypy dotyczące innych ludzi lub grup ludzkich. W wielu przypadkach stereotypy powstają samorzutnie, w innych przypadkach tworzone są przez maszyny propagandowe dla realizacji jakichś celów politycznych.

Będąc w USA w czasie rozkwitu Solidarności byłem świadkiem kampanii propagandowej mającej na celu przedstawienie Polaków jako nierobów strajkujących z wrodzonego lenistwa. Dołączono do tego powstanie [Zjednoczenia Patriotycznego „Grunwald”](#), zintensyfikowały się publikacje na temat polskiego antysemityzmu i szowinizmu. Potwierdziła to przed kamerami jakaś młoda Ukrainka, która na pewno ani Polski ani Ukrainy nigdy w życiu nie widziała, a może nawet nie była w ogóle Ukrainką. Oczywiście, przedstawianie Polaków jako urodzonych leni nie miało żadnych szans, ponieważ Polacy w USA „zasuwają jak małe samochodziki”. Jednak publiczne oskarżanie o antysemityzm ma w USA pewną wagę, pomimo, że po eskalacji do granicy hysterii, jest praktyką analogiczną do piętnowania Żydów gwiazdami Dawida – tylko w odwrotną stronę.

Jeżeli przed kamerami ustawiono prawdziwą Ukrainkę, to zapomniała biedulka, że antysarmatyzm, jako rewanż za domniemany antysemityzm, piętnuje Ukraińców w nie mniejszym stopniu niż Polaków. [Antysarmatyzm można określić jako rasowe uprzedzenie, nienawiść i oczernianie narodów wchodzących ongiś w skład I-szej Rzeczypospolitej (głównie Białoruś, Litwa, Polska i Ukraina).] Jednak, pomimo oficjalnego potępienia antysemityzmu, temat jest tak oklepany, że przeciętny Amerykanin dostaje torsji – chyba, że trafi na kuriozum, jakie pojawiło się w rocznicowych wspomnieniach jednej z „holocaust survivor”. [Survivor – osoba, która przeżyła. Publikacja była zamieszczona w „The Star Ledger”, największej gazecie w stanie New Jersey, nakład ok. 500.000 egzemplarzy.] Opisywała ona, że w czasie transportu do obozu zagłady niemieccy żołnierze ukradkiem dawali jej chleb..., ale tylko wtedy..., gdy Polacy tego nie widzieli. [Po II wojnie światowej „koń by się uśmieł”, ale „Jedwabne kłamstwa“ i żydowska totalna wojna przeciwko Polsce i Polakom może zmienić historię?]

Ciekawym, wręcz niezamierzonym efektem tego typu publikacji jest niezasłużone demonizowanie Polaków. Prowadząc firmę elektryczną miałem dużo kontaktów z różnymi ludźmi. Ze względu na mój akcent dzwoniący klienci najczęściej myśleli, że jestem Żydem. [Amerykanie nie zdają sobie sprawy, że to właśnie Żydzi mają polski akcent]. Gdy podczas osobistych spotkań dowiadawali się, że jestem Polakiem, czasami nawiązywali do eksterminacji Żydów. W przypadku takich rozmów, klienci, oprócz Polaków i Żydów, najczęściej deklarowali: *Polacy to dobrzy ludzie, tylko..., dlaczego żeście tych wszystkich sukinsynów nie zagazowali!* Na początku broniłem się jak mogłem, ale w końcu dałem sobie spokój – lepiej mieć klienta i zamówienie niż udowadniać swoje nawet słuszne racje.

Ponadto niechęć, wręcz nienawiść do Żydów, jest w USA tak powszechna, że oprócz oficjalnych potępień insynuowany polski antysemityzm w niczym nie przeszkadzał, wręcz dodawał pewnego specyficznego splendoru. Taki zsynchronizowany sowiecki koncert propagandowy, o wrodzonym lenistwie Polaków, o szowinizmie i antysemityzmie, szyty był bardzo grubymi nićmi, miał na celu zniszczenie powszechnej w USA sympatii do Solidarności i zachodzących zmian.

Trzeba przyznać, że Sowieci byli mistrzami w propagandzie i tworzeniu stereotypów, również na użytek własnego społeczeństwa. Jeszcze będąc studentem w Leningradzie zauważyłem w myśleniu Rosjan pewien stereotyp – skrzętnie ukrywany. Wewnętrznie Rosjanie byli przekonani, że wszyscy ich nienawidzą. Niewątpliwie istnieją historyczne i logiczne przesłanki mogące wyjaśnić samorzutne powstanie takiego odczucia – głównie kolonialna polityka carskiej Rosji i ZSRR. Jednak niezależnie od źródeł stereotyp ten był dyskretnie pielęgnowany przez zarządców ZSRR. Poza oficjalnie głoszoną przyjaźnią w „rodzinie bratnich republik i narodów”, poprzez ten stereotyp o powszechnej nienawiści izolowano i mobilizowano Rosjan.

Zabawną ilustracją tego stereotypu była rosyjska anegdotka, o jednym takim, który nie zawiódł zaufania partii i powrócił ze służbowej wyprawy do Hiszpanii. Po powrocie opowiadał przyjaciółom o wszystkim oprócz corridy: „Byłem, widziałem” i nic więcej. Po paru miesiącach przelamał się: *Stadion, jak na Łużnikach, pełno ludzi. Wyskoczyło paru facetów, „duraki” chcieli chyba byka wydoić, a publika siedziała jak na pokazie sprawności dojarzek rekordzistek... Owszem, gdy trzeba było to i brawa bili – wytarł pot z czoła – Ale, gdy wbiegł jeden z naszych z czerwoną flagą, publika w ryk, byk na niego – co się tam działo to trudno opisać... Szybko uciekłem, bo gdyby zorientowali się skąd jestem, to bym żywy nie uszedł.*

Rzeczywistość była mniej zabawna, Rosjanie w duszy uwierzyli, że naprawdę wszyscy ich nienawidzą. Chodziło o konsolidację i utrwalenie władzy poprzez stworzenie odczucia totalnego wyobcowania. Na dodatek, przy ciągłych propagandowych „sukcesach” gospodarki radzieckiej, przekoczonych planach i przodujących dojarzach, trzeba było wytłumaczyć, dlaczego ani mlekiem, ani miodem ten kraj nie płynął. Dlatego też, oprócz izolowania, dodatkowym celem tego nurtu propagandy było wyrobienie u Rosjan przekonania, że tylko wspaniałomyślne utrzymywanie pasożytów z innych republik, a szczególnie z krajów „Demokracji Ludowej”, odejmuje im chleb od ust.

Nawet w prywatnych rozmowach Rosjanie odrzucali tłumaczenia i wyjaśnienia, ile to dóbr płynęło z „demoludów” do ZSRR. Był to tak powszechny stereotyp, że chyba do dzisiaj Rosjanie nie mogą dojrzeć prawdy. Nie wiadomo też czy zauważyli, gdy po serii wydarzeń zapoczątkowanych „kanciastym” Okrągłym Stołem, nawet w Moskwie zabrakło żywności. Jednocześnie – jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki – pojawiła się ona w Polsce i w innych jakoby dokarmianych krajach. Nawet Zachód był w takim stopniu otumaniony, że ciągle słał pomoc żywnościową do Polski, aż protesty naszych rolników spowodowały zahamowanie tej pomocy. [A może było to świadome niszczenia naszego rolnictwa?]

A domniemana nienawiść Polaków do Rosjan?... Po pierwszym dniu pobytu w Warszawie znajoma znajomych z Leningradu stwierdziła: *Polacy nienawidzą Rosjan, samotnie już nigdy nie wyjdę na ulicę.* Nie wiem co, oprócz nabytych stereotypów, mogło ją tak zaszokować? Przecież jak w starej anegdotce o wizycie Chruszczowa u Gomułki, „Obóz był ten sam, tylko barak weselszy”. Aby jej pomóc zwoleń się na jeden dzień z pracy i postanowiłem przeistoczyć się w Rosjanina – ruszyliśmy „na Warszawę”. Zapowiedziałem, że nie odezwę się ani jednym polskim słowem.

Rosjanin wyczułby w moim j. rosyjskim obcy akcent, Polak raczej nie. Zacząłem od kupienia biletów MK: *A mnie biletiki nada, wot dobratsia w centier Warszawy, skolko proezd stoit?* Coś jeszcze szybko mówiłem po rosyjsku, byłem na luzie i uśmiechałem się. Starszy człowiek obsługujący kiosk Ruchu nie bardzo mnie rozumiał, dwoił się i troił, aby nas dobrze obsłużyć, wytłumaczyć jak dojechać do centrum Warszawy. A ona (nie pamiętam jej imienia, niech będzie Nina) stała i obserwowała.

Zmuszając ją do głośnej rozmowy w języku rosyjskim dojechaliśmy do centrum Warszawy. Po drodze nikt nam ani złego słowa ani nieprzyjaznego gestu nie okazał. Wprowadziłem ją do firmowego sklepu z parasolkami na byłym placu Dzierżyńskiego. Kolejka około osiem osób, ja bez kolejki podszedłem do kontuaru i z uśmiechem poprosiłem: *Diewuszka, wot dla mojej padrugi zontik nada* (parasolkę). Nina mnie napominała: *Smatri oczeriedź, podażdiom*, a ja nic – *Pożalujsta zontik nada. Z kolejki doleciało: Ale się kacap wpycha.*

Udając, że co nieco zrozumiałem uśmiechnąłem się do ludzi i powtórzyłem: *Wot dla mojej padrugi zontik nada*. Nina uciekła do drzwi, cała czerwona, gotowa w każdej chwili wyskoczyć na ulicę. Ludzie w kolejce zaprzestali komentarzy, a panie za kontuarem zajęły się moją sprawą. Ruski to Ruski, ale sympatyczny, uśmiecha się, chce coś kupić dla swojej „padrugi” – podano mi parasolkę, nawet pasowała do ubrania Niny. Nina, ciągle z ręką na klamce, natychmiast zaakceptowała – *bieru*. Uśmiechając się do wszystkich, powiedziałem *Ona stiesniajetsia*, poprosiłem, aby położono na ladzie parę innych wzorów. Nie było żadnych nieprzychylnych gestów lub komentarzy – oderwałem Ninę od drzwi wejściowych.

Kupiliśmy parasolkę. Nawet nie wiem czy naprawdę wybrała taką, jak planowała. Po wyjściu ze sklepu powiedziała: *Ty polskij nachał*, na co odpowiedziałem: *Niet, nikto nie znał, czto ja Poljak*. Dla ochłonięcia zaproponowałem jakąś herbatkę, później na luzie inne sklepy, trochę wiadomości o Warszawie i bazar Różyckiego. Pod koniec dnia podsumowałem: *Bądź na luzie, nie krępuj się, uśmiechaj się. Jeżeli jesteś cała spięta wówczas ludzie to odczują. Szczególnie wyczują, jeżeli oczekujesz nienawiści i złośliwości, a przecież nie znasz języka, nie wytłumaczysz, że jest inaczej. Tylko wyraz twojej twarzy, najbardziej uśmiech, pomoże tobie i tym innym, z którymi masz do czynienia*. Po tym dniu nie musiałem już jej eskortować, poruszała się swobodnie, na pewno zmieniła zdanie na temat domniemanej nienawiści Polaków do Rosjan.

Nina i inne pojedyncze osoby nie mogły przełamać powszechnego pośród Rosjan stereotypu o rzekomej nienawiści, jaką czują do nich Polacy. Zawijasy ostatniej historii na pewno mocno nadważyły ten stereotyp. Po Okrągłym Stole miliony Rosjan i innych naszych wschodnich sąsiadów przyjeżdżało do Polski szukając sposobów ulżenia swojej biedzie. Nie spotkali się z nienawiścią i szykanami, handlowali lub pracowali, uczyli się Polski, którą teraz na pewno inaczej widzą. Pomimo tego są w Rosji politycy, którym to nie pasuje, bo może kombinują, jak znowu ubrać Iwanów w mundury i wysłać czołgami na wycieczkę do Janów?

Ja też miałem swój „dzień prawdy”. W 1972 roku znalazłem się po raz pierwszy w strefie języka niemieckiego. Pod wieczór zakwaterowaliśmy się w hoteliku położonym daleko od centrum Berlina. Żona z trzyletnim synem odpoczywała a ja zdecydowałem się na spacer, aby odczuć coś, co można nazwać „duchem miasta”. Peryferyjne słabo oświetlone ulice i szare domy. Mury kamienic niby takie zwykłe – socjalistyczne – od dawna nie remontowane i malowane, ale w odczuciu i słabym świetle ciągle pełne cieni przeszłości. Wyobrażenia, stare zdjęcia i filmy, zaludniały te miejsca tłumami Niemców z pochodniami i wyciągniętymi rękoma, prawie że słyszałem okrzyki „Heil Hitler”. Mimowolnie i właściwie bez przyczyny tego typu wyobrażenia przewijały się przez mój umysł.

Będąc w świecie swojej wyobraźni – a w rzeczywistości późnym i nietypowym gościem w tych stronach – trafiłem na jaśniejsze oświetlone wejście do piwiarni. Była to długa sala z zestawionymi na jej końcu stolikami. Jakieś rozbawione towarzystwo, już na pewno po wielu piwach, śpiewało swoje niemieckie piosenki. Ten śpiew zamroził mnie, odczucie było jedno, hitlerowcy śpiewają swoje marszówki. Odczucie było tak silne, że na nic nie zdały się lata propagandy o naszych przyjaciółach – miłującej pokój klasie robotniczej NRD.

Oprócz rozbawionego towarzystwa nie było innych gości. Usiadłem w środku sali. Podeszła kelnerka i o coś mnie zapytała. Jasnym było, że gdy kelnerka o coś pyta, niewątpliwie chodzi o zamówienie. Pamiętając Ninę i jej stereotyp o nienawiści uśmiechnąłem się do kelnerki i zacząłem wygrzebywać z pamięci parę słów, które wydawało mi się, że znam: *Mich nicht verstehen Germane, eins Seidel Bier*. Pomimo ciągle trudnego do przeżycia napięcia wywołanego głośnymi śpiewami w języku niemieckim mój uśmiech i fizjonomia musiały wyglądać normalnie. Kelnerka też odpowiedziała uśmiechem, o coś jeszcze pytała, chodziło niewątpliwie o szczegóły zamówienia. Zrozumiałem też, że pytała mnie skąd jestem. Jakoś wytłumaczyłem, z lekka po angielsku, *Warsaw Poland*. Zrozumiała, wydało mi się, że stała się jeszcze bardziej miła...

Zanim wyszedłem z tej piwiarni wiele myśli przemknęło mi przez głowę. Przecież nie przedstawiłem się temu rozbawionemu towarzystwu w końcu sali, że jestem Polakiem. To co śpiewają i jak śpiewają należy do ich języka i obyczajów?

A nawet, gdyby w swoim towarzystwie śpiewali *Deutschland, Deutschland über Alles*, to też nie przeciwko mnie – zabląkanemu w te strony. Gdyby jednak śpiewali? Czy rozumieliby, że te słowa „ponad wszystko” w pierwszej kolejności odnoszą się do ilości grobów ich pobratymców rozrzuconych po całym świecie? Ja rozumiałem ten brak związku pomiędzy ich śpiewami i moją osobą, pomiędzy przeszłością a moją obecnością w piwiarni. Pomimo tego trudno mi było słuchać tych niemieckich marszowych śpiewów. Może jeszcze przez jakiś czas wiele osób będzie miało podobne odczucia?

Gdy wyjeżdżaliśmy na tą wycieczkę do NRD-owskiego Berlina stali bywalcy uprzedzali nas o złym traktowaniu Polaków, o arogancji, o chowaniu towarów i odczuwalnej wręcz nienawiści. Uzbrojeni w receptę uśmiechu i bycia na luzie nie spotkaliśmy się z żadnym, dosłownie żadnym nieprzyjaznym gestem. Byliśmy rzeczywiście na luzie, otrzymywałem już pieniądze za opatentowane wynalazki, nie było potrzeby, aby handlować na tzw. zwrot kosztów podróży. Następnego dnia po przyjeździe zwiedzaliśmy wszystkie ładniejsze miejsca Wschodniego Berlina, nie pominęliśmy oczywiście Unter den Linden. Podeszliśmy też do Bramy Brandenburskiej i w paru miejscach oglądaliśmy niesławny mur, oddzielający nasz „obóz” od tych jakoby najgorszych Niemców. Trzeba było coś jeść i kupić jakieś drobiazgi – nie było żadnych problemów.

W sklepie monopolowym wybierałem modne wówczas małe buteleczki z różnymi alkoholami. Lesiu, nasz trzylatek, wyciągnął rękę w kierunku ozdób z imitacją liści i owoców: *Ja to chcę...* Na nic nie zdało się tłumaczenie, że jest to dekoracja. Po pospiesznym zapłaceniu, skrepowany, ciągnąłem go do drzwi – może coś podobnego odczuwała Nina w sklepie z parasolkami? Niemka za ladą wymachiwała rękoma, coś mówiła. Może to było takie twarde, mrozące jak w czasie wojny „halt” – albo coś podobnego do angielskiego „one moment please”. W międzyczasie jej koleżanka przyniosła z zaplecza identyczną gałązkę i wręczyła naszemu upartemu maluchowi. Oczywiście, nie chciały żadnej zapłaty. Nosił ją dumnie przez resztę dnia, a po powrocie do Warszawy przez długie lata ozdabiała naszą kuchnię. Całe to wydarzenie było właściwie syntezą naszych wrażeń z pobytu w Berlinie. Wspominaliśmy o nim przy wielu okazjach, niedowiarkom pokazywaliśmy tą kolorową gałązkę. Gdyby te ekspedientki wiedziały, ile dobrego zrobiła ta mała gałązka?

Byliśmy też w domu towarowym, w Polsce trudno było znaleźć małe i ładne buciki dla syna. Było wielu rodaków, brali buty jak leci, bez mierzenia. Nie zauważyłem jednak, aby ekspedientki, niewątpliwie zmęczone tempem sprzedaży, lokowały się poniżej standardów socjalistycznej uprzejmości obowiązujących od muru berlińskiego do Kamczatki. Nie zauważyłem też chowania towaru pod ladę. Jasnym jest, że w całym obozie, mniej lub bardziej dyskretnie, chowano chodliwe towary pod ladę. W tym wschodniemieckim socjalistycznym baraku nie mogło być inaczej. Na pewno nie mieli żadnych powodów, aby Polaków traktować wyjątkowo uprzejmie, chyba jedynie w przypadku łapówki „za fatygę”. Docisnęliśmy się do lady, poprosiliśmy o buciki pokazując syna, ekspedientka zaproponowała parę wzorów. Wybraliśmy tylko dwie pary, zdziwiona ekspedientka spytała, czy coś jeszcze potrzebujemy (znała już parę słów w języku polskim). Byliśmy jednak nietypowymi „turystami” – nie kupiliśmy nic więcej.

Byliśmy nietypowi, ponieważ większość naszych „turystów” znana była w całym obozie, i nie tylko. Uzupełniali systemowe braki zaopatrzenia, własne i innych. Wiedzieli, co gdzie sprzedać i co kupić. Pokonywali granice i zasady fałszywej moralności komunistycznej, u nas nie istniało pojęcie „grzechu handlu” i prywatnej przedsiębiorczości. Inni oburzali się, czasami złościли się, jeżeli sami nie mieli czegoś pod dostatkiem, a jednak handlowali z Polakami. Po upadku scentralizowanej gospodarki i handlu Niemcy oraz wszyscy inni handlujący z Polakami hipokryci nie powinni dziwić się, że przedłużenie tej energii przedsiębiorczości dawało całkiem dobre wolnorynkowe rezultaty – dopóki Unia Europejska nie zaczęła wymuszać na nas wprowadzenie wysokich podatków, często idiotycznych wymagań, itp.

Już przed samym odjazdem młoda Niemka wybiegła za żoną z dworcowej ubikacji. Podstawiano właśnie pociąg do Warszawy. Zabrała od babci klozetowej nie oddaną resztę. Najwyraźniej przepraszała nas za ten „niecny” uczynek babci klozetowej, też w tym tak trudnym do słuchania języku niemieckim...

Parę lat później byłem służbowo w Würzburgu. Ci zachodni, w propagandowych opisach „gorsi” Niemcy, byli nadzwyczaj mili i uprzejmi – szczególnie, gdy dowiadawali się, że jesteśmy Polakami. Tam, w tym uroczym zadbanym mieście, bardzo łatwo było być na luzie i uśmiechać się. Różnica pomiędzy naszym socjalistycznym obozem, najczęściej zapuszczonym i smutnym, była widoczna jak na dłoni. Pomimo tego wracając z tego wyjazdu do Würzburga znalazłem potwierdzenie mojej nigdy nie zachwianej opinii, że jednak Polska to jest Polska, wyjątkowy kraj i ludzie. Przekonałem się, że nasz „barak obozowy” był nie tylko weselszy, ale wolny w niewoli, że nawet nasi pseudo komuniści i urzędnicy często z przymrużeniem oka traktowali ideologiczne nakazy i zakazy... Wyobraźmy sobie, co zrobiłby jakiś celnik NRD lub ZSRR, gdyby znalazł niedozwoaloną literaturę? Przynajmniej skonfiskowałby ją.

Pod koniec pobytu w Würzburgu odłączyłem się od grupy, aby spotkać się ze znajomymi z Leningradu, którzy wyemigrowali do RFN (ona była z rodziny Niemców nadwołżańskich). Pojechałem pociągiem do Monachium – jaskini krótkofalowej „antysocjalistycznej hieny”. Nie miałem żadnych „niecnych” zamiarów ani też chęci i czasu na jakieś nieprawomyślne kontakty. Ktoś mnie jednak „zastukał” (doniósł w rosyjskim żargonie), z otoczenia monachijskich emigrantów z ZSRR lub jakiś tajny opiekun naszej grupy. Celnik na Okęciu zaczął drobiazgowo przeglądać wszystkie drukowane materiały. Miałem ze sobą dokumentację techniczną otrzymaną na wyjeździe. Oprócz tego skusiłem się wziąć od znajomych kieszonkowe wydanie „Archipelagu Gułag” Sołżenicyna i książeczkę o Dzierżyńskim – obydwie pozycje w języku Rosyjskim. Celnik jakby wiedział czego szuka, powiedział: *Odłożymy to na bok*. Musnął okiem plik dokumentacji technicznej i pro forma spytał, co to jest? Spokojnie odpowiedziałem: *Dokumentacja techniczna*, wskazując ręką na odłożone książki, dodałem: *To też jest dokumentacja techniczna*.

Musiał mieć poczucie humoru, a może sam już czytał „Archipelag Gułag” i wiedział, że jest to swego rodzaju „dokumentacja” sowieckich zbrodni. Dyskretnie przeleciał oczyma otoczenie – nikt nie przyglądał się nam, nasza spokojna rozmowa nie wzbudziła zainteresowania przy sąsiednich kontuarach. Podał mi odłożone książki, jego ręka lekko drżała, popatrzył mi w oczy i powiedział: *Tak..., proszę to spakować, dziękuję, może pan odejść*. Odetchnąłem z ulgą, wyszedłem przed dworzec lotniczy. Pogoda była marna, było szaro i siąpiło, ale byłem w Polsce, mojej i naszej Polsce, jakże innej od tak samo szarych sąsiadów! Ta inność była w ludziach, zwykłych ludziach, a też i w tych, którzy postawieni byli, aby tą inność zlikwidować. Przy ocenie naszego przymusowego zamknięcia w baraku o nazwie PRL powinniśmy o tym pamiętać.

Amerykanie – w większości bardzo fajni ludzie – też mają pełno obiegowych stereotypów umiłających ich monotonne i w sumie szare życie. [Szare – pomimo że większość Amerykanów można zaliczyć do gatunku „nosozębców” – czyli osobników z przyklepionym uśmiechem redukującym do zera przestrzeń pomiędzy dziurkami w nosie a długimi zębami eksponowanymi na szerokość „Big-Maca”.] Niektóre z nich można streścić w następujący sposób: Włosi – gangsterzy; Irlandczycy – pijacy; Żydzi – krwio pijcy; Arabowie – terroryści; „Spaniole” – kryminogenni awanturnicy; Murzyni – przestępcy. [„Spaniole“ – od słowa „Spanish” – odnosi się do imigrantów z Ameryki Łacińskiej.] Streszczając jak powyżej stereotyp Polaka można zamknąć w dwóch słowach: głupi i antysemita. Już na pierwszy rzut oka widać wewnętrzną sprzeczność tych dwóch określeń. Historia nie zna przykładów łączących te cechy. Podobno Ford i Edison byli antysemitami – jednocześnie geniuszami. [[Edison, Ford, Berg Collection](#)]. Hitler był antysemitą i zbrodniarzem, ale nikt nie może zaryzykować stwierdzenia, że był głupi, itp., itp.

Wielu naszych polonijnych publicystów doszukuje się genezy stereotypu „głupoty” we wczesnej emigracji biednego i niewykształconego chłopstwa z Galicji i innych ziem rozetrwanej Rzeczypospolitej. To tak, jakby chłopci z Niemiec mieli jakieś lepsze wykształcenie, pomijając jeszcze gorzej wyedukowanych imigrantów z reszty najbiedniejszych krajów świata. Część z naszych publicystów dopatruje się źródeł tego stereotypu w barierze językowej twierdząc, zresztą słusznie, że niemieckojęzyczni przybysze mogli wcześniej zaistnieć w sferze języka angielskiego. Kłam temu twierdzeniu zadaje fakt, że Irlandczycy na długo przed Polakami byli nazywani „głupcami”, a żadnej bariery językowej nie było.

Temat amerykańskich stereotypów o różnych nacjach jest sam w sobie bardzo ciekawy, wystarczy jednak zauważyć, że stereotyp „głupi Irlandczyk“ zaczął rozmywać się dopiero wtedy, gdy Anglia utraciła nadzieję na zwycięstwo w walce o utrzymanie Irlandii. Czyżby egzystowanie tego stereotypu miało quasi-polityczne podłoże? Niewątpliwie coś w tym jest. Każda nacja sprawiedliwie obdarzyła Amerykę ludźmi wykształconymi i prostakami, a stereotyp „głupi” dziwnym zrzędzeniem dokuczał Irlandczykom i Polakom. Czyli przedstawicielom narodów stojących „ością w gardle” takim potęgom jak Anglia i Rosja (później ZSRR). Skądinąd, przy amerykańskiej bezwzględnej pogoni za dobrami materialnymi, łatwo było przedstawiać Irlandczyków i Polaków jako głupich, walczących z potęgami nie do pokonania (zamiast „garnąć pod siebie” tyle doczesnych dóbr, ile się da).

W okresie istnienia ZSRR zachodnie „salony” były bezkrytycznie zakochane w komunizmie i z premedytacją dyskredytowały jego wszystkich przeciwników. Narodom tworzącym kiedyś I-szą Rzeczpospolitą (Sarmatom) dostawało się najwięcej, a Polacy byli celem najwytrwalszych ataków. Po powstaniu Solidarności zgraja wysoko utytułowanych telewizyjnych „ekspertów” udowodniała, że ich uwielbiany Związek Radziecki musi zniszczyć ten bezmyślny wyskok „głupich” Polaków.

Wydaje się jednak, że tworzenie quasi-politycznego stereotypu „głupich” Polaków zaczęło się już od Engelsa. Pomimo deklarowanej wiary w materializm dialektyczny musiał chyłkiem zaglądać w przyszłość poprzez kabałę. Przewidział bezbłędnie, że jedynie „głupi” Polacy nie ulegną czarnej magii komunizmu – i tak się stało. Pierwszy Cud nad Wisłą zatrzymał pochód „światowej rewolucji” na zachód. Drugi Cud nad Wisłą zaistniał w 1980 roku i zadał śmiertelny cios komunizmowi. Jakie jeszcze sekretne kabały na temat Sarmatów spędzają sen z oczu obecnym kabalistom i napędzają mechanizmy atawistycznej nienawiści? [Istotnie, robienie z nas morderców i winowajców za zbrodnie II Wojny Światowej zawiera element irracjonalnej nienawiści. Niewątpliwie chodzi też o miliardowy „holokaustowy” szwindel i strach przed wyrokami kabały.]

Patrząc z praktycznego punktu widzenia amerykański stereotyp „głupich Polaków” jest na długą metę bardziej korzystny niż szkodliwy. Nikt tu Polakom nie patrzy na ręce, nie wywołuje on odruchu nienawiści tak powszechnego w stosunku do „mądrych”. Pomijając nieliczną w końcu grupę „wakacjuszy” Polacy lokują się w czołówce amerykańskiej średniej klasy, zarówno pod względem dochodów, jak i w ilości kształcącej się młodzieży.

Nawoływania niektórych polonijnych publicystów „obyśmy tak jak Żydzi” nie znajdują w naszej społeczności oddźwięku (jest to chyba jakiś „kulturowy antysemityzm”). Jesteśmy indywidualistami, za większy kasek hamburgera nie tworzymy etnicznych koterii, nie walczymy o przywileje wywyższające nas ponad inne grupy etniczne. Niewątpliwie, tkwi w naszej świadomości historia I-szej Rzeczpospolitej, jej chylenie się ku upadkowi w miarę rosnących przywilejów i wpływów różnych „grup nacisku”. Stany Zjednoczone jako żywo przypominają taki krytyczny stan państwowości. Istnieje tu nawet symptomatyczny dla okresu upadku Rzeczypospolitej wpływ obcego kraju, nawet nie mocarstwa, który korumpuje amerykańskie życie społeczne i polityczne. Wszyscy, którzy nie mogą zrozumieć, co się w USA dzieje, gdzie to wszystko zmierza, powinni uważnie przestudiować historię wielkości i upadku naszych „Stanów Zjednoczonych Europy Środkowej”, którymi była I-sza Rzeczpospolita, a my strzeżmy się, aby Unia Europejska nie zamieniła się w ZSSR bis, a nawet w uwielbiane USA.

Wbrew stereotypowi „głupiego Polaka”, to my powinniśmy być wzorem dla innych grup w USA. Bez wywyższania się i etnicznej koterii torujemy sobie nasze indywidualne drogi życiowe na miarę własnych indywidualnych predyspozycji, wiedzy i umiejętności. W mniejszym stopniu jesteśmy „odporni” na tworzenie klik rodzinnych ciągle i wszędzie walczących o wpływy oraz o dobra materialne. Innymi powszechnie znanymi rodzajami klik są kliki koleżeńskie, regionalne lub partyjne, włączając potężne w USA kliki homoseksualistów i masonów – oprócz dwóch ostatnich, z reguły o ograniczonym zakresie działania.

Kliki etniczne, pomimo wielkiej efektywności w działaniu i dużej stabilności, doprowadzają do tragicznych rezultatów. Przykładów nie trzeba długo szukać: Tutsi i Hutu, dominacja Serbów w byłej Jugosławii, Sri Lanka, itp. Nie ma takiej władzy i techniki, ani propagandy, która na dłuższą metę mogłaby zapewnić dominację jednej grupy etnicznej – koniec jest zawsze mniej lub bardziej tragiczny.

Stereotyp przypisujący Polakom „wrodzony antysemityzm” jest raczej równie nieszkodliwy jak stereotyp „głupoty” – w dodatku całkowicie bezzasadny. W Polsce nie zmuszano Żydów do porzucenia swojej wiary. W odróżnieniu od Hiszpanii i Anglii nigdy nie wygnano Żydów. W czasach, gdy Polacy rządili swoim krajem, nie było masowych mordów i pogromów a efektywnie egzekwowane prawo umożliwiało im bezpieczne istnienie oraz rozwój. Jeżeli chodzi o istnienie antysemityzmu w Europie, tylko w jednym możemy poczuwać się do winy – za naszych przodków. Gdyby nie pozwolili Żydom na osiedlanie się na naszych terenach, nie byłoby w Europie antysemityzmu i holokaustu. W zachodniej Europie Żydzi byłiby już dawno wymordowani lub wyparci do Afryki. Historia potoczyłaby się innymi torami – przypuszczalnie omijając ślepe tory komunizmu i faszyzmu.

Nawet w czasie hitlerowskiej okupacji, wszędzie tam gdzie sięgała władza konspiracyjnego rządu, nieliczni kryminaliści denuncjujący Żydów skazywani byli na śmierć – wiele wyroków wykonano, w tym na Żydach kolaborantach. Wszyscy oskarżyciele Polaków o antysemityzm powinni też pamiętać, że Polska była jedynym krajem, w którym oprócz żydowskich samorządów nie było jakiegokolwiek innej kolaborującej z hitlerowcami władzy. W innych krajach współpracujące z Niemcami władze uczestniczyły w zganianiu Żydów i ich wywożeniu, jak się później okazało, do obozów śmierci.

Odpowiadając na prowokacyjne „falszywki”, o niemieckich żołnierzach dokarmiających Żydów, ale tylko wtedy, gdy Polacy tego nie widzieli, trzeba porównać przejawy tak zwanego „polskiego antysemityzmu” z tym, co dzieje się współcześnie w Izraelu i w USA. W pewnym sensie Izrael przypomina przedwojenną Polskę, w której istniały wewnętrznie zwarte i różne społeczności. Podobnie jak w Polsce Palestyńczycy i Żydzi mają różne religie, kulturę i obyczaje. Podobnie jak w Polsce Żydzi są tam osadnikami, którzy jednak bez przyzwolenia Palestyńczyków osiedlają się na odwieczne palestyńskich ziemiach.

Jest jednak więcej różnic:

1. Polacy nigdy nie wysiedlali Żydów, Żydzi, poprzez bezwzględny terror, włączając mordowanie dzieci i starców, zmusili olbrzymie rzesze Palestyńczyków do ucieczki z ich od wieków zamieszkałych terenów.
2. W Polsce pod polskimi rządami nie było ataków na świątynie żydowskie, w Izraelu niszczone meczety.
3. W Polsce nie napadano na żydowskie dzieci udające się do szkół, w Izraelu Żydzi ostrzeliwali autobusy z arabskimi dziećmi.
4. W Polsce nie strzelano do sąsiadów Żydów, osadnicy żydowscy przy każdej nadarzającej się okazji zabijają sąsiadów Palestyńczyków.
5. W stosunku do wrogów państwa, jak komuniści przed wojną, Polacy nie stosowali odpowiedzialności zbiorowej i nie wysiedlali ich rodzin, aby zniszczyć ich domy, Żydzi wyganiają rodziny domniemanych lub prawdziwych członków antyizraelskich organizacji palestyńskich, aby zrównać z ziemią ich domostwa.

W porównaniu z tym, co dzieje się we współczesnym Izraelu, w okresach gdy Polską rządili Polacy, polski antysemityzm był dziecinną zabawą [np. [Getto lawkowe](#)]. Nieliczni pravicowi studenci dokuczali Żydom wyzwiskami lub pociąganiem za brodę, także kpiącymi uwagami na temat ich egzotycznych ubiorów i obyczajów. W okresie zauroczenia Żydów ideologią komunistyczną te same małe grupy skrajnej prawicy wdawały się w bijatyki z lewicowymi i komunistycznymi demonstrantami, przy okazji niszczone były pobliskie witryny sklepów itp. Niestety, jest to typowy obraz wszelkich demonstracji i kontrademonstracji w całym demokratycznym świecie

Z innych „grzechów głównych” polskiego antysemityzmu można wymienić:

1. Na polu ekonomicznym – niektóre organizacje (włączając kościół) nawoływały do bojkotu nabierającego cech monopolu handlu i usług żydowskich. Jednocześnie potępiano wszelkie akty gwałtu. Tylko nieliczni Polacy stosowali się do tych nawoływań.
2. Na polu politycznym – nawoływano do walki z komunistycznymi organizacjami, jako zdominowaną przez Żydów antyrządową agenturą międzynarodowego komunizmu.
3. Na polu kulturalno obyczajowym – przeciwstawiano się ekstrawagancjom spolonizowanej elity żydowskich twórców i ich skłonnościom do niszczenia tradycyjnie uznanych wartości.
4. Na polu profesjonalnym – krytykowano metody działań i koterie żydowskie dążące do opanowania wielu zawodów.
5. Na polu towarzyskim – niepopularne było utrzymywanie zażyłych stosunków z Żydami, włączając „ławkowy bojkot” stosowany przez członków niektórych korporacji studenckich.
6. W czasie wojny i zaraz po II wojnie światowej polski ruch oporu (jako ramię legalnego rządu) likwidował agentów hitlerowskich i komunistycznych oraz wyróżniających się okrucieństwem okupantów. Wyśługujący się sowietom Żydzi byli likwidowani bez żadnej „taryfy ulgowej”. Wykonywanie wyroków śmierci na Żydach (w Polsce jak też i w innych „wyzwolonych” przez sowietów krajach) nie świadczy o antysemityzmie, a o masowym zaciągu Żydów do najokrutniejszych agend sowieckiego okupanta. Ponadto, rzadkich przypadkach samosądów nie dokonywano ich w majestacie prawa.
7. Pogrom kielecki, który sprowokowano rozprzestrzeniając informacje o porwaniu dziecka w celu dokonania rytualnego mordu, kontrolowany był przez przedstawicieli zdominowanych przez Żydów władz. Trzeba zauważyć, że tego typu zachowania tłumu są ogólnoswiatowym fenomenem (włączając Izrael), dotyczą różnych grup ludzi, zarówno po stronie sprawców jak i ofiar. [Odwołując się tylko do wydarzeń w USA popatrzmy na Los Angeles, gdzie w 1993 roku, po niepopularnym wyroku sądowym, zginęły ponad 54 osoby. Podobne zajścia miały miejsce po zabójstwie Martin Luther Kinga (1968r.), powtarzały się także wielokrotnie w Nowym Jorku, Chicago i innych miastach.]
8. „Rasowa niepoprawność” J. polskiego, w którym określenie „Żyd” lub „Żydek” odnoszące się do większości mas żydowskich zawierało w sobie lekceważenie a także dezaprobatę sposobu bycia i „egzotycznych” strojów. Dezaprobatę wywoływała też mizerna znajomość języka polskiego, brud i zaniedbania enklaw żydowskich, oraz niski poziom higieny i kultury osobistej (częste przypadki wszawicy i „kołtuna”).

„Grzechy” te trudno porównywać z antysemityzmem hitlerowskim, z konfiskatami mienia, wysiedlaniem i zamykaniem w obozach koncentracyjnych, a w końcu z masowym mordowaniem Żydów. Istnienie gett w Polsce przedwojennej było wymuszane przez samych Żydów. Poprzez obyczajowo religijne naciski zmuszali swoich pobratymców do izolowania się od Polaków i pozostawania w gettach. Trzeba też zauważyć, że wszystkie „grzechy główne” tak zwanego „polskiego antysemityzmu”, są dokładnie kopiowane w Izraelu w stosunku do Palestyńczyków – z nawiązką typowo hitlerowskich metod eksterminacji. Takie codzienne działania, jak rugowanie Palestyńczyków z ich ziem, pozbawianie ich dobytku, wysiedlanie, ograniczanie wolności osobistej, zamykanie bez sądu w obozach, itp., nigdy nie były stosowane przez Polaków w stosunku do Żydów.

Widząc drzazgę w oku Polaków, Żydzi nie widzą belki w swoim oku. Gdybyśmy mieli przynajmniej jednego Barucha Goldsteina, który w 1994 roku w Grocie Patriarchów w Hebronie zastrzelił 29 modlących się Arabów (**Pogrom w Hebronie**). Gdyby tak jak w jego przypadku grób naszego „Goldsteinowskiego” był przedmiotem kultu tylko dlatego, że zastrzelił 29 modlących się Żydów – dopiero wtedy zbliżylibyśmy się do Żydów w ich arabskiej odmianie antysemityzmu.

W USA na podstawie specjalnych praw ([hate crimes](#)) większość incydentów antyżydowskich jest tuszowana lub zwalczana bardziej surowo niż inne podobne przestępstwa. Pomimo tego na porządku dziennym jest dewastowanie cmentarzy żydowskich, malowanie swastyk i haseł antyżydowskich. Często podpalane są synagogi, a bywają też przypadki ostrzeliwania obiektów żydowskich. [Na początku lat osiemdziesiątych budynki Yeshiva University na Manhattanie były sporadycznie ostrzeliwane z broni maszynowej z przejeżdżających samochodów.] Ponadto istnieją w USA liczne organizacje sprzeciwiające się dominacji Żydów, a także organizacje gloryfikujące Hitlera i eksterminację Żydów. Panuje powszechna niechęć do Żydów balansująca na granicy nienawiści, zdarzają się także morderstwa aktywistów żydowskich,.

Masowy ruch Milicji Obywatelskich ([Militia Web Sites Links Directory](#)) wyrasta z powszechnego braku akceptacji żydowskiej dominacji w polityce, gospodarce i w wolnych zawodach. Świadectwem masowości nastrojów antyżydowskich jest szereg reakcji nomenklatury amerykańskiej ukrytych pod przykrywką działań prewencyjnych przeciwko terroryzmowi ([Patriot Act](#)).

W porównaniu do dzisiejszego stanu świadomości dużej części społeczeństwa amerykańskiego i opisanych powyżej wydarzeń, Polska nigdy nie była i nie jest krajem antysemitycznym. Wmawiany nam antysemityzm nie umywa się do uprzedzeń, jakie w stosunku do Żydów były i istnieją w USA w Unii Europejskiej i w wielu innych krajach świata (np.: [USA](#), [Europa](#)).

Podsumowując wydaje się mi, że w większości nie lubimy Żydów, nie wiem za co mielibyśmy ich lubić? Zresztą nikt nie może narzucać osobistych sympatii lub antypatii, chyba tylko w kazamatach UB, gdzie za „żydokomunę” maltretowano do kajania się lub do śmierci.

GLOBALNY SHTETL

Kiedys w „[TheJewishPress](#)” wpadła mi w oko wypowiedź ówczesnego burmistrza Nowego Jorku, Edwarda Kocha. Twierdził on, że Żydzi muszą mieć prawo do zamieszkiwania we wszystkich krajach świata. Był to sympatyczny człowiek i mierny administrator, jednak zademonstrowane wywyższanie się i propagowanie ponadnarodowych praw „narodu wybranego” zbulwersowało mnie, jednego z nielicznych gojów zagląających do tego czasopisma. Ta wypowiedź, oraz wiele innych – także codzienne natręctwo informacyjne wszelkich problemów i tematów związanych z Żydami – uświadomiły mi, że właściwie nie wiem, co to jest „antysemityzm” lub „antysemita”. Czy jest to coś tak zwykłego, jak niechęć lub obojętność w stosunku do Żydów, czy mordowanie Żydów, jak to robili hitlerowcy? Czy antysemityzmem jest „gojowskie” współzawodnictwo polityczne, ekonomiczne lub zawodowe? A może antysemityzm to tylko pojęcie-fortel, lingwistyczna fosa broniąca dojścia do „żłobu” oblepionego dziećmi Syjonu?

Jak kształtował się mój stereotyp związany z tym słowem, z jakich okrucichów jest on złożony?... Kiedys moje rozumienie słowa „antysemityzm” wiązało się wyłącznie z zagładą hitlerowską. Żyd był dla mnie takim samym człowiekiem jak każdy inny – Włoch, Norweg, Argentyńczyk czy Chińczyk. Teraz bronię się przed wizją, że nie ma już Polaków, Włochów, Norwegów, Argentyńczyków czy Chińczyków, że są tylko Żydzi i reszta świata. Mam złe przeczucie, że jakieś straszne fatum oddziela Żydów od wszystkich innych ludzi, że konflikt żydowski palestyński lub niemiecko żydowskie porachunki to tylko część odwiecznego konfliktu pomiędzy Żydami i nie Żydami. Wydaje mi się, że z udziałem współczesnej techniki i informacji konflikt ten może ogarnąć cały świat, a skala tego konfliktu może przerosnąć wszystko, czego ludzkość dotychczas doświadczyła...

Niewątpliwie elementami mojego stereotypu są wspomnienia krewnych i znanych mi osób. Domek mojej babci położony był na peryferiach ówczesnego Wilna. Z opowiadań wiem, że w okolicy było dużo Żydów. Drobnymi sklepikarzami, szewcami, krawcami – większość biedota – zresztą tak było w całej Polsce. Rodzina babci była w pewnym sensie bogata, mieli własny domek (dziadek był rzeźnikiem), ale dziadek lubił świętować wypłaty w knajpkach, co czasami zmuszało babcię do kupowania najpotrzebniejszych rzeczy na kredyt u żydowskich sklepikarzy. Córki babci chodziły razem z Żydówkami do szkoły – nie było żadnych nieporozumień na tle rasowym. Koleżanki Żydówki często wrywały się z ich samoizolującego się środowiska, przychodziły pod różnymi pozorami do domku babci, w sprawie lekcji lub w innych niby ważnych sprawach. A tak naprawdę po to, aby trochę pobyc w innym świecie, spróbować zabronionych potraw itp. (najbardziej smakowała im kielbasa, nie tylko niekoszerna, ale w dodatku wieprzowa).

Takie przyjazne relacje dominowały we współżyciu i codziennych kontaktach pomiędzy znajomymi oraz sąsiadami: Polakami, Żydami, i wszystkimi innymi, którzy mieszkali w okolicach Prywatnego Zaułka w Wilnie. Trudno wyobrazić sobie, aby w przedwojennej Polsce, w codziennych kontaktach między Polakami a Żydami, nie było żartów i uwag na temat strojów i obyczajów. Żydzi też nie pozostawali dłużni i nie traktowali Polaków jako „jaśnie wielmożnych panów”, nie było jednak nienawiści. Ich wileńskie zwyczajne życie toczyło się do najazdu hitlerowskiego na Polskę. Gdy gruchnęła wieść, że Niemcy zaatakowali Polskę, koleżanki Żydówki były pełne optymizmu: *To nic takiego, nasz język jest bardzo podobny do języka niemieckiego, będzie nam nawet łatwiej porozumiewać się z Niemcami niż z Polakami.*

To oczekiwanie Żydów na coś lepszego, na zwiększone wojną interesy, ostudziło dobrosąsiedzkie stosunki, jednak nie wywołało nienawiści. Po prostu, w czasie rozbiorów nasi Żydzi odeszli od Matki Rzeczypospolitej, która uratowała ich od średniowiecznych pogromów w zachodniej części kontynentu, która dała im prawa, jakich oficjalnie nigdy nie mieli i nie mają w żadnym kraju swego osiedlenia (własne sądy, zarządy miejskie itp.). Ta Matka Rzeczypospolita nazwana „[paradisus Judeorum](#)” przestrzegała tych praw i dała im możliwość religijnego oraz kulturowego rozwoju. Kontrolowała jednak ich samobójcze dążenia do pełnego podporządkowania sobie goszczącego ich narodu.

Zaraz na początku okupacji, na zajętych przez Niemców terenach, Żydzi chcieli zdyskontować językowe pokrewieństwo z Niemcami i „ukręcić” jakiś interes. Ci bardziej politycznie zaangażowani (a Hitler i Stalin byli wtedy wielkimi przyjaciółmi) zgłaszali się do współpracy z niemieckimi narodowosocjalistycznymi towarzyszami. Znali Polaków dobrze – stanowiska, nazwiska, adresy – także osobiste porachunki można było przy okazji załatwić niemieckimi rękoma. Tak, jak we Francji, Anglii i USA, z racji współpracy Stalina i Hitlera, „internacjonalistyczny obowiązek” nakazywał im przymknięcie oczu na doświadczenia Żydów niemieckich. Wielu zadenuncjowanych Polaków trafiło do organizowanych przez Niemców obozów śmierci, do których po paru latach masowo trafili ich denuncjatorzy. Niektórzy uratowani przez Polaków lub o aryjskim wyglądem przeżyli tą całą zawieruchę (nawet jako folksdojczce), a później kontynuowali kariery jako ideowi komuniści.

Na terenach zajętych przez ZSRR Żydzi masowo zaciągali się na sowiecką służbę. Przyszły ciężkie czasy, zaczęły się wywózki Polaków – niektórzy ginęli bez śladu, część poszła do lasu lub organizowała się w konspiracji. Sąsiedzi Żydzi zhardzieli, a niektórzy, gdy usłyszeli słowo Żyd, to w mordę bili lub naganem wymachiwali: *Teraz jest tu władza sowiecka, już nie jesteśmy Żydzi jak było za pańskiej Polski, teraz jesteśmy Jewrieje*. Stali się ważni, bardzo ważni. To już nie byli ci „ideowi” przeciwnicy sanacyjnego reżimu okładani czasami laskami przez prawicowych studentów. Byli uzbrojeni, rozpoznając takiego studenta mogli mu od razu w łeb strzelić, albo najpierw wziąć na przesłuchanie, aby zmasakrowany jęczał z bólu i sepleniąc przez wybite zęby przepraszał za okrzyki: „Precz z żydokomuną!”.

Sowiecka władza miała do nich zaufanie, a oni znali wszystkich polskich patriotów i potencjalnych przeciwników ZSRR. Takich ludzi te komunistyczne przechrzty doprowadzały jako pierwszych do swoich sowieckich pobratymców. Gdyby wydawali sowietom sąsiadów za propagandowe „pięć kilogramów cukru“, można by było pomyśleć, że z głodu. Nie byli jednak głodni, brali wszystko, co zostawało po zamordowanych lub zesłanych „polskich panach”. Ciekawe, gdzie deponowali zrabowane złoto i waluty? Może w GOSBANKU w Moskwie, a może i do Szwajcarii docierali?

Po ucieczce Sowietów i wejściu Niemców ze świeżych grobów wyjmowano zmasakrowane ciała sowieckich ofiar. Złapani siepacze ginęli w samosądach. Pomimo, że wielu, bardzo wielu z nich, było pochodzenia żydowskiego, trudno to nazwać „antysemityzmem wyssanym z mlekiem matki”. W czasie wojny – przy odrzuceniu praw nowego okupanta – było to jedynie zadośćuczynienie elementarnej sprawiedliwości, może prymitywnej jak starotestamentowe krew za krew i ząb za ząb.

W najgorszej sytuacji znaleźli się przeciętni Żydzi, którzy od wieków żyli w symbiozie i zgodzie ze swoimi sąsiadami. Zbrodnie popełnione przez żydowskich komisarzy NKWD ostudziły sympatie i dobre stosunki pomiędzy nimi, a innymi członkami społeczności na terenach okupowanych przez ZSRR (od Ukrainy do Estonii). W diametralnie zmienionej sytuacji te od wieków osiadłe grupy Żydów postawiły na przeżycie poprzez bezgraniczne posłuszeństwo i jak najlepsze wykonywanie wszelkich usług potrzebnych hitlerowskiej machinie wojennej. W odróżnieniu od Polaków Żydzi samorzutnie tworzyli kolaborujące z okupantami organa samorządowe i policję. Na terenie Polski te żydowskie „rządy” były jedynymi oficjalnymi samorządowymi organami przedstawicielskimi współpracującymi z hitlerowskim okupantem a żydowscy policjanci byli bardziej okrutni w stosunku do swoich współbraci niż ich hitlerowscy mocodawcy.

Po nasileniu się hitlerowskich represji, w obliczu nieuchronnej śmierci, wielu Żydów zatraciło poczucie człowieczeństwa i jakiegokolwiek więzi, nawet z najbliższymi. Dla przedłużenia życia chociażby na chwilkę mężowie odpychali słabnące żony a kobiety porzucały dzieci. W obozach śmierci Żydzi przedłużali swoje życie jako kapo, lub goląc i rozbierając swoich pobratymców przed wprowadzeniem ich do komór gazowych. Niektórzy z ocalałych dali świadectwo tej wstrząsającej prawdzie. Większość milczała, ponieważ to co przeżyli uczyniło ich niemymi – między innymi przemilczali pamięć własnego upodlenia. Z czasem ich dzieci i pobratymcy wiodący bezpieczny żywot za oceanem zaczęli tworzyć fikcję bohaterstwa i moralnej supremacji oczerniając Polaków oraz innych naocznych świadków tych tragicznych wydarzeń...

Z zapominanych realiów tamtych czasów należy też przypomnieć, że pomimo stuleci zamieszkiwania wśród Polaków zdecydowana większość Żydów była wyobcowana. Nie asymilowali się, izolowali się w swoich gettach. Kontrast w zachowaniu, obyczajach i wyglądzie był tak duży, jakby raptem zestawić współczesny Londyn ze średniowiecznym Istanbulem. W dodatku w pogoni za pieniędzmi wielu z nich podejmowało się najbardziej zniechęconych profesji, jako niektóre z nich można wymienić lichwiarstwo i ściąganie należności. Pomimo tego, przy okrutnie wykonywanych karach śmierci za jakąkolwiek pomoc Żydom, znalazło się wielu Polaków ukrywających Żydów. Wielu z nich hitlerowcy rozstrzelali wraz z całymi rodzinami. Wielu z tych odważnych ludzi ukrywających Żydów było członkami zbrojnej konspiracji. Po wejściu sowieckich okupantów uratowani Żydzi wydawali ich w ręce NKWD. Inni uratowani sponsorują „drzewka sprawiedliwych”, jednocześnie oczerniają i opluwają cały naród polski bezkompromisowo walczący z obydwojema okupantami.

Oprócz oczerniania Polaków domagają się też ciągłych przeprosin i kajania się. To bardzo ładnie i kulturalnie, te wszystkie przeprosiny oraz chrześcijańskie obowiązki w stosunku do „starszych braci“ w wierze. Jednak, czy ci „starsi bracia“ nie mają za co dziękować i przeproszać? Czy nie czują obowiązku dawania świadectwa prawdzie? Nauka dla nas Polaków jest jedna, jeżeli kiedykolwiek Żydzi będą w opałach, trzymajmy się z daleka. Niech oni i ci inni sami załatwiają swoje porachunki. Oczywiście, Żydzi będą wmawiali, że wyciągamy fałszywe wnioski, będą kontynuowali swoisty szantaż moralny nazywając zbrodniarzem każdego, kto za Żyda nie oddał lub nie odda swojego życia. Jeżeli jednak bez emocji będziemy stali z boku, wówczas może dadzą nam spokój – jak Niemcom. A może nawet nabiorą do nas szacunku, tak jak nabrali szacunku do Niemców i przestaną oskarżać nas o antysemityzm?...

Właściwie co to jest ten „antysemityzm”? Wyobraźmy sobie słowa „antyanaliczizm”, „antygermanizm”, „antyitalianizm”, „antychińczyzm”, „antyjapończyzm”, lub: „antymurzynizm”, „antyindianizm”, „antyhinduizm”, „antyarabizm” itp., itp. Zlepki te są jakieś dziwne, nieznanne, wręcz źle brzmią. Czym wyjątkowym na tle losu innych nacji i ras jest w skali historycznej antysemityzm? Przecież nie tylko Żydzi byli masowo mordowani. W różnych okresach czasu wiele ras i narodów doświadczyło podobnych tragedii. Niewątpliwie wyjątkiem jest tylko powszechność antysemityzmu w każdym czasie i pod każdą szerokością geograficzną – wszędzie, gdzie zaistniała społeczność żydowska.

Czytając Stary Testament narzuca się synteza w postaci następującej opowieści: *Do Królestwa XYZ przybyli Żydzi. Król oblubił Żydówkę i uczynił bardzo mądrego Żyda swoim doradcą (określenia „głupi” zarezerwowane są dla gojów). Ten bardzo mądry Żyd uczynił innych mądrych Żydów administratorami i doradcami, dzięki Żydom Królestwo rozkwitało. Gdy już wszystkim kierowali bardzo mądrzy Żydzi, a Królestwo osiągnęło szczyty szczęśliwości, wówczas niewdzięczny lud (lub król) zbuntował się i wygnał Żydów lub ich wymordował.* Właściwie po czasach opisanych w Starym Testamencie nic nie zmieniło się, nawet taki drobny niuans, jak „żona króla”. [Podobno panieńskie nazwisko Hillary Rodham Clinton mogłoby brzmieć „Radomski”, gdyby jej ojciec nie wyemigrował z Łodzi najpierw do Anglii i nie zmienił ówczesnego swojego nazwiska na „Rodham”. Dopiero na początku sierpnia 1999r., Hilary Clinton, podobnie jak Madeleine Albright, oficjalnie „odkryła” swoje żydowskie koneksje.] Wniosek jest tylko jeden – albo w tym wszystkim jest coś nie w porządku z Żydami, albo z całą resztą różnej maści narodów pomiędzy którymi żyli i żyją?

Ponieważ nie jestem Żydem, uważam, że jednak jest coś nie w porządku z Żydami. Żydzi niewątpliwie mają akurat odwrotne zdanie – *Biez wodki nie razberiosz* – powiedzieliby Rosjanie. Bez wysiłania się na szukanie odpowiedzi wołałbym, serdecznie wołałbym, aby Żydzi nie zamieszkiwali pośród mojego narodu. Po prostu, znalezienie odpowiedzi na pytanie, „z jaką społecznością jest źle” może być niezwykle trudne lub niemożliwe. Właściwie, po co ryzykować, reguła jest jedna, zawsze coś złego powstawało, powstaje, i najpewniej będzie powstawało w społecznej mieszaninie Żydów i nie Żydów. Zgodnie z rozsądkiem, jasno i szczerze powiedzmy sobie – rozejdźmy się.

Niewątpliwie, nie ma już jakiegoś moralnego impulsu ratowania ciągle prześladowanych lub wyganianych Żydów, ponieważ mają swoje państwo, Izrael. Jest tylko jeden problem, w nich samych. Oni nie kwapią się do zamieszkania w Izraelu. W 1983 roku w supermarkecie spotkałem małżeństwo z Moskwy świeżo przesiedlone do USA. Rozmawiali w języku rosyjskim, byli mile zaskoczeni, gdy włączyłam się do ich rozmowy. Przedstawiłem się: *Jestem Polakiem, znam rosyjski, ponieważ studiowałem w Leningradzie*, serdecznie zaprosili mnie do siebie. Dostali miejskie mieszkanie, zapomogę, właściwie wszystko co trzeba, aby lekko zacząć amerykańskie życie. Pomimo zamieszkania pośród całej kolonii przesiedleńców nie byli tym zachwyceni, cieszyli się z mojego towarzystwa. Ja też miałem okazję powrotu wspomnieniami do moich studenckich lat i języka rosyjskiego.

Podczas biesiady spytałem ich, dlaczego nie wyjechali do Izraela, odpowiedź zdumiała mnie: *Feliks, najgorszym przekleństwem dla Żyda jest żyć pośród Żydów*. Patrząc na ten exodus Żydów z byłego ZSRR do USA, zamiast do Izraela, wierzę im. Jest tylko jedno ale, czy obecność Żydów pośród innych nacji nie jest w efekcie przekleństwem dla nich samych i dla tych innych? Pomimo tego „znaku zapytania” znani mi Żydzi, lub ludzie przyznający się do jakichś żydowskich korzeni są bardzo fajni, normalni. Będąc w ich towarzystwie nie odczuwam żadnej różnicy między nimi a innymi znajomymi. Nie ma już egzotycznych ciemnych mas żydowskich, jakby z innej epoki, ofiara Shoah wyemancypowała tych, którzy przeżyli.

Patrząc wstecz problem obecności Żydów pośród innej nacji zauważyłem dopiero po wyjeździe na studia do Leningradu. Wcześniej słowo Żyd oznaczało dla mnie takiego samego człowieka jak ja. Odczuwałem tylko, że chyba ciężiej doświadczonego, ponieważ może nie tylko ojca, ale i matki nie miał, a może nie miał też ani wujków, ani ciotek, ani babci.

W Leningradzie, mniejszość żydowska była większością na studiach. Dziwiłem się, ponieważ niczym nie wyróżniali się, byli bardzo miernymi studentami. Ale przy żydowskiej większości wykładowców jakoś sobie radzili. W jednej tylko dziedzinie byli najlepsi, jako ideowi komsomolcy i strażnicy komunistycznej „czystości ideowej”. Jeden z nich kręcący się koło Czeszki złożył na mnie donos do władz uczelni, że agituję i rozsiewam propagandę religijną. A ja po prostu wpadłem do ludzi, których lubiłem, którym dobrze życzyłem, aby po naszej Wigilii podzielić się z nimi naszą tradycją i opłatkiem.

Tak się złożyło, że on tam był. Nie przeszkadzało mi to, że jest Żydem i pryncypialnym ideowcem (obecnie na pewno „pryncypializuje” USA). Wyjaśniłem Rosjankom symboliczne znaczenie dzielenia się opłatkiem. Czeszka Jana na pewno знаła związaną z tym symbolikę – on też wysłuchał i przełknął kawałek opłatka. Do głowy mi nie przyszło, aby ktokolwiek potraktował ten tradycyjny symbol pojednania, życzenia wszystkiego dobrego, zdrowia i szczęścia, jako agitację i propagandę religijną.



Po jakimś czasie, pomimo, że nie byłem komsomolcem, wezwano mnie przed uczelniano-komsomolskie grono. Na zarzuty odpowiedziałem krótko – jeżeli Lew Mojsiejewicz twierdzi, że te życzenia jakie składałem są propagandą religijną i agitacją, to jest albo głupi, albo wierzy w zabobony. A zresztą, spytajcie jego samego, czy zaraz po przełknięciu kawałka tego wafla poleciał do kościoła lub do synagogi? Wysoka komisja zadumała się... Ponieważ byłem starostą przekazano mi dodatkowo, że radzieccy studenci skarżą się na rozprężenie komunistycznej moralności, że twist to nieobyczajny taniec, że zwiększyła się strasznie ilość aborcji dokonywanych przez studentki naszego koedukacyjnego akademika..., żeby... jako starosta polskich studentów, coś z tym zrobił. Była to oczywiście bzdura, po paru wieczorkach Rosjanie tańczyli twista nie gorzej niż my. Nasi chłopcy mieli powodzenie, ale nie takie, aby fotele ginekologiczne w pobliskiej klinice rozpaść do czerwoności. Wielu tych naszych „zielonych” jeszcze chłopaków zdyskontowało powodzenie dozgonnymi małżeństwami.

Po prostu byliśmy trochę inni, inaczej ubieraliśmy się. Był to taki bardzo zwyczajny prowincjonalny urok kogoś z zagranicy, zupełnie tak jak u nas w Polsce. Ponieważ Mojsiejewicz nie przyznał się do wizyty w jakiegokolwiek świątyni darowali mi propagandę i agitację religijną. W kwestii aborcji zasłoniłem się brakiem znajomości odpowiednich statystyk. Podałem też w wątpliwość przypisywany naszym chłopakom jakoby super naturalny wigor seksualny. Stosując stary jak świat trick „odbijania piłeczki” zasugerowałem, aby problem życia seksualnego radzieckich studentek poruszyli na ich najbliższym zebraniu komsomolskim. Dali nam spokój, a pod koniec pobytu my mogliśmy uczyć się od Rosjan modnych na świecie tańców.

Tacy jak Mojsiejewicz już wcześniej dali się dobrze we znaki Rosjanom. Odważniejsi Rosjanie nie afiszowali się ideowością i ciągle napominali, a to ten jest Żydem, a to tamten, itp. Na pytanie: *I co z tego, że jest Żydem?*, odpowiadali: *Bładzi wszędzie wleźli, pysznią się i nie dopuszczają Rosjan*. Przy okazji wymieniali też twórców ZSRR: *Bucharin – Jewriew (Żyd), Zinowiew (alias Apfelbaum) – Jewriew, Trocki (alias Bronstein) – Jewriew, Kirow Jewriew; Wsie oni bładzi Jewrieje* – tak to socyście streszczali.

Nie wiedziałem, wierzyć czy nie wierzyć? Dopiero w USA przeczytałem książkę, prawie że naukowe opracowanie, ponad 75% czołowych przywódców bolszewickiej rewolucji było Żydami, większość ze zmienionymi nazwiskami. [Książka: „[On a Field of Red](#)”, The Communist International and the Coming of World War II; by Anthony Cave Brown & Charles B. MacDonald, G.P. PUTNAM’S SONS, New York 1981,] Z czasem obserwacje zaczęły potwierdzać ich opinie, nawet poznany przez znajomych Iwanow, szycha handlu społecznego w Leningradzie, też był Żydem, tylko skąd to nazwisko?

Odbywając praktykę przed dyplomową w dziale konstrukcyjnym zakładu „Kalibr” byłem zaskoczony, czułem się tak, jakbym trafił do synagogi. Mój opiekun, kandydat nauk (dr) postawił pewien problem twierdząc, że nie da się tego wyliczyć ani teoretycznie rozwiązać (opublikował nawet uczony artykuł z tą tezą). Po przeczytaniu pierwszego rozdziału z książki o rachunku prawdopodobieństwa przedstawiłem przybliżony wynik liczbowy, zdęgowany niedowierzająco kręcił głową. Z obserwacji wyniosłem, że większość tych pociotków miała podobnie wysokie kwalifikacje. Żadnych dowodów nie trzeba, widać do czego doprowadzili gospodarę sowiecką. Jako Polak jestem im wdzięczny, chwała im za ten niezamierzony udział w rozwaleniu komunistycznego potwora!

Parę lat później po przestudiowaniu rachunku prawdopodobieństwa opublikowałem „ładkie” rozwiązanie problemu. [Jego artykuł: *Izmieritielnaja Tiechnika*, 1970, nr 9, strona 39. Mój artykuł: *Pomiary Automatyka Kontrola*, 1972, nr 6, strona 259.] Będąc w Leningradzie pokazałem mu moje rozwiązanie, szybko przełknął swoją gafę. Od razu zaczął opowiadać mi o swoich niebywałych osiągnięciach na polu teorii informatyki. Jeżeli miał jakieś osiągnięcia, bez gaf jakie wcześniej wypisywał, to chyba tylko dzięki jakiemuś zdolnemu „Wańce”, raczej nie z grona jego kolegów z biura konstrukcyjnego zakładu „Kalibr”.

Opinie Rosjan po raz pierwszy zwróciły moją uwagę na problematykę żydowską, ponieważ w Polsce nie interesowałem się, kto jest Żydem, a kto nie. Później paru wskazał mi znajomy z Leningradu, gdy zaprosiłem go do Polski (jego matka była Żydówką). Oprócz tego parę innych osób z jakichś własnych pobudek zadeklarowało swoje żydowskie korzenie. Przyjmowałem to jako obojętną informację. Niestety, obecnie nie można przeżyć dnia, aby nie „nadsiać się” na różne żydowskie tematy. Przypuszczam, że większość nie Żydów ma identyczne obserwacje jak ja, niezależnie od narodowości. Niewątpliwie dużą rolę w zwracaniu uwagi na siebie odgrywają sami Żydzi?

W wielu rozmowach z Żydami zauważyłem takie same schematy etnicznej promocji. Mówiąc o różnych specjalistach, artystach, itp., wypowiadali jakby mimochodem opinie: *To jest wspaniały...* (wstawić: lekarz; muzyk, prawnik itp., itp.), *Żyd z ...* (wstawić: dzielnica; miasto; region; kraj itp., itp.). Absolutnie nie słyszałem żadnej pochlebnej opinii o kimkolwiek, jeżeli nie było to powiązane z określeniem „Żyd”. W podobny sposób promowana jest też tematyka pro żydowska. Dobrą ilustracją jest film „Fotoamator” i jego twórca Dariusz Jabłoński.

Początkowo „okrzyczano” ten film jako genialny. Po prostu, pomijając jakiekolwiek jego walory, nalepka „genialności” jest automatycznie przyklejana do każdego produktu promującego żydowski punkt widzenia. Gdyby ten sam reżyser nakręcił „super genialny” film np. o powstaniu warszawskim, wówczas oceny oscylowałyby wokół: „zdolny reżyser”, „film poprawnie zrobiony”, „dobry warsztat”, „historycznie wiarygodny” itp, ale?

“Fotoamator” przedstawiany jako wybitne dzieło w zakresie filmów dokumentalnych kandydował do Oscara. Zrobiono dużo szumu. Koło filmu i jego autora zaczęli kręcić się dystrybutorzy, organizowano pokazy, wychwalano reżysera. Filmem i jego reżyserem zainteresowali się także rabini. Po początkowych zachwytach stwierdzili, że według ich rasowych kryteriów Jabłoński nie jest Żydem, ponieważ tylko jego dziadek był Żydem. Odstawili Jabłońskiego na boczny tor, według ich szowinistycznych kryteriów rasowych żydowskość jest przekazywana wyłącznie przez matki. W efekcie Jabłoński i jego film nie uzyskali nominacji do Oscara. Nominacje te uzyskał inny „rasowo poprawny” reżyser i jego również „rasowo poprawny” film.

Przy okazji pan Jabłoński oświadczył, że jest Żydem i będzie Żydem, dopóki w Polsce zachowa się jakikolwiek antysemityzm. Chyba chodziło mu o zabronienie Polakom używania słowa „Żydek” oraz wymazanie z pamięci komisarzy NKWD i UB, ponieważ innego antysemityzmu w Polsce nie było i nie ma. Innym powodem jego transformacji w Żyda może być spostrzeżenie nasuwające się dla każdego w miarę inteligentnego i pozbawionego skrupułów człowieka: *najprostsza droga do kariery wiedzie przez „żydowskość” i wysługiwanie się międzynarodowej żydowskiej koterii*. Nic tylko życzyć powodzenia panu Jabłońskiemu oraz wyrastającym jak grzyby po deszczu błękitnookim blondasom dorabiającym sobie żydowskie metryki.

W tym procederze propagandowego powiększania ilości Żydów od wielu lat dużą rolę odgrywają żydowscy stratedzy od dezinformacji. Według ich dezinformacyjnego schematu należy nazywać Żydem każdego, kto jest bardziej znany od niepiśmiennego pastucha z Pipidowy Dolnej. Według tego schematu w ZSRR podszeptowano, że zarówno Lenin jak i Hitler byli Żydami, do nich dokładano Mendelejewa, Czajkowskiego i Gogola (Feliksa Edmundowicza Dzierżyńskiego zostawili jednak Polakom). W Polsce, oprócz Lindego (Szwed z krwi i kości), dołożono Wojtyłę (zaraz po jego wyborze na Stolicę Piotrową). Ostatnio dorabia się żydowską metrykę Mickiewiczowi i Piłsudskiemu.

Tylko trochę trzeba poczekać aby z Kopernika zrobiono Cupernika – niemieckiego Żyda, a z Mieszka Pierwszego Miskę I-szego, syna syberyjskiej Żydówki? Przejawem takiej dezinformacji są też rozsyłane broszury z listami znanych osobistości z różnych dziedzin (polityką, kultura, nauka oraz kler) przypisujące im żydowskie pochodzenie a nawet jakieś wymyślane rodowe rzekomo żydowskie nazwiska i imiona. Ilość oraz intensywność publikacji takich list zwiększyła się znacznie po publikacji w 1999 r. „Okruców” (podarowałem warszawskiej gminie żydowskiej jeden egzemplarz książki). Widocznie chłopaki z „gminy” wzięli się do systematycznej roboty i zamiast wcześniejszych przypadkowych „przechrzczeń” na Żydów zaczęli używać do tego celu informacji z książki telefonicznej. Cel jest oczywisty, przekonanie nas, że jesteś Polaczku głupi i bezradny, wszyscy mądrzy i władni to Żydzi.

Czasami dla osiągnięcia swoich celów nazywają kogoś „starym Żydziskiem” lub „zakonspirowanym przechrzcą”. Dla płci pięknej rezerwują określenie „parszywa Żydowa”, itp... Prawdę mówiąc nie uwierzyłbym w to, gdybym sam tego nie usłyszał od dobrze wstawionej Żydówki z Katowic. Jej mąż był Polakiem, chyba wysokiej rangi oficerem. Ze względu na powiązanych z Izraelem przyjaciół żony po wojnie arabsko izraelskiej stracił eksponowane stanowisko, ale nie chciał wyjechać do Izraela. Po dobrze zakropionej kolacji, w szczerzej rozmowie „kto kim się czuje“, zasugerowałem, że jej córka – jak mówiła, bardzo kochająca ojca, na pewno czuje się Polką. Pokręciła głową: *Nie, nie, ja z niej zrobiłam Żydówkę, załatwiłam, że w szkole zaczęto przezywać ją „Żydowica”, „parszywa Żydowa” itp... W domu pocieszałam ją i tłumaczyłam – nie przejmuj się tym, co ci te polskie gnojki mówią, pokaż im, że jesteś we wszystkim lepsza*. Podobno, po okresie załamania i rozterki, dziecko odseparowało się od polskich kolegów i koleżanek, „odgryzało” się im i zrobiło zdecydowane postępy w nauce.

W czasie innych zakrapianych towarzyskich rozmów z Żydami parę razy pytałem: *Dlaczego tak jest, że wszędzie gdzie są Żydzi tam jest antysemityzm – nie wyłączając USA?*. Trochę trzeźwieli, ale na moje nalegania odpowiadali: *Bo my jesteśmy lepsi od innych, we wszystkich dziedzinach – w nauce, polityce, sztuce, handlu, itd. Dzięki nam Ameryka prosperuje, wszędzie tam gdzie są Żydzi, tam kwitnie gospodarka, kultura, nauka i jest dobrobyt, cały ten antysemityzm to jest czysta ludzka zazdrość i zawiść*. Opinie te są wśród Żydów tak powszechne, jak wśród Rosjan opinia o utrzymywaniu przez Rosjan darmozjadów z innych republik i całego obozu demoludów.

Na pytanie jak wyjaśnią „przypadek” ZSRR? – Bo przecież Żydzi kierowali tym państwem od powstania aż do jego zapaści – sugerowali, że ludzie tam nie byli na odpowiednim poziomie, nie współpracowali, wręcz antysemitami, którzy w końcowej fazie doprowadzili nawet do dyskryminacyjnych limitów w przyjmowaniu Żydów na studia, itp.

Zadawałem im też trudniejsze pytania: *Dlaczego w Izraelu, gdzie są sami Żydzi, w waszej opinii chłop w chłopa i baba w babę geniusze, brakuje wybitnych osobowości? Dlaczego bez miliardów dolarów łożonych oficjalnie i nieoficjalnie na utrzymanie Izraela kraj ten zbankrutowałby w ciągu paru miesięcy?*. Próbowali tłumaczyć, że kraj ten jest w stanie ciągłej wojny, ponosi koszty utrzymania armii, buduje osiedla dla osadników, itp., itp. Jest w tym ziarenko prawdy, ale więcej nieprawdy. Najnowsze uzbrojenie Izrael dostaje za darmo. Budowanie osiedli i inne większe wydatki finansowane są z pożyczek amerykańskich zwyczajowo umarzanych. Jeżeli doliczyć do tego gwarantowane przez USA przywileje podatkowe na transfer „charytatywnych” funduszy do Izraela, przywileje handlowe, oraz grabież technologii amerykańskiej, wówczas jedyną „genialną” rzeczą w tym wszystkim jest matnia korupcji i zniewolenia w jakiej znalazło się społeczeństwo amerykańskie.

Pomimo nalegań nie potrafili jednak odpowiedzieć, dlaczego w Izraelu brakuje wybitnych osobowości. Można było wyczuć, że Izrael to taka pipidówka, gdzie wybitni nie chcą na stałe przebywać. Ale „pomiędzy wierszami” odczytywało się echo cytowanego wyżej: *„Feliks, najgorszym przekleństwem dla Żyda jest żyć pośród Żydów”*. Mówiąc prosto w oczy: *że tylko pośród gojów Żyd może być wybitnym, może robić karierę i bogacić się, że goje są niezbędni dla spełnienia ambicji oraz dążeń każdego „prawdziwego” Żyda*.

Będąc w USA trafiłem też w radiu na wystąpienie jakiegoś rabina. Zdziwiony byłem ogólnym tonem jego wypowiedzi, wypisz wymaluj: *Juden Juden über Alles*. Butnej, obraźliwej, pełnej lekceważenia dla prawie nieobecnej w publikatorach większości amerykańskiego nie żydowskiego społeczeństwa. Brzmiało to jak prowokacja. Niestety, wiele żydowskich działań zakrawa na prowokację. Jeżeli nie wszyscy Żydzi to rozumieją, to przynajmniej ich przywódcy rozumieją, że bez antysemityzmu przestaliby być Żydami, rozmyliby się w otaczających ich społecznościach, straciliby też „bicz” popędzający ich osobowości i zaganiający do żydowskiego „kotła”.

Bicz ten jest bardzo skuteczny, ale o wątpliwej wartości moralnej. Jego ostateczne efekty doprowadzą kiedyś do totalnego i tragicznego zniszczenia całej żydowskiej diaspory. Takie działania, jak np nachalne żądania usuwania krzyży w obrębie Oświęcimia, nie mają żadnego innego sensu, oprócz rozbudzania antysemityzmu. Dziwię się, że nasi Żydzi, wyrośnięci pośród nas, mający więcej rozumu niż amerykańscy Żydzi dolarów, są tak ślepi lub tak nisko upadli, że nawet nie próbują mitygować swoich szalonych przywódców [Jedwabne].

Ja w swoich obserwacjach i doświadczeniu życiowym nie znajduję żadnego potwierdzenia genialności Żydów. Ich samo izolacja i umiejętnie podsycana psychoza żydowskiego Dawida zagrożonego gojowskim Goliatem czyni ich w pewnym sensie bardziej sprawnymi w zdobywaniu wszelkich dóbr i zaszczytów. Reszty dokonuje etniczna korupcja. Zakładając jednak, że Żydzi są geniuszami przewyższającymi intelektem wszystkie inne nacje, będą tylko dwa możliwe scenariusze historii. Scenariusz „globalnej farmy”: Żydzi będą „uprawiali” inne nacje; lub scenariusz „biblijny”: Żydzi będą mniej lub bardziej delikatnie „neutralizowani”.

Zgadzam się z moimi żydowskimi rozmówcami, że Żydzi osiągają wiele sukcesów, ale jak i gdzie? W sporcie, gdzie liczy się „oko i szkiełko mędrca”, a właściwie obiektywne pomiary czasu i odległości, Żydzi są na ostatnich miejscach. Lepiej im idzie w zgaduj zgadulach, ale ta dyscyplina miała w Ameryce swoje skandale, bywało, że przed każdą zgaduj zgadulą uczono „geniusza” pytań i odpowiedzi. *Ale nauka i sztuka to nasze dziedziny* – oponowali moi rozmówcy. W nauce, sztuce i administracji wiele zależy od otrzymania szansy. Z dwóch młodych ludzi rozpoczynających karierę życiową będzie rozwijał się ten, który otrzyma szansę.

Znamy to z naszego codziennego doświadczenia. Ludzie na stanowiskach i ze znajomościami lokują swoje latorośle na dobrych pozycjach startowych. Tylko wrodzona głupota na poziomie imbecylnym może zahamować karierę tak ustawionego dzieciaka. Jeżeli w dodatku jakaś początkująca miernota będzie obwoływana wschodzącą gwiazdą, to sama w to uwierzy, a wiara czyni cuda. Typowanie na konkursy, załatwianie koncertów i reklama jest w świecie kultury i sztuki najważniejszym elementem sukcesu oraz podnoszenia kwalifikacji. Ile razy widzieliśmy, że odpowiednio dobrane jury ogłasza werdykty rażąco niezgodne z powszechnym odczuciem. W taki sposób „geniusze” kreują następnych „geniuszy”.

W nauce niezbędny jest dostęp do laboratoriów, stypendia oraz promowanie przez przychylnie ustosunkowanego zwierzchnika. Zresztą wielu zwierzchników ma zazwyczaj paru nie promowanych „jeleni”, pod których pracami podpisuje się podpychając jednocześnie pupilka do góry. W administracji istotne jest wdrażanie do coraz nowych obowiązków oraz przenoszenie na coraz wyższe szczeble.

My wszyscy, prowincjusze i dzieci średnich rodziców, znamy to bardzo dobrze. Nie podoba się nam to, buntujemy się wewnątrz przeciwko temu, ale nic na to nie poradzimy. Tak jest nasz społeczny świat urządzony – chyba od zarania ludzkości...? Już w jaskini pupilek dostawał lepszą maczugę lub bumerang i ganiał za jelonkami, a dziecko prostego jaskiniowca musiało godzinami obtłukiwać kamienie na siekierkę dla pupilka. W takim promowaniu Żydzi są tacy sami jak my wszyscy. Też jakiś tam Mosze popchnął swoją latorośl na miejsce, gdzie Abram widział już swojego syna, wkurza to Abrama, tak jak każdego Kowalskiego. Ale Mosze i Abram powinni zrozumieć, jak wkurza takie postępowanie Johnów oraz Smithów widzących wszystkie eksponowane stanowiska zajęte przez synów i córki Izraela.

Odkładając na bok powyższe spekulacje, jasno widzę historyczną wręcz ślepotę Żydów, nie będących w stanie pojąć swojej odwiecznej historii holokaustów. Pod tym względem są najgłupszymi ludźmi na ziemi. Wydaje się, że zaszli na tym nowym etapie tak daleko, że nie ma już powrotu. Problem, Żydzi – goje, jest chyba jednym z najpoważniejszych problemów współczesnego świata. Bóg wie, jakich jeszcze „roztrząsań” tego problemu będziemy świadkami, miejmy nadzieję nie na naszej polskiej ziemi.

My, Polacy jesteśmy w ich opinii antysemitami, powinni więc odczepić się od nas. Może nie zarobimy na „marszach nienawiści” i na sprzedaży koszernej „siwuchy”, może zechcą nas „za karę” opanować. Oby nie powtórzyli błędu Stalina, gdyby nie „łapnął” Polski, to „Sojuz” jeszcze by egzystował. Jeżeli zechcą nas szantażować lub bojkotować, tym gorzej dla nich. Tak jak oni potrzebują antysemityzmu, tak my potrzebujemy chociaż odrobiny „antysarmatyzmu” i zagrożenia – s’il vous plait!

Aby dowiedzieć się czegoś więcej o „antysemityzmie” zajrzałem też do encyklopedii. Comptons Interactive Encyclopedia podaje: *Antisemitic – (1) having or showing prejudice against Jews*. Definicja ta zbudowana jest na pomocniczym pojęciu „prejudice”, czyli „uprzedzenie”, co w podstawowym znaczeniu można przetłumaczyć jako *posiadanie lub okazywanie uprzedzenia w stosunku do Żydów*. Na pierwszy rzut oka wydaje się, że antysemityzm polega na jakimkolwiek uprzedzeniu do Żydów. Byłoby to zbyt szerokie ujęcie, są nawet ludzie uprzedzeni do aniołów i nie ma „antyanielizmu”. Idąc głębiej, do znaczenia słowa „prejudice” (uprzedzenie), łądujemy na wyjaśnieniu: *Opinia uformowana przed poznaniem faktów*, w tym przypadku należy rozumieć to jako: *Opinia uformowana przed poznaniem Żydów*.

Przyjmując, że słowo „prejudice” jest kluczem wyjaśniającym definiowany termin, nie można mówić o Polakach jako o antysemitach, ponieważ jesteśmy nacją, która zna Żydów od dawna. Uratowaliśmy Żydów przed ich unicestwieniem w Europie Zachodniej. Poczynając od „mrocznych” czasów średniowiecza, stosów i powszechnej nietolerancji innowierców, poprzez wieki, poznaliśmy ich bardzo dobrze.

Właściwie, w sensie definicji antysemityzmu opartej na słowie „prejudice”, trudno jest znaleźć kraj, gdzie istniał lub istnieje antysemityzm – pomimo faktów, że wszędzie, gdzie są Żydzi, tam istnieje uprzedzenie do nich. Do jednego z nielicznych krajów, gdzie według tej definicji istnieje antysemityzm, można by było zaliczyć Japonię – przy braku poznania Żydów jako współobywateli, istnieje tam wręcz powszechne uprzedzenie do nich.

Albo definicja jest zła, albo zaistniał jakiś błąd w powyższym rozumowaniu, zostawię to do przedyskutowania dla modnych obecnie szkółek „poprawności politycznej”, gdzie Żydzi, w ramach jednostronnego pojednania, ćwiczą „Polaczków” w rozpoznawaniu i trzebieniu najmniejszych ilości genów antysemityzmu wyspanych z matczynym mlekiem.

POJEDNANIE

Do napisania rozdziału „Pojednanie” zainspirowało mnie parę wywiadów z pochodzącymi z Polski Żydami opublikowanych w 1998 roku w nowojorskim Nowym Dzienniku. [Nowy Dziennik (NDz), popularna polskojęzyczna gazeta codzienna wydawana w Nowym Jorku.] W wywiadach tych przewija się temat tak zwanego „polskiego antysemityzmu”. Czy można jednak jedno jedno i to samo określenie „antysemityzm” stosować do technicznie zaawansowanej eksterminacji Żydów w obozach koncentracyjnych i do teoretycznie możliwych pytań dzieci: Czy zabiłeś Pana Jezusa? Czy nie należałoby jednak przeskalować określenia „polski antysemityzm” do zdrobniałej, wręcz pieszczotliwej formy, „polski antysemitymek”?

Gdy wyrastałem nie miałem pojęcia, kto jest Żydem, a kto nie. Po prostu, gdy ktoś był fajny, to był fajny, a gdy ktoś był kutasem, to niezależnie od pochodzenia był kutasem. Po wyrośnięciu w absolutnie nieantysemickiej rodzinie zaczęto mi wmawiać jakąś odpowiedzialność za krzywdy wyrządzone Żydom. Co ja miałem i mam z tym wspólnego? Zostałem wręcz zmuszony do wysłuchiwania, jakie Żydzi mają żale i zarzuty do mnie, kto ich gdzieś tam wyrzucał, dyskryminował i mordował. Z przyjemnością zaprzętałbym sobie głowę czymś innym, ale nie mam wyboru. Te natrętne tematy i oskarżenia o „antysemityzm” są wszędobylskie, nachalne i adresowane do całych społeczeństw. Po dłuższym wysłuchiwaniu budzą sprzeciw i reakcje raczej odwrotne niż oczekiwane przez „dyżurnych” oskarżycieli o antysemityzm, szczególnie w przypadku przypisywania całemu narodowi lub narodom patologicznego antysemityzmu – w paranoicznym domyśle zbrodniczego charakteru.

Jeżeli chodzi o kontrowersje polsko żydowskie, to przez dłuższy okres czasu NDz unikał angażowania się w te tematy. Taką politykę można zrozumieć i docenić. Wyłomem w tej polityce był niewątpliwie zaplanowany cykl publikacji próbujących nachalnie coś zrobić w sprawie polsko żydowskiego pojednania, właściwie nie wiadomo co? Publikacje te bezkrytycznie powtarzały półprawdy, kłamstwa lub absolutne nonsensy głoszone przez żydowskich rozmówców, jakoby dążących do pojednania. Posłanie zawarte w tych publikacjach mogłoby być przyjęte tylko przez ludzi nie znających realiów naszej historii, bez naszych doświadczeń, bez naszej odporności na wszelkie fałszywe podchody.

Nie chodzi mi tu o oskarżenie NDz o perfidną chęć zmażenia polskich umysłów, jak dotychczas na dłuższą metę żadni specjaliści nie potrafili tego dokonać. Wierzę też, że zarówno NDz jak i osoby firmujące te publikacje miały dobre intencje, ale dobrymi intencjami wybrukowane jest podobno piekło. Tego typu publikacje są bardziej szkodliwe niż użyteczne. Lepiej zaniechać przedstawiania nam „pojednawczych” wynurzeń, z których jak sztyło z worka wylażą przekłamania, antypolskie stereotypy lub wręcz nachalna propaganda.

Zamysł cyklu tych publikacji mógł powstać podczas spotkania jakiejś polsko żydowskiej komisji dobrej woli dumającej nad pojednaniem. Jeżeli tak, to potrzebne by były zupełnie inne publikacje – zawierające prawdę na poziomie faktów i intencji. Ponadto, posłanie tych publikacji powinno być kierowane głównie do Amerykanów i innych ludzi latami nasączanych kłamstwami i uprzedzeniami do Sarmatów. Komisja taka powinna też zauważyć, że z dwóch „jednąjących się” stron nas było stać na „przebaczamy i prosimy o przebaczenie” skierowane do Żydów (podobnie jak do naszych sąsiadów ze wschodu i z zachodu).

Żydzi, po tym posłaniu, żądają od nas „wiecznej pokuty” oraz upodlania się. Jakież byłoby to proste z ich strony, gdyby odwzajemnili nasze wystąpienia: *Przepraszamy za naszych pobratymców, którzy stworzyli i wdrażali komunizm, którzy splamili się zbrodniami przeciwko wam i innym narodom.* Bardzo proste, nieprawdaż? Powinni też stworzyć odpowiednik amerykańskiego OSI ([Office of Special Investigations](#)) w celu wyłapania komunistycznych zbrodniarzy i deportowania ich do krajów, gdzie dokonywali zbrodni. Jednym z nich byłby Morel, zbrodniarz, którego ekstradycji Izrael odmówił. Byłby to właściwy i zrozumiały krok na drodze do prawdziwego pojednania – czekamy na to!

Niestety, omawiany cykl publikacji w NDz pokrętnie zakłamuje znaną nam rzeczywistość. Z Polakami ten „numer” nie przejdzie. Uprzedzając niewłaściwe domysły podkreślam, że z jakiejś tam znajomości personelu NDz, a głównie z tego, co tam codziennie czytałem, jestem przekonany, że nie jest to żadna agentura „syjonizmu”. Po prostu chcą coś zrobić, ale bez dojścia do korzeni problemu nikt nic nie robi. Tym niemniej, to co piszę może zabołec autorów wywiadów. Przepraszam ich za to, są sympatycznymi ludźmi, mają dobre chęci. Postaram się wykazać, że idą błędną drogą.

W 1998 roku ukazały się w NDz dwa sążniste wywiady pisane jakby na zamówienie: wywiad z Samem i Arielem Halpernami pod tytułem „Pojąc mechanizmy tego świata” (NDz 1998.03.07) oraz wywiad pod tytułem „Nazywam się Aleksander Herschenbaum” (NDz 1998.04.03). Wywiady te były zamieszczone w sekcji pod tytułem „PUBLICYSTYKA”, co jest oczywistym zaproszeniem do wyrażania przez czytelników swoich niekoniecznie pochwalnych opinii. [Wcześniej Sam Halpern opublikował książkę „*Darkness and Hope*,” by Sam Halpern, Shengold Publishers, Inc., New York, 1996, której fragmenty są zbieżne z treścią wywiadu w NDz.]

Opublikowany wywiad z Samem i Arielem Halpernami rodzi więcej pytań niż daje odpowiedzi. W czasie okupacji, gdzieś koło Lwowa, polska rodzina uratowała Sama i Ariela. Jeżeli w czasie przeprowadzania wywiadów prowadzili swój amerykański biznes, to w 1944 roku musieli mieć około 15 do 18-tu lat. Zaraz po wkroczeniu Sowieców Sam został kierownikiem gorzelnii a Ariel buchalterem. Pytanie, jakie kwalifikacje oprócz pochodzenia i zaufania NKWD mieli ci nastolatki? Czyżby polski wieśniak nie tylko ukrywał ich przez całą okupację niemiecką, ale jednocześnie wykształcił? Więcej, Sam opisuje spotkanie z Polką, która jego zdaniem wydała Niemcom ośmiu członków jego rodziny (jakoby za pięć kilo cukru). Cytuję jego słowa: *Kiedy weszli Sowieci, spotkałem ją na ulicy, wyciągnąłem pistolet i przystawiłem jej do serca, żeby zabić.* Tacy „zaufani”, którzy po wejściu sowieców chodzili po ulicy z pistoletami i mogli wg własnego „wizymisie” zabijając pracowali dla NKWD, udając szczerą powinieli to wyznać.

W zakończeniu Sam dodaje, że Jana, jego dobroczyńcę, zabili Ukraińcy, a zdarzyło się to już po wejściu Sowieców. Ciekawostką jest to, że tak zwani „Ukraińcy” nie tylko zabili Jana pod okiem sowieckiej władzy, ale zakopali ciało w jakimś bezimiennym grobie. My bardzo dobrze wiemy, kto po wejściu Sowieców zabijał ludzi i grzebał w bezimiennych grobach. Jeżeli „sowiecki zaufany” Sam nie mógł odwdziżyć się i uratować Jana, to powinien przynajmniej powiedzieć prawdę, kto grzebał Polaków i Ukraińców w masowych bezimiennych grobach?

W innym miejscu Ariel twierdzi: *Tymczasem jednak w Polsce (rządzonej przez NKWD i UB) zaczęło robić się niebezpiecznie. Żydzi, którzy nie chcieli się wyrzec religii, byli represjonowani.* Ciekawe, przez kogo? Czy przez opanowane przez Żydów władze dokonujące pogromów polskiego niepodległościowego podziemia, pogromów resztek Niemców i Ukraińców, mordujące księży i aresztujące Wyszyńskiego?

A może miał na myśli polskie niepodległościowe podziemie zdradziecko przetrzebione tuż po akcjach pomocy Sowiecom w łamaniu oporu hitlerowców. Prawdą jest, że na wielu siepaczach oraz aktywistach nowego okupanta wykonano wyroki śmierci. Jeżeli pośród skazanych byli Żydzi, wówczas, jak to mówią Amerykanie, znaleźli się oni w niewłaściwym miejscu i w niewłaściwym czasie. Jeżeli zdarzyło się, że zlikwidowano bojówkę UB-NKWD złożoną z samych Żydów, wówczas Ariel i Sam mają prawo mówić nie tylko o represjonowaniu, ale i o zabijaniu sowieckich zbrodniarzy.

W kolejnej prezentacji Aleksander Herschenbaum („Alex”) na pytanie redaktora dotyczące objawów antysemityzmu w II Rzeczpospolitej odpowiada: *Na każdym kroku. Dzieci pytały na przykład, dlaczego zamordowałem Pana Jezusa.* Wyobraźmy sobie scenkę, idzie sobie pan Alex po ulicy a dzieciaczki podchodzą do niego i pytają: Dlaczego zamordowałeś Pana Jezusa? Czy nie jest to jakaś surrealistyczna wizja? Dzieciaki z bąblami w nosach zamiast grać w klasy, palanta lub klipę, chodzą za Alexem i zadają mu „wysane z mlekiem matki pytania”?

Gdyby jednak jakieś dzieci zadawały takie pytania, to jak Alex na te pytania reagował? Czy uciekał, chował się, aby te dzieci nie zaciągnęły go do „polskiego obozu koncentracyjnego”? Czy ktokolwiek o zdrowych zmysłach może mówić bez zająknięcia o teoretycznie możliwym pytaniu smarkacza i komorze gazowej jako o jednym i tym samym? Z wywiadu wygląda, że Alex jest ciągle przy zdrowych zmysłach – to promotorzy „polskiego antysemityzmu” oszaleli – wiedząc lub nie wiedząc o tym.

Niewiarygodny jest wstęp do tego wywiadu. Idąc za głosem „ludu” w postaci nieznanego mi czytelniczki redaktor NDz udał się do Alexa. Ta uskrzydłająca go czytelniczka Elżbieta mieszkała podobno w Ameryce od kilku lat. W międzyczasie poznała „zwyczajnego krawca”, który jak sam twierdzi był w firmie Ex-Cell Home Fashions Inc. szefem działu sprzedaży od Pittsburga i Waszyngtonu na zachodzie do Bostonu i Nowej Anglii na wschodzie (z jego wypowiedzi „co jest na wschodzie, a co na zachodzie” widać, że biedaczyna tylko podstawówkę w Polsce ukończył, a z geografii miał chyba pałę?).

Podobno pani Elżbieta zaproponowała prowadzącemu wywiad, aby napisał książkę o tym „zwyczajnym krawcu”. Zadeklarowała, że sfinansuje tę książkę „ze swoich skromnych środków” poświęcając je dla rozślawiania swojego dobroczyńcy. Pani Elżbieta posiadająca „skromne środki” na pewno nie była i nie jest prawą ręką Alexa w firmie Ex-Cell, jednak jest mu wdzięczna za pomoc. Redaktor nie wspomina, jaka to była pomoc, dochodząca czy 24 godzinna, tylko sprzątanie, czy też gotowanie? My też znamy dziesiątki „Elżbiet”, dochodzących i 24 godzinnych... Jednak coś nam w tej opowieści nie pasuje?

Ponadto Pani Elżbieta twierdzi, że Alex, mimo strasznych przeżyć w ciągu długiego życia odznacza się godną podziwu tolerancją i gorącym sercem... A pan Redaktor doceniając te „straszne przejścia i tolerancję” swojego rozmówcy w zakończeniu wstępu smutnie zauważa, że polscy rówieśnicy pana Alexa, niewątpliwie wylęgający się w uzdrowiskach Gestapo i łagrach Kołymy wykażą nietolerancję oraz gniewnie zareagują na opis „strasznych cierpień” Alexa, którego Sowietci ani na front ani do łagrów nie zagnali.

Dalsza część publikacji to już samo życie, które tak dobrze znamy, wbrew zamierzeniom Alexa potwierdzające to, co tak dobrze znamy. Między innymi „krawiec” Alex wyznaje: *W Polsce (Żydzi) byli skazani – z powodu trudnego dostępu do nauki – właściwie na kilka zawodów: krawca, szewca, stolarza, handlarza – a on chciał być kolejarzem!* Jak twierdzi Alex Żydzi (w Polsce) byli pozbawieni dostępu do wielu zawodów: *nie mógłbym na przykład pracować w gminie, na kolei czy jako nauczyciel w szkole powszechnej.* Niewątpliwie, po ukończeniu podstawówki nie mógłby być, tak jak w USA, szefem jakiegokolwiek działu – to za mało. Na pewno mógłby być woźnym, ponieważ Żydzi w Polsce przedwojennej zajmowali także wyższe stanowiska – oficerów – nawet jakiś generał był.

W jakiś czas po wejściu hitlerowców Alex pojechał do Małkini, gdzie jak twierdzi, były już tysiące młodych 15, 20 letnich ludzi bez rodzin. Niewątpliwie, tak jak on żydowskich krawczyków i szewczyków zmierzających do sowieckiej strefy okupacyjnej, aby jako pryncypialni kolejarze „kierować pociągiem historii”. Tuż po przejściu granicy ograbił go nieświadomy sowiecki żołdak, ale po dojściu do Krzyży przyjechał po nich specjalny „sowiecki pociąg”, i to nie taki z rozkładem jazdy „Pańska Polska – Syberia”.

Po skończeniu w parę miesięcy jakichś sowieckich kursów Alex natychmiast dostał pracę na kolei w Białymstoku. Jako człowiek skromny nie wspomina, jakie to były kursy, ani też jaką posadę na kolei zaferowała mu wspaniałomyślna władza radziecka – na pewno nie konduktora lub palacza. My wiemy, że Żydzi, jako „godni zaufania”, kończyli ekspresowe kursy NKWD i zajmowali kierownicze stanowiska we wszystkich instytucjach – w myśl sowieckiej zasady: „nie matura, lecz chęć szczerą, zrobi z ciebie oficera”. Czy taką to pracę na kolei dostał Alex, czy nadzorował masowe wywózki Polaków?

Bardzo szczerze Alex wyjaśnia na swoim przykładzie komunistyczne ciągoty Żydów: *Nie chciałem być krawcem!* (Trocki też nie chciał). *Pragnąłem zostać kolejarzem, ale nie miałem szansy na ukończenie odpowiedniej szkoły. Więc marzyłem – a wraz ze mną moi żydowscy przyjaciele – że Polska się zmieni.*

Rzeczywiście zmieniła się – pod sowiecką okupacją żydowscy szewcy i krawcy różnili, fastrygowali i wciskali Polaków w łapcie – naganami zaganiaли do komunistycznej „świetlanej przyszłości”.

Kontynuując wynurzenia Alex opisuje swoje „ciężkie” przeżycia w ZSSR. Przy okazji niechętnie gloryfikuje wolność, która w czasie wojny jakoby tam panowała: *W głębi Rosji przeżyłem sześć lat... Papiery? Nie miałem żadnych!, tylko książeczkę Kasy Chorych ze zdjęciem. ... (dla Sowietów) byłem zawsze Polakiem, aż do wyjazdu.* Tak, tak, proszę Państwa, w Ameryce prewencyjnie zamykano Japończyków w obozach internowanych, a w ZSRR „Polak bez dokumentów” (tylko z jakąś książeczką Kasy Chorych): *Włóczy się, bez domu i dobytku przez dwa lata po Rosji sowieckiej.* Żelazna musiała być ta książeczka Kasy Chorych ze zdjęciem, zdrowych Polaków „leczono” strzałem w potylicę.

Ciężko też w tym czasie Alex pracował: *Wylądowałem w Astrachaniu, w jakimś kolchozie (czyżby Astrachański Łągier?). Miałem mierzyć trawę po skoszeniu przez traktory.* Traktując Sołżenicyna jako zaprzańca, który jednak poznał życie obozowe, traktory ustawiano tylko do zdjęć ilustrujących „przodującą technikę radziecką”. Tacy jak Alex, którzy sprawdzali jakość wykonania różnych prac, jednocześnie decydowali o życiu i śmierci zagłodzonych „traktorzystów”. Za jeden centymetr w złą stronę podobny do kościotrupa „sabotażysta” mógł dostać kulę w łeb.

Godną podziwu jest też pryncypialność Alexa pałającego chęcią walki z faszystami i bolszewikami jednocześnie: *Pacyfistą można być wobec Anglików – jak Ghandi – ale przeciwko hitlerowcom i bolszewikom nie ma pacyfizmu* wyznaje Alex. Po latach „włóczęgi”, chyba w ramach walki z bolszewikami, Alex podjął męską decyzję: *poszedłem do komisarza i powiedziałem, że chcę zaciągnąć się do wojska – (oj, te sowieckie swobody, w Ameryce brali do armii bez pytania) liczyłem, że wtedy da mi konie i chleb. I tak się stało; pojechałem do Swierdłowska.* Cholera jasna! Trudno to dalej prezentować – śmiać się czy płakać?

Przejechanie z Astrachania do Swierdłowska ponad dwu tysięcy kilometrów, w dodatku „na koniach” i podczas wojny, jest wręcz kpina z czytelników. Każdy komisarz, „milicjonier”, oraz zwykły sowiecki „grażdanin” meldowali o wszystkich obcych pojawiających się w okolicach. A Alex, „Polak z książeczką Kasy Chorych ze zdjęciem” jako jedynym dokumentem, pokonuje tę trasę „na chlebie od komisarza”? Książka „za wdowi grosz” to mało, powinien powstać super film o tym żydowskim bohaterze, pogromcy bolszewizmu.

W Swierdłowsku jakaś młoda komunistka załatwiła mu pracę w fabryce nart, pomimo, że: *Wtedy miałem już sowiecki paszport z numerem 11. Oznaczał on, że jestem wrogiem narodu i nie mogę mieszkać w dużych miastach oraz przy granicy...* Równie łatwo jak z Astrachania do Swierdłowska „wróg narodu” dostaje się do Polski. W Polsce – nie podając szczegółów – spotyka się z antysemitkami napaściami, które po wojnie były dla niego moralnie dużo trudniejsze do zniesienia.

Być może napadał na niego niejaki Berman, polski antysemita? Rzeczywiście moralnie nie do zniesienia! Uzupełniając w tym duchu jego „bohaterskie przygody” można wyobrazić sobie, że Berman i jego spółka nie wpadli na trop kibucu syjonistów w okolicach Wałbrzycha. W kibucu na naszego Alexa Bonda czekała raketowa lotnia, którą kosząc Bermanowskie kukuruźniki przebił się do przyjaznych mu Niemiec. HAPPY END kochani polscy antysemitki! [Alex niewątpliwie nie był polskim Żydem, raczej niemieckim lub sowieckim. Polscy Żydzi (nawet z podstawówką) odróżniają kierunki północ - południe od wschód – zachód. Nie afiszowaliby także innych bzdur zawartych w opowieści Alexa.]

W tym publicystycznym cyklu (NDz 1998.04.25) ukazał się trzeci artykuł pod tytułem „Tryptyk” nawiązujący do lat 1968-1969 i „zmuszenia” tysięcy polskich Żydów do opuszczenia Polski oraz zrzeczenia się obywatelstwa. Opublikowano go w ramach szumnych celebracji trzydziestej rocznicy „haniebnego zmuszenia” przedstawiając trzy opowieści „ofiar polskiego antysemityzmu” – w tym zestawie jedna opowieść dotyczy emigracji okresu stanu wojennego.

Temat ten prowokuje pytanie: dlaczego nie odnotowano 10-cio i 20-lecia solidarnościowej fali wymuszonej emigracji? Emigracja ta nie doczekała się rocznicowych artykułów, fanfar, deklaracji, orderów Orła Białego i potępień władz „Stolzmanowej“ RP. Nasuwa się podejrzenie jakiegoś dwulicowości, fałszu lub kumoterstwa. Nie odnotowano też 50-tych rocznic zbrodniczego „zmuszenia” setek tysięcy Polaków do „emigracji” w sowieckie bezkresy i nie stworzono dla nich „szybkiej ścieżki” odzyskania obywatelstwa.

Niektórzy publicyści znają odpowiedź na pamięć: Ponieważ jesteśmy sami sobie winni, że nie zorganizowaliśmy tego, nie wręczyliśmy paszportów, nie nadaliśmy orderów. Kto więc w końcu zorganizował celebracje „marcowym” Żydom? Czyżby oni sami to wszystko „nakręcili”? Takie wątpliwości zamiast prowadzić do pojednania tworzą nowe uprzedzenia.

Przy okazji warto przypomnieć jaki charakter miało „zmuszenie” do opuszczenia Polski? Setki tysięcy Polaków oddałyby w tym czasie wszystko i boso przekraczałyby granicę na zachód, obo tylko nie strzelano w plecy. Trzeba też jasno powiedzieć, kto kogo zmuszał i w jaki sposób. Przecież nie wszystkich „zmuszono”, parę dziesiątków tysięcy zostało. Jeżeli już ktoś zmuszał, w dodatku na podstawie uchwał, które dawały unikalny przywilej wyrwania się z komunistycznego kotła – zmuszali „partyjni towarzysze”. Traktowali przy tym zmuszanych z galanterią obcą tym, którzy zmusili miliony Polaków do „przesiedlenia” na Syberię.

Jeżeli tymi „partyjnymi towarzyszami” byli Polacy, wówczas wszyscy „zmuszeni” powinni przekazać im najgorętsze „partyjne podziękowania” za tak mało „pryncypialne” potraktowanie (zgodnie z tradycją NKWD i UB należało stosować egzekucje lub wywózki do sowieckich łagrów). Także, nikogo nie zabierano w nocy z domu i z tobołkiem w ręce nie pakowano do bydłych wagonów podstawionych na stacji Warszawa Gdańska. Dlaczego „zmuszano” ich tak delikatnie? Może dlatego, że większość z tych ludzi, po wprowadzeniu i „utrwaleniu” komunizmu, była w dalszym ciągu „towarzyszami”? A może była to tylko taka „pierestrojka” prowadząca do roszady na eksponowanych stanowiskach, a odsunięci od żłobu nie mogli pogodzić się z tym, że będą zwykłymi obywatelami PRL?

Ponadto, dlaczego Polacy mają bić się w piersi za „zmuszenie”. Nie jest żadnym sekretem, że od zarania „władzy ludowej” upragnionym marzeniem Polaków było pozbycie się komunistów. Polacy marzyli, aby sprawiedliwie – niezależnie od pochodzenia, narodowości lub wieku – wszyscy komuniści wybyli na wschód lub na zachód, lub najlepiej do piekła. Prawie doczekaliśmy się tego? Przynajmniej z tego względu nie mamy żadnych powodów, aby poczuwać się do winy za jakiegoś „zmuszenie” lub uczestniczyć w dorabianiu martyrologii żydowskim twórcom i długoletnim komisarzom PRL...

Czytając „Tryptyk” można zauważyć dużą różnicę w porównaniu z wcześniej opublikowanymi w Ndz wywiadami. Jasnym jest, że ludzie ci wychowali się pośród nas, że posiadają umiejętność komunikowania się z nami. Jednocześnie łatwo zauważyć fałsz i tuszowanie prawdy o pokoleniu ich rodziców. Nie chodzi mi o ich konkretnych rodziców, a o całe pokolenie Żydów wprowadzających i utrwalających „władzę ludową”. Między wierszami można przeczytać: Nasi rodzice i my jesteśmy ofiarami komunizmu, to Polacy są wszystkim winni. Pokrętnie deklarując przywiązanie do Polski boją się wziąć na siebie chociażby odrobinę winy tego niby naszego wspólnego pokolenia „utrwalaczy władzy ludowej”. Nie jest to uczciwa gra. W sytuacji, gdy wszystkie pokolenia Polaków obciąża się „tradycyjnym polskim antysemityzmem”, oni powinni wziąć na siebie przynajmniej część paskudnego balastu pokolenia swoich rodziców.

Z pierwszej wypowiedzi „Tryptyku”, pani Luby Szmerkowicz, wynika, że miała „aryjski” wygląd, jednak: *z młodszym bratem było już gorzej, bo miał czarne kędziory i dzieci wołały za nim na podwórku „Cygan”*. Trzeba zauważyć, że dzieci nagminnie używają różnych często obraźliwych przezwisk. Do najpopularniejszych należą: pedał, dupa, grubas, zakonnik, Żyd, żółtek, czarnuch, Hindus, Spaniol, Polak..., najczęściej z dodatkiem „głupi”. Zaskoczonych powyższym zestawem przezwisk informuję, że nie są to przezwiska używane przez dzieci w Polsce. Tą małą kolekcję przezwisk zebrałem w USA i przetłumaczyłem na język polski. Pragnę dodać, że mieszkaliśmy w USA w porządnej miejscowości, bez jakichś konfliktów

rasowych lub etnicznych. Oprócz jednego wszyscy koledzy mojego syna pochodzili z „odwiecznych” amerykańskich rodzin. Nie występowało przezwisko „Cygan”, ale bardzo popularne były przezwiska typu „pedał” (fag, faggot i gay lord), a także Żydek.

Niewątpliwie z bratem pani Luby nie było ani gorzej ani lepiej – było normalnie. W mojej podwórkowej i szkolnej grupie kolegów oprócz Długiego, Abrahama, Pajaka, Kartofla i Bizu, byli jeszcze „Szkopek” i „Żydek”, absolutnie nie mający nic wspólnego ani z Niemcami ani Żydami. Tak się dziwnie złożyło, że po wyrośnięciu „Żydek” wyjechał do USA a „Szkopek” wyjechał do Niemiec. Jako wybitny specjalista dostał dożywotnią posadę chirurga w szpitalu stowarzyszonym z Uniwersytetem w Heidelbergu. „Szkopek” zawsze był moim serdecznym przyjacielem, chociaż wszyscy wiedzieliśmy, że jego litewska rodzina uciekła do Polski, aby uratować się z sowieckich pogromów Litwinów.

Niewątpliwie, wyznanie pani Luby, że z bratem było już gorzej, jest taką małą szpileczką, z której co gorliwsi antysarmaci zrobią „tradycyjny polski antysemityzm”. Jeżeli chodzi o reakcję kolegów ojca pani Luby na jego „wygnanie” (z spółdzielni „Metaloplastyka” w Szczecinie), to są dwa warianty. Jeżeli był robotnikiem, to w 1968 roku koledzy robotnicy nie byli jeszcze na tyle odważni, aby w jakiegokolwiek formie protestować. Jeżeli był wysoko postawionym partyjnym prezesem, co jest bardziej prawdopodobne, wówczas zastępcy tylko czekali, aby zając jego miejsce, bez względu na jego pochodzenie.

Pani Luba może odczuwać ból za ojca: *za jego dwukrotnie zmarnowane życie*. Jednak deklarując, że jest polską fanatyczką, powinna również odczuwać ból za trzykrotnie zmarnowane życie całej generacji Polaków: od okupacji hitlerowskiej, poprzez sowiecko-UBecki terror do PRLowskiej siermięgi. Jeżeli rodzina pani Luby też ciężko przeżyła sowiecki terror (???), to przynajmniej udało się jej bez trudu skrócić siermięgę PRL, sprzedali meble i wyjechali. Czy też tak jak „solidarnościowi” internowani musieli podpisać oświadczenie: „całe mienie wywieziono”?

Kolejna opowieść pana Grzegorza Husa ma jeden bardzo sympatyczny wątek. Jak twierdzi Hus jego ojciec był antykomunistą i chyba bezpartyjnym? Nie wykorzystał szansy: „nie matura, lecz chęć szczerą”, nie awansował błyskawicznie na jakiegoś szefa zakładów Diora w Dzierżoniowie na Dolnym Śląsku. Podobno robił to, co dobrze znał. Chociaż był biednym – nie zaparł się swojego zawodu fryzjera (tak twierdzi pan Grzegorz Hus). Niestety, pan Hus zawiódł się na swoich przyjaciółach. Twierdzi, że nazajutrz po wybuchu wojny izraelsko-arabskiej jego ukochany przyjaciel z kawiarni Mokka, „Pele” nie podał mu ręki i powiedział: *Ja syjoniście ręki nie podam*.

Jednak coś w tym nie gra. Po pierwsze, „nazajutrz” propaganda PRL nie miała jeszcze pojęcia, jak tą wojnę traktować. Po drugie, jeżeli obracał się w towarzystwie normalnych Polaków, sympatie były raczej po stronie Izraela. Jeżeli za przyjaciół miał „aparaczyków”, był to jego wolny nieprzymuszony wybór. [A propos, tuż po rozpoczęciu pracy w Warszawie razem z paroma przyjaciółmi wpadaliśmy do jedynej restauracji żydowskiej. Podobało się nam, że nasi Żydzi dali łupnia sowieckim Arabom. Dania były dobre, ale teraz, po doświadczeniu stuprocentowej „koszeryzacji” amerykańskich supermarketów powstrzymałbym się od finansowania rabinów. Część produktów jest oznaczona jako koszerne, większość ma „tajne” symbole „koszeryzacji” znane tylko dla wtajemniczonych ([reliable kosher symbols](#)). Za odprawienie rytuału „koszeryzacji” producenci płacą rabinom „datki” w wysokości dziesiątków tysięcy dolarów wliczane w ceny produktów kupowanych przez wszystkich konsumentów, w większości nie Żydów].

Trzecia opowieść pani Katarzyny Kietlińskiej-Goliger z Gdańska także nawiązuje do „marcowych” wydarzeń. W 1968 roku jej ojciec został wyrzucony z wojska. Bez informacji o randze i rodzaju służby trudno wyrobić sobie niezależną opinię o „podłożu” sprawy – domyślnie sugerowany jest „polski antysemityzm”. Jeżeli był etatowym sierżantem, zrobiono mu na pewno krzywdę. Jeżeli był oficerem kontrwywiadu lub „politycznym” – wszyscy kwalifikowali się do wyrzucenia, i nie tylko. Nawet ci, którzy objęli te stanowiska po 1968-mym roku, powinni być dokładnie „rozliczeni”. W pierwszej kolejności powinni być jednak rozliczeni pełniący tą „służbę” od początków PRL. Powinni być rozliczeni nawet zaocznie i pośmiertnie.

W opowieści tej jest też taka mała „szpileczka”, z której przy dobrych chęciach można zrobić widły. Gdy była dzieckiem znajome jej matki, przeważnie starsze wiekiem kobiety, podobno brały ją pod brodę, wpatrywały się badawczym okiem i mówiły: *jaką ty masz dziecko orientalną urodę*. Dla stępienia „szpileczki” zaraz dodaje: *ale zdarzenia te nie miały poważnych konsekwencji*, w domyśle – nie sprzedano jej za 5kg cukru na śmierć w polskich obozach koncentracyjnych. Czy była to jednak szpileczka? Może obdarzano ją komplementami, ponieważ jest wiele osób zafascynowanych orientalną urodą. Ponadto, w tym czasie słowo „orientalna” absolutnie nie przystawało do oceny urody, koloru włosów, czy typu układu twarzy. W odniesieniu do urody używane były inne określenia: „żydowska”, „cygańska”, „azjatycka”, „szwedzka”, „mongolska”, itp. W tym zastosowaniu słowo „orientalna” jest czystym amerykańizmem.

Jak sugeruje podtytuł „Postscriptum” pani Katarzyna i cały „Tryptyk” podsumowują polski antysemityzm. Ona, wraz z dwoma poprzednimi rozmówcami, wspomniałomyślnie deklarują, że nie żywią nienawiści, uczucia zemsty lub urazów – oczywiście do Polaków. Jest to bardzo sympatyczne wyznanie, Polacy w całej pełni odwzajemniają te uczucia. Będąc jednak za pojednaniem mogliby pójść dalej, np., skłonić co poczytniejsze pisma żydowskie, włączając prasowe giganty USA, do opublikowania swoich wypowiedzi – nawet bez usuwania „szpileczek”. Mimo najlepszych chęci pognano by ich tam, gdzie pieprz rośnie, a po drodze straciliby zasiłki i przywileje, opisami których tak bardzo chcą nas olśnić. Jeżeli chodzi o wspomniane w tekście napisy i symbole antyżydowskie w Polsce – to „kudy” nam do USA, a szczególnie do krajów zachodnioeuropejskich. Smutne to jest, ale prawdziwe.

Czwartym artykułem nawiązującym do wydarzeń marcowych jest opowieść o Jerry Bergmanie, opublikowana pod płaczkliwym tytułem: „Jak ptak wyrzucony z gniazda...” (NDz 1998.07.17). Rodzice Jerry (Jurka) Bergmana żyli i zmarli w Tarnowie (ojciec w 1982 roku a matka w 1989 roku). Pan Bergman wspomina, że urodził się w jakimś „służbowym” budynku (obecnie liceum), nie wyjaśnia jednak jakie „służby” rezydowały w tym budynku... Podobno dopiero po wydarzeniach marcowych, gdy miał około 20 lat, skończyła się jego „sielanka”, oderwano go od rodziców i zmuszono do emigracji...?

Co za bzdury „Oderwano, zmuszono?”. Pan Bergman traktuje czytelników NDz jak idiotów. Ale dlaczego NDz publikując cały ten cykl pozwala, aby na jego łamach ublizano inteligencji jego czytelników? Nawet szczerą chęć pojednania nie powinna pozwalać na przymykane oczu na kłamstwa i nonsensy! Nie jest to tajemnicą, że gdyby NDz pozwolił sobie na całą prawdę, wówczas mógłby być zniszczony przez Żydów kontrolujących media w USA. Jeżeli jednak podąży za fatamorganą samo upadającego pojednania, wówczas straci swoich czytelników.

Przypuszczalnie jest jeszcze jedno źródło „samo cenzury“ NDz. Znam to z własnych rozterek powstających przy poruszaniu w „Okruchach“ tematów związanych z Żydami. Parę sympatycznych osób, które lubię i szanuję, nie kryło swoich domieszek żydowskiej krwi. Miałem do wyboru samo cenzurę, albo ryzyko urażenia uczuć tych przyjaznych i bardzo porządnym ludzi. Był to bardzo trudny wybór. Zaniechałem samo cenzury licząc, że osoby te zrozumieją, dlaczego nie pominąłem w „Okruchach“ tematów trudnych, nie dotyczących ich osobiście, być może jednak w pewnym sensie przykrych dla nich.

Szczególnie ze względu na te osoby uważam, że pojednanie byłoby piękną rzeczą, ale kluczem do niego musi być prawda i szczerść. Tak, mamy uprzedzenia do Żydów, ale w wielowiekowych doświadczeniach żydowskich nie ma to żadnego znaczenia, jest to tylko mikroskopijna drobinka ogólnoswiatowego uprzedzenia do nich. Właściwie wątpię, czy kiedykolwiek załapiemy się na „pociąg zwany pojednaniem”. Może..., gdyby..., parlament izraelski poprosił o pozwolenie odbycia jednej sesji w Polsce. Gdyby odwzajemnił proste „przebaczymy i prosimy o przebaczenie”, gdyby podziękował za wieki gościny, jakiej Rzeczpospolita udzielała Żydom, za wręcz uratowanie ich istnienia i umożliwienie rozwoju. Może wtedy tak od serca, a nie propagandowo czy koniunkturalnie, bylibyśmy bardziej przychylni Żydom, nawet wtedy, gdy znowu cały świat odwróci się od nich, tak, jak to było w czasach holokaustu.

BARAK ZWANY PRL

Czy to był tylko barak czy POLSKA? Retoryczne pytanie – PRL było jednym i drugim. Barak, ponieważ narzucono nam wszystko, system polityczny, ideologię, ekonomię i wielkorządców. Polska, ponieważ nigdy nie zaakceptowaliśmy tego gwałtu usiłującego zniszczyć naszą sarmacką osobowość. Po „Okraślonym stole” przyszedł czas na rozliczenie okresu PRL – dekomunizacja, lustracja, ocena ludzi i wydarzeń. Jakie kryteria oceny? Czasami wydaje mi się, że już jestem blisko tego, co układa się w sensowny obraz. Ale zaraz, ciągle żywa przeszłość PRL, podsuwa wątpliwości. A ta przeszłość to nie mgnienie oka, to długie lata.

W parę lat po wojnie zapadła decyzja o zaprzestaniu oporu zbrojnego przeciwko komunistom. Wielu naszych bohaterskich żołnierzy ruchu oporu wymordowano, innym dorobiono fałszywe historie kolaboracji z hitlerowcami lub oskarżono o różne zmyślane podłe uczynki. Niektórych złamano torturami i zmuszono do współpracy. Ci z nich, którzy jeszcze żyją, często na skromnych emeryturkach, powinni otrzymać słowa najwyższego uznania za ich życie, wielkie życie, a czasami słowa współczucia za ich cierpienia. Oprócz podziękowania musimy zadbać, aby ich życie było bardziej znośnym, nawet powstrzymując nasze apetyty.

W warunkach powojennego totalnego terroru zaniechanie tworzenia zorganizowanej opozycji było konieczne. Była to jednak ryzykowna próba, pytanie zadane przyszłości: czy odtworzą się w naszym społeczeństwie właściwe nam proporcje pomiędzy ludźmi bezgranicznie oddanymi sprawie Ojczyzny i resztą, ich wiernymi „kibicami”? Jednak bez zorganizowanej opozycji nie mieliśmy łatwo czytelnych drogowskazów, a jako społeczeństwo musieliśmy funkcjonować. Nie do pomyślenia byłaby sytuacja, w której totalna odmowa współpracy z reżimem doprowadziłaby do braku sołtysów, brygadzystów, kierowników różnych instytucji, nauczycieli, naukowców i pracowników służby zdrowia. Mieliśmy tych ludzi, wielu z nich było naszymi polskimi „niby komunistami”.

Czasami mam wątpliwości, czy kiedykolwiek poza pierwszym okresem panowania „koszernych komunistów” mieliśmy jakąkolwiek znaczącą ilość naszych rodzimych komunistów? Myślę, że było tak, jak powiadali Rosjanie: *Polscy komuniści są jak rzodkiewka, czerwoni z zewnątrz a biali w środku*. Jacy oni byli, ci nasi polscy komuniści? Ile w nich było czerwieni ile bieli? Co indywidualnie każdy z nich robił i kiedy włączył się do tak zwanego budowania socjalizmu?

Osobiście wyróżniłbym trzy okresy historii PRL:

- (1) **OKRES TERRORU** – od tak zwanego „wyzwolenia” do objęcia władzy przez Gomułkę,
- (2) **OKRES „OSWAJANIA”** – do czasu objęcia władzy przez Gierka; oraz,
- (3) **OKRES OPORTUNIZMU** – do „Okraślonego stołu”.

Bez próby głębszej analizy zasadności tych nazw, można chyba zaakceptować, że w **OKRESIE TERRORU** była wyraźna polaryzacja: my (społeczeństwo) i oni (w skrócie NKWD i UB). Zgodnie z nazwą rządzenie polegało na krwawym terrorze. Dodatkowym ważnym elementem tej polaryzacji był fakt, że zdecydowana większość decydentów i egzekutorów aparatu terroru była pochodzenia żydowskiego. [Przedwojenni polscy obywatele lub przybyli z ZSRR Żydzi często i niesprawiedliwie uważani za Rosjan. Dążąc do pojednania z Rosjanami powinniśmy zrezygnować z amerykańskiej „nowomowy”, w której żydowscy emigranci z byłego ZSRR są Żydami, jeżeli można powiedzieć o nich coś dobrego. Jeżeli mówi się o nich coś złego (gangsterzy), wówczas określani są tylko i wyłącznie jako Rosjanie.] Symptomy dwóch następnych okresów, osławiania i oportunistycznego, istniały równoległe jako drugorzędne.

W **OKRESIE OSWAJANIA**, po pewnym kosmetycznym „rozładowaniu” totalnej opozycji społeczeństwa i usunięciu w cień najbardziej wyróżniających się siepaczy, nastąpił okres dostosowywania się społeczeństwa do egzystowania w „realnym socjalizmie”. Wiele osób z oporami wstępowało do PZPR lub do innych fasadowych partii. Od tego zależało ich w miarę znośne egzystowanie po tak ponurym i wyniszczającym okresie wojny i terroru. Zdecydowana większość z mieszanymi uczuciami musiała realizować „obowiązkowe dostawy” swojego zawsze unikalnego życia „smarując tryby” zarządzanego przez partię systemu.

Dawni decydenci i egzekutorzy z okresu terroru mieli uprzywilejowany dostęp do różnych atrakcyjnych posad i pozycji społecznych umożliwiające im pełną kontrolę społeczeństwa. Ulokowali się na kierowniczych stanowiskach w przemyśle, nauce i kulturze, zapelnili też uczelnie i instytuty naukowe. Inni robili karierę w wojsku lub jako kierownicy działów kadr prowadzili politykę kadrową. Ich obecność i wpływy mogły w każdej chwili spowodować nawrót do metod okresu terroru.

W **OKRESIE OPORTUNIZMU** przynależność do partii straciła jakikolwiek charakter ideologiczny. Kształtująca się „nomenklatura” stawała się etnicznie polska. Pomimo nepotycznych i klikowych powiązań nomenklatura nabrała otwartego charakteru umożliwiając dopływ nowych ludzi pragnących zrobić karierę poprzez wstępowanie do PZPR i innych fasadowych organizacji. O sukcesie jednostki zaczęły decydować „dojścia” i „układy” przy bardzo formalnym i marginesowym traktowaniu deklaracji ideologicznych. Pod wpływem zewnętrznych nakazów, oraz dla zachowania swojej uprzywilejowanej pozycji, nomenklatura sporadycznie uciekała się do działań dominujących w okresach terroru i oswajania.

Ta propozycja klasyfikacji historii PRL może pomóc w ocenie postępowania ludzi, których nazywamy komunistami. Oprócz rangi zajmowanego stanowiska istotnym byłby charakter okresu, w którym „lustrwany” zajmował dane stanowisko i jakie odniósł sukcesy w nieudanej próbie sowietyzacji Polski. Z przestępstwami kryminalnymi, mordercami i siepaczami nie powinno być kłopotów. W innych przypadkach jakiegokolwiek ustalenia prawne byłyby zbyt ubogie, aby pozwolić na jednoznaczną ocenę postępowania różnych ludzi. Co do jednego nie można mieć wątpliwości – jeszcze przez długi okres czasu będzie kwitła śliska gra polityczna pełna niewybrednych epitetów i często niemożliwych do zweryfikowania pomówień. [Na katów UB najlepszym rozwiązaniem byłoby wynajęcie grupki emerytowanych, ale krzepkich „śledczych” NKWD. Po odtworzeniu jakiejś katowni UB przeprowadziliby śledztwo znanymi im metodami. Już sam przyjazd tych „specjalistów”, nie uwzględniających ani wieku ani żadnych chorób „podejrzanych”, mógłby doprowadzić do szybkiego zakończenia ciągnące się latami procesy UBowskich zbrodniarzy.]

Niezależnie od oceny moralnej złym i dobrym spadkiem po PRL jest oportunizm. Ten ostatni okres oportunistyczny bez zachwiania wkroczył w III Rzeczpospolitą, już bez ideologicznego parawanu stał się lepiej widoczny. Dawne koterie, rozeznanie i wyrobiona sprawność w gromadzeniu dóbr stworzyły wiele postkomunistycznych fortun. Czy bez obawy o pomieszanie pojęć można tych nowobogackich nazwać komunistami, albo nawet postkomunistami? Może niektórzy z nich są złodziejami, takimi jak byli w PRL, ale na większą, kapitalistyczną skalę? Jedno wydaje się pewne, będą najgorliwszymi obrońcami kapitalizmu. Nie wiadomo tylko, czy i u nas, sprytny a bogaty złodziej będzie miał szacunek i dostęp do najwyższych zaszczytów, czy pozostanie – przynajmniej w powszechnym odczuciu – po prostu złodziejem?

Trudno mi ocenić, czy zaproponowana powyżej klasyfikacja pomoże w lustracji lub dekomunizacji. Moje powyższe wywody potwierdzają raczej powszechne odczucie, że nasze osobiście znane „komuchy” są jak skrzaty, dobre lub złe, w zależności od tego, kto o nich opowiada i jakie są cele opowieści. Prawdą jest, że było wielu członków PZPR, nawet na eksponowanych stanowiskach, przeklinających razem z nami komunizm. Nie brataliśmy się z komunistycznymi dygnitarzami, tak jak nie bratamy się z dygnitarzami III Rzeczpospolitej. Osobiście znani mi „komuniści” – prawie bez wyjątków – byli normalnymi ludźmi. Jedno jest pewne, że musieli być wśród nas „czerwoni z wierzchu, a biali w środku”. Dzisiaj odwoływanie się do komunistycznej przeszłości oponentów ma najczęściej charakter rozgrywki politycznej i jest żałośnie mało skuteczne. Tym niemniej, jeszcze mniej skuteczne byłoby powoływanie się na komunistyczną przeszłość.

Pomimo proponowanego poprzednio generalnego podziału historii PRL na trzy okresy: terroru, oswajania i oportunistyczny, jest możliwość innego podziału, bardziej subtelny, być może najistotniejszego. Ze względu na zmasowane ataki propagandowe organizacji żydowskich podział ten nie jest postrzegany jako zasadnicze zróżnicowanie dwóch bardzo różnych okresów historii PRL. Na skutek tych ataków, zupełnie sztucznie, wyodrębniono i „wykreowano” wycinek historii PRL znany jako wydarzenia marcowe ([Marzec 1968](#)).

Z punktu widzenia społeczeństwa w tym krótkim okresie czasu pozornie nie nastąpiły żadne istotne zmiany. Walka o stołki oraz przetarasowania w partii i administracji nie zakończyły „dyktatury proletariatu”. Dopiero gdy spojrzymy na okres Solidarności i Okrągłego Stołu zrozumiemy, jak istotne były te zmiany. W tej walce pomiędzy narzuconymi nam komunistycznymi administratorami wyeliminowani zostali twórcy i egzekutorzy z okresu terroru. Wybyli poza nasze granice, często wraz ze swoją młodszą generacją przygotowywaną do przejęcia pałeczki po swoich rodzicach, niestety, nie wszyscy. Pozostało ich wystarczająco dużo, aby utworzyć różnego rodzaju „różowe salony” w wielu dziedzinach życia.

Gdyby [Helena Wolińska](#) i jej podobni nie wybyli z Polski, nie trzeba mieć zbyt bujnej wyobraźni, aby przewidzieć, jakie krwawe represje byłyby odpowiedzią na strajki i powstanie Solidarności. Po prostu historia PRL potoczyłaby się zupełnie inaczej, nie doczekalibyśmy się także upadku sowieckiego imperium. Zamiast kontrowersyjnego Okrągłego Stołu mielibyśmy znowu drewniane stołki, na których maltretowano by tysiące młodych ludzi, tak jak to było w okresie terroru. Zamiast bojkotu telewizji w czasie stanu wojennego, mielibyśmy na ekranach tabuny „ideologicznie poprawnych” dziennikarzy, twórców kultury i naukowców – już przygotowanych i ustawionych do rządzenia nami przez „marcowych” rodziców.

Nie przeceniam zasług tych aparatczyków, którzy wysiudali „marcowych” zarządców. Byli oni ich wychowankami, jednak nie byli zdolni do masowych i brutalnych represji przeciwko swoim rodakom. Właśnie ten „brak zdolności” jest ich być może nieświadomą, ale bardzo ważną zasługą. Przyciśnięci do muru bezkrytycznie oddali władzę. Wydarzyło się coś, co byłoby nie do pomyślenia, gdyby zarządzili nami ich przed marcowi poprzednicy lub ich latorośle. Przy okazji ta część przed marcowych zarządców, która nie wyjechała z Polski, wystąpiła razem z resztą społeczeństwa przeciwko „nie swojemu” już PRL-owi. Ich zasług w obaleniu PRL też nie przeceniam, w odróżnieniu od „roboty” zrobili na tym niezły interes.

Innym, ważnym aspektem „marcowego przełomu” było podważenie powszechnie lansowanych tez, że tylko Żydzi są twórcami kultury nauki i sztuki. We wszystkich krajach, niezależnie od ustroju, pyszną się tym i opanowują wszelkie dostępne elity. W tym względzie sytuacja w powojennej Polsce była wręcz ponura. Hitlerowcy i sowieccy komisarze wymordowali kwiat polskich umysłów, wystarczy tylko wspomnieć Katyń. Zaraz po wojnie nie wymordowana część polskiej inteligencji była szykanowana, często zamykana w więzieniach, nawet nie było mowy o dopuszczeniu ich do zawodów luminarzy kultury, nauki i sztuki. Ci, którzy przeżyli, chociażby tylko w pamięci ludzkiej, znikali z półek, publikacji i encyklopedii, skazywani byli na oficjalny niebyt. Nawet ich dzieci ze względu na rodziców miały utrudniony start życiowy. W „teczkach” spisane były „winy” paru pokoleń wstecz, krewni na zachodzie, chodzenie do kościoła i „podejrzane” znajomości.

Miejsce naszych autentycznych luminarzy zajęli poprawni politycznie i rasowo „proletariusze”, często importowani i uczący się języka polskiego. Ta nowa grupa „luminarzy” miała monopol na publikacje, pomoc finansową i dostęp do publikatorów, które to dobra nawet miernotom dorabiają aureole geniuszy. Ileż to talentów w różnych dziedzinach zostało zmarnowanych, nigdy nie odkrytych, ponieważ upadłano ich i nie dopuszczano do twórczej działalności. Ci, o najmocniejszych charakterach, którzy po cichu coś tworzyli, lub pisali, byli surowo represjonowani. Wielu twórców, pod kloszem koszernego monopolu czerwonych komisarzy, zmuszonych było do wykonywania najgorszych prac, aby przeżyć. Na ich prochach wyrosły całe plejady „rasowo poprawnych luminarzy”, do dzisiaj zazdrośnie strzegących swoich zdobytych w niegodny sposób pozycji.

REWINDYKACJA

Wraz z upadkiem PRL powstał problem zwrotu znacjonalizowanego lub w jakiś inny sposób rozdysponowanego przez administrację PRL mienia. Pojawiają się też żądania zaspokojenia różnych dawnych zobowiązań przypisywanych rządowi II Rzeczypospolitej i jego agendum, często oparte na przekupstwach lub fałszerstwach. Potencjalnym adresatem podobnych żądań mogą też być instytucje, które w jakimś sensie są spadkobiercami instytucji istniejących przed powstaniem PRL. Czy problemy te stanowią jakąś historyczną nowość? Czy są one charakterystyczne tylko dla naszego regionu? Czy powstały one dopiero na skutek działań totalitarnych reżymów dokonujących zbrodniczych eksperymentów na całych społecznościach? Na pewno nie. Niewątpliwie problemy te są stare jak świat.

Chyba zawsze i we wszystkich społecznościach istniały jakieś stosunki własnościowe. Trudno sobie wyobrazić, aby jaskiniowcy nie mieli poczucia posiadania jaskini, lub, aby maczugi stały na stojakach jak karabiny w koszarach przypadkowo łapane w łapska przed każdym polowaniem. Nawet zwierzęta mają swoje tereny, które we właściwy sobie sposób oznaczają, pilnują i bronią. Istniały też zawsze jakieś prawa nabywania (zdobywania) i ochrony własności. Chyba najstarszym i w skali wielkich historycznych przemian najpowszechniejszym było prawo silniejszego. Zaczynając od Biblii, poprzez wszystkie imperia i czasy, zabierano ziemię i dobytek, mordowano lub zniewalano różne ludy lub narody. Właściwie do naszych czasów niewiele się zmieniło.

Każdy taki dramatyczny przełom historyczny ustanawiał nowe stosunki własnościowe. Bogatych czynił biednymi, panów zamieniał w służących, a na gruzach jednych cywilizacji powstawały inne. Taka jest właśnie okrutna prawda historii rodu ludzkiego. Wydaje się jednak, że po chwilowych zniszczeniach, dogłębne zmiany stosunków własnościowych stymulowały cykle rozwoju i postępu. Pomiędzy tymi przełomami historycznymi stosunki własnościowe stabilizowały się, rządzone były prawami tworzonymi przez nowe społeczności. Nie musiały to być nowe prawa, najczęściej wzorowane były na jakichś tradycyjnych prawach, a nawet na prawach zdominowanego społeczeństwa. Jednak z dobrodziejstw tych praw własności korzystały już inne jednostki i społeczeństwa.

Takie dramatyczne zmiany zachodziły i zachodzą we wszystkich zakątkach kuli ziemskiej. Jaki jest sens tych wszystkich zmian stosunków własnościowych? Jednym z efektów są zmiany cywilizacyjne oraz rozwój coraz to nowych społeczności. Po starożytnym Egipcie pozostały piramidy, nie jesteśmy jednak poddanymi którejś tam z kolei dynastii faraonów. Możemy oglądać Koloseum, ale nie jesteśmy prowincją Imperium Rzymskiego, a byli już niedaleko nas. Zawsze po takich dramatycznych zmianach stosunki własnościowe będące częścią struktury społecznej rozwijały się i utrwały, aż do następnego historycznego przełomu.

Działo się to zazwyczaj w obrębie bardziej lub mniej zamkniętych społeczeństw. Rozsądnym byłoby oczekiwanie, aby po przełomie historycznym okres ewolucyjnych zmian struktur społecznych jak najlepiej służył danej społeczności i przygotował ją do konfrontacji z wszelkimi możliwymi zagrożeniami przyszłości. Ułożenie stosunków własnościowych byłoby w tym przypadku czymś podrzędnym, podporządkowanym nadrzędnemu celowi dobra danej społeczności. Często określenie co jest dobre dla danej społeczności, a co złe, ucieka jednomyślności, musi być jednak czymś nadrzędnym. Ponadto, automatyczne przywracanie stosunków własnościowych sprzed przełomów historycznych nie zawsze jest możliwe, może też być zgubne dla stabilizacji i konsolidacji nowo powstających struktur społecznych.

W naszej sytuacji a także w sytuacji wielu naszych sąsiadów musimy przyznać, że przeżyliśmy właśnie taki dramatyczny przełom historyczny, w którym uprzednie struktury społeczne, terytorialne i własnościowe zostały wręcz nieodwracalnie zmienione. Miliony ludzi straciło życie, duże połacie ziemi znalazły się za nowymi granicami, wiele nieruchomości było zrównanych z ziemią. Przez lata różne dobra były odbudowywane lub przynajmniej utrzymywane przez nowych właścicieli.

Co by było gdyby..., gdyby były one w posiadaniu ich uprzednich właścicieli? Może kwitłyby i służyły całemu społeczeństwu? Może uległyby ruinie i straszyły swoim upadkiem, lub w jakiś inny sposób zmieniłyby właścicieli? Wszystkie to „może” nie ma żadnego sensu. Po przełomie historycznym zaczynamy wręcz od nowa kształtować nasze stosunki społeczne i jako część z nich stosunki własnościowe – jedynym kryterium musi być dobro naszego społeczeństwa.

Absolutnie niemożliwym byłoby odtworzenie stosunków własnościowych sprzed II wojny światowej. Jeżeli ktokolwiek chciałby je odtwarzać, wówczas dlaczego nie odtworzyć własności znamienitych rodów i bohaterów naszych powstań przeciwko zaborcom? Byli wydziedziczani i zsyłani na katorgę. Ileż jeszcze takich historycznych uprawnień do własności sentymentalnie i moralnie uzasadnionych musielibyśmy odtworzyć? Jak głęboko w przeszłość trzeba by było sięgnąć? Po prostu nie jest to możliwe.

Musimy zacząć od stanu, który zastaliśmy po odzyskaniu niezależności, np. w dniu 1 stycznia 1991 roku. Zgodnie z tym stanem ziemie za [Linia Curzona](#) były poza naszymi granicami, wielkie majątki były rozparcelowane, przemysł i inne zakłady produkcyjne upaństwowione, ziemie zachodnie zasiedlone, itp. Nie można tego cofnąć bez jakiegoś następnego dramatycznego przełomu historycznego. W tej chwili ani u nas ani u sąsiadów nie ma ani woli ani przesłanek do rozpoczęcia kolejnej wojennej zawieruchy. Dlatego też jakiegokolwiek zmiany zastanego stanu muszą być dokonywane w ramach naszej niezależnej jurysdykcji, dla dobra naszego społeczeństwa i jego obywateli.

Dlatego też pierwszeństwo w odtwarzaniu wszelkich praw własnościowych, lub w ich nadawaniu, powinni posiadać nasi obywatele, szczególnie ci, którzy przetrwali okres wojny i komunizmu na terenie Polski. Prawa innych naszych obywateli, którzy niezależnie od przyczyn znaleźli się poza granicami Polski w tym tak trudnym dla mieszkańców PRL czasie, mogłyby być rozpatrywane w drugiej kolejności. Z tej drugiej grupy obywateli pierwszeństwo powinni mieć tacy, którzy wbrew ich woli i pod groźbą utraty życia musieli opuścić kraj, lub nie mogli powrócić ze względu na zagrożenie życia przez komunistyczny reżym.

To Polacy w Polsce są zwycięzcami w zmaganiach z komunistycznym systemem. Prawem zwycięzców mogą decydować, co i komu z tych innych mających roszczenia będzie przyznane. Co i komu z tych, którzy nawet byli w Polsce, a dorobili się stojąc na straży systemu komunistycznego, będzie zabrane. W obu przypadkach będą to jakieś niezbyt liczne wyjątki, włączając możliwość nadawania praw własności jako nagrody dla osób zasłużonych w odzyskaniu niepodległości.

Moim zdaniem, wszyscy, którzy np. w dniu 1 stycznia 1991 roku nie byli polskimi obywatelami, lub jako polscy obywatele nie osiedlili się na stałe w Polsce do 31 grudnia 1995 roku, powinni być ustawowo wyłączeni z repywatyzacji i z przedkładania wszelkich roszczeń. Tak jak w wielu ustaleniach prawnych mogłyby być wyjątki z jasno sprecyzowanymi kryteriami, powinna być też przewidziana możliwość nadawania indywidualnych praw własnościowych przez Sejm.

Analogiczne kryteria należałoby przyjąć przy uznawaniu lub nadawaniu praw własnościowych istniejącym kiedyś organizacjom. Kpiną ze zdrowego rozsądku i nieuzasadnionym uprzywilejowaniem jest zwracanie garstce Żydów własności dawnych organizacji żydowskich. Z jednej strony twierdzi się, że w Polsce jest antysemityzm bez Żydów, z drugiej strony wszystko, czego kiedykolwiek dotknęli Żydzi, ma im być zwrócone lub sowiecie opłacone, pod groźbą międzynarodowej akcji szantażu.

Nie jesteśmy jednak sami na tym świecie. Poddawani będziemy naciskom zarówno naszych obywateli, którzy nie spełnią ustalonych kryteriów przywracania lub nadawania własności, jak też naciskom różnych innych osób prawnych i fizycznych, grup etnicznych i obcych rządów. Dodatkowym elementem ograniczającym naszą jurysdykcję będą prawa Unii Europejskiej jak też ustalenia innych międzynarodowych organizacji. W każdym przypadku powinniśmy zdecydowanie bronić naszych racji i strzec podstawowej

własności, jaką jest ziemia. Przekazywanie ziemi dla obcych osób prawnych i fizycznych nie powinno mieć charakteru wieczystego. Wszelkie tego typu transakcje powinny być warunkowe – ważne do momentu, do którego służą dobru naszego społeczeństwa.

Może przyjdzie czas, w którym pomiędzy nami a „obcymi” zanikną psychologiczne, historyczne i ekonomiczne bariery, tak jak zanikły one pomiędzy różnymi regionami Polski, wówczas nic nie będzie stało na przeszkodzie, aby zmodyfikować nasze prawa własnościowe. Przypomnijmy historię i wywłaszczenie Polaków z ich własności, czasy [Hakaty](#) i [Komisji Kolonizacyjnej](#). Działo się to wszystko w ramach istniejącego prawa poprzez etnicznie zorientowany napływ gotówki. Systematycznie i wybiórczo Polacy byli pozbawiani tej najtrwalszej własności, jaką jest ziemia. Ani domy, ani plony, ani też ludzie na tej ziemi, nie byli i nie są czymś wieczystym. Dopóki my i nasi potomkowie będą mieszkańcami Ziemi, dopóty ziemia i każdy jej kawałek będzie czymś wieczystym, będzie wymagał naszej specjalnej, nie koniunkturalnej troski o jej los i nasze do niej prawo.

Różnice w rozwoju ekonomicznym, w stosunkach własnościowych i w mentalności doprowadzają do takich „transakcji”, jak sprzedaż [Manhattanu](#) za „garść kolorowych paciorków” o wartości 60 guldenów (24 dolary). Ta transakcja z 1625 roku była dobrowolną i nawet jeżeli w 1625 roku 60 guldenów mogło wydawać się dużą sumą, w tej chwili ani te guldeny ani świecidełka już nie istnieją, a Manhattan ciągle istnieje. Oczywiście, pomiędzy nami a resztą cywilizowanego świata nie ma takich różnic, jakie istniały pomiędzy Europejczykami a Indianami w 1625 roku. Tym niemniej, gdyby Indianie nie sprzedali, a dali Manhattan w okresowe użytkowanie, gdyby zastrzegli partycypację we wzroście wartości (lub w ujawnianiu się ukrytej wartości), nie musieliby w tej chwili wegetować w jakichś rezerwach.

Innym współczesnym przykładem „hakaty” jest rugowanie Palestyńczyków z ich odwiecznych ziem. Na początku wykupywano ziemię za „garści paciorków”, bo czymże w porównaniu z ziemią były i są wszelkie waluty – włączając dolary. Na dłuższą metę wszelkie waluty są tyle warte, ile warte są obecnie carskie banknoty, nawet o nominale 500 rubli (a był to potężny majątek). Z chwilą, gdy zachwieje się zaufanie do dolara, wówczas ponad dwie trzecie waluty amerykańskiej, która jest poza granicami USA, będzie miało wartość przemielonego materiału na papier toaletowy. Dopóki utrzymuje się zaufanie do dolarów, dopóty za koszt wydrukowania banknotów stu dolarowych (około pięciu centów jeden banknot) można kupować ziemię i inne trwałe dobra na całym świecie o wartości 2.000 razy większej – niezłe przebicie! A drukarnie amerykańskie mają taką wydajność, że codziennie wypchane dolarami samoloty z trudem podrywają się z lotnisk pokonując różne międzynarodowe trasy.

Jeżeli za dolary pozbywamy się różnych, tak samo jak one nietrwałych dóbr, można to tolerować, z ziemią tak postępować nie można, ponieważ jak Palestyńczycy zostaniemy intruzami na nie naszej już ziemi. Zresztą to, co dzieje się w Palestynie nie jest naszym biznesem. To, co dzieje się u nas jest najważniejsze. Wszystkie dobra i dochody powstające u nas są częścią dorobku całego społeczeństwa. To nie jest tak, że jakiś pan „X” sam stworzył swoją fortunę. Udziałowcem tej fortuny jest przynajmniej częśćka społeczeństwa pracującego dla pana „X”. Odpowiedni system podatkowy oraz kontrola transferu fortuny pana „X” poza nasze społeczeństwo powinny być dobrze opracowane, aby pan „X” miał satysfakcję ze swojej przedsiębiorczości a równocześnie, aby całe społeczeństwo partycypowało w dobrach przez siebie wytworzonych (ponad pobory i inne formy bezpośredniego wynagradzania za pracę). Jednocześnie mechanizmy podatkowe powinny dopingować i kontrolować sprawność posiadaczy różnych form własności.

Ze względu na naszą specyficzną sytuację (zniszczenia wojenne, marazm gospodarczy PRL, drastyczna zmiana naszych granic, przesiedlenie milionów ludzi) obowiązujące w Unii Europejskiej prawa migracji, nabywania ziemi oraz nieruchomości, powinny być zawieszane na okres co najmniej pięćdziesięciu lat. Pomimo tego, na własny użytek, powinniśmy wiedzieć, że skostnienie stosunków własnościowych, a także postępująca kumulacja bogactwa w rękach jednostek, wydają się być bardzo negatywnym zjawiskiem doprowadzającym do utraty sprawności społeczeństw, ich spójności i konkurencyjności.

Nie chodzi mi tu o sugerowanie jakichś ograniczeń własności prywatnej. Łatwo zauważyć, że w większości społeczeństw stosunki własnościowe oparte były na własności prywatnej, najczęściej na posiadaniu różnych dóbr przez osoby, klany lub rodziny. Naturalna ludzima chęć „posiadania” oraz istnienie potencjalnych możliwości zaspokojenia tej chęci stymulowały aktywność jednostek i całych społeczeństw. Brak chęci posiadania lub niemożliwość jej zaspokojenia doprowadzała do stagnacji i upadku. Dobrym przykładem jest skądinąd potężny, ale krótki żywot ZSRR.

W tym sensie coś pozytywnego istniało w społeczeństwie amerykańskim. Idzie jeszcze ono tym rozpędem, ale statystyki dystrybucji bogactwa wykazują, że kumuluje się ono w rękach małej grupy najbogatszych ludzi. Czyżby zbliżał się koniec Ameryki, jaką my znamy? Z tego punktu widzenia koniec I-szej Rzeczypospolitej, w której kilka magnackich rodów skupiało w swoich rękach niezmiernie dobra, też może być przykładem fatalnej doprowadzającej do upadku stagnacji. Upadek naszych Stanów Zjednoczonych Europy Centralnej był narodowym nieszczęściem, gdyby jednak bez zmian trwały do dzisiaj, kumulujące się w nielicznych rękach dobra doprowadziłyby do istnienia kilku magnatów i pozbawionej czegokolwiek reszty społeczeństwa. Ostrożność, konserwatyzm, a nie gorączkowa wyprzedza, powinny dominować w naszym zarządzaniu wspólnymi dobrami.

Podsumowując zestawilibym następujące postulaty reprivatyzacji, zwrotów mienia i wszelkiej innej rewindykacji:

1. Wszelkie roszczenia rewindykacyjne pomiędzy poszczególnymi krajami Europy Centralnej (od Odry do Rosji) powinny być zaniechane, a inne zgłaszane przez obce kraje i ich obywateli powinny być odrzucone.
2. Wszelkie roszczenia rewindykacyjne powinny być rozpatrywane tylko w ramach jurysdykcji poszczególnych państw Europy Centralnej, powinny obejmować tylko te osoby fizyczne, które w czasie upadku komunizmu lub w dniu 31 grudnia 1990 roku posiadały obywatelstwo, lub nie później niż do dnia 31 grudnia 1995 roku odzyskały obywatelstwo odpowiedniego kraju.
3. Wszelkie roszczenia rewindykacyjne osób prawnych istniejących przed 1 września 1939 roku powinny być odrzucone.
4. Wszelkie roszczenia rewindykacyjne organizacji religijnych i społecznych mogłyby obejmować tylko te organizacje i ich majątek, który został zarekwirowany przez faszystów lub komunistów, z dodatkowym ograniczeniem do organizacji istniejących w chwili upadku komunizmu, lub takich, które zostały oficjalnie odtworzone na terenach odpowiednich państw nie później niż do dnia 31 grudnia 1995 roku.
5. Wszelkie żądania rewindykacyjne zgłaszane przez byłych faszystów i komunistów lub były organizacje faszystowskie i komunistyczne oraz ich przybudówki działające przed upadkiem komunizmu, lub przed pierwszym styczniem 1990 roku, a także żądania ich spadkobierców, powinny być odrzucone.
6. Wszelkie roszczenia rewindykacyjne organizacji religijnych lub społecznych dotyczące nieruchomości i ziemi powinny być ograniczone do realnych potrzeb i realizowanych celów określanych liczbą wiernych lub członków oraz zakresem działalności poza gospodarczej. Kiedykolwiek, w okresie nie krótszym niż dziesięć lat od momentu uznania roszczeń rewindykacyjnych, powinny one podlegać rewizji i cofnięciu w przypadku wystawienia na sprzedaż przekazanych dóbr lub rozwiązania organizacji, także w przypadku porzucenia lub użytkowania do działalności gospodarczej lub niezgodnej ze statusem organizacji.
7. Wszystkie osoby, które dobrowolnie, przymusowo, lub przez przypadek osiedliły się poza terytorium odpowiedniego kraju i nie uzyskały ponownie pobytu stałego przed pierwszym styczniem 1996 roku nie powinny być uprawnione do zgłaszania roszczeń rewindykacyjnych.
8. Względem wszystkich osób fizycznych i prawnych najwyższe organa państwowe byłyby uprawnione do zgłoszenia wniosku o przeprowadzenie publicznego postępowania rewindykacyjnego w przypadku uznania wybitnych zasług w walce z faszyzmem, komunizmem, itp.
9. Jednym z otwartych wariantów rewindykacji mogłoby być odpowiednie ogólnoswiatowe porozumienie ratyfikowane i realizowane przez wszystkie kraje należące do ONZ, włączając Izrael i żądania rewindykacyjne Palestyńczyków.

ROZSTAJNE DROGI

Być może tylko emeryci wiedzą, co oznacza skrót ZMP. Była to fasadowa organizacja stworzona przez „koszernych” komunistów z początków PRL mająca na celu indoktrynację młodzieży polskiej. Gdy skończyłem siódmą klasę, mama zapisała mnie do ZMP, podobno był to warunek przyjęcia do ogólniaka. Właściwie nie wiedziałem, dlaczego powinienem pójść do ogólniaka, ale nie mając lepszych pomysłów nie protestowałem. Przypominam sobie jakieś zebranie lub dwa obsługiwane przez facetów w zielonych koszulach z czerwonymi krawatami. Chyba ci sami lub bardzo podobni faceci zawitali pewnej nocy do naszego mieszkania i zabrali ojczyrna, po którym na parę lat ślad zaginął.

Wkrótce szkoła, a szczególnie jej nie „zresocjalizowani” nauczyciele, pozwolili nam zapomnieć o istnieniu jakiegokolwiek ZMP. To nie znaczy, że zupełnie zostawiono nas w spokoju. Przypominam sobie młodego nauczyciela zdejmującego krzyż nad tablicy, zakłopotanego, bo chyba nie miał nic przeciwko krzyżowi. Klasa wrzała i wieszała ten krzyż ponownie, lub następny, tak szybko jak tylko wyszedł z klasy. Kazano mu tak robić i tłumaczyć, że Bóg nie istnieje. Teraz powołałby się na sztandarowy wzorzec demokracji, na Amerykę, gdzie często zabrania się eksponowania szopek bożonarodzeniowych oraz choinek w parkach i przy budynkach miejskich, a o krzyżach w szkołach publicznych nawet mowy nie ma. Oczywiście jest w tym solidne typowo amerykańskie „przejęcie pały”. Wierząc w demokratyczne reguły podejmowania decyzji i zakładając, że większość rodziców chce, nie można. Nawet, jeżeli wszyscy rodzice chcą, aby krzyż wisiał, też nie można. Można zaś publicznie znieważać symbole wiary, a ci, którzy znieważają, otaczani są nimbem obrońców wolności słowa. Dotychczas tylko jeden Salman Rushdie, po znieważeniu wyznawców Islamu, jest na dodatek otoczony agentami ochrony – i dobrze mu tak.

Jest w tym zwalczaniu krzyży cholerna hipokryzja, wręcz „zimna wojna religijna”. Jeżeli publiczne eksponowanie symboli religijnych jednej religii obraża wyznawców innej religii, wówczas samo takie stwierdzenie obraża wyznawców pierwszej religii (np. żądanie usunięcia krzyży w sąsiedztwie Oświęcimia). Kiedyś wystarczało ukradkowe plucie i złorzeczenie przy mijaniu świątyń i cmentarzy gojów. Teraz znieważa się ich jawnie okazywaną odrazą do ich symboli religijnych. Współcześni obrońcy „**Praw człowieka**” zapominają o prawach obrażanych ludzi, są też niemi, gdy finansujący ich mocodawcy zgarniają mamonę z handlu w czasie rozdmuchanych do granic przyzwoitości czysto religijnych świąt. Ciekawe, co by się stało, gdyby w USA zabroniono dekoracji i reklamy bożonarodzeniowej? Niewątpliwie sklepy, centra handlowe i całe ulice pełne sklepikarzy napychających kieszenie „święteczną” mamoną, są miejscami publicznymi.

W tym czasie powyższe spostrzeżenia były mi obce. Patrząc na bezradność i zrozpaczone oczy nauczyciela wstałem i powiedziałem: *Ja też nie wierzę w Boga*. Moje oświadczenie nic nie zmieniło, koledzy w dalszym ciągu zawieszali krzyż. Po powrocie do domu zakomunikowałem moją decyzję rodzinie. Pamiętam, jak babcia staruszka pochyliła się nade mną i powiedziała po wileńsku: *Feluńcia, przekabacili ciebie, a takim dobrym dzieciakiem byłeś*. Trwałem w tym uporze dosyć długo, może nawet coś jeszcze do dzisiaj zostało?

Propaganda zmyliła mnie jeszcze jeden raz. Po **śmierci Stalina** Chruszczow i Bułganin zaczęli jeździć po świecie, głosić miłość i pojednanie – uwierzyłem w ich puste słowa. Słowa te zerowały na młodszej tęsknocie do dobra, sprawiedliwości, do pojednania i braterstwa. Było to tylko moje krótkie wewnętrzne odczucie – nie uaktywniłem się w dogorywającym ZMP ani nie wstąpiłem do ZMS. Jednak na fali październikowej odwilży cały system jakoby wypiękniał.



... a takim dobrym
dzieciakiem byłeś.

Popaździernikowe zmiany 1956 r. można porównać do ustąpienia ciężkich chmur całkowicie zasłaniających niebo. Dla mojego pokolenia, przyzwyczajonego już do ortodoksyjnej szarzyzny okresu terroru, otworzył się nowy świat. W kioskach pojawiły się kolorowe czasopisma na czele z „Dookoła Świata”. We wszystkich sklepach spożywczych można było kupić mięso, wędliny i słodycze. Nastął wręcz „dobrobyt”, jakiego moje pokolenie wyrastające w okresie terroru nie знаło. W tym czasie wielu młodych ludzi uwierzyło w dobre intencje komunizmu i krok po kroku stało się „komuchami” – jak ich teraz nazywamy i wrzucamy do wspólnego worka razem z „koszernymi komunistami”. Jednak coraz więcej tych nowych „komunistów” było ulepionych z innej gliny, szczególnie szeregowych, wyrastali w tradycyjnych polskich domach, obce im były metody ich poprzedników. Dzięki swoim korzeniom i otwierającym się granicom mieli też możliwość porównania ideologii i „dobrobytu” PRL z ich odpowiednikami na wschodzie i na zachodzie.

Niedoceniany w tej chwili „**Październik 1956**” roku zapoczątkował czas mało widocznego, tym niemniej wielkiego przełomu. W partii i administracji następowała stopniowa wymiana przyniesionych na sowieckich bagnietach kadr – był to duży krok na drodze do wolności. Chcąc nie chcąc całe społeczeństwo stopniowo „oswajało się” z narzuconą nam rzeczywistością i jednocześnie zmieniało ją. Na pierwszy rzut oka aż do powstania Solidarności po październikowa „dyktatura proletariatu” miała się dobrze, jednak w rezultacie stopniowo następujących zmian zaczął się demontaż narzuconego nam systemu. Zakrawa to na paradoks, „przyswajanie” systemu przez społeczeństwo doprowadziło do jego zniszczenia – trudno to zrozumieć?

W tym czasie w moim życiu osobistym sprawy polityczne praktycznie nie istniały, trzeba było jednak zacząć myśleć o przyszłości. W mojej rodzinie nie było dyplomowanych lekarzy, inżynierów, itp. Może to przez wojnę, a może dlatego, że nie byli bogatymi ludźmi i nie mieli tradycji zdobywania wykształcenia. A oprócz tego w czasie ich młodości nie dyplomy były im ważne, a łatanie codziennego życia poszarpanego przez wojnę i po wojenną rzeczywistość. Po zakończeniu ogólniaka większość moich najbliższych kolegów wybierała się na studia, ja też zacząłem marzyć o tym, aby być studentem. Od lat technika była moją pasją, miłością, i wymarzonym celem. Mając w ręku najgorsze z najgorszych świadectw maturalnych przystąpiłem do egzaminów na wydział moich marzeń – Lotniczy Politechniki Warszawskiej. Zdałem ten egzamin, ale byli lepsi, nie zostałem przyjęty. Właściwie nie wiedziałem, co będę dalej robił, chyba bym pracował, a w następnym roku znowu próbowałbym zdawać egzamin na Wydział Lotniczy Politechniki Warszawskiej.

W czasie ostatnich przedmaturalnych wakacji z kilkoma najbliższymi kolegami próbowaliśmy popracować, zatrudniliśmy się przy budowie tamy na Gubrze w Olsztyńskim. Mój ojczym był technikiem melioracyjnym, prowadził tą budowę. Słyszając nasze rozważania o kolegach, którzy już wcześniej przerwali naukę i mają własne pieniądze, sam nam tą pracę zaproponował. W pierwszym rzucie przybyliśmy we dwójkę, ja i Olek Guzik. Zakwaterowano nas w barakowozach, bez prądu, ale na wyposażeniu była lampa naftowa. Teren tej głównej kwatery budowy był pokryty rozjeżdżonym błotem. Pełno było faszyn i jakichś innych materiałów, była też stołówka i pokój kierownika w baraku. Nie wyglądało to pięknie, ale zacieraliśmy ręce na myśl o wypłatach. Imponowały nam też bicepsy i wręcz kulturystyczna muskulatura młodych robotników ładujących akurat jakieś długie drągi na przyczepę traktora.



... na wyposażeniu była lampa naftowa.

Podziwianie trwało bardzo krótko, po rozpakowaniu się, praktycznie z marszu, dostaliśmy po łopacie oraz traktor z kierowcą i dwoma przyczepami. Zadanie było proste – dzisiaj będziecie wozili piasek na budowę. Pogoda była piękna, dziarsko wskoczyliśmy na przyczepę zrzucając koszule, wyobrażaliśmy już sobie te nasze cherlawe szkolne bicepsy rozrośnięte do imponujących rozmiarów. Zacieranie rąk z myślą o wypłacie nie trwało długo. Zawieziono nas do lasku, gdzie wydobywano piasek. Osie kół przyczepy były na poziomie naszych oczu. W połowie napełniania pierwszej przyczepy miałem już wszystkiego dość, starałem się, aby Olek tego nie zauważył, gdyby jednak dał znak, że też ma tego dosyć, wówczas odbiegłbym parę metrów w cień i zaległ pośród tak pięknie pachnących poziomek. Ale on nic..., machał łopata, aby nie wypaść „na mięczaka”, ja też machałem (po paru latach wyznał mi, że myślał dokładnie to samo).

Wreszcie kierowca traktora stwierdził *No, chłopaki, wystarczy, jedziemy*. Zazdrościliśmy mu, siedział sobie na fotelu Ursusa i podrygując w takt pracy silnika i spokojnie palił papierosy. Gdy znudziło się mu, zlaźł między drzewa i parę poziomek sobie zerwał. Nie paliliśmy i nie było pretekstu, aby zrobić przerwę na papierosa. Dopiero, gdy kierowca zaczął „podlewać” jakąś rachityczną paprotkę, rzuciliśmy łopaty i poszliśmy w jego ślady. Ale po wypoceniu się niewiele tego było...

Traktor ruszył, leżeliśmy obolali na chłodnym piasku wsuwając nasze pęcherze na rękach jak najgłębiej w jego kojący chłód. Oby ta jazda trwała wiecznie, słońko zza zamkniętych powiek było tak piękne, jak nigdy i ten wilgotny chłodny piasek... Zsypywanie było łatwiejsze. Dostarczyliśmy dwie przyczepy piasku, nawet byliśmy dumni z siebie, że po dodaniu cementu już tą tamę wybudują. Skądże, zawiózł nas z powrotem..., i tak do końca dnia. Nawet nie mieliśmy siły, aby lampę naftową zapalić, ręce przyklejały się do pościeli wraz z zasychającymi ranami...

Nie uciekliśmy po tym pierwszym dniu, wstyd by nam było. Przyjechało jeszcze paru kolegów, było weselej, także mój ojczym uważał, że dostaliśmy już dobrą „szkołę” – jak może wyglądać nasza praca po przerwaniu nauki. Ładowaliśmy później te długie drągi, faszyny, pluliśmy cementem przy przenoszeniu pięćdziesięciokilogramowych worków z wagonów na przyczepy, nawet jakieś patyczaki obciągnęliśmy z umiśnionymi sąsiadami z barakowozu. Po miesiącu z zadowoleniem wzięliśmy wypłatę. Pilnie przypomnieliśmy sobie, że mamy wiele innych ważnych spraw, dlatego zrezygnowaliśmy z drugiego miesiąca zarabiania pieniędzy.

W czasie następnych wakacji, po nieudanej próbie dostania się na Politechnikę, nie wiedziałem co będę robił dalej? Przejornie nie pytałem ojczyma, czy ma dla mnie jakąś pracę. Znowu czułem się tak, jak zaraz po odebraniu świadectwa dojrzałości, gdy minąłem dom i usiadłem na stoku za ogrodem, nad wysypiskiem śmieci – moim dawnym poligonem raketowym. Patrzyłem wówczas na to moje marne świadectwo i myślałem, co dalej...? Na szczęście w połowie wakacji otrzymałem zawiadomienie o możliwości studiowania na Wydziale Maszyn Roboczych i Pojazdów tejże Politechniki Warszawskiej. Wystarczał zdany egzamin na Wydział Lotniczy i rozmowa kwalifikacyjna – zgłosiłem się w wyznaczonym miejscu i terminie. Mieli wolne miejsca dla tych, którzy zdali, ale nie byli przyjęci na bardziej atrakcyjne wydziały. Moi koledzy, z o wiele lepszymi świadectwami i wiedzą, dumnie czekali na rozpoczęcie studiów. Ja byłem w rozterce – moje marzenia – czy budowa tamy na Gubrze?



... co ja będę robił dalej?

Wiedziałem, że pomimo pracowitego przygotowania się do egzaminu na Politechnikę, nie byłem w stanie odrobić zaległości powstałych w ogólniaku. Nie miałem też nikogo z „dojściami”, tylko dobre życzenia krewnych: *A może ten Feluś gdzieś dalej pójdzie?* Wiedziałem jednak, że zrobiłem duży krok – jednak zdałem ten trudny egzamin wstępny. Tak, to była szansa dorównania kolegom, nawet, jeżeli nie Wydział Lotniczy, to jednak słynna Politechnika Warszawska, nobilitowanie na studenta, baśniowe życie studenckie...?

Rozmowy kwalifikacyjne przeprowadzało dwóch pracowników Politechniki Warszawskiej: *Zdałeś egzamin na inny wydział, my mamy jeszcze wolne miejsca, powiedz coś o sobie, czy należysz do organizacji młodzieżowych, czy udzielasz się społecznie, z jakiej rodziny pochodzisz* itp. Żadnych pytań z matematyki, fizyki, czy innych przedmiotów. Oprócz zapisania mnie przez matkę, nigdy nie należałem do ZMP. Nawet nie pomyślałem, że będąc duszą wielu koleżeńskich działań i strażakiem gaszącym okazjnie nasze najgłupsze pomysły – byłem tym „wujkiem” z przezwiska, jednocześnie „nie licencjonowanym” społecznikiem i domorosłym organizatorem. Jedno, co mi zostało, to powołanie się na rodzinę, ale klasyfikacja nie była zbyt sprzyjająca, tzw. „inteligencja pracująca” – nie mogłem liczyć na żadne fawory za „pochodzenie społeczne”.

A jednak miałem coś z rodziny, bardzo kontrowersyjnego, do czego nie chciałem przyznać się sam przed sobą – mój nieznan mi ojciec. Był w pewnym sensie odszczepieńcem rodziny Sadowskich, jedynym pośród nich komunistą. Gdy kończyłem ogólniak, matka opowiedziała mi o nim. Stanisław był wysłany z ZSRR do Polski, właśnie do Wilna. Wynajął pokój w domku babci. Robił tą swoją komunistyczną robotę i w międzyczasie adorował Janinę Charunówną, moją przyszłą matkę. Został aresztowany, a Janina chodziła na jego proces i pluła w jego stronę. Dostał wyrok długoletniego więzienia, po wkroczeniu Sowieców do Wilna został uwolniony.

W odpowiedzi na pytanie osób kwalifikujących zacząłem: *Tak..., rodzina..., matka moja jest położną miejską w Elku, ojczym jest meliorantem..., ale mój rodzony ojciec, Stanisław Sadowski..., siedział w więzieniu...*

W tym momencie kompletnie mnie zatkało, nie mogłem skończyć, marzenie o studiach zaczęło zapadać się w otchłań niebytu. Nie mogłem skończyć, nie mogę też określić mojego odczucia, wstyd to mało – raczej odczucie upodlania się. Nie skończyłem. Spytali mnie: *I co z tego, że twój ojciec siedział w więzieniu...* Nie byłem w stanie nic dopowiedzieć – wyszedłem na kompletnego przygłupa, w dodatku z kryminogenną historią rodzinną. Podziękowano mi, w rozterce wracałem do Elku, smutny, ale też desperacko zadowolony, że nie skończyłem i nie dopowiedziałem – „za komunizm”.

Na trasie Białystok – Elk spotkałem kolegę z innej klasy, jechał do rodziców po rozpoczęciu Studium Nauczycielskiego w Białymstoku. Powiedziałem mu o zdanym egzaminie na Politechnikę Warszawską i braku miejsc. On mi na to – przyjeżdżaj – z takim egzaminem przyjmują bez pytań. Następnego dnia jechałem do Białegostoku, nawet ciesząc się w myślach, ponieważ była tam już, na sąsiednim Studium Laborantów, znajoma fajna dziewczyna. Całowałem się z nią kiedyś, ale zrezygnowała ze mnie, ponieważ byłem za głupi na jej przedwcześnie wyrośniętą kobiecość. Nawiasem mówiąc, jeżeli chodzi o „kobiecość”, to jeszcze przez długi okres czasu byłem głupi, a było wiele fajnych koleżanek... Myślę, że to jest normalne, dopiero silne, bardzo silne uczucie – obopólne – otwiera nowy świat prawdziwej męskości.



Było wiele fajnych koleżanek...

STUDIUM

Studiowanie w Białymstoku miało jeszcze jeden pociągający aspekt – Aeroklub Białostocki. Kończąc moją przełomową 9 klasę przeczytałem ogłoszenie o organizowanym w Ełku kursie spadochronowym i szybowcowym. Wszyscy wiemy jak jednostajne jest życie w małych miejscowościach (nie tylko), szczególnie zimą, albo w długie słotne dni lata. Starsi zajęci są pracą, a tacy jak ja, niezbyt pilni uczniowie, mogą po prostu z nudów coś na diabła wykręcić. Teraz jest telewizja, ale też niewiele dobrego można się z niej nauczyć, a wzorce jakie można z niej przejść, aż ciarki przechodzą...

Takie kursy były czymś mądrym, pociągającym i społecznie pożytecznym. Oczywiście, chciałem być pilotem, zapisałem się na ten kurs, jednak trzeba było mieć pozwolenie od rodziców. W momencie, gdy mama śpieszyła się gdzieś podsunąłem jej gotowy druczek: *To jest potrzebne w szkole, dodatkowy kurs organizują*. Mama podpisała bez czytania, może nawet pomyślała: *Mądrzeje wreszcie ten mój synek, bierze dodatkowe kursy*. Chociaż tak naprawdę, kurs nie był związany z żadną szkołą, tyle tylko, że w innej szkole udostępniono sale na zajęcia teoretyczne. Gdyby jednak wiedziała o co chodzi, przypuszczalnie nie złożyłaby swojego podpisu?

Po rozpoczęciu wakacji szkolenie praktyczne odbywało się na lotnisku przy Szosie Suwalskiej – były to wspaniałe wakacje. Instruktor Ożarowski polecił mi wykonać pierwszy skok. Nie dlatego, że byłem najlepszy, ale, gdy coś urwał przy swoim motocyklu zasugerowałem mu: *Tu niedaleko mój wujek pracuje, na pewno to naprawią*. Rzeczywiście, wujek Franek załatwił sprawę w trybie ekspresowym, został zaproszony na pierwsze skoki. [Franciszek Nowicki, do emerytury długoletni dyrektor Zakładów Wytwórczych Osprzętu Kablowego w Ełku. O ile uboższe byłoby moje życie, gdybym nie miał takich wspaniałych wujków.]

Siedziałem w pierwszej kabinie dwupłatowego kukuruźnika, oprócz paru upadków z drzew nigdy przedtem nie szybowałem w powietrzu. Przed cylindrami warkoczącego silnika furkotało śmigło goniąc na owiewkę gazy spalinowe. Gdy wszystko było już takie małe, że nawet nie mogłem zorientować się gdzie jest lotnisko, pilot siedzący w drugiej kabinie za mną zwolnił obroty i dał mi znak, abym wyszedł na skrzydło. Gdzieś na dole dostrzegłem wreszcie małe pudełeczko sanitarki, ale ludzi nie było widać w ogóle. Wszystko było dziesiątki razy przećwiczone, na dany znak, bez pomocy pilota oderwałem rękę od obrzeża jego kabiny i położony przez pęd powietrza poleciałem w dół.

Sto dwadzieścia jeden, sto dwadzieścia dwa, sto dwadzieścia trzy..., pociągnąłem za rączkę spadochronu, który i tak otwierał się już nad moją głową wyzwolony przez linkę zaczepioną przy kabinie pilota. Wreszcie oprzytomniałem, ponieważ od chwili startu samolotu do chwili otwarcia spadochronu wszystko było takie dziwne, nierealne, tak jakbym nie był sobą, nawet nie przeżyłem odczucia strachu.

Po otwarciu spadochronu – to była frajda, wydawało się mi, że w ogóle nie opadam. Zawieszony w powietrzu z zachwytem oglądałem Ełk i malownicze okolice pełne lasów i jezior. Miałem czas na wypróbowanie ustawiania ciała twarzą z wiatrem i przepisowo, na sztywnych nogach, wałnąłem o ziemię. „Walnięcie o ziemię” to nie przesada, prędkość opadania porównywalna jest ze skokiem z niskiego I piętra, mało kto utrzymuje się na nogach. Wujcio powiedział: *Dobrze żeś wyskoczył, bo bym się wstydu za ciebie najadł, musisz już wracać do zakładu*.

Dopiero w czasie drugiego skoku, a były trzy obowiązkowe, miałem pietra jak nigdy. Wiedziałem co mnie czeka, może nawet dostałem gęziej skórki. Jedna z koleżanek kursantek po kilku okrążeniach lotniska wróciła cała roztrzęsiona. Była już na skrzydło, ale pilot nie mógł oderwać jej rąk od obrzeża kabiny. Gdy naderwała mu kawał tapicerki, kazał jej wrócić do środka, szczęśliwie wylądowali. Ktoś tam jeszcze odmówił skakania, a niektórzy zrejęterowali po pierwszym skoku.

Reszta kursu była mniej dramatyczna, pracowita i przyjemna. Szusy, wzbijanie się i lądowanie na prostej. Skoki nad wyciągarką, na koniec kółka nad lotniskiem – cisza, czułem się jak szybujący ptak. Jedną z koleżanek silniejszy podmuch wiatru zaniósł do lasku. Szkoleniowy ABC złożył się jak parasolka, na szczęście wcześniej odpięła pasy, wyrzucona z siedzenia dosyć miękko wyhamowała na choineczkach. Po kursie został niedosyt latania. Jeszcze przez parę miesięcy w topniejącej grupce wysuptykaliśmy moniaki i jeździliśmy pociągiem do Białegostoku, aby na Krywlanach zrobić przynajmniej jedno kółko nad lotniskiem.



Szybowiec szkoleniowy „Salamandra”

Uciekając od kłopotliwych dojazdów, po filmie [Hansa Hassa](#) „Morze Czerwone”, przerzuciłem się na nurkowanie. Sprzętu nie było, ale wody w okolicach Ełku nie brakowało. Stare gaz-maski były całkiem dobre, piękny czysty obraz świata podwodnego, tylko że podwójny. Przedłużona rura do oddychania, zamiast dostarczać powietrze wciskała szkiełka w oczodoły. Ryby dawały się dotykać rękoma, niestety, były śliskie..., jak ryby.

Po rozpoczęciu Studium Nauczycielskiego w Białymstoku otwierały się nowe perspektywy, do lotniska można było łatwo dojechać autobusem. „Zawiesiłem” nurkowanie, aby znowu wznieść się nad ziemię. Nie wystarczały już jednak badania w lokalnej przychodni lekarskiej, trzeba było wybrać się do Wrocławia na badania w GOBL (Główny Ośrodek Badań Lotniczych).

Badania trwały dosyć długo, pokręciłem coś chyba z ustawianiem pręcików na jednakową odległość. Staruszek, który wydawał płaszcze, po dwóch słowach rozszyfrował mnie: *A ty chłopak, to ty z Wilna*. Przytaknąłem, chociaż wydawało mi się, że mówię tak, jak wszyscy wokoło. Zadowolony, że spotkał takiego młodego rodaka zaczął mnie wypytywać, jak się nazywam, czy znam „Pohulanek” i inne miejsca, o których nie miałem zielonego pojęcia. Rozmowa przeciągnęła się do momentu, gdy pojawił się jakiś facet w białym kitlu pędzący w dół po schodach. Wykrzykiwał *Sadowski..., Sadowski..., który tu jest Sadowski...?* Chciałem dać „dyla, to te cholerne pręciki myślałem, zawałem testy. Ale dziadzio portier przytrzymał mnie za ramię i po wileńsku powiedział: *Toż to ciebia szukają chłopaku*.



Wilno, moja mama i jej siostra Halina

Musiałem pójść na górę, nic o pręcikach, spytał mnie nawet czy nie jestem głodny, nawet herbatę zaproponował. Widząc moją nieswoją minę wyjaśnił: *Nie martw się, wszystko w porządku, przeszedłeś badania, przy tym bardzo dobrze, wyjątkowo dobrze, przeszedłeś testy psychologiczne, chcę z tobą przeprowadzić wywiad środowiskowy, o której masz pociąg?* Pytał o rodziców, o szkołę i o coś jeszcze, robił jakieś notatki. Do dziś dnia jestem ciekawy, co on tam wypisywał?

Oprócz mnie na Studium Nauczycielskim było jeszcze parę osób ze zdanymi egzaminami na inne wyższe uczelnie. Ja wybrałem matematykę, była moim najsłabszym punktem podczas egzaminów na Politechnikę. Większość „przypadkowych” studentów Studium Nauczycielskiego planowała przerwać naukę po roku, aby znowu próbować szczęście na egzaminach do wymarzonej uczelni. Ja zdecydowałem się jednak na ukończenie dwuletniego Studium Nauczycielskiego, dopiero potem planowałem ponowić próbę dostania się na Wydział Lotniczy. Uczyłem się uczenia się, zaczęło mnie to wciągać. Szczególnie zupełnie nowe przedmioty: psychologia, filozofia, nawet pedagogika, zresztą oblana na końcowym egzaminie. Z tego powodu odłożyłem powtórne zdawanie na Politechnikę i rozpocząłem pracę w szkole, aby być dopuszczonym do poprawkowego egzaminu i otrzymać dyplom ukończenia Studium Nauczycielskiego.

Mieliśmy bardzo dobrych wykładowców, później, po wielu latach dalszych studiów stwierdziłem, że mogliby wykładać na najlepszych uczelniach. Profesor Kaja otwierał zupełnie nowy świat myśli ludzkiej, od starożytnych filozofów do współczesnych. „Wytłoczek”, tak przezywany ze względu na posturę, wykładał psychologię, świetnie, do dziś bardzo dużo pamiętam. Była to dobra uczelnia, tylko chcieć uczyć się. Było też „studenckie życie” chociaż na pewno inne, niż wyobrażają je sobie obserwatorzy z zewnątrz.

Z zewnątrz może to wyglądać jak nie ustający happening, zabawa, radość młodości, i Bóg wie co jeszcze. Obserwatorzy mogą też postrzegać różne „życia studenckie” – tych studentów, którzy naprawdę studiują, i tych, co tylko chlubnie nazywają siebie studentami bez zaprzątania umysłów nauką. W obu przypadkach patrząc z zewnątrz życie studenckie wygląda fajniej, niż jest nim w rzeczywistości. Podobnie jak przy oglądaniu widokówek z obcych miejsc, wszystko wydaje się wyjątkowo piękne i kolorowe. Bardzo powszechna iluzja na temat miejsc, gdzie nas nie ma i na temat życia ludzi, którymi nie jesteśmy.

Studiowanie jest pracą, najczęściej nudną, rzadko pasjonującą – to jest istotą życia studenckiego. Studiowanie jest próbą zrealizowania marzeń o sobie i o swojej przyszłości. Jest też ciągłą niepewnością, co do realności marzeń, okresem konfrontacji marzeń i rzeczywistości, dopasowywaniem się tych dwóch elementów każdego życia. W miarę zdobywania wiedzy i giętkości umysłu, niezależnie od tego, co się studiuje, marzenia realnieją. Niestety, czasami redukują się tylko i wyłącznie do wartości materialnych. Redukcja marzeń do wartości materialnych daje bardzo łatwy sposób przeliczenia swojej wartości, w dolarach, złotych, lub w jakiegokolwiek innej walucie, ale na pewno zubaża życie, czyni go monotonnym. Oprócz tego, zawsze będą tacy, którzy w walutowym przeliczniku będą bardziej „wartościowi”.

Taki kierat pogoni za wartościami materialnymi nie kończy się nigdy. Efekty oglądane z zewnątrz mogą wyglądać imponująco, ale jak to wygląda od wewnątrz? Prawdą jest, że im więcej ludzi jest zaprzężonych do tego kieratu, świadomie lub nieświadomie, a czasami z braku innego wyboru, tym bogatsze są społeczeństwa. Ale czy ten kapitalistyczny kierat jest już ostatecznym i szczytowym osiągnięciem rodu ludzkiego?

Na ogół studenci, tak jak młode żrebaki, nie są jeszcze wdrożeni do żadnego kieratu – dzięki temu są bardziej wolni niż ich uwikłani w życiowe obowiązki rodzice. Inną cechą szczególną okresu studiowania, lub jak najszerzej pojętego stanu uczenia się, jest podświadome odczucie otwarcia na przyszłość, braku zdeterminowania tej przyszłości. Coś w duchu powiedzonka: „*Każdy żołnierz nosi w plecaku bulawę marszałkowską*”. Bez tego odczucia otwartości na przyszłość, np. po rozpoczęciu pracy, ale nie tylko, łatwo wyobrazić sobie całą drogę życiową, krok po kroku aż do emerytury (wręcz do śmierci). Zaakceptowanie tego wyobrażenia jako jedynej wizji przyszłości może nawet młodziemca przeistoczyć w psychicznego starca, wręcz młodego emeryta. Chyba, że przypadki losowe wyrwą go z tego stanu.

Jednak w większości przypadków najistotniejszą cechą życia studenckiego jest oderwanie się od bezpośredniego wpływu rodziny, wyjście z kręgu mniej lub bardziej sprecyzowanych nakazów i zakazów. Także, zdecydowana zmiana poprzedniej rutyny codziennych obowiązków, miejsc, ludzi i działań. Jest to zupełnie nowy świat, w którym trzeba samodzielnie sobie radzić, organizować go, zagospodarowywać towarzysko i intelektualnie. Trzeba też samemu dbać nawet o takie proste sprawy jak jedzenie. Po roku naszej marnej SN-nowskiej stołówki zgłosiłem się do dentystki z objawami skorbutu. Orzekła brak owoców i warzyw, mało urozmaicone jedzenie, aby szybko dojść do normy zaleciła czosnek i cebulę!

Jako akademik służyło nam ostatnie piętro internatu Liceum Pedagogicznego przy ul. Świerkowej w Białymstoku, mieliśmy wydzieloną klatkę schodową. Klucznikiem była starsza kobieta, „Babcia”, zajmująca pokój tuż przy wejściu. Gdy ktoś zbyt późno wrócił, można było obudzić ją stukaniem w ścianę. W każdym pokoju zakwaterowane były cztery osoby. Studia były krótkie, tylko dwa lata, nie sprzyjało to zawieraniu trwalszych znajomości i nie było wytrawnych wyjadaczy chleba studenckiego, takich z długoletnim doświadczeniem, organizatorów imprez, klubów itp. Miałem bliskich kolegów na Akademii Medycznej, ale będąc na pierwszym roku ani w głowie im było „życie studenckie”, uczyli się całych książek na pamięć, często po łacinie. Dopiero na starszych latach oswoili się ze studiowaniem i trochę rozprzężyli.

Była też na SN rachityczna organizacja ZMS. Właściwie nie znałem nikogo, kto do niej należał – oprócz Janusza K., być może łączącego obowiązki przewodniczącego jak i jedynego członka. Część z nas zapisała się do ZSP (Związek Studentów Polskich), bardziej dla samej nazwy podkreślającej naszą „studenckość”, niż dla jakiegoś działania. Opiekunowie z administracji SN zwoływali czasami zebrania na temat bałaganu w pokojach, późnego przychodzenia do akademika, itp. Aby nas utemperować, często nazywali akademik internatem, naginali nas do dyscypliny obowiązującej w internatach szkół średnich.

Gdy „babcia” musiała odejść (powodów nie znaleźliśmy, może redukcja etatu?), zapowiedziano zamknięcie oddzielnej klatki schodowej, żadnych późnych powrotów, wręcz faktyczna degradacja naszego „akademika” do części powiększonego internatu Liceum Pedagogicznego. W parę osób zbuntowaliśmy się. Znaleźliśmy wśród nas zdolnych rysowników i twórców ciętych fraszek (są wszędzie, tylko poszukać). Po paru dniach w małym holu w środkowej części korytarza wywiesiliśmy naszą nie cenzurowaną gazetkę. Efekt był natychmiastowy, zwołano zebranie ZSP i wszystkich mieszkańców akademika.

W czasie burzliwej dyskusji, już zorganizowani, odrzuciliśmy wszelkie próby degradacji naszego akademika do statusu części internatu Liceum Pedagogicznego. Na twierdzenie administracji SN, że nie mają nikogo, aby przejął pałeczkę „babci kluczniczki”, wystąpiliśmy z kontrpropozycją przejęcia jej roli przez ZSP, wraz z obowiązkami dbania o porządek, spokój, kontrolę czystości w pokojach i przyzwoitego zachowania. Ociągając się administracja zaakceptowała naszą propozycję zastrzegając okresowe wizytacje i odebranie nam uzyskanej samorządności, jeżeli coś będzie nie tak, jak trzeba. Przy okazji zostałem przewodniczącym ZSP lub Rady Akademika, tego już nie pamiętam.

Nasze nie cenzurowane gazetki ścienne były systematycznie zmieniane, cieszyły się niesłabnącym powodzeniem. Sympatyczny kolega z Niewodnicy pisał fraszki, do dziś pamiętam jego ocenę komunikacji miejskiej *Klnę co rano naszą trójkę, bo spisuje się na dwójkę*. Potężnej postury kolega o imieniu Sylwester był naszym głównym plastykiem, a wiele innych zgłaszało pomysły i brało udział w tej zabawie. Utrzymywaliśmy porządek, nie nastąpiło jakieś krytyczne rozluźnienie obyczajów. Cisza nocna, bez zmian, od czasu do czasu naruszana była przeciągającymi się imieninami. W sumie jednak było dobrze, lepiej niż przed uzyskaniem naszej samorządności.



*Klnę co rano naszą trójkę,
bo spisuje się na dwójkę!*

W czasie którejś z wizytacji profesor od arytmetyki (przeżywaliśmy go „Kafel”) wszedł bez pukania do jednego z pokoi, zastał parkę w łóżku. Administracja była skłonna rozpatrywać to jako skandal. Udało się nam zażegnać wyciąganie konsekwencji, zarówno przeciwko oblubieńcom jak i naszemu samorządowi. Profesor w końcu przyznał, że lepiej było zapukać i ewentualnie udać, że nic nie zauważył. Kolega wyraził skruchę, obiecał nie zapominać, do czego służą klucze. Po SN pobrali się i mieszkali w Suwałkach. On wkrótce zginął w wypadku motocyklowym, ona na pewno do dzisiaj nie może tego przeżyć.

Jako studenci SN braliśmy udział w pierwszych i na długie lata ostatnich juwenaliach organizowanych w Białymstoku. Coś mnie skusiło, aby na tyłku umieścić napis ZMS. Nie była to jakaś polityczna manifestacja, tylko młodzieńcza przekora. Nawet jacyś poważni panowie robili zdjęcia, nikt mi jednak nigdy tego nie wypomniał, bo dzięki Bogu Białystok nie przypadł ZSRR, nie było też już „koszernych” UB-owców.

Ten okres krótkich i przypadkowych studiów na SN wyrobił u mnie przekonanie, że w każdej grupie ludzi są potencjalni społecznicy, ludzie zdolni, z pomysłami, gotowi poświęcić swój czas i energię dla innych – tym samym dla siebie. Odgórnie organizowana działalność społeczna kreowała nieruchawe pozbawione inicjatywy struktury organizacyjne. „Wybitni działacze” najefektywniej działali w czasie rozdziału co lepszych wycieczek lub innych przywilejów, zawczasu też ustawiali się w kolejce do wstąpienia na coraz wyższe szczeble nomenklatury partyjnej.

Zazwyczaj prawdziwi działacze społeczni rodzą się w małych społecznościach, jak wieś, grupa studencka, rada mieszkańców, dzielnica, itp. Rodzą się oni przeważnie w napiętych i konfliktowych sytuacjach. Na początku skupiają wokół siebie podobnie myślących, jeżeli w krótkim czasie nie zniechęcą się do jakiegokolwiek działania, wówczas nabierają doświadczenia i mogą zdobyć zaufanie otoczenia. Bazując na tym zaufaniu mogą zainicjować wiele pożytecznych rzeczy i z czasem stać się „zawodowymi” działaczami. Profesja „działacz” zalatuje lekko odorkiem partyjnej nomenklatury. Pomimo tego w skali większej niż małe społeczności istnienie tej profesji jest nieuniknione.

Jedną z najgorszych cech „profesjonalnych działaczy” jest ich samouwielbienie i poczucie wyjątkowości. Mamy takiego wąsatego, sympatycznego, chyba porządnego człowieka, patriotę. Myli się on jednak twierdząc, że stworzył wielomilionowy ruch społeczny, który wstrząsnął „bryłą świata”. Tak na prawdę to ten ruch stworzył jego. To miliony stworzyły ten ruch a on „załapał się” jako symbol tego ruchu. Przegrywając prezydenckie wybory nie powinien mieć żalu, że tak dużo dla milionów zrobił, a miliony nie okazały mu wdzięczności. To on powinien być wdzięczny milionom, że robiąc coś dla siebie przy okazji tak dużo dla niego zrobiły. Może go powyższe stwierdzenie zabołec, może być za lub przeciw. Nigdy bym tego oczywistego stwierdzenia nie wypowiedział głośno, gdyby te jego wąsy nie kojarzyły się troszeczkę z wąsami niejakiego Dżugaszwili.

Dżugaszwili nie tolerował żadnej konkurencji w stosunku do swojej osoby i swojego mitu. Dżugaszwili nie prowadził wojny na górze, on fizycznie likwidował swoją „górze”. Być może to powszechnie nie uświadamiane podobieństwo było jedną z przyczyn przegranych wyborów. Drugą przyczyną był brak wybitnych osobowości w otoczeniu naszego sławnego wąsacza, zostały one wyeliminowane w pierwszych potyczkach „wojny na górze”. Trzecia przyczyna jest na tyle oczywista, na ile jest często ignorowana. Sarmatom nie można kazać, stosować moralny przymus, lub traktować ich jako ciemne masy dające się bezwiednie wodzić. Na dłuższą metę przegra każdy, kto traktuje Sarmatów jako roboty sterowanych przez „przodującą siłę” lub „parafian” straszonych piekielnymi ogniami.

Zamiast „wojny na górze” i wzmocnienia lewej nogi potrzebne było promowanie wybitnych osobowości, działaczy, administratorów, ekonomistów, itp., nawet takich z lekko zdeptanymi trzewikami z lewej nogi. Nawet, jeżeli ktoś z tych promowanych miałby większą szansę na wygranie wyborów niż sam promujący. Tego można było oczekiwać od trybuna ludowego, od kogoś, kogo ludzie wynieśli na piedestał na własnych ramionach. Taka promocja wybitnych ludzi była najważniejszą rzeczą, niestety nie zaistniała. Taka promocja wybitnych ludzi jest i będzie najważniejszym zadaniem każdego działacza, szczególnie obdarzanego powszechnym zaufaniem. Działacz zapatrzony w siebie będzie unikał promowania wybitnych ludzi, będzie otaczał się miernotami. Działacz pracujący dla dobra ogółu będzie wyszukiwał wybitnych ludzi i specjalistów, będzie dawał im szansę.

Działacze, z czasem profesjonalni działacze, powinni ujawniać się na wszystkich poziomach życia społecznego. Wszędzie są jakieś problemy wymagające rozwiązania, lub nawet proste sprawy wymagające wspólnego działania. Często przeszkodą jest brak wyobraźni członków danej społeczności. Wszyscy znają się „jak łyse konie” i nie mogą wyobrazić sobie, dlaczego ktoś, niczym nie wyróżniający się, ma być organizatorem, sołtysem, lub jakimś przewodniczącym? Problem polega na tym, że my wszyscy niczym nie wyróżniamy się, ale każdy z nas ma potencjał wyróżnienia się dla dobra ogółu.

Pierwszą próbkę takiego właśnie działania miałem już w czasie studiów na SN. Wśród tych często przypadkowych studentów pojawiło się dużo talentów, wiele osób chętnych do bezinteresownej pracy społecznej, do urozmaicenia i poprawienia swojego życia oraz otoczenia.

Mieliśmy też Studium Wojskowe, jeden dzień w tygodniu w mundurach i kamaszach. Niektórzy koledzy nie ukrywali, że lepiej „odsłużyć” dwa lata Studium Nauczycielskiego, niż dwa lata wojska.

W czasie wakacji pomiędzy pierwszym i drugim rokiem był miesiąc szkolenia na terenie koszar w Giżycku – byli też studenci SN z Olsztyna. „Służbę” zaczęliśmy jak należy, od szorowania na kolanach wszystkich pomieszczeń włączając sraczyki. Kolejno, drużynami, obieraliśmy dla kucharzy sterty ziemniaków. Szafki nieprawidłowo „zakostkowane” były rozbebeszane i układane do skutku. Pobudki, poranne gimnastyki, szkolenia, musztry, itp., jednakowo „odcywilniały” obydwie SN-y.

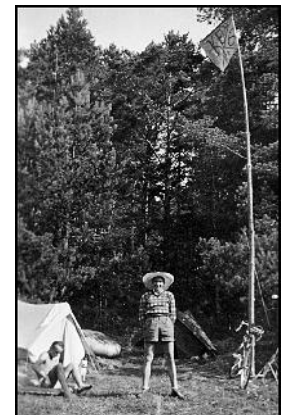


Jednak były pewne różnice. Podczas wspaniałego gorącego lata mieliśmy zakaz kąpieli. Na zakończenie wyczerpujących marszów z czujkami w przodzie nasi dowódcy wydawali rozkaz forsowania wpływ najbliższego kanału lub rzeczki. Olsztyniacy byli pędzeni do koszar bez odczucia kojącego chłodu wody. W czasie suszenia mundurów mogliśmy korzystać z kąpieli i „na luzie” wracaliśmy do koszar. Była to jedna z wielu drobnych różnic pomiędzy nami i „olsztyniakami”.

Cały szereg tych drobnych różnic składał się na dużą różnicę w atmosferze, jaka panowała w naszych grupach. My rozumieliśmy, że skoszarowane szkolenie jest naszym wspólnym zadaniem, uczących i nauczanych. Traktowano nas jako świadomych współuczestników szkolenia, bez używania wulgarnych słów, bez złośliwości i dokuczania, bez kar za wymaginowane uchybienia. Gdyby zaistniała jakakolwiek potrzeba, gotowi byliśmy stanąć murem za naszą kadrą. Olsztyniacy byli zastraszeni, wulgarnie traktowani, nie wyczuwało się u nich poczucia solidarności i jakiegokolwiek satysfakcji z wykonywanych zadań.

Zdarzyło się też, że za jakąś rzeczywistą lub wymaginowaną obrazę przechodzących za parkanem milicjantów, zebrano obydwie SN-y na placu ćwiczeń. Ciężkie chmury zapowiadały solidną burzę – nikt nie przyznał się do przezywania milicjantów „gliniarzami”. Nam kazano wrócić do koszar. Olsztyniaków, z tytułu zbiorowej odpowiedzialności zaczęto musztrować. Gdy już porządnie lało, musieli ćwiczyć „powstań padnij” prosto w błoto i czołgać się w tej mazi. My staliśmy w koszarach przy zalewanych wodą oknach i dosadnymi komentarzami komentowaliśmy postępowanie kadry Olsztyniaków.

Na zakończenie szkolenia przybyła wizytacja. We wszystkich sprawdzianach nasz SN zdecydowanie górował, ponieważ niezależnie od tego, ile wiedzy i musztry wtłoczono Olsztyniakom, my chcieliśmy i wypadliśmy lepiej. Była to nasza wspólna satysfakcja, nie musiano nam wylewnie dziękować. Wystarczyło, gdy na ostatnim apelu nasz dowódca krótko powiedział: *Dziękuję wam żołnierze, szkolenie zostało zakończone, jako studenci zasłużyliście na dobre wakacje, do zobaczenia po wakacjach.* Wakacje były naprawdę wspaniałe, miałem już „języka” po zgolonych na zero włosach. Wybraliśmy się z przyjaciółmi pod namioty nad jezioro Garbaś: pływanie, nurkowanie, ogniska, i wiele innych wakacyjnych przyjemności...



Wakacje...

Golenie włosów „na zero” nie było już w wojsku stosowane. Gdy poprosiłem wojskowego fryzjera o tą przysługę, to mnie parę razy przestrzegwał, abym nie miał do niego żadnych pretensji. Po ostatniej operacji przejechania brzytwą czułem się trochę nieswojo, mogłem zobaczyć, jak bym wyglądał po wyłysieniu, a do czasu zgolenia włosy wypadały mi w zastraszającym tempie. Wszyscy przyglądali się mojej błyszczącej głowie, niektórzy nawet pytali, co przeszkobałem, że zgolono mi głowę. Ja z miną znawcy wyjaśniałem dobroczynny wpływ dostępu powietrza i słońca na ożywienie cebulek włosowych. Najmocniejszym moim argumentem był powszechny brak odpowiedzi na pytanie: *Czy widziałeś kogoś, komu wyłysiała broda?*, a był to już czas podgalania tego wyrastającego paskudztwa. Paru innych kolegów ze słabym owłosieniem poszło w moje ślady. Nie wiem, czy udało się im uratować włosy. Ja, po paru następnych goleniach, zachowałem do dzisiaj całkiem przyzwoite „upierzenie”.

UESOWO

Po skończeniu SN rozpocząłem pracę w Szkole Nr 3 w Elku. Poprawiłem oblany egzamin z pedagogiki i otrzymałem dyplom nauczyciela matematyki. Nie nalegałem na przejęcie prowadzenia tego przedmiotu, ponieważ w następnym roku planowałem ponowne próby zdania na Politechnikę. Nie obsadzone były prace ręczne i rysunek, przejąłem te przedmioty w klasach od 4-tej do 7-mej.

Pracownia prac ręcznych była dobrze wyposażona w narzędzia, brakowało materiałów. Z paru zakładów otrzymałem resztki różnych odpadów produkcyjnych. Jak zwykle nieoceniony był wujek Franek z A-26. Skrawki płyt plastikowych doskonale nadawały się do cięcia i wyginania na gorąco. Wychodziły z tego spinacze do suszenia bielizny, haczyki na ręczniki i łyżki do butów. Po własnoręcznym wykonaniu dzieciarnia z dumą zanosila je do domu.



Po skończeniu SN

Przy nauczaniu rysunku korzystałem z książki. Orłem w tym przedmiocie nie byłem, ale nie było źle. Z nastaniem lata brałem dzieci na lekcje rysunku nad rzeką, dzieciarnia była zachwycona. W tym czasie kupiłem „Osę”, seledynowy skuter produkcji WFM. W ramach prac ręcznych zrobiłem dla siódmej klasy parę lekcji o budowie motocykla, a sprawniejszym pozwoliłem „ujeżdżać” moją Osę na szkolnym podwórku. Za pozwoleniem kierownika szkoły zrobiłem w pracowni prac ręcznych „Punta” – prawie żaglówkę. Z braku czasu uprościłem prace poprzez zaniechanie zrobienia kila i ożaglowania. Zamiast tego dorobiona była deska do mocowania silnika i dulki na wiosła. Służyła mi jedno lato – ktoś tam jeszcze z niej korzystał, gdy po zdaniu na Politechnikę zostawiłem ją dla przyjaciół i znajomych.

Najtrudniejszą rzeczą w szkole było zapamiętywanie nazwisk – klasy były bardzo liczne. Na jakiś czas nabawiłem się kompleksu w zapamiętywaniu nazwisk, może nie wyzbyłem się tego do dnia dzisiejszego. Najdokuczliwszą rzeczą był harmider, w czasie przerw wręcz pękała głowa. Teraz rozumiem dlaczego w szkołach amerykańskich nie ma przerw, przynajmniej w tych szkołach gdzie miałem zastępstwa. Jest za to godzinna przerwa na posiłek (lunch), w większości szkół dzieci muszą opuścić budynek szkolny. Część uczniów korzystająca z dożywiania jest „skoszarowana” w szkolnej stołówce pod opieką specjalnie zatrudnionego personelu. Nauczyciele dysponują tą przerwą według własnego uznania.

Oprócz przerwy na lunch nauczyciele amerykańscy muszą przebywać na terenie szkoły osiem godzin dziennie, niezależnie od tego, czy mają jakieś lekcje, czy nie. Gdy nie mają lekcji, mogą sprawdzać klasówki, prace domowe, itp. Uważam jednak, że takie zrównanie zawodu nauczycielskiego z zawodem urzędnika nie powinno być naśladowane w Polsce. Odsiadanie ośmiu godzin w szkole nie podniosłoby poziomu nauczania, a do mizernych wynagrodzeń doszłoby upokorzenie i dalsza deprecjacja tego najważniejszego dla przyszłości kraju zawodu.

Pomijając szkoły w bardzo zaniedbanych dzielnicach wyposażenie szkół w USA jest dobre lub bardzo dobre. Pomimo tego, średni poziom wykształcenia absolwentów szkół amerykańskich jest niższy niż w Polsce. Symptomatycznym dla amerykańskich szkół jest takie korygowanie programów i wymagań, aby zdecydowana większość ucni przechodziła z klasy do klasy, efektem jest równanie w dół. W niektórych zaniedbanych szkołach, aby wykazać się osiągnięciami, fałszowane są wyniki ogólnokrajowych sprawdzianów. [U nas też może dojść do podobnych anomalii.] W takich szkołach nauczyciele muszą nauczyć się prowadzić lekcje nie zwracając uwagi na różnorodne postronne zajęcia ucni. Zwrócenie uwagi może grozić pobiciem lub rewoltą zakończoną interwencją policji.

Kamieniem u szyi dużej ilości amerykańskich szkół jest mniej więcej od 1971go roku tzw. „busing”, czyli wymiana części dzieci pomiędzy dobrymi i złymi szkołami, rezultat jest oczywisty – równanie w dół. [Wprowadzono na podstawie decyzji Sądu Najwyższego USA, 1971r, Swann vs. Charlotte-Mecklenburg Board of Education, uznająca wprowadzenie „busing” za konstytucyjny środek mający na celu zlikwidowanie „podwójnego systemu szkolnictwa”, czyli zlikwidowania różnic pomiędzy złymi i dobrymi szkołami.]

Nazwa „busing” pochodzi od słowa autobus, taki do wożenia dzieci, a sam pomysł godny jest towarzysza Mao – jego „rewolucji kulturalnej” i „wielkiego skoku” razem wziętych. Jak wszystkie utopijne koncepcje tak i pomysł „autobusowania” wydaje się być pięknym, szlachetnym i sprawiedliwym. Zazwyczaj na etapie pomysłu trudno jest dostrzec jego utopijność. Na pewno w wielu miejscach na świecie będą rodziły się podobne pomysły, albo „nawiedzeni” będą nawoływali do naśladowania Ameryki.



Im więcej autobusów „miksujących” dzieci, tym niższy poziom nauczania.

Abyśmy tylko nie zauroczyli się i nie skopiowali niektórych ich pomysłów bez postrzegania, do czego one doprowadziły po paru dziesiątkach lat wdrażania. „Autobusowanie” dzieci praktycznie nie ma nic wspólnego z dowożeniem dzieci do szkoły. Jest raczej jednym z bardzo kosztownych eksperymentów inżynierii socjalnej, jaką narzucili społeczeństwu amerykańscy „nawiedzeni” – politycy, sędziowie, socjologowie.

Aby przybliżyć ten aspekt amerykańskiej „inżynierii socjalnej”, przyjrzyjmy się jakiejś średniej amerykańskiej miejscinie pod nazwą Uesów. W USA „Uesowy” tradycyjnie dzielą się na dwie części, Uesów Górny i Uesów Dolny (uptown i downtown). Możemy też założyć, że są to dwie sąsiednie niezbyt odległe miejscowości. W Uesowie Górnym mieszka tak zwana klasa średnia, ludzie ciężko pracujący, liczący się z groszem, mają umiarkowaną ilość dzieci, dbają o nie i o swoje otoczenie. Ze swoich podatków [podstawą jest [Podatek katastralny](#) ang. [Property tax](#)] wybudowali ładną szkołę i wyposażyli ją, opłacają policję, straż pożarną i bibliotekę. Przyciągnęło to dobrych nauczycieli, jest spokój i porządek.

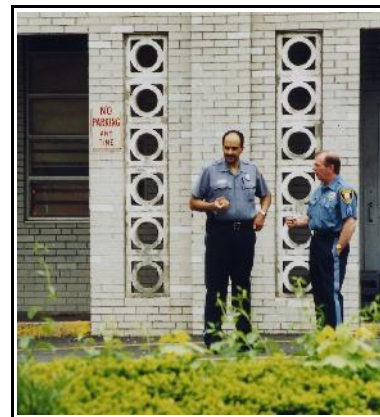
W Uesowie Dolnym jest inaczej, była tam kiedyś ładna szkoła, był też porządek i spokój – tylko starsi ludzie co nieco z tego pamiętają. Obecnie szkoła jest zaniedbana, tłumy dzieci, większość rodziców nie pracuje. Właściwie, czy można mówić o rodzicach? Samotne matki mają po pięcioro dzieci. Matkami są nawet dziewczynki w wieku szkolnym. Chłopcy i bezrobotni mężczyźni stoją całymi dniami na rogach ulic popijając coś z butelek w papierowych torebkach. W opuszczonych budynkach kwitnie handel narkotykami i tępni „życie towarzyskie”. Wpływy z podatków w Uesowie Dolnym nie starczą nawet na pensje miejskich urzędników, a śmieci..., trudno byłoby je wywieźć.

Wszyscy już przyzwyczaili się, że z podatków Uesowa Górnego pokrywane są niezbędne wydatki miejskie Uesowa Dolnego. Z tych podatków wypłaca się także zasiłki dla niepracujących mieszkańców, włączając utrzymanie samotnych matek i dzieci. A tych dzieci, pomimo skromnych zasiłków, jest coraz więcej. Kiedyś potrzebujących wspomagały organizacje dobroczynne. Nie było to stałe, zagwarantowane prawem, a też poniżające – ponieważ dawano „co łaska” i trzeba było mówić dziękuję. Teraz każdy niepracujący oraz każda matka wiedzą ile dostaną. Rachunek jest prosty, każde następne dziecko to większy zasiłek przyznawany zgodnie z prawem, według ustalonych stawek podnoszonych proporcjonalnie do inflacji.

Większość samotnych matek udaje, lub naprawdę nie wie, kto jest ojcem lub ilu ojców mają ich dzieci. Taka krótka pamięć przesuwca cały ciężar utrzymania dzieci i zapewnienia opieki lekarskiej dla „pół rodzin” na barki mieszkańców Uesowa Górnego. Nieletnie matki, zamiast wykorzystywać prezerwatywy rozdawane przez szkolną pielęgniarkę i stosować wiedzę zdobytą na lekcjach wychowania seksualnego [zakładanie

przerwywały ćwiczyły na bananach], wołać mieć już własny grosz przysługujący im na ich dzieci. A dzieciarnia trochę w szkole, trochę włóczy się po ulicach, ponieważ samotne i niepracujące matki starając się urozmaicić swoje marne życie nie mają ani czasu ani serca, aby zajmować się dziećmi. Z podatków mieszkańców Uesowa Górnego finansowane są posiłki w szkole Uesowa Dolnego. Pomimo zasiłków, posiłków itp. z roku na rok rosną problemy, także, z wydatną pomocą dzieciarni szkoła rozwala się, a uczniów coraz więcej.

Rośnie też przestępczość, po zbiorowym zgwałceniu nauczycielki i poranieniu nożem zbyt sumiennego nauczyciela, z podatków Uesowa Górnego zainstalowano wykrywacze metalu i zatrudniono ochroniarzy. W niektórych szkołach „witają” uczniów grupy ochroniarzy liczące po dziesięć osób a w środku krążą dwuosobowe patrole. Najgorszym jest to, że po skończeniu ogólniaka dzieciarnia z Uesowa Dolnego praktycznie nie umie czytać i pisać. Dzięki transakcjom narkotykowym poziom matematyki jest znacznie wyższy, jednak ciągle tylko w zakresie liczenia pieniędzy. Właściwie, analfabetyzm absolwentów nikogo nie martwi, ponieważ ponad połowa męskiej populacji Uesowa Dolnego jest albo w więzieniach, albo na zwolnieniach warunkowych. Tym niemniej, i przynajmniej teoretycznie (zgodnie z Konstytucją), uczniowie z Uesowa Dolnego muszą otrzymywać identyczne wykształcenie jak w szkołach Uesowa Górnego.



Szkolni ochroniarze.

Aby „uszanować” Konstytucję świątli ludzie postanowili, że na koszt mieszkańców Uesowa Górnego połowa ich dzieci będzie dowożona do szkoły w Uesowie Dolnym, a połowa dzieci z Uesowa Dolnego będzie dowożona do szkoły w Uesowie Górnym – też na koszt mieszkańców Uesowa Górnego – to jest właśnie „autobusowanie”, czyli „busing”. Argumenty były proste, niewinne dzieciątka z Uesowa Dolnego przeżyją rewolucję kulturalną i dokonają wielkiego skoku dorównując dzieciom z Uesowa Górnego.

Rzeczywiście, poziomy wykształcenia wyrównały się, ale w dół. Szkoły upodobniły się, w Uesowie Górnym też zainstalowano wykrywacze metalu oraz zatrudniono paru ochroniarzy. Świątli ludzie, którzy mieszkają w Luksusowie Niedostępnym, to politycy, sędziowie, socjologowie – także inni nawiedzeni naprawiacze społeczeństwa. Oni nie muszą wymieniać swoich dzieci z Uesowem Dolnym. Zwalając wszystko na barki klasy średniej nie tylko chodzą w aureoli sprawiedliwych, ale za swoje pomysły i udział w ich wdrażaniu biorą grube pieniądze – też z podatków płaconych przez mieszkańców Uesowa Górnego.

Ale jak doszło do upadku Uesowa Dolnego? Żyją przecież jeszcze starsi ludzie pamiętający świetność tego miasteczka. Są jeszcze ślady tej świetności: wypłowiałe napisy reklamujące ongiś tętniące życiem biznesy, chylące się do ziemi budynki z resztkami dawnej okazałości, ruina teatru czy też kina, zniszczony park z zarośniętymi zarysami alejek i zasypane śmieciami fontanny.



Wyjaśnienie jest bardzo proste – „świątli ludzie” zdecydowali, że państwo przejmuje obowiązek zapewnienia minimalnego standardu życiowego dla niepracujących, szczególnie dla ich dzieci. Jeżeli państwo bierze na siebie jakiś kosztowny obowiązek – zapłacą podatnicy (Uesowo Górne). Jeżeli państwo ma zapewnić minimalny standard życiowy – to trzeba opłacić wyżywienie, ubrania i mieszkania. Pechem Uesowa Dolnego było to, że za społeczne pieniądze wybudowano tam domy dla tych, co nie pracują i utrzymywani są na koszt podatników. Zgrupowano ich w Uesowie Dolnym oferując darmowe mieszkania wyposażone w niezbędne sprzęty i artykuły gospodarstwa domowego, nie zapomniano też o opłatach za gaz, światło i wodę.

Dokuczliwość tego towarzystwa, skokowy wzrost przestępczości, brudy i bałagan – przy zmniejszających się wpływach z podatków – uczyniły życie dotychczasowych mieszkańców Uesowa Dolnego nieznośnym. Pomimo ciągle spadających cen zaczęli oni sprzedawać swoje nieruchomości. Ostatni wręcz porzucili swoje domy, ponieważ nie było nikogo, kto chciałby je kupić za sumę pokrywającą koszt transakcji.

Nawiązując do naszych polskich problemów, że gdzieś tam mieszkańcy nie chcą schroniska dla chorych na AIDS, lub dla bezdomnych – współczuję chorym i bezdomnym. Wysoko oceniam wysiłki społeczników, którzy chcą pomóc potrzebującym, ale zrobiłbym wszystko, aby nie osiedlano ich w moim sąsiedztwie. Nie musimy „odkrywać Ameryki”, Amerykanie zrobili to za nas. Zgrupowanie bezdomnych, zakaźnie lub psychicznie chorych, resocjalizowanych przestępców, itp., przynosi fatalne skutki dla lokalnych społeczności. Tylko bardzo, bardzo odludne miejsca mogłyby się do tego nadawać (np. jakiś spadki po sowieckich bazach, dawne ośrodki rządowe ukryte w puszczech itp.).

Uważam też, że niedopuszczalnym powinno być, aby rząd gwarantował zapewnienie minimalnego standardu życiowego zdrowym ludziom przed wiekiem emerytalnym. [W Polsce, po okresie przejściowym i ustabilizowaniu gospodarki, zakres tego typu pomocy świadczonej przez rząd powinien być systematycznie zmniejszany.] Rząd może zachęcać obywateli, nawet poprzez ulgi podatkowe, do dobrowolnego przekazywania funduszy na konta pozarządowych organizacji charytatywnych (kontrolując te organizacje). Tylko inwalidzi i ludzie w wieku emerytalnym nie mający emerytur lub innych dochodów mogliby być utrzymywani na koszt podatników. Najbardziej szkoda dzieci, absolutnie nie są winne tego, że jakaś niefrasobliwa szesnastolatka spłodziła je, czy jakaś samotna kobieta lub rodzina dorobiła się ich ponad swoje możliwości finansowe.

Mogłoby wydawać się to okrutne, ale żaden podatnik nie powinien ponosić kosztów takiej niefrasobliwej działalności, chyba tylko według własnej nieprzymuszonej woli wspierając organizacje charytatywne. Doświadczenie amerykańskie (nie tylko) wykazuje, że system „welfare” [Patrz [Opieka społeczna i państwo opiekuńcze](#)] jest bardziej okrutny. Dzieci są pozbawione dzieciństwa, często maltretowane, po wyrośnięciu znaczna ich część staje się przestępcami nękając mieszkańców Uesowa Górnego. Nawet gdy trafią do więzień, odsiadują swoje wyroki na koszt podatników z Uesowa Górnego.

Charyzmatyczny i niezależny działacz murzyński, [Louis Farrakhan](#), przywódca Czarnych Muzułmanów, winił „welfare” za doprowadzenie mieszkańców „miast wewnętrznych” (gett) do zezwierzęcenia. [Znany z „politycznie niepoprawnych” wypowiedzi na temat Żydów, niesłuchanie inteligentny i chyba jeden z najwybitniejszych współczesnych oratorów.] Gdy czytałem jego wypowiedzi na ten temat (1986 rok ?) byłem zdumiony postulatami zlikwidowania welfare. Przeczytałem parę razy, doszedłem do wniosku, że ma stuprocentową rację. Między innymi system „welfare” doprowadził w USA do katastrofalnego wzrostu przestępczości, do obcych duchowi amerykańskiemu zmian obyczajowości i systemu wartości. Wszyscy, którzy występują przeciwko temu systemowi odżegnywani są przez liberalne publikatory od czci i wiary. Wtórują temu hierarchie religijne pochwalające zinstytucjonalizowanie i upaństwowienie „miłości bliźniego”. [Uwaga! Przynajmniej w USA określenie „liberalne” nabrało nowego poza słownikowego znaczenia: wyuzdana wolność, „faworyzujący” przestępczość system prawny, „nadopiekuńczość” państwa, itp.]

Oczywiście państwo w ramach polityki populacyjnej mogłoby zachęcać ludzi do podejmowania trudu i obowiązku wychowywania dzieci. W miarę możliwości finansowych państwa każda osoba lub rodzina wychowująca dzieci powinna otrzymywać „stypendia” na dzieci. Najsprawiedliwiej i najprościej byłoby, aby te „stypendia” były jednakowe dla wszystkich dzieci, niezależnie od statusu materialnego osoby wychowującej. Ci lepiej sytuowani mogliby być zachęceni do przekazywania tych pieniędzy organizacjom charytatywnym. Dodatkowym źródłem pieniędzy na „stypendia” dla dzieci lub na fundusze organizacji charytatywnych mogłyby być fundusze uzyskiwane z wszelkich mandatów i kar za naruszanie prawa. Pozostawianie tych funduszy w gestii lokalnych władz doprowadza do wielu wynaturzeń.

Niezależnie od tego, na co fundusze z kar i mandatów byłyby przeznaczone, problem ten powinien być rozwiązany zdecydowanie inaczej niż w USA i przypuszczalnie w większości „cywilizowanych” krajów świata. Dotychczasowe rozwiązania doprowadziły do tego, że egzekwowanie prawa stało się dobrze prosperującym biznesem. Nawet przy najprostszej inwestycji zainstalowania parkometrów usprawnienie parkowania jest czymś drugorzędym, najczęstszym celem jest uzyskanie określonego dochodu z opłat i z mandatów. Pod wpływem nacisków żądnych pieniędzy kas miejskich winduje się ceny za parkowanie i kary za przekroczenie czasu parkowania. W krańcowych przypadkach, zmuszeni do wykonywania „planu” kontrolerzy, wlepiają mandaty ignorując wskazania parkometrów.

Słynne stały się niektóre miejscowości w USA z przemyślnie zaprojektowanym systemem znaków drogowych ([speed-trap](#)). Znaki i ich ustawienie tworzą ciąg pułapek, w które wpadają najwytrawniejsi i najostrożniejsi przybysze. Wystarczy powiedzieć, że w niektórych przypadkach z mandatów pozyskiwane są dwie trzecie budżetu miasta. Jeden za stanów wyspecjalizował się w konfiskacie samochodów, w których wykryto chociażby najmniejsze ilości zakazanych substancji odurzających. Zgodnie ze stworzonymi procedurami policja, sędziowie, oraz urzędnicy stanowi, partycypują w zyskach. Doszło do tego, że policja zaczęła podrzucać narkotyki. Niewinne ofiary nie miały żadnych możliwości obrony. W odpowiedzi Amerykański Klub Automobilowy (AAA) opublikował ostrzeżenia zalecające omijanie tego stanu.

Problem podobnych konfiskat mienia w jakiegokolwiek formie, nie wyłączając gotówki, zaczyna powoli docierać do świadomości szerokiej rzeszy obywateli amerykańskich, także do niektórych ustawodawców. Kongresman Henry Hyde (republikanin, Illinois), szef komisji sprawiedliwości (Judiciary Committee), wystąpił z inicjatywą legislacyjną H.R. 1658 nazwaną „The Civil Forfeiture Reform Act” [[US Congress bill h106-1658](#).] Intencją tej inicjatywy legislacyjnej było powstrzymanie nadużywania prawa przy konfiskowaniu własności oraz ustanowienie niezbędnej ochrony praw obywateli w konfrontacji z władzami. Bez postępującego zwyrodnienia władz amerykańskich, zgodnie ze zdrowym rozsądkiem i od dawna uznanymi regułami relacji pomiędzy administracją i obywatelami, taka inicjatywa legislacyjna nie miałaby sensu. Niestety, bezkarni i wyuzdani z wszelkiego poczucia prawa przedstawiciele władz tworzą nową rzeczywistość, rozbójników rabujących współobywateli pod pozorem egzekwowania prawa.

W 1996 roku, podczas przesłuchań przed kongresową komisją sprawiedliwości, niejaki Willie Jones, właściciel trzech domów opieki, wiozący ze sobą 9.000\$ na niezbędne zakupy, zeznał, że został zatrzymany przez policję, a jego pieniądze skonfiskowane ([F.E.A.R.](#)). Policja nie pofatygowała się nawet na przeliczenie pieniędzy i wydanie pokwitowania. Absolutną paranoją w tym wszystkim był fakt, że ani w czasie aresztowania ani po aresztowaniu Willie Jones nie był oskarżony o popełnienie jakiegokolwiek przestępstwa. Tym niemniej, policja odmówiła zwrócenia skonfiskowanych pieniędzy twierdząc, że taka ilość gotówki, albo pochodziła z przestępstwa, albo miała służyć dokonaniu przestępstwa. Krótko mówiąc, nie mieści się to w głowie.

Budżety wielu miast wręcz planują wzrost „naruszalności prawa” i wyznaczają coraz większe limity dochodów ([„Quotas”](#)). Ustanawiane są normy, jakie muszą „wyrobić” policjanci i inni „stróże prawa”. Poprzez premie czyni się ich współnikami tego coraz bardziej intratnego *biznesu przestrzegania prawa*. Doprowadza to do zaniku moralności, poszanowania prawdy, w efekcie do nagminnego łamania prawa przez jego stróżów. W USA wręcz utarło się, że zeznający pod przysięgą „stróże prawa” nagminnie kłamią – aby zadowolić swoje kieszenie i kieszenie swoich chlebobawców, lub zadośćuczynić życzeniom wpływowych osób.

Kłamstwo pod przysięgą oraz bez przysięgi jest powszechną normą postępowania w sądach i w życiu publicznym USA. Akt kłamstwa został doprowadzony do perfekcji, przybysz z innego kręgu wartości moralnych będzie miał trudności ze zrozumieniem, co jest prawdą a co kłamstwem. Doskonałą ilustracją amerykańskiego standardu kłamstwa i anty honoru był Prezydent USA, Bill [Clinton](#). Ten „Bill” (oznacza także rachunek) jest ciężkim obciążeniem, za które przyjdzie kiedyś zapłacić wszystkim Amerykanom.

Będąc w USA od początku lat osiemdziesiątych potwierdzam opinie wielu długoletnich mieszkańców tego kraju. Od połowy lat osiemdziesiątych relacje pomiędzy policją i innymi stróżami prawa a społeczeństwem zmieniły się nie do poznania. Zawsze byli skorumpowani stróże prawa, ale uprzednio spotkanie z policjantem było traktowane jak spotkanie z przyjaznym urzędnikiem. Teraz, spotkanie z policjantem traktowane jest jak spotkanie z czyhającym na pieniądze rabusiem. Być może moja diagnoza – transformacja przestrzegania prawa w dobrze prosperujący „biznes” przestrzegania prawa – jest pierwszą prawidłową i głośno wypowiedzianą diagnozą zmian, jakie w krótkim czasie (około 20 lat) nastąpiły w USA.

Biznes ten jest tak ohydny, że wcześniej lub później zostanie zlikwidowany, najlepiej jednak nie dopuścić do jego powstania. Koniecznym jest pozbawienie „stróżów prawa” i zainteresowane organa administracyjne, jakichkolwiek dochodów wynikających z egzekwowania prawa. Niewątpliwie opóźni to naturalny i wszędzie zachodzący proces zwyrodnienia w tworzeniu i administrowaniu prawa. Skutkiem tego procesu jest polaryzacja i wrogość pomiędzy reprezentantami państwa i prawa a społeczeństwem. To, co piszę, to nie są bajki. Wystarczy wybrać się do jakiegokolwiek urzędu federalnego, stanowego lub powiatowego (County), szczególnie do sądów: wypróżnianie kieszeni, stacjonarne i ręczne wykrywacze metali, prześwietlanie torebek i teczek, uzbrojeni strażnicy. Czy raptem Ameryka stała się krajem wariatów, zbrodniarzy i prymitywnych kowbojów strzelających z byle powodu? Na pewno nie. To administracja zwyrodniała na tyle, że zaczyna chronić się przed społeczeństwem.

Dlaczego rozbudowuje się te wszystkie zabezpieczenia? Międzynarodowi terroryści w USA są rzadkością a krajowi desperaci są częścią amerykańskiego społeczeństwa pozostającego poza zamienionymi na twierdze budynkami administracyjnymi i sądowymi. Moja diagnoza wskazuje na zwyrodnienie systemu amerykańskiej demokracji. Społeczeństwo spostrzega, że wybieralni reprezentanci i ustanawiani urzędnicy nie reprezentują interesów wyborców. Finansowani są i służą różnym grupom nacisku – tym wierniej, im więcej pieniędzy zaoferują te grupy. Podobno FBI prowadzi śledztwa w sprawach setek „McVeigh’ów” (Oklahoma City, 1995.04.19 [Timothy McVeigh](#)) – skąd ten urodzaj? Pomijając moją diagnozę, coś w tym jest, coś bardzo poważnego... Żłudne są nadzieje wóldarzy umacniających swoje twierdze, jeżeli umacniają je przeciwko poddanym, prędzej czy później twierdze te legną w gruzach.

Myśląc o naszych policjantach i stróżach prawa – nie można ich deprawować udziałami w „biznesie przestrzegania prawa”. Wystarczy, że półświatek robi wszystko, aby ich zdeprawować. Fundusze uzyskiwane z egzekwowania prawa powinny być zabrane tak daleko od zainteresowanych, jak to tylko jest możliwe. Dobrym rozwiązaniem wydaje się, właśnie, przekazanie ich na cele charytatywne, zarządzane i kontrolowane w skali ogólnokrajowej. Tym niemniej, niezależnie od pomocy organizacji charytatywnych, zawsze będą osoby lub rodziny nie będące w stanie utrzymać i należycie wychować dzieci. W desperackim dążeniu do zahamowania wzrostu ilości dzieci, osób, i rodzin na „welfare” poczyniono w USA pewne kroki w dobrym kierunku. Jedyna radykalna i niewątpliwie skuteczna propozycja złożona przez [Newt Gingricha](#) o utworzeniu ochronki dla dzieci, których rodzice nie mogą ich utrzymać i wychować, została „zakrzyczana” przez liberałów jako nieludzka.

Myślę też, że ani Gingrich ani żadna inna osoba wisząca na pasku liberalnych publikatorów nie ośmieliłyby się przypomnieć dawne szwedzkie prawo, o sterylizowaniu patologicznych osobników płci obojga, a niewątpliwie patologią jest permanentne utrzymywanie się z zasiłków społecznych i systematyczne płodzenie dzieci. Jedną z oklepanych reakcji na spekulacje jak wyżej byłby straszak faszyzmu – jakoby cokolwiek z tego, co zaistniało w czasach faszyzmu (a także komunizmu), nie mogło być przeanalizowane, odrzucone lub zaadoptowane do potrzeb demokratycznego, samorządowego i trzeźwo myślącego społeczeństwa.

[A propos: „*mieszkańcy nie chcą schroniska dla chorych na AIDS*”: W 1986 roku, dr Mark Whiteside, sporządził raport na temat możliwości zarażenia wirusem [HIV/AIDS](#) poprzez komary i inne żywiące się krwią insekty. Opinia ta zaalarmowała oenzetowską Światową Organizację Zdrowia (WHO) oraz Centrum Kontroli i Prewencji Chorób w Atlancie, USA. Pomimo, że raport ten był naukowo uzasadniony, jego publikacja mogłaby wywołać panikę i żądania odizolowania chorych na AIDS, z tego względu raport ten nie został nigdy nagłośniony, także: [time/magazine](#)]

POLIBUDA

Po dwóch latach SN i roku pracy w szkole ponowiłem próbę dostania się na Wydział Mechaniczny Energetyki i Lotnictwa Politechniki Warszawskiej (MEL). Przy wywieszonych zaraz przy głównym wejściu listach przyjętych tłoczyły się grupki młodych ludzi, tak jak ja szukających swoich nazwisk. Na liście MEL znalazłem swoje nazwisko. Oczywiście, byłem zadowolony, ale nie było tego widać po mnie. Radość mieszała się z napięciem i niepokojem, czy dam sobie radę? Ci, którzy wcześniej próbowali studiować, przedstawiali perspektywy w jak najczarniejszym kolorze. To była prawda, napięty do granic wytrzymałości program studiów, większość nowo przyjętych spadała po pierwszym semestrze. Po powrocie do Elku złożyłem wypowiedzenie w szkole i w grupie starych przyjaciół (byli już po trzecim roku studiów) cieszyliśmy się „gorącymi” wakacjami. Jednak od czasu do czasu zamrażała mnie uporczywa myśl, czy dam sobie radę?



... cieszyliśmy się „gorącymi” wakacjami

Ze względu na pasję nurkowania większość tych wakacji spędzałem w wodzie, najczęściej razem z moim przyjacielem Jankiem Wróblewskim. W sklepach dostępne były płetwy i maski do nurkowania, kusze i inny sprzęt był własnej roboty. Pierwsza kusza, którą zrobiłem jeszcze w ogólniaku, miała zaostrzoną szprychę rowerową na dużą odległość, w wodzie tylko pół metra. Okazało się, że naciąg dobry dla procy nie zdaje egzaminu pod wodą. Następne kusze ze strzałami w postaci solidnego pręta, z otwierającymi się kłapkami przy ostrzu napędzane były gumami pieczęlowicze sklejanymi z gumeczek rozprutej gumy lalkowej. Zasięg trzech metrów był całkowicie wystarczający, ryby można było dotykać rękoma. Kochani wujkowie Gienek i Franek wykonali najtrudniejsze części tych wówczas egzotycznych przyrządów.

Zaczynając od dziesiątej klasy, jeszcze bez kuszy, najczęściej podczas samotnych wypraw rowerowych, poznawałem podwodny świat okolic Elku. Nurkując w masce i płetwach przemykałem się przez bramy falujących wodorostów i wynurzałem się głodny oddechu pośród kwitnących kaczeńców. Wokół był jakże dziwny świat czystszych lub bardziej „kwitnących” naszych zbiorników wodnych. Nie tak kolorowy i nie tak przejrzysty jak oglądany na filmie „Morze Czerwone”, ale bardziej tajemniczy, otwierający swoje pułapki w ostatnim momencie, gdy już tchu brakowało. W rzekach były zatopione drzewa, trafiało się też czasami na zagubione sieci rybackie z napęczniałymi pozostałościami ryb. Po zmaczeniu wody w ciemnych podmyciach brzegów trzeba było trafić „na ślepo” do zbawczej powierzchni. Na początku był to też czas samotności, szczególnie w wodzie. Gdzieś na brzegu leżał wciągnięty w krzaki rower i moje ubranie. Jeżeli towarzyszył mi mój mały kundelek Ciapka, wtedy nikt nie miał prawa zbliżyć się do moich rzeczy. Nawet bez Ciapki leżały bezpiecznie, ponieważ nie było wówczas atmosfery kradzieży i rozboju. Jedno było pewne, gdyby mnie szlag trafił, upłynęłoby dużo czasu zanim znaleziono by mnie. Zachłyśnięcie się wodą, zaplątanie się, mogło skończyć się tragicznie.

Jeszcze przed wciągnięciem Janka w podwodne zabawy, po pierwszych ustrzelonych szczupakach, spotkałem sumę olbrzyma. Rzeka Elk nie była jeszcze zniszczona melioracją: wijąca się, pełna wyżłobień pod brzegami, z wodorostami układającymi się z jej prądem i zbrylającymi zanieczyszczenia migotała dziesiątkami ryb. Sum zalegał w „martwej” wodzie za jakimś zatopionym pniakiem, a było to około 300 metrów w dół rzeki za mostem na Szosie Suwalskiej. Był bardzo duży, w dodatku złudzenie optyczne powiększało jego wygląd. W resztkach światła rzucanego przez chylące się ku zachodowi słońce wglądał jak obła belka nieruchomo zalegająca wymyte przez wodę wyżłobienie. Przeszyłem go strzałą tuż za głowę, poniżej kręgosłupa. Urwał żyłkę i znikł gdzieś w trawach. Na drugi dzień rano znalazłem go, wraz z moją strzałą, zawieszony na niej w wodorostach, około pięćdziesięciu metrów poniżej swojego siedliska. Miał trochę więcej niż 18 kilogramów. Białe bez ości „schabowe” były wspaniałe, bez żadnych „zapaszków”, z dzikiej wówczas i samo oczyszczającej się rzeki Elk.

Kilkanaście lat później rzekę Elk zniszczono. Wyprostowano zakola i wryto regularne koryto. Wartko płynąca mętna woda nie sprzyjała wodorostom. Razem z wodorostami znikły sumy, szczupaki, jazie i klenie. Osuszenie paru łąk to wątpliwy zysk?... Powstał martwy rynsztok pozbawiony roślinnych filtrów. Z zewnątrz rzeka nabrała „cywilizowanego” wyglądu, jednak wewnątrz wymarła. Ja jako jeden z pierwszych miałem możliwość oglądać ją od wewnątrz, pełną życia, udając rybę pośród ryb, dopóki mi tchu starczało. Oby czas zwrócił tą rzekę wodorostom, rybom, i..., i może moim następcom. [Rok 2003, rzeka Elk wróciła do swojego uprzedniego stanu, tylko ryb „jak na lekarstwo“.]

Można było nałapać bardzo dużo ryb, rozdawaliśmy je dla przyjaciół i krewnych. Z czasem coraz więcej młodych ludzi zaczęło nas naśladować. Ryby bardzo szybko nauczyły się utrzymywać bezpieczną odległość, dlatego też rosnąca rzesza płetwonurków nie mogła poczynić większych spustoszeń w rybostanie. Czasami trafialiśmy na odcinki rzeki, gdzie przed nami przepłynęli rybacy z agregatem prądotwórczym. Pośród wodorostów prąd niósł martwy narybek, większe sztuki były wybrane podbierakami, a drobiazg, niestety, stracony był na zawsze. Nasze, jak to z czasem określono – kłusownictwo, nie wyrządzało tylu szkód, ile wyrządzali rybacy. A my, przebywający przez większość dni wakacji w wodzie, mogliśmy zaangażować naszą młodzieńczą energię w społecznie nie najgorszej pasji nurkowania.



Sumy i szczupaki z Netty, zdj: Wojtek Wróblewski.

W tym pionierskim okresie nurkowania na Mazurach nauczyliśmy się też wielu rzeczy. Domowymi sposobami przenosiliśmy się w świat odkrywców głębin „Morza Czerwonego”. Najtańszy aparat fotograficzny zamknięty w dętce od piłki nożnej, z wklejonym na butapren szkiełkiem od latarki, robił zdjęcia pod wodą. Udoskonalony model pozwalał na użycie jednorazowych lamp błyskowych. Czepek sklejonny z kawałków gąbczastych uszczelek jakoby chronił „centralkę” przed przedwczesnym wyiębieniem, w tych naszych nie tropikalnych wodach. Nurkowaliśmy nawet późną jesienią, po półgodzinnym nurkowaniu trudno było wygrzebać się na brzeg. Rozumiało się wszystko, ale były kłopoty z mówieniem i koordynacją ruchów. Nawet nie marzyliśmy o skafandrach lub o innym profesjonalnym sprzęcie. Jako prowincjonalni chłopcy nie wiedzieliśmy, gdzie go kupić, może był w warszawskich komisach? Nawet gdybyśmy wiedzieli, zabrakłoby nam pieniędzy.

Szczytem komfortu w tym czasie był tlenowy aparat do nurkowania złożony z dwóch zdezelowanych sowieckich aparatów ratunkowych. Granulki absorbujące dwutlenek węgla dostaliśmy w LPŻ w Białymstoku a tlen od Franka, konserwatora w elckim szpitalu. Zrobiliśmy wszystko bezbłędnie, pomimo braku jakiegokolwiek doświadczenia w tych sprawach. Z odlewanymi ciężarkami ze złomowanych resztek osłon kabli telekomunikacyjnych mogliśmy przebywać pod wodą do godziny czasu – bezwypadkowo.

Prawdziwe aparaty powietrzne do nurkowania zawitały do Elku, gdy kończyłem moją pracę w szkole. Wojsko potrzebowało przeszkolonych w nurkowaniu rekrutów. Rogowski, który był wieloletnim kierownikiem LPŻ/LOK, zaproponował mi przeprowadzenie kursu płetwonurków. Byłem amatorem, ale znanym w okolicach i chyba jedynym kandydatem do przeprowadzenia takiego kursu.

Selekcja na komisji poborowej odbywała się w zaiste wojskowym stylu. Pytano delikwenta *Czy jest w twojej miejscowości rzeka lub jezioro*, po odpowiedzi *Tak* padała krótka decyzja: *Idziesz do płetwonurków, tu jest data i miejsce, gdzie masz stawić się na szkolenie*. Ktoś, kto próbował oponować, że ledwo utrzymuje się na wodzie, słyszał: *To jest rozkaz, wykonać*. Było paru takich, którzy ledwo mogli przepłynąć 25 metrów „pieskiem”. Pocieszałem ich, że pod wodą nawet „pieskiem” nie trzeba umieć pływać.

Zajęcia teoretyczne łąpali w zależności od swojego ogólnego przygotowania. Jeden taki, po nie zakończonej siódmej klasie, twierdził, że w powietrzu nic nie ma: *Panie, powietrze to jest powietrze*. Musiałem mu zapodać, że zgodnie z rozkazem w powietrzu jest tlen. Powołując się na prosty eksperyment, kupienia dwóch butelek cienkiego „jabłcoka” i dodania 10,5% – tak jak wypisano na ich etykietkach, zapodałem, że zgodnie z rozkazem w powietrzu jest 21 procent tlenu. Przekonało go to, przyznał, że procentów w „jabłcoku” też nie widać, ale po dwóch butelkach na głowę zaczyna już „procentować”. Inny, niezłe pływający, po zanurzeniu się z aparatem, wyskakiwał krztusząc się wodą. Nie chciało mi się wierzyć. Sztorcowałem go: *Czy pójdziesz do płetwonurków czy nie, to nie jest moja sprawa, kurs musisz skończyć bez symulowania*. Sprawdziłem aparat czy nie ma jakiegoś przecieku – nic – krztusił się dalej, do tego stopnia, że z kaszlem wylatywała woda. Sprawa wyjaśniła się, gdy zanurzyłem się razem z nim. Na powierzchni oddychał normalnie, ustnik prawidłowo uchwycony, przy pierwszym wdechu pod wodą mięśnie policzków dostawały jakiegoś skurczu, tak, że woda i powietrze swobodnie mieszały się poprzez otwarte kąciki warg.

Już w wojsku część z nich kontynuowała szkolenie polegające między innymi na zrzucaniu płetwonurków z powietrza do wody. Zrzucano wraz z ekwipunkiem, jak do wysadzania różnych obiektów. Jednym z kursantów był mój bliski kolega ze szkoły, Andrzej Zimny. Spotkałem go prawie rok później na przystanku tramwajowym przy Placu Starynkiewicza w Warszawie. Dziarski, w wypłowiałym khaki, jechał na urlop do Elku. Ja, niedospany, czekałem na przesiadkę, aby zdążyć na kolejny dzień praktyki w FSO.

W pewnym sensie eksperymentowano na nich. Nikt nie wiedział, z jakiej wysokości helikopter może bezpiecznie zrzucić dywersanta prosto do wody. Zanim ustalono odpowiednie parametry, paru nie wytrzymało uderzenia w wodę, *Ku chwale Ojczyzny, zakończył* Andrzej. Słuchając go zacząłem jemu zazdrościć. Jednostajna harówka na Polbudzie, od świtu do nocy, nie pozwalała nawet pomarzyć o nurkowaniu. A on, mój uczeń nurkowania, opalony, wysportowany, uśmiechnięty – niebo a ziemia.

Przez pierwsze dwa semestry mieszkaliśmy w akademiku przy Placu Narutowicza. Sześć osób w jednym małym pokoju, spanie na trzech piętrowych łóżkach. Drugi semestr poświęcony był praktyce produkcyjnej w FSO z kontynuacją niektórych przedmiotów na Politechnice. W wynagrodzeniu traktowano nas jak studentów, poniżej odpowiednich stawek robotników. W obowiązkach traktowano nas jak robotników: godziny pracy, normy, dyscyplina – żadnych studenckich wakacji, itp. Naiwnie uważaliśmy to za brak sprawiedliwości (oby tylko takie niesprawiedliwości istniały na świecie). Pojedynczo lub w parę osób zwracaliśmy się do starosty roku i do opiekuna praktyki o zrównanie nas z robotnikami lub ze studentami. Uczelnia wymigiwała się: *Jesteście teraz robotnikami, ze wszystkimi sprawami musicie zwracać się do FSO*, w FSO ignorowano nas.

Po którymś z wykładów profesor Wolskiej w większych i mniejszych grupach rozpoczęły się dyskusje, wytworzyła się gorąca atmosfera – musimy coś z tym zrobić. Przeważały głosy: „strajkujemy”. O ile mnie pamięć nie myli, starosta zrejterował. Ja też byłem za strajkiem, wiedziałem jednak, że same deklaracje: „strajkujemy” to mało. Trzeba było ustalić, czy większość jest za strajkiem, w jakiej formie będziemy strajkować, gdzie i kiedy? Zabrałem głos, przedstawiłem mój punkt widzenia, zaproponowałem głosowanie na kartkach. Po podliczeniu głosów przytłaczająca większość opowiedziała się za strajkiem. Efektem ubocznym mojej próby uporządkowania organizacyjnego strajku było zdymisjonowanie dotychczasowego starosty i powierzenie tej funkcji dla mnie.

Pracowaliśmy na wydziale obróbki skrawaniem. Mniej więcej w środku hali, około dwóch metrów nad podłogą, było biuro z metalowymi schodkami, usiedliśmy przy schodkach i pod biurem. Po odrzuceniu naszych żądań odmówiliśmy rozejścia się, zaczęliśmy skandować *Strajk, Strajk, kładź kutasa na Karwasa*. Karwas był kierownikiem tego wydziału, mieliśmy wrażenie, że to on podjął decyzję o odrzuceniu naszych żądań, jednocześnie sugerowano nam, że możemy być relegowani ze studiów. [Wiele lat później dowiedziałem się od byłych pracowników FSO, że inż. Karwas był porządnym facetem i dobrym specjalistą, nawet, gdy awansował na dyrektora FSO].

Nie oczekiwaliśmy poparcia robotników, zdawaliśmy sobie sprawę, że nasze nawet najśluszniesze żądania będą obserwowane z rezerwą – potencjalnie mieliśmy być ich „inżynierkami”. Sami też w pewnym stopniu zdawaliśmy sobie sprawę, że nasza pozycja, ani studentów ani robotników, jest czymś bardzo tymczasowym. Był to raczej test naszej tworzącej się grupowej tożsamości i test naszej cywilnej odwagi, takie małe wyzwanie rzucone rzeczywistości nie uznającej żadnych strajków.

Test wypadł dobrze, chociaż bez zmiany naszego statusu. Czuliśmy się wreszcie grupą, nie „atomami” zaganianymi za swoimi tylko sprawami, mieliśmy swoje grupowe „my”. Na pilnie zwołanym zebraniu przedstawiciele MEL tłumaczyli nam niewłaściwość naszej akcji, kulturalnie, bez gróźb i zwymyślenia, bez straszaka relegacji. Jak spod ziemi wyrósł przedstawiciel ZMS: *Dlaczego nie rozmawialiście z nami, to był błąd*, nie potrafił jednak odpowiedzieć, co zrobiłby ZMS, aby rozwiązać nasz problem?

Pod koniec zebrania Dziekan zaproponował wybranie nowego starosty roku – nastąpił impas – nikt nie zgłaszał kandydatów. Ci, którzy podnosili ręce, wypowiadali się przeciwko zmianie starosty. Szczególnie zapamiętałem szczupłego studenta w wyblakło niebieskim sweterku, z wyglądu piętnastolatka, który z takim przejęciem bronił wolności wyboru i uszanowania już podjętej decyzji, że aż cały poczerwieniał. Później drogi nasze zeszyły się na studiach w Leningradzie. Staszek Pietrzak jest do dzisiaj jednym z wielu moich bliskich przyjaciół.

Aby wyjść z impasu zabrałem głos i zrezygnowałem z funkcji starosty. W prywatnej rozmowie po zakończeniu zebrania dziekan złożył na moje ręce gratulacje: *Dobrze zorganizowaliście ten strajk, głosowanie, dokumentacja, gratuluję, powodzenia na studiach*. Pomimo reprimendy i krytykowania nas za strajk, była to jednak Polska, nasza Polska, ponieważ w Kraju Rad nawet za taką drobną sprawę wylądowalibyśmy w „kamaszach”. [Inne studenckie protesty o skali krajowej brutalnie tłumiono i brano w „kamasze” – tak jak w ZSRR. Te najwyższe władze PRL decydujące o represjach nie były „Naszą Polską”, chociaż zawsze istniał dylemat „mniejszego zła” oraz prowokacji walczących o władzę partyjnych koterii. Nasz lokalny strajkowy „eksperyment” nie może być porównywany do znanych wystąpień studentów, którzy dla wielkich idei prawdy i wolności cierpieli fizycznie, byli relegowani i utracili szansę osobistej kariery zawodowej. Cześć Wam Koledzy Studenci, zawsze byliście, jesteście i będziecie potrzebni!]

Uczelnia nie zastosowała żadnych kar, nagan, itp. Jednak do końca praktyki w FSO byłem obiektem przyspieszonej resocjalizacji poprzez pracę. Przerzucano mnie z maszyny na maszynę żądając wykonania normy produkcyjnej. Gdy tylko wprawiłem się w osiąganiu normy na jednej maszynie, zaczynałem od nowa na innej maszynie, i tak w kółko. Nie skarżyłem się, oni obserwowali mnie czy wytrzymam, a ja byłem pewien, że jeżeli robotnik może wykonać normę, to także student robotnik może ją wykonać, i wykonywałem.

Pomimo specjalnego nadzoru urwałem się z tej praktyki na parę dni na juwenalia w Toruniu. Koledzy z Akademii Medycznej podrzucili mi z Białegostoku strzykawkę i szczepionkę Delbeta. Zgodnie z ich instrukcją o 4-tej rano wkłuwając się w udo „zaszczepiłem się”. O dziewiątej rano z wysoką gorączką wychodziłem z FSO ze zwolnieniem lekarskim. W południe masowałem bolącą nogę jadąc pociągiem do Torunia na spotkanie z moimi starymi przyjaciółmi, tak jak ja wyglądającymi, kiedy ich pociągi dotrą do celu.

Pierwszy rok studiów zakończyłem dobrze, naprawdę dobrze. Potem wspaniałe wakacje. Wybraliśmy się z Jankiem skuterem dookoła Polski ze sprzętem do nurkowania. Gdzieś tam w Kaliszu urzekły mnie oczy, chabry wśród łąnów zboża były tylko ich wyblakłą imitacją. Drobną, ciemnowłosa, w jakimś czasie była bardzo blisko mnie, tak blisko, że do dziś zachowuję ją w nieprzemijającym miejscu mojej pamięci.



Pomimo iście „warszawskiego tempa” drugi rok studiów był spokojniejszy, doszedłem do wniosku, że dam sobie radę. Mieszkając na Jelonkach, cztery osoby w pokoju, mieliśmy czas odwiedzać Fukiera, zagrać w brydża, czasami zasnąć i nie zdążyć na wykłady. Zapisalem się nawet na dzudo do klubu „Siobukaj”. Przy ładnej pogodzie wyrzucało się koc przez okno na trawę, aby uczyć się na świeżym powietrzu, lub nawet uciąć drzemkę z książką pod głową. W niedzielę zrywałem się jako jeden z pierwszych, aby zdążyć na poranek. W różnych kinach w Warszawie prezentowano wówczas klasykę Disneya, czasami pod nosem w kinie na Jelonkach. Dzięki ZSP-owskim ułatwieniom w kupowaniu biletów zacząłem też bywać w teatrach, byłem nawet w słynnym STS. W ten sposób moja prowincjonalna młodość zaczynała nabierać stołecznych szlifów, których tak naprawdę nie nabrałem do dzisiaj.

Sielanka ta została przerwana przez epidemię wyjątkowo paskudnej anginy przywiezionej przypuszczalnie przez jakiegoś studenta z Afryki. Odchorowałem ją jako jeden z pierwszych. Wkrótce potem, gdy zabrakło miejsc w naszym małym studenckim szpitalu i coraz więcej studentów padało, wręcz dosłownie, np. w kolejce w stołówce, ogłoszono kwarantannę i zamknięto nasze osiedle. Pomimo zakazu wychodzenia ekspedientki okolicznych sklepów wykazali zrozumienie – wyprzedali nam wszystkie zleżale wina, od najtańszych do najdroższych.

Będąc już zdrowym, nawet w towarzystwie bliskich kolegów, poznałem cząsteczkę odczucia przymusowego odosobnienia, wyrwania z toku codziennych zajęć. Wpadła mi w rękę poza programowa książka „Geometria analityczna”. Pomiedzy partyjkami brydża przerobiłem całość wraz z ćwiczeniami. Przy braku innych lepszych zajęć wyprosiłem u pielęgniarek biały kitel, stałem się ich asystentem.

Mając doświadczenie w zrobieniu zastrzyku dla siebie samego po paru dniach poprosiłem, aby mi pozwolono robić zastrzyki. Nie było to takie proste jak wbicie igły we własną nogę, przy pierwszym zastrzyku oblewały mnie zimne poty – omal nie zemdlałem. Kiedy po paru dniach studenci widzieli naszą grupkę medyczną od progu wołali: *Niech ten felczer robi zastrzyki, ma lekką rękę* – moja technika polegała na bardzo szybkim wbijaniu igły – wręcz rzucaniu strzykawką jak lotką.

Nauka „nie poszła w las”, jeszcze parę razy robiłem zastrzyki. Nawet ratowałem Mikię, gdy w czasie wakacji angina wyłączyła go z polowania na ryby pod powierzchnią Netty koło Gabowych Grądów. Aby dostać „po znajomości” penicylinę musieliśmy z Jankiem skoczyć do Ełku, ponieważ Miki był jeszcze studentem medycyny i nie mógł wypisywać recept, a w tym gościnnym skansenie naszych „Starowierców” nie było chyba lekarza. Leżąc przez parę dni w domu biedak nie mógł spędzać z nami serdecznych wieczorów „pod wisienką” i spać na sianie w stodole.



Na ryby z kuszą i „asystentami”.

„Geometria analityczna” oraz kurs dynamiki przydały się podczas najbliższych wakacji. Na ostrym zakręcie w prawo skuter jakby odmówił posłuszeństwa. Siedząc z tyłu pochylałem się w prawo, aby pomóc Jankowi walczącemu ze zbuntowanym skuterem, bez efektów, jakaś tajemnicza siła znosiła nas na lewą stronę jezdni. Jak na zwolnionym filmie widziałem przybliżające się rosące po lewej stronie drogi drzewa a za nimi porośnięty krzakami rów oddzielający drogę od gęstego lasu. Myślenie też miało w sobie coś ze zwolnionego filmu, nie zdążyłem nawet przestraszyć się. Wychodząc z zakrętu zaledwie utrzymaliśmy się na lewym poboczu, na szczęście utwardzonym, stokroć na szczęście, nic nie jechało z przeciwnej strony.

Zaistniało coś zupełnie niesamowitego, przecież zjeździliśmy na tym skuterze tysiące kilometrów, braliśmy z fasonem ostre zakręty w wąskich uliczkach naszych miasteczek. Nie przypuszczaliśmy, że może istnieć jakaś tajemnicza siła, która wręcz nie pozwoli wziąć niezbyt trudnego zakrętu. Siła, która zaszokowanego kierowcę urywającego kierownicę, aby nie zniosło go na pędzący z przeciwka samochód, rozplaszczy na tym samochodzie lub wyrzuci na przydrożne drzewo.

Jest taka siła, realna fizyczna siła – chociaż w codziennym życiu bardzo trudna do zaobserwowania i trochę jakby sprzeczna ze zdrowym rozsądkiem (dokładniej, moment siły nazywany „żyroskopowym”). Rozmawiałem z wieloma motocyklistami – nikt, dosłownie nikt nie wiedział, o czym mówię. Poddawali w wątpliwość moje wyjaśnienia, tylko przez grzeczność nie komentowali moich wywodów krótkim podsumowaniem: *Chyba upadłeś na głowę*. Wyprowadzając motocykl z salonu motocyklowego przez wejście po prawej stronie skręcamy kierownicę na prawo – „to jest proste jak drut”. Ale jadąc motocyklem z prędkością 50 kilometrów na godzinę, jeżeli skręcimy kierownicę na prawo, natychmiast „moment żyroskopowy” pochyli nasz motocykl na lewą stronę, wylecimy wprost na jadący z przeciwnego kierunku samochód, lub w najlepszym przypadku wylądujemy w rowie.

W czasie, gdy motocykl był przedmiotem marzeń, wielu rodziców oplakiwało swoje dzieci mając wyrzuty sumienia do końca życia, że pomogli kupić lub kupili im motocykle. Na pewno wielu z tych młodych ludzi widziało tak jak ja „zwolniony film” nieuchronnie zbliżających się drzew..., i tak jak Janek starało się skrócić kierownicę w przeciwną stronę. Wiele ludzi teraz jeżdżących, lub tych, którzy będą jeździli, może taki mrozący krew w żyłach „film” zobaczyć, może to być ich ostatni „film”.

Ku przestrodze oraz aby przekonać niedowiarków postaram się jak najprościej wyjaśnić, na czym cały problem polega. A składa się on z dwóch części, psychicznej i fizycznej. Nie należy łączyć „psychicznej” części problemu z facetami, którzy na specjalnych pokazach robią „sowie oczy”, przemieszczają różne ciężkie przedmioty, albo, jakoby siłą swoich myśli wyginają łyżeczki lub materializują gołębie. Gdyby naprawdę mieli takie zdolności, wówczas nie dzieliliby się kasą z bileterami – „siłą myśli” przemieściliby pieniądze z portfeli widzów do swoich portfeli. Psychiczna strona problemu to zespół nawyków nabieranych od pierwszych ostrożnych prób jazdy do uzyskania całkowitej (przeważnie błędnej) pewności, że jazda jest już w stu procentach opanowana. Ta pewność siebie dominuje i sprawdza się w normalnych warunkach jazdy. Szczególnie przy pięknej pogodzie motocykl jak wierny koń smaga powietrze i zaprowadzi na najdrobniejszą ścieżynkę, gdzie nadęty samochód nie ma prawa wstępu.

Do podstawowych nawyków należy zakręcanie, wykonujemy ten manewr automatycznie bez zastanawiania się, w jaki sposób to robimy. Jadąc powoli, podpierając się nogami dla stabilności, skręcamy kierownicę w kierunku zakręcania. Jadąc szybko pochylamy motocykl w stronę, w którą chcemy zakręcić. Właściwie wszystkie koła bardzo dobrze zakręcają przy pochyleniu, a zakręcanie podobne jest do toczenia się lejka wokół miejsca, którego dotyka jego dzióbek. Im krótszy jest lejek, tym bardziej pochylone jest jego obrzeże (koło motocykla), tym mniejszy jest promień skrętu. To właśnie pochylone koło motocykla tworzy taki niewidzialny „lejek zakręcania”, którego niewidzialny dzióbek znajduje się w miejscu, w którym przedłużenie osi koła dotykałoby jezdni. Zauważmy, że do takiego zakręcania skręcenie kierownicy nie jest w ogóle potrzebne

Mając nawyk zakręcania nie myślimy, w jaki sposób pochylamy motocykl, aby zaczął zakręcać. Pierwsza odpowiedź mogłaby sugerować, że wychylamy głowę i ramiona w stronę zamierzonego zakrętu. Przeczy to codziennemu doświadczeniu – ile razy aż w grzbiecie strzyknęło od wykręcania głowy razem z tułowiem przy mijaniu jakiejś fajnej dziewczyny w mini – i nic, motocykl jechał tak prosto jak poprzednio. Większość zapytanych nie dałaby prawidłowej odpowiedzi, ponieważ robiąc automatycznie prawidłowy manewr, nie rozumie jego części składowych. Tak naprawdę przy zakręcaniu w prawo lekko wysuwany jest prawy bark do przodu, z jednoczesnym minimalnym pochylem tułowia w prawą stronę i z lekkim podciągnięciem lewej ręki do tyłu – w efekcie motocykl posłusznie zakręca. To właśnie wysunięcie barku i prawej ręki do przodu, przy podciągnięciu lewej ręki, jest sekretem uległości motocykla. Oznacza to nic innego, jak lekkie skręcanie kierownicy w lewo – właśnie, dla skłonienia przyjaznego w tym momencie motocykla do zakręcania w prawo. Wydaje się to dziwne – jadąc pięćdziesiątką pociągnąć kierownicę w lewo a zakręcimy w prawo?... Dziwne, ale tak jest. [W amerykańskich podręcznikach nauki jazdy jest taka regułka: „**pchnij prawą rączkę, motocykl położy się w prawo, zakręcisz w prawo**“, opinie rodaków: [Countersteering](#)]

Wydaje się to dziwne, ponieważ podczas uczenia się jazdy na rowerze i pierwszych manewrów z motocyklem, prowadząc go lub powoli jadąc, zakręcanie odbywa się w kierunku skręcenia kierownicy. Identyczne przekonanie wyrabia też obserwacja wozu i samochodu, zakręcają w kierunku skręcenia kół. Nawet konie skręcają w stronę pociągniętej uzdy. Jednak, gdybyśmy tak dla rycerzy Sobieskiego, tuż przed wyprawą, podrzucili jakimś „pociągiem czasu” tajną broń w postaci straszliwych ryczących motocykli – nie dojechaliby pod Wiedeń – ponieważ kierowaliby nimi tak, jak kierowali końmi. Działając w dobrej wierze wytracilibyśmy nasze rycerstwo na przydrożnych drzewach a dziś [bisurmanie](#) przyjmowaliby nas do Unii Europejskiej i NATO.

Najgorszym jest to, że nawet mając już wprawę w jeźdźeniu motocyklem – nawet zakręcając poprzez lekkie skręcanie kierownicy w kierunku przeciwnym do kierunku zamierzonego zakrętu – nie zdajemy sobie sprawy z tego, jak naprawdę ten manewr wykonujemy. Ogólnie nazywa się to „położeniem motocykla” w kierunku zakrętu. Są sytuacje, kiedy ten codzienny nieświadomy nawyk zakręcania przestaje działać. Nieoczekiwana przeszkoda na drodze, lub obawa, że nie wyrobimy się na zakręcie, może spowodować zgubne pociągnięcie kierownicy w stronę, w którą chcemy uciec. Wówczas motocykl zamienia się w oszalałego konia niosącego jeźdźcę wprost na zatracenie. To jest właśnie ten problem psychiczny, pokonywanie nabytego nawyku przez silniejszy w takim przypadku odruch świadomego działania.

Dokładne opisanie części fizycznej byłoby trudniejsze, ale wyobraźmy sobie, że za brak znajomości, co to jest moment siły, kręt, i iloczyn wektorowy, dobry profesor posadził nas za karę na swoim bardzo wysokim obrotowym fotelu..., i dał do rąk ciężki metalowy pręt imitujący kierownicę. Wyobraźmy sobie dalej, że musielibyśmy na tym fotelu siedzieć tak długo, dopóki nie wejdzie nam w nawyk, że skręcając pręt (kierownicę) w lewo fotel skręci w prawo, i odwrotnie. Właściwie takim dobrym profesorem powinien być każdy nauczyciel jazdy na motocyklu, a złym profesorem każdy egzaminator dający motocyklowe prawo jazdy bez upewnienia się, że przyszły kierowca wie, co to jest moment żyroskopowy ([Countersteering](#)).

To moje prywatne „odkrycie”, znane żużlowcom, ucieszyło wówczas moją próżność. Gdyby mnie wylali z polibudy, mając już dyplom nauczycielski, mógłbym otworzyć szkołę bezpiecznej jazdy motocyklem. [Konsekwencją tego spostrzeżenia był pomysł zmodyfikowania sposobu zakręcania samochodów. W pierwszej fazie zakrętu koła samochodu byłyby pochylane w kierunku skrętu, co przy małych pochyleniach wystarczałoby na branie wszystkich zakrętów spotykanych na drogach i szosach. Dopiero przy manewrach parkowania, w drugiej fazie zakręcania, koła byłyby skręcane w konwencjonalny sposób. W ten sposób moment żyroskopowy, starający się przewrócić samochód przy konwencjonalnym sposobie zakręcania, byłby obrócony o 90 stopni wspomagając zakręcanie. Po przyjeździe do USA zgłosiłem dla dwóch potentatów motoryzacyjnych hasło modyfikacji układu sterowania samochodem. W odpowiedzi dostałem standardowe druki do opisu pomysłu i deklarację do podpisania, że nie będę miał żadnych roszczeń, jeżeli coś podobnego wykorzystają – zrezygnowałem. Około 1996 roku Niemcy zademonstrowali trójkołowiec z układem zakręcania jako żywo przypominającym mój około dwadzieścia lat wcześniej pomysł.]

Na zakończenie drugiego roku studiów spodziewałem się w większości czwórek i piątek. Niektórych kolegów rozleniwiała atmosfera Jelonek i odstraszał czas dojazdu do Politechniki. Zaczęli opuszczać nawet ćwiczenia, co było grubym błędem. Wykładane wiadomości były do „odrobienia” z książek lub z notatek co pilniejszych kolegów, ćwiczeń nie dawało się odrobić. Jednym z nich był Janek Stańczyk, przesympatyczny kolega, który przez swoją „melodię” do spania musiał zakończyć nasz wydział po drugim roku.

Jeszcze na Narutowicza, gdy wyjątkowo rano wybył z pokoju, wypchaliśmy jego ubranie przykrywając miejsce głowy gazetą. Kukła leżała na łóżku, wyglądało, że czytając gazetę Janek smacznie sobie zasnął. Nawet nie pomyśleliśmy o sprzątacze, która tak naprawdę byłaby zdziwiona, gdyby nie było go w pokoju. Widocznie jednak zazwyczaj zamieniała z nim kilka słów. Gdy kukła uparcie milczała, przerażona sprzątaczką zwołała koleżanki z całego piętra, stały w bezpiecznej odległości i chórem wołały *Panie, panie, obudź się pan, czy pan żyjesz*. Ściągnięty posiłek w postaci palacza podniósł gazetę znad niby twarzy – *Toż to manekin kobiety*. „Przespawszy” MEL Janek skończył później inną politechnikę.

Byli tacy koledzy, którzy ratowali się urlopami dziekańskimi, a byli już po najgorszym odsiewie pierwszego roku studiów. Przesypianie, szczególnie ćwiczeń, znacznie im te studia wydłużyło. Jeden chłopak z naszego roku nie wytrzymał psychicznie, popełnił samobójstwo wieszając się w ubikacji któregoś z domków na Jelonkach. Szkoda, bo nawet najgorsza sytuacja nie trwa wiecznie. Po najbardziej ponurym nastroju zawsze następują pogodne dni. Mój los chciał, abym po drugim roku zakończył mój wymarzony Wydział Lotniczy Politechniki Warszawskiej, na szczęście nie sromotnie. Znało się już właściwie wszystkie kąty na Politechnice, była wyrobiona opinia dobrego studenta, „strajkowe” piętno absolutnie nie przeszkadzało. W końcu, wielu wykładowców i asystentów miało powody, aby strajkować, ale byli zbyt wrośnięci w codzienne obowiązki i mieli coś więcej do zaryzykowania niż my, „szara piechota” studencka. To był mój ostatni rok na MEL-u, tak chciał los, a może był to „zew krwi”?

Jak wspominałem wcześniej, aby wyjechać na Chruszczowskie „przemieszać się” wymagana była średnia ocena około czwórki oraz wszystkie egzaminy zdawane bez poprawek. Na Politechnice było to naprawdę bardzo trudne, a „trójka” była spełnieniem marzeń każdego studenta. Jeżeli już ktoś po pierwszych dwóch latach studiów lokował się w okolicach czwórki, wówczas tylko niespodziewane nieszczęście mogło zniweczyć oczekiwane terminowe zakończenie studiów i karierę zawodową na miarę PRL.

W odróżnieniu od studentów wcześniej wysyłanych do uczelni radzieckich – dzieci naszych komunistycznych dygnitarzy – byliśmy grupą złożoną z „PRL-owskiego plebsu”, ale w pewnym sensie elitarnego plebsu. Elitaryzm polegał na globtroterskiej chęci poznania przynajmniej, i wtedy jedynie dostępnej, „bliskiej zagranicy”. Polegał też na zdolności do podjęcia ryzyka, bo nie mieliśmy pojęcia, czy dając sobie radę w Polsce damy sobie radę w obcym kraju. Ta właśnie gotowość podjęcia ryzyka i zdolność wyrzeczenia się komfortu pewności co do najbliższej przyszłości wymagała specjalnego „elitaryzmu” charakterów. W większości, nawet nieświadomie, byliśmy poszukiwaczami przygód – może oprócz mnie?

Ja chciałem poznać nieznaną krewną mojego ojca, którzy odnaleźli mnie poprzez Czerwony Krzyż. Innym powodem było moje „postawienie się” dziewczynie, która dała mi komfort jej skromnego, ale samodzielnego pokoiku w Otwocku, i niezłą szkołę na mojej długiej drodze stawania się mężczyzną. Nabrałem jednak podejrzeń co do szczerości jej uczucia. Właściwie..., trudno było wytrzymać tempo, jakie narzuciła. W styczniu na wieczorek urodzinowy na Jelonkach zaprosiłem moją rówieśniczkę Barbarę, przyszła ze starszą siostrą. Po tradycyjnych rizlingach było już za późno na MZK i podmiejskie pociągi. Zarówno kasa jak i brak taksówkowych nawyków nie podsunęły nam pomysłu, aby dziewczynom zafundować taksówki. Barbara wybrała koc i podłogę między łózkami, a jej siostra powiedziała: *Podsuń się pod ścianę, ja będę z tobą spała...*

Na Wielkanoc doprowadziła mnie do moich i swoich rodziców, jako ustawionego do zaobrączkowania, zapodała ślub w czasie wakacji. Byłem tym wszystkim tak oszołomiony, że nie bardzo wiedziałem, co się ze mną dzieje. Mój przyjaciel Janek „Bliźniak” całkowicie zawiódł w tej wręcz beznadziejnej sytuacji – chyba spisał mnie na straty. Jako dobry student drugiego roku Politechniki Warszawskiej, już po potężnym odsiewie (z ok. 225 osób zostało około 30), mogłem wyglądać na dobrego kandydata na męża. Właściwie nie wiem, jakie jeszcze walory mogłem reprezentować. Oprócz dobrych postępów w studiach niczym innym nie wybijałem się, wybiłem jedynie bark w czasie treningu dżudo, przypuszczalnie wycieńczony niedospanymi nocami i łóżkiem dzielonym na dwoje.

Po Wielkanocy dostałem wiadomość od krewnych mojego ojca, gdzieś zza Linii Curzona, jednocześnie zaczął się nabór na studia w demoludach. Gdy zakomunikowałem jej: *Brat mojego ojca odnalazł mnie, wyjeżdżam do Rosji kontynuować studia*, zaakceptowała to, *Ale najpierw ślub*. Postawiłem się, *Będiesz czekała na mój powrót, ślub potem*. Ona też postawiła się – *Jestem w ciąży*. Gdyby przerwała używanie globulek „Zet”, może bym wierzył i nigdy nie wyjechał tam, gdzie podobno diabeł mówi dobranoc. Dobrze, że wyjechałem. Pomijając fortel zdemaskowany znikającymi globulkami „Zet”, byłem jeszcze za smarkaty na założenie rodziny.

Dwadzieścia dwa lata to może dobry wiek dla dziewczyn, aby wstępować w związki małżeńskie, dla chłopaka to stanowczo za mało. Uważałem się oczywiście za dorosłego, gdyby ktoś temu zaprzeczył, mógłbym udawać, że jestem urażony. Ale tak naprawdę sam odczuwałem mój ówczesny brak kwalifikacji na męża, a tym bardziej na ojca dzieciom. Myślę, że tak samo jak ja, w podobnej sytuacji, większość dwudziestolatków nie myśli o przyszłości w wariantach małżeństwa. Ci, którzy w takim wieku wступują w związki małżeńskie, robią to w stanie jakiegoś oszołomienia, patrząc wstecz tak to mogę ocenić.

Tym niemniej, od kiedy zacząłem przyglądać się sobie w lustrze i układać na noc zmoczone wodą włosy – aby wreszcie obudzić się z modną „jaskółką”, sprawy męsko żeńskie były obiektem mojego bardziej lub mniej ukrytego zainteresowania. Otrzymując tradycyjne wychowanie były to tematy „tabu”, jednak ciekawość i bardziej uświadomieni koledzy zrobili swoje – nawet bez lekcji wychowania seksualnego dużo na ten temat wiedziałem. Właściwie, nie bardzo wiem, w czym można by było mnie i moich rówieśników dokształcać, chyba tylko coś na temat doświadczeń i koncepcji prezydenta Clintona – co jest seksem?

Piętno grzechu oraz brak przyzwolenia otoczenia na doświadczenia seksualne walczyły z zakodowanym w naturze popędem i urokliwością płci przeciwnej. W najprostszej formie brak przyzwolenia polegał na niedopuszczalności jakichkolwiek form intymnych zbliżeń w miejscach publicznych (przytulanie się, całowanie itp.), chyba tylko po zmierzchu, w parkach, „małpich gajach” – kiedy nikt nie widział. Pamiętam ile razy obchodziłem kioski Ruchu, aby na wszelki wypadek kupić prezerwatywy, gdy już otwierałem gębę – zawsze kupowałem coś innego. Gdybym w szkole dostał je za darmo i dobrą lekcję z ilustracjami, a może i z wideo, nie zostałyby nic innego, tylko szybko przerobić „ćwiczenia praktyczne” z jakąś prymuską z tego przedmiotu (lub „podciągnąć” słabszą uczennicę). Bez tych lekcji wychowania seksualnego, przy braku ogólnej akceptacji, musiałem indywidualnie i stopniowo odkrywać tę niewątpliwie bardzo ważną część każdego ludzkiego życia. Odkryłem, wbrew pasjonatom wychowania seksualnego zakładającym, że bez lekcji na temat seksu młodzi ludzie nie będą wiedzieli co to jest stosunek, wręcz zagłada gatunku!

Być może promotorzy wychowania seksualnego obawiają się, że pozalekcyjna wiedza o życiu seksualnym niesie niebezpieczeństwo wytworzenia niewłaściwych zachowań seksualnych, zbroczeń, lub patologii. Czyżby oczekiwali, że wzorcowe podręczniki amerykańskie – omawiające i aprobujące jako „normalne” wszystkie możliwe zachowania i techniki seksualne (od samogwałtu do homoseksualizmu) mogą zabezpieczyć młodzież przed zbroczeniami? Niektórzy argumentują, że wychowanie seksualne zabezpieczy młodzież przed tragediami ciąży nastolatka, rozładuje napięcia doprowadzające do urazów psychicznych, zapobiegnie impotencji, nieudanym inicjacjom itp. Jest to absolutna bzdura. [W USA, po zsynchronizowanym z rozwojem edukacji seksualnej wzroście ilości cięż nieletnich, dopiero w drugiej połowie lat dziewięćdziesiątych ilość przypadków ustabilizowała się na wysokim poziomie. Nie jest to jednak zasługą wychowania seksualnego, odstraszącą rolę odgrywa AIDS oraz związane z tym akcje środowisk konserwatywnych skłaniające dużą ilość młodych ludzi do wstrzemięźliwości seksualnej.]

Reguła jest raczej inna, im więcej wychowania seksualnego, tym więcej nie chcianych ciąży i aborcji. Stosunkowo rzadkich urazów psychicznych i nieudanych inicjacji można by uniknąć wysyłając młodź do jakiegoś odciętego od cywilizacji plemienia posiadającego „święty” pień z kolkiem w postaci prącia. W czasie plemiennych ceremonii, za garść szklanych paciorków, czarownik dokona tego, czego nie dokona żaden podręcznik wychowania seksualnego. Chyba, że będą fundusze na dostępne w seks-szopach „pomoce dydaktyczne” i etatowi specjaliści od rozprawienia. [Jeden z moich przyjaciół zaproponował rodzimą nazwę seks-szopu: „jeb-sklep“.] Co prawda, nie słyszałem o zatrudnianiu takowych przez amerykańskie szkoły, jednak udoskonalanie i poszerzanie edukacji seksualnej postępuje w miarę narastających problemów. Postulowane jest rozpoczęcie tej edukacji od najmłodszych klas, wręcz równocześnie z abecadłem, lub jeszcze w przedszkolu. Wprowadzono by też zajęcia praktyczne, jednak istniejący także w USA „ciemnogród” nie został jeszcze dostatecznie „oświecony” przez seksualnie rozjarzonych aktywistów.

„Nawiedzeni” pełniący różne funkcje „mesjaszy edukacji seksualnej”, we wzajemnym sprzężeniu zwrotnym z robiącym kokosy seks biznesem, tworzą fikcyjny model życia i zachowań, tak wyraźnie widoczny w masowej produkcji Hollywood. Patrząc na te „dzieła” można by było dojść do wniosku, że Amerykanie spędzają większość swojego życia w łóżku (oczywiście z przerwami na jatki). Prawda jest inna, ale oglądając jedne po drugich takie rozbierano krwawe produkcje rozsądek i poczucie realności mogą być zagłuszone przez wyprowadzone z równowagi instynkty, szczególnie u młodej widowni, ale nie tylko. Sam byłem świadkiem wypowiedzi w amerykańskiej telewizji, w których dorosłe osoby określały cel życia jako nieustanne odbywanie stosunków seksualnych, a całą sumę innych aspektów życia jako mało istotne tło. Jest to niewątpliwie patologia, niezależnie od tego, czy osoby te są fizycznie wydolne do realizowania takiego celu życia czy nie? Jest to patologia, ponieważ osoby te zaistniały i istnieją dzięki tej „mało istotnej” sumie wszystkich innych aspektów życia.

Niewątpliwie, wbrew dobrym intencjom i logicznym przesłankom, wychowanie seksualne stało się jednym z ważnych czynników, które w sposób dramatyczny zmieniły amerykańską obyczajowość i percepcję różnych aspektów ludzkiego życia seksualnego. To, co było bardzo prywatne i intymne, nawet uważane za dewiację, ewoluowało do czegoś całkiem normalnego. Stając się „normalnym” potęguje wrodzone instynkty seksualne do poziomu utraty kontroli nad tymi instynktami – doprowadza do gwałtów i zbrodni na tle seksualnym. Dlatego też przemożna siła wrodzonego instynktu seksualnego powinna być ograniczana zakazami i piętnem grzechu, tak jak było w moim wychowaniu, maksymalną niedostępnością wszelkich materiałów i informacji eskalujących ten instynkt. Pomimo tych restrykcji każda osoba przełamie tyle zakazów, na ile jej indywidualny instynkt seksualny jest silny, na ile doświadczenie i seksualny instynkt partnerek(rów) pozwolą.

Niezależnie od tego, co sobie Europa i świat pomyślą, pornografia, prostytucja i inne promocje seksu, powinny być zakazane jako naruszające równowagę jednego z najsilniejszych instynktów, którymi obdarzyła nas natura. Prywatność życia seksualnego powinna być nie tylko chroniona, ale nakazana prawem. Posiadania materiałów o charakterze pornograficznym mogłoby być niekaralne, jednak każda osoba, dla której takie materiały byłyby zaprezentowane, miałaby prawo wystąpić o ich konfiskatę i zniszczenie. Wylimitowałyby to potrzebę tworzenia jakiejś precyzyjnej definicji „pornografii”, a posiadacze takowych materiałów zastanawialiby się głęboko, co i komu prezentują.

Doskonale pamiętam, kiedy po raz pierwszy powstało u mnie jakieś samoistne zainteresowanie płcią przeciwną – a było to zaraz po rozpoczęciu nauki w szkole. W dużej grupie rówieśników dziewczynki były od razu inaczej traktowane: ciągnęte za warkocze, delikatnie popychane (w odróżnieniu od sposobu popychania kolegów), obsypywane śniegiem – zamiast ubitymi śnieżkami, itp. Właściwie początkiem mojej szkoły była druga klasa, bo gdy mnie – spod znaku Koziorożca – nie przyjęto do pierwszej klasy przed moimi 7mymi urodzinami, mama dała mi elementarz i codzienne porcje do nauczenia się, a rękę miała tak ciężką, jak mnie kochała. Siedziałem więc sam w domu i uczyłem się tego, co było zaznaczone przez mamę. Gdy w następnym roku przyjęto mnie do szkoły, miałem całą pierwszą klasę w „małym paluszku”, przeniesiono mnie do drugiej klasy. W drugiej klasie najwięcej figli płałem koleżance, która nazywała mnie „misiem”. Nie mogę określić, na czym polegał mój sentyment do niej, ale byłem na pewno zauroczony do tego stopnia, że pamiętam to do dzisiaj. Kombinowałem, aby siedzieć jak najbliżej, a w niedziele chodziłem nawet do dalej położonego kościoła, ponieważ ona tam chodziła.

Być może „misio” wzięło się od starego kozucha, które mama przerobiła na mnie „włosem na wierzch”. Gdy wszyscy po zajęciach lekcyjnych ślizgali się i zjeżdżali z górek, dobrze to futerko wytarłem tą częścią ciała, w którą po zdjęciu futerka dostałem porządne lanie. Pamiętam ten ból, ale też pamiętam, jaką wielką miałem radość i przyjemność zjeżdżania z górki, w gronie roześmianych rówieśników. Niektórzy zjeżdżali na tornistrach, inni tak jak ja, na lepszych lub gorszych paltach, w różnych pozycjach, z rozgrzanymi zabawą buziami, z nieustannymi salwami śmiechu. Gdy podrosłem – trudno było o taką szczerą i beztroską zabawę.

Pierwszy pocałunek z dziewczyną, którą obserwowałem od jakiegoś czasu, wydarzył się na prywatce z okazji ukończenia piętnastu lat. Pomimo, że w tym czasie musiałem być strasznym głąbem, wiedziałem jednak coś o sztuce greckiej. Przypuszczalnie czytałem „Mity greckie” z ilustracjami rzeźb. Byłem przekonany, że ta z innej klasy dziewczyna jest kopią Wenus z Milo, lub odwrotnie. Był to mój pierwszy pocałunek, chyba też jej. Przez wiele lat, gdy spotykałem ją, zawsze przypominał się mi ten pierwszy pocałunek – udawałem jednak, że jej nie znam. Aż kiedyś, gdy już byłem ojcem, spotkałem ją w Peweksie, też z małym dzieckiem na ręku, wyglądała wspaniale jako mama. Uśmiechnąłem się i spytałem *Czy pamiętasz, że cię kiedyś pocałowałem* – pamiętała, i rzeczywiście była kopią Wenus z Milo.



Czy pamiętasz ?

Pojawiające się po jakimś czasie znajomości „udawanie”, że nie zauważam dziewczyny, która wzbudziła we mnie jakieś odwzajemnione uczucia trwało dosyć długo. Teraz wiem, że była to podświadoma obrona przed smarkatym podjęciem bardzo poważnych decyzji życiowych. Jakież by było moje życie i któreś z tych, co mnie zauroczyły, gdybyśmy w młodym wieku poszli za głosem fascynacji i będąc jeszcze dziećmi mielibyśmy dzieci. Przypuszczalnie – jak najczęściej bywa – po krótkim okresie zobojętnienie i rozwód. A może nienawiść, wieczna wojna i przymus życia z cieniem wielkiej miłości? Na pewno dziwnie to moje zachowanie wyglądało, ciągła walka instynktów z poziomu natury z niezupełnie świadomymi samo ograniczeniami z poziomu kultury.

Najsilniejsze samo ograniczenia powstawały w stosunku do dziewczyn okazujących prawdziwe, szczere, i ich pierwsze uczucia. Podświadomie i świadomie wiedziałem, że muszę okiełzać naturę. Była taka bardzo sympatyczna wspaniała dziewczyna, którą poznałem na jej o rok późniejszym od mojego balu maturalnym. Po roku znajomości była zdecydowana na wszystko, z ufnością i powagą gotowa była stać się moją kobietą. Podobała mi się, była pociągająca, wybieraliśmy się na przejażdżki, na spacer, ale moje uczucie do niej było zaledwie cieniem jej uczucia do mnie. Pomimo, że nie miałem w tym czasie żadnej innej dziewczyny, rozumiejąc piękno i siłę jej uczucia zadecydowałem, że nie będę jej pierwszym mężczyzną, przestałem spotykać się z nią. Będąc na Politechnice dowiedziałem się, że rozpoczęła studia na Uniwersytecie Warszawskim. Być może wybrała Uniwersytet Warszawski, tak jak ja kiedyś zdecydowałem się na SN w Białymstoku?

Z innej takiej znajomości, jeszcze z końca szkoły, mam pamiątkę w postaci małego plastikowego krasnala. Dziwnym przypadkiem nie zgubił się, nie zniszczył. Nawet przy jakiejś okazji trafił za mną do USA. Właściwie jakoś zawsze był blisko mnie. Uświadamiając to sobie pomyślałem, jak szczere musiały być jej słowa, gdy gratulując mi zdania matury dała tego krasnalka mówiąc: *Na szczęście* – myślę, że jej życzenie spełniło się.



W opinii mojego kolegi Mariana ta z młodszej klasy dziewczyna była najładniejszą dziewczyną w szkole, a było wiele innych bardzo fajnych koleżanek. Chociaż nigdy nie uważałem się za przystojnego, jakoś zaprzyjaźniłem się z nią. Chodziliśmy na spacer, może nawet pocałowaliśmy się kiedyś. Gdy w tej dosyć długiej znajomości wypadało zrobić jakieś poważniejsze deklaracje, tak bardzo głupio, bez wyjaśnień, zacząłem unikać jej. Po jakimś czasie spotykało się coraz mniej takich dziewczyn a więcej innych, liberalnie traktujących „zew natury”, w takich przypadkach samo ograniczanie traciło na aktualności.

Pomimo tego nieustającego zainteresowania płcią przeciwną przez długie lata uważałem, że małżeństwo jest bardzo złą instytucją. Nawet sobie kiedyś przyrzekłem, że nigdy nie wstąpię w związki małżeńskie. Wpływ na to miała obserwacja otoczenia – kłótnie i niesnaski w znanych rodzinach – a szczególnie w poźyciu moich najbliższych. Tak jak kochali się, tak kłócili się, wręcz nieustająca huśtawka nastrojów.

Mój przyjaciel Miki, który po skończeniu studiów podnajmował u nich jeden pokój, przeżył gehennę – jak on to biedak wytrzymał? Chyba tylko dlatego, że miał pogodną naturę i dużo pracował. [Gdy wyjechałem do Leningradu, między innymi uciekając od zaobrączkowania, on zaczął pracę w Ełku i zamieszkał w moim pokoju.]

Oczywiście „nici wyszły” z mojego postanowienia życia w stanie wolnym – w wielkiej rozterce podejmowałem decyzję o zawarciu małżeństwa. Znalazła się osoba, która była silniejsza od mojego postanowienia zostania starym „szczęśliwym” kawalerem, teraz wiem, że była to właściwa decyzja i wspaniała osoba. Życie jednak nie było i nie jest takie proste. Najwspanialszą częścią tego świata są jednak kobiety. Chociaż lata już nie te, ciągle na ich widok włos się przygładzi, brzuch wciągnie i wyprostuje plecy. Ile jednak można wytrzymać na bezdechu? Do kiedy ten „odruch bezwarunkowy” będzie modyfikował skądinąd normalne zachowanie? Sparafrazowałbym: „Kobieta potęgą jest i basta”.

Biorąc ślub podjąłem decyzję na całe życie. Jednak postanowienie to było poddane wielu próbom przez ten wrodzony, wspaniały i paskudny „instykt bezwarunkowy”. Najgroźniejsze lata mam już za sobą, a nie było łatwo. Jako ilustrację załączam opowiadanie „INTERNATIONAL CENTER” dedykując je wszystkim wspaniałym koleżankom i kobietom, które los mój pozwolił mi poznać. Jest ono wyrazem mojego uwielbienia, szacunku i podziękowania – za przyjaźń, czasami zalotny uśmiech, lub pocałunek, lub coś więcej – bo cóż by był wart ten świat, BEZ WAS – KOBIETY! A były pośród Was osoby bardzo bliskie, które w chwilach przeżywanej na jawie nierzeczywistości były rzeczywistością – wcieleniem jednej jedynej enigmatycznej kobiety mojego życia – której głos, czułość, dotyk jest ciągle razem ze mną. Kobiety niespodziewanie oblekającej się w ciało, jednak nigdy nie zdradzającej ani istoty ani miejsca swojego tajemniczego bytu.

Okazją do napisania „INTERNATIONAL CENTER” był konkurs literacki na temat „Miłość w Ameryce” ogłoszony przez polonijną gazetę Nowy Dziennik. Bezpośrednim impulsem, który zmobilizował mnie, było opublikowane w ramach tego konkursu opowiadanie pod tytułem KADYSZ – z dodatkiem „Modlitwa za zmarłych”. Może słowo „zmobilizował” nie oddaje istoty tego impulsu, raczej słowo „zbulwersował” byłoby bliższe moim odczuciom powstającym w trakcie czytania tego opowiadania. Od tego momentu zacząłem jednak czytać kolejne opowiadania z tego cyklu i po jakimś czasie wahań postanowiłem opisać swoje przeżycia z okresu ośmioletniej rozłąki z rodziną spowodowanej wprowadzeniem stanu wojennego. Po napisaniu opowiadania INTERNATIONAL CENTER, „z rozpędu” i w pocie czoła, zacząłem pisać „Okruchy”. Ze względu na konkursowe ograniczenia Nowy Dziennik skrócił trochę moje opowiadanie. Po nabraniu wprawy w pisaniu „wygładziłem” je i uzupełniłem załączając jako następny rozdział.

INTERNATIONAL CENTER

Miłość?... SŁOWNIK JĘZYKA POLSKIEGO wiąże dwa pojęcia – miłość i kochanie – wyjaśniając jedno przy pomocy drugiego. Podaje też całą gamę przykładów ilustrujących oba pojęcia. Niewątpliwie w USA najpowszechniejszą jest miłość do „zielonych banknotów”, a ta inna...? Nie jest to na pewno ciągle przewracanie się w symbolicznym łóżku (Dynasty i inne seryjne szmatławce opatrzone etykietką „Hollywood”). Nie są to też na pewno setki zapalonych świec (znowu Hollywood); bo po zapaleniu ostatniej para „gołąbków” nie miałyby już sił do „miłowania”. Właściwie ani definicje ani zapalone świece nie „naświetlały” problematyki miłości. Jedyne co pozostaje, to sięgnięcie pamięcią do czasu, kiedy coś takiego istniało.

Wydaje mi się, że miłość, gdy zaistnieje, odmienia codzienność życia. W skrajnych przypadkach wciąga całe jestestwo tak, jak „czarna dziura” wciąga wszelką materię. Być może znalezienie się w takiej „czarnej dziurze” własnego bytowania jest oznaką prawdziwej miłości...? Czy da się wytyczyć granicę między miłością a opętaniem...? Romeo i Julia, Matka Joanna od Aniołów, Przemineło z wiatrem... A właściwie, czy jakiegokolwiek granice są w ogóle potrzebne?

LOVE & STORY... Około czterdziestki trafiłem „za wielką wodę”. Wcześniej, szczęście lub przypadek, byłem dwa razy zakochany. Przeżyłem pewne symptomy, to znaczy..., a właściwie trudno to opisać. Jedno jest pewne: w tym stanie ducha *ONA* była najważniejszą osobą na świecie, wręcz całym światem. Będąc razem najgorsza pogoda, osobiste problemy lub problemy tego świata – nie istniały. Będąc oddzielnie, spotęgowanie uczuć, czasami zwątpienie, zazdrość, lub wiara, że jednak nic się nie zmieniło – tworzyły dziwny konglomerat, który można określić jako „jednostkę chorobową zakochania”.

Niespodziewanie przytrafiło się mi to po raz trzeci. *ONA* – prawie dziecko (*rodziła się, gdy ja kończyłem ogólniak*), filigranowa, lekko skośne wesołe oczka – wypełniała „aplikację” do [International Center](#) w Nowym Jorku, ja byłem następnym Pomyślałem sobie: „Jaka fajna Japonczka”. Trochę inne są te orientalne twarze, ale kobiety wszędzie mają dużo uroku i wdzięku – jej tych rzeczy nie brakowało. Ponadto, jako świeżo upieczona absolwentka amerykańskiej uczelni artystycznej, była bardzo gustownie ubrana.



Gdy przyglądałem się jej siedzącej naprzeciw osoby przyjmującej papiery, nic o niej jeszcze nie wiedziałem. Później okazało się, że nie była Japonką, ale bardzo blisko Japonii – przynajmniej terytorialnie. Jak przystało na „dobrosąsiedzkie” stosunki nie miała o Japonii zbyt dobrego zdania. Czekając na moją kolejkę patrzyłem na nią i uważnie słuchałem, na jakie pytania trzeba będzie odpowiadać, aby ten mój „niebełkotliwy” język zdobył się na maksimum, aby mnie przynajmniej częściowo zrozumiano.

Niewątpliwie w podświadomości mojej coś o Japonii odżyło, coś z kolorowego świata „Dookoła Świata”? Może przypominała się skośnooka studentka konserwatorium, która bardziej kochała skrzypce niż mężczyzn..., lub egzotyczna tancerka rewii japońskiej, które na zakończenie spektaklu wybrała mnie jako jednego z widzów obdarowanych kwiatkiem?

Niewątpliwie emanowało coś z mojej podświadomości, lub z mojego przenikliwego spojrzenia po roku ascetycznego poznawania Ameryki, „Japonczka” rozpoczęła konwersację. Już po paru słowach powstała między nami jakaś aura znajomości w nieznanym. Świadomość różnicy we wszystkich rozsądnych szczegółach i odczucie nieuchwytnego zbliżenia uciekającego jakimkolwiek racjom. Po krótkiej rozmowie

ująłem jej drobniutką dłoń. Miałem wrażenie, i ona to zauważyła, jakby jej dłoń roztopiła się w niezwykle ciepłej mojej dłoni. Odczułem, że nie będzie to tylko i wyłącznie zwykła znajomość. Trzymając jej rękę wydało się mi, że widzę całą przyszłość z wręcz smutnym końcem tej znajomości. Długo, długo później spytałem ją, *dlaczego zaczęłaś rozmowę ze mną*, ona odpowiedziała: *Wiedziałam, że ty mnie bardzo potrzebujesz*.

Po wyjściu z International Center odwiozłem ją do domu, wymieniliśmy się telefonami. W najbliższą niedzielę zadzwoniłem. Powiedziała: *wpadnij, jeżeli chcesz*. Po wypiciu paru kieliszków jakiegoś orientального płynu (coś o mocy pomiędzy piwem a winem) spytała, czy jestem stanu wolnego, powiedziałem prawdę. Rozmowa stała się bardziej formalna, zeszło na politykę (mój angielski bardzo kulał, ale naprawdę rozumieliśmy się). Zorientowałem się, że o komunistach ma jeszcze gorsze zdanie niż o wszystkich najgorszych Japończykach wziętych razem. Z czasem poznałem jeden z powodów. Jej matka – kobieta o wyjątkowej urodzie – uniknęła podobno śmierci dzięki lokalnemu czerwonoarmiście i wielbicielowi, który umożliwił jej ucieczkę, udaną, tuż przed zapadnięciem ich żelaznej kurtyny. Od ojca dostała nazwisko starożytnego rodu, nawet czasami żartowała: *Gdybyśmy spotkali się parę setek lat temu, to nie mogłabym nawet z tobą rozmawiać, chyba...?, że...?, być może...?, byliśmy już kiedyś razem...* Mógł to być żart, ale czasami wydawało mi się, że jednak trochę wierzyła w reinkarnację. Pod koniec tego pierwszego spotkania, niezwykajny do siedzenia „po turecku”, wstając przechyliłem się ponad orientalnym obrusikiem w jej kierunku. To był tylko pocałunek, nic więcej, jednocześnie jednak początek Love and Story.

Gdy ją poznałem podnajmowała jeden pokój w zaniedbanym mieszkaniu na dalekim Queens. Była bardzo skrupowana, gdy ciekawskie karaluchy wyprawiały swoje harce. Jej rodzina (ze względów, których mi nigdy nie chciała wyjawić) musiała opuścić ten ich prężący się do tygrysiich skoków kapitalizm, wręcz uciec gdzieś do Ameryki Południowej. Mieli jeszcze tyle zasobów, aby sfinansować jej wykształcenie w USA. W jej obecności karaluchy i całe otoczenie przestawało istnieć, jednak po pół roku znalazłem dla niej samodzielne mieszkanie w mojej miejscowości z doskonałym dojazdem do jej pracy na Manhattanie.

Nie mogliśmy mieszkać razem..., to znaczy mogliśmy, gdyby nie było obopólnej świadomości, że nasze obcowanie jest czymś tymczasowym. Nie rozmawialiśmy o tym, ale wiedzieliśmy, że nie możemy. Niektórzy dziwili się dlaczego? Tu jest Ameryka, tu zaczyna się wszystko od początku. W Polsce jest stan wojenny, zostanie tak przez długie lata, i wy tu zostanieie. Ja wiedziałem dużo więcej niż ona wiedziała. Wiedziałem, że przewrotny los znowu dał mi coś, co już przeżyłem, co powinno być tylko wspomnieniem stanu ducha powszechnie nazywanego miłością. Ja wiedziałem, wręcz byłem pewny, że jakiegokolwiek sformalizowanie naszej znajomości – nawet przez wspólne zamieszkanie – będzie wyrokiem śmierci na wszystkie wielkie uczucia, jakie przeżyłem i utrwaliłem w postaci małżeństwa, jednocześnie uczyni mnie na zawsze niezdolnym do jakichkolwiek wielkich uczuć.

Ona akceptowała moje krótkie odpowiedzi na różne dociekliwości osób postronnych: *Jesteśmy tylko przyjaciółmi. Ja już mam żonę, jedną żonę i jedne dzieci*. Pewnego razu powiedziała mi nawet: *Zagrałam w totolotka, tak bardzo chciałabym wygrać, pojechałabym do Polski zabrać twoją rodzinę – komuniści to na pewno łapówkarze* (wydarzenia w Polsce znała na bieżąco). Szybko jednak zreflektowała się: *Nie, tam mnie nawet nie wpuszczą, szczególnie w czasie stanu wojennego, oprócz tego wygasła moja studencka wiza pobytowa, a w ogóle, to na pewno nie wygram?*

Po paru miesiącach znajomości, gdy miała jeszcze ważną wizę studencką, wybrała się do swojego kraju. Zadzwoniła z lotniska, że wyjeżdża na stałe, że już nigdy nie spotkamy się. Chciała po prostu przerwać tę znajomość – właściwie bez żadnych perspektyw dla młodej atrakcyjnej dziewczyny – jednak po powrocie zadzwoniła. Udając obojętność, jakby niechcący, spytałem: *Dlaczego zadzwoniłaś* – „*bo ja teraz wiem, że bardzo ciebie potrzebuję*”.

Po wygaśnięciu studenckiej wizej pobytowej przebywała w USA na granicy legalności. Na mnie nie mogła liczyć, byliśmy ze sobą tymczasowo. W dodatku co jakiś czas dostawałem nakazy deportacji nie egzekwowane w czasie stanu wojennego. Miała jednak dyplom uczelni amerykańskiej, opanowany angielski, i nikt nie pytał o prawo do pracy. Zaczęła karierę zawodową, była bardzo ambitna i pracowita, miała też silny charakter (prawdziwe kobiety potrafią to ukryć). Tylko czasami miała chwile słabości, szczególnie, gdy pomijano ją w awansach. Mówiła: *bo ja nie jestem „Caucasian”*, a ja jej tłumaczyłem – gdybyś ze swoimi lekko skośnymi oczkami miała nazwisko kończące się na „ski”, wówczas byłby dopiero problem..., a łezki po jej orientalnych policzkach spływały o wiele dłużej niż po naszych.



Pomimo tych narzekań w bardzo krótkim czasie została dyrektorką artystyczną ilustrowanego miesięcznika. Być może w czymś jej pomogłem? A przynajmniej w tym, że mogła wyzalić się, rozprężyć, i z nowym ładunkiem energii rozpocząć następny dzień. Odkryłem, że w środku, pomimo trochę innego „opakowania”, siedzą bardzo podobne dusze. Z podobnymi radościami i smutkami, patriotyzmem i kompleksami.

Z racji swojej pracy otrzymywała wiele zaproszeń, na wystawy, projekcje przedpremierowe, czasami koktajle. Jeżeli ja nie chciałem iść, często rezygnowała. Bywaliśmy u jej znajomych, moich i naszych wspólnych z różnych stron świata poznanych w International Center. Przebywanie razem stało się to tak normalne, jakby nigdy inaczej nie było. Jak wspominałem była atrakcyjną kobietą, czy piękną? Jeżeli chodzi o mężczyzn przyznaję rację mojej śp. babci – *„Oby był trochę ładniejszy od diabła”*. A ona? Nie potrafię na to odpowiedzieć. Chyba dużo zależało od intensywności mojego uczucia, a może była jak kameleon? Na pewno była ładna i zgrabna, pociągająca, miała też w sobie „coś”. Różne są też kryteria urody? Opowiadała, że w jej kraju, w rejonach gdzie rzadko bywają Europejczycy, gdy pojawi się taki, dzieciarnia ucieka jak od „kostuchy”.

Po wielu latach znajomości minęło jeszcze więcej lat, na pewno zmieniła się? Ale nawet gdyby ząb czasu jej nie tknął, myślę, że nie poznałbym jej w tłumie. Jej wizerunek, już odrealniony, jest tylko i wyłącznie w świecie mojej prywatnej pamięci, jestem jednak przekonany, że ciągle jest atrakcyjną kobietą – jak kiedyś.

Przez cały okres znajomości była nieustannie nagabywana przez „wolnych strzelców”. Wiedziałem o tym z pierwszej ręki – od niej. W okresie „rutyny” naszej znajomości była zapraszana na różne imprezy przez innych mężczyzn. Czasami poznanych w jej pracy, czasami na imprezy związane z pracą, przez znanych mi lub nie znanych. Zgłaszała to delikatnie mniej więcej w takiej formie: *X zaprosił mnie na spektakl (lub do restauracji) nie zdecydowałam jeszcze, ale chyba pójdę*. To czy zgodzę się na to, czy nie, formalnie nie wchodziło w rachubę, byliśmy niezależni, ale była też niepisana umowa o nie utrzymywaniu intymnych kontaktów z osobami trzecimi. Czasami zgłaszałem kontrpropozycję, wtedy przeważnie rezygnowała z zaproszenia.

Ja rozumiałem coraz jaśniej, że już pora na przerwanie zażyłej znajomości, ona na pewno też. Trudno było tak usiąść naprzeciw siebie i powiedzieć to wprost. Logicznym wyjściem wydawało się stopniowe rozluźnianie kontaktów; jej znajomość i zaangażowanie z innym mężczyzną. W duchu życzyłem jej, aby poznała kogoś fajnego. Niewątpliwie był to dla niej właściwy czas na znalezienie trwałego związku. W pewnym momencie myślałem, że poznała kogoś takiego. Z dużym zainteresowaniem o nim mówiła i coraz częściej przyjmowała zaproszenia. Muzyk, podobno ciekawy człowiek, a ona posiadała solidne wykształcenie muzyczne. Przy innych talentach miała ładny głos², były więc jakieś wspólne zainteresowania.

2 Pomimo złego stanu starej kasety magnetofonowej udało się odzyskać „zabawę” z mikrofonem nagrałą podczas prób zestawu audio przeznaczonego głównie do nagłośnienia demonstracji przeciwko wprowadzeniu stanu wojennego: [Susie](#).

Wracała coraz później, ale najczęściej dzwoniła do mnie, aby zamienić parę słów. Aż pewnego razu nie wróciła na cały weekend (wcześniej nie zapowiedziała żadnej eskapady). Od momentu, gdy zazwyczaj dzwonił telefon, coś we mnie zaczynało wzbierać, godzina po godzinie temperatura rosła, wręcz dochodziło do wrzenia. Co jej się przytrafiło?

Rano! Pierwszy dziennik telewizyjny, jak zwykle nie kończący się spektakl relacjonowanych zbrodni. Na szczęście nic o niej, żadnych orientalnych kobiet nie odwieziono ani do kostnicy, ani do szpitala. Napięcie zmniejszyło się, ale uświadomiłem sobie, że to już chyba koniec naszej znajomości. Rozum mówił tak trzeba, a w środku wrzało, wręcz bulgotało. Tak było do wieczora, gdy zadzwoniła i skruszona poprosiła, abym do niej wpadł. Tego, co jej wówczas nagadałem, nawet głuchoniemy by nie wytrzymał.

Nigdy nie uważałem jej za świętą – uniwersytety amerykańskie dają wszechstronne wykształcenie – ale, gdy byliśmy razem, miałem do niej zaufanie, mieliśmy dużą dozę wzajemnego zaufania. Mogła oczywiście uprzedzić, że jej tak długo nie będzie, powiedzieć coś więcej, ale mimo tego nie miałem podstaw do robienia jej jakichkolwiek uwag. Sam dobrze wiedziałem, że powinna znaleźć kogoś, ona też tak myślała..., że znalazła kogoś dla siebie.

Gdy na koniec, już spokojniejszym głosem „zrobiłem podsumowanie” i ruszyłem do wyjścia, zatrzymała mnie. Nie, nie było to zastąpienie drogi, zarzucenie rąk na szyję..., nic podobnego... Siedziała tak jak siedziała, lekko skulona, zatrzymała mnie głosem. Słowa były proste: *Proszę cię, nie odchodź, zaczekaj, chcę ci coś powiedzieć*. Wyczułem w jej głosie coś bardzo przejmującego i jednocześnie spokojnego, poważnego, zatrzymałem się, jeszcze z wrzeniem w środku. *Ja nie mogę z nim być, ja nawet nie wiem czy mogę z kimkolwiek innym być. Proszę usiądź, porozmawiaj ze mną*. Rozmawialiśmy długo, na różne tematy. Nie odszedłem, ponieważ wbrew rozumowi nie mogłem. Po prostu przegraliśmy tą pierwszą próbę rozejścia się.

Przegrał też „Muzyk”, wydzwaniał do niej, oczekiwał na nią przed jej domem, aż właścicielka zagroziła policją. Gdy wracała z pracy i widziała „Muzyka”, wycofywała się do najbliższego automatu telefonicznego i prosiła abym ją zabrał. Co ona z nim zrobiła, nie mam pojęcia?

Nastąpił okres przejmującego zbliżenia odczuwalnego nawet na odległość, a dotknięcie, chociażby opuszków palców, było wielkim przeżyciem. Raz, jedyny raz, powiedziała mi: *Wiesz..., ja myślę, że cię kocham, jesteś taki inny niż wszyscy, których znalazłam*. Ja zawsze unikałem wielkich słów, byłem wręcz skąpcem w wysławianiu swoich uczuć, może na tym polegała moja inność?

Ale nieubłagany czas robił swoje. Codziennosc zamienia wszystko w „codziennosc”. Znowu rozsadek zaczął „brać górę”. Oprócz tego stan wojenny jakoby zelżał, gdy skończy się, to mnie deportują – myślałem... A może dostanę „zieloną kartę” i uda się mi sprowadzić rodzinę? Ja podjąłem decyzję – rozstajemy się – i powiedziałem jej to oględnie. Orientowałem się, że jakiś artysta fotograf współpracujący z jej miesięcznikiem próbował zapraszać ją na różne imprezy. Pytałem o niego – *Jest fajny*, mówiła, *Lubię go*.

Któregoś weekendu „Fotograf” zaprosił ją na kolację – ja wybrałem się na urodziny do znajomych. Wszystko było OK., ale tylko do chwili mojego powrotu do domu. Włączyłem telewizor – muzyczny program – śpiewał Lionel Richie „*How I wonder where you are, how I wonder what you do*”, a aktorka, dla której śpiewał, coś mi przypominała – jej ruchy, figura, delikatny uśmiech na twarzy przy półprzymkniętych powiekach.



Nie wytrzymałem, zadzwoniłem do NIEJ – telefon nie odpowiadał. Znalezienie telefonu do pracowni „Fotografa” w Nowym Jorku było dziecinnie łatwe. W wielu numerach jej miesięcznika były wykonane przez niego zdjęcia z nazwiskiem autora. Zadzwoniłem, odpowiedziała automatyczna sekretarka, nagrałem się: *Jeżeli jesteś tam, to podnieś słuchawkę, chcę z tobą rozmawiać*, nikt nie odpowiedział! Właściwie straciłem panowanie nad sobą, pojechałem do jej domu, miałem klucze. Kiedyś, gdy czymś zatrzała się i ostatkiem sił otworzyła mi drzwi, pobiegłem do apteki, a także do ślusarza mówiąc: *Muszę mieć kopię twojego klucza*. Myślałem, że jednak jest w domu, że nie podnosi słuchawki.

W poniedziałek wróciła dopiero po pracy, czekałem na nią. Powiedziała: *Coś ty zrobił, pytał o ciebie, powiedziałam, że cię znam, że latasz za mną...*, a potem..., *Jestem bardzo zmęczona, przegadałam całą noc, muszę położyć się, połóż się na chwilę obok...* Przytuliła się... *Jesteś zazdrosny?, powiedz, że tak! Chyba byś mnie zabił!... Kill me... Kill me... Kill me*. Gdy trochę ochłoneła, spytała: *Ale jak żeś się dostał do mojego mieszkania?* Odpowiedziałem: *Przed chwilą błagałaś mnie abym Cię zabił, a ja wlałem po rynnie i omal nie zabiłem się sam*. Była podekscytowana odkryciem, że mogę być zazdrosny, a nawet ryzykować dla niej włożenie po rynnie?

Opowiedziała mi przebieg całego spotkania, podobno nic intymnego nie zaszło, choć było bardzo blisko. Gościła w jego kondominium, gdzieś w trzecim stanie. Piękna miejscowość, spędziła ten czas wspaniale. Mieli wspólne zainteresowania, podobał się jej, a może nawet coś więcej? Wszystko wyglądało bardzo normalnie, tak powinno być, praktycznie przestaliśmy się widywać. W międzyczasie parę rozmów telefonicznych; byłem oschły, zdawkowy, wręcz nieprzyjemny. Wiedziałem, że tak powinno być; chociaż bycie takim było bardzo trudne... Myślałem, że tylko dla mnie.

Aż któregoś weekendu nigdzie nie pojechała, była w domu – ja byłem na luzie – rozmawiałem normalnie. Właśnie odgrywałem taśmę z naszymi polskimi piosenkami. Znała te melodie, poprosiła: *Powiedz mi, o czym oni śpiewają?*... Była to najdłuższa rozmowa telefoniczna, jaką kiedykolwiek miałem. *Jakie to piękne, jak dobrze, że rozmawiasz ze mną normalnie, proszę cię..., przyjeżdż do mnie..., teraz..., zaraz*. Opierałem się..., wiedziałem..., że odrobina równowagi ducha, jaką w międzyczasie uzyskałem, znowu „weźmie w łeb”, ale nie byłem głuchy jak pień. Byłem, być może obydwójce byliśmy ciągle wzajemnie zauroczeni, jak w [”Hello” Lionela Richie](#). Było to chyba ostatnie wzajemne odczucia niewyobrażalnego zbliżenia i jednocześnie antycypacja nieuchronnego rozstania. Coś, o czym nawet Lonel Richie nie potrafił zaśpiewać.

Ona, tak jak ja, walczyła ze sobą. Już coś zaistniało, powstawało nowe uczucie, być może coś trwałego na dalsze życie, ale nie mogła zapomnieć tego, co nas tak silnie łączyło. W pewnym sensie znaleźliśmy się w lustrzanej sytuacji. Ja byłem związany z przeszłością, przecież byłem już bardzo zakochany, przeżyłem wzloty i codzienność tej miłości, ciepło i chwile nieporozumień. Nawet przelotne spotkania z innymi kobietami nie naruszały istoty mojego małżeństwa zbudowanego na uczuciu i szacunku do matki moich dzieci. Ona wiązała się z przyszłością, jeszcze jej nieznaną, a także bez znajomości problemów, które przyszłość może przynieść. Jeżeli myślała, że przyszłość w rodzinie będzie taka łatwa jak to, co poznała w naszej znajomości, w takim przypadku myliła się bardzo, tak jak wszyscy niedoświadczeni młodzi ludzie – nawet zakochani – zakładający rodziny.

Z braku zastanowienia, a może pod wpływem atmosfery tego wieczoru, powiedziała: *Nawet, gdy będę miała męża, będę się z tobą spotykała*. W tym momencie nie myślałem o niczym, ani o przeszłości ani o przyszłości. Później zrozumiałem, że postępując jak dotychczas nie rozdzielimy naszych dróg. Jeżeli rzeczywiście tak myślała?... Trwał jeszcze stan wojenny, miałbym ją przynajmniej jeszcze jakiś czas blisko siebie, rozstawalibyśmy się i schodzili... Znałem taką parę w Polsce – współczułem im – wzdrygałem się na myśl, że będę musiał współczuć sobie a także jej... A jej przyszłość?, byłaby budowana na kłamstwie? Rozumiałem, że nie mogę brać w tym udziału, że nie mogę pozwolić, aby ona coś takiego zrobiła.

Nastała jesień – czas „Glorii” huraganów – przylazła grypa. Gdy przez telefon usłyszała, że jestem chory, wybrała się do mnie na weekend. Było to bardzo miłe z jej strony. Spytałem: *Co powiedziałaś Fotografowi?* Odpowiedziała: *Koleżanka jest chora, muszę jej pomóc.*

Niebo było wręcz czarne. Znajdujące się przed jądrem „Glorii” ciężkie ciemne chmury atakowały łąd od strony Atlantyku. Patrzyliśmy przez okno na ledwo widoczne wieże World Trade Center zatopione w kotłujących się chmurach. Co będzie dalej? Niewątpliwie będzie chwila ciszy i zadumy, chwila milknącego huraganu, będziemy w jego centrum. A co będzie dalej po przejściu jądra huraganu?... Wiatr zmieni kierunek i wydmucha w kierunku bezkresnego oceanu wszystkie podniesione do nieba ziemskie okruchy.

Czarne niebo znieruchomiało, nastąpiła cisza jądra huraganu, ona też była tak cicha jak nigdy. Zamiast rozedrgana okładać mnie piąsteczkami, z odrzuconą do tyłu głową, zacisnęła oczy i zagryzała wargi. Trwało to wieczność, ponieważ wieczność nie zna czasu. Jednak po przejściu jądra huraganu wiejący w przeciwnym kierunku wiatr znowu zaczął jęczeć za oknami. Otworzyła oczy i zasłoniła rękoma uszy, tak, jakby chciała zatrzymać tę przebrzmiałą ciszę jądra huraganu. Czekwała bez słów ignorując potęgujące się dudnienie odwróconego wiatru, jakby chciała cofnąć się do momentu skupionego odczucia, tak niedawnej, a już nieistniejącej ciszy zewnętrznego świata.

Byłem oszołomiony tym wyzwaniem dwóch huraganów, na zewnątrz i wewnątrz. Patrzyłem na nią, pociągającą jak zawsze, ale powracającą świadomość, że nie jest już tylko moją – tak jak była – zamroziła mnie. Gdzieś, jakby z innego świata, dotarł głos reporterów telewizyjnych pokazujących siekane strugami ulice i delirycznie miotające się znaki drogowe, zwalone wiatrem potężne drzewa i zerwane druty, dobrych i złych rozmów.

Jak zawsze rozumiała mój nastrój, zegnaliśmy się bez słów, nawet nie miałem pewności, że zegnamy się na zawsze? Teraz wiem, że poprzez jakąś daną tylko kobietom intuicję, ona wiedziała więcej niż ja. Była inna, zupełnie inna niż zawsze. Trudno mi opisać tę inność, nie był to smutek..., może..., może oczekiwanie nostalgicznych podróży w przeszły czas. Być może tylko jakieś chwilowe zamyślenie, a może..., tylko moje oczy widziały resztki tego, co Gloria rozwiewała na wszystkie strony świata?

W chwili zadumy powiedziała mi kiedyś, że w innym czasie i miejscu, może w innym świecie, jako inni ludzie, spotkamy się znowu. Jest w tym jakaś prawda – spostrzegałem i spostrzegam czasami takich spotykających się innych ludzi. Więcej, przecież ja już parę razy spotykałem tę samą kobietę, odsuwającą oprócz siebie cały świat na drugi plan. Nawet teraz widzę ją koło siebie. Bywało..., w jakim tłumie..., nieoczekiwanie..., spotykałem wzrokiem tę samą kobietę – smutną lub wesołą, zadbaną lub zmęczoną, młodą lub z odmierzającymi czas zmarszczkami. Być może niektóre z nich znały tę tajemnicę wiecznych spotkań i rozstań? Przynajmniej wydawało mi się, że znają, mijaliśmy się z takim właśnie odczuciem, jakiejś nieokreślonej i niespełnionej przynależności.

Było to właściwie ostatnie spotkanie. Wkrótce potem, jeszcze schorowany, znalazłem z informacji telefon do kondominium „Fotografa”. Działalem półświadomie, wiedziałem, że muszę zrobić coś takiego, co stworzy między nami przepaść nie do przebycia. Do tego była potrzebna trzecia osoba – my obydwój nie potrafiliśmy tego zrobić. Zadzwoniłem i puściłem „*How I wonder where you are, how I wonder what you do*”, bez komentarzy. Spodziewałem się (i na pewno tak było), że będzie kontynuowała opowieść o łażącym za nią facecie. Rzeczywiście, przy następnym telefonie „Fotograf” wspomniał o tym i w miarę spokojnie poprosił, abym dał jej spokój. Odpowiedziałem, że jest „jeleniem” – nie chciał mi wierzyć. Wtedy jakiś diabeł moimi ustami wypowiedział coś, o czym mogli wiedzieć tylko oni obydwój – i ja od niej. Było jeszcze parę telefonów, z tej i z drugiej strony. Wiedziałem jak ona mogła się czuć, przecież „w cztery oczy” musiała przyznać się do kłamstwa – ja byłem tego powodem. Byłem przekonany, że ta część mnie, której istnienia nawet nie podejrzewałem, wymęczyła tę „przepaść nie do przebycia”.

Rankiem odwiózł ją, chyba na jej żądanie, pod mój dom. Sąsiadka otworzyła drzwi do budynku. Weszła do mojego mieszkania. Była tak piękna ze swoją złością na mnie – wręcz nienawiścią w jej błyszczących czarnych oczach – jak nigdy. Rzekła, *Coś ty zrobił, zniszczyłeś wszystko, co ja chciałam zbudować! Jestem tu, chciałeś tego, masz mnie..., ale, co teraz ze mną zrobisz!*. Tak, była w tym momencie tak piękna jak nigdy... Ja byłem chory, bardziej niegodziwością tego, co zrobiłem, niż najgorszą grypą. Zrozumiałem, że to, co zrobiłem, było raczej moją podświadomą próbą kontynuowania naszej wspólnej przeszłości, niż jej radykalne przerwanie. Resztkami sił prosiłem: *Wyjdź, wyjdź natychmiast, teraz nie ma powrotu, nic już nie istnieje..., wyjdź...!, WYJDŹ NATYCHMIAST!...* I wyszła!

Po wielu wielu latach myślę..., że w tym szaleństwie, półświadomie, zrobiłem prawidłową rzecz. Boleję, że może mnie nienawidzić, ale od tego czasu nie zaryzykowałem przekazania jej jakichkolwiek wyjaśnień. Potem – jeszcze przez jakiś czas – był okres głuchych telefonów, ktoś dzwonił, nie wiem w jakiej intencji, ja dzwoniłem, aby usłyszeć jej głos, nie odzywałem się. Był to jeden z najtrudniejszych okresów w moim życiu. Nowy Jork..., zwałisko żelbetowych kanionów, które dało tą miłość i zabrało – kochałem i nienawidziłem.

Przez następny rok wybierałem się do miejsc, które poznałem razem z nią. Szukałem jej śladów, ale nie jej. Byłem dziwnym wagabundą, nawet jak na Nowy Jork. Czasami wydawało mi się, że ją odnajduję..., głos, dotyk, spojrzenie... Była to iluzja, nie odnalazłem mojej Eurydyki, nie mogłem odnaleźć, ponieważ w tej otchłani Nowego Jorku to właśnie ja zabiłem tą miłość, raz na zawsze.

W sądzie Afrodyty będę zbrodniarzem, obrońca będzie mógł prosić o wyrozumienie, ponieważ uratowałem wcześniejszą miłość, w tej chwili pełną, owocną dziećmi – spokojną w tym niespokojnym świecie – i łaskawą. Tym cenniejszą, albowiem nigdy, nawet w tym co przeżywałem, nie zapałem się jej..., ponieważ miłość jest wieczna, tylko tak dobrze ukryta w codzienności, że trudno ją dostrzec... A może właśnie ta uratowana miłość jest sednem tego opowiadania? Niezbyt powszechną ilustracją na temat „American Love Story”...?

Jakiś czas po rozstaniu film „**Fatal Attraction**” wszedł na ekrany. Ktoś włożył mi za wycieraczkę kopię recenzji tego filmu. Dotykając tych paru kartek..., jakbym czuł jej dłonie. Czyżby naprawdę zdecydowała się zaaranżować ostateczne spotkanie?..., z nadzieją i obawą przemknęło mi w myśli...? Jeżeli ona to zrobiła, był to ostatni pośredni kontakt z nią. Może on to zrobił, a może ktoś postronny, kto bardzo dużo i o wiele za dużo o nas wiedział...

Domyślałem się, że „Fotograf” jest z nią. Do chwili zniknięcia miesięcznika jej nazwisko było przy „Art Director” i dużo zdjęć, które on robił. Kiedyś zadzwonił do mnie, pytał o nią, zrozumiałem, że coś go dręczy. Zasugerowałem, że przez tak długi okres czasu sam już ją poznał, a oprócz tego mam o niej jak najlepszą opinię. Powiedział mi, że ją kocha i nie wie co ma zrobić; ponieważ ona mu powiedziała: *Zaczęłam chodzić z tobą, bo mi się podobałeś i chciałam założyć rodzinę.*

Na tle modelek, które rutynowo fotografował, imponowała mu jej inteligencja (niewątpliwie nie tylko), ale tego, co ona wyznała, nie mógł łatwo strawić. Będąc na jego miejscu nigdy nie zainicjowałbym tego typu konwersacji. Być może „tutejsi” są inni?... A może moje uczucie „reinkarnowało się” w nim?... Czy z wzajemnością? W każdym bądź razie życzę jej wszystkiego najlepszego..., a sobie? Aby nauczyła się języka polskiego i przeczytała to, co powyżej napisałem. Wtedy zrozumie..., co..., jak..., dlaczego?

Należałoby też napomknąć, że codzienne życie wymagało po prostu życia i „codzienności”. Wymagało radzenia sobie z tymi wszystkimi namolnymi sprawami, które my wędrowcy tak dobrze znamy. Przez przypadek opowiadanie „Kadysz”, a także chęć rozliczenia się z pewnym okresem mojego życia, skłoniły mnie do wzięcia udziału w „literackiej przygodzie” zaproponowanej przez Nowy Dziennik. Ubocznym efektem tej „literackiej przygody” jest książka „Okruchy”.

BIAŁE NIEDŹWIEDZIE

Wyjeżdżając z Leningradu do stryjka Franka na Syberię miałem cichą nadzieję, że pokonam trasę bez wdawania się w niepotrzebne rozmowy. Gdyby mnie zatrzymali, podróżującego bez pozwolenia, mogliby odesłać do Polski. Kontynuowałbym studia na Wydziale Lotniczym w Warszawie, może z jakimś semestralnym „poślizgiem”. Wolałem jednak spotkać się z strykiem Frankiem a w drodze powrotnej z moim przyjacielem „Bliźniakiem” (Janek Wróblewski), który na początku października miał być w Moskwie z jakimś „pociągiem przyjaźni”. Gdyby z powodu mojej mizernej znajomości języka rosyjskiego wyszło na jaw, że nie jestem „tutejszy”, miałem zamiar wyjaśnić, gdzie i dlaczego jadę. Teraz wiem, że nic by mi to nie pomogło, pierwszy lepszy „drużynnik” (ich ormowiec) – a było ich na pęczki – oddałby mnie w ręce właściwych władz. [Ilość tzw. „Detektywów” w USA jest niewątpliwie zbliżona do ilości „Drużynników” w byłym Sojuszu, z tą różnicą, że są oni etatowymi pracownikami policji lub FBI. A gdyby tak naszych wyróżniających się tajniaków nazwać detektywami?]

Wsiadłem do wagonu jako jeden z pierwszych pasażerów. W przedziałach (bez drzwi) były po trzy miejsca do spania przy każdej ścianie. W czasie dnia dolne miejsce służyło do siedzenia a po podniesieniu do chowania bagaży. Środkowe miejsce było rozkładane tylko do spania, a górne było do wzięcia od zaraz. Wlazłem tam i udawałem, że śpię.

W Polsce, gdy ktoś jest mrukowaty, może przejechać od Zakopanego do Gdańska nie puszczając „pary z gęby”. Tam jednak nie byłoby to możliwe. Gdy zapełniony do ostatniego miejsca pociąg ruszył, zaczęto wyciągać jedzenie, rozpoczęły się ożywione rozmowy. Ja „twardo spałem” obserwując i słuchając. Nie wylapałem żadnych rozmów o polityce – co w Polsce bywa diżurnym tematem umilającym podróż. Zaczęto od tego, kto, gdzie i po co jedzie. Przyczyn było mnóstwo, odwiedzenie krewnych, praca, itp. Od tego był już tylko mały krok do rozmów o rodzinach i rodzinnych kłopotach. Wiązały się z tym sprawy obyczajowe – starsza kobieta siedząca przy przejściu jechała do córki i wnuków, bo jakaś ładacznica zabrała córcę męża, a babcia musi pomóc. Zaraz inna dodała, że jej sąsiadka to taka sama „bladź”, nic tylko chłopcy do niej przyłazą, a ubikacja jedna na cztery rodziny – łażą tam ci pijacy, nabrudzą, że wejść nie można... W międzyczasie „prowodnica” sprzedawała gorący „czajok” – powstała rodzinna atmosfera, lub jak w gronie starych znajomych, którzy spotkali się po długim okresie rozłąki.

Jak w każdym, nawet przypadkowo zebranim towarzystwie, powstały pewne hierarchie, drobne sympatie i antypatie, a także autorytety. Rolę „rozjemcy” i autorytetu podsumowującego poszczególne wątki dyskusji pełnił starszy mężczyzna, weteran, siedzący przy oknie. On miał ostatnie słowo na temat wszystkich spraw życiowych i obyczajowych, a reszta towarzystwa – starsze i w sile wieku kobiety – nie polemizowały z jego orzeczeniami. Identycznie jak w Polsce rozmowa zesłała na temat młodzieży, że jest do niczego, rozpustna, starszych nie szanuje, pije..., a ten młody człowiek na półce, skacowany na pewno, leży jak martwy. Rzeczywiście mogło tak wyglądać. Z dołu nie mogli zauważyć drobnych szparek pomiędzy moimi powiekami, a uszy, może nawet czerwone od słuchania, mogły sugerować prawidłowość diagnozy: skacowany.

Najpierw zgłodniałem, potem zacząłem „śnić” o ubikacji, w końcu straszliwe ciśnienie wewnątrz zgoniło mnie na dół. Nie zważając na pytania rozgadanego towarzystwa coś mruknąłem i popędziłem na koniec wagonu. W przelocie usłyszałem pytanie „prowodnicy” (coś w rodzaju wagonowej stewardesy) *A czajok nada?* Po powrocie zarzucono mnie pytaniami..., czy nie chory..., gdzie jadę..., itp. Już po pierwszych moich słowach zrozumieli, że język rosyjski jest jedną z moich najsłabszych stron (rozumiałem oczywiście więcej niż mogłem w miarę poprawnie wypowiedzieć). Weteran lekko poczerwieniał na twarzy i oburzony podsumował: *Wot wy pribaltijcy, my was oswobodili a wy jeszczu russkogo nie izuczili.* Kobiетки potakiwały *da... da...*, a ja doznałem olśnienia: tak, ja jestem rzeczywiście „pribaltijcem” z Wilna. Nie dokuczano mi z tego powodu, ale ku mojemu zadowoleniu dano mi spokój z konwersacjami – tylko weteran czasami karcąco spoglądał na mnie.

W tym wagonie, przy częściowo zmieniających się pasażerach, wytrwałem 48 godzin, aż do Swierdłowska. Tam musiałem kupić bilet na dalszą część podróży do Iwdiela Gidroliznego. Cała stacja była zatłoczona pasażerami, w większości przypadków wyczekującymi na bilety, które sprzedawano tylko na parę dni naprzód. Niewątpliwie rozkłady jazdy i składy pociągów ustalano w Moskwie. A Moskwa była daleko, także tych stacji w Sojuszu było dużo, kto by tam w Moskwie zwracał sobie głowę takimi drobiazgami, jak dopasowywanie ilości pociągów do ilości podróżujących pasażerów?

Moskwa miała ważniejsze sprawy na głowie, żyła „chemizacją” rolnictwa i kukurydzą, według Chruszczowa jedynymi pozostałymi totalnymi broniami USA. A ludzie na stacjach..., czasami oczekujący dobami na połączenia..., sami sobie winni. Powinni sadzić kukurydzę i uprawiać stępy Kazachstanu, aby przegonić Amerykę, tak jak to ustalił Komitet Centralny. Termin publicznego pogrzebu Ameryki został jednomyślnie uchwalony: początek lat osiemdziesiątych. Koniec dwudziestego wieku miał już należeć do zwycięskiego świata komunizmu.

Był to też okres czasu, kiedy ze względu na „pasożytów”, w stołówkach i restauracjach wprowadzono opłaty za chleb (zwyczajowo podawany jako bezpłatny i nie limitowany dodatek). Rzeczywiście, pasożyty działały precyzyjnie i bez żadnego szacunku dla moralności budowniczych komunizmu. Na przykład taki pasożytniczy element, maskujący się jako student, mógł wejść do stołówki (a nawet do restauracji) i czekając na kelnera zjeść cały chleb eksponowany na stoliku..., i wyjść. Było to dosyć łatwe, ponieważ kelnerzy udekorowani „gramotami” (dyplomami) przodowników pracy komunistycznej, członkowie partii lub przynajmniej Komsomołu, zaledwie tolerowali bezideowe potrzeby napełniania żołądka.

Zapodano więc w publikatorach, że „tuniejadcy” [politycznie niepoprawne pasożyty] żerują na zdrowym elemencie społeczeństwa radzieckiego, że za każdą kromkę chleba trzeba będzie płacić. Gdyby tylko „tuniejadcy”?..., podobno ich przyzagrodowe bydło też było karmione wynoszonym chlebem. Gdy przybyliśmy do ZSRR była właśnie prowadzona masowa kampania propagandowa przeciwko „tuniejadcom” nadużywającym zaufania partii i społeczeństwa. A tak naprawdę to nie „tuniejadcy” byli winni. Jak głosiła jedna z anegdotek, to car był winny, ponieważ zgromadził zapasy żywności tylko na czterdzieści lat. Tak czy inaczej poza wielkimi ośrodkami miejskimi brakowało chleba, trzeba było stać w kolejkach, aby dostać po jednym bochenku na głowę.

Na szczęście po dotarciu do Swierdłowska miałem jeszcze wałówkę i nie musiałem szukać restauracji. Lawirując pomiędzy obłożonymi tobołkami ludźmi, pomiędzy paczkami i „czemodańczykami” [małe walizeczki właściwie nie spotykane w Polsce] znalazłem kasy. Szczęśliwie kupiłem bilet na dalszą podróż. Ku mojemu zdumieniu w pociągu nie było tłoku. Może ta położona tuż za Uralem i zakończona daleko na północy w tajdze linia kolejowa nie była zbyt obciążona? A może ludzie unikali przejazdów przez sowieckie „zapietnyje zony” i wysypiska uranowe (dowiedziałem się o nich w parę lat po głośności).

W przedziale były dwie młode dziewczyny i starsza kobieta. Jako „pribaltijec” czułem się już pewniej, zacząłem odpowiadać na pytania. Dziewczyny, sympatyczne buzie, trochę nisko podwieszane, pracowały gdzieś po drodze w zakładach włókienniczych. Od momentu gdy „dałem głos” starsza kobieta nastroszyła się i wpatrywała się we mnie. Rzeczywiście, mój ubiór wyróżniał mnie w całej podróży, w dodatku coraz bardziej, im bliżej było do koła podbiegunowego. Nie pomogło moje wyjaśnienie „*Pribaltijec z Wilniusa*” w pewnym momencie wybuchła: *Ty Poljak!, mojego jedyne go syna ubili Polacy w Warszawie, zastrzelili!*

Tyle było pasji w jej głosie, wręcz nienawiści, że oniemiałem. Popatrzyłem w jej oczy, widocznie częśćka tego co było w jej oczach odbiła się w moich oczach jak w zwierciadle. Ostro odpowiedziałem: *Tak, ja Poljak!... A powiedz, co ten twój syn robił takiego w Warszawie, że go zastrzelili!*. Odpowiedziała: *A on władzę sowiecką ustanawiał w Polsce*. Nie zmieniając tonu zakończyłem dyskusję *A Poljacy nie chcieli władzy sowieckiej i zabili go tak, jak on zabijał Poljaków*. Na tym skończyły się wszelkie dyskusje, „prowodnica” dała pościel, poszliśmy spać.

Myślę, że moja agresja w odpowiedzi na agresję tej nieszczęśliwej kobiety, niewłaściwie skierowaną do mnie, a nie do tych, którzy wysłali jej syna do Polski, uratowała moją dalszą podróż. Nie przyszło jej do głowy, że taki „nachalnyj Poljak” podróżuje nielegalnie.

Od wyjazdu z Swierdłowska do Iwdiela jechałem około 13 godzin. Wyjeżdżając z Leningradu opuszczałem zielone strony. Swierdłowski, pomimo nocy, wydawał się też być zielony. Obudziłem się widząc za oknem ośnieżone smukłe cedry. Zaspiany wylazłem z przedziału, wagon był prawie pusty. Na posterunku była oczywiście „prowodnica”, spytałem: *Kiedy Iwdiel Gidroliznyj*, odpowiedziała: *Następna stacja*. Wkrótce cedry ustąpiły miejsca słupom z rozpiętymi kolczastymi drutami i wieżyczkom z sylwetkami uzbrojonych ludzi – przetarłem oczy – czyżbym trafił do Oświęcimia? Pociąg zatrzymał się przed wrotami z olbrzymim niezdarnym napisem „MY IDIOM K KOMUNIZMU”, a po obu stronach napisu jakaś niewprawna ręka namalowała dwa słońca. Nie jakaś tam fachowo zrobiona metaloplastyka „Arbeit macht frei”, był to byle jak odwalony napis „MY IDZIEMY DO KOMUNIZMU”. Napis – groteskowy symbol – nad wrotami do obozu koncentracyjnego i byle jaką błotnistą zamarzającą drogą prowadzącą do środka.

Już tyle lat minęło od chwili, gdy ujrzałem ten napis nad wrotami do sowieckiego łagru, ale nigdy nie widziałem innego, bardziej precyzyjnego i tak krótkiego – syntetycznego – podsumowania istoty i drogi komunizmu. Oczywiście, gdy ujrzałem partacki napis „MY IDIOM K KOMUNIZMU”, nie miałem czasu na jakiegokolwiek refleksje. Nie było peronu, zeskoczyłem na ośnieżone pobocze torów. Za moim pasażerskim wagonem było parę „bydlęcych” wagonów. Znalazłem się tuż obok ubranych w kozuszkę strażników obozowych z psami i gotowymi do strzału automatami.

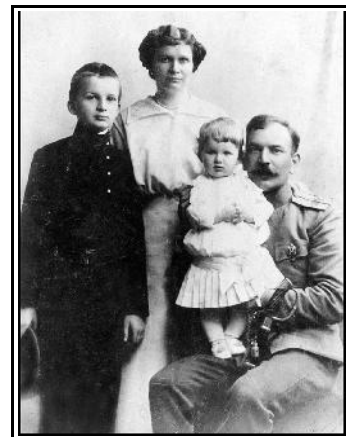
Strażnicy „rozładowywali” wagon tuż za moim wagonem. Przez szeroko otwarte wrota wagonu w takt okrzyków *Ruki na zagałowok* [ręce do góry za głowę] wylewali się więźniowie. Wilczury ujadły i szarpały smycze prawie że ciągnąc strażników po śniegu. Na wprost bydlęcego wagonu był wykopany dół na długość wagonu, ponad dwa metry głęboki, o szerokości około pięciu metrów. W zależności od sprawności fizycznej więźniowie w różny sposób ześlizgiwali się po śniegu. Jedni elegancko zjeżdżali na tyłkach (tak jak ja to robiłem w drugiej klasie), inni na boku, a niektórzy niefortunnie ryjąc nosem śnieg. Wszyscy karnie z rękoma „na zagałowok”.

Wszystko to było tak niespodziewane, szokujące, że tylko w podświadomości mogłem skojarzyć napis nad bramą obozu ze mną. Gdybym tak pośliznął się i wpadł do tego dołu, być może musiałbym przekroczyć Rubikon prawdziwej drogi do komunizmu, razem z tymi więźniami? Taka była moja pierwsza myśl, gdy najbliższy wilczur szarpnął się w kierunku poły mojego lodenowego płaszczyka. Na pewno nie na zawsze, uprzedziłem moich kolegów gdzie jadę i kiedy wrócę. Gdybym nie wrócił w przeciągu dwóch tygodni, poruszyliby niebo i ziemię, aby mnie znaleźć.

Za rozjazdami kolejowymi oddzielającymi obóz od Iwdiela dymki z kominów domków sygnalizowały, że istnieje tam jakieś inne życie. Nie oglądając się za siebie skakałem przez tory jak spłoszony zając, z uszami do tyłu, oczekując „wystrzału” słów „stój”. W ten sposób dotarłem do Iwdiela, jednego z wielu kresów odwiecznych wędrówek zesłańców „Matuszki Rosji” i „Matuszki Międzynarodowego Proletariatu”. Znalazłem też ulicę Majakowskiego 8, dom stryjskiego „Franca” [tak przekręcili jego imię], a tak naprawdę dom Polaka, byłego „lokatora” obozu pracy, Franciszka Sadowskiego.

Drzwi otworzył mi młodszy syn stryjskiego, Władek. Na resztę rodziny musiałem poczekać do ich powrotu z pracy. Po przywitaniu się z stryjskim i poznaniu jego drugiej żony oraz starszego syna Stanisława przygotowali kolację. Przy kolacji stryjski przeproszał za brak biegłości w języku polskim nie używanym od wielu dziesiątek lat. Po kilku godzinach rozmów mówił coraz płynniej. Wspominał czasy dzieciństwa, dom, rodziców, polską szkołę gdzieś na Syberii (nie pamiętam nazwy miejscowości). Zaskoczony moją wizytą, po wypiciu paru kielichów, zaczął nawet podśpiewywać jakieś stare polskie piosenki z jego szkolnych czasów.

Miał też schowane zdjęcie, na którym on stoi przy matce a siostra Zofia na kolanach ojca. Nie wspomniał mi wówczas o tym zdjęciu, było politycznie niepoprawne. Dopiero po jego śmierci otrzymałem je za pośrednictwem jego siostry a mojej ciotki Zofii Sadowskiej. Dzięki temu zdjęciu poznałem, jak wyglądali mój dziadek i babcia ze strony mojego ojca.



Jego druga żona i dzieci nie znały języka polskiego. Żona pochodziła z Kaukazu. Gospodarzyli zaradnie, mieli zapasy żywności, hodowali króliki, niezastąpione uzupełnienie braków w dostawach mięsa. Drewniany domek był własnością stryjka. Był dobrze zagospodarowany i czysty, na pewno codziennie, ponieważ zaskoczyłem ich moim przyjazdem.

Niewiele pamiętam z tego pierwszego wieczoru, zmęczenie i wyjątkowość tego spotkania do dzisiaj zamazują szczegóły. Dowiedziałem się, że oprócz stryjka i jego dwóch sióstr reszta licznego rodzeństwa nie przeżyła wojny. Po jego wieloletnich trudach odnalezienia mnie stryjek cieszył się ze spotkania ze mną, ale nie opowiadał mi o tragicznych losach rodziny. Być może nie był pewien, co może, a czego nie może mi powiedzieć, przyjechałem przecież z „Narodnoj Polszy”. Później zrozumiałem, że zgodnie z powiedzonkiem „kurica nie ptica Polska nie zagranica” przykładano do nas miarę ich sowieckiego zniewolenia. Mógł myśleć, że byłem młodym „ideowym komunistą”, który w nagrodę został wysłany na studia do ZSRR?

W czasie tego spotkania a także przy dwóch następnych stryjek nie opowiadał mi o swoim uwięzieniu. Dla mnie samo poznanie brata mojego ojca było wielkim przeżyciem – czułem, że to jest cząstka mojej krwi, nie zadawałem mu pytań o jego obozowe przejścia. Myślałem, że takie pytania mogą go zranić, ponadto, jeszcze nie zdawałem sobie sprawy z tego, gdzie ja jestem, co widzę, po jakich grobach stąпам. W tym czasie „[Archipelag Gulag](#)” dopiero gdzieś tam w tajemnicy powstawał.

Mój stryjek, pomimo wieku i przeżyć, był człowiekiem pełnym werwy i humoru. O ile dobrze zapamiętałem, przed aresztowaniem był prawnikiem, a po uwolnieniu pracował jako zawiadowca stacji w Iwdielu. Z jego różnych „politycznie obojętnych” opowieści widział się mi jako człowiek przedsiębiorczy, łatwo adoptujący się do nowych warunków i przeciwności. Może dzięki tym cechom stryjek Franciszek przeżył stalinowskie czasy i doczekał chruszczowskiej odwilży. Wyczułem z jego opowieści, że jego brat, a mój ojciec [zdjęcie obok] był w jakimś stopniu bardziej poważny, łatwowierny, podatny na ideologię.



Z niewielu rzeczy dotyczących uwięzienia stryjek wspominał, jak go aresztowano. Zabrano go w nocy z domu z paroma drobiazgami, jakie zdążył spakować. Po krótkim pobycie w lokalnym więzieniu znalazł się w wagonie towarowym, gdzie kryminaliści zażądali oddania tobołka – odmówił. Zaatakowali go, gdy spał. Z ciężkimi ranami i pociętą głową wyrzucono go umierającego na peron jakiejś stacji, na szczęście nie na odludziu. Nawet na tej stacji umarłby na peronie, tak jak wielu innych wyrzucanych po drodze, ale majaczył w języku polskim. Jakiś lekarz, Polak z pochodzenia, usłyszał jego majaczenia i zabrał go do szpitala. Po wyleczeniu, skrupulatna w takich sprawach „władza radziecka”, wsadziła go do następnego transportu zesłańców.

Gdy w jakiś czas po śmierci Stalina zaczęli zwalniać z obozów, Polakom zmieniano zapis narodowości na rosyjską i modyfikowano imiona, obojętnie jak, byleby nie polskie. Aby nie zostać za drutami niewielu ośmieliło się protestować. W ten sposób zmieniono mu imię na Franc i wpisano do dokumentów „Rosjanin”. Jego siostra, dla mnie ciotka Zofia, oparła się różnym naciskom zmiany narodowości, dumnie pokazywała mi „udostowierzenie licznosci” [dowód osobisty] z wpisem „narodowość polska”. Opowiadała, że poza drutami obozów też nie było łatwo, szczególnie tym, którzy przebywali w głębi Rosji.

Po wyjściu z obozu stryjek odnalazł swoją pierwszą żonę (sprzed uwięzienia). Spotkał się z nią gdzieś na Białorusi, rozmawiał nawet z swoim synem, ale nie mógł mu powiedzieć, że jest jego ojcem. Na żądanie byłej żony przedstawił się jako dawny znajomy. Po jego aresztowaniu żona wyrzekła się go jako „wroga ludu” a dziecku, gdy podrosło, powiedziała, że jego ojciec zginął w czasie wojny... Wydawało mi się, że wszystko rozumiem z jego opowieści, jednak nie rozumiałem. Cały pobyt w ZSRR zrozumiałem od nowa po przeczytaniu „Archipelagu Gułag”. Czy ostatecznie?. Moja ówczesna pewność, że w pełni rozumiałem rzeczywistość doznała trwałego uszczerbku. Czytając „Archipelag Gułag” powtórnie przeżywałem cały pobyt w ZSRR. Zapamiętane kiedyś obserwacje, zachowania i słowa, nabierały nowego znaczenia. Po tym doświadczeniu trudno mieć stu procentową pewność co do poprawności rozumienia rzeczywistości?

Gdy zbierałem się w drogę powrotną odwiedził stryjka jego znajomy, jedyny człowiek, którego poznałem tam oprócz stryjka rodziny. Na stół wjechała parująca potrawka z królika i butelka miejscowego samogonu oraz domowe specjały z owoców runa leśnego tajgi. Znajomy ten był chyba długoletnim mieszkańcem Iwdiela, opowiadał o czasach przed wybudowaniem linii kolejowej. Było tyle zwierzyny wokoło, że rano trzeba było wychodzić z fuzją i nabojami na niedźwiedzia. Wydawało się, że tęsknił do tych dawnych czasów. Ułożone już były tory do następnej osady Północnoje, ale jeszcze nie oddano ich do pełnej eksploatacji. Zimą, gdy grunt zamarzał, nie było problemów. Latem po każdym przejeździe wyładowanego drewnem pociągu tory osiadały w miękkim gruncie, więźniowie cały czas podwyższali nasyp.

Opowiadał, że kiedyś koło Iwdiela żyła rodzina, która od niepamiętnych czasów nie uznawała żadnej władzy. Gdy władza radziecka przyszła do Iwdiela, poszli dalej w tajgę, tam, gdzie później powstało Północnoje. Gdy wybudowali tory do Północnoje, poszli jeszcze dalej: *Wot tak, mają jeszcze przed sobą około tysiąca kilometrów tajgi i tundry, zanim dojdą do oceanu.* Ciekawy byłem, jak oni mogą tak żyć w odcięciu od jakiegokolwiek cywilizacji. Odpowiedział: *ludzie wszystko mogą, nauczyli się od „miejscowych”, którzy tu zawsze byli, jeszcze przed carem.* Dodał: *Tacy jak oni co jakiś czas przybywają do Iwdiela i wymieniają skóry na naboje, sól, oraz inne produkty. Pieniądzy nie uznają, towar za towar. Gdy potrzebują strzelby, to nie ma żadnego problemu, oprócz więźniów mają je prawie wszyscy mieszkańcy Iwdiela.*

Zauważył (lub chciał zauważyć), że zafascynowała mnie opowieść o niedźwiedziach i strzelbach: *Ja ochotnik (myśliwy), jeżeli chcesz, wezmę ciebie na niedźwiedzia. Dwa dni trzeba iść w tajgę, jeden dzień trzeba poświęcić na polowanie i dwa dni na drogę powrotną – koło Iwdiela wszystko wybite.* Planując spotkanie z Jankiem w Moskwie miałem do dyspozycji jeszcze tylko jeden pełen dzień, niezrażony powiedział: *Nie szkodzi, i tak wezmę cię do tajgi, uwidisz kakaja krasata, jakiś czas temu był wielki pożar, ale teraz już nowe drzewa wystrzeliły wysoko do góry, ubijesz jakąś pticzkę – nałóż tylko fufajkę i walonki.*

Na drugi dzień raniutko stryjek ubrał mnie jak należy, wyglądałem chyba, jakbym od urodzenia żył w Iwdielu. Mój myśliwy z strzelbą i tobołkiem na plecach podprowadził mnie do traktu, którym prowadzono więźniów na roboty w tajdze: *Musimy poczekać, nikt nie może teraz przejść dalej.* Nawet bym nie próbował, długie kolumny otoczone strażnikami szły w milczeniu. Ponury wygląd tej procesji podkreślały psy strażników i gotowe do strzału automaty. Gdybym tak stał pół godziny w moim europejskim płaszczku i kapelusiku, na pewno zgarnięto by mnie „do wyjaśnienia” co tam robię? Przy mojej słowiańskiej gębie, w fufajce i walonkach, z czapką uszanką na głowie, pasowałem do otoczenia i pogody. [Polecam chyba najlepszy film fabularny ukazujący realia sowieckich obozów: [Gułag \(1985\).](#)]

Było już zimno, błota kompletnie zamarzły. Świeży śnieg wybielił otoczenie tej ponurej procesji, tylko cedry gdzieś tam w oddali wyglądały jak stado smutnych choinek bez ozdób. Nieruchome, z gałęziami opuszczonymi śniegiem, być może dożywając ostatnich chwil przed ścięciem. To półgodzinne widowisko nie było przypadkiem. Stryjek i jego znajomy niewątpliwie chcieli mi to pokazać, bez słów, ponieważ przeżyli czasy, gdy słowa, ba, nawet myśli, były niebezpieczne. Kiedy nawet najbliższa tradycyjna rodzina była kontrrewolucyjnym spiskiem przeciwko „władzy sowieckiej”.

Tajga, tajga... Myśliwy naładował fuzję, „Dzierży”, „patrz na drzewa”, „pticzek gdzieś mnogo”. Łatwo było powiedzieć „patrz na drzewa”, co krok zwalone pniaki i gałęzie obsypane śniegiem, czasami noga zamiast znalezienia oparcia zapadała się do kolana. Wysokie cedry zmuszały do zadzierania głowy do góry, albo iść bez potknięć, albo patrzeć na drzewa. *Gdybyśmy poszli dalej, gdzie nie było pożaru, byłoby łatwiej chodzić*, pocieszył mnie myśliwy i zabrał fuzję, abym pokonując przeszkody nie zrobił coś złego.

Gdy mnie już dobrze zmęczył przedzieraniem się przez płataninę gałęzi zalegających przy rosnących nowych drzewach zatrzymał mnie. *Słyszysz? Patrz, tam przy wierzchołku tego cedra, krasata, strielaj*, dał mi strzelbę. Walnąłem, biedny ptaszek spadł, utkwiał w zwalonych zaśnieżonych gałązkach. Nieruchome oczy wskazywały, że już nie żyje, gdzieś go te śruciny trafiły, nie było nawet widać gdzie. Pochwalił mnie, *Dobrze strzelasz... tu niedaleko jest polana, chodź odpoczniemy*. Zaprowadził mnie na miejsce, gdzie kiedyś żyła uciekająca przed władzą radziecką rodzina. Najokazalszą pozostałością było wzniesienie po jakiejś „ziemlance”, może był tam kiedyś ich magazyn żywności? Był też kawałek drewnianego ogrodzenia i trudne do rozpoznania resztki fundamentów jakiejś sadyby, wszystko przysypane śniegiem.

Wyjął „tuszonkę” w konserwie, chleb i pół litra samogonki: *Dawaj wypjom*. Zganiany jadłem „tuszonkę” jak najwspanialszy rarytas, popijaliśmy z butelki. Po opróżnieniu butelki postawił ją na resztkach ogrodzenia, *Strielaj*, szkła prysnęły na wszystkie strony. Gdy chlebem wybraliśmy tłuszcz z puszki po „tuszonce”, puszka zawyla w powietrzu podziurawiona śrutami. Podsumował: *Wot tak, ludzie żyją i wódkę piją, a wy Polaki też wódkę pijecie jak Ruscy, i nieźle strzelacie*. *Wydarzyło się ciągnął dalej, że pękła cysterna ze spirtem na Gidroliznym Zawodzie* (zakład suchej destylacji drewna), spirytus płynął jak rzeka w dół głównej ulicy. Kierowcy stawali i pili prosto z wijących się strumyków, mieszkańcy napełniali miski, garnki i czajniki...

Pomyślałem wtedy, że ten spirytus raczej nie nadawał się do picia, że było na pewno wiele zatruć jak denaturatem, nie przerywałem jednak jego opowieści: *A gdy budowali ten Gidroliznyj Zawod, to przysłali spychacze – gdzie tylko spychacze ruszyły ziemię, tam odkrywały ludzkie kości – gdziekolwiek ruszysz ziemię w Iwdielu, tam ludzkie kości – cały Iwdiel zbudowany jest na ludzkich kościach*. Popatrzył na mnie tak, jakby nic wstrząsającego nie powiedział: *Da ładno, poszli domoj*. Ileż to razy później, przez następne lata pobytu w ZSRR, stapałem po ziemi zaledwie przykrywającej ludzkie kości? W tej chwili ten stary myśliwy jest już chyba tak martwy, jak ten ptak, którego bez sensu zastrzeliłem. Przypomina się mi jak zjawa z uporem pękniętej płyty powtarzająca: „Gdziekolwiek nie stąpniesz, tam są ludzkie kości”.

Wiele lat później, gdy wykładałem w Technical Career Institutes w Nowym Jorku, studiowało tam wielu studentów – żydowskich emigrantów z nieistniejącego już teraz ZSRR. Jednym z nich był syn oficera straży obozowej w Iwdielu Gidroliznym. Wyemigrowali całą rodziną. Doskonale pamiętał Iwdiel, główną ulicę i klub oficerski... Może zamknęli obóz i jego ojciec stracił pracę? A może oni wszyscy tak długo zarządzali i stali na straży ZSRR, że już i dla nich życie tam stało się nieznośnym? Może niektórych straszą duchy katorżników i zagrzebane w ziemi kościotrupy, czy dlatego wyjechali do Ameryki?...

Jednym z takich starszych poznanych emigrantów był były stalinowski prokurator Kijowa. Na koszt podatników amerykańskich dostał zastępcze świadczenia emerytalne, mieszkanie i bony żywnościowe. W przypadkowo zasłyszanej rozmowie o jakiejś kradzieży ze znanstwem sugerował: *Otworzyć drzwi i włożyć palce przy zawiasach, zanim domknie się drzwi do końca – przyzna się*. Teraz jest już chyba naturalizowanym obywatelem amerykańskim?

Jest na emeryturze w USA tych byłych sowieckich oficerów tyle, że co jakiś czas i na różnych szczeblach proponowane są akty legislacyjne przyznające im uprawnienia amerykańskich kombatanów. Uzasadnienie niby proste, sojusznicy w wojnie przeciwko Niemcom. Jednak ze świecą w rękę trzeba by było szukać pośród nich Rosjan, tych z pierwszej linii, często przymierających głodem na ulicach rosyjskich miast. A taki prokurator „goroda” Kijowa był oficerem bardzo wysokiej rangi.

Wysoko też stali oficerowie oddziałów specjalnych NKWD, uginający się pod ciężarem medali „za odwagę”, bo odważnie idąc w drugiej linii zabijali każdego „sołdacika” niezbyt dziarsko rwącego do przodu. Wielce zasłużeni są też oficerowie wprowadzający władzę radziecką w „wyzwolonych” krajach. Także oficerom „Gulagu” Ameryka nie skąpi swoich względów, przekonałem się o tym osobiście. Ciekawe, ile czasu będą potrzebowali ci wytrawni radzieccy specjaliści i ich potomkowie, żeby upodobnić USA do byłego ZSRR? A proces ten najwyraźniej postępuje i nabiera tempa.

[Jedną z prób przyznania uprawnień kombatanckich dla przybywających do USA sowieckich oficerów zastopował pan Józef Płoński, którego pamięci poświęcam rozdział pt „Płoński”. Występował w imieniu amerykańskich weteranów II wojny światowej. Mój mały udział polegał na naświetleniu zbrodniczej roli wojsk NKWD i oficerów sowieckiego „wymiaru sprawiedliwości”.]

WIEŻA BABEL

Wyjeżdżałem z Iwdiela z mieszanymi uczuciami. Poznałem rodzonego brata mojego nie znanego mi ojca, ale zaszokował mnie sowiecki obóz koncentracyjny. Z uczuciem ulgi odjechałem w kierunku, w którym odjeżdżały cedry ze schowanymi w środku duszami ich ostatnich drwali. Sowiecki bożek nie miał duszy, dlatego też strażnicy przeszukujący odjeżdżające składy nie mogli dostrzec uwolnionych przez śmierć duszyczek. Wraz z cedrami – wolne już – odjeżdżały w daleki świat, tak chętnie kupujący te strzeliste sarkofagi. Niektóre dusze być może wróciły w rodzinne strony, wiele z nich przekroczyło pilnie strzeżone granice, siedzą gdzieś w belkach bogobojnych domów na całym świecie. Patrzą wciąż zgłodniałe na przygotowywane potrawy, uczą się obcych języków, doglądają dzieci – nie swoje, ponieważ zabrano im je dawno, albo nie dano im mieć dzieci. Czasami płoną, aby wreszcie ujść w zaświaty.

Świat nie wiedział i nie chce wiedzieć, co tam się stało. Sami Rosjanie, najliczniejsza cedrowa emigracja, mówią „nie trogaj” (nie rozdrapuj). Czują się winni, właściwie nie za swoje grzechy, kiedy ich jedynym odwiecznym grzechem było poddawanie się despotyzmowi carów i bolszewików. Te rosyjskie dusze, tak serdecznie poznane, nawet płonąć nie uwolnią się z cedrowych węgielków, dopóki nie nabrają nie obcych im przecie sarmackich cech.

Ojciec, mój rodzony Ojciec, do dziś dnia więcej nie wiem niż wiem, kim on był i jakim on był? Na pewno był inny niż reszta jego rodziny. Jego ojciec, a mój dziadek, przedarł się w czasie rewolucji z Syberii w rodzinne strony, chyba w okolice Bobrujska, podobno wkrótce potem umarł. Jak już wcześniej wspomniałem mój ojciec był komunistą. Wysłany z ZSRR do Polski wynajął pokój w domku mojej babci. Po jakimś czasie został aresztowany i skazany na więzienie – Sowietci uwolnili go. Po wyjściu z więzienia Stanisław Sadowski gładko przelknął wszelkie obelgi, jakich w czasie jego procesu nie załowała mu moja przyszła matka, adorował ją dalej. W zmienionej sytuacji spowodowanej sowiecką okupacją została jego żoną. Wiedziałem z różnych rozmów, że nie kochała mojego ojca. Gdy w 1987 roku była u mnie w USA spytałem ją: *Dlaczego zostałaś jego żoną, czy dlatego, że białaś się wywózek, że chciałaś jakoś pomóc rodzinie?*, odpowiedziała: *Tak!* – Z takiego właśnie pnia ja pochodzę.

Po uwolnieniu ojciec mój został dyrektorem fabryki krawieckiej, podobno była w tym wielkim domu, który płonął za płotem domku mojej babci. Gdy wchodzili Niemcy, uciekł razem z innymi sowieckimi administratorami opuszczającymi Wilno. Fabryka była zaminowana, miał instrukcje wysadzić ją. W pośpiechu zegnał się z nami. Powiedział matce: *Nina, kazano mi wysadzić fabrykę, ale tam są ludzie, nie mogłem tego zrobić, powieś obrazek święty nad łóżeczkiem Feliksa, niech Bóg ma was w opiece, zegnajcie.*

Po zawierusze II wojny światowej, z wielu braci mojego ojca został tylko jeden brat, stryjek Franciszek. Zostały dwie siostry, Zofia, którą poznałem w Druskiennikach i druga, której nigdy nie zobaczyłem, ponieważ była w dalekim Magadan. Pytając o ojca dowiedziałem się, że był ciężko ranny, jednak wyleczył się. Po tym wydarzeniu już nikt nic o nim nie wiedział, albo nie chciał wiedzieć. Będąc studentem w Leningradzie zwróciłem się do sowieckiego czerwonego krzyża z prośbą o informacje o moim ojcu. Odpowiedzieli: nie ma żadnych informacji na temat Stanisława Sadowskiego.

W Stanach Zjednoczonych poznałem Stanisława Paszula. W czasie wojny, udając pełnoletniego, wkręcił się do partyzantki AK. Tak jak wielu innych Armia Czerwona „wyzwoliła” go z niemieckiej okupacji i zesłała do sowieckich łagrów. Gdy mnie poznał powiedział, przypominasz mi kogoś, był razem ze mną w obozie: *Pieczorskije Łagiera, 31-szy Łag Pułk, Stroitielnaja Kolonia – Stanisław – nazwiska nie pamiętam, gdzieś od Bobrujska. Wychudzony dożywał ostatnich dni, chyba Sadowski miał na nazwisko?* Być może ta przypadkowa informacja rzuca jakieś światło na ostatnie dni mojego ojca?

Znając Paszula i inne osoby działające w organizacjach polonijnych opowiedziałem im o moim ojcu. Nie pominąłem też faktu, że był komunistą uwolnionym z więzienia po wejściu Sowiec do Wilna. Oczywiście, powiedzenie tego co wiedziałem o moim ojcu nie było łatwe. Po prostu nie chciałem, aby ktokolwiek „wyręczył” mnie w tym. Po jakimś czasie jeden z rozmówców uzupełnił moją opowieść: *Dowiedziałem się, że był taki Sadowski, chyba twój ojciec, był też tłumaczem w NKWD w Wilnie, starał się pomagać Polakom.* Jasnym jest, że życiorys mojego ojca nie jest moim życiorysem. Ale ten życiorys ciągle mnie w jakiś sposób wewnętrznie prześladował. Może to „prześladowanie” skłoniło mnie do różnych nietypowych działań, może podświadomie chciałem naprawić coś, co mój ojciec być może zepsuł.

Podróży z Iwdiela do Moskwy nie pamiętam w ogóle. Pamiętam tylko, że stryjek odprowadził mnie na stację. Była tam jednak stacja kolejowa, najpierw rozładowywano więźniów a potem podtaczano pociąg do stacji. Po prostu „prowodnica” mówiła: *„Sledujuszczaja ostanowka Iwdiel”* traktowała rozładowywanie więźniów jako postój czysto techniczny. Nie przyszło jej do głowy, aby ktokolwiek bez interwencji obozowych strażników wysiadł przy bramie obozu, pomimo hasła i namalowanych słoneczek „reklamujących” widoczną za drutami kolczastymi zabłoconą „drogę do komunizmu”.

W Moskwie odnalazłem hotel gdzie zatrzymał się „pociąg przyjaźni” i mojego przyjaciela. W dużej grupie pasażerów pociągu przyjaźni wchodziłem i wychodziłem nie indagowany. Ze spaniem też nie było problemów. Łóżko Janka było do dyspozycji, ponieważ w drodze do Moskwy poznał jakąś panią mecenas z Warszawy, która w przepływie opiekuńczości zapraszała go na nocne „rozprawy”.

Oglądaliśmy defiladę z okazji rocznicy rewolucji. Gdzieś daleko była trybuna na Mauzoleum, chyba Chruszczow tam stał w otoczeniu swojej świty. Dojścia bliżej nie było, a bez lornetki widziało się tylko sylwetki. Wkrótce po przejściu tłumów sportowców olbrzymie transportery ciągnące rakiety wypełniły cały plac ciężkim dymem, nie pomogłaby nawet lornetka... Z lornetkami na pewno też trzeba by było uważać?

Według jednej z anegdotek koleżdy Wani dopytywali się, gdzie on zniknął? Jeden z nich bardziej wtajemniczony wyjaśnił *Wania dostał dożywocie.* Zaskoczeni pytali o szczegóły, odpowiedział: *Za patrzenie przez lornetkę.* Mimo zdziwionych min oraz dalszych pytań nie chciał nic więcej powiedzieć. Po jakimś czasie przy dobrej libacji wycisnęli z niego resztę: *Ano..., patrzył przez lornetkę na Chruszczowa.* Biesiadnicy podzielili się na dwa obozy, zwolenników ochrony prywatności i zwolenników jawności życia osób publicznych. Dyskutowaliby tak bez końca zapominając o toastach, gdyby nie wyznaczenie wtajemniczonego: *Tak..., ale ta lornetka była zamocowana na sztucerze – dawajcie wypiom.*

Nie mając lornetki, zmęczeni staniem w tłumie, wcisnęliśmy się do jakiejś kawiarni. Przy stole siedziało dwóch Rosjan, w garniturach i pod krawatami. Nie byli „sztywni”, jak zdarza się ludziom noszącym krawaty od święta. Zachowywali się swobodnie i elegancko, tak jak wszyscy kulturalni mężczyźni w średnim wieku obcy z kawiarniami i towarzystwem. Zamówiliśmy jakieś wino i kawę, oni coś takiego mieli już przed sobą. Po paru lampkach wina bariery językowe zmniejszają się do wymiarów małych płótków odgradzających trawę od klombów z kwiatami. Byli dumni. Defilada, szczególnie militarna jej część, była imponująca. Moskwa była zadbana i czysta. Metro przypominające wystrojem carskie pałace działało sprawnie i punktualnie. Sklepy, dla ludzi pamiętających czasy powojenne, były zaopatrzone wspaniale. Jeżeli czegoś brakowało, tak jak w tym czasie skarpetek, wówczas „pociągi przyjaźni” zaspokajały najpilniejsze potrzeby moskiewskiego rynku. A że gdzieś tam na prowincji kulało zaopatrzenie w żywność, było tylko jedno wyjaśnienie: *„Kulturalni ludzie jak idą (do komunizmu oczywiście), to nie jedzą”.*

Po doświadczeniach stalinizmu i wojny nastąpiła stabilizacja. Nie było masowych nocnych aresztowań, okresowych czystek w różnych segmentach społeczeństwa. Przypuszczalnie nawet większość więźniów, których widziałem w Iwdielu, nie była więźniami politycznymi. Tacy „politycznie niepoprawni” zamykani byli w tym czasie w domach wariatów, ponieważ zgodnie z partyjną wykładnią, tylko wariaci mogli występować przeciw radzieckiej potędze, przeciw stabilizacji i względnemu dobrobytowi.

W dodatku w skali światowej komunizm był w fazie ekspansji a co dotkliwsze braki i przewalanki planowej gospodarki tłumaczono kosztami utrzymania globalnego systemu komunistycznego, permanentnie niesprzyjającą pogodą, i jak zawsze wrogami występującymi pod różnymi postaciami – najłagodniej pod postacią „tuniejadców i nieświadomych elementów”.

Nasi kawiarniani rozmówcy ciągle nawiązywali do defilady – jaka to potęga, jakie piękno. W tym nastroju szczerze cieszyli się z bycia częścią tej potęgi. Nie nachalnie, też szczerze, sugerowali nam, że i my jesteśmy szczęściarzami, że jako młodzi ludzie widzieliśmy to wszystko, że będziemy zawsze wspominali ten pogodny dzień rocznicy Rewolucji Październikowej spędzony w Moskwie, w przyszłej stolicy świata.

Tak..., byli dogłębnie przekonani, że zwycięstwo komunizmu jest tuż tuż za kolejnymi drzwiami historii, że cały świat i my dwaj młodzi ludzie z „Narodnej Polski” z wdzięcznością uznamy Moskwę za stolicę świata... W tym nastroju nie wiedzieli i nie chcieli wiedzieć, na czym ta potęga została zbudowana i jakim kosztem. Gdybym nawet wspomniał o tych zastępach ludzkich kości, ledwo przysypanych ziemią, zignorowaliby to. A może uznaliby, że ilość tych ofiar, ten straszny czas przebyty, tym bardziej predysponuje Moskwę i ich kraj do przewodzenia światowej społeczności? Okazało się, że te zagrzebane kościotrupy nie pozwoliły na zwycięstwo komunizmu i rozwiąły moskiewskie marzenia o byciu stolicą świata.

Na początku mojego pobytu w USA, w tłumie Manhattanu, chwilami miałem wrażenie, że przecież już w tym molochu byłem. Ciżba ludzka, różnorodność ras, wyglądu i ubiorów. Nieustanny ruch przeplatających się strumyków ludzi śpieszących się jak mrówki, noszących w pośpiechu jakieś żdźbła teczek i pakunków, mijających się bez postrzegania jedni drugich... Także różne języki – istna wieża Babel pnąca się do nieba swoimi drapaczami chmur.

Miałem nieodparte wrażenie, że coś powtarza się, że znajduję się w tym samym tłumie, który widziałem w Moskwie, w tej sowieckiej niedokończony wieży Babel. Przy wielokrotności różnic szczegółów syntetyczne podobieństwo, w niczym materialnym, w duchu miasta, jeżeli takowy istnieje? Także to ciągle powtarzane: „*Nowy Jork Stolica Świata*”. Jak wysoko jeszcze wespnie się ta amerykańska wieża Babel? Czy tu, na tej amerykańskiej ziemi, też są jakieś „szkielety w szafach”, jak o skrywanych problemach mówią Amerykanie? Czy te „szkielety w szafach” ściągną Amerykę z piedestału jedyne światowe super mocarstwa? (Po 11 września 2001 r. pytanie to nabiera głębszego sensu).

Nie przerywaliśmy marzeń naszych przypadkowych sąsiadów przy kawiarnianym stoliku, ale nie mogliśmy wyobrazić sobie Moskwy jako stolicy świata? Niewątpliwie marzenia są rzeczą piękną i każdy ma do nich prawo! Oby tylko dzierżący totalitarną władzę „marzyciele” nie zadawali innym cierpień i poniewierki, w której marzenia tych innych redukują się do kromki chleba i przeżycia jeszcze jednego dnia.

Po kilku dniach musiałem zakończyć moją pierwszą wizytę w Moskwie i wracać do Leningradu kontynuować studia już w języku rosyjskim. Wielu słów nie rozumiałem, musiałem domyślać się, np. „integrał” to nic innego jak „całka”. Na szczęście przedmioty techniczne mają to do siebie, że oznaczenia i symbole są międzynarodowe, szczególnie matematyczne. Śledząc to, co było zapisywane na tablicy, można było złapać sens wykładu a słowa i terminy po wielokrotnym użyciu same „zakotwiczały” się w pamięci.

Oczywiście były różne zacięcia językowe, nawet w tak prostej sprawie jak wyżywienie. Studenckich stołówek takich jak my znaleźmy nie było. W Warszawie kupowaliśmy miesięczne talony do określonej stołówki, w Leningradzie każdorazowo wybierało się potrawy i płaciło gotówką. Było to wygodniejsze, ponieważ czas i miejsce wydawania posiłku nie krępowały rozkładu dnia. Można było jeść w stołówce na terenie uczelni, w bufecie w akademiku, lub gdziekolwiek na mieście. Właśnie w jakiejś „zakusocznej” zamówiłem kiedyś smażoną „trieskę”. Byłem przekonany, że dostanę coś z mięsa, a dostałem rybę. Po wdłubaniu z pomiędzy ości paru nieapetycznych kawałków wyszedłem głodny.

W jednej tylko sferze języka rosyjskiego byłem bardzo dobry, w tak zwanych mocnych słowach. Poprzez moich przyjaciół studiujących w Białymstoku medycynę poznałem Mikięgo. Było to takie studenckie uproszczenie imienia, ponieważ na imię miał Nikita. Pochodził z naszych „Starowierów”, których przodkowie uciekli z Rosji nie zgadzając się z reformą religii i osiedlili się w okolicach Augustowa. Bardzo ładnie śpiewał, akompaniował do tego na gitarze. Oprócz naszych chwytających za serce piosenek, zaczęliśmy podśpiewywać razem z nim pieprzne czastuszki w języku rosyjskim. Dlatego też mój zapas pieprznych słów był większy niż odpowiednie zasoby wszystkich innych polskich kolegów razem wzięte.

Siedząc kiedyś ze Staszkiem w czytelni staraliśmy się rozszyfrować coś z rosyjskiego podręcznika wymieniając spostrzeżenia po polsku. W pewnym momencie wydało się mi, że paru rosyjskich studentów za naszymi plecami „docina” nam. Odwróciłem się i wyrecytowałem co mocniejsze słowa z Mikięgo czastuszek, w dodatku bez zająknięcia. Efekt był niesamowity, chłopaki oniemieli, gdy doszli do siebie z podziwem w oczach zakrzyknęli *Ty Poljak? Nu kak ty zdorowo po ruski gawarisz* [jesteś Polakiem? A tak dobrze mówisz po rosyjsku]. Na wszelki wypadek siedziałem odchylony do przodu, gdyby zamiast podziwu chcieli użyć jakichś mocnych argumentów. Widziałem twarz Staszka, a był w języku rosyjskim o niebo lepszy ode mnie. Zrobił się czerwony jak burak. Gdyby go spytać, na pewno zwałiby te pąsy na „wiązanek”, jaką wyrecytowałem, ale jestem przekonany, że z zazdrości, ponieważ nikt go nigdy takim entuzjastycznym komplementem nie obdarzył.

W akademiku mieszkaliśmy w czteroosobowych pokojach. Aby szybciej opanować język rosyjski zaproponowano nam zakwaterowanie po dwóch Polaków i dwóch miejscowych studentów. Ja mieszkałem z Józkiem Rawłuszką i z dwoma Ukraińcami z Charkowa (lub okolic), Kuroczką i Bogusławskim. Nasza jedynaczka Kasia nie miała wyboru, mieszkała z Rosjankami.

Część radzieckich studentów była po wojsku. Niektórych, jak później wyznali, skierowano z wojska na studia, aby mieli nas na oku. Dostawali około 35 rubli stypendium miesięcznie. Nie było to dużo, prawie połowa pensji nauczyciela lub połowa naszego podstawowego stypendium. Po otrzymaniu stypendium robili zapasy na cały miesiąc. W dużych ilościach kupowali ziemniaki, cebulę i olej jadalny a resztę wydawali na uczczenie otrzymania stypendium. Przy pierwszej uczcie postawili na stole parę butelek „Moskiewskiej”, czarny chleb, śledzie i zakonserwowane w słoiku kabaczki. Zaprosili nas: *Rjebiata saditieś*. Ja byłem już po SN i paru zakrapianych konferencjach nauczycielskich. Józek, który zaczął studia zaraz po maturze, na pewno nie miał na tym polu żadnego liczącego się doświadczenia, przysiadł z niepewną miną.

Był to dopiero początek roku, dlatego też ze zrozumieniem przyjęliśmy brak kieliszków. Szklanki można było „pożyczyć” z bufetu trzy piętra niżej, mieli jednak pod ręką półlitrowe słoiki po konfiturach – do nich rozleli pierwszą działkę. Miałem wprawę w toastach po 25 gramów, pięćdziesiątki też jakoś wmuszałem, a setki dzieliłem na raty. Jak oceniłem rozlali równo i sprawiedliwie po około 300 gram. Pomyślałem, mają rację chłopaki, bez sensu tak ciągle rozlewać, będziemy pili na raty. Żłudne to były nadzieje, po hasle „pojechali” rozkręcili alkohol i duszkiem wychylili. Nam ręce zamaryły w połowie drogi. Popatrzyłem na Józka, wydało mi się, że lekko zbladł, ja też musiałem mieć niezbyt tęgą minę. Mruknąłem do Józka „musimy” i też zakręciłem zawartością.

Rzeczywiście, rozkręcony alkohol jakoś łatwiej opuszczał słoik, ale z przejściem przez gardło było o wiele gorzej. Z trwogą czekałem, kiedy cała zawartość przeleje się mi do żołądka, czy zaraz nie padnę. Gdy resztki Moskiewskiej przelały się do moich wnętrzności, wzorując się na goszczących nas tubylcach, zrobiłem mocny wydech. Tak jak oni złapałem kawałek razowego chleba pod nos i głęboko wciągnąłem powietrze, jego zapach znacznie złagodził odór alkoholu. Na drugi toast zostało po około 200 gram, wypiliśmy zanim pierwsza dawka zaczęła działać. Właściwie nic dramatycznego nie zaszło. Działanie alkoholu intensyfikowało się, czułem się dobrze wstawiony, ale nasi „tubylcy” też nie wyglądali na trzeźwych. Po tym „eksperymentach” doszedłem do wniosku, że „nie taki diabeł straszny”, że można z nimi tą konkurencję wytrzymać.

Spotykając się po tym pierwszym „eksperymentcie” z Rosjanami [w sensie języka, ponieważ byli to ludzie z różnych republik] „przelewaliśmy” dużo alkoholu, nie „przynosiliśmy wstydu” rodakom. Może dzięki lepszemu wyżywieniu udawało się mi utrzymywać dobrą formę, nawet wtedy, gdy moi rosyjscy kompani tracili „wątek”. Lubilem ich i oni lubili mnie, byliśmy bezpośredni, odkrywaliśmy siebie, „innostranców”, znajdowaliśmy bardzo dużo bliskich sympatycznych cech. Żadne towarzystwa przyjaźni ani oficjalna propaganda nie mogłyby mi tych ludzi uczynić bliższymi, niż takie codzienne przebywanie, a czasami także wieczory przy kieliszku.

Przy jednej z takich biesiad usłyszałem największy komplement, jakim Rosjanin może obdarzyć obcokrajowca. Jeden z częstych kompanów do kieliszka pochylił się w moją stronę, wyszeptał mi do ucha: *Feliks, jesteś taki fajny facet jak Ruski, powiem ci coś, tylko nikomu nie wspomnij, skierowali mnie z marynarki na studia, żebym z wami kompanię trzymał i donosił, i nie ja jeden, gdy komuś powiesz, to skończę marnie.* Trzymałem język za zębami, ale od innych kolegów dowiedziałem się o podobnych zwierzeniach. Jeden z Rosjan „trzymających z nami kompanię” spadł z czwartego piętra w klatce schodowej, ciężko ranny przeżył. Czy był to tylko wypadek pod wpływem alkoholu? Zresztą, spadanie ze schodów a nie z okna musiało być w tym czasie bardzo modne, jeden z polskich studentów z innej uczelni też jakoś niefortunnie, w niezupelnie wyjaśnionych okolicznościach spadł ze schodów, ze skutkiem śmiertelnym.

Około roku po naszym wyjeździe ten mój szczerzy kompan i przyjaciel miał bardzo przykry wypadek. Ktoś mocno dobijał się do jego drzwi, próbował uciekać z czwartego piętra przez okno na związanych prześcieradłach, urwały się, w ciężkim stanie zabrano go do szpitala. Okazało się, że nie była to „służba”. Być może bał się, że jego szczerłość przestała być tajemnicą dla mocodawców kierujących go na studia i zlecających donoszenie na zagranicznych a także własnych studentów?

W czasie czteroletniego pobytu w ZSRR poznało się wiele ludzi. Za wyjątkiem paru przypadków były to miłe znajomości. Gościnność, uczynność, serdeczność, zrozumienie [oprócz niektórych tematów politycznych i gospodarczych] oraz wycucie bliskości losów szarych obywateli uczyniły z tych ludzi istoty z krwi i kości, a nie propagandowe potworki nazywane „ludźmi radzieckimi”. Byli wśród nich „agenci”, jak mój przyjaciel Jurij, na pewno też inni, o których nie wiedziałem, że są agentami. Gadałem z nimi, wódkę piłem, sprzedawałem nasze polskie tajemnice, że jesteśmy niepokorni, że wolelibyśmy, aby oni byli moimi braćmi z wyboru, a nie braćmi z urzędu piastowanego przez łaskawie panującego sekretarza KPZR. Rozchodziliśmy się czasami w zgodzie, a czasami skłóceniu, ponieważ mój punkt widzenia był inny niż ich.

Byłem też w na pewno niezłe „odrutowanym” pokoju na parterze sąsiedniego skrzydła akademika, przekornie nazwanym „izbą chorych”, gdzie jedna taka „agentka” testowała moją męskość. Jestem przekonany, że wypadłem dobrze, a to odrutowanie na niewiele lub nikomu nie przyda się. Ta mało ideowa „agentka”, zaniedbując komsomolskie przyrzeczenie, dyskretnie pokazała mi swojego „nauczyciela”. Na oko niczym nie wyróżniał się, ale rzeczywiście dał jej dobrą szkołę.

Jeden z moich najbliższych rosyjskich przyjaciół, Wołodia, pochodzący z polskiej szlacheckiej rodziny, po której są jeszcze nazwy miejscowości w Polsce, udostępniał dla mnie, majsterkowicza, swoją LITMO-wską pracownię. Z zaszeregowania był kierownikiem małego warsztatu [mastiarskoj], a ja na jego maszynach wykorzystywałem swoje zdobyte w czasie praktyki w FSO umiejętności do robienia kusz na ryby i innych potrzebnych mi rzeczy. Jakby od niechcenia, przy kielichu, pokazywał mi worki elektronicznych elementów i podzespołów, jakoby podrzucone mu do testowania przez zamkniętą dla nas część LITMO (obecnie **ITMO**) zajmującą się systemami sterowania sowieckich rakiet i wychodził zostawiając mnie samego na całe wieczory. Gdyby pokazał mi stałe paliwo raketowe, wówczas wziąłbym może kawałek na wypróbowanie, czy dorównuje mojej mieszance lepikowo-bertholletowo-magnezowej. Bez tej szansy nie zaglądałem do pozostawionych (na pewno pod ukrytym „okiem”) worków.

Gdy parę lat po zakończeniu studiów przyjechałem do Leningradu bez zapowiedzi odwiedziłem Wołodzię w jego mieszkaniu na Staronewskim Prospekcie. Żona z dzieckiem była już na „daczy” a on sam pakował się, aby do nich dołączyć. Wypiliśmy pół litra przywiezionej na tą okazję Wyborowej. On wyciągnął przygotowaną na „daczę” butelkę Stolicznej i rozpakował „woblę” (solona i suszona ryba). W miłej atmosferze, ciesząc się nieoczekiwanym spotkaniem, Wołodia zaproponował *Podprigni na ugalok priniesi butyłoczku*. Podskoczyłem, przyniosłem, wypiliśmy po „stakańczyku”. Wołodia spytał: *Kak tam w Polsce*, a był to okres po wydarzeniach grudniowych na wybrzeżu – w Sojuszu na wszelki wypadek tworzono antypolskie nastawienie. Odpowiedziałem mu: *Namordowali ludzi, ale po tym co było, komunizm w Polsce rozwali się prędzej czy później* – dodałem – *Wołodia, jesteś Polakiem, wiesz, że nie poddamy się*. Na moje słowa: „Ty Poljak” zaczął płakać: *Ja nie Poljak, ja bladź, ja donosił na was, eto była moja rabota*. Zamroziło mnie na moment, pijany, bardzo pijany, pochyliłem się w jego stronę i powiedziałem: *Wołodia, ty nie bladź, może nie jesteś Polakiem? ..., jednak chyba jesteś Polakiem, powiedzialesz prawdę, dawaj dopiom!* Gdy dopiliśmy, to było już o wiele za dużo. Radość spotkania zamieniła się w ponury nastrój. Tak ufałem w jego bezinteresowną przyjaźń. Wszystkie sympatyczne momenty z naszej znajomości zapadły się w nicość. Obydwaj smutni i pijani pożegnaliśmy się, aby nigdy więcej nie spotkać się... A jednak myślę, że był moim przyjacielem, to system, który nas otaczał był moim wrogiem i jego wrogiem.

Po opuszczeniu jego mieszkania wybrałem się na piechotę do mieszkania Arkadego, męża serdecznej koleżanki mojej żony [w czasie studiów w Leningradzie wyszła tam za męża]. Skróciłem sobie drogę idąc przez torowiska „Moskiewskiego Wokzała”. Zataczając się szczęśliwie trafiałem na tory, po których akurat nie przelatywały przyjeżdżające lub odjeżdżające pociągi. Kłąłem „jak szewc” (nie uzbliżając temu wymierającemu zawodowi). Wręcz krzychałem i wygrażałem pięściami przelatującym pociągom. Gdybym znał wtedy angielski, wówczas do wszystkich rosyjskich i polskich przekleństw dołożyłbym co soczystsze angielskie. Ze składów czekających na podstawienie zrywałem tablice. „Leningrad – Moskwa”, i inne, deptałem je. Ile ich w moje ręce trafiło, tyle znalazło się podeptanych na torowiskach. Gdyby mnie wtedy jakiś pociąg trafił orzeczone by, że jeszcze jeden pijak wlaź tam, gdzie nie trzeba, a może samobójca? A była to tylko straszna drzazga boleśnie wbita w moją wiarę w przyjaźń, w szczerłość słów, intencji i działań. Nie byłem już młokosem, wiedziałem, że świat nie jest tak czysty i piękny jak dziecinne wyobrażenia o nim, albo jak opowieści wspaniałych moralizatorów lub oszustów maniących ludzi. Aby żyć, muszę go akceptować jakim jest, ale dopóki ta drzazga mnie uwiera, dopóki mam jeszcze siłę, to zmagam się z tą drzazgą i z innymi drzazgami, prawie jak Don Kichot z wiatrakami.

Po przebyciu torowisk i bocznic przelazłem przez omal niebotyczny mur oddzielający teren kolejowy od ulicy koło domu Arkadego. Następnego dnia patrząc skacowany na ten mur nie mogłem sobie wyobrazić, jak bez alpinistycznego sprzętu mogłem go pokonać. To chyba prawda, że w miarę ubytku rozumu pijani otaczani są coraz większą opieką Anioła Stróża. Właściwie przez cały czas pobytu w Leningradzie picie alkoholu było wręcz nieuniknioną częścią wszelkich imprez towarzyskich. Czasami trzeba było mieć szczęście, aby przy okazji nie wpaść w tarapaty. Niewątpliwie zbawienny kac był najlepszym środkiem zabezpieczającym przed uzależnieniem. Pomimo tych „środowiskowych” uwarunkowań żaden z naszych studentów nie popadł w nałóg. Gdyby przytrafiło się to komuś, byłby to koniec studiów zaczętych w Leningradzie dosyć przebojowo.

Zaraz na początku studiów w LITMO zaliczano nam przedmioty, które zakończyliśmy w Polsce. Według ilości godzin brakowało nam zajęć z matematyki. Po pierwszych paru wykładach zorientowaliśmy się, że przy mniejszej ilości godzin mamy już przerobiony i zaliczony cały wymagany program matematyki. Uznano nam to, nie musieliśmy powtarzać tego dobrze obkutego przedmiotu. Mielśmy problem z przedmiotem absolutnie nieznanym na polskich uczelniach. Była to historia komunistycznej partii ZSRR, „bawolasty” przedmiot do wykucia „na blachę”. Nadrobienie tego przedmiotu, przy naszej początkującej znajomości języka rosyjskiego byłoby najtrudniejszym zadaniem do pokonania. Przez parę dni problem ten zatruwał nasze życie, aż do momentu olśnienia: przecież polskim studentom należy wyklądać historię polskich komunistów.

Przy powątpiewaniu paru niedowiarków w skuteczność naszego pomysłu udałem się na czele skromnej delegacji do dziekanatu. Zadeklarowaliśmy, że „kolektywnie” ustaliliśmy, aby wykładano nam historię polskiego ruchu komunistycznego. [Powiedzonko „kolektywnie” miało dużą „siłę przebicia”, ale broń Boże nie w sprawach o posmak politycznym. Wtedy kolektyw mógłby być nazwany „grupą kontrrewolucyjną”. Zdumiewało nas, gdy czasami miejscowi studenci wstawali w czasie wykładu i w imieniu „kolektywu” pouczali profesora: „Jak wy Towarzyszu nas uczycie, my nic z tego nie rozumiemy”, a profesor przeproszał i obiecywał poprawę. U nas taki numer nie przeszedłby.]

Postulat nasz przyjęto i w ciągu kilku dni obiecano dać odpowiedź. Odpowiedź była jednoznaczna, nie musicie nadrabiać historii KPZR, nie będziecie też musieli uczyć się historii polskich komunistów, ponieważ nie mamy odpowiednich specjalistów. Oczywiście z tym brakiem specjalistów przesadzili, mieli pod dostatkiem różnych byłych „doradców” i twórców komunizmu w Polsce. Mogli też zatrudnić emerytowanych oficerów NKWD, którzy na rozkaz Stalina, w ramach praktycznego szkolenia co to jest komunizm, wymordowali większość polskich przedwojennych komunistów [łapiąc się na „falszywkę” przedwojennego polskiego kontrwywiadu uznano ich za zdrajców]. Po uwolnieniu się od historii KPZR nie dopominaliśmy się jednak, aby cokolwiek na podobny temat włączono do programu wykładów.

Na fali entuzjazmu znowu przytrafiła się mi funkcja starosty naszej uczelnianej grupy ZSP, którą to funkcję z przyjemnością piastowałem do zakończenia studiów. Na innych radzieckich uczelniach nasi biedni studenci musieli wkuwać pełną kłamstw i propagandy historię KPZR. Po prostu nikt nie wpadł na taki krytyczny dla „radzieckich towarzyszy” pomysł, a trzeba było na taki pomysł wpaść bardzo szybko, tuż po przybyciu. Ten sukces zjednoczył naszą grupę, do końca studiów stanowiliśmy pewien ewenement. Byliśmy grupą ludzi darzących się niekłamaną sympatią, zorganizowaną, rozwiązującą sprawnie i demokratycznie nasze wewnętrzne i zewnętrzne problemy. Nasza aktywność i zdyscyplinowanie wzbudzały podziw innych grup studenckich a także naszego opiekuna, niezapomnianego pana Zakrzewskiego, który był przedstawicielem ambasady PRL w Leningradzie.

Jednym z zabawnych przykładów zdyscyplinowania naszej grupy był mecz koszykówki z reprezentacją polskich studentów z Instytutu Kolejnictwa. Ich akademik był prawie na drugim końcu Leningradu. Zażądali, aby mecz odbył się w niedzielę o siódmej rano. Oczekiwali, że po sobotnich „balach” nie będziemy w stanie wstać i dojechać do ich akademika na tak wczesną godzinę. Punktualnie o siódmej rano nasza drużyna wybiegła na boisko, reszta kolegów rozbiegła się po ich akademiku w poszukiwaniu przeciwników. Po piętnastu minutach ściągnęliśmy ich zaspanego starostę, na jego prośbę daliśmy mu pół godziny na skompletowanie drużyny. Nic z tego nie wyszło – przegrali walkowerem.

Z obserwacji innych grup narodowościowych studiujących na naszej uczelni, a byli Bułgarzy (właściwie same dziewczyny), Niemcy z NRD, Chińczycy, i po parę osób z innych krajów, można było wywnioskować, że przebywali głównie w kręgu własnych kolegów. Kontakty między nami a innymi grupami były luźne i grzecznościowe. U Bułgarek mieliśmy „tyły”. Przy okazji jakiejś szczerzej rozmowy wymówiły nam, że wszyscy Polacy łązą tylko z Rosjankami. Nie wiem dlaczego tak się złożyło, bo było parę atrakcyjnych Bułgarek. Były też dwie Węgierki, któryś z naszych kręcił się koło jednej z nich, nie mam pojęcia z jakim skutkiem.

Ze względu na brak przerwy świątecznej i odległość do kraju Boże Narodzenie i Sylwestra spędziliśmy w akademiku. Zaraz po przywitaniu Nowego Roku w naszym gronie odwiedzałem „inostralców” z życzeniami od nas. W tym czasie stosunki pomiędzy Chinami i ZSRR były bardzo napięte, nie przyjmowano nowych studentów z Chin, a ci, którzy studiowali na podstawie wcześniejszych umów, kończyli studia. Żyli w odosobnieniu, Rosjanie i inni trzymali się od nich z daleka. Mieszkali piętro niżej prawie naprzeciwko Niemców z NRD. Byli bardzo zaskoczeni, gdy po raz pierwszy odwiedziłem ich z życzeniami noworocznymi. Po tej wizycie przy każdym przypadkowym spotkaniu zawsze bardzo sympatycznie wymienialiśmy pozdrowienia. W następnych latach najwyraźniej czekali na moją noworoczną wizytę.

Gdy wchodziłem zastawałem ich bardzo karnie siedzących w pokoju swojego przewodniczącego. Mieli przed sobą jakieś skromne jedzenie i butelkę wina. Do wina używali ceramicznych naczynek o pojemności trochę większej od naporstka. Jak na komendę wstawali i wymienialiśmy życzenia wszelkiej pomyślności. Po wymianie życzeń ich przewodniczący nalewał wino do dwóch większych ceramicznych szklaneczek, dla mnie i dla siebie, a reszta napełniała swoje „naparstki”. Następował toast za polsko chińską przyjaźń z ukłonami i z wypiciem duszkiem całej zawartości – tak jak pije się wódkę.

Z wszystkich grup obcokrajowców byliśmy najbardziej ruchliwi: kawiarnie, kluby, spotkania w zakładach pracy, itp. Bardzo często spotykaliśmy ludzi, którzy wspominali swoje związki krwi z Polską, poprzez matkę lub ojca, lub dalszych przodków. Wiele osób pochodzących z Litwy, Białorusi i Ukrainy wykazywało się dobrą znajomością języka polskiego. Wiele osób nauczyło się czytać polskie czasopisma i książki – wówczas było to jedyne dostępne „okno” na świat, przez które mogli wyglądać mieszkańcy większych miast ZSRR.

Były to sympatyczne znajomości i spotkania. Będąc zaaferowani studiami i swoimi bieżącymi sprawami żyliśmy głównie w naszej grupie i dla naszej grupy nie utrwalając przypadkowych znajomości. Był to błąd, ponieważ spotykając naszych rówieśników, miejscowych studentów pochodzenia polskiego, nie okazaliśmy im zainteresowania, jakiego od nas oczekiwali. A oczekiwali na pewno więcej, oczekiwali serdeczności i przyjaźni. Dzięki zmianom jakie nastąpiły wiele osób posiadających z nami związki krwi może przyjeżdżać do Polski. Oby zawsze byli dobrze przyjmowani, obdarzani serdecznością i przyjaźnią – darem, którego zaaferowani swoimi sprawami poskapiliśmy naszym złaknionym kontaktów z Polską i Polakami rodakom. Jak najszybsze przyjęcie naszych rozsiansych za wschodnią granicą rodaków powinno być ważniejsze niż wewnętrzne spory polityczne. Powinno być ważniejsze niż „szybkie ścieżki” wręczania polskich paszportów dla „marcowych”, jakoby „wypędzonych” Żydów. Wszelkie spekulacje o zatrudnianiu ludzi z za wschodniej granicy [2007 rok], a nawet Chińczyków, są obelgą dla oczekujących na przyjazd do Polski rodaków.

Najbardziej wzruszającym spotkaniem jakie przeżyłem w ZSRR było spotkanie z Szymonem Demidowiczem w Kazachstanie. Dostaliśmy się tam z trudem, w tym przypadku oficjalnie. Były to czasy „Celiny”, czyli akcji zagospodarowywania niezmiernych kazachstańskich stepów. Studenci radzieccy wyjeżdżali na całe wakacje, aby z „komsomolskim zapalem” budować „drugie ZSRR”. My wyczuliśmy okazję dotarcia w te niedostępne strony.

Niedługo po rewolucji Sowietów zniszczyli rolnictwo. Kolchozy i sowchozy zabrały ziemię indywidualnym rolnikom, reszty dopełniła akcja likwidowania kułaków. W ten sposób ziemia wymagająca troskliwej i znoonej opieki stała się w pewnym sensie niczyją i jako taka przestała dawać plony. Kułacy, czyli ludzie, którzy kochali ziemię i ją dobrze uprawiali, byli odrywani od niej i wywożeni w niezliczone miejsca sowieckiej katorgi. Zostawali tacy, którzy nie umieli i nie chcieli dobrze uprawiać ziemi, a może bali się, aby nie podążyć śladami kułaków. Dla usunięcia tego doskwierającego i trudnego do ukrycia braku zboża sowieccy „teoretycy rolnictwa” postanowili zasiewać kazachstańskie stepy. Pomimo oficjalnego wstępu do kapitalizmu, zapatrzili się na wielkie i wysokowydajne farmy amerykańskie, stawiali na mechanizację i chemizację. Na kolchoźników już nie liczyli. Tak jak od początku swoich rządów, wbrew hasłom „partia z narodem, naród z partią”, mieli ten naród za nic. Zresztą, jest to chyba powszechną cechą wszystkich ustabilizowanych grup rządzących, niezależnie od systemu politycznego i kraju.

Po pogodzeniu się z utratą plonów na terenach zaopatrujących za cara pół Europy jacyś „farmerzy” z KC dojrżeli polacie stepów, podjęli decyzję utworzenia „naukowego” rolnictwa. Wierzyli, że traktory, kombajny, i inne maszyny, dokonają na stepach Kazachstanu zbożowego cudu, po którym cały kraj zadławi się zbożem. Śniło się im także, że swoim tanim zbożem zniszczą amerykański rynek zbożowy, rzucają Amerykę na kolana. W tej euforii „Celina” stała się sztandarowym hasłem sowieckiej gospodarki, a także narzędziem propagandy. Wiele o niej pisano w Polsce i na całym świecie, miał to być „Ósmy Cud” planowej gospodarki sowieckiej.

Radzieccy studenci wcześniej zdawali egzaminy i wysyłani byli na „Celinę” do końca wakacji. Paru z nas „zacięło się”, aby zobaczyć te niezmierzone stepy Kazachstanu. Poprosiliśmy o jeden miesiąc „Celiny”, w odpowiedzi usłyszeliśmy „nie”. Poruszyliśmy wszystkie władze dostępne na uczelni i w Leningradzie. W końcu usłyszeliśmy „da”, ale aby nas zniechęcić postawiono nam warunek: **wyjazd** z pobytom do końca wakacji. Wyjaśniano nam, że po miesiącu nie będziemy mieli jak wrócić, ponieważ w jedną i w drugą stronę podstawiane były specjalne pociągi. Zadeklarowaliśmy, że sami opłacimy drogę powrotną, tym bardziej, że za pracę na „Celinie” jakoby nieźle wynagradzano.

Podróż trwała mniej więcej tak długo, jak do Iwdiela, jednak bez napięcia i obawy, że ktoś zawróci z drogi „biez razrzeszenia”. Po drodze mijaliśmy różne stacyjki, czasami tylko małe szopy bez peronów. Im bliżej do Kazachstanu, tym bardziej ziemia była wypłowiata i opuszczona. Tylko gdzieniegdzie można było kupić coś do picia lub jakieś owoce sprzedawane przez stojące koło stacji kobiety. W okolicach **Kokczetawu** wysadzono nas na wypłowiata równinę, poczuliśmy pierwszy powiew suchego stepowego powietrza. Po jakimś czasie podstawiono ciężarowe samochody i ruszyliśmy w step, gdzie tylko obcy z tym terenem kierowcy wiedzieli, w którą stronę jechać.

Były jakieś rozjeżdżone szlaki nad którymi samochód zostawiał leniwie przemieszczające się gąsienice gęstego kurzu, czasami kierowca zjeżdżał z utartego szlaku i gnał po króciutkiej spalonej słońcem trawie. Mieli oni jakieś swoje punkty orientacyjne, może były to porzucone traktory, kombajny i inne solidnie zardzewiałe maszyny. Wyglądało to trochę na krajobraz po bitwie, a raczej po wielkiej batalii zagospodarowywania „Celiny”. Była to na pewno wielka przegrana batalia. Gdy dojeżdżaliśmy do docelowego sowchozu, gnaliśmy po zasiewach jakiegoś zboża, tak to ktoś nazwał „zboże”, a były to usychające trawinki nie wyższe niż dziesięć centymetrów. Jestem pewien, że zebrano z tego „zero” plonów.

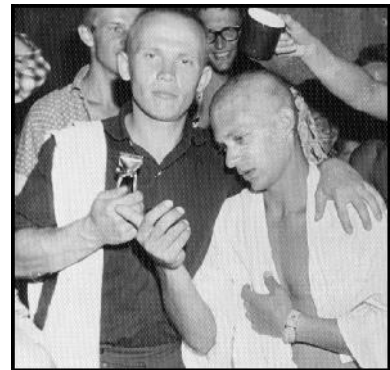
Zakwaterowano nas w budyńeczku sowchozowej szkoły. Parterowy, z grubymi nierównymi murami jakby ulepionymi z gliny. Miały te mury swoją zaletę, uśredniały szalone różnice temperatury pomiędzy dniem i nocą. W dzień temperatura przekraczała 40° Celsjusza, w nocy spadała do zera. Na szczęście dano nam wataowane kurtki, nawet eleganckie w porównaniu z fufajkami sowchoźników. Pracowaliśmy przy budowie baraków mieszkalnych. Na pewno ktoś w Moskwie zaplanował, ile ma być tych baraków i ilu sowchoźników. Niewątpliwie żaden z wysokich moskiewskich urzędników nie zastanawiał się, co ci sowchoźnicy będą zbierali – na tym stepie trudno było nawet o kamienie, nie mówiąc o zbożu?

Pierwszą pracą było kopanie fundamentów, czyli rowków o głębokości około 50 cm i o szerokości około 25 cm. Rano ruszaliśmy się rześko, im bliżej południa, tym bardziej dawał się we znaki upał. Pracując we dwójkę (ja z Adamem) wykopaliśmy połowę fundamentu (szczyły był, ale „żyła”). Resztę „wydłubywała” spora grupka innych studentów. Gdy we dwójkę wykopaliśmy połowę fundamentu odłożyliśmy łopaty i oznajmiliśmy: *Norma wykonana, idziemy na spacer*. Wieczorem zwołano zebranie, że „towarzysze” Feliks i Adam demonstracyjnie porzucili pracę. Śmiechu to było warte, ale obiecaliśmy, że będziemy „drużno” (w tym kontekście zespołowo) pracowali w takim samym tempie jak pracują inni.

Zaczęliśmy obijać się: chodzenie bez celu, papierosy i pogaduszki. Stanie z rękoma wspartymi na trzonku łopaty byłoby najlepszą ilustracją tempa budowania tego „celinnego” komunizmu. Im „tęższy” budowniczy, tym soczystsza była mowa. Nie byłem w tyle, szczególnie długo namawiali mnie, abym nauczył ich najgorszego polskiego przekleństwa. Tłumaczyłem, że nie mogę ich tego nauczyć, że nie ma równie „mocnego” przekleństwa w języku rosyjskim, a chyba też nic porównywalnego nie występuje w żadnym innym języku świata. Tak ich to zaintrygowało, że nie dawali mi spokoju.

Wymieniali różne rosyjskie przekleństwa i pytali, czy są podobne do tego „straszego” polskiego przekleństwa. Nawet, gdy doszli do „job twoju mać” odpowiadałem, że nawet nie umywa się do polskiego „super” przekleństwa. Po doprowadzeniu napięcia do szczytu wysyczałem przez zamknięte zęby dłuuuugie „pszszepraszzam” z akcentem na pierwsze „sz”.

Musiałem przy tym porządnie wykrzywić gębę, bo od razu załapali. Od tego czasu w każdej wiązance powtarzali to trudne dla nich do wymówienia „pszszeepaszszam”. Bawiliśmy się nieźle, koledzy Polacy nie wydawali tajemnicy, doradzali tylko, abym na koniec pobytu wyjaśnił znaczenie słowa „przepraszam”, aby kiedyś nie doszło do bijatyki i międzynarodowego skandalu. Łatwo sobie wyobrazić, gdyby gdzieś w tłumie jakiś polski turysta powiedział „przepraszam” do któregoś z „absolwentów” mojego skróconego kursu polskich przekleństw? Zyskałem przy tym spore uznanie, którego uwieńczeniem była funkcja mistrza w „radikalnym” strzyżeniu włosów. Jak widać na zdjęciu obok adepci w pokorze poddawali się moim „zerowym” wyrokom.



Po sowchozie rozeszła się wieść, że przyjechali jacyś studenci z zagranicy. Chociaż „kurica nie ptica a Polska nie zagranica”, sowchoźnicy przychodzili na nas popatrzeć. Któregoś dnia jakiś dziadko chodził wokół całego wykopu, w końcu zatrzymał się koło mnie i Adama. Onieśmielony pomału podchodził do nas, gdy zwracaliśmy na niego wzrok, natychmiast odsuwał się. Doszliśmy do wniosku, że trzeba z nim porozmawiać. Rozmawialiśmy między sobą po polsku, ale spytaliśmy dziadka po rosyjsku, jak się ma. Dziadek spuścił oczy w ziemię, łamaną polszczyzną powiedział *Wot mówlją w sowchozie, że jakiś Poljaki przyjechali, uczonyje studenty, to przyszedł ja tutaj choć z daleka Polska mowa posłuchać, popatrzeć na was, wot nie budu ja wam mieszać, postoja jeszcze trozszka i pujda.*

Tak skromny i onieśmielony był ten dziadek, że gdybyśmy go nie zatrzymali, zaraz był odszedł. Powiedzieliśmy, że bardzo nam miło gdzieś w stepach Kazachstanu spotkać rodaka, że bardzo chcielibyśmy z nim porozmawiać, że cieszymy się z tego spotkania. Ośmielony dziadek powiedział, że jeszcze postoi żeby posłuchać „Polska mowa”, że będzie przychodził, jeżeli „uczonyje studenty” nie mają nic przeciwko temu. Chciał coś jeszcze powiedzieć, ale najwyraźniej brakowało mu odwagi. Domyślaliśmy się, że chce nas zaprosić do siebie. Zaczęliśmy pytać, gdzie mieszka, w którym baraku, że chętnie odwiedzimy go po pracy. Dziadko rozpromienił się i wyjaśnił, że mieszka za sowchozem, gdzie „maszynna baza”, że jest tam stróżem nocnym, że „wielka łaska”, jeżeli go odwiedzimy.

Gdy po paru dniach znowu przyszedł, powiedzieliśmy mu, że wieczorem wpadniemy do niego. Nie wiedzieliśmy gdzie jest ta „maszynna baza”, ale pierwsza napotkana osoba wskazała nam kierunek. Mijaliśmy zaniedbane baraki sowchozowe, takie jak budowaliśmy, ze ścianami z trzciny oblepionej jakąś gliną, otoczone walającymi się śmieciami. Nie było żadnej trawki ani drzewek wokoło. Po dosyć długim marszu zobaczyliśmy tę bazę, raczej złomowisko, i domek. Prawdziwy domek z ogródkiem, z dosyć stromym dachem, krzątający się drób i chlewek.

Wszystko było ogrodzone, zadbane, czyste – jakby inny świat. Dziadek wyczekiwał wyglądając przez okno, zaraz wprowadził nas i posadził w pokoju przy stole. Jego żona podała jakieś placki i mleko, a on pochwalił się, że ma polską książkę. Była to stara Biblia wydana w Wilnie za łaskawym zezwoleniem imperatora „wszechrusi”. Informacje o wydawcy były w języku rosyjskim, ale reszta w języku polskim, trochę innym niż my go znamy. Pożółkłe wytarte kartki potwierdzały słowa dziadka, że gdy doczyta ją do końca, wówczas zaczyna czytać od początku.

Opowiadając o Biblii, o swoim gospodarstwie, „parsiuakach”, kurach i „maszynnej bazie”, której strzegł z „fuzyją”, ciągle kręcił się i pytał *A może jeszcze coś uczone panowie wypiją...*, skrupowany spuszczał wzrok i dodawał *Może jeszcze mleka.* Domyśliliśmy się, że dziadko chce nas poczęstować czymś mocniejszym, brakuje mu tylko odwagi, aby zaproponować „uczonym studentom” tak „intymną” rzecz jak wypicie alkoholu. Wspomnieliśmy, że następnym razem, aby uczcić nasze spotkanie, przyniesiemy coś mocniejszego. Na to tylko czekał, poderwał się jak młodzieniaszek, słyszeliśmy jak z łomotem przestawiał jakieś graty na stryszku. Wrócił z zakurzoną butelką wódki „Moskiewskiej”.

Tam, w tym sowchozie, był to luksusowy trunek. Paru miejscowych pędziło bimber na potrzeby całej lokalnej społeczności, od najprostszego robotnika, poprzez milicjanta, do dyrektora sowchozu. Zapotrzebowanie było tak duże, że często wynosili samogon prosto spod chłodnicy – jeszcze ciepły i białawy. Dziadzio był dumny ze swojej zapobiegliwości, kupił tą butelkę parę lat wcześniej, gdy był w Kokczetawie, trzymał z nadzieją, że będzie miał jakichś specjalnych gości. Przy kieliszku wypytywaliśmy go o jego losy.

Pochodził ze wsi, w okresie międzywojennym służył w polskim wojsku, gdzieś na granicy z Litwą. W jakiejś potyczce Litwini „w plen” go wzięli, został na Litwie. Niepiśmienny w tym czasie i niezaradny, nie wiedział, że mógłby wrócić do Polski. Zaczął pracować na roli u jakiegoś litewskiego obszarnika. Kochał ziemię i pracę na niej. Za dobrą pracę dostał kawałek ziemi i ożenił się z Litwiną. Dobrze mu się tam żyło, aż do przyjscia Sowieców. Zabrali mu ziemię do kolchozu, a nawet zabronili hodować „parsiuiki”. Męczył się tak na ruinie nie swojej już ziemi, aż dowiedział się, że w Kazachstanie można hodować „parsiuiki” i mieć kawałek własnej ziemi. Zostawił kolchoz i wyjechał do Kazachstanu. Tam wychował swoje dzieci, które poszły gdzieś do miasta, dożywał dni jako dozorca bazy maszynowej, ale „na swoim”.

Dostał kiedyś Biblię od Litwina, aby nie zapomnieć ojczystego języka nauczył się czytać. Z rozmową było gorzej, ponieważ żona i dzieci nie mówiły po polsku. Był jeszcze jeden „Poljak” w sowchozie, o wiele młodszy, ale dziadzio nie darzył go sympatią, *Bo jaki to Poljak co był sowieckim patizanem i tylko parę słów zna po polski*. Gdy poznaliśmy dziadka, myśleliśmy, że był zesłańcem. Nie był zesłańcem, sam siebie zesłał, z miłości do ziemi i gospodarowania. Znalazł w Kazachstanie odrobinę tak mu potrzebnej wolności posiadania skrawka ziemi, domku, zagrody z wiecznie głodnymi prosiakami, i koguta, bacznie strzegącego swoich kokoszek.

Taki właśnie był jego wymiar wolności, nie zajmował się żadną polityką, tym, co „uczonyje” mogą mieć w swoich głowach. Jego wolnością była ziemia i praca na niej. Ale tego podejrzanego „Poljaka, co był sowieckim partizanem”, nie lubił, ponieważ już dawno Sowieci zabrali mu jego wypracowany kawałek litewskiej ziemi. Martwił się też, czy nie będzie znowu jakiegoś „ukazu” zabraniającego hodować „parsiuiki” w Kazachstanie.

Po wakacjach wysłałem mu sporą paczuszkę polskich ilustrowanych czasopism i zbiór felietonów Wiecha. Długo nie miałem żadnej odpowiedzi, wreszcie otrzymałem list. Paczka doszła do lokalnego urzędu pocztowego, ale nikt jej już dalej nie przekazał. Wysyłając coś do dzieci dziadek zauważył, że jakieś „kolorowe żurnali” walają się w urzędzie, jakby nawet polskie. Spytał, czy może je zabrać. Gdy składał wszystko do kupy, znalazł rozerwane opakowanie ze swoim adresem i adresem nadawcy. Napisał: *Gdybym miał ze sobą fuzję, to bym naczelnika pocztamta ustrzelił*. Jego list był wzruszający, że „uczonyje studenty” nie zapomnieli o nim starym. Jaki to świat wielki i ciekawy – pisał – *Ot, siedzę nocami i czytam, od czasu do czasu wyjdu tylko, huknu z fuzyja, aby worow (złodziei) odstraszyć i czytam dalej (...), A jakie śmieszne te sjużety z Wiecha, śmieję się i płacę*.

Po skończeniu studiów, już z Warszawy, wysłałem mu życzenia z okazji Bożego Narodzenia i opłatek. Był to ostatni list, na który odpowiedział: *Postawił ja moja starucha na kolana i sam padł i płakał. I mówił ja jej, patrzaj, ta opłatka tyła świata do nas staruchów przysła, a była wyświęcona w największym kościele w Warszawie*. Leży dziadzio Demidowicz gdzieś tam w kazaskiej ziemi, może ma na grobie słupek z wyblakłą czerwoną gwiazdą, bez nazwiska. A może ktoś jednak zadbał, aby nazwisko było, może ktoś kiedyś jakiś krzyżyk tam postawił? [Zaraz po przybyciu do USA listy dziadka Demidowicza przekazałem panu Wierzbiańskiemu (Nowy Dziennik). Wcześniej Wolna Europa informowała o tworzącym się jakoby archiwum Polaków w Rosji. Najprawdopodobniej zaginęły, albo jakaś „służba” ukradła je w sobie wiadomym celu. Próbowałem odtworzyć „cytaty” z listów dziadka, nie oddają one jednak uczuć, słów i atmosfery tych listów. Myślę, że gdzieś tam w zaświatach, dziadek Demidowicz dalej cieszy się tym wielkim kolorowym światem polskich czasopism i felietonami Wiecha, które umiliły mu jego ostatnie dni spędzone przy pilnowaniu „maszynnej bazy”.]

Spotkaliśmy tam też tego drugiego „Poljaka sowieckiego partizana”, jak go dziadzio nazwał. Miał dobrą samogonkę, sam ją pędził. Był w sowieckiej partyzantce, znał parę polskich słów. Nie wiedział, kim on jest: *Wszystko tu paputano* (pomieszone), ale był ciekawy nas, studentów z „Narodnoj Polszy”. Może był tam na przymusowym pobycie? Jeżeli tak, to na pewno uprzedzono go, aby nie rozwodził się na te tematy. Byli tam tacy przymusowi zesłańcy. Jednym z nich był jakiś Gruzin, lub innej narodowości z Kaukazu? Po odsiedzeniu „swojego”, miał jeszcze parę lat zesłania. Jak twierdził, handlował na jakimś kaukaskim rynku pistoletami – ktoś go „zastukał”, no i „pałuczył srok”.

Wpadał do mnie w czasie „przerwy na upały” (w dzień było tak gorąco, że pracowało się tylko rano i wieczorem). Chciał po prostu wygadać się przed kimś. Ciągnął mnie do miejsc, gdzie nikt nas nie widział. Nie był to zesłaniec „polityczny”, jedyne polityczne akcenty w jego opowiadaniach odnosiły się do krępowania ich kaukaskich dusz, wolności bywania tam, gdzie się chce, handlowania, kultywowania swoich tradycji i obyczajów. Na tej wyschniętej trawie płaskiego stepu, w zaśmieconym sowchozie, jego opowiadania o domkach, zieleni, drzewach, o górach z szemrzącymi potokami, brzmiały jak poemat o raj.

To przez niego nabawiłem się udaru słonecznego. Przyniósł jeszcze ciepłą samogonkę, usiedliśmy za dopiero co postawioną ścianą baraku po nasłonecznionej jej stronie. Z innej strony widzieliby nas z okien zasiedlonych baraków. Na następny dzień miałem gorączkę jak przy ostrej grypie. Właściwie, wszystkie „grypowe” symptomy, a był to pierwszy i jak na razie ostatni udar słoneczny. Leżałem parę dni w zamienionej na sypialnię szkolnej „klasie” nigdzie nie wychodząc. Po lewej stronie od wejścia mieliśmy na podłodze pięć naszych wypchanych słomą materaców. Po prawej stronie ulokowano czterech wyselekcjonowanych (ostrzych) komsomolców i jednego młodocianego przestępcę wysłanego na „resocjalizację”. Nie rozmawialiśmy dużo, upały i wyżywienie składające się głównie z kaszy gryczanej nie sprzyjały gadatliwości. Nawet parę ładnych dziewczyn zakwaterowanych w sąsiednich pokojach przestało przyspieszać obieg krwi. Dosypywano na pewno bromu do potraw (perfidne łobuzy), aby koszarową chemią uchronić „komsomolską moralność” przed pokusami.

Pewnego dnia wszedł do naszego pokoju sobowtór Pitekantropusa. Wyglądał tak, jakby ilustracja ze szkolnej książki raptem ożyła. Niska przygarbiona sylwetka, długie ręce, cofnięta szczęka i niskie czoło. Krzaczaste brwi ulokowane na potężnym wale łuków brwiowych oraz małe głęboko schowane oczy dopełniały wizerunek. Pod marnym odzieniem nie było widać typowego dla Pitekantropusa owłosienia, ale nie trudno było wyobrazić je sobie, musiało mieć taki sam kolor jak zmierzwione blond włosy przechodzące w zapuszczony zarost. Jediną rzeczą, która nie pasowała do wizerunku Pitekantropusa, był dymiący „Bielamor Kanał” zakotwiczony w jakiejś szparze po brakujących zębach – gdzieś pomiędzy zadartym nosem a cofniętą szczęką.

Ja miałem swój materac tuż przy drzwiach, przez chwilę nawet myślałem, że..., właściwie nie wiedziałem, co myśleć? Yeti?... albo odnaleziony w sowieckich odstępach ostatni przedstawiciel jakiegoś wymarłego gatunku praludzi?... ubrany przez troskliwą władzę radziecką w zdarty syberyjski mundurek? Najważniejsze, że nie wyglądał agresywnie i w czystym języku rosyjskim spytał, czy może przysiąść na podłodze.

Komsomolcy zaniemówili, pokazałem mu miejsce pomiędzy końcem mojego materaca i drzwiami – „sadzisz”. *Co tak na mnie patrzycie ja czelowiek, ja Ruskij. Chcę z wami porozmawiać, ja też byłem taki młody jak wy, ale zawsze byłem mały i głębo miałem taką, jak mam. Nawet matka nie patrzyła na mnie, kiedy nie musiała.* Gdy kontynuował swój monolog jego głęboko schowane oczy zaczęły jakby świecić swoim własnym blaskiem. Mówił tak płynnie i sugestywnie, jak żaden z wykładowców, których zdążyłem poznać przez cały okres studiów.

Gdy odtwarzam w pamięci syntezę jego wyglądu, głosu, wypowiedzanych myśli, to taką siłę oddziaływania mógł mieć tylko Rasputin – chociaż nie było niczego, co u dworskich dam mogłoby wywołać seksualne drżenia. Opowiadał jak był młodym chłopcem, gdzieś na zabitej deskami „dzierewni”. Głupi dobroduszny chłopak, i potańcować lubił, i harmoszkę, a i wypijał. Aresztowali go po jakiejś potańcówce, stał podpity tyłem do portretu Stalina – nic złego nie robił, śmiał się, żartował, chyba za to go wzięli – no, bo jak z taką głębą stać tyłem do portretu generalissimusa. Na pewno nikt mnie nie żałował – twierdził – a może nawet odetchnęli, bo gdyby nie mnie, wówczas innego by w tym czasie zabrali? Mieli plan, ilu wrogów narodu trzeba zamknąć w każdym kwartale.

Stopniowo poruszał coraz bardziej drażliwe i obłożone sowieckim tabu tematy polityczne. Pod maską Pitekantrypusa zacząłem widzieć jakiegoś przybysza z przyszłości, kiedy nie będzie już skłóconych narodowości, ras ludzkich, różnych patriotyzmów i jedynie słusznych doktryn. Wiele z tego, co mówił, wykraczało i wykracza poza moje odczucie narodowej przynależności, patriotyzmu, zaangażowania się po jakiejś stronie. Ale nawet gdybym chciał, nie przeciwstawiłbym mu najmniejszego argumentu podważającego jego wypowiedzi. Jego koncepcje były niesłychanie klarowne, logiczne i silne – wręcz obezwładniające wszelkie sprzeciwy.

Zresztą, mówił do nas jak do Rosjan – młodych komsomolców – nie zorientował się, że po jego lewicy układali się do popołudniowej drzemki polscy studenci. Zrozumiałem wtedy, dlaczego tak niechętnie dopuszczeni w te strony. Jego krytyczna ocena istoty komunizmu i całego systemu sowieckiego była jedną z najlepszych, jakie kiedykolwiek poznałem na ten temat. Ulokowani po przeciwnej stronie komsomolcy próbowali „z urzędu” przeciwstawiać się jego koncepcjom. Byli bezradni, wręcz żałośnie bezradni. Trudno im było nawet zacząć mówić. Póلهżąc opierali się o ściany i jak ryby nagle wyrzucone na brzeg, zamiast dać „pryncypialny odpór”, otwierali usta łapiąc powietrze i nie wydając żadnych dźwięków.

Z wplecionej w monolog historii jego życia wynikało, że po pierwszym okresie szoku i apatii zaczął garnać się do ludzi, z którymi można było rozmawiać – po prostu, aby być człowiekiem i aby przeżyć. Było w łagrach wielu wykształconych ludzi, filozofów, historyków, socjologów, itp. Aby nie „zmuzułmanieć”, pytał ich o wszystko, uczył się od nich. Żył światem ich myśli, aby przeżyć w świecie baraków ogrodzonych kolczastym drutem. Gdyby nie to, twierdził, już dawno jego kości wrosłyby w wieczną zmarzlinę.

Gdy po śmierci Stalina zaczęli wypuszczać z łagrów, dołożyli mu parę lat za „filozofowanie”. Gdy w końcu wyszedł za druty, skierowano go na przymusowe zesłanie. Nie żalił się z tego powodu, on nie potrzebował nadanej przez kogokolwiek wolności, miał ją w sobie. Świadomy tej wolności wiedział, że nikt mu jej nie odbierze, a wszystko na zewnątrz, Moskwa, Odessa czy Kijów, było też jednym wielkim łagrem o zamglonych granicach, być może w jakichś swoich odmianach rozciągniętym na cały świat.

A jego mała wioska dzieciństwa, czy jeszcze istniała? Nawet, jeżeli jeszcze istniała, znane mu osoby były już tylko zwiewnymi marami. Gdyby tam trafił, byłby bardziej obcy niż na tym zesłaniu. W tym bezkresnym stepie zesłania znał wszystko i wszystkich, był częścią tego miejsca bez ojczyzny. Lubił to otoczenie, nawet „milicjoniera”, u którego co tydzień odnotowywał swoją obecność, chyba, że zapity zapomniał, ale „milicjonier” i tak go „otmieczał”.

Gdy skończyły mu się „Bielamor-Kanały” podniósł się: *Pora na mnie riebiata, ja tu na zawsze a wy wyjedziecie. Tu moje kości będą leżeć. Po rozmowie z wami przedłużą mi chyba mój pobyt. Nie martwcie się, tak nada. Pogrzebał w zakamarkach fufajki, nie znalazł już żadnego papierosa. Da ładno paszoł. Zatrzymałem go na chwilę, Podażdi, wot cigarietoczki dla tiebia – wyciągnąłem wziętą na wszelki wypadek paczkę Carmenów – Eto polskije, pażałujsta... Spytał mnie Ty Poljak? Wyjaśniłem mu, co tam robimy. Poklepał mnie po ramieniu – Teraz na pewno pozwolą mi być tutaj dłużej.*

Nawet nie dziękował, wziął papierosy jako należną mu daninę, włożył je do porwanej kieszeni. To był wielki człowiek i jemu należało dziękować za przywilej dania mu czegokolwiek. Ktoś powie, marnował się tam i zmarnował się. Wszyscy w jakiś sposób marnujemy się i zmarnujemy się. Najmożliwsi i najszlachetniejsi tego świata marnują się i zmarnują się. Ludzkość i świat cały znikną w zamierającym czasie i rozpadającej się na kawałki przestrzeni. Jeżeli coś zostanie, to chyba tylko część jego i nielicznych jemu podobnych, aby znowu narodził się czas w scalającej się przestrzeni.

Widziałem go jeszcze raz, siedł z „Bielomor Kanałem” w brakujących zębach. Pochylony, z długimi rękoma balansującymi jego wręcz małpie kroki. Był chyba lekko wstawiony, jakby od nie chcenia powiedział „priwiet” i zniknął gdzieś na zawsze pomiędzy nędznymi barakami. Na pewno byli tam jeszcze inni zesłańcy, nawet nie wiedzieliśmy, kto był zesłańcem a kto nie. Nie mieli oni nawet cząstki mojego „Pitekantropusa”, a udawali wolnych sowieckich „grażdan”. Tylko on jeden był tam wolny, nawet bardziej wolny niż my, dobrowolni przybysze.

Była też „kolonia”, gdzie nasi zaopatrzeniowcy jeździli po prowiant. Lokalny sklepik był gorzej zaopatrzony niż nasze sklepy w szczytce kartkowego socjalizmu. Wszyscy mieszkańcy chyba tam jeździli, a kierowcy ciężarówek dobrze na tym wychodzili. Nas ta przyjemność omijała, gdy zaczęliśmy dopominać się, oznajmili, że jest to „zakryta zona”. Domyślaliśmy się z różnych rozmów, że były tam chyba jakieś kopalnie, a na pewno jedna z „gwiazdek” na mapie sowieckiego „Gułagu”. Do „Kosmodromu” było chyba daleko, a może nic w tym miesiącu nie przecinało nieboskłonu. Byli gdzieś Kazasi, jednak w sowchozie nie widzieliśmy żadnego. Raz tylko, gdy ze Stachem wysłano nas po piach, zauważyliśmy z daleka jakąś budę obłożoną blachami z porzuconych traktorów i maszyn.

Naładowaliśmy sporo piachu na ciężarówkę, a kierowca, mała zgrabna Ukrainka, jakby rozplynęła się w rozedrganym gorącym powietrzu. Do dziś dnia nie mogę wyobrazić sobie, gdzie mogła zniknąć. Stojąc na naładowanym piachu widzieliśmy wszystko na tej płaszczyźnie ograniczonej tylko horyzontem. Okularów w tym czasie nie potrzebowałem, może jedynie przeciwsłoneczne – ani śladu po niej. Myślała chyba, że do nocy będziemy ten piach szuflowali, zaszyła się gdzieś w jej tylko znanej norce.

Nie mieliśmy ze sobą nic do picia, nawet w cieniu samochodu żar wyciskał z nas resztki potu utraconego przy ładowaniu piachu. Spragnieni, składając ręce w trąbki, wykrzykiwaliśmy w różne strony: „pojechali”, nawet echa na tej patelni nie było. W końcu Staszek uruchomił jakoś silnik, podjechaliśmy pod budę. Wysła Kazaszka – pić, pić prosiliśmy, dla pewności pokazywaliśmy gesty naśladujące picie. Przyniosła kubek wody – ja byłem pierwszy. Ciesząc ręce niespodziewanym chłodem tego kubka przyłożyłem go do warg, i..., zobaczyłem kłębek czarnych długich włosów kręcący się w tej upragnionej chłodnej wodzie. Po pojawieniu się Ukrainki odjechaliśmy bardziej spragnieni, niż byliśmy wcześniej.

Prosimy kilkakrotnie, aby pokazano nam jak żyją Kazasi. Obiecywano nam wizytę i ostrzegano, że to bardzo dziwni ludzie, zacofani, ale gdy już czymś poczęstują, wówczas nie można odmówić. Dlatego też, po poproszeniu o wodę, udawaliśmy, że pijemy. Podziękowaliśmy za ten jeden kubek, w dogodnej chwili wylaliśmy wszystko za siebie. Odmówiliśmy ponownego napełnienia.

Po tej przygodzie z wodą nie chcieliśmy już odwiedzić Kazachów, jednak poprzednie nalegania odniosły skutek – zawieziono nas do kazaskiego „pasiołka”. Musieli tam chyba mieszkać sami kazascy „sekretarze”, ładne domki i czysto wokoło. Na początek „czaj” w filiżankach. Potem podali kumys – też w filiżankach. Podobny był do maślanki, z kobyłego mleka, procentowo na poziomie piwa. Dało się to pić, ale większość z naszego towarzystwa miała bardzo dziwne miny. Może kochali konie, jednak sfermentowane kobyłe mleko było czymś więcej niż kontrowersyjne końskie kabanosy. Ja, jako niezbyt okazale wyrośnięty na kozim mleku i jadający końską kiełbasę, opróżniłem filiżankę kumysu tak, jakbym pił piwo.

Koledzy, pomni ostrzeżeń o kazaskiej gościnności, szybko zorientowali się, jak wyjść z twarzą z tej trudnej sytuacji. Powtarzając jakieś kazaskie słowo odpowiadające wezwaniu do toastu stukali się ze mną wymieniając filiżanki. Nawet nasza pani doktor, Gruzinka kończąca medycynę, podłapała ten trik – wręcz wyrwała z moich rąk pustą filiżankę wciskając swoją. Kazasi na pewno widzieli, co ci „odmieńcy” wyprawiają, dali nam spokój z kolejnymi toastami. Patrząc na mnie z wielkim uznaniem zaprosili nas do komórki, gdzie „pędzili” kumys. Po tyłu końskich „piwach” byłem już lekko wstawiony, ale, o ile dobrze pamiętam, naczynia do wyrobu kumysu przypominały długie tuby, jakby ze skóry – lub wydrążone pniaczki? Wlewali tam kobyle mleko, które parę dni fermentowało. Twierdzili, że tub tych nie można myć, a nowa tuba musiała być parę razy zalewana fermentującym kumysem, aby do czegokolwiek była zdatna.

Było to ciekawe spotkanie, „sekreтары” czy „nie sekretarże”, też byli ciekawi nas, a przynajmniej takiego, co kumys pił jak oni. Nie było wokół ich domostw żadnych maszyn, pól uprawnych, nic, co mogłoby świadczyć, z czego ci ludzie żyją. W odróżnieniu od szopy, gdzie Kazaszka zaledwie nas rozumiała, mieli dobrze opanowany język rosyjski. Jak wyjaśnili, żyli z hodowli, mieli pastuchów wypasających na tej zasuszonej trawie barany i owieczki. Ale po zimie i zejściu śniegów, twierdzili, wyrastały łąny bujnej zieleni pełnej różnokolorowych kwiatów. Ich step – mówili – żyje zawsze, tylko w okresie gorącego lata lub srogiej zimy życie chowa się pod ziemię.

Zaprosili nas do odwiedzenia ich hodowli. Już cieszyliśmy się oczekiwanym widokiem kierdeli baranów, cwałujących po stepie jak zagony Dżyngis-Chana. Po krótkiej radzie postanowiliśmy jednak dostać wódkę. Nie wynikało to z uprzedzeń krakowsko-hejnałowsko-mariackich wymierzonych przeciwko tym dalekim potomkom azjatyckich hord. Po prostu kumys był zbyt ekstrawaganckim napojem w naszym „zmonopolizowanym” świecie. Jednak zakupienie wódki nie było takie proste, mieliśmy tak zwane „suche prawo”. Studenci budujący celinny komunizm teoretycznie nie piją (czasami nawet nie jedzą nic innego oprócz kaszy gryczanej). Ponadto, wódkę trzeba było przywieźć z „kolonii” lub z Kokczetawu. Bywała też w lokalnym sklepie, ale nie wytrzymała konkurencji z samogonką. Czysty spirytus, sprzedawany czasami na kresach Sojuza miał powodzenie, ale tylko dystrybutorzy w Moskwie wiedzieli (czy naprawdę wiedzieli?), kiedy zawita do naszego sowchozu? Przymykając oczy na „suche prawo”, przed wizytą u „dzikich” Kazachów, przywieziono na nasze zamówienie parę półlitrowek Moskiewskiej.

Dwoma sowieckimi „jeepami” jechaliśmy gdzieś w bezkresny step. Zanim dojechaliśmy napęczniały księżyc był już dobrze widoczny. Zmierzch trochę zmniejszył płaszczyznę stepu i jakby podniósł horyzont robiąc wrażenie, że jesteśmy w środku szarej miski. Zatrzymaliśmy się przy ogrodzeniu zgonionych na noc baranów. Kazasi mieli już rozpalone ognisko i kocioł z dochodzącą do wrzenia wodą. Jeden z nich wskoczył za ogrodzenie, macał jagnięta, stojący obok „starszy” wyjaśnił, że wybiera najdelikatniejszego na wieczerzę.

Był też pod ręką osiodłany koń, ich pojazd stepowy. Spytałem, czy mogę przejechać się, nie mieli nic przeciwko temu. Jakoś na niego włąłem, a on nic, stał tak jak stał. Machałem nawet uzdami, nie skutkowało, wreszcie Kazach pokazał mi jak go uderzyć strzemionami. Ruszył ostro, szedł gdzieś po dnie tej stepowej miski – jednak ciągle w jej środku – tylko gwiazdy na ciemniejącym nieboskłonie stawały się coraz bardziej widoczne. W końcu udało się zatrzymać konia, ale nie wiedziałem, w którą stronę mam go skierować. Patrząc na rozgwieżdżone niebo „włączałem bieg” i hamowałem, aż do momentu, gdy wydało mi się, że gwiazdy, które były przede mną są już za mną. Nie widziałem żadnego ogniska ani też zagrody z baranami, uderzyłem go pod boki strzemionami – ruszył „z kopyta”, dowiózł mnie dokładnie do miejsca, z którego wyruszyłem. Mądry musiał być ten koń, tak jak miejscowi kierowcy, zawsze trafiający do celu.

W kotle z jakimiś przyprawami bulgotał oprawiony baranek, podobno najbardziej niewinny, jeszcze nie skażony chuciami do żadnej owieczki. Przy ognisku na dużą okrągłą tacę wyłożono parujące mięsiwo. Zgodnie z rytuałem, siedząc „po turecku“, zaczęliśmy jeść same mięso, bez chleba. Po tygodniach kaszy gryczanej, czasami okraszonej śladami skwareczek, była to rajska uczta. Na szczęście kierowca „jeepa”, który na pewno przywoził tutaj czasami oficjeli z „Rajkomu”, miał zapas chleba, wyjął go w odpowiednim momencie.

Kazasi pili równo, tylko nasza doktor Gruzinka wyłamywała się z upajającego czaru ogniska. Do dziś dnia nie wiem, skąd oni mieli drewno, nawet na zagrodę dla owieczek? Ale naprawdę mieli! Siedzący obok mnie Kazach spytał w końcu, a co to ta Polska jest? Sowiecka republika czy jakaś zagranica. Sam już domyślał się, że jakaś zagranica, widocznie nie byliśmy podobni do ich gości z „Rajkomu”, relaksujących się u nich po ciężkim trudzie budowy komunizmu. Podchwytliwie spytał, a w Allacha wy w tej Polsce wierzycie? Powiedziałem „tak”, tylko my go inaczej nazywamy. Nachylił się do mnie do ucha i wyznał, *My też wierzymy w Allacha, ale Ruscy o tym nie wiedzą.*

Pomimo, że poczuliśmy się prawie jednowiercami, patrzył na nasze ręce – musieliśmy ciągle sięgać po następne kawałki baraniny. Gdy zaczęliśmy dziękować, że jesteśmy najedzeni, wówczas ich skośne oczy nabrały jakiegoś dzikiego blasku, tak jakby Olbrychski zamienił się nagle w Azję i szykował się do rzezi Sarmatów. Nawet Gruzinka to zauważyła, zaczęła szybciej połykać kawałki baraniny. W „niewiernych” mowie wyszeptałem do kolegów – brać i wpychać pod obgryzione już kości – w ten sposób dotarliśmy szczęśliwie do ostatniego kawałka baraniny. Usatysfakcjonowani i podchmieleni gospodarze nie żalowali wyrazów uznania dla „niewiernych”, którzy jednak mają swojego Allacha i potrafią do końca zjeść baranka.

Wracaliśmy obzarci – przy wydętych do góry przeponach trudno było mówić – a o śpiewie nie było nawet mowy. Zniknął gdzieś księżyc, tylko gwiazdy błyskały na kompletnie czarnym niebie. W światłach reflektorów trudno było poznać step. Ruch był jak na Marszałkowskiej w godzinach szczytu. Od jakichś stworzonek o wymiarach myszek, do innych o wymiarach dużych kotów. Cała ta menażeria przemykała przed samochodem błyskając w świetle reflektorów oczkami. Wcześniej trudno było sobie wyobrazić, że ten martwy w czasie dnia step zamieszkuje tak wielu lokatorów.

Gdy kończyliśmy „nasz” pierwszy barak nadeszła pora naszego odjazdu. W międzyczasie gasiliśmy **plonący step**, a raczej wyschnięte źdźbła celinnych zasiewów? Zostawialiśmy tych naszych vis a vis komsomolców, także tych innych normalnych Rosjan, i dziewczyny tak ładnie podciągające do góry „Brigantina podnimajet parusa”. Wzięliśmy nasze zarobione pieniądze i w drogę. Nie było to jednak takie proste, przecież tam ani pociągi ani autobusy nie dochodziły, a tak jak podróżowali miejscowi, „okazjami”, nie chcieli nas puścić – „zaprietnyje zony” wokoło. Podstawili sowieckiego „jeepa” i dali kierowcę – przesiedlonego do Kazachstanu nadwołżańskiego Niemca. Średniego wzrostu, pełny, a rude miał włosy jak już kompletnie wypalona stepowa. trawa. Żartowaliśmy, że dzięki takim barwom ochronnym jakoś przeżył to stepowe zesłanie. Dowiózł nas do Omska. Tuż przed miastem wzięliśmy kąpiel w **Irtyszu**, aby zmyć stepowy kurz równo oklejający nasze twarze i usztywniający włosy. Przy lotnisku poprosiliśmy naszego kierowcę, aby nie odjeżdżał zanim nie kupimy biletów do Leningradu.

Bilety kupiliśmy, nie mieli jednak wolnych miejsc na najbliższe loty. Mieliśmy czekać „tylko” dwie doby. Zanim sprzedano nam bilety do kasy zbiegło się całe „naczalstwo”. Oglądali nasze paszporty, kręcili głowami – jak żeśmy trafili do Omska – zamkniętego miasta? Nawet nie wspomnieliśmy, że nasz „stepowy” Niemiec drzemie pod dworcem w samochodzie, może by go przymknęli do wyjaśnienia?... daliśmy namiar na Komsomoł w Kokczetawie. Z perspektywą dwóch dób na dworcu lotniczym, ponieważ zabroniono nam odchodzić na krok od niego, obudziliśmy naszego Niemca, aby wydać większość pozostałych pieniędzy w dworcowej restauracji.

Restauracja była czysta i ładna, ponadto, mieli prawdziwe jedzenie, bez kaszy gryczanej. Zaprawieni w bojach wysączyliśmy dwie butelki wina. Nasz Niemiec, widać nie przyzwyczajony do wina, zaczął opierać głowę na stole. Doprowadziliśmy go do samochodu, żeby wypaść się dobrze przed powrotną drogą. Zresztą, aby tylko na step wyjechał, po wrzuceniu biegów mógłby spać, dojechałby najwyżej do Karagandy zamiast do Kokczetawu.



„Stepowy” Niemiec drugi od lewej.

Przydzielona nam opiekunka, drobniutka zgrabna brunetka, obserwowała wszystkie nasze kroki. Wyszliśmy pod kolumny za głównym wyjściem, gdzie podjeżdżały taksówki z pasażerami. Stojąc na szczycie schodów i paląc papierosy uśmiechaliśmy się do niej obserwującej nas zza drzwi – była warta grzechu. *Chłopaki, gdy przyjedzie następna taksówka i wysadzi pasażerów – gdy tylko zawróci – rzucamy papierosy i biegiem do taksówki*, tak też zrobiliśmy. Dopadliśmy taksówkę w momencie, kiedy już ruszała, wskoczyliśmy do środka – *W gorod pażahujsta*. Opiekunka biegła w dół po schodach i machała rękoma, coś tam krzyczała, ale ruszająca ostro Wołga zagłuszała wszelkie nawoływania. *Chłopaki, gdzie chcecie jechać*, spytał kierowca: *Powoż nas po Omsku, chcemy przed odlotem zobaczyć to stare miasto, a i na rynek nas zawieź, kwiaty chcemy kupić dla „krasawicy” z Aeroflotu, może nam lepsze miejsca załatwi*.

Woził nas z godzinę, było to ładne czyste miasto. Najbardziej utkwiły mi w pamięci peryferyjne uliczki z wysokimi drewnianymi płotami ukrywającymi stare drewniane domki. Piękna zapomniana w stepie zieleń wychylała się znad płotów wręcz zapraszając, aby pogłaskać jędrne listki. Właśnie tak wyobrażałem sobie stare syberyjskie miasteczka – gdzie być może mój ojciec z braćmi biegali po ulicach tocząc patykami obręcz lub grali w palanta?

Gdy wróciliśmy nasza „dziewczyna z Aeroflotu” nachmurzona czekała na schodach: *Jak mogliście tak zrobić, przecież mówiliśmy wam, że nie możecie oddać się z dworca, czy u was w Polsce też tak postępujecie?*. Jak umówieni odpowiedzieliśmy: *Zawsze! Gdy spotkamy taką fajną dziewczynkę jak wy, to nic nas nie powstrzyma przed kupieniem jej kwiatów*. Zła była na nas, ale przyjęła kwiaty: *Co ja z wami zrobię, muszę pozbyć się was jak najprędzej, idźcie do restauracji i czekajcie*. Za pół godziny przyszła do nas: *Riebiata, lecicie następnym samolotem do Leningradu, odlot za pięć godzin*, uśmiechała się przy tym przekornie. Gdybyśmy byli w mniej eksponowanym miejscu, wyciskalibyśmy ją, wielokrotnie była tego warta. Prawdę mówiąc nawet dwie doby – ale tylko w jej towarzystwie – zleciałyby jak z bicia trzask. Jednak nie musieliśmy czekać. Gdybyśmy jednak czekali, to raczej w towarzystwie drzemiących po kątach podróżnych, którzy mogą oglądać Omsk, kiedy tylko chcą.

Zmęczeni zasypialiśmy w samolocie. Drzemkę przerywały lądowania i starty, chociaż nie tylko. Po trafieniu w jakieś ciężkie burzowe chmury błyskawice i grzmot piorunów współgrały z uskokami samolotu przemieszczającymi żołądek do gardła. W pewnym momencie jakieś potężne wyładowanie zniszczyło instalację oświetleniową. Tylko krótkie mgnienia błyskawic rozjaśniały fioletem wnętrze samolotu i poszarzałe twarze pasażerów. Mieliśmy podobno szczęście, ten typ samolotu miał zasilanie awaryjne, w dodatku sprawne.

Oprócz tego wyjazdu do Kazachstanu zwiedzaliśmy też inne „pomieszczenia” sowieckiej Wieży Babel. Zazwyczaj w „kratkę”, z pozwoleniami lub bez, w większych lub mniejszych grupkach, czasami pojedynczo. W moim przypadku najczęściej były to wyjazdy aby kogoś zobaczyć, rzadziej, aby coś zobaczyć. Z jednej strony mówiłem sobie „mam jeszcze czas”, aby odbyć jakąś ciekawą wycieczkę, a z drugiej strony wymawiałem się sam przed sobą, ponieważ nigdy nie czułem się dobrze jako turysta na „smyczy” przewodnika.

W moim odczuciu zwiedzanie dla zwiedzania jest czymś pustym, obarczonym fałszem. Fanfaronadą mieszczuchów łąjących po muzeach jedynie po to, aby komuś zaimponować przewróceniem oczu przed Mona Lisą. Długo później, będąc w Paryżu tuż pod Luwrem, zrezygnowałem z wejścia do środka. Już akceptowałem zafundowanie biletu, gdy raptem uświadomiłem sobie, że przecież nigdy nie miałem w zwyczaju chodzenia po muzeach. Ku zdziwieniu szwagierki, a też w pewnym sensie sam byłem zdziwiony, wyrwało mi się: *Śluchaj, ja nigdy nie latałem po muzeach, dlaczego w Paryżu mam być taki kulturalny i zwiedzać muzea. Nie pasuje to raczej do mnie, połażę jeszcze po jakichś zaśmieconych starych uliczkach i wpadnę gdzieś na piwo*.

Podobnie było w ZSRR, były wycieczki do Samarkandy i do paru innych ciekawych miejsc, nie wybrałem się. Wybrałem się nad Morze Czarne na wakacyjny obóz, ponieważ chciałem tam ponurkować. Był to jedyny zorganizowany wyjazd, w którym wziąłem udział. Jeździłem też bez pozwolenia motocyklem do Tallina i parę razy pociągiem do Moskwy. Po drodze do Tallinna zatrzymał nas patrol. Jeden z milicjantów był Polakiem z pochodzenia, nie zawrócili nas z drogi.

Przebywając w Moskwie ambasada nie robiła trudności z zakwaterowaniem w gościnnym pokoju. Dzięki Krystynie najciekawszym był wyjazd z Moskwy do Ławry Troicko Siergiejewskiej (Siergiejew, za czasów ZSRR **Zagorsk**). Znajduje się tam zespół starych cerkwi. Mroczne w środku, z ciemnymi jakby zadymionymi ścianami wypełnionymi malowidłami rozciągniętych do góry postaci. Pod ścianami klęczały pomarszczone modlące się staruszki. Tworzyło to jakąś niesamowitą atmosferę katakumb z zaszuszonymi przez wieki, jednak ciągle żywymi staruszkami. Cały zespół tych otoczony starym murem obronnym cerkwi miał mały polski akcent. Przy bramie leżał pamiątkowy kamień z napisem: *Tu w ... roku, po zajęciu Moskwy, zatrzymała się, a potem cofnęła nawała Polaków...*, czy coś w tym rodzaju? Napis ten był przypomnieniem zmiennych wyroków historii. Dawał też odrobinę nadziei, że nie ma nic wiecznego, że sowiecka nawała też wycofa się z Polski.

Byłem też parę razy w Mińsku. Mieszkało tam wielu krewnych mojego ojczyma, Jana Hula. Nazywali go „wujek Polak”, a sami uważali się za Białorusinów. Przyjmowali mnie bardzo serdecznie, zaprosili nawet do kolchozu, gdzie żył jeszcze rodzony brat ojczyma. Przyjęcie było „na cztery fajerki”, obficie zastawione stoły i serdeczna atmosfera. W powojennej sowieckiej rzeczywistości radzili sobie całkiem dobrze. Mieli sad, sprzedawali owoce i inne płody z „przyzagrodowej działki”. Prawdę mówiąc, ta przyzagrodowa działka jak guma rozciągała się na ich dawne a wówczas kolchozowe ziemie. Nie było tylko produkowanych przed wojną serów – jak wspominał ojczym – najlepszych na terenie całej Zachodniej Białorusi.

Procedura „rozciągania” przyzagrodowej działki była bardzo prosta. Pod koniec każdego roku dostawali kupony na przydziały różnych płodów ziemi. Według zwierzeń jednego z młodszych członków rodziny [zginął parę lat później] jechał on do kolchozowego magazynu z kuponami i wódką lub z dobrym samogonem. Pobierał należne płody, gdy nie było kontroli, formalnością był zwrot kuponów za alkohol. Procedura była powtarzana, aż do jakiejś niespodziewanej „wpadki”, wtedy kupony były ostatecznie zabrane.

Będąc kiedyś w Mińsku z moją dziewczyną, przyszłą żoną, wybraliśmy się na spacer do wielkiego parku – jak dowiedziałem się długo później – podobno wybudowanego dla zamaskowania masowych grobów sowieckiego reżymu. Przyczepiła się do nas Cyganka – powróżyć za rubelka. Była tak natarczywa, że Krystyna uległa jej namowom. Wywróżyła jej, że będzie miała trzech synów, że wyjedzie za ocean, że na starość będzie miała spokojne i dostatnie życie. Jak na razie prawie wszystko spełniło się, a ocena spokojnego i dostatniego życia należy do niej. Cyganka nawet nie proponowała mi swoich usług, odczuwała, że jestem niechętnie nastawiony do wszelkich wróżb. A spokojne życie ze mną? Chyba jednak Krystyna nie jest jeszcze stara, zobaczymy, co będzie dalej?

Jeden z mińskich krewnych był pilotem Aeroflotu na krajowych i zagranicznych liniach, parę lat później zginął w głośnym wypadku przy podchodzeniu do lądowania w NRD-owskim Berlinie. W międzyczasie wysłany był do Afryki. Był pilotem jakiegoś komunizującego kacyka afrykańskiego – ciągle obstawionego „radzieckimi doradcami”. Po solidnej kolacji zaproponował, że w ramach lotu do Kijowa podrzuci nas tam – warto zobaczyć – dodał.

Mając jeszcze parę wolnych dni chętnie daliśmy się namówić. Rzeczywiście warto było, tylko zbyt gorące dni nastąpiły, po pożegnalnej kolacji w Mińsku co krok oglądałem się za „gazirowką” z sokiem. Po dotarciu z lotniska do centrum uświadomiliśmy sobie, że nie mamy noclegu. Bez sowieckiego dowodu osobistego nie było mowy o jakimkolwiek hotelu, a spod mostu wygarnęliby nas dosyć szybko. Z trudem znalazłem książkę telefoniczną a w niej parę telefonów do kijowskich uczelni. Dzwoniłem po kolei do akademików, aż

usłyszałem upragnioną odpowiedź, że mieszkają tam polscy studenci. Poprosiłem, że w ważnej sprawie muszę z którymś z nich rozmawiać. Po pewnym oczekiwaniu zgłosił się do telefonu nasz rodak. Wyjaśniłem mu nasze kwaterunkowe problemy, opisałem jak wyglądamy i gdzie jesteśmy. Za około 45 minut odnalazł nas – nie mieliśmy już żadnych kwaterunkowych problemów.

Pierwszą noc waletowaliśmy w jego akademiku a następne dwie noce u jego przyjaciół w wygodnym luksusowym apartamencie z oddzielnym pokojem do naszej dyspozycji. Mieliśmy przesympatycznych gospodarzy, ona była tancerką rewii na lodzie z występami w kraju i za granicą – tacy wybrańcy losu mogli pozwolić sobie na luksus. Goszcząc u tych miłych ludzi nikomu nie przyszło do głowy, aby „wyrównywać” jakieś polsko ukraińskie porachunki. Nawet posąg Chmielnickiego zadumał się nad efektami działań swojego pierwowzoru. Patrzył na tych swoich braci, polskich studentów studiujących w Kijowie, którzy przemycali zakazane w Sojuszu ukraińskie czasopisma i książki. Spiał konia, jakby chciał podążyć za tymi z nich, których przyłapano na przemycaniu „bibuły” i odesłano do Polski.

Zwiedzając różne miejsca spotkaliśmy na Kreszczatniku oficjalną wycieczkę grupy polskich studentów z Leningradu, po południu tego dnia mieli odlatywać. Nasz pobyt też dobiegał końca. Uświadomiliśmy sobie, że pociągiem, na który mogliśmy kupić bilety okazując rosyjską legitymację studencką, nie zdążymy na czas. Została tylko jedna możliwość, bezpośredni lot do Leningradu. Jednak w tym przypadku nie honorowano legitymacji studenckich, trzeba było mieć ich dowód osobisty lub paszport z pozwoleniem na podróż.

Następnego dnia rano docisnęliśmy się do kasy Aeroflotu informując, że zgubiliśmy się z wycieczki polskich studentów, którzy poprzedniego dnia odlecieli do Leningradu. Poprosiłem o darmowe bilety twierdząc, że mieliśmy opłaconą podróż powrotną. Oburzenie bileterki nie miało granic: *Jak to tak, włóczyliście się gdzieś, upiliście się, teraz chcecie za darmo lecieć – a w ogóle, to nie ma miejsc na najbliższe loty!* W odpowiedzi wyjaśniłem bileterce, że wygasło nam już nasze zbiorowe pozwolenie na pobyt w Kijowie, że musimy jak najszybciej odlecieć do Leningradu. Kończąc wyjaśnienia dodałem, że nie wiem czy starczy nam pieniędzy na nowe bilety, wówczas Aeroflot będzie musiał coś z nami zrobić.

W czasie, gdy mozolnie i długo liczyłem pieniądze bileterka coś sprawdzała, może fakt pobytu jakiejś wycieczki z Leningradu. Stwierdzając, że starczy nam na bilety, spytałem, czy jednak nie można dostać darmowych biletów. Obezwiała nas od nachalów i bałaganiarzy, powiedziała, że tylko w drodze wyjątku sprzeda nam bilety na najbliższy lot, nawet nie poprosiła o okazanie dokumentów – o to nam w końcu chodziło.

Innym dalekim wyjazdem był wyjazd w okolice **Stawropola**. Mieszkał tam stryjek Franek, który po przejściu na emeryturę sprzedał domek w Iwdielu i kupił inny w cieplejszych stronach. Dla mnie i Krystyny wyrobił oficjalne zaproszenie. Bez napięcia towarzyszącego nielegalnym podróżom lecieliśmy samolotem a ze Stawropola dojechaliśmy autobusem do wsi „Pelagiada”, gdzie mieszkał stryjek. Mieszkała tam też siostrzenica stryjka, jej matka (moja ciocia) przebywała w Magadanie. Nie była w Magadanie na zesłaniu, tam lepiej płacili, ale ich około dziesięcioletnia córka była u „dziadków”, ponieważ Magadan miał bardzo paskudny klimat. Fajny to był dzieciak, wyobrażałem sobie, że gdybym kiedykolwiek miał córkę, będzie do niej podobna, nic jednak z córek nie wyszło.

Zaraz za domkiem stryjka był jar – długi i głęboki wawóz na płaskim terenie. Patrzyłem na to dziwo natury i zastanawiałem się, jak bohaterzy sienkiewiczowskich powieści mogli ukrywać się w jarach. Schodzące ostro do dołu ściany były gęsto porośnięte krzakami, musieli chyba wycinać ścieżki dla koni, i tylko konie mogły wyjść z takiego jaru. Żaden, nawet najlepszy pojazd wojskowy, nie wy dostałby się bez wyciągarki. Najciekawszą była jednak sama miejscowość. Z zabudowy wyglądała jak nasza wieś, może jednak był to kolchoz lub coś innego – nie wiem. W każdym bądź razie całość prezentowała się nadspodziewanie dobrze.

Ze względu na legalną wizytę, stryjek zorganizował oficjalne przyjęcie na które przyszli sąsiedzi i „naczalstwo”. Nie wiem, czy on sam wszystko opłacał? Obok nas siedział wysoki chudy dryblas, z urody wyglądający na mieszankę Kozaka i Kazacha, ochrzciliśmy go z Krystyną „dziadek Kazach”. Na początku najbardziej rozmownym był jakiś przewodniczący, mężczyzna w sile wieku, pod krawatem, widać otrząskany w konwersacjach z różnego rodzaju gośćmi. W miarę jak przyjęcie „nabierało mocy” całe towarzystwo, zupełnie tak jak u nas, ożywiło się i rozgadało. W przypadku takiego spotkania w pewnym momencie rozmowa zawsze schodzi na temat „kto jest kto”. Szczególnie po tym, gdy Krystyna pokazała klasę w tańcach pod jakąś muzykę ludową.

„Jak to tak” – Polka, a tańczy jakby od dziecka uczyła się naszych tańców? Wszyscy po kolei włączali się do tańca z Krystyną a ja dumny odpowiadałem na pełne zachwyty toasty. Na moje pytania, czy są Rosjanami czy Ukraińcami, zgodnie odpowiadali: my jesteśmy Stawropolanie. Nigdy nie słyszałem o takiej narodowości, ale byli uparci w swoich deklaracjach. Jedynie ich krajan, Gorbaczow, gdy stał się sławny – podawał się za Rosjanina.

„Dziadek Kazach”, po odtąnczeniu paru kawałków, padł na krzesło i zawołał: *Ej Poljaki Poljaki, jaki to dziwny naród z was*, a dobrze mu się już z tej jego siwej czupryny kurzyło: *Kiedy żeśmy szli na Polskę, okrążyliśmy Lwów, a Poljaki ot tak* (pokazał rękoma jakby beczkę obejmował) *okrążyli nas, ledwo żeśmy uciekli – a wy nasze tańce tańczujecie...* Podniósł szklanekę – *A kiedy uciekaliśmy...* Coś jeszcze chciał powiedzieć, ale zobaczyłem jak nim parę razy wstrząsnęło – nawet szkło zachwiało się na stole. To siedzący po przeciwnej stronie przewodniczący zaserwował mu parę potężnych kopniaków. *Wot wojna, wojna* dziadzio zmienił temat – *Ale do Berlina doszliśmy!* i jednym łykiem opróżnił szklanekę.

Przez te parę dni pobytu chodziliśmy z przyjęcia na przyjęcie. Jeżeli codziennie mieli tyle jedzenia, to naprawdę żyło się im dobrze. O stryjka nie martwiłem się, w dalszym ciągu hodował króliki, drób i coś jeszcze. Po paru dniach pożegnaliśmy się serdecznie, najczulej z moją małą siostrzyczką, i chyba już nigdy nie zobaczymy się. Stryjek zmarł w parę lat później, gdy byłem już w Polsce. Kim oni byli, ci poznani Stawropolanie?, do dziś nie wiem. Może większość z nich, tak jak mój stryjek, różnych narodowości, z różnych zakątków sowieckiego kotła i krajów, które grabiła sowiecka łapa?

Z tych wszystkich sowieckich republik, niewątpliwie Rosjanom żyło się najciężej. Władza Rad nie oszczędzała nikogo, ale nie Rosjanie mieli psychiczny wentyl – wszystko co złe, to nie nasze. Może w skrytości ducha myśleli – przetrzymamy, uwolnimy się – niezależnie od tego, jak mało realną wydawała się taka możliwość. Rosjanie nie mieli nikogo nad sobą, aby uwalniać się, chyba, że od systemu, w co jednak nikt nie wierzył.

Już po studiach w czasie jednych z odwiedzin w [Gatczyń](#) koło Leningradu spotkałem się u Edka [syna cici Zofii] z jego znajomymi. Edek pracował w redakcji lokalnej gazety a grono jego znajomych stanowili wykształceni ludzie ze skłonnościami do pisania – miejscowa elita intelektualna – tak można by było ich określić. Po zdławieniu „Praskiej Wiosny” wszyscy ciekawi byli, jaka jest moja opinia na ten temat. Nie mieli złudzeń, że w ich „Gatczyńskiej Prawdzie”, lub w moskiewskiej „Prawdzie”, jest chociażby jakakolwiek częśćka prawdy.

Zdławienie Praskiej Wiosny było dla nich wstrząsem. Nigdy wcześniej nie słyszałem od żadnego z Rosjan: *Jak wy Polacy, Czesi, i inni, musicie nienawidzić Rosjan*. Myślę, że w tym czasie wielu Rosjan zaczęło dochodzić do takiego wniosku. Po raz pierwszy głównym tematem rozmowy stały się tego typu drażliwe tematy. Po raz pierwszy wypowiadali się też krytycznie o sowieckiej ideologii, „osiągnięciach” i o poziomie życia. Byli szczerzy, chociaż niektórzy mieli wiele do stracenia, gdyby rozmowa wyszła poza nasze grono. Nie chodziło o sprawy materialne lub ich poziom życia, co po upadku systemu wydaje się być głównym problemem zaprzatającym głowy milionów dawnych lokatorów „socjalistycznej wspólnoty”.

Żyli na dobrym poziomie, co jest zawsze czymś bardzo względnym: jeżeli większość jeździ autobusami, wówczas posiadacz najmniejszego samochodu jest bogaczem. Tematem rozmowy była przytłaczająca świadomość skostnienia i nienaruszalności systemu, wręcz perspektywa jego wieczności i rozlewania się na coraz to nowe obszary. To wyznanie „*Jak wy musicie nienawidzić*” oddawało istotę ich nastrojów, jednocześnie potwierdzało bezsilność moich rozmówców: *Nic, absolutnie nic nie można zmienić, ten system jest tak zbudowany, że przemiele wszelką opozycję i nikt tego nie zauważy. Niezależnie, na jakim stanowisku będzie znajdował się człowiek, zawsze musi iść tak, jak go system kieruje, czy chce tego, czy nie chce, czy jest za czy przeciw, jedynym innym wyjściem jest samozagłada.*

Wszyscy byli członkami partii, bo w ZSRR każdy człowiek na stanowisku musiał być członkiem partii. Nauczani byli tej przynależności i posłuszeństwa już od przedszkola: *Jeżeli jutro każą mi pójść na wiec jakiejś załogi i potępić czechosłowackich kontrrewolucjonistów, to pójdę i potępię, chociaż rzygać mi się chce*, powiedział jeden z rozmówców. Ponure było to spotkanie, ponure myśli i wizja świata, oddawanego kawałek po kawałku pod władanie komunizmu. [A jak ocenimy totalitarny globalizm?].

Czytali „samizdaty” (krążące nie cenzurowane pisemka) oraz przemycane a także przepisywane książki Solżenicyna. Wiedzieli jak ułomnym jest życie gospodarcze i społeczne. Zdawali sobie sprawę, że cała otaczająca ich rzeczywistość z jej codziennymi rytuałami jest odrażająca. Była to jakaś maź, z której nie mieli nadziei kiedykolwiek wybrnąć. Myślę, że w tym czasie w ZSRR wiele osób zaczęło odczuwać istnienie tej beznadziejnej mazi. Mimo braku wiary w jakiegokolwiek zmiany uświadomienie istnienia tej mazi przygotowało grunt, na którym wyrósł Gorbaczow. Nie wojna w Korei, Wietnamie lub w Afganistanie, ale Węgry, Polska i Czechosłowacja, pomimo etykietek prowokacji organizowanych przez „kontrrewolucyjne elementy”, podważyły wmawianą Rosjanom wiarę w świetlaną przyszłość światowego komunizmu i w sens ich wyrzeczeń. Większość uczestników tej ponurej rozmowy znałem już wcześniej, jednak po raz pierwszy poznałem ich skrywane myśli.

Przez cały okres studiów w Leningradzie bywałem w Gacznynie wiele razy, poznałem tą miejscinę. Piękny park ze szpecącymi go gipsowymi posązkami jakichś sportowców i innych twórców socrealistycznej wyobraźni. Dom kultury, „zakusocznyje”, pałac i cerkiew, koło której tylko na Wielkanoc widać było grupki ludzi... Taka mała prowincjonalna miejscina z resztkami carskiej okazałości. Przez długie lata brat mieszkał w „chruszczowskiej stodole”. Był to długi piętrowy barak z pokojami po obu stronach wspólnego korytarza, z jedną wspólną kuchnią i ubikacją o powierzchni około jednego metra kwadratowego. Ani wanny, ani prysznic nie było, trzeba było chodzić do „bani” (łaźni publicznej). Jako samotny miał jeden pokój, rodzina z dziećmi mogła mieć dwa pokoje. W kuchni był zlew i lada na której stały „kierasinki” (kuchenki naftowe) mieszkańców „stodoły”. Tego typu mieszkania miały jakoby przyzwyczajać ludzi do życia w kolektywie i tworzyć modelowych „radzieckich ludzi” – jedną wielką proletariacką rodzinę. Coś w tym było, współżyli w miarę zgodnie, a przy braku jakiegokolwiek innych mieszkań, byli nawet zadowoleni.

Nasuwa się tu refleksja, jakże względna jest ocena warunków materialnego bytowania. Jak odniesienie do średniej zadowala ludzkie potrzeby i czyni ludzi zadowolonymi. Ludzie ci żyli normalnie – tak jak mieszkańcy „falowców” w Gdańsku, jak mieszkańcy osiedla domków jednorodzinnych w sercu stanu New Jersey w USA, jak mieszkańcy ekskluzywnych osiedli najbogatszych na świecie ludzi. Gdzie jest ułuda poczucia szczęścia lub przynajmniej satysfakcji w życiu? Zdefiniowanie, a nawet odczucie szczęścia, jest bardzo trudne. Szczęście potrzebuje nieszczęścia, aby mieć jakieś wymierne znaczenie. Szczęście jest pojęciem nadużywanym lub sptycanym do poziomu czegoś bez znaczenia. Pomiędzy szczęściem a nieszczęściem leży codzienna „zwyczajność” lub „normalność” nabierająca uroku szczęścia, gdy jej zabraknie. Taka codzienna „zwyczajność” ma też cechy wina – jest tym lepsza, im więcej czasu „leżakowała” w naszej pamięci.

Wspominając spotkania z bratem wiem, że byliśmy „normalni”. Prowadziliśmy rozmowy na głupie i poważne tematy, spacerowaliśmy pośród gipsowych posążków w starym parku lub wpadaliśmy na szaszłyk do jakiejś knajpki. Właśnie taka „normalność” jest najpowszechniejszą formą szczęśliwego codziennego życia, bez wielkich trosk wewnętrznych lub zewnętrznych zagrożeń. Karmiliśmy też naszą „normalność” kartoflami smażonymi na „kierasince”, odwiedzinami u jego znajomych i wypadami na „balnye tańce” do domu kultury. Przybysz z innego świata dziwiłby się, jak można żyć „normalnym” mieszkając w „chruszczowskiej stodole” i jedząc kartofle smażone na „kierasince”. Jestem świadkiem, że można. Wydaje się mi, że ciągle pogoń za coraz bardziej ekskluzywnym życiem jest wątpliwą metodą poszukiwania szczęścia.

Skromnie tam ludzie żyli, ale żyli normalnie, właściwie tak jak my żyliśmy w Polsce. W niektórych rodzinach codzienną troską było zabezpieczenie jedzenia. Zaprowadził mnie kiedyś brat do domu jednego ze swoich starych znajomych. Zastaliśmy matkę tego znajomego, jego nie było. Gdy dowiedziała się, że jestem z Polski, poprosiła, abyśmy usiedli i poczekali. Szybko podała „czajok”: *Czym ja was poczęstuję, mam tylko jajeczka, nie wypada mi nawet proponować tego?* Tyle było w niej szczerzej chęci poczęstowania gościa z Polski, że gdybym nawet nie znośił jajek nigdy bym jej nie odmówił.

Starsi ludzie, tak jak matka tego znajomego, ciągle uprawiali działeczki, hodowali kury, itp., a młodzież, tak jak wszędzie, lubiła towarzystwo i zabawy. Kiedyś zgubiłem się z Edkiem na „balnych tańcach” (polski mazur był na porządku dziennym) i w nocy wracałem sam do jego „stodoły”. Chłopisko ze dwa metry zastąpiło mi drogę, zażądało papierosa. Przy tej dysproporcji wzrostu i wagi, gdy zazwyczaj takie żądanie jest zaczepką do walnięcia po głowie, nie miałem żadnych szans – w dodatku, wtedy jeszcze nie paliłem. Pomimo, że żadnego muru za plecami nie było, czułem się przyparty do muru, powiedziałem po polsku: *„Odpierdol się”*. Ton odpowiedzi i nieznane słowo zdziwiło go: *„A ty kto”* spytał, *„Poljak”*, potwierdziłem. *„Nu, w poriadkie”* burknął, *„A zresztą mam jeszcze papierosy, może zapalisz?”*.

Miał na imię Artur, odprowadził mnie do „stodoły” brata. W 1956 roku był czołgistą w rosyjskim garnizonie w Polsce... Gdy wyruszyli na Warszawę gdzieś po drodze szwankujący czołg odłączył się od kolumny, a „kriestianie” podpalili go „bienzynom”. Poparzony uciekł w zagajniki. Jakaś „babuszka” znalazła go i zabrała do domu, kurowała jego rany. Nie wiedział, co stało się z jego „drugami”, a też gdzie zdążali i z jakimi „faszystami” mieli walczyć. Gdy wydobrzeał z duszą na ramieniu dał się wyprowadzić spod opieki „babuszki”. Dostarczyli go do władz sowieckich, też z duszą na ramieniu, ponieważ mogli uznać go za dezertera.

Tak, ta polska „babuszka” niewątpliwie uratowała mnie od mordobicia, chociaż zazwyczaj „tubylcy”, jeżeli wiedzieli, że jestem Polakiem, nie byli agresywni. Był wstawiony, z rozrzewnieniem wspominał słowa „babci”: *„Ty soldacik, młody soldacik, jak mój syn, co ty winny jesteś. Chyba, gdyby nie ta babuszka, kriestianie ubiliby mnie”* – zaznaczył. Takie były jego wspomnienia sprowokowane spotkaniem Polaka. Ale, gdyby spotkał swojego rodaka, wówczas na pewno wycisnąłby z niego ostatnie „cigaretki” i mordę nabił. Przy jego posturze tylko Gołota miałby z nim szansę. Był on jednym z tych nocnych włóczęgów, zatraconą duszą, która po sobotnim pijaństwie błąka się i szuka zaczepki – „i płocho i grusno i nie komu mordę nabić”.

Tak jak wszędzie byli tam drobni i więksi bandyci, byli złodzieje (znane z ballad „Odiesskije wory”), święci i prostytutki – ale w większości normalni ludzie – tak jak wszędzie. Od czasu do czasu trafiało się jednak na „nienormalnych”. Pewnego razu późną porą dwóch dobrze wstawionych chciało mnie wyrzucić z pociągu elektrycznego na trasie Gacznyna – Leningrad. Na szczęście byli już porządnie zachwiani, udało się mi jednego z nich ściąć z nóg kopnięciem w splot słoneczny. Jego kolega zaczął go cucić, a ja uciekłem na drugi koniec pociągu.

Inny „przypadek” wydarzył się, gdy późną porą wracałem z akademika Krystyny do stacji metra „Kirowskij Zawod”. Przechodząc przez park, w alejce pomiędzy żywopłotem a sadzawką, dwóch facetów zażądało papierosów. Już paliłem, miałem to śmierdzidło w kieszeni, ale nie przyznałem się. Jeden z nich był wyjątkowo agresywny, a obydwaj dobrze wstawieni. Robiło się mi nieprzyjemnie na myśl o kąpieli w dopiero co zamarzającej sadzawce, cofając się mówiłem: „nie podchodzi”. Czując żywopłot na plecach, z krótkiego rozbiegu, wałnąłem jednego z nich nogą, nie trafiłem jednak w splot słoneczny. Uciekając zauważyłem jak go kumpel podniósł, puścili się za mną obydwaj. Gonili mnie naokoło „Komsomolskiej Płoszczadi”. Gdy otworzyła się droga do metra, uciekałem w kierunku zbawczego „milicjoniera” dyżurującego na każdej stacji. Przy metrze było więcej ludzi, ponieważ uciekałem szparko, goniący mnie zaczęli krzyczeć *Bandyta, bandyta, zatrzymajcie go*.

Skacząc jak zając na boki wymijałem zdezorientowanych ludzi, niektórzy podstawiali nogi, ale bali się łapać, bo jeżeli „bandyta”, to nożem może dźgnąć. Dopiero na schodach jakiś „drużynnik” (ich ormowiec) skutecznie podstawił mi nogę. Jednak rozpędem – prawie że na czworakach – wspiałem się na szczyt schodów. Stamtąd było już tylko parę susów do zbawczego milicjanta. Za mną wpadł ormowiec i dwóch podpitych „chartów”. Meldowali, że napadłem na nich w parku. Młokosowaty milicjant nastroszył się na mnie, a ja mu tłumaczyłem: *Ich dwóch pijanych, a ja jeden trzeźwy – łgają jak najęci – to oni na mnie napadli*. Na to ten kopnięty (niestety niezbyt skutecznie) wyciągnął legitymację przewodniczącego Komsomołu Zakładów im. Kirowa, olbrzymiej firmy, z którą wszyscy się liczyli: *Komu ty uwierzysz, spytał milicjanta? Na szczęście miałem przy sobie polski paszport Wierzysz mi, czy nie wierzysz, zadzwoń do przedstawiciela ambasady, ponieważ inaczej będzie międzynarodowy skandal*.

Milicjancik zupełnie zgłupiał, na pewno w duszy wierzył dla mnie, ale z przewodniczącym Komsomołu zakładów Kirowa nie można było zadzierać. Powstała patową sytuację rozwiązał w końcu ormowiec, powiedział do milicjanta: *Spisz wszystko z paszportu, niech jedzie, a my tu na parę minut zatrzymamy towarzyszy z zakładów Kirowa, aby zdążył odjechać metrem – sprawę można wyjaśnić jutro*. Nie było żadnych wyjaśnień, niewątpliwie, na drugi dzień komsomolcy leczyli bardzo ciężkiego kaca.

Wydarzenie to było dla mnie swego rodzaju szokiem. Nie chuligański napad, ale sposób w jaki oni kłamali, bez zająknięcia i bez zmrużenia oczu. Nigdy wcześniej nie spotkałem takich specjalistów w kłamaniu pomimo, że kłamstwo jest czymś bardzo pospolitym. Pod tym względem my Polacy jesteśmy trochę inni, nie potrafimy tak przekonywająco kłamać. Nasze wychowanie i poczucie honoru przeszkadza nam w tym, i dobrze nam tak. Dopiero w USA natknąłem się na prawdziwych mistrzów w kłamaniu, szczególnie w sądach – nawet sekretarz Komsomołu zakładów Kirowa otworzyłby gębę z podziwu. Nie są to puste słowa, cały świat podziwiał prezydenta Clintona, gdy wymachiwał wskazującym paluszkim, którym wcześniej doprowadzał do orgazmu Monikę, i mówił: *Nie miałem z tą kobietą żadnych stosunków seksualnych...*

Aby wymienić wszystkie bandyckie zaczepki, jakie przydarzyły się mi w Leningradzie, dodam jeszcze jedną, zupełnie nietypową, kiedy sam wygląd łepetyny zapobiegł szarpaninie. Strzygliśmy się przeważnie sami, ktoś nawet maszynkę do strzyżenia kupił, a Janek Waszczuk był niedoścignionym mistrzem. Miałem kłopoty z włosami, po każdym myciu głowy przetłuszczały się w zastraszającym tempie. Doszło do tego, że aby przyzwoicie wyglądać, trzeba by było myć włosy codziennie. Sam sobie byłem winny, ponieważ w ogólniaku często na noc moczyłem włosy, aby układały się do góry. Im więcej wysuszającej wody, tym więcej tłuszczu wydzielala skóra. Im częściej myłem szamponem, tym częściej musiałem myć głowę. W ten sposób doszło do uciążliwego stanu błyskawicznego przetłuszczania się włosów.

Z czasem poznałem sposób wyleczenia tej uciążliwej dolegliwości. Obsypuje się łepetynę mąką kartoflaną lub talkiem (bardzo dobry był też „suchy szampon”). Po wtarciu proszku wyczesuje się go a resztę przylepioną do włosów wyciera się suchym ręcznikiem wykonując przy tej okazji ożywczy masaż. Bardzo ważne w tej kuracji jest też coraz rzadsze mycie głowy – tylko i wyłącznie w miarę gorącą wodą (szampon raz na cztery mycia).

Nie znając jeszcze wtedy tego sposobu spytałem kolegów: *Który przeleci moją głowę maszynką na zero.* Po wyjaśnieniu moich motywów koledzy z pokoju zdecydowali się pójść w moje ślady. Nawet nasz sąsiad zza ściany, gdy zobaczył co wyprawiamy, dołączył swoją łepetynę do naszych eksperymentów. Okazało się, że wszyscy martwili się o tą najwyżej położoną ozdobę męskości. Bawiliśmy się na całego, ze zdjęciami poszczególnych etapów odkrywania nagiej prawdy naszych czaszek.

Na drugi dzień podczas obiadu wpadła Krystyna. Gdy weszła do naszego pokoju zobaczyła pięć łysych głów pochylających się nad miskami z zupą – omal nie zemdląła: *O rany, jak wy wyglądacie!*. Aby udobruchać ją zaproponowaliśmy zupę. Chyba tylko dlatego, że zupa była dobra, nie opuściła pośpiesznie naszego towarzystwa. Po obiedzie zawiązaliśmy jej oczy a po drugiej stronie stołu wystawiliśmy czubki naszych ogolonych głów. Jako sprawdzian uczuć musiała bezbłędnie wymacać moją głowę. Udało się jej to, nie było żadnej lipy, nie mam pojęcia, jak to zrobiła?

Gdy pojawialiśmy się w miejscach publicznych zapadało milczenie, wszyscy ukradkiem oglądali nas. Na uczelni po pierwszym szoku nazwano nas żartobliwie „bandą britogałowych” (ogolonych). Nie było w tym nic złośliwego, był nawet jakiś film pod tym tytułem. W innych miejscach traktowano nas bardzo poważnie. W tym czasie tylko świeżo wypuszczeni z więzienia przestępcy mieli ogolone głowy. Wracając kiedyś późno do akademika w ciemnym miejscu zaczął mnie jakiś młokos z oczami pełnymi złych intencji. Lewą ręką zdjąłem „kierpkę” z daszkiem a prawą włożyłem do kieszeni: *Za jednego ogolili, drugiego też nie pozaluję*, powiedziałem. Gdy tylko spostrzegł moje lekko odrastające włosy natychmiast odskoczył i oglądając się za siebie pośpiesznie znikł za najbliższym rogiem.

Cztery lata w Leningradzie, cztery takie osobiście przeżyte potencjalnie niebezpieczne sytuacje. Przez dwie dekady pobytu w USA miałem tylko jedną tego typu „dwuznaczną” przygodę. Było to podczas pierwszego roku pobytu. Nie miałem jeszcze samochodu, poruszałem się korzystając z komunikacji publicznej. Wracałem kiedyś kolejką [PATH](#) z Manhattanu do Jersey City. Ze stacji Journal Square w okolicy Medical Center, gdzie mieszkalem, nie było daleko, ale ze względu na późną porę czekałem na autobus – bezskutecznie. Będąc na jasno oświetlonym peronie stałem w towarzystwie paru innych osób. Gdy decydując się na spacer wyszedłem spod lamp na ciemną przecinłę w kierunku Sip Avenue, zastąpiło mi drogę dwóch osobników. Oprócz białych zębów i białych tenisówek niewiele widziałem w tym mroku. Zaproponowali mi, owszem nawet grzecznie, abym wsparł ich, bo nie mają na dojazd do Manhattanu.

Jeden z moich znajomych w podobnej sytuacji szybko oddał portfel. Tłumaczył później, że nie mógł znieść zdenerwowania petenta, który był chyba nowicjuszem i po raz pierwszy prosił o „zasilek”. Ręka z nożem tak biedakowi drżała, że ostrze noża oparte na znajomego żebrach niemilosiernie go laskotało. Na szczęście moi zagubieni podróżni nie przystawili mi ani noża, ani nie użyli żadnych innych cięższych argumentów uwiarygodniających ich trudną sytuację materialną.

Mając tak uprzejmych petentów sięgnąłem do kieszeni płaszczyka, gdzie miałem drobne. Wiedziałem, że nie mogę wyciągnąć portfela, w którym miałem około trzydziestu dolarów i różne inne niepotrzebne rzeczy. Wyciągnąłem z kieszeni parę „kwodrów” i trochę innej miedzi. Rzucili okiem na tą mizerotę i już mieli wyjaśnić mi, że nie starczy nawet na przejazd dla jednego, gdy wbrew dobrym nocnym obyczajom w tych stronach, błysnąwszy miedziakami, zamknąłem dłoń i w kulawej ale zdecydowanej angielszczyźnie wyjaśniłem, *Mam, ale nie dla was, dla siebie!*. Moja wręcz chamska odzywka tak ich zbulwersowała, że zanim zgorszeni odzyskali mowę, byłem znowu na jasno oświetlonym peronie. Pośpiesznie wyszedłem głównym wyjściem i wybierając jaśniej oświetlone ulice szybko dotarłem do domu.

Z tego mojego krótkiego zestawienia można by było wyciągnąć wniosek, że w porównaniu z Leningradem lat sześćdziesiątych Ameryka lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych była oazą spokoju i bezpieczeństwa. Niewątpliwie było inaczej, statystyki przestępczości oddają palmę pierwszeństwa Ameryce.

Publikatory sowieckie tworzyły obraz prawie zerowej przestępczości. PRL-owskie publikatory, nie mając prawa zbliżenia się do sowieckiego ideału, podążały służalczo tuż za sowieckimi. Jak było naprawdę? Co uległo zmianie? Prawda o wzroście przestępczości w Polsce nie jest tak oczywista, jak wydawałoby się oglądając różne reportaże. Za czasów PRL nie było tematu przestępczości ani w telewizji ani w gazetach. Reporterzy nie uganiaли się za dokumentami zbrodni, aby parujące jeszcze świeżą krwią sprawozdanka przedstawić publiczności. Była cenzura, zamiast rozwalonego faceta trzeba było pokazać jakiegoś przodownika pracy, lub dożynki z pierwszym sekretarzem.

Było to oczywiście jakieś fałszowanie rzeczywistości, na co powołują się dzisiejsi reporterzy broniący się przed zarzutami nadmiaru obrazów zbrodni – mają rację. W PRL wydawało się, że zbrodni praktycznie nie ma. Jedynie od czasu do czasu dla chwały Milicji Obywatelskiej wspomniano o złapanych zbrodniarzach. Gdyby jednak codziennie zbierano z całego kraju reportaże o morderstwach, napadach i makabrycznych wypadkach, wówczas nie byłoby nawet czasu na pokazanie dobranocki dla dzieci. Ta brzydka rzeczywistość istniała i istnieje na całym świecie. Stacje telewizyjne całego świata mogłyby nadawać na okrągło, przez 24 godziny, tylko i wyłącznie informacje oraz obrazy zbrodni. Byłyby to prawdziwe obrazy i informacje, nie jakieś tam hollywoodzkie fatamorgany. Całą winą tej rzeczywistości jest chyba to, że napłodziło się tych ludzików bez liku, w dodatku wymyślili środki masowego przekazu?

Ale jest też inna rzeczywistość, też prawdziwa, postrzegana codziennie w tradycyjny sposób przez każdego z nas. W nocy nikt nas nie zerwał z łóżka, abyśmy pokazali gdzie leżą przezornie schowane dolary. Rano z przyjemnością konstatujemy, że tramwaju jeszcze nikt nie ukraść (z samochodem może być gorzej). Wykonując jakiegokolwiek zajęcia nudzimy się niezmiernie brakiem wpadającego przez okno nieboszczyka, lub przynajmniej brakiem tak upragnionego widoku znieawidzonego szefa ganiającego jak opętany z podejrzanym gardłem. To też jest prawdziwa codzienna rzeczywistość każdego z nas, bez cenzury.

Taką codzienną rzeczywistość przeżywałem w Leningradzie, PRL i w USA. Na morderstwo nigdzie i nigdy nie natknąłem się. Tak, słyszałem o morderstwach od znajomych, którzy też nie byli naoczniymi świadkami, ale znali kogoś, kto był świadkiem. Pomijając gazety, radio i telewizję, ten staroświecki naturalny przekaz o zbrodniach – na gębę – docierał do mnie nie częściej niż raz na parę lat. Zaznaczyłem „na gębę”, co należy rozumieć jako informacje prawie naocznych świadków wymykające się jakiegokolwiek zorganizowanej cenzurze, a nie informacje otrzymywane z publikatorów. Takie jest właśnie nasze szare życie, prawie sto procent zapytanych osób zgodziłoby się ze mną, że w ciągu ostatnich paru lat nie byli naoczniymi świadkami zbrodni. Jedynie jakaś jedna setna jednego procenta stwierdziłaby coś innego. Gdyby nie telewizja, wówczas nic nie zamąciłoby nam tej naszej codziennej nudy życia?

Ideąłem byłyby takie środki masowego przekazu, które odzwierciedlałyby prawdę naszej codziennej rzeczywistości, być może zróżnicowanej lokalnie. W takim „Pipidowie Odległym” redaktorzy z niecierpliwością musieliby czekać na następnego Jaśka Gazera, który lat temu trzydzieści rozciąpał sąsiadowi głowę za odmowę postawienia setki na zakończenie omłotów. W większych miastach i w Warszawie wystarczyłby jeden reportaż na miesiąc. W „Bandytowie Przyległym” tygodniowe reportażyki nie odbiegałyby być może od życiowych doświadczeń jego mieszkańców. Jedynie w dużym więzieniu z najcięższymi kryminalistami należałoby codziennie transmitować przynajmniej po jednym reportażu o zbrodni, aby przestępcy nie zapomnieli za co siedzą.

Różne miernoty dziennikarskie, które oprócz zmasakrowanych zwłok ludzkich nie potrafią niczego innego pokazać i skomentować, zarzucają mi pokrętnie nawoływanie do wprowadzenia cenzury. Ale to nie ja, to nasze codzienne zwyczajne życie wprowadza cenzurę, która nie narusza proporcji „normalności” ani w stronę zbrodni, ani w stronę świętości. To, co dzieje się teraz jest obelżywym traktowaniem całego społeczeństwa. Traktuje się nas wszystkich jak najcięższych kryminalistów odsiadujących przed telewizorami dożywocie za popełnioną „zbrodnię” bycia normalnymi ludźmi.

Z tego punktu widzenia stokrotnie lepsze były przemówienia sekretarzy, ponieważ czasami rozweselali nas powiedzonkami typu: „*Przed wojną staliśmy nad przepaścią, ale dzięki władzy ludowej zrobiliśmy duży krok naprzód*”. Inne miernoty, powołując się na postęp oraz zachodnie demokracje, zarzucają mi kołtunerię i zaściankowość – i dobrze mi z tym będzie, ponieważ tak wyrosłem. Nie przyswajam i nie chcę przyswoić wypaczania mojej codziennej zaściankowości łatwiną spektakli zbrodni: w reportażach, filmach i innych produkcjach. Ograniczam do minimum oglądanie telewizji i nie w smak mi, że gdzieś po sąsiedzku, telewizja nasącza całkiem niewinne dzieciaki znieczulicą i jadem zbrodni.

Gdy byłem w wieku tych dzieci nie mogłem – nawet gdybym chciał – wziąć do gęby papierosa, bo każdy dorosły powiedziałby mi *Zgaś gówniarzu tego peta*. Nawet gdybym miał chętną do migdalenia się koleżankę, to w publicznym miejscu każdy z dorosłych powiedziałby nam: *Co wy tutaj wyprawiacie*. Gdybym deptał kwiaty na klombach – każdy z dorosłych powiedziałby mi: *Złaż z tego klombu*, lub niektórzy wzmocniliby to takim ordynarnym: *Spierdalaj gówniarzu*. Taka „zaściankowość” była prawidłowa i dobra. Żadna milicja lub policja nie mogła i nigdy nie będzie mogła „wychować” społeczeństwo. Społeczeństwo musi samo siebie wychowywać, szczególnie swoich dorastających członków. Poprzez zalew informacji o zbrodniach społeczeństwo jest zastraszone. Pustoszeją ulice i parki, zostaje coraz więcej miejsca dla coraz pewniejszych siebie studentów telewizyjnego uniwersytetu przestępczości.

Znajdą się organizacje i rzecznicy zarzucający mi nawoływanie do bezprawnych działań. Spytają, jakie prawo ma jeden obywatel do zwracania uwagi na niewłaściwość postępowania innego obywatela – nawet podrostrka? Rzeczywiście, nie słyszałem o takim PISANYM prawie. Chyba w żadnym kraju takiego pisanego prawa nie ma i nigdy nie było? Ale takie NIEPISANE PRAWO było i działało. Nie ma żadnej konieczności formalizowania go, wystarczy, abyśmy o nim pamiętali i stosowali je codziennie. Mogą być przypadki nadużyć, ale nie będzie ich więcej niż nadużyć popełnianych przez urzędowych stróżów prawa. Będą przypadki, kiedy interweniujący będą poszkodowani, poniosą jakieś straty lub doznają urazów – ale dla dobra całości społeczeństwa trzeba mieć odwagę podejmowania takiego ryzyka i poświęcenia. Bez tego będziemy staczali się na dno życia pośród zdziczałych band różnej maści grasujących poza zamienionymi na twierdze mieszkaniami.

W USA do takich „twierdz” należały jeszcze samochody. Bez wychodzenia z samochodu, z zamkniętymi drzwiami i oknami, można było przejechać przez najgorsze dzielnice. Chyba dlatego od czasu kupna pierwszego samochodu nie przydarzyły się mi następne nieprzyjemne przypadki – szczególnie, że samochody jakie „ujeżdżałem” nie należały do atrakcyjnych. Z atrakcyjnymi samochodami bywa gorzej, można nie tylko samochód, ale nawet głowę stracić. Jednak pomimo wysokich statystyk przestępczości, doświadczenie codziennego życia w USA absolutnie nie pasuje do jego obrazu przedstawianego w reportażach telewizyjnych. Każde wiadomości zaczynają się serią reportaży o morderstwach, gwałtach i makabrycznych wypadkach. Jest to największy blok wszelkich wiadomości. Czasami tylko skandaliki z „wyższych sfer” uszczkną trochę czasu rutynowo przeznaczanego na te krwawe jatki.

Do telewizji doszedł jeszcze Internet. Nie konkuruje on z telewizją w bandyckich aktualnościach, ale ciesząc się wolnością w pewnym zakresie zamienił się w forum ekspresji zbrojeńców, ekshibicjonistów i paranoików. Ta komercyjna reszta i użyteczne informacje to za mało, aby bez nadzoru udostępniać internet dzieciom i młodzieży. Także niektórych dorosłych może ta wirtualna paranoja wyssać z normalnego życia.

Po latach ignorowania ostrzeżeń środowisk konserwatywnych Ameryka zdaje się już dostrzegać destrukcyjny wpływ nasycenia publikatorów przemocą, seksem i zbrodniami. Działania w tym kierunku są spóźnione, jest ich zbyt mało. Wręcz kuriozalną ciekawostką są pojawiające się od czasu do czasu wstawki programowe zatytułowane: „Dobre wiadomości”, potwierdzające jedynie, że cała reszta jest spektaklem przemocy i zbrodni.

My nie powinniśmy ślepo naśladować tego, od czego inni nie wiedzą jak uciec, mamy przesłanki do optymizmu. Pomimo oskarżeń o ciemnogród i szarżowanie „wolnością wypowiedzi” różne inicjatywy społeczne rozpoczęły walkę z promowaniem przemocy i pornografii. Byłoby też dobrze, aby liczne pochody oraz demonstracje, nawet prowadzone w najbardziej słusznych sprawach, nie zamieniały się w burdy z paleniem opon, niszczeniem budynków i otoczenia. Aby demonstrujący nie zamieniali się w porywaczy biorących jako zakładników postronnych ludzi, grożąc wyrządzeniem im krzywdy w przypadku, gdy żądania porywaczy nie zostaną spełnione (wszelkie blokady itp.).

Burdy i inne „kwiatki”, jak obrzucanie petardami, jajkami, oraz stadionowe mordobicia, powinny powodować natychmiastowe przerywanie transmisji, także zakaz retransmisji tego typu wydarzeń lub imprez. Aktorzy obcych naszemu duchowi spektakli straciliby widownię, o której względy tak bardzo zabiegają. Zakaz powinien obejmować wszystkie publikatory, a złamanie zakazu powinno być karane co najmniej surowymi grzywnami – dopuszczalnym byłoby tylko podanie numeru ustawy o zapobieganiu burdom i naruszaniu zasad porządku publicznego.

Oprócz promocyjnego oddziaływania publikatorów siłą napędową przestępczości są wszelkie uzależnienia jak narkotyki, alkoholizm i zdeformowany pornografią popęd seksualny. Amerykańskie smutne statystyki ujawniają, że na dziesięć dorosłych osób osiem osób przynajmniej raz w życiu zażywało narkotyki (włączając prezydentów Clintona i Busha). Nikt nie może mieć pewności, czy spotkany policjant nie jest oszołomiony kokainą, czy pilot samolotu nie strzelił sobie „crack’a”, czy rozanielony lekarz przystępujący do operacji nie wypalił przed chwilą skręta z marihuany.

W USA (nie tylko) do problemów „bezkształtnej” przestępczości dochodzą przestępstwa na tle etnicznym, rasowym, oraz przeciwko zbrodnicom – nazywa się takie przestępstwa „przestępstwami nienawiści” ([hate crime](#)). Niektóre typy tych przestępstw są tuszowane, a innym poświęca się nieproporcjonalnie więcej czasu, niż najszerzej grupie przestępstw wyrastających z promocji przemocy i uzależnień. Niekiedy można odnieść wrażenie, że tylko przestępstwo, którego ofiarą pada homoseksualista lub Żyd, jest prawdziwym przestępstwem.

Na początku pobytu w ZSRR nie wyczuwało się istnienia przestępczości na tle etnicznym i rasowym, chociaż na pewno taka przestępczość istniała. Propaganda internacjonalizmu i szczęśliwego „narodu radzieckiego” skrzętnie ukrywała tego typu wstydlive przypadki. To, co spotykaliśmy w codziennych kontaktach, istniało w formie opinii jednych sowieckich poddanych o innych. Negatywne opinie najczęściej dotyczyły Rosjan – utożsamianych z sowiecką władzą. Jednak dopiero po bliższym poznaniu się niektórzy nie-Rosjanie jawnie demonstrowali uczucia nienawiści do Rosjan.

Dzięki temu, że nie zrobiono z Polski następnej republiki, nigdy nie zaszliśmy tak daleko, aby sowieckie zło utożsamiać ze zwykłymi Rosjanami. Pomimo lansowanych opinii o naszym szowinizmie i nienawiści do Rosjan (najczęściej dla doraźnych celów politycznych), wyraźnie odróżniamy Rosjan od ich reżymów. Abyśmy teraz nie zaczęli utożsamiać bardzo ruchliwych przestępców rosyjskich (w większości innych nacji podszywających się pod Rosjan), ze zwykłymi Rosjanami, najczęstszymi ofiarami tych przestępców.

Przybywając na studia do Leningradu nie mieliśmy pojęcia, ile tam było wewnętrznych animozji. W trakcie pobytu dowiadaliśmy się o tych różnych zapiekłych antypatiach, czasami na krawędzi nienawiści. Zostały one stworzone przez wielowiekową politykę podboju i ujarzmiania innych narodów. Gdyby nie te podboje i wywołane nimi animozje bylibyśmy jedną wielką rodziną, ponieważ jesteśmy bliscy sobie. Być może staniemy się taką rodziną, jeżeli nowi lokatorzy Kremla zaniechają imperialnej polityki, szantaży i podjudzania własnych obywateli przeciwko sąsiadom? Dobrze się stało, że rozpadł się Związek Sowiecki. Wciąż jednak władcy Rosji, mówiąc o carskich i sowieckich grabieżach, mówią o „Świętej Ziemi Rosyjskiej”. Znaczy to, że jeszcze nie przyszedł czas, abyśmy zapomnieli animozje i zaczęli stawiać się tym, czym powinniśmy być – jedną ludzką rodziną.

Rosjanie są mi bliscy, poznałem ich, lubię ich – także współczuję, że przy całej swojej ludzkiej i terytorialnej wielkości, mają najcięższy żywot. Materialnie przyzwyczajeni są do takiego żywota, wiele mogą znieść. Psychicznie ciągle brakuje im odczucia wyzwolenia się i świadomości decydowania o sobie, jako o samorządnym społeczeństwie. Brakuje im też spojrzenia prawdzie w oczy. Będąc od wieków mięsem armatnim zniewalali inne narody i grabili ich ziemie, czyli robili to samo, co robił Napoleon, Hitler, i inni idąc na Moskwę. Nazywając te krwawe grabieże „Świątą Ziemią Rosyjską”, jakby twierdzili, „Alosza zabrać to dobrze, Alosza oddać to źle”.

Najnowsza „Wieża Babel” jest Unia Europejska, demokracja, w której – jak w „Folwarku Zwierzęcym” – są lepsi i gorsi „demokraci”. Gorszymi demokratami byli Austriacy, bojkotowani za swoje demokratyczne wybory. Gorszymi „demokratami” są Polacy nie wybierający na najwyższe stanowiska opiewanych przez obcych „skarbów narodowych”.

Przebojem nowego tysiąclecia, a przynajmniej XXI wieku, jest „wojna z międzynarodowym terroryzmem” umożliwiająca „zrównanie z ziemią” każdego kraju oskarżonego o „terroryzm” lub o posiadanie „broni masowej zagłady” [[Weapon of mass destruction](#)]. Okazało się, że nawet po „zrównaniu z ziemią” nie zawsze znajdują się „dowody” terroryzmu lub posiadania zakazanej broni, jeżeli ktokolwiek ośmieli się o to pytać?

Być może wkroczyliśmy w okres budowy nowej globalnej „Wieży Babel” lub globalnego totalitaryzmu? Jaką rolę odegra Polska w tym nowym rozdziale historii świata????

MONO

Dziwią mnie parady dumy homoseksualistów, z czego oni mogą być dumni? Dlaczego tak nachalnie narzucają się swoją odmiennością innym! Przecież ta reszta nie dzielająca ich preferencji seksualnych nie organizuje żadnych parad dumy, raczej w domowych zaciszach pracowicie płodzi potomków. Może nie zawsze chodzi o płodzenie potomków, figlują też dla przyjemności, czasami eksperymentują odchodząc od tradycyjnych metod współżycia. Jest to ich prywatna sprawa. Nie potrzebują żadnych parad dumy ani rozgłaszania bardziej lub mniej pikantnych szczegółów swojego intymnego pożycia. Dlaczego jedna z tych dwóch „alternatyw seksualnych” wręcz maniakalnie demonstruje swoje preferencje całemu społeczeństwu?

Podobno parady mają zwalczać uprzedzenia, tworzyć pozytywny wizerunek (image) homoseksualistów oraz integrować ich samych? Jednak, gdy AIDS selektywnie „zintegrował” homoseksualistów, odcięli się od tego fatalnego czynnika integrującego. Użyli swoich wpływów, aby nie nazwano tej choroby GAYids. [Weterani Legionu Amerykańskiego nie mieli „homoseksualnej” „siły przebicia”. Po śmierci 29 legionistów zakażonych podczas konwencji weteranów Legionu Amerykańskiego (Filadelfia 1976) nie tylko chorobę nazwano chorobą legionistów, ale nawet bakterię nazwano [Legionella Pneumophila](#)] Przy stuprocentowej umieralności nie odosobniono chorych na „GAYids”. Między innymi udowodniano, że nie ma możliwości transferu tej choroby od lekarza do pacjenta. Z tego powodu jakiś dentysta wyekspediował na tamten świat paru boga ducha winnych pacjentów. A o ilu innych ofiarach zarażonych przez zawodowe i przypadkowe kontakty nie dowiemy się nigdy?

Zignorowano oraz wyciszono doniesienia prasowe, że niektórzy pederasta przełamali swój wstręt do kobiet aby zarazić prostytutkę, aby GAYids stał się mniej selektywną chorobą. [Czy tylko prostytutki? Jak doniosła Gazeta Wyborcza Nr. 30.331 z dn. 5-6 lutego 2000 amerykański reporter internetowego czasopisma „Salon“, homoseksualista Don Savage, próbował zarazić jakoby „grypą” niezależnego kandydata na prezydenta USA Gary Bauera znanego z tzw. „katolickiego fundamentalizmu” – inaczej, krytyka homoseksualizmu. W tym celu Savage zatrudnił się jako wolontariusz w sztabie wyborczym Bauera. Opluwał szklanki, kłamki, długopisy i inne przedmioty z którymi miał styczność Bauer. Nawet, jeżeli była to tylko „grypa”, świadczy to o paranoicznej psychice co najmniej tego homoseksualisty: [Savage-Bauer](#)].

W dalszym ciągu rozpowszechnia się bzdury, że przy stosunku płciowym prezerwatywy chronią przed zarażeniem wirusem, itp., itp. Ta homoseksualna część Wieży Babel wyrosła do takich rozmiarów, że transmisje nadawane z jej szczytu docierają do Polski. Przy naszej tradycyjnej „kołtunerii” na pewno wystąpią duże zakłócenia w odbiorze. Najlepiej jednak, aby nasi co aktywniejsi homoseksualiści nie starali się naśladować obcych wzorców, aby dogadzali sobie dyskretnie, bez parad.

Bywając czasami w rejonach baletowych spotykałem tych ludzi. Panuje ogólna opinia, że są mili, uprzejmi i uczynni, ale to nie upoważnia ich do nachalnego rozgłaszania swoich seksualnych upodobań. Tak czy inaczej w różnych sytuacjach widoczni są jak na dłoni – i nikt ich nie znieważa. Jedząc kiedyś obiad w stołówce Teatru Wielkiego siedziałem z trzema na pierwszy rzut oka mężczyznami. Jednego wołali Stasia, a drugiego Grażynka. Rozprawiali z tym trzecim o jakimś biwaku, podczas którego nie mający humoru do igraszek partner, „złamał nóżeczkę za karę”.

“Grażynka” był/była zupełnym fenomenem. Kończąc obiad tylko przez prowincjonalną grzeczność nie przecierałem oczu ze zdumienia. Ten wydawałoby się początkowo chłopak w ruchach, gestach i głosie przeistoczył się w kobietę – trudno było wierzyć własnym oczom? I nic się nie stało, mimo mojego zdziwienia nie powiedziałem marnego słowa. Ale, gdy łączę z transparentami, wówczas dla wielu takich prowincjuszy jak ja swędzą ręce...

Dla zabawy podbudowanej obserwacjami rzeczywistości przyjmijmy, że pewien odłam zwolenników i praktykantów starego jak świat alternatywnego stylu życia zerwał z ukrywaniem się i zorganizował się. Powiedzmy, że organizacja ta przybrała nazwę MONO, co byłoby akronimem od „Międzynarodowa Organizacja Niezakłamanych Onanistów”. Niewątpliwie seksualnie posuwiste feministki przy poparciu ich radykalnej międzynarodówki wygrałyby anty dyskryminacyjną sprawę sądową (jak nie w kraju, to w „europejskich rozkładach”), w wyniku której zmuszono by MONO do dodania do nazwy „i Onanistek”, oraz do wciągania na pełnoprawnych członków przedstawicielki płci pięknej (nie mylić wciągania na członka z tradycyjnym stosunkiem seksualnym). W przyszłości „zacłonkowano” by wszystkie inne alternatywy wymieniane w amerykańskich podręcznikach wychowania seksualnego, a także użytkowników nadmuchiwanym lalek i wibratorów.

Prasa i telewizja prezentując wypowiedzi światowej sławy seksuologów oraz poparcie wybitnych mężów stanu ogłosiłyby powstanie MONO jako bezprecedensowy i historyczny przełom. Jako świadectwo nowych czasów, demokratycznego postępu w postkomunistycznej rzeczywistości, odpór dany siłom reakcji, ciemnocie i prowincjonalnemu kołtuństwu. Aktualne wiadomości zostałyby zdominowane relacjami z burzliwych demonstracji członków MONO żądających usunięcia trzepaków – symbolu epoki ciemnoty, lampy naftowej i zapalek dzielonych na czworo.

Nie przemilczano by też żadnej barwnej parady członków MONO oraz ich sympatyków bratających się ze znanymi politykami. Dni dumy MONO przekształciłyby się w wręcz brazylijskie karnawały z balami bez kostiumowymi i konkursami sprawności, ze specjalnymi nagrodami dla leworęcznych. Orgazmy legislacyjne przygotowywałyby gorączkowo odpowiednie akty prawne, konwencje i wykładnie konstytucji, chroniące Członków tego stowarzyszenia (na wszelki wypadek „Członek” należy pisać z dużej litery). Służba zdrowia zobowiązana by była do bezpłatnego dostarczania temblaków, a minister zdrowia przesunąłby gros funduszy na badania i leczenie zwyrodnieniowych zmian w nadgarstku.

Wydaje się, że nazwa „monoseksualiści” pasowałaby do określania członków MONO jak i nie zrzeszonych praktykantów. Skrót „monoseks” mógłby być dopuszczony jako gramatycznie poprawny, aczkolwiek nie zalecany termin. Jednakże w przypadkach nadużywania określenia „monoseks” nasuwającego podejrzenia publicznego lżenia tej alternatywnej grupy, z własnej inicjatywy prokuratora lub w odpowiedzi na doniesienie o popełnieniu przestępstwa, prowadzono by odpowiednie postępowania wyjaśniające, karne itp. Indywidualne przypadki noszące znamiona nękania, ograniczania wolności i niedopuszczania do orgazmu, byłyby rozpatrywane z pozwu cywilnego, ale w trybie przyśpieszonym.

Jako przestępstwo szczególnie ciężkie traktowano by wszelkie ograniczanie w samorealizacji monoseksów we wszystkich instytucjach publicznych, wojsku i policji. Firmy prywatne ubiegające się o kontrakty rządowe (jak w USA) musiałyby wykazać się właściwą polityką zatrudnienia, programami preferencyjnymi oraz odpowiednim zapleczem socjalnym (minimalnie: łatwo dostępne sopluczek z regulacją wysokości). Osoby oraz instytucje stosujące dyskryminację w zatrudnianiu monoseksualistów, szczególnie w szkołach i domach starców, skazywane by były na grzywny oraz dogłębne szkolenia resocjalizacyjno praktyczne zakończone komisyjnym sprawdzaniem jednoręcznej sprawności.

Aby uniknąć perturbacji utrudniających nasze „zacłonkowanie” w Unii Europejskiej, a nawet wykazać się pionierską inicjatywą, należałoby jak najszybciej przełamać znowę milczenia wokół MONO i przedstawić odpowiednie propozycje sejmowym „orgazmom legislacyjnym” (pomimo i wbrew sprzeciwom zaściankowej kołtunerii). Jediną inną opcją jest zwycięstwo „ciemnogrodu” wprowadzającego ustalenia prawne zakazujące publicznego propagowania i uzewnętrzniania wszelkich „alternatywnych stylów życia”, zabraniające publikowania pornografii oraz wprowadzające cenzurę obyczajową w publikatorach.

Nawet gdyby zwyciężył „ciemnogród”, Sztab Generalny powinien w tajemnicy rozpracować militarne zastosowanie „alternatywnych stylów życia”. Przy bardzo niskich nakładach postawilibyśmy w stan

gotowości bojowej tą ukrytą w gaciach ekologiczną oraz autentycznie jądrową broń. Odpowiednio umotywowani i rozesłani na tereny bliskiej zagranicy monoseksualiści niewątpliwie skłoniliby tamtejsze społeczeństwa do odejścia od zacofanych i kłopotliwych sposobów uprawiania stosunków heteroseksualnych. Pod koniec życia jednego pokolenia moglibyśmy wejść na te tereny, aby pogrzebać ostatnich obywateli przeciwnika z rękoma zastygłymi w wiadomym miejscu.

Ta rewelacyjna humanitarna broń „jądrowa” nie naruszyłaby infrastruktury, przemysłu i dóbr naturalnych przeciwnika. Nie byłoby żadnych skażeń radioaktywnych ani chemicznych, a roztrzepane nasienie zmniejszyłoby nakłady na użyźnienie przejętych gruntów. Wiele problemów, włączając ciągle braki mieszkań i surowców strategicznych, mielibyśmy rozwiązanych szybciej niż w jakikolwiek inny sposób.

W fazie planowania i przygotowania tego typu „ataku jądrowego” mobilizowani na naszym terytorium monoseksualiści (wzmocnieni dywizją homoseksualistów) nie mogliby w żaden sposób ujawniać się szerokiej publiczności. Za złamanie tajemnicy wojskowej kierowani byłiby do kompanii karnych, aby pod nadzorem wybitnych seksuologów odbywać tradycyjne stosunki heteroseksualne. Trzeba też pamiętać, że obce „służby” nie śpią. Łobuzy z KGB, a nawet terroryści, mogą mieć już parę dywizji takich dywersantów zorganizowanych w Samojeźnych Otriadach – mogą nas zaskoczyć.

Odkładając „półzartem półserio” na bok, jaki powinien być stosunek społeczeństwa do homoseksualizmu? Faktem jest, że homoseksualizm jest stary jak świat, nie jest też obcy w świecie zwierzęcym. Czy z tego względu należy pobłażliwie zaakceptować go, przyzwolić na popularyzację? Odpowiedź na to pytanie da prosty eksperyment myślowy. Jak w wielu eksperymentach jednoznaczną odpowiedź otrzymamy po przyjrzeniu się skrajnym przypadkom. Załóżmy, że dzięki parodom, popularyzacji i przyzwoleniu społecznemu homoseksualizm stałby się powszechną normą pożycia seksualnego? Efekt byłby jednoznaczny, po wymarciu ostatnich homoseksualistów zagłada społeczeństwa.

Z tego względu homoseksualizm jak też inne podobne praktyki powinny być potępiane i karane jako szkodliwe dla społeczeństwa. Nie chodzi tu o wyłapywanie i zamykanie homoseksualistów w więzieniach, ale o zdecydowane akcje przeciwko osobom ujawniającym się lub propagującym ten styl życia. Każda skarga o homoseksualne nagabywanie, szczególnie nieletnich, powinna być odpowiednio zweryfikowana i karana. Homoseksualiści nie powinni być dopuszczani do pracy w szkołach lub też na stanowiskach umożliwiających im propagowanie ich stylu współżycia seksualnego.

TESTY

Uwaga TEST!

Wyrównywanie do lewej było naturalną koniecznością przy pisaniu ręcznym oraz przy pisaniu na maszynach do pisania. Zademonstrowane w tym rozdziale wyrównanie tekstu do prawej strony nie jest pomyłką! Dziwnie to wygląda, ale po przeczytaniu paru stron raczej nie będzie zastrzeżeń, a zalety? Przypadkowe przesunięcia początków wierszy znacznie ułatwią przenoszenie wzroku do kolejnych wierszy – nawet przy małych literkach i małych odstępach pomiędzy wierszami.

Justowanie tekstu bez pomocy komputera, tak jak w tym akapicie, wymagało nie lada umiejętności. Przy powszechnym użyciu komputerów justowanie tekstu stało się nieomal obowiązkową normą, być może odpowiadającą estetyce naszej przesyconej techniką epoki. Jest tylko jedno małe ale? ..., nasz wzrok, licząc zwiększoną sumę długości wierszy, musi niepotrzebnie pokonywać dłuższą trasę. Takie niepotrzebne „drałowanie“ wzroku wydawałoby się być sprzeczne z duchem naszej epoki...? Dlatego proponuję poniższy eksperyment z nowym układem „książkowego“ tekstu.

Tuż po przybyciu do Leningradu zorientowaliśmy się, że „inżynierska“ część programu pierwszych dwóch lat studiów w LITMO nie różniła się od tego, co przerobiliśmy w Polsce. Później było sporo przedmiotów wychodzących poza wąski zakres specjalizacji, np. mechaniki precyzyjnej. Nie mając pewności, co w Warszawie na podobnym wydziale wykładano, zaryzykowałbym stwierdzenie, że elektronika, automatyka i komputery nie były jeszcze wówczas włączone do programu studiów. Jedno jest pewne, wymagania przy zaliczaniu lub zdawaniu egzaminów nie były tak wyśrubowane, jak w Polsce. Jeden z profesorów Politechniki Warszawskiej streścił swoje wymagania bardzo krótko: *aby otrzymać piątkę trzeba znać tyle, ile ja znam i nie zrobić żadnej pomyłki.*

W LITMO cieszyliśmy się bardziej liberalnym sprawdzaniem naszych wiadomości, pojedyncze pomyłki rachunkowe zazwyczaj nie wpływały na uzyskiwaną ocenę. Egzaminy przeprowadzano tak jak w Polsce, pisemne, oraz ustne na wylosowane zestawy pytań. W USA zamiast egzaminów ustnych stosowane są testy, w których z kilku odpowiedzi na każde pytanie trzeba zaznaczyć prawidłową odpowiedź. Unikanie oceny wiadomości studentów w bezpośrednich rozmowach z wykładowcą podyktowane jest w USA obawą przed możliwymi oskarżeniami o dyskryminację rasową. Przypuszczalnie ta obawa przed oskarżeniami o dyskryminację legła u podwalin testowego systemu przyjmowania egzaminów we wszystkich dziedzinach życia USA. Oprócz szkół i uczelni testy są stosowane przy egzaminach na prawo jazdy, przy przyjęciach do pracy, oraz przy egzaminach kwalifikacyjnych na zdobycie różnych uprawnień zawodowych.

Okazało się, że egzaminy testowe mają jedną niepodważalną zaletę, łatwo je sprawdzać, szczególnie w erze powszechnego stosowania komputerów. Komputer porównuje mozaikę zakreślonych pól odpowiedzi z mozaiką wzorcową. Stosunkowo małym kosztem można przeprowadzać zunifikowane masowe testy egzaminacyjne z nieomal natychmiastowym otrzymaniem oszacowań statystycznych w dowolnych przekrojach. Do minusów tego typu „zmechanizowanych“ egzaminów testowych zaliczyłbym jednak brak egzaminatora, żywego człowieka, któremu trzeba przedstawić swoje wiadomości. Taki kontakt z egzaminatorem jest dodatkowym sprawdzianem umiejętności komunikowania się, bardzo potrzebnej w każdej dziedzinie życia.

Przy egzaminach testowych uchodzi też niekiedy „na sucho“ brak znajomości jakiegoś bardzo krytycznego elementu wiedzy. Na przykład, przy zdawaniu egzaminu na amerykańskie prawo jazdy, trzeba prawidłowo odpowiedzieć na 80% pytań. Komputer nie wyłowi dyskwalifikującej interpretacji znaku „STOP“, zaznaczonej przy hipotetycznym wariancie złej odpowiedzi: „Znak STOP daje ci pierwszeństwo przejazdu“. U nas taka odpowiedź oznaczałaby oblanie egzaminu.

Pomimo takiego „liberalnego“ sprawdzania wiadomości, drogi amerykańskie są stosunkowo bezpieczne. Wpływa na to fakt, że większość kierowców wyrastała od dziecka w samochodach. Być może pomaga też brak wykutych „na blachę“ przepisów ruchu drogowego. Amerykańscy kierowcy często zatrzymują się nie mając pewności co do swojego pierwszeństwa. Ważnym jest też traktowanie samochodu jako przedmiotu codziennego użytku, a nie przedłużenia osobowości i znaczenia użytkownika.

Przy dużym zagęszczeniu pojazdów przejawia się też inna cecha – uprzejmość i ułatwianie poruszania się innym samochodom, np. włączania się do ruchu, zmiany pasów, itp. Pod tym względem nasi kierowcy znajdują się jeszcze w epoce „kamienia łupanego“. Także nadużywanie klaksonów, różne gesty i epitety, lokują naszych kierowców na poziomie zacofanej prowincji zmotoryzowanego świata. Styl jazdy i maniery naszych kierowców można byłoby jedynie porównać do amerykańskich kierowców z najbardziej upośledzonych dzielnic amerykańskich wielkich miast. Taki jak jedzie, to odrabia wszystkie swoje skryte kompleksy życiowe.

Miałem też możliwość porównania programu nauczania matematyki w dobrej uczelni jaką jest NJIT (Instytut Technologiczny Stanu New Jersey) z programem, jaki miałem na Politechnice Warszawskiej. Mój najstarszy syn, który przed zmianą swoich życiowych zainteresowań rozpoczął studia na tej uczelni, przerabiał dokładnie to samo, co ja kiedyś w mojej Alma Mater, i tak jest w wielu dobrych uczelniach USA. Właściwie nie ma dobrych i złych uczelni, może być tylko brak porozumienia co do statusu szkół i zakresu zdobywanej wiedzy. Szczególnie mylące mogą być nazwy: na przykład określenie „student“ odnosi się w USA do każdego uczącego się. Studentem jest uczeń pierwszej klasy szkoły podstawowej a też ktoś, kto kończy najbardziej renomowaną uczelnię. „High School“, w bezpośrednim tłumaczeniu „Wyższa Szkoła“, jest niczym innym jak ogólniakiem, itp. Przedmiotem największych nieporozumień może być termin „College“.

Właściwie większość instytucji nazywanych w USA „College“ służy uzupełnieniu braków wynoszonych ze szkoły średniej, jest czymś w rodzaju pomaturalnej szkoły zawodowej. Z tego względu różne statystyki podające ilość absolwentów uczelni wyższych w USA mają bardzo wątpliwą wartość. Nie przeszkadza to jednak gospodarce amerykańskiej prosperować – głównie dzięki ciągłemu dopływowi dobrze wykształconych emigrantów.

Kończąc to krótkie porównanie ocenilibym, że nasze polskie uczelnie stoją na bardzo wysokim poziomie absolutnie nie ustępując najlepszym uczelniom rosyjskim i amerykańskim. Większość naszych absolwentów pomaturalnych szkół zawodowych mogłaby spokojnie nazywać swoje szkoły „Community College“. Być może wprowadziłoby to jakiś zamęt do statystycznych porównań ilości absolwentów u nas i w USA – zresztą zawsze obecny we wszelkich statystykach. Jeden z naszych słynnych matematyków powiedział kiedyś: trzymając jedną nogę w misce z pokruszonym lodem a drugą we wrzątku „statystycznie“ średnia temperatura dla obydwu nóg razem wziętych razem jest bardzo komfortowa...

„Statystycznie“ nasza leningradzka uczelnia dawała dobre przygotowanie zawodowe, dużo jednak zależało od samych studentów. Jeżeli chodzi o wyniki nauczania byliśmy najlepszymi studentami. Duży wpływ miał na to sposób selekcji na studia. Przynajmniej nasza grupa miała jako kryterium wyjazdu dobre oceny w czasie pierwszych dwóch lat studiów w Polsce. Dodatkowym elementem był „bodziec materialny“ w postaci premii za dobre i bardzo dobre oceny uzyskiwane na zakończenie semestrów.

Wszyscy starali się mieć piątki, aby otrzymać dwudziestorublową premię. W tym czasie nasze miesięczne stypendium z tą premią wynosiło dziewięćdziesiąt rubli, tyle mniej więcej zarabiali rosyjscy nauczyciele. Dla wielu Rosjan zarabiających osiemdziesiąt rubli byłyby to godziwe pobory miesięczne. Po rozpoczęciu pracy po studiach z pensją 1.800 złotych my też tak uważaliśmy.

Stypendia fundowane były przez polskie Ministerstwo Szkolnictwa Wyższego o czym co ciekawszym Rosjanom wspominaliśmy przy każdej okazji. Przypuszczalnie inne koszty wykształcenia pokrywała strona radziecka. Opłaty za akademik pokrywaliśmy z naszego stypendium, do tego dochodziły koszty utrzymania, przejazdów i „bani“ (łaźni). Być może ze względu na wiek akademika nie było w łaźniach ciepłej wody tylko prysznic w piwnicy miały jakieś urządzenie do ogrzewania wody – niestety, urządzenie to uruchamiano raz na dwa tygodnie. Z tego względu musieliśmy chodzić do „bani“.

Rosyjskie łaźnie były czymś więcej niż łaźniami. Przy braku kawiarni, piwiarni, salonów gier, itp., była cała klasa ludzi spędzających tam wolny czas. Przynoszono trunki a rozmowy przerywane były posiedzeniami w „piekle“ z chłostaniem ciała brzożowymi gałązkami. Mam wrażenie, że takie chłostanie rozparzonego ciała jest czymś zdrowym, nie przepadałem jednak za tym. W odróżnieniu od łaźni przy Placu Starynkiewicza nie było tam rojów homoseksualistów, lub przynajmniej nie ujawniali się. W zamian było sporo weteranów na emeryturze spotykających się w tym chyba jedynym miejscu, na które było ich stać.

My mieliśmy też weteranów zatrudnionych w różnych warsztatach na uczelni. Gdy dla naszej orkiestry robiliśmy wzmacniacz i kolumny głośnikowe byłem świadkiem ostrej dyskusji dwóch weteranów wojny z Finlandią. Jeden z nich wyzywał od durni i przestępców wszystkich, którzy tę wojnę rozpoczęli, a drugi uznawał racje Stalina. Co ciekawsze, nie krępowali się naszą obecnością. Jako zwycięzcę wytypowałbym pierwszego dyskutanta, który w końcu uciszył drugiego krótkim: *więc dlaczego nie zamarłeś za ten niszczący teraz kawałek Finlandii, tak jak zamarzło tysiące innych.*

Rzeczywiście, w tej odebranej Finlandii części Karelskiej ASRR, oprócz zarośniętych śladów po budynkach świadczących o istnieniu tam kiedyś ludzkich sadyb, nie było nic więcej. Obejrzałem te miejsca podczas nieoficjalnego „festiwalu“ różnych artystów, poetów i wolnomysłicieli zbierających się tam na wiosnę. Znaczenia tych „festiwali“ i motywów wszechobecnego KGB pozwalającego na nie do dziś nie rozumiem. Chyba prowokowali co gorętsze głowy do ujawnienia się?

W zadanie zrobienia wzmacniacza i kolumn głośnikowych „wrobiliśmy się“ sami. Co jakiś czas zwoływane były zebrania wszystkich polskich studentów studiujących w Leningradzie – czyli walne zebrania Ziomkostwa – odpowiednika ZSP w Polsce. Oprócz tych dorocznych zebrań istnienie ziomkostwa nie było zauważalne. Na zebraniu wybierany był przewodniczący, zarząd i różne komisje, które to „organa“ dawały o sobie znać dopiero przed następnym walnym zebraniem. Po otrzymaniu zawiadomienia o kolejnym zebraniu postanowiliśmy zintegrować i ożywić nasze studenckie życie w skali całego ziomkostwa. Przypuszczalnie istniało ono w ramach wszystkich uczelni, w których studiowali nasi studenci, tylko nic nie wiedzieliśmy o tym. My w LITMO organizowaliśmy różne wieczorki podczas których wyłaziliśmy ze skóry, aby godnie zaprezentować Polskę i nas samych.

W czasie jednego z takich wieczorów szlagierem miał być krakowiak. Największym kłopotem był brak dziewczyn, po prostu nie wpadliśmy na pomysł, aby zaangażować Rosjanki, a mieliśmy tylko jedną koleżankę. Kasia tańczyła w pierwszej parze, resztę stanowiły pary męskie z paskudnym zadaniem kolegów będących po prawej stronie. Nie dość, że mieli jakieś wstążeczki mające sugerować odmienną płęć, samo ustawienie w tańcu po żeńskiej stronie mieszało im szyki.

Przygotowując się każdy przypominał jakieś kroki i przejścia. Po wielu ćwiczeniach próby wypadły nam dobrze. W dniu występów wyglądaliśmy okazale, tylko kończąc przy burzliwych oklaskach „krakowiaka” złożyliśmy ukłon będąc tyłem do publiczności – co wywołało następną burzę oklasków. My byliśmy w porządku, to muzyka skończyła się zbyt wcześnie, aby umożliwić nam jeszcze jeden obrót.

Najwięcej ubawu miała nasza „Konserwa“, czyli dziewczyny po warszawskiej szkole baletowej studiujące w Leningradzkim Konserwatorium. Na szczęście musiałem nieźle tańczyć, ponieważ Krystyna nie odmówiła mi paru następnych tańców, już bez krakowskich ozdóbek. Dziewczyny z „Konserwy“ nie krytykowały nas zbyt, zasugerowały jednak, aby następnym razem zaprosić je na konsultacje. Przy takich znamienitych kontaktach ruszyliśmy na podbój ziomkostwa.



Krystyna

Aby zrealizować nasze pomysły musieliśmy mieć przedstawicieli w władzach ziomkostwa. Zdecydowaliśmy zdobyć „nomenklaturę“ ziomkostwa opanowaną dotychczas przez o wiele liczniejsze grupy studiujące na innych uczelniach – a najwięcej tej naszej braci było w Instytucie Kolejnictwa. W wyborach według klucza liczności grup nie mieliśmy żadnych szans, proroczo postawiliśmy na kompanię wyborczą w stylu amerykańskim – jednak niezupełnie.

Zadając kłam wszelkim rodzimym malkontentom trzępiącym o przyrodzonych wadach sarmackich charakterów zebraliśmy się w komplecie, aby „rozpracować“ zbliżające się wybory. Pierwszym zadaniem było stworzenie sloganu wyborczego w stylu prawdziwych wyborów. To znaczy, aby był łatwy do zapamiętania i obiecujący wiele, bez żadnych możliwości realizacji obietnic. Wybór padł na: „PÓŁ LITRA DLA TEGO, KTO GŁOSUJE NA ...SKIEGO“. Mając gotowy slogan, nie było żadnego problemu ze znalezieniem nazwiska kończącego się na „ski“.

Oczywiście byli klakierzy, którzy proponowali wpisać nazwisko prowadzącego zebranie. Jednak gdyby on przyjął tą propozycję, jako człowiek z natury nudny, zepsułby całą zabawę. Bazując na okazanym zaufaniu zaproponowałem kandydaturę jednego niczym nie wyróżniającego się kolegi, nawet bez sprawdzania „prawdziwie polskiego pochodzenia“. Z plakatami: „PÓŁ LITRA DLA TEGO, KTO GŁOSUJE NA KAMIŃSKIEGO“ wzięliśmy szturmem wybory. Brać studencka oddała całą władzę w ręce LITMO, o dziwo, nikt nie zgłaszał się po odbiór półlitrówek. Tak właśnie powinna manifestować się kultura polityczna, a nie neknanie Wałęsy milionami czy Kwaśniewskiego mieszkaniem.

Zarówno kandydat na przewodniczącego jak i kandydaci na szefów poszczególnych komisji, oprócz ścinających z nóg haseł, mieli przygotowane programy wyborcze. Przed walnym zebraniem musieli przedstawić je naszej LITMO-wskiej publiczności do krytycznej oceny. Pomijając hasła, programy musiały być optymistycznie realistyczne, z tego właśnie wzięła się sprawa zrobienia aparatury nagłaśniającej dla utworzonej według jednego z programów orkiestry.

Po tym zwycięstwie LITMO sprawowało władzę w leningradzkim ZSP przez parę kadencji. Powstała orkiestra taneczna, zespół tańca, odbywały się także zawody sportowe. Chyba po raz pierwszy atrakcyjne wycieczki i obozy nad Morzem Czarnym rozdzielane były nie tylko spośród kolegów przewodniczącego ziomkostwa, ale spotykali się na nich studenci wszystkich leningradzkich uczelni. Jako „szara eminencja“ miałem w tym swoją zasługę.

Wzmacniacz i kolumny głośnikowe robiliśmy w pracowniach LITMO, otworzył je dla nas nasz profesor elektroniki Feliks Pawłowicz Bałabiej. Zżyliśmy się z nim i zaprzyjaźniliśmy. Przy każdej wizycie po studiach w Leningradzie z największą przyjemnością odwiedzaliśmy go. Oprócz wzmacniacza, będąc w dalszym ciągu zapalonym płetwonurkiem, robiłem kusze i inny sprzęt do nurkowania. Nurkowałem parę pomysłów związane z nurkowaniem. Natychmiast po opublikowaniu wiadomości, że szwajcarski nauczyciel Hans Keller zszedł w aparacie powietrznym znacznie głębiej niż zabójcza granica 120 metrów, odtworzyłem sposób, w jaki mógł on tego dokonać.

Przy nurkowaniu występuje wiele zagrożeń związanych z głębokością. Najprostszym jest ból w uszach, którego prawie każdy może doświadczyć nurkując głębiej niż 50 cm. Może doświadczyć, ale nie musi, zależy to od drożności kanalików łączących komorę nosową z uchem środkowym (Trąbki Eustachiusza). Jeżeli kanaliki te nie są drożne, np., przy katarze, lub brakuje umiejętności wyrównywania ciśnienia, wówczas przy głębokości około 3 m może dojść do pęknięcia błony bębenkowej.

Drugie zagrożenie występuje na głębokości około 20 m przy oddychaniu czystym tlenem. Aparaty tlenowe posiadają zamknięty układ obiegu tlenu, z którego specjalne granulki usuwają wydychany dwutlenek węgla. Aparaty te, przy małej wadze, pozwalają na dosyć długie przebywanie pod wodą. Dodatkową „wojskową“ zaletą takich aparatów jest brak pęcherzyków powietrza demaskujących pletwonurka.

Do nurkowania głębiej niż 20 m stosowane są aparaty powietrzne z otwartym obiegiem. To znaczy, powietrze po wydechu usuwane jest do wody, a nowe porcje powietrza po zredukowaniu ciśnienia podawane są z butli do ustnika. Jednak powietrze, będące głównie mieszkanką azotu i tlenu, stwarza trzecie zagrożenie, które występuje na głębokości około 70 m. Pod panującym na tej głębokości ciśnieniem azot działa jak narkotyk ([Narkoza azotowa](#)). Efekt jest taki, że nurek albo traci poczucie niebezpieczeństwa i staje się nieodpowiedzialny lub wpada w panikę.

Przy głębokości nurkowania powyżej 20 m i wzroście czasu przebywania pod wodą powstaje czwarte zagrożenie – coraz więcej powietrza rozpuszcza się we krwi. Przy szybkim wynurzeniu się krew pieni się jak woda sodowa w odkapslowanej butelce blokując naczynia krwionośne, najczęściej z fatalnym skutkiem.

Przy nurkowaniu w aparatach powietrznych piąte zagrożenie powstaje na głębokości około 120 m i jako żywo przypomina zatrucie czystym tlenem występujące na głębokości około 20 m. Z tego względu przez długi okres czasu głębokość 120 m stanowiła barierę nie do pokonania. Wiadomość o wyczynie Hansa Kellera była swego rodzaju sensacją, został błyskawicznie zwerbowany przez marynarkę USA.

W parę dni po przeczytaniu wiadomości o wyczynie Hansa Kellera zgłosiłem się do profesora Gasiłowa (wykładał automatykę) z wykresem na jakich głębokościach i jakie mieszanki o zredukowanych procentowo zawartościach tlenu należałoby stosować. Przedstawiłem też alternatywną propozycję zbudowania aparatu oddechowego o zamkniętym obiegu z pochłaniaczem dwutlenku węgla oraz z czujnikiem ciśnienia cząsteczkowego tlenu pozwalającym na utrzymywanie ciśnienia cząsteczkowego na stałym poziomie. Pomysł Hansa Kellera oparty był właśnie na utrzymywaniu ciśnienia cząsteczkowego tlenu w bezpiecznych granicach. [Inne informacje: [TRIMIX](#)].

Było to wręcz oczywiste, jednak nikt przed Hansem Kellerem nie wpadł na taki pomysł (lub nie było to opublikowane). Co ciekawsze, jeszcze przez dosyć długi okres czasu utrzymywano ten pomysł w tajemnicy. Rozwijając moją propozycję spędziłem sporo czasu w dobrze zaopatrzonej bibliotece LITMO, aby znaleźć jakiś gotowy czujnik ciśnienia cząsteczkowego tlenu lub zawartości procentowej tlenu w mieszance gazów – nic odpowiedniego nie znalazłem. Innym kierunkiem poszukiwań było znalezienie jakiegoś materiału tworzącego nietrwałe związki z tlenem o zmiennej przewodności, lub wręcz „chemicznego półprzewodnika“. Siegając do raportów różnych badań sowieckiej Akademii Nauk wytypowałem parę materiałów, z którymi można by było rozpocząć badania. Na szczęście, profesor Gasiłow nie wykazał żadnego zainteresowania. Całość pozostała jedynie w sferze moich prywatnych projektów.

Kolejnym pomysłem, zbudowania „ultradźwiękowej telewizji“, starałem się zainteresować naszego ulubionego Feliksa Pawłowicza Bałabieja. Pomysł polegał na zbudowaniu „układu optycznego“ dla ultradźwięków w wodzie. Z tą częścią nie byłoby kłopotu, soczewką mogłaby być gliceryna w pierścieniu ograniczonym dwoma błonami. Przy znanej różnicy prędkości dźwięku w wodzie i glicerynie błony byłyby wklęsłymi wycinkami powierzchni kuli, a ogniskową dałoby się zmieniać zwiększając lub zmniejszając ilość

gliceryny. Ultradźwiękowy obraz powstawałby identycznie jak w układzie optycznym. Stosując trzy różne częstotliwości sekwencyjnie emitowanych ultradźwięków można byłoby otrzymać trzy różne obrazy pozwalające na skomponowania „ultradźwiękowych kolorów“.

Największym problemem byłoby znalezienie „matrycy“ umieszczonej w płaszczyźnie ultradźwiękowego obrazu przetwarzającej ten obraz na obraz telewizyjny. Najprostszym rozwiązaniem wydawało się zastosowanie układu stosowanego w noktowizorach. Po utworzeniu na powierzchni lampy noktowizora mozaiki foto-piezoelektrycznych drobin wytwarzających proporcjonalną do intensywności ultradźwięków ilość fotonów reszta odbywałaby się tak, jak w noktowizorze.

Niestety – a może dobrze – profesor Bałabiej uznał ten pomysł za nierealny, a był to 1965 rok. W 1969 roku w jakimś telewizyjnym programie naukowo technicznym pokazali angielską aparaturę umożliwiającą używanie ultradźwięków do tworzenia telewizyjnych obrazów. Przy najbliższym wyjeździe do Leningradu wspomniałem o tym, profesor Bałabiej stwierdził, że pomylił się w ocenie realności mojego pomysłu. Pomyłka leżała w jego ocenie możliwości uzyskania odpowiednio krótkich fal (wysokich częstotliwości) dla otrzymania obrazów przedmiotów o rozsądnie małych wymiarach. Miał do czynienia z falami elektromagnetycznymi (radary), gdzie przy prędkości światła wymagane są olbrzymie częstotliwości. Uszło jego uwadze, że prędkość światła jest około dwieście tysięcy razy większa niż prędkość ultradźwięków w wodzie [[Hydrography](#)].

Pokazana angielska aparatura zajmowała bardzo dużo miejsca, nie podali szczegółów żadnych rozwiązań technicznych. Do dziś dnia nie szukałem ani nie trafiłem, nawet przypadkowo, na informacje jak to wszystko działało. Domyślałem się, że sonary zbudowane są na podobnych zasadach, jakie ja proponowałem w czasie studiów w LITMO. Uważam też, że były to realne pomysły. Na szczęście nie zainteresowano się tymi pomysłami – miałbym bardzo jednostronne i monotonne życie – pracując w dodatku dla potrzeb armii systemu, do którego nie pałałem miłością.

Na „pocieszenie“ kupowałem w Sojuszu nieosiągalny w Polsce sprzęt do nurkowania. Dobrym nabytkiem była obudowa aparatu fotograficznego „Zorki” do robienia zdjęć pod wodą, zarobiliśmy nawet z Jankiem parę złotych fotografując dla inspektorów podmyte fundamenty filarów mostowych. Jako nie spełniająca oczekiwań kuszę na naboje do pistoletu startowego sprzedałem w komisie w Warszawie. Nabywca znalazł mój adres i reklamował, że jest zbyt słaba. Gdy go odwiedziłem, mieszkał w hotelu MZK, zdążył przerobić ją na naboje KBKS. W ramach testowania przestrzelił grubą dechę opartą o kuchenkę gazową (razem z tą kuchenką). Nie żądał już zwrotu pieniędzy, przeprosił za kłopot i postawił pół litra.

Niestety, nie było tam tak potrzebnych w naszych wodach skafandrów do nurkowania. Nawet latem przy nurkowaniu głębiej niż trzy metry wpływa się do warstwy zimnej wody. W pogoni za rybami zazwyczaj nie trzeba było schodzić głębiej niż dwa metry. Pamiętałem jednak nurkowanie na większą głębokość w jeziorze charzykowskim – ciało przemarzało aż do szpiku kości. Było to tuż przed wyjazdem na studia do Leningradu. Waletowałem u Janka, który był na kursie szkoleniowym płetwonurków. Wszyscy objadali się ustrzelonymi przez nas rybami łapanymi poniżej „klinu termicznego” (polowaliśmy w aparatach powietrznych). Ten skok temperatury był szczególnie dokuczliwy, ponieważ lato było piękne a woda przy powierzchni była tak ciepła, że można było godzinami pływać, nawet na golasa – co przytrafiło się mi rzeczywiście.

Niedaleko LOK był jakiś obóz młodzieżowy i wiele ładnych dziewczyn. Tuż przy obozie była kawiarnia z potańcówkami, gdzie poznałem Basię. Nie podobało się to chłopakom z obozu, postanowili przetrzepać mnie lekko (lub trochę mocniej). W przerwie pomiędzy tańcami jeden z nich zaproponował mi, abym wyszedł na zewnątrz na rozmowę. Na zewnątrz okazało się, że w sumie jest nie jeden a trzech „dyskutantów”. Basia z koleżanką też wyszły, ale „spikerzy” poprosili je, aby odeszły dalej, bo będzie to męska rozmowa.

Domyślałem się o co chodzi, byłem ostrożny. Zaproponowałem, aby wszyscy stali przede mną w odległości co najmniej dwóch metrów. Jeden z nich oświadczył, że to on ma do mnie osobistą sprawę, a reszta to tylko świadkowie – podszedł bliżej. Gdy zbliżył się na odległość oddechu poszedł na mnie główką. Zrobiłem przepisowy unik, a on z rozpędu i z moim lekkim popchnięciem upadł tarasując drogę ruszającym z impetem „świadkom“. Wyrwałem ostro w kierunku LOK natrafiając po drodze na dziewczyny, niestety, jeden z nowych trzewików (na modnych gumkach zamiast sznurowadeł) został na forum dyskusyjnym.

Coś krzyczeli i wymachiwali nim triumfalnie, aby mnie pognać, cisnęli go do wody. Odżałowawszy w pierwszym impulsive stratę zaproponowałem dziewczynom, aby poszły ze mną do LOK, ponieważ tam też była jakaś sobotnia impreza przy suto zastawionych stołach. Okazało się, że chodzenie w jednym trzewiku było moralnie nie do zniesienia. Nie miałem też żadnego innego obuwia, co przy resztkach gotówki mogło skończyć się powrotem do Ełku na bosaka. Powiedziałem dziewczynom, że popłynę do miejsca incydentu, aby wyłowić trzewik. Ponieważ nie miałem kąpielówek, rozebrałem się do golasa i powierzyłem im pieczę nad moim ubraniem.

Sprawa nie była łatwa, pomimo pięknej księżycowej nocy nie mogłem dostrzec trzewika. Jednak dokładnie koło tego miejsca, gdzie poprzez mój brak manier towarzyskich salwowałem się ucieczką, dostrzegłem trzech kąpiących się facetów. Ilość pasowała, gdy usłyszałem *dopierdoliłem w piach*, wówczas nabrałem pewności, z kim mam do czynienia. Postanowiłem powrócić do przerwanej wcześniej „konwersacji“, ale na moich warunkach, w których czułem się jak ryba w wodzie.

Zrobiłem około dwudziestometrowego nura przy dnie, wynurzyłem się na wyciągnięcie ręki przy najbliższym brzegu osobniku. Dałem bardzo krótką odpowiedź na ich nieudaną „główkę“ (prawym sierpowym), aplikant bez zbędnych komentarzy osunął się do wody. Już na powierzchni podpłynąłem do następnego ze zdziwieniem zapytującego *Franek, co się dzieje?* (może wypowiedział inne imię) – brał mnie początkowo za swojego... I on i ja zorientowaliśmy się, że coś jest nie w porządku. Częściowo uchylił się, także cios mój nie był już tak dobitnym wyrażeniem moich poglądów na temat uprzedniego zajścia. Aby nie komplikować sytuacji po nabraniu powietrza odpłynąłem pod wodą w kierunku, gdzie dziewczyny strzegły mojego ubrania.

Po wyjściu na brzeg zobaczyłem dwóch amatorów nocnych kąpeli biegnących w naszą stronę. Zdążyłem tylko zabrać ubranie i krzyknąwszy „do jutra“ odpłynąłem na głęboką wodę. Ponieważ wygrażali i rzucali kamieniami musiałem trzymać się w sporej odległości od brzegu. Chciałem nawet zalec, ponieważ mógłbym godzinami leżeć bez ruchu, wystawiając tylko usta nad powierzchnię wody – nie chciałem jednak zamoczyć trzymanego w jednym ręku ubrania. Dopłynąwszy w rejon przystani LOKU „zakrętowałem“ przydzwiewek na jednej z przywiązanych do bojek żaglówek.

Wrzawa wyrwała kierownika LOK z bawiącego się w świetlicy towarzystwa. Wyglądało, że ulega presji moich prześladowców i spuści na wodę bączka. Podpłynąłem do pomostu na końcu którego stał kierownik. Poznał mnie: *Coś ty narobił, pobileś taksówkarzy z Chojnic*. Ja twierdziłem, że byli to faceci, którzy napadli na mnie. Sprawa przybierała niekorzystny obrót, taksówkarze chcieli dzwonić na milicję albo sprać mnie na kwaśne jabłko. Zaproponowałem kierownikowi, aby „aresztował“ mnie, co też natychmiast uczynił.

Trzymając z daleka uszkodzonych wprowadził mnie gołego do zadymionej świetlicy pełnej pań i panów. Rozbawione towarzystwo mogło pomyśleć, że jest to jakaś striptizowa niespodzianka, czemu jednak zaprzeczało podbite oko i groźne miny postępujących za mną osobników. Sprawa była jasna, zaatakowałem niewłaściwych ludzi. W miarę spokojnie, zasłaniając pomiędzy gestami przyrodzenie, wyjaśniłem jak do tego doszło, przeprosiłem ich.

Uwierzyli mi dopiero wtedy, gdy wspomniałem słowa jednego z nich: „*dopierdolilem w piach*“. Okazało się, że mieli ze sobą pół litra, które jeden z nich włożył do piachu w wodzie, aby ochłodzić rozgrzaną w bagażniku wódkę. W ten właśnie sposób poinformował kolegów o wykonaniu tego ważnego zadania.

Wybaczyli mi, ale postawili warunek, abym udał się do ich kolegi, który dochodził do siebie na ławeczce w miejscu incydentu. Nie miałem wyboru, po dostarczeniu przyodziewku z żagliówki udałem się tam przeproszać ich kolegę. Po krótkim wstępie tych dwóch – teraz już moich rzeczników – powtórzyłem moje wyjaśnienia i przeprosiłem go. Krzywił się na mnie jeszcze jakiś czas, ale butelka była już dobrze schłodzona. Kończąc ją, jako jeden z pierwszych zaproponował, aby takim gnojkom, którzy w trzech napadają na jednego, dać dobrą nauczkę.

Zabawa w kawiarni była już zakończona. Cudem unikając milicyjnych korowodów nie chciałem wpadać w inne tarapaty, a też wciągać w nie zupełnie niewinnych ludzi. W jakiś dziwny sposób zdobyłem jednak serca tych chłopaków z Chojnic. Na pożegnanie dali mi swoje adresy, powiedzieli, że gdy znajdę tych łobuzów, wówczas razem damy im dobrą nauczkę, a oprócz tego, kiedy tylko będę w Chojnicach, będę miał „za frajer“ taksówkę.

Gdy odchodziłem zawołali mnie i dali mi na pamiątkę jedną ze szklaneczek, z których piliśmy, abym pamiętał o tej „zwariowanej“ księżycowej nocy. Jeszcze niedawno widziałem tą szklaneczkę schowaną w starym tapczanie w Elku. Przypomniało mi się, gdy dając ją powiedzieli: *Chojniczaki to morowe chłopaki*. Wysyłałem do nich co jakiś czas widokówki. Przypominając teraz ten okruczeństwo przeszłości przeszukałem stare adresy i wysyłałem im książkę „Okruczy“. (Osowski Jan i Czarnowski Stanisław, trzeciego nie znalazłem).

Dziwnym zbiegiem okoliczności było to, że Barbary obóz młodzieżowy zorganizowany był przez Zakłady Wytwórcze Przyrządów Pomiarowych „ERA“ z Włoch pod Warszawą, gdzie rozpocząłem pracę zaraz po studiach. Jakbym to przeczuwał..., po spotkaniu z Jankiem jednego z uczestników zajęcia zbesztaliśmy go za atakowanie w trójkę jednej osoby, powiedzieliśmy mu, że będąc we dwoje nie dotkniemy go, aby nauczył się honorowego postępowania.

Po rozpoczęciu pracy parę osób z ERY skojarzyło mnie z tym wydarzeniem. Powiedzieli mi o tym dopiero po dłuższym okresie pracy, gdy lepiej poznaliśmy się. Nie spotkałem tam Barbary, mogła pracować w nowych budynkach przy rogu Łopuszańskiej i Alei Jerozolimskich? Ale od czasu incydentu nad jeziorem Charzykowskim do rozpoczęcia pracy była jeszcze bardzo długa droga. Po Charzykowie miałem zgrupowanie językowe na Jelonkach. Był to właściwie koniec wakacji, ponieważ studia w ZSRR zaczynały się od września, czyli o jeden miesiąc wcześniej niż w Polsce. Barbara odwiedzała mnie na Jelonkach, ale na moje nagabywania była głucha jak pień. Czasami miałem pecha spotykać takie uparte dziewczyny? W sekrecie powiem, że taki upór często wzbudza większe zainteresowanie niż łatwe sukcesy.

Pod koniec zgrupowania językowego odbył się koncert obsadzony przez tą bardziej artystyczną część wjeżdżającej do „pobliskiej zagranicy“ studenterii. Wprawnym okiem przyuważyłem taką jedną zgrabną absolwentkę Warszawskiej Szkoły Baletowej. Poruszała się na scenie jak sprężynka – powiedziałem do kolegi – będę musiał ją poznać, a on na to, znam jej koleżankę.

U mnie zawsze droga od „pomysłu do przemysłu“ była bardzo prosta. Zainwestowałem w butelkę dobrego wina (byle jabcok nie pasowałby do szkoły baletowej). Wieczorem, popychając kumpla, wpadliśmy do baletnic... *Rozjeżdżamy się w różne strony świata, może nie będzie już okazji spotkać się kiedykolwiek..., za powodzenie przyszłych studiów..., itp.*

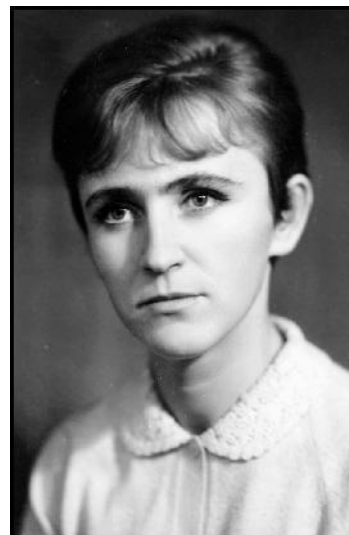
Okazało się, że baletowe dziewczyny nie znajdują się na dobrych winach, a w ogóle były jakieś nieuczynne, przeszkadzało im nawet gaszenie światła. Lekko zdegustowany skończyłem z kumplem wino i wróciłem do swojego pokoju. Przynajmniej dowiedziałem się, że ta taka „sprężynka“ ma na imię Krystyna i że też jedzie do Leningradu. Z czasem dowiedziałem się, że ona także zauważyła mnie wcześniej, mówiła do koleżanki: *Popatrz na siedzącego tam blondyna, ma takie krótkie spodenki, że mu zaraz coś wypadnie*. W dalszym ciągu twierdzi, że ani to wino ani spodenki w ogóle jej nie zainteresowały, zastanawiała się jedynie, jak tak można przy pierwszym spotkaniu serwować wino, gasić światło, i brać się do całowania.

Po zakończeniu kursu i wykwaterowaniu się, przechodząc koło mojego okna, „baletnice“ podeszły, aby powiedzieć „do widzenia“. Barbara akurat siedziała na brzegu łóżka a ja leżąc zastanawiałem się, co mnie czeka w Leningradzie. Miałem wykwaterować się następnego dnia, było to pożegnanie Jelonek dla nas wszystkich. Barbara pokazała Krystynie parę mizernych włosków na mojej piersi, powiedziała: *Pilnuj te włoski dla mnie*. Jestem przekonany, że Krystyna poważnie potraktowała tę prośbę – pilnuje do dzisiaj. Parę razy wyrwała mi je z korzeniami, ale mizeroty uparcie wyrastały. Czekam, co będzie, gdy wyłysię w tym miejscu? Nauka z tego taka, że nieopatrzone powierzanie takiego pilnowania może doprowadzić do zawłaszczenia. Ale w tym przypadku nie nastąpiło to szybko.

Po pierwszym roku w Leningradzie Ministerstwo Szkolnictwa Wyższego chciało wycofać się z fundowania stypendium dla Krystyny i jej koleżanki – kompletnie spakowane wróciły do Polski. W czasie wakacji byłem z Jankiem na LOKowskim zgrupowaniu pletwonurków w Jastarni z zakwaterowaniem na M/s Podhalanin.

W jakiejś sprawie wybraliśmy się do Gdyni – nie wierząc własnym oczom zobaczyłem Krystynę idącą z matką po drugiej stronie ulicy. Ona też mnie zobaczyła, na szczęście nie było dużego ruchu samochodowego, wpadliśmy w objęcia na środku ulicy. Janek sam wrócił do Jastarni, a ja, po spacerach do połowy nocy, musiałem spać na ławce w parku. Dopiero rano pierwszym pociągiem dotarłem do Jastarni.

Po tym spotkaniu poinformowałem mamę, że zapraszam do Ełku koleżankę, która też studiuje w Leningradzie. Mama знаła moją przelotną narzeczoną z początku studiów, czasami też pod różnymi pretekstami przyprowadzała dziewczyny, które w jej pojęciu nadawały się na synowe. Raz nawet jakąś autostopowiczkę „poderwała” i zaprosiła na obiad. Kiedy zobaczyła Krystynę, tknęło ją coś widocznie. Gdy tylko przyprowadziłem ze stacji tą moją skromną i skrępowaną koleżankę, kawa oraz ciasteczka stały już na stole. Od wejścia do mieszkania mama dokładnie ją oglądała. Będąc fachowcem (miała dwa dyplomy, pielęgniarce i położnej) czegoś się tam dopatrzyła. Zapraszając do ciasteczek rzekła: *Pani musi dużo jeść, bo nie będzie pani miała siły dzieci rodzić*. Najwyraźniej wyczuła coś, o czym ja jeszcze nawet nie myślałem. Tak czerwonej Krysi nigdy nie widziałem, ani wcześniej ani później. Widocznie ani mnie, ani jej te rumieńce nie zaszkodziła – nawet było jej z tym do twarzy – a zadurzony i zazdrosny byłem w tym czasie jak cholera. Pomimo, że z tym jedzeniem było i jest marnie (oprócz słodczy i ciasteczek), jednak trzech ukochanych wnuków ku radości mojej mamy, powiła.



Odwiedziłem też z „koleżanką Krystyną” „Babcię Staruszkę”. Nawet nie myślałem wówczas, że poprzez te odwiedziny znajomość nabiera poważnych cech, ponieważ nigdy przedtem nie przedstawiałem Babci żadnej dziewczyny. Siedząc jak zwykle na swoim wysokim fotelu ze stołeczkiem pod nogami babcia spytała: *A co ty dziecko robisz?* Gdy odpowiedziała, że studiuje balet, Babunia pokiwała głową i poważnie powiedziała: *Felunia, toś ty się w dziadka wdał, gdy wracał po wypłacie, to go baletnice dorozką odwoziły*. Pomimo uwagi mojej mamy o rodzeniu dzieci i mojego „podobieństwa do dziadka”, to przypadkowe spotkanie w Gdyni utrwaliło naszą znajomość, która dzięki zmianie decyzji ministerstwa była kontynuowana w Leningradzie.

Nie śpieszyłem się jednak z podejmowaniem poważnych decyzji. Koleżanki Krystyny pamiętają jej komentarze: *Niektórzy żenią się z Rosjankami, a on mi tylko kwiatki przynosi – cymbał*. Jednak, jeżeli nie obrączkę, to przynajmniej kwiatki wypadało przynosić. Walczyłem z tą myślą o obrączce jak dziki koń z myślą o chomacie. Ale koniec studiów zbliżał się nieuchronnie – ja wyjeżdżałem, a Krystyna miała jeszcze jeden rok do zakończenia studiów. Wóz albo przewóz, kupiłem pierścioneł zaręczynowy.

Koledzy ucieszyli się, ponieważ lubili ją bardziej niż mnie. Aby załatwić wszystko jak należy postanowili zorganizować prawdziwie „demokratyczne” wybory narzeczonej – to znaczy, kandydatek było wiele, ale od początku było wiadomo, która ma wygrać. Zapowiedzieli, aby „Konserwa” nie ruszała się z akademika i uroczyście ubrani udali się na poszukiwanie narzeczonej. Po przybyciu ogłosili cel swojej wizyty, kazali każdej stanąć przy swoim łóżku i zasiedli do stołu. W odpowiednio sporządzonych rubrykach „skryba” zapisywał oceny wszystkich zalet i wad kandydatek.

Zaczęli od porządku w szafkach i pod łózkami. Którejś tam urwali parę punktów za złe „zakostkowaną” bieliznę – ale odrobiła przy ocenie nóg. Perfumy, uczesanie i ubiór oceniane były surowiej niż na konkursach piękności. Może też jakąś kołysankę dla dzieci każda musiała zaśpiewać, mnie tam jeszcze nie było, jechałem metrem do „nieznanego” mi przeznaczenia?

Decydującą próbą był sprawdzian zdolności kulinarnych. Wyjęli z torby przyniesione kartofle, olej, i jajka.

Każda musiała usmażyć kartofle i jajecznicę, punktowany miał być czas i walory smakowe, dziewczyny popędziły do wspólnej kuchni. Po odepchnięciu innych użytkowników żwawo wzięły się do dzieła. Gdy wróciły z parującymi potrawami zastały drzwi do pokoju zamknięte na klucz. Przez dziurkę podejrzwały, że szanowni swatowie nad czymś ciężko debatują popijając jakieś trunki. Mieli trudny problem do zgryzienia, dziewczyny szły „łeb w łeb”, szybka we wszystkim Lwowianka mogła niespodziewanie wygrać cały konkurs. Dlatego też poprzez zmyślną manipulację drzwiami (coś jak na Olimpiadzie w Moskwie) wyeliminowali element szybkości, wpuścili wszystkie razem.

Pomimo tej zmyślności sędziów dwie kandydatki uzyskały jednakową punktację stawiając szanowne jury w trudnej sytuacji. W czasie następnej narady, podczas której dziewczyny wyproszone z pokoju, sędziowie znaleźli rozwiązanie: po dodaniu jednego punktu za pochodzenie społeczne konkurs wygrała Krystyna!

Ja już byłem na portierni „w napięciu” oczekując na wyniki. Po wskazaniu wybranki przykleknąłem na jedno kolano i nałożyłem pierścioneł zaręczynowy. Radości i zabawie nie było końca. W taki sposób dwa przeciwne sobie bieguny sztuki i techniki zbliżyły się do siebie, okazuje się owocnie.

Nasi studenci studiujący w Leningradzkim Konserwatorium byli jedynymi przedstawicielami sztuki, reszta studentów studiowała na uczelniach technicznych. W tajemnicy powiem, że my w LITMO też byliśmy swego rodzaju artystami. Oprócz wyżej wspomnianych studentów byli jeszcze słuchacze jakichś uczelni wojskowych, ale nie zrzeszeni w Ziomkostwie. Zaprzyjaźnił się z nami przypadkowo spotkany „marynarz”.

Pomimo, że wyrastał w rodzinie PRL-owskiego dygnitarza na placówce w USA, był to osobnik wysoce antysocjalistyczny. Może dlatego czuł się bardzo dobrze w naszej wolnej od partyjności atmosferze. Więc często nas odwiedzał, przegadywaliśmy długie godziny podczas wieczornych „rozmów Polaków”.

W czasie tych paru kadencji naszego zarządzania ziomkostwem nawiązały się kontakty pomiędzy różnymi leningradzkimi uczelniami. Wielu studentów wcześniej społecznie mało aktywnych brało udział w naszej działalności, wykazywało się inicjatywą i pomysłami. Miałem w tym swój udział, przy każdym wyborach proponowałem powierzanie różnych funkcji nowym ludziom, obdarzeni taką szansą nigdy nie zawiedli.

Na jednym z zebrań zarządu ziomkostwa przedstawiciel ambasady pan Zakrzewski zaproponował, abym podzielił się ze starostami innych grup, jak ja to robię, że nasza grupa jest zgrana, zdyscyplinowana i pod wszystkimi innymi względami wyjątkowa. Zacząłem nawet zastanawiać się, jakich rad mógłbym udzielić. Można byłoby poszufladkować kawałki życia naszej grupy, różne wspólne działania, wspólne obchodzenie naszych tradycyjnych świąt, pamięć o imieninach kolegów, solidarność, itp., itp. Byłyby to tylko jakieś „techniczne“ zalecenia, być może pomocne, ale czułem, że sedno sprawy jest w czymś innym, w nieuchwytej atmosferze wzajemnej sympatii, zaufania i szczerości. Jak taka atmosfera powstaje? Być może przypadkowo lub po jakimś wspólnym sukcesie, takim jak nasza ucieczka od odrabiania historii KPZR. Może z poczucia wspólnych korzeni, większość z nas studiowała na Politechnice Warszawskiej. A może jest to dar opatrności powodujący, że w jakimś miejscu i czasie, w jakiejś grupie ludzi, coś takiego powstaje?

Zakrzewski uważał, że wyjątkowość naszej grupy jest moją zasługą. Przed odejściem z placówki w Leningradzie, pół żartem pół serio, spytał mnie: *Co pan z nimi robił (z grupą LITMO), bił ich pan, przekupywał, hipnotyzował?*. W tym wszystkim było coś bardziej prozaicznego, byłem starszy niż moi koledzy, miałem skończony SN i rok pracy w szkole. Już sam wiek tworzył pewien autorytet, do tego dochodziła łatwość nawiązywania kontaktów, chyba też wrodzona skłonność dzielenia się doświadczeniami oraz pomagania innym.

Przy pożegnaniu Zakrzewski życzył mi pomyślności w przyszłej pracy zawodowej i działalności społecznej. Może oczekiwał, że wyrosnie ze mnie znany działacz społeczny? Niewątpliwie pomylił się, działalność społeczna w PRL wymagała poddania się „zdalnemu sterowaniu“. Wymagała przymknięcia oczu na większe i mniejsze kłamstwa, aby w nagrodę awansować w ramach sztywnego systemu nomenklatury. Oprócz tego, muszę mieć coś paskudnego w charakterze, co nie przystaje do żadnej kariery wymagającej uniżonego potwierdzania niedorzeczności i kłamstw. Teraz wiem, że właściwie wszędzie robienie kariery, szczególnie politycznej, wymaga wyzbycia się ideałów i niezależności.

Oczywiście chciałem zrobić coś bardzo ważnego, wyjątkowego, być sławnym – kto by nie chciał? Jednak całą przyszłość łączyłem z pracą zawodową, bez partyjnej dźwigni. Po prostu, gdybym robił karierę zawodową podpierając się partią, wówczas straciłbym szacunek do samego siebie. W pewnym sensie moje zamierzenia spełniły się. Miałem wiele osiągnięć zawodowych, żadnego nie muszę przypisywać przychylności partii lub innych koterii. A ten paskudny charakter? To chyba wina kresowej krwi i samowychowania w kręgach moich przyjaciół, od ławy szkolnej do zakończenia studiów.

Pomimo tego, że nie zostałem znanym działaczem społecznym, w tej czy innej formie pracowałem społecznie przez całe życie. Największą nagrodą za przyjemność wykonywania tej pracy było zawsze zaufanie moich kolegów, mam nadzieję nigdy nie zawiedzione. Niezapomnianym wyróżnieniem za moją pracę społeczną w Leningradzie był gremialny udział moich kolegów w wyjeździe do Moskwy na mój ślub z „wybraną“ przez nich narzeczoną. Mogliśmy wziąć ślub w radzieckim urzędzie stanu cywilnego w Leningradzie. Mogliśmy poczekać parę miesięcy do wyjazdu do Polski, ale zdecydowaliśmy się wziąć ślub w polskiej ambasadzie w Moskwie.

Było to najodpowiedniejsze miejsce na nasz ślub. Poprzez ten wyjazd na studia poznaliśmy się, całe nasze życie do momentu podjęcia tej ważnej decyzji tam przebiegało. Tam też byli świadkowie naszej codzienności, a także radości i smutków, zabaw i nauki, szalonych pomysłów i głupich przypadków – kochani i bliscy przyjaciele.

LITMO wraz z „Konserwą“ radośnie i gremialnie towarzyszyło nam w tej wyprawie. W ambasadzie w Moskwie też było spore poruszenie, od lat nikt nie brał tam ślubu. Świadcami byli: pan Kował, następca pana Zakrzewskiego na placówce w Leningradzie i Teresa, koleżanka Krystyny ze szkolnej (baletowej) ławy.

Takiego najazdu odstawionych studentów ambasada chyba nigdy nie przeżywała.

Gdy ambasador, (być może konsul?) wkuwał stosowne formułki, my chodziliśmy po salonach ambasady śmiejąc się i żartując. Napotkani pracownicy ambasady kibicowali nam z sympatią i zainteresowaniem. Dlatego też nie zdziwiliśmy się, gdy po wejściu do kolejnej sali zaczęły strzelać korki szampanów i parę pań podawało napełnione puchary. Okazało się, żeśmy zaszli o jedną salę za daleko, do tej sali mieliśmy być wprowadzeni dopiero po sakramentalnym i zgodnym „tak“. Oczekująca obsługa oddała salwę nie czekając na komendę fundatora, którym był nasz świadek, pan Kowal. A może znali pana Kowala, że poleci wystawienie drugiej szampańskiej baterii?



Na tym chwilowym zamieszaniu i przedwczesnych gratulacjach najwięcej skorzystał ambasador, miał dodatkowy kwadrans na przećwiczenie ślubnych formułek. Ja i Krystyna byliśmy już od dłuższego czasu wypielegnowani na sto procent. Koledzy i koleżanki zadbali, aby każdy włoszek był na właściwym miejscu, każda fałdeczka wyrównana, każdy pyłek usunięty z przyodziewku.

Wreszcie stanęliśmy przy udekorowanym kwiatami stole. Ambasador lekko pochylił się w naszą stronę i szepem powiedział: *Jestem bardzo zdenerwowany, jeszcze nigdy nie udzielałem ślubu, gdybym zaciął się w czymś, proszę mi to wybaczyć.* Miał taką niepewną minę, że pocieszyłem go: *Proszę Pana, ja też jestem bardzo zdenerwowany, jeszcze nigdy nie brałem ślubu, mam nadzieję, że nie zatniemy się.*

Było bez zacięć, szampany i toasty wstrząsnęły murami ambasady. Dzięki poświęceniu Stacha Pietrzaka, który biegając po Moskwie poranił nogi nowymi trzewikami, mieliśmy zarezerwowane miejsca w Cafe Lira.

Była to wspaniała uroczystość, pożegnanie stanu kawalerskiego i jedno z pierwszych pożegnań czasu naszych studiów w Leningradzie. Po przyjęciu „wesoly pociąg“ dowiózł nas do Leningradu. Stachu Szelejewski, jako urodzony artysta, który chyba tylko przez przypadek trafił na studia techniczne, dbał o nasze dobre humory. Przy wielu innych zdolnościach jego umiejętność naśladowania gestów i sposobu mówienia różnych osób nie pozwalała nam zasnąć podczas tej „wagonowej“ nocy poślubnej. O bilety, dojazdy, a także o wszystkie inne organizacyjne sprawy, dbali nasi niezawodni przyjaciele, których serdeczny trud nie poszedł na marne.



ŚWIAT CIENI

Studiując w Leningradzie, przy każdym powrocie z wakacji, uzupełnialiśmy sowieckie braki rynkowe przywożąc chodliwe towary. Proceder ten był zabroniony, ale tak jak wszyscy rodacy przekraczający granice targaliśmy różne fatalaszki pomału zmieniając sposób ubierania się i wygląd naszych radzieckich kolegów i koleżanek. Władze uczelni udawały, że nic nie wiedzą na ten temat – jednak wiedziały, raczej bardzo dużo. Władze uczelni to pół biedy, tajna policja sowiecka (będę nazywał „KGB”), niewątpliwie skrzętnie zbierała różne informacje w sobie wiadomym celu.

Od wyznania Jurija, że jest jednym z tych studentów, którzy mają mieć nas na oku i meldować co robimy, można było spodziewać się zainteresowania KGB także naszym handelkiem. Świadomość bycia pod obserwacją nie sprawiała żadnej przyjemności, myślałem jednak, że mogą polować jedynie na coś grubszego kalibru, jak szpiegostwo czy przywożenie antysowieckiej literatury. Nie spodziewałem się jednak, aby którykolwiek z kolegów był w coś takiego zaangażowany lub dałby zaangażować się. Zresztą, kto mógłby zaangażować – władze PRL – absolutna bzdura.

Po tej dziwnej wiadomości o obserwowaniu nas było za późno na anulowanie już sfinalizowanych transakcji, trzeba było tylko poczekać, czy będą wyciągali jakieś konsekwencje. Nic takiego nie wydarzyło się..., nie było potrzeby, aby cokolwiek zmieniać w „programie” naszych powakacyjnych dostaw. Z czasem cała sprawa poszła praktycznie w zapomnienie. Nie było też nic, co można byłoby wyciągnąć z nas podczas naszych codziennych rozmów – nawet z tajniakami. Nikogo nie buntowaliśmy, nie wykradaliśmy i raczej nie mieliśmy szans na wykradzenie jakichkolwiek tajemnic.

Gdyby tajniacy donosili, że nie zgadzamy się z opiniami o finansowaniu Polski przez ZSRR, lub uważamy, że w 1939 roku „braterska pomoc” miała charakter agresji – nie martwiliśmy się tym zbytnio. Bez prowokowania gospodarzy nie kryliśmy naszych opinii wyniesionych z domu, za wyjątkiem Katynia, tego tematu nie ruszaliśmy. Jedynie w rozmowach we własnym gronie oceniliśmy utworzenie muzeum martyrologii pod nazwą [Chatyń](#), jako próbę odwrócenia uwagi od faktu wymordowania polskich oficerów. Wymowa nazw obydwu miejscowości mogła wprowadzić w błąd wiele osób, szczególnie zachodnich wielbicieli komunizmu zakładających klapki na oczy, aby nie dostrzec jego zbrodniczego charakteru.

Byliśmy odporni na oficjalną ideologię, a czasami zdarzały się wręcz komiczne sytuacje. W ubikacjach naszego akademika nie zapewniano papieru toaletowego, trzeba było przychodzić z własnym. Jakiś zmyślny student radziecki, po użyciu paru kartek, zostawił resztę podręcznika Historii KPZR do najwłaściwszego zastosowania. Jak wspomniałem, udało się nam uciec od tego przedmiotu, ale podczas „posiedzenia” zainteresowała mnie ta książka. Rzuciłem okiem na kolejną kartkę do użycia – był to Kodeks Budowniczego Komunizmu. Już sam układ tekstu napominał Dziesięć Przykazań a treść, po zamianie Boga przez Partię i zamianie bliźniego na towarzysza, była niewątpliwym plagiatem biblijnych przykazań. Przemiatając kartki natknąłem się też na włączoną do historii KPZR ocenę polsko bolszewickiej wojny. Pomimo opiewanej dzielności niezwyciężonej Armii Radzieckiej autorzy biadolili nad polską klasą robotniczą, która została oszukana przez burżujów i kleryków – co nie pozwoliło Armii Czerwonej na „wyzwolenie jej z okowów imperializmu”.

Podbudowany ekologicznie właściwym wykorzystaniem partyjnej makulatury podzieliłem się tą dobrą nowiną z kolegami. Z czasem musieliśmy przerabiać filozofię marksistowską. Tematem jednego z seminariów było „zniewalające opium religii” ilustrowane na przykładzie Dziesięciu Przykazań. Wykładowca i radzieccy studenci z przekonaniem przedstawiali krytyczne interpretacje Dziesięciorga Przykazań, udowadniali perfidię religii zniewalającej umysły i wolę postępowego chłopstwa oraz klasy robotniczej. Obok mnie siedział Staszek Pietrzak, który często organizował niedzielne wyprawy do jedyne polskiego kościoła w Leningradzie i najaktywniej starał się przedstawić odmienny punkt widzenia.

Pod koniec pierwszej godziny dwugodzinnego seminarium poprosiłem go, aby w czasie przerwy szybko skoczył do biblioteki i przyniósł Kodeks Budowniczego Komunizmu – zrozumieliśmy się w pół słowa. Jemu też przypadł w udziale zaszczyt porównania tekstu Kodeksu Budowniczego Komunizmu z dopiero co odsądzanymi od czci i wiary Dziesięcioma Przykazaniami.

Efekt był niesamowity, radzieccy studenci zbaranieli, tylko jakaś najbardziej „liniowa” komsomołka oburzona zakrzyknęła: *Co wy towarzyszu wygadujecie*. Wykładowca dosyć spokojnie podsumował kontrowersję, że podobieństwa są powierzchowne, a istotną różnicą jest wzniosły cel kodeksu będącego drogowskazem na drodze do zbudowania sprawiedliwości społecznej i szczęścia ludzkości.

Kończąc seminarium wykładowca poprosił, aby radzieccy studenci wyszli, a pozostali tylko Polacy. Bez żadnych zwymyślań spokojnie powiedział: *Ja też jestem Polakiem, wiem, co wy myślicie i jak myślicie. Kiedy tylko zechcecie możemy spotykać się w swoim gronie i dyskutować na te tematy, ale proszę was, aby nie inicjować tego typu dyskusji w obecności radzieckich studentów*. Wyjaśnił też, że ma ustalony program i wykładnię przedmiotu, od których nie może odejść. Na koniec obiecał nam, że wykazując się inicjatywą i zademonstrowanymi oryginalnymi interpretacjami nie będziemy mieli żadnych trudności w zaliczeniu przedmiotu.

Dotrzymał obietnicy. Uprzedził, aby na ostatnie zajęcia przed egzaminami przybyć w komplecie. Po wyproszeniu radzieckich studentów poprosił o podchodzenie do pulpitu z indeksami. Pierwsi odchodzący dyskretnie pokazywali pięć palców, jedynie przed wpisaniem oceny do indeksu Andrzeja Stępnia spytał go: *A ty skąd się tutaj wziąłeś, nigdy ciebie nie widziałem?* Był bliski prawdy. Patrząc na rozbawioną minę wykładowcy chóralnie stwierdziliśmy, że to tylko ze względu na niezbyt okazały wzrost mógł Andrzeja przeoczyć. Zaręczyliśmy też, że Andrzej jest jednym z najwybitniejszych filozofów w naszym gronie, że pominięcie jego indeksu byłoby dziejową niesprawiedliwością. Tak jak wszystkim wpisał mu piątkę. Trochę zaskoczeni i roześmiani podziękowaliśmy wykładowcy, rozeszliśmy się z odczuciem, że niezależnie od tego, co było w tej materii wykładane, nasz wykładowca myślał tak jak my.

Równie lekko „odchorowaliśmy” naukowy komunizm. Nie zmuszano nas do wkuwania bzdurnych utopii na pamięć, w zamian nie angażowaliśmy się w krytyczne dyskusje. Jedynie kolega z młodszego roku Adam Jankowski, ogarnięty duchem Somosierry, wykonał szaleńczą szarżę, o dziwo nie padł. Któregoś dnia jeden z kolegów z jego grupy wpadł do mnie i powiedział: Adama wywałę ze studiów. Wypytyując go o szczegóły dowiedziałem się, że Adam nie mogąc znieść bzdur wygłaszanych na seminarium naukowego komunizmu zabrał głos i punkt po punkcie porównał komunizm z faszyzmem. Przejechał się po monopolu partyjnym i podporządkowanym partii związkom zawodowym. Nie zapomniał o totalnej kontroli społeczeństwa i nachalnej propagandzie, wspominał o obozach i agresywnym charakterze ustroju.

Podobno paru ośmielonych przez lektorkę komsomolców zaczęło wygrażać pięściami a w ogólnym rwetesie lektorka niedwuznacznie zapowiedziała rychły koniec jego studiów. Sytuacja była poważna, zorganizowaliśmy naradę na „najwyższym szczeblu” naszej grupy, to znaczy w moim pokoju. O ile dobrze pamiętam, zgodnie z obyczajami „najlepszych domów Londynu”, na stole pojawiło się wino i coś do chrupania.

Problem był jeden, jak uchronić Adama przed relegowaniem ze studiów. Metodycznie zrobiliśmy listę wszystkich wariantów: (1) rozmowa jakiejś małej delegacji z dziekanem i lektorką; (2) zwrócenie się o pomoc do naszego opiekuna z ramienia Ambasady pana Zakrzewskiego; (3) skłonienie Adama do przeproszenia na najbliższych zajęciach lektorki i radzieckich studentów; (4) przemilczenie całej sprawy i udawanie, że nigdy nigdzie i nic nie zaistniało.

Po długiej dyskusji wszystkich za i przeciw, uwzględniając Adama niechęć do odwoływania czegokolwiek, zdecydowaliśmy się na ostatni wariant – nikt nigdzie nie będzie wspominał o całym zajściu, a na następnych zajęciach Adam będzie grzecznie siedział nawet nie próbując dyskutować – ze wskazaniem – aby niewinnie uśmiechał się do lektorki i najbardziej zagorzałych komsomolców.

Uzasadnienie wyboru tego wariantu było proste, jednocześnie bardzo zmyślne. Gdyby rozpoczęły procedury relegowania, wówczas znając naszą grupę musieliby przewidzieć, że nie zostawimy kolegi w osamotnieniu. Jeżeli przemyślą procedury relegowania dojdą do wniosku, że najbardziej kłopotliwym będzie cytowanie wypowiedzi Adama i utrwalenie ich w postaci jakiegoś protokołu. Przewidzieliśmy też, że będą bali się ruszenia całej sprawy, aby nie nabrała rozgłosu wychodząc poza krąg bezpośrednich świadków wydarzenia.

Gdyby zawiódł ten wariant, wówczas moglibyśmy rozpocząć działania według innych wariantów. Szczególnie moglibyśmy liczyć na pana Zakrzewskiego, który niejednokrotnie dawał się poznać jako człowiek posiadający wiele krytycyzmu w stosunku do panującej rzeczywistości. Na szczęście nie musieliśmy nic robić, wybrana taktyka zdała egzamin, nikt nigdzie nie wspominał o tym incydencie. A to, co utrwalono w jakiejś kartotece KGB, być może posłuży kiedyś jako „podkładka” do nadania Adamowi tytułu Honorowego Szwoleżera naszej uczelni.

W innym incydencie, który powinien nam dać coś do myślenia, grupka poznanych młodych ludzi próbowała szantażować nas, że sprzedaliśmy im jakieś fatałaszkę. Słyszając polską mowę pod pretekstem wielkiego zainteresowania Polską zaprosili się do naszego akademika. Przy którejś z kolei „handlowo towarzyskiej” wizycie wychodząc do ubikacji wynosili różne drobiazgi w zauważalnej ilości. Zażądaliśmy zwrotu. Nie chcieli oddać, a na dodatek zagrozili, że złożą donos o handlu, co doprowadzi do usunięcia nas z uczelni (niewątpliwie, doskonale wiedzieli jak nas szantażować). Pomimo ryzyka nie poddaliśmy się szantażowi. Nie pozwalając im wyjść wezwaliśmy milicję. Z mieszanymi uczuciami uczestniczyliśmy też jako świadkowie w rozprawie sądowej. To, że nie wspomniano ani słowem o naszych transakcjach, może sugerować jakąś małą prowokację zaplanowaną dla zbadania, na ile jesteśmy podatni na szantaż. Tak czy inaczej, odpowiedni raport był niewątpliwie sporządzony.

Powinni mieć parę szaf różnorodnych raportów, o nas wszystkich i o każdym z nas osobno. Nawet o tym, gdy paru polskich studentów jadących tranzytem do Helsinek odwiedziło nasz akademik. Jechali pociągiem z Krakowa na jakieś występy chórów w Finlandii, mieli 24-ro godzinny postój z nocowaniem w Leningradzie. Ktoś ich spotkał na Newskim i serdecznie zaprosił do nas. Gdy tylko przeszli portiernię dwóch „smutnych panów“ spisało u portierki, do kogo poszli. Wprost niewiarygodne, tajniacy chodzili krok w krok za wszystkimi studentami dosyć liczego chóru?

Świadkiem wizyty tajniaków na portierni był jeden z naszych kolegów. Staszek Szelejewski czekał na połączenie z Poznaniem. Przez te swoje lekko przyciemnione okulary dokładnie wszystko widział, a też i słyszał, bo słuch miał muzyczny – nawet najcichsze pianissimo nie przedzwięczałoby umykając jego uwadze. Pomimo wizyty tajniaków na portierni wieczór był cudowny. Do późna w nocy śpiewy i rozmowy napełniały nasze serca radością tego przypadkowego spotkania. Jeżeli KGB nagrywało wszystko, to do dziś chyba trzymają tą taśmę pod ręką, aby posłuchać naszych ładnych piosenek i zrozumieć polską duszę.

Bez względu na to, czy rozumieli nasze dusze, czy nie, na wszelki wypadek napełniali swoje teczuski różnymi raportkami. Właściwie, po co im to było? Nie ma też żadnej pewności, że w ogóle coś takiego było? Ale po latach „obracania się” na tym świecie mam wrażenie, że istnienie naszych teczek wydaje się być czymś więcej niż pewne. Wygląda na to, że „teczkowanie” jest chorobą naszej dwudziestowiecznej cywilizacji. Nikogo już nie dziwią kilometry teczek NRD-owskiej STASI, a także zachowane, spalone, „wyeksportowane”, lub sfalszowane teczki służb specjalnych PRL. Możemy powiedzieć sobie „żyliśmy w paskudnym i obcym nam systemie”, w domyśle, wyszliśmy już z cienia tego systemu, z czasem sprawa umrze śmiercią naturalną.

Jednak, czy „teczkowanie” kiedykolwiek umrze? Weszliśmy w inny świat ogólnikowo określany jako zachodnie demokracje. Z naszego poprzedniego punktu widzenia świat ten był omal idealny. Jest w tym wiele prawdy, ale tylko patrząc wstecz. Wszelkie niedostatki tego zachodniego świata umykały naszemu krytycznemu spojrzeniu, i słusznie, gdybyśmy przywiązywali wagę do niedostatków, wówczas nie mielibyśmy drogowskazu. Teraz jednak musimy uważnie patrzeć na wyłaniającą się za tym drogowskazem płataninę dróg.

W czerwcu 1996 roku wybuchł skandal związany z teczkami FBI ([Files](#)) dotyczącymi około 900 osób (nieoficjalnie 2.000 osób), jakoby przypadkowo „zapotrzebowanymi” przez zauszników prezydenta Clintona. Rozgorzała ogólnoamerykańska dyskusja na temat ewentualnego nadużywania władzy przez administrację Clintona. Pojawiały się spekulacje o możliwościach wykorzystaniu zawartości tych teczek do dyskredytowania „zateczkowanych” osób, do wyciszenia lub szantażowania niewygodnych osobników, itp. W tej dyskusji pominięto jedną drobną, ale istotną rzecz, dlaczego FBI założyło te teckę, w jakim celu zbierało różne informacje umieszczane w tych teczkach? [Dwa lata później w ramach „Afery rozporkowej” tak zwana „Tajna policja Białego Domu” rozpoczęła szantażowanie i zastraszanie bardzo dużej ilości niewygodnych osób, włączając kongresmanów i senatorów.]

W różnych dyskusjach oszacowywano, co może być zarejestrowane w tych teczkach: przynależność do partii i wszelkiego rodzaju organizacji, historia zawodowa oraz działalność społeczna, wystąpienia publiczne (ewentualnie z dokumentacją dźwiękową lub wideo), podróże i rozliczenia finansowe, opinie i plotki osób z otoczenia „zateczkowanego”. Najzabawniejsze, ale najbardziej podatne manipulacji mogą być opinie i plotki. Np. kolega z pracy mógł z całym przekonaniem twierdzić, że w czasie przerwy na lunch „zateczkowany” złośliwie rozlał mu klej na fotelu lub zniszczył obowiązkową dekorację biurka w postaci małżonki z latoroślami. Sąsiadka mogła podejrzewać, że otruł jej kota, itp. Wszystkie takie informacje są skrupulatnie notowane w tych teczkach.

Drugim istotnym pytaniem jest, jak powszechnym jest „teczkowanie” obywateli? Tacy przybysze jak ja powinni mieć w USA swoje teckę. Studiowałem w ZSRR, nie wypruwałem z siebie ostatnich sił za „zielone”, przesiadywałem w bibliotekach, utrzymywałem dużo kontaktów. Ale okazuje się, że wielu amerykańskich obywateli z dziada pradziada też posiada swoje teckę. Co jakiś czas pojawia się jakaś wiadomość, że ktoś tam ma swoją teckę. Zdarzyło się, że ujawniona została informacja o istnieniu teckę jednego ze znanych sportowców – bejsbolisty. FBI gładko wyjaśniło, że nie był on o nic podejrzany a teckę była założona dla jego dobra, np., gdyby go ktoś chciał szantażować? W ten sposób można wytłumaczyć zakładanie teczek dla każdego obywatela, nie mówiąc już o przybyszach.

Określenie „teczki” lub „teczuszki” ma charakter symboliczny. Obecnie do tego celu służą komputery układające w swoich komputerowych szufladkach wszystko – od urodzenia do śmierci. W lokalnych biurach policji już dzieci zaszczytane są zapisami. Kiedyś matka kolegi mojego najmłodszego syna złożyła skargę na policji, że w czasie obrzucania się kamieniami wykazał się lepszym celem i trafił jej syna. Z rozmowy z synem wywnioskowałem, że obydwaj nie byli bez winy – zabroniłem mu brać kamienie do ręki lub w jakikolwiek inny sposób odpowiadać na zaczepki. Wykorzystał to jego oponent, niezagrożony ciskał kamieniami, aż też w końcu trafił w mojego syna. Po nieudanej rozmowie z matką oponenta udałem się amerykańskim zwyczajem na policję. Ponieważ syn znał tylko imię kolegi, dyżurny detektyw szukał raportu złożonego wcześniej przez jego matkę używając jako klucza nazwisko „Sadowski”. Okazało się, że każdy z moich synów ma tam zapis. O sobie lub żonie nie zauważyłem niczego, być może komputer za wcześniej znalazł odpowiedni raport?

Zapisy będą tkwiły w tym komputerze przypuszczalnie tak długo, jak długo będą istniały komputery, chyba, że jakiś super-wirus pożre wszystkie komputerowe pamięci. Błaha były te zapisy, ale były, taki komputerowy początek rejestrujący wszystkie skargi, raporty, oraz obserwacje detektywów dotyczące mieszkańców naszej siedmiotysięcznej miejscowości. Jednak, gdyby zaistniała kiedykolwiek potrzeba,

wówczas taki raport mógłby być podkładką do tezy, że któryś z tych dzieciaków rzucających kamieniami już od najmłodszych lat był agresywny i „anty socjalny”.

Co kryją „teczuszki” FBI? Formalnie każdy może zażądać udostępnienia zawartości swojej teczki. Nawet udostępniona będzie zawierała tylko małą część informacji przechowywanych w przepastnych pamięciach komputerowych. Jeżeli już ktoś dostanie kopię zawartości swojej teczki, wówczas w odróżnieniu od enerdowskich teczek większa część będzie zaczerniona – niekiedy zostawiają tylko datę i jakiś fragmencik nie pozwalający na zorientowanie się, o co w ogóle chodzi. Także, tożsamość donosicieli podlega szczególnej ochronie.

Innym osiągnięciem technicznym w inwigilacji, dosłownie wszystkich mieszkańców USA, jest rejestracja połączeń telefonicznych – kto, z kim i kiedy rozmawiał. Część tych możliwości technicznych jest udostępniona dla abonentów w postaci „caller ID” (identyfikacja numeru telefonu rozmówcy). Pomimo, że cały system został wprowadzony na polecenie rządu USA i sfinansowany z kieszeni podatników, kompanie telefoniczne każą sobie za tą innowację dodatkowo płacić. Indywidualni abonenci mogą zablokować różne warianty użytkowania tego systemu, nikt jednak nie jest w stanie zablokować potężnych komputerów rejestrujących historię wszystkich połączeń telefonicznych. W razie potrzeby komputer wypłuje dokładne dane dotyczące wszystkich rozmów prowadzonych przez wskazanego abonenta, a nawet analizę jego preferencji towarzyskich. Analizując łańcuszki wzajemnych połączeń ustalone będą powiązania towarzyskie, koleżeńskie lub biznesowe [[Totalna inwigilacja](#)].

Na tym jednak rząd USA nie poprzestał. Docelowo kompanie telefoniczne mają zapewnić możliwość nie tylko rejestracji połączeń, ale możliwość kontrolowania treści około 1,5 miliona rozmów telefonicznych jednocześnie [Federal Register, October 1995, strony 53643-53646 [privacy/wiretap](#)]. Przypuszczalnie dzięki hojnemu finansowaniu możliwości te zostały już dawno osiągnięte. Kontrolowanie treści takiej ilości połączeń telefonicznych jednocześnie wydaje się technicznie niemożliwe, także, jakby nie pasujące do naszego wizerunku amerykańskiej demokracji. Rzeczywiście, nie jest to możliwe, aby zatrudniono 1,5 miliona ludzi do podsłuchiwania rozmów telefonicznych. Oprócz kosztów taka armia „podsłuchiwczy” nie potrafiłaby trzymać języków za zębami – zrodziłby się następny ogólnoamerykański skandal. W sukurs przychodzi technika komputerowa. Powstały programy pozwalające na wyeliminowanie klawiatury i „pisanie” tekstu dyktując go za pomocą mikrofonu. Od tego był jeden krok do w pełni zautomatyzowanej komputerowej analizy konwersacji oraz wyłapywania politycznie niepoprawnych inklinacji.

Nowoczesna technologia daje nieograniczone możliwości inwigilowania wszelkiego rodzaju komunikacji pomiędzy mieszkańcami USA. Różne kręgi społeczne występowały przeciwko tym działaniom, nawet żądano przerwania tak szeroko zakrojonych planów, jakby żywcem wziętych z „[Rok 1984](#)” George’a Orwell’a. W sukurs rządowi USA przyszedł wybuch w Oklahomie (1995.04.19), gdzie zginęło 168 osób [[Zamach bombowy w Oklahoma City](#)] i tragedia World Trade Center [[Zamach na WTC](#)] wyciszając oszołomioną tymi tragediami opozycję.

Kwestia niewyobrażalnych wręcz możliwości inwigilowania obywateli przez tajną policję może być mniej lub bardziej przychylnie akceptowana, ale tylko do momentu, do którego policja ta jest pod społeczną kontrolą. Gdyby jednak nastąpiło jakieś zachwianie demokracji, lub przynajmniej krytyczne skorumpowanie części aparatu państwowego, lub rządu, wówczas maszyna inwigilacyjna oraz istniejące środki przymusu w przeciagu doby mogą zmienić każde państwo w klasyczną totalitarną dyktaturę posiadającą pełną kontrolę nad obywatelami.

Problem inwigilowania był i jest problemem międzynarodowym. Od dłuższego czasu wywiady stosują programy komputerowe do automatycznego analizowania monstrualnych ilości informacji przechwytywanych w różnych językach świata – w żargonie specjalistów programy te nazywane są „dictionary”, czyli „słowniki”.

Przechwytywane są rozmowy telefoniczne, nawet z tradycyjnej drutowej sieci telefonicznej, przechwytywane są fakсы i transmisje radiowe na wszystkich częstotliwościach. [Po napisaniu tekstu (1998r.) ten globalny system szpiegowski „ujawnił się” jako „[Echelon](#)“. W sferze Internetu FBI stosuje szpiegowskie systemy „[Carnivore](#)” oraz „[Etherpick](#)”. A u nas w Polsce?.]

Nawet tekst pisany na komputerze, przed jakimkolwiek jego opublikowaniem, może być na bieżąco monitorowany za pomocą odpowiedniego urządzenia ulokowanego w odległości nawet paru setek metrów od włączonego komputera. Wyobraźmy sobie, że ktoś przygotowuje na komputerze ofertę na jakiś intratny przetarg. Konkurenci mogą poznać tą ofertę zanim przygotowujący wydrukuje ją i włoży do zalakowanej koperty. Skandal z monitorowaniem przez Amerykanów poufnych narad Japończyków podczas rozmów gospodarczych w Japonii został szybko zatuszowany. Niewątpliwie, Japończycy starają się zabezpieczyć na przyszłość przed tego typu „podglądaniem kart”.

Po prostu trzeba zdawać sobie sprawę, że po zakończeniu „zimnej wojny” supertajne technologie i specjaliści wprawieni w ich zastosowaniu pracują zarówno dla firm prywatnych jak i rządów. Zbierają poufne informacje dotyczące wszystkich dziedzin życia. Nie należy ludzi się, że nasi politycy i nasze firmy nie będą narażone na zaawansowane technicznie „podglądanie kart”. Nawet prywatne rozmowy prowadzone przynajmniej przez ludzi „na świeczniku” nie będą tajemnicą dla zainteresowanych „podglądaczy”. Są jednak stare jak świat i niezawodne sposoby.

Supertajna technologia zawiodła w przypadku Aidid’a, którego chcieli zlikwidować Amerykanie. W 1993 roku wysłali do Somalii 30.000 żołnierzy i wyznaczili 25.000\$ nagrody za jego głowę [[Operacja w Mogadiszu](#).] Świadomie lub nieświadomie Aidid zrezygnował z wszelkich współczesnych środków przekazywania informacji. Rozkazy ustne lub ręcznie pisane były przekazywane przez kurierów. Nie skusił się na telefon satelitarny, który pozwolił na zlokalizowanie i zabicie Dudajewa (Czeczenia, 1996.04.21). [Atak był niezwykle precyzyjny i ukierunkowany na zabicie jednego człowieka. Znajdująca się w bliskiej odległości żona Dudajewa wyszła praktycznie bez szwanku.]

Pomijając rządowe możliwości zbierania i analizowania informacji trzeba wspomnieć o gromadzeniu informacji o obywatelach przez różne organizacje pozarządowe. Wszystkie aspekty życia obywateli są skrupulatnie rejestrowane przez instytucje finansowe, konsumenckie, polityczne i religijne. Informacje takie w postaci komputerowych baz danych są selektywnie dostępnych dla tajnej policji. Wprowadzane „plastikowe pieniądze” doskonale ilustrują sytuację finansową obywatela jak też czas i lokalizację każdej transakcji. Po prostu osoby posiadające dostęp do baz komputerowych baz danych widzą obywateli „na golasa”, włącznie z informacjami o stanie zdrowia i gatunku używanych perfum.

Jest przynajmniej jedna taka organizacja pozarządowa, która konkuruje – a czasami współpracuje – z agencjami rządowymi. Konkurencja polega na tworzeniu baz danych zawierających jak najwięcej informacji o każdym zarejestrowanym obywatelu. W tym celu oprócz własnych źródeł wykorzystywane są informacje otrzymywane lub kradzione z komputerów policji i rządu. Pieniądze oraz inne formy wynagrodzenia zapewniają efektywny przepływ informacji. Skandal z penetrowaniem rządowych baz danych, na różnych szczeblach, przez „Ligę Antydefamacyjną” (Anti-Defamation League of B’nai Brith) został szybko wyciszony, nie doczekał się rzetelnego wyjaśnienia [np. [ADL „monitors”](#)]. Właściwie, oprócz karalności kradzieży, nie istnieją w USA chyba żadne ograniczenia prawne regulujące zbieranie danych o obywatelach przez osoby prywatne lub różne organizacje. W odróżnieniu od formalnych zobowiązań rządu organizacje takie nie mają obowiązku udostępniania swoich „teczek” do wglądu zainteresowanym obywatelom. Ponadto, mogą bezkarnie inwigilować różne oficjalnie stowarzyszenia i partie polityczne, gdy agendy rządowe mają jeszcze nie zawsze przestrzegane ograniczenia.

Wyobraźmy sobie sytuację, w której organy państwowe nie brudzą sobie rąk inwigilacją przeciwników politycznych, w zamian jakaś „liga” robi taką krecią robotę i dostarcza wyniki rządzącej partii, lub publikuje specjalnie wyselekcjonowane, często naciągane informacje, o „ekstremistach“, „oszołomach“ itp. Taki scenariusz dobrze wypróbowany w USA staje się coraz bardziej realny u nas. Więcej, agenci informatorzy, a czasami prowokatorzy, bezkarnie penetrują różne legalne organizacje w jednym tylko celu – zniszczenia ich – czego rządy nie mogły dotychczas robić (legislacje antyterrorystyczne w pewnym sensie rozmywiają tego typu ograniczenia).

Politycznym przykładem w USA był [Lyndon LaRouche](#). Dzięki poparciu finansowemu du Pont’a głosił oryginalne koncepcje polityczne – wsadzono go na długie lata do więzienia. W wielkim skrócie jedna z wielu „technik” wpakowania go za kratki polegała na podstawieniu agentów prowokatorów maskujących się jako zwolennicy i wolontariusze. Po zatrudnieniu się agenci ci celowo łamali prawo dokonując np. przestępstw finansowych. Proces w stylu „[Kangaroo court](#)”, co można przetłumaczyć jako mały sąd, zrelacjonowany był paroma linijkami podającym wyrok. Porównanie niekończących się relacji z procesu [O. J. Simpson'a](#) o morderstwo ze sprawą LaRouche’a daje pełny obraz inklinacji amerykańskich publikatorów, nasze publikatory nie pozostają w tyle.

Także, wysadzenie z siodła prezydenta Nixona nosi znamiona zorganizowanej prowokacji. W czerwcu 1972 roku wynajęci przez komitet reelekcji Nixona włamywacze włamali się do kwatery głównej demokratów [[Watergate](#)]. Dziwnym było, że włamywacze ci nie wiedzieli, jakie nieistniejące „tajemnice” mieli ukraść – zrobili jednak wszystko, aby dać się złapać na „gorącym uczynku”. Reszty dokonali „przyjaciele” Nixona skłaniając go do tuszowania całej sprawy. Trzeba przyznać, że Nixon wykazał się brakiem wyobraźni i „nomenklaturową” arogancją.

W odróżnieniu od skandalu „oralnego” Moniki z Clintonem publikatory z natchnieniem przewodziły w nagonce na Nixona. W przypadku Clintona publikatory skromnie zrezygnowały ze swoich „opiniotwórczych” aspiracji, w zamian wpadły w amok publikowania wyników badań opinii publicznej „badań” w znanym nam stylu: „Partia z narodem naród z partią”. Wiarygodność tych badań oraz wyselekcjonowanych wywiadów „na żywo” przypominała wiarygodność „Trybuny Ludu” oraz Głównego Urzędu Statystycznego w okresie 99,99% poparcia polityki partii i rządu PRL.

W takim „wykańczaniu” nie chodzi tylko o politykę, konkurentów gospodarczych załatwia się w podobny sposób. Dobrze opłacany agent specjalista po zatrudnieniu się w przewidzianej do zniszczenia firmie – np. na stanowisku głównego księgowego – wsadzi do więzienia właściciela i wszystkich, którzy mogliby ten biznes kontynuować. Jako koronny świadek uniknie wszelkiej odpowiedzialności, a za swoją robotę do końca życia będzie opływał w dostatkach. Jednym z przykładów była sprawa firmy „Stanco”(?), Polaków rozwijających biznes zagrażający kosztownym konkurentom, zostali skazani na długoletnie więzienie.

Ponadto, stosując wyrafinowane techniki i „dojścia” różne organizacje lub „ligi” mogą kontrolować osoby prywatne i publikatory, w efekcie kontrolować najwyższe władze. Poprzez biznesowe powiązania mogą zwiększyć lub zahamować dopływ reklam – tak istotny do utrzymania się na rynku „przyjaznych”, lub zniszczenia „wrogich” publikatorów. [Jednym z ośrodków totalnie kontrolujących napływ ogłoszeń jest prowadzona przez żydowską „Ligę Antydefamacyjną” tajna „Sekcja Reklam” (Advertising Lodge) niszcząca dopływ reklam do publikatorów ośmielających się publikować niemiłe im informacje.]

Poprzez utrzymujące się na rynku „przyjazne” publikatory „ligi” będą miały decydujący wpływ na wybór „swoich” posłów, senatorów i prezydenta. W fałszywej aurze demokracji obywatele będą mieli do wyboru któregoś z „przyjaznych” ligom przedstawicieli – innych nie będą znali, albo uwierzą we wszystkie dyskredytujące informacje. Taka wizja – niestety, nie tylko wizja – stawia przed społeczeństwem jedno z najpoważniejszych zadań: utrzymanie wolności, różnorodności i niezależności publikatorów. Powinniśmy też przypomnieć o naszej wyjątkowej umiejętności „czytania pomiędzy wierszami”.

Inną metodą niszczenia „nieprzyjaznych” są procesy sądowe. Zakładając nawet rzeczywistą niezawisłość sądów jakaś dobrze finansowana „liga”, poprzez liczne procesy, potrafi zniszczyć nieprzyjazne organizacje i publikatory. Przykładem takiego postępowania jest „kościół scjentologiczny”. Dla zniszczenia organizacji ostrzegającej przed kultami „[Cult Awareness Network](#)” w ciągu około ośmiu lat „scjentolodzy” wytoczyli 53 sprawy sądowe, w swojej masie przegrane, tym niemniej rujnujące tą organizację. Więcej, w ramach sprzedaży majątku zbankrutowanej organizacji „kościół scjentologiczny” nabył jej logo, archiwa, itp. Powstała horrendalna sytuacja, coś w rodzaju kultu, kontynuuje prowadzenie organizacji ostrzegającej przed kultami. Podobno z punktu widzenia prawa wszystko jest w jak najlepszym porządku?

Innym celem „teczek”, „teczuszek” i przepastnych pamięci komputerowych jest wywiad i pozyskiwanie agentów. Na ten cel żadne państwo nie żałowało i nie żałuje środków. W czasie naszego pobytu w Leningradzie komputery były jeszcze w powijkach. Nasze na pewno istniejące tradycyjne „teczki” niewątpliwie wypełniane były ręcznie pisanymi raportami, tak na wszelki wypadek, bo może ktoś zrobi coś niecnego i kiedyś będzie okazja do jakiegoś szantażyku. W tych sprawach Sowietci byli bardzo skrupulatni, niewątpliwie nie tylko oni.

Będąc już w USA doskonaliłem język angielski czytając różne książki i czasopisma. Pewnego razu wpadła mi w ręce książka pod tytułem „KGB” opisująca różne afery szpiegowskie i sowieckie rezydentury. Rozpoznałem tam nazwisko znanego mi przelotnie człowieka, sowieckiego dyplomaty wymienionego jako agent KGB. Oczywiście, nie miałem wątpliwości o kogo chodzi. Poznałem go w ambasadzie ZSRR w Warszawie załatwiając sprawy związane z wyjazdem do Leningradu na 10-lecie ukończenia studiów, był sekretarzem ambasady, bardzo długo oraz niechętnie załatwiał nam formalności wyjazdowe. Uczelnia też z jakiś względów nie była zachwycona naszą inicjatywą zorganizowania zjazdu absolwentów. W końcu jednak zgodzono się, zgłosiłem się do sekretarza, aby złożył podpis na liście uczestników zjazdu upoważniający do wydania wiz.

Drzwi do pokoju sekretarza otwierały się do wewnątrz na prawą stronę. Okazałe biurko było na wprost drzwi a za nim na fotelu pod oknem siedział równie okazały sekretarz. Po lewej stronie pokoju też były drzwi, a po prawej stronie stała pokaźnych wymiarów szafa pancerna. Pomiędzy szafą i drzwiami, tuż przy wejściu, stał marny stolik z krzesłem praktycznie niewidoczny przy pełnym otwarciu drzwi. Podeszedłem do sekretarza z naszą listą – uśmiechnął się jowialnie i spytał, czy wszystkie osoby na liście to Polacy absolwenci LITMO, czy są też osoby towarzyszące. Ponieważ było parę osób towarzyszących poprosił mnie, abym usiadł przy rachitycznym stoliku w rogu przy drzwiach i zaznaczył, kto jest kto.

W czasie zaznaczania weszło bez pukania dwóch mężczyzn – otwarte szeroko drzwi zasłoniły mnie w cieniu za szafą. Jeden z nich, szczupły, z ciemnymi lekko falującymi włosami, około 165 cm wzrostu, wprowadził młodego mężczyznę o sportowej sylwetce, blondyna, około 173 cm wzrostu – ostrzyżonego na języka. Blondyn zameldował się, było oczywistym, że ciemny garnitur z jaśniejszymi niteczkami nie był czymś, co przyodziewał on codziennie.

„Wprowadzający” był urzędnikiem wydającym wize. Przedstawił wprowadzonego jako „naszego żołnierza wojsk ochrony pogranicza na Okęciu” – dokładnie tak jak napisałem – nie było wątpliwości, ponieważ powiedział *Eto nasz soldat...* Prosił o pozwolenie wydania wize na przekroczenie granicy z ZSRR w ważnych sprawach rodzinnych. Oprócz tej konwersacji nigdy i nigdzie nie słyszałem o jakichkolwiek sowieckich wojskach ochrony pogranicza stacjonujących na Okęciu. Szwagier, będący pilotem LOT, też nic takiego nie słyszał – a jednak widziałem tego żołdacika wciśniętego w cywilny garnitur i słyszałem całą rozmowę. Jedyne, gdy wracający z USA samolot LOT rozbił się przy podchodzeniu do Okęcia, były jakieś pogłoski, że szczątki spadły na baraki z sowieckimi żołnierzami. Zdjęcia i komentarze udowadniały, że baraki nie były zamieszkałe.

Przed wyjazdem na zjazd do Leningradu wysłaliśmy listy do paru bliskich nam absolwentów, którzy razem z nami kończyli LITMO – i dobrze, bo nie spotkalibyśmy ich. Okazało się, że w tym samym roku odbył się już zjazd kilku roczników, dlatego nie chcieli nam dać wiz we wcześniejszym terminie. Tak opóźnili nasz wyjazd, abyśmy nie mieli okazji spotkania się z nimi, a nawet, abyśmy nic nie wiedzieli o tym zjeździe.

Mała grupa miejscowych absolwentów „wytypowana” na nasz zjazd pracowała na uczelni lub robiła partyjne kariery w Leningradzie – a paru osób nie mogłem w ogóle przypomnieć. Szczególnie jednej takiej „krasawicy” – filigranowej wiotkiej dziewczyny o błękitnych oczach i ciemnych włosach okalających delikatną twarz ozdobioną pięknie ukształtowanymi wargami. Jeszcze przed uroczystym wieczorem w restauracji jeden z naszych kolegów zaprosił mnie do mieszkania swego rosyjskiego przyjaciela, Loni G. Okazało się, że jest on na wyjeździe i nie zdąży wrócić z delegacji, aby spotkać się z nami. W malutkim przytulnym mieszkanku była jednak jego żona – „krasawica”. Jakby uprzedzona o naszej wizycie wdzięcznie zapraszała do suto zastawionego stołu. Twierdziła, że też studiowała na młodszym roku, ale takiej dziewczyny nie mógłbym nie zauważyć, w tej materii miałem dosyć ostre oko.

Oficjalne przyjęcie było zorganizowane w eleganckiej restauracji. Oprócz paru osób z kadry i tych „oddelegowanych” na nasz zjazd, ku niezadowoleniu organizatorów, pojawili się absolwenci zawiadomieni przez nas osobiście. Popijając i wspominając studenckie lata tańczyliśmy i podśpiewywaliśmy. Brakowało nam naszego ulubionego profesora elektroniki, Feliksa Pawłowicza Bałabieja, brakowało też nam naszego przyjaciela, Estończyka, który jeszcze nie dojechał... Ale była „krasawica”, oczywiście bez męża.

Z odległości paru miejsc, spojrzeniami, uśmiechem i gestami, zachęcała mnie przynajmniej do kontynuowania naszej konwersacji rozpoczętej rano w jej mieszkanku. Odańczyłem grzecznościowy taniec z jedną z lektorek, parę tańców z koleżankami z grupy, ale nie odpowiadałem na zachęcające gesty „krasawicy”. Tak w trzy czwarte alkoholu i wieczoru, „krasawica”, elegancko, ale skromnie ubrana, z bardzo delikatnym makijażem, sama poprosiła mnie do tańca. Był to jakiś wolny taniec, przylgnęła całym ciałem przytulając twarz. Nie tańczyliśmy w ten sposób tego wieczoru – raczej rozmawialiśmy i żartowaliśmy podczas tańczenia. Właściwie w miejscach publicznych nigdy tam tak nie tańczono, a byli przecież jakoby jej znajomi i paru wykładowców.

Samo przylgnięcie to mało, *Dlaczego ze mną nie tańczysz, jest taki piękny wieczór, mamy jeszcze tyle czasu...* Wiadomo jak mężczyzna czuje się w takiej sytuacji, ciepło i siła przyciągania emanująca z drobniutkiego ciała kobiety, obiecujący szept pieszczący dotykiem warg ucho, i jej włosy na policzku – nasycone delikatnym aromatem konwalii. Rozgrzane ręce coraz silniej obejmowały wiotką talię i przygarniały górę, aż do pełnego wgięcia jej podatnego ciała... A o pęczniejącym samczym instynkcie, to już lepiej nie wspominać. Było w tym jednak „coś nie tak”, jakiś fałsz lub niebezpieczeństwo w całym splocie wydarzeń. Nawet nie to, że chyba jej nigdy wcześniej nie widziałem – prawdę mówiąc, nawet nie myślałem wówczas o jakimś fałszu lub niebezpieczeństwie. Właściwie, myślenie w takich sytuacjach odgrywa bardzo ograniczoną rolę..., raczej instynkt. Trzymając ją taką wtuloną i muskając jej ucho pod odchylonymi włosami sam nie wiem dlaczego wyszeptalem: *Nie mogę z tobą tańczyć, jesteś za ładna dla mnie, nie będziemy więcej tańczyli.*

Po jakimś czasie to dziwne wydarzenie zaczęło wpisywać się w mozaikę innych spostrzeżeń, wcześniejszych i późniejszych. Dlaczego nie pochłonęło mnie jej wtulenie? Miała jakoby męża..., znałem go tylko z widzenia. Byłby najwyżej rogowcem za sprawą swojej czarującej małżonki – i sam byłby sobie winien wybierając taką „przylgłiwą” połowicę. Jednak nie pochłonęło mnie jej wtulenie. W podświadomości były już chyba pierwsze zarysy jakiejś mozaiki, jakiś dzwonek ostrzegawczy, który powstrzymał mnie.

Przypuszczalnie chodziło w tym wszystkim właśnie o to, aby jej prawdziwy lub udawany małżonek był rogowcem śpieszącym ze służbowego wyjazdu na spotkanie z przyjaciółmi ze studenckich lat.

Wpadłby z jakimś jeszcze towarzyszem podróży, aby ogarnąć się w domu przed spotkaniem z dawno nie widzianymi kolegami i zastałby małżonkę w łóżku, z „przyjacielem”. Obiłby mordę, a towarzysz robiłby zdjęcia – tak dla fasonu – ponieważ „niewierna małżonka” wcześniej już wyreżyserowała przed ukrytą kamerą wszystko, czego ją na takie okazje nauczono. Tak właśnie widzę tamte wydarzenie po latach, najbardziej prawdopodobny scenariusz tego, co mogło nastąpić. Może mieli jakieś plany w stosunku do mnie. Jeżeli jednak pomyliłem się, to tylko moja wina, że nie tańczyłem z nią do końca. Być może był to jeden z przypadków powstawania jakiejś niewidzialnej, ale dogłębnie odczuwalnej i pasjonującej aury wzajemnego przyciągania.

Tym kolegą, który zaprowadził mnie do mieszkanka „krasawicy” był Janusz, około trzech lat młodszy ode mnie. Gdy zaczynaliśmy studia w Leningradzie uczyliśmy się języka rosyjskiego jako języka obcego, wiele nam jeszcze brakowało do swobodnego porozumiewania się w tym języku. Wówczas on, tak jak większość moich młodszych kolegów, dopiero rozpoczynał swój męski wiek. Zajęcia prowadziła o parę lat starsza od nas lektorka. Pełna, nawet można powiedzieć tęga, jednak o świeżym i jędrnym ciele. Miała ciemne gładkie włosy oraz ciemne trochę zagadkowe oczy. Nie był to typ kobiety automatycznie przyciągającej męską uwagę, ale wielokrotnie spotykałem się z przykładami, że nawet bardzo przystojni mężczyźni zawiązywali trwałe związki właśnie z takimi kobietami.

Po prostu każdy mężczyzna ma inny gust, a mężczyzna zaczynający być mężczyzną może jeszcze nie mieć żadnego gustu. Złożyło się, że w ramach zajęć uzupełniających zorganizowała ona wyjście do teatru. Spektakl skończył się późno, koledzy uważali, że trzeba jednak, aby ktoś odprowadził ją do domu. Nie byłem przy tym – być może grali w marynarza – a może Janusz sam zdecydował, że poświęci trochę czasu, aby ją odprowadzić. Okazało się, że nie wrócił na noc do akademika. Nie wracał jeszcze parę razy, a potem wyprowadził się na stałe.

Na początku myśleliśmy, że szybko mu to przejdzie. Trudno też było wyobrazić sobie jej dalsze zatrudnienie jako naszej lektorki. Rzeczywiście, po jakimś czasie zmieniono lektorkę. Janusz kompletnie odizolował się od nas, widywaliśmy go tylko na zajęciach. Dopiero gdy oświadczył, że wziął ślub, wówczas spotkaliśmy się parę razy z nim i z jego małżonką, ale atmosfera tych spotkań była dla wszystkich bardzo uciążliwa. W pewnym momencie gruchnęła wieść, że Janusz wrócił do akademika. Wyglądał jak ktoś na granicy kompletnego załamania psychicznego. Opuszczał zajęcia, przesiadywał osowiały w pokoju, czasami zniknął na całe dni – czyżby wracał do niej? Raczej nie, może odwiedzał teścia, którego w jednym z nielicznych zwierzeń traktował jako przyjaciela. O niej nic nie mówił, tylko jeden raz wyrwało mu się, że pobił ją na rozstanie, a teść przyznał mu rację. Jednak nie było w nim ani zazdrości ani tęsknoty – cóż innego mogło go tak dręczyć?

Janek, jego współmieszkaniec, powiedział mi: *Porozmawiaj z Januszem, jest z nim bardzo źle, może stać się coś złego*. Wszyscy wiedzieliśmy, że z Januszem jest niedobrze, ale miałem wrażenie, że wychodzi już z kryzysu tego przypadkowego małżeństwa. Właściwie, nie mogłem sobie wyobrazić skąd ten kryzys, nie wyglądał na stęsknionego ani na ciągle myślącego o niej, wyglądał raczej jak obity pies. Nawet nie żalowałem go – jeszcze przed ślubem – gdy mieszkał u niej, parę razy koledzy mówili mu: *Zostaw ją, ona nie jest dla ciebie, jest o wiele starsza, a w ogóle, to co robisz, to nie ma sensu*.

Spotkałem go, gdy wychodził z akademika. Szedł do baru na rogu na sardelkę z kaszą manną – dołączyłem. Po posiłku zaprosiłem go do „Sowietskoje Szampańskoje” na Gorkiego. Aby nie tracić czasu przejechaliśmy jeden przystanek metrem. Po krótkim spacerze byliśmy w barze sprzedającym mocną mieszankę szampana z koniakiem. W zatłoczonej powiększonej lustrami sali było gwarno i tłoczno. Docisnęliśmy się do kontuaru i z dwoma szklaneczkami „pół na pół” wycofaliśmy się pod duże okna wystawowe. Rozmowa ożywiła się, ale rozmawialiśmy na różne obojętne tematy. Po wypiciu Janusz zaproponował, abyśmy podjechali do innego „Sowietskoje Szampańskoje” na Newskim Prospeckie. Powtórzyłem kolejkę, później on zrewanżował się. Powiedziałem *Janusz weź się w garść, straciłeś już premię za dobre oceny, a dzisiaj przepijamy tą resztę*.

Był już na luzie, odpowiedział: *Nie dbam o to*. Wyszliśmy, nawet nie patrząc w którą stronę idziemy, trafiliśmy do jakiegoś niedużego parku. Spytałem go: *Janusz, co się z tobą stało, pamiętasz, gdy po jakiejś imprezie spotkaliśmy się w „Domu Drużby”*. Wyglądało na to, że wszystko już ci przeszło, chciałeś tylko trzymać fason przed nami – była ci już zupełnie obojętna?... *Tak, prawie że tak, ale nie chcę o tym wspominać..., powiem ci tylko jedną rzecz..., żebyś wiedział..., w Białym Domu (siedziba KGB) wszystko o nas wiedz, ile ty i ile ja, i każdy z nas, ile sweterków sprzedaliśmy..., wszystko wiedz o sweterkach, o dziewczynach, gdzie chodzimy i co robimy*.

W głębi duszy nie wierzyłem, aby wszystko wiedzieli, było to wręcz niemożliwe. Jego zwierzenie traktowałem jako wynik załamania psychicznego. Oczywiście, coś tam wiedzieli, ale wszyscy miejscowi studenci nie mogli być szpiclami, a nawet gdyby niektórzy byli, zżyli się z nami i nie musieli wszystkiego raportować. Powiedziałem: *Janusz najwyżej nas odeśła, ale przecież wszystkich nas nie odeśła, nie przejmuj się... Tak, mam to w dupie – ich i ja – mam ich wszystkich w dupie*, odpowiedział. Znaleźliśmy w końcu stację metra – nie chcieli nas wpuścić – szampan z koniakiem było widać i czuć na dużą odległość – w okolicy akademika wróciliśmy jakimś autobusem.

Janusz pomału dochodził do siebie. Znikał czasami na całe dni, ale poprawił się w nauce. Moje kontakty z nim były luźne, zauważyłem tylko, że odseparował się od nas i najwięcej czasu spędzał z dwoma Rosjanami, jednym z nich był Lonia, przyszły „mąż krasawicy”? Około pół roku później wpadł do mnie na pogawędkę, nie było już żadnych śladów załamania psychicznego. Opowiadał o Loni, jaki to równy facet. Poznał też ojca Loni, podobno przywoził z Syberii samorodki złota. Spytałem go: *Jak to tak, znalazł gdzieś na Syberii złoto i przywiózł, przecież złapaliby go gdyby sam to wygrzebywał – a i tak nie ma szans na spieniężenie tego... To nie tak* – odpowiedział – *on nie szuka, jedzie i bierze, to są tacy ludzie, którzy mogą robić wszystko*.

Opowiadanie o Loni i jego ojcu nie było jednak celem jego wizyty, chciał wstąpić do PZPR. W tym czasie w naszej grupie nie było żadnego partyjnego, chyba nawet ani jednego członka ZMS, który w zastępstwie partyjnego mógłby udzielić mu rekomendacji. Byłem kompletnie zaskoczony jego decyzją, w końcu znaleźliśmy się już parę lat, miał tyle samo wspólnego z partią co wszyscy z nas, to znaczy nic. Gdyby chciał wstąpić do jakiegoś „kółka różańcowego”, wskazałbym mu paru „wprowadzających”, ale do PZPR?

Pomimo tego zwołałem na jego prośbę zebranie całej grupy. W zastępstwie „wprowadzających” grupa studencka mogła wystawić odpowiednie rekomendacje. Właściwie..., myśleliśmy..., że po uprzednim załamaniu coś mu „odbiło”. Nie odpowiedział jednak na bardzo proste pytanie: *Janusz, poznaliśmy się już dobrze, powiedz, dlaczego chcesz wstąpić do PZPR?* Nie potrafił odpowiedzieć, nie dostał naszej rekomendacji. W końcu znalazł kogoś z innej uczelni, przed zakończeniem studiów jeszcze parę osób poszło jego śladem.

Po wstąpieniu do polskiego PZPR przebywał ciągle w towarzystwie sowieckich „towarzyszy”, przestał nawet wyjeżdżać na wakacje do Polski. Gdy wracaliśmy opowiadał, jak wspaniale spędzał czas: sport, niebezpieczne przygody i wspinaczki, Gruzja, przyjaźnie z jakimiś ustosunkowanymi ludźmi. Nabrał tężyzny i pewności siebie, nie był już takim młokosem, który tak łatwo wplątał się w męsko damskie tarapaty. Dominowała pewność siebie, dawało się zauważyć jakieś poczucie wyższości.

Po zakończeniu studiów rozpoczęliśmy pracę w firmie obiecującej przydzielenie mieszkań w Warszawie. Przepuszczalnie w wyniku marcowych rozsad 1968 roku rzeczywiście dostaliśmy zameldowania i mieszkania – byliśmy sąsiadami. Ale zanim dostaliśmy zameldowania i mieszkania były strajki studenckie, demonstracje i rozrzucane w naszym zakładzie ulotki. Jeden z kolegów, Staszek, podrzucał ulotki, a Janusz, gdy na nie trafiał, odnosił je do komitetu partyjnego sugerując wzmożenie partyjnej czujności. Wiedziałem o obydwóch co robili, zastanawiałem się, co zrobiłby Janusz, gdyby złapał Stacha za rękę z ulotkami? Jako dawny starosta musiałbym chyba zaaranżować jakieś mediacje, aby uniknąć kierowania kontrowersji na forum komitetu zakładowego.

Sam stałem na uboczu. Przez zimę doświadczyłem przymarzania nóg do ściany pod okienkiem w wynajmowanej jako pokój składówce przy Alejach Niepodległości – wołami nikt nie zaciągnąłby mnie na demonstrację. W maju mieliśmy otrzymać mieszkania w „cudzie budowlanym” na Grójeckiej. Kalkulowałem, że gdyby mnie „trafili” na demonstracji, wówczas szlag by trafił zameldowanie i mieszkanie. Podawałem jednak tym wspaniałym chłopakom za ogrodzeniem Politechniki Warszawskiej wałówkę, ponieważ pomijając rozgrywki na górze mieli rację: „PRASA KŁAMIE” [oj, aktualne do dzisiaj].

Oprócz zbierania ulotek Janusz stał się zdumiewająco aktywny. W czasie studiów nigdy i w żadnych sprawach nie był tak aktywny. Tylko jeden zatrudniony w naszej firmie absolwent Leningradzkiego Uniwersytetu chwilowo go „przerósł”. Opublikowali w „Życiu Warszawy” wywiad z nim, w którym potępiał polskich studentów stawiając za wzór studentów radzieckich. Bojkotowaliśmy go, zresztą tak jak większość pracowników firmy. Ten powszechny bojkot bardzo mu dokuczał. Po jakimś czasie zaprosił się do nas na kawę: *Dlaczego ignorujecie mnie i moją żonę (była Rosjanką), co wy przeciwko nam macie, przecież powinniście pomóc przynajmniej dla niej, aby ułatwić jej adaptację.* Powiedzieliśmy mu wprost: *Jakich żeś ty bzdur nagadał dla „Życia Warszawy”, zrobiłeś świństwo nam, sobie i swojej żonie – nie chcemy mieć z tobą nic wspólnego.* Ujęła nas jednak jego szczerość i otwarte postawienie sprawy, uwierzyliśmy mu, że włożono w jego usta słowa, których nigdy nie wypowiedział. Pomimo, że nie znaliśmy się z Leningradu, przyjęliśmy go do naszego towarzystwa.

W międzyczasie Janusz stawał się coraz bardziej „pryncypialny”, poszedł pracować do Mennicy, bywał z „robotnikami” demonstrować „wołę ludu” przeciwko „przebaczamy i prosimy o przebaczenie”, itp. Utrzymywaliśmy z nim normalne kontakty, uważaliśmy, że wybrał taką właśnie drogę do robienia kariery w PRL. Wielu normalnych ludzi wybierało taką drogę. Rozumieliśmy to, jednak nie naśladowaliśmy jego postępowania, nie rwaliśmy się do tego typu kariery. Pomimo tej transformacji w „aktywistę” Janusz nie robił wrażenia śliskiego karierowicza, wyglądało, że on głęboko wierzył w to, co robił – coś takiego można było tolerować, nawet nie pochwalając jego postępowania. Organizowaliśmy razem różne prywatki, nawet jedne wakacje spędziliśmy na Mazurach. Był u niego kolega z Sojuza z żoną, Lonia też odwiedził go na jeden wieczór z paroma nieznanymi mi osobami, nie zaprosili mnie do tego towarzystwa, zresztą ja też nie zawsze zapraszałem Janusza, gdy miałem swoich gości.

Z przypadkowych spotkań z niektórymi z jego gości zorientowałem się, że obraca się też w towarzystwie osób z MSW [Gdy wyjechałem do Francji odwiedzić siostrę żony, zostawiłem Januszowi motorówkę. Uprzedziłem go o wycieku oleju z przekładni silnika – po powrocie przekładnia była zniszczona. Aby usprawiedliwić się przyprowadził mechanika, który przedstawił się jako pracownik MSW. Twierdził, że zrobił coś tymczasowo, ale nie wymieniał uszczelek: „bo Janusz powiedział, że pan już nie wraca?”.] Nie było to nic nadzwyczajnego, w różnych towarzystwach można było spotkać ludzi pracujących w najróżniejszych instytucjach. Zdziwiłem się dopiero wtedy, gdy zaczął wyjeżdżać do Szwecji. Nie pasowało mi to do jego „pryncypialnej ideowości”. Dorabiał przy produkcji waty izolacyjnej, a jednocześnie jacyś jego przyjaciele wprowadzali go w szerszy świat. Uczestniczył nawet w spotkaniu podczas którego, jak mówił, stał przy Olofie Palme na wyciągnięcie ręki.

Tylko jeden raz wygadał się, że ma bardzo wysoko ustawione znajomości w jakichś służbach specjalnych. Było bardzo późno, podekscytowany zapukał do naszego mieszkania i zaprosił mnie na lampkę wina. Widać było po nim, że chce coś ważnego powiedzieć: *W Bułgarii wylądował statek kosmiczny, latające spodki naprawdę istnieją, brali ludzi na badania.* Spytałem go skąd o tym wie, ponieważ nic takiego nie podawano w wiadomościach. Odpowiedział, że nie podawano i nic takiego nie będzie podawane w żadnych wiadomościach, dodał: *Dowiedziałem się o tym od ludzi na bardzo wysokim szczeblu, to jest pewna wiadomość.* Z ciekawością wypytywałem go na temat tego statku kosmicznego, skąd, jakie badania przeprowadzali na ludziach, dlaczego nie podaje się tego do publicznej wiadomości. Powiedział mi, że nie zna szczegółów, że tylko najbardziej wtajemniczeni ludzie ze służb specjalnych mają więcej informacji, a informacje te mają ściśle tajny charakter.

Na moje pytanie, dlaczego informacje te mają ściśle tajny charakter odpowiedział: *Po prostu wydaje się, że my, że cała ludzkość..., wszyscy jesteśmy królikami doświadczalnymi jakiejś innej cywilizacji. Gdyby ludzie o tym wiedzieli, gdyby przekonali się..., że tak jest, reakcje mogłyby być nieobliczalne.* Jego wyznanie zaintrygowało mnie...? Znając go od wielu lat nie przypuszczałem, aby fantazjował – nie było to w jego charakterze. Pomyślałem – jakie on może mieć powiązania z tymi, którzy dopuszczeni są do takich tajemnic?

Około 1978 roku przestał pracować. Miał w domu profesjonalną aparaturę do nauki języka angielskiego. Wówczas zaczęły wylaniać się pierwsze zarysy mozaiki biorącej swój początek w jego przeżyciach w Leningradzie: małżeństwo zakończone jakimś szantażem; „Biały Dom” (KGB); załamanie; odseparowaniu się od nas; „rekonwalescencja” w towarzystwie Rosjan; wakacyjne „wojaże” po ZSRR; fanatyczna wręcz „ideowość”, PZPR i bliskie kontakty z służbami specjalnymi.

Będąc już w USA dowiedziałem się, że Janusz jest w Australii – mozaika stała się bardzo wyrazista. To wszystko czego byłem świadkiem, było procesem łamania charakteru, szantażowania, osvajania, pompowania ideologią i dumą przynależności do jakiejś elity. Domyślałem się, że po „próbnych” wyjazdach do Szwecji otrzymał jakieś poważniejsze „internacjonalistyczne zadanie”. Wszystkie większe, drobne i malutkie spostrzeżenia, zaczęły układać się w jeden przejrzysty obraz. Zostało mało wątpliwości?

Złożyło się, że pierwsze samodzielne mieszkanie w USA wynajął mi działacz polonijny Józef Płoński. Uczestniczyłem w wielu jego inicjatywach, a też sam podsuwałem mu różne pomysły. W rozmowach o ZSRR, o moich studiach i wydarzeniach, opowiedziałem mu historię Janusza. Wkrótce wręczył mi wizytówkę agenta FBI, który czekał na mój telefon. W biurze FBI prosiłem, aby traktowali moje spostrzeżenia z rezerwą, ponieważ mogłem mylić się. W jakiś czas po wizycie w FBI dowiedziałem się, że Janusz niespodziewanie wrócił do Polski. Domyśliłem się, że kanały FBI na trasie do Australii nie były szczelne. Pomyślałem – może i dobrze, że tak się stało – musiałby coś odsiedzieć w Australii. W PRL był wolny, spotykał się ze starymi znajomymi, nawet dorobił się przypadkowo syna.

Nie wiem, czy po powrocie do Polski pracował czy nie, miał jednak jakieś środki utrzymania, nie było żadnych symptomów zapowiadających krach. Po pewnym czasie powstało we mnie przeczucie zbliżającego się nieszczęścia. Nie chodzi tu o telepatię, były to raczej ciągle powracające myśli i ocena tego, co zrobiłem, oraz praktycznie automatyczne analizy wariantów rozwinięcia przyszłości. Pożywką było nurtujące mnie do dzisiaj pytanie, czy to co wiedziałem powinienem zatrzymać tylko dla siebie? Jeżeli był agentem, wówczas ktoś w Australii powinien „take care” (zająć się tym), a nie ja? Jednak będąc nawet tylko agentem PRL a nie sowieckim, był przeciwko Polsce, jaką ja i miliony Polaków chciały w tym czasie widzieć.

Miałem trudny orzech do zgryzienia, uważałem, że wszystko co zaszkodzi sowieckiemu PRL, jest dobre dla Polski. Z drugiej strony był moim kolegą ze studiów i sąsiadem, z którym spędziłem kawał życia w tej normalnej sferze codziennych spraw, spotkań, zabaw i ideologicznie obojętnych pogaduszek. Pamiętałem też, że swój „los” „wygrał w marynarza” odprowadzając lektorkę języka rosyjskiego – każdy z nas mógł ten los wyciągnąć. Oprócz tego byłem świadkiem jego załamania i tworzenia jego nowej osobowości – współczułem mu. W tym czasie trwał jednak stan wojenny tłamszący ogólnonarodowe solidarne „nie” wypowiedziane narzuconej nam rzeczywistości. A Janusz, z niewątpliwie ukrywaną w Australii „pryncypialnością”, był jednym z pionków w sowieckiej grze przeciwko naszemu „nie”.

Zrozumiałem, że ja też razem z nim „wygrałem w marynarza” swój los. Jego los był powiązany z moim losem – poprzez moją drogę życiową – miejsca i czasy, którymi ona przebiegała. Był to rzeczywiście trudny orzech do zgryzienia, musiałem go zgryźć, do dziś bolą mnie zęby. Po pewnym czasie nękany wątpliwościami uświadomiłem sobie, że po powrocie Janusz jest „spalony” i bezużyteczny dla jego mocodawców. Takie małe „pionki” wywiady bezpardonowo usuwają z pola gry. Moje złe przeczucia potwierdziły się, dotarła do mnie wiadomość, że Janusz „zwarował”, że stracił kontakt z rzeczywistością. Czy zaaplikowano mu takie same środki, jak dla innych, nawet bardzo znanych a bezużytecznych sowieckich agentów?

Będąc w Polsce w 1993 roku wybrałem się do tego starego już bloku, gdzie kiedyś dostaliśmy wymarzone M3 ze ślepyimi kuchniami. Wiedziałem już, że Janusz nie wychodzi z domu, nikogo nie wpuszcza, że ma manię prześladowczą. Spotkany koło politechniki sąsiad z góry powiedział, że często krzyczy, wręcz wyje w nocy nie dając spać. Opiekowała się nim jego matka, przynosiła jedzenie, porządkowała to co porozrzucił, przyodziewała go. Idąc odwiedzić go miałem bardzo mieszane uczucia, mogłem przecież ten czas wykorzystać do odwiedzenia innych znajomych, lub połączyć po starych miejscach nie widzianych od trzynastu lat. Musiałem jednak spojrzeć mu w oczy, starać się znaleźć jego prawdę i przekazać mu moją prawdę, jeżeli jakakolwiek konwersacja mogłaby w tej materii pomóc.

Przechodząc znanymi ścieżkami od głównego wejścia Politechniki Warszawskiej do wydziału Lotniczego mijałem grupki młodych ludzi o zaafcerowanych lub roześmianych twarzach. Tak jakbym cofnął się w czasie i widział moich kolegów śpieszących na różne zajęcia, ćwiczenia, lub na obiad do stołówki. Mimowolnie nasuwała się myśl, czy którykolwiek z tych dzieciaków będzie kiedyś zmierzał na tak trudne spotkanie? Tramwaj tak jak kiedyś zazgrzytał na zakrętach przy ulicy Krzywickiego. Na olbrzymiej bryle akademika przy Placu Narutowicza starałem się odgadnąć, za którym oknem mieszkaliśmy w czasie pierwszego roku – nie zdążyłem. Wkrótce, po minięciu kina Ochota, trzeba było wysiadać pod tym starym blokiem, gdzie spędziliśmy razem spory kawałek życia.

Wszystko było niby takie same, ale inne. Były stare windy, kiedyś tak często psujące się, ale długie korytarze z mieszkaniami po obu stronach wyglądały o wiele mniejsze. Może dlatego, że chciałem wpaść w nie sylwetkę mojego już wyrosniętego syna, który zawsze biegł pierwszy, aby nacisnąć guzik przy windzie? Z najbliższego mieszkania po lewej stronie nie wybiegły też dziewczynki z pytaniem: *Wujku, czy możemy przyjść do Lesia?* O tej porze na korytarzu nie było nikogo, nacisnąłem dzwonek do mieszkania Janusza... Cisza. Nacisnąłem jeszcze parę razy, zauważyłem, że szkiełko judasza ściemniało... Nie było pytania „kto tam”, albo zwyczajnego „zaczekaj”, był krzyk, donośny w tej ciszy pustego korytarza ryk: „Feeliiks” i cisza, i nic więcej, znowu cisza. Stałem i czekałem, nie wiedziałem, czy odejść, czy czekać, co będzie, gdy Janusz otworzy mi drzwi?

Po paru minutach otworzył drzwi. Na sobie miał stary brązowy szlafrok. Był zarośnięty i wychudzony a po jego szarej twarzy spływały ciężkie krople potu. Objął mnie, a ja zaszokowany odwzajemniłem jego uścisk. Zdawałem sobie sprawę z lat, jakie minęły, słyszałem o jego problemach – brałem na to wszystko „poprawkę”, ale trudno było patrzeć na ten cień dawnego wysportowanego i przystojnego mężczyzny. Mieszkanie było w nieładzie, stara rozwalająca się kanapa nie domknięta i odsunięta od ściany. Znany mi regał z barkiem też jakby w jakiejś podróży. Wszędzie porozrzucane różne przedmioty utrudniające poruszanie się.

Usiedliśmy na kuchennych stołkach, podekscytowany pytał, jak znalazłem się u niego – *Przecież jesteś w Ameryce!* – Tak jakby nie dowierzał, że mnie widzi. *A ty byłeś w Australii, wróciłeś, teraz łatwo podróżować* odpowiedziałem. *Tak, ale ja musiałem wyjechać z Australii – ty chyba nie musiałeś?* Spytałem go, dlaczego nie ogoli się i nie ubierze się, dlaczego, jak twierdzili znajomi, nigdzie nie wychodzi. Powiedział, że nie może, absolutnie nie może, bo czyhają na niego. Na pytanie, kto czyha, odpowiedział: *Ludzie z Akademii Politycznej*. Tłumaczyłem mu, że nawet jak była jakaś Akademia Polityczna, to już jej nie ma, że jest piękna pogoda, że musi ubrać się, pójść do parku, do biblioteki, że nie może tak wręcz goły i zarośnięty siedzieć w domu, że na zewnątrz są ludzie, normalni ludzie, a nie jakaś Akademia Polityczna.

Ten temat „Akademii Politycznej” ciągle przewijał się w naszej rozmowie: *Ty też wiesz, że oni są wszędzie, jeżeli nie wiesz, to ci kiedyś wszystko powiem* pokazał na ściany i sufit *Tu też są, mają mikrofony i kamery, cały czas obserwują mnie – widzą i słyszą nas...* Odpowiedziałem: *Janusz, te ściany i sufit są z płyt betonowych, masz poodsuwane meble, pokaż mi chociaż jedną dziurkę z kamerą lub mikrofonem, powiedz, dlaczego miałiby cię obserwować...* *Ponieważ ja o nich wszystko wiem, wszystko co oni robią, do czego dążą, dlatego obserwują mnie i czyhają na mnie* – dodał.

Sensowniej odpowiedział na moje pytanie dlaczego wyjechał z Australii – oświadczył, że go śledzili, ale zaraz dodał, że truli go, że wszędzie wpuszczali mu gaz, do samochodu i do pokoju, że dusił się. Na pytanie, jak będąc śledzonym wyjechał, znowu sensownie wyjaśnił, że zgłosił się do polskiej ambasady, dali mu bilet i natychmiast odleciał. Spytałem go, czy był wysłany do Australii, szybko zaprzeczył i pokazał palcem na ściany... Powiedziałem mu też to, co było dla mnie najtrudniejsze: *Ja jednak uważam, że byleś wysłany, być może to ja spowodowałem, że śledzili cię.* Odpowiedział *Tak, wiem o tym* i znowu pokazał palcem na ściany. Przy pożegnaniu prosił, abym go jeszcze odwiedzał... Byłoby jednak lepiej, gdyby zamknęli go w tej Australii, po jakimś czasie wyszedłby jako normalny człowiek – najwyżej w gębę by mi dał przy pierwszym spotkaniu?

STÓŁ

Zakończenie studiów?... Trudno właściwie określić moment dotarcia tego faktu do świadomości. Czy było to napisanie pracy dyplomowej lub wręczenie dyplomu, a może koniec ostatnich wakacji? Czy też ostatni wieczór na „Wiaziemskim Pierieulku”, gdzie był nasz akademik? Właściwie, cały okres czasu od rozpoczęcia pisania pracy dyplomowej do końca wakacji był jakiś dziwny. Coś takiego jak w małej skali „*Fin de siècle*”, koniec jednego okresu czasu i antycypacja następnego. Niepewność z napadami humoru – czasami umykającego kontroli, lub zamyślenie. Radość z zakończenia tak ważnego w życiu etapu studiów, zarazem smutek umykającego w przeszłość czasu.

Po rozliczeniu się z administracją akademika część naszych kolegów już wyjechała. W ten ostatni przed wyjazdem wieczór zasiedliśmy do obytego z nami stołu, podpory wielu naszych wieczornych rozmów, przez tyle lat cierpliwie goszczącego nas i naszych przyjaciół: Polaków, Rosjan i inne przelotne dusze. Oklapniętego, pomimo zdjęcia zasłaniającego świat obrusa, jakby zdziwionego odkryciem opustoszałych ścian i kątów, skarżącego się plamami po trunkach i ranami zacięć po krojonych „batonach”. Raptem podstarzałego i opuszczonego, tak jak pusta szafa z niedomkniętymi drzwiami.

Chyba wtedy definitywnie kończyło się nasze leningradzkie studiowanie. Przywykliśmy już do tego miasta witającego nas kiedyś dziwnym zapachem kanałów Wenecji Północy, wspaniałymi budowlami i „odpieczętowanymi” dzielnicami nowej zabudowy. Pełnego „czerwoności”, ponieważ były tam „Krasnoarmiejskie”, „Krasnyje Zawody”, „Krasnyje Ugałki”, a także pełnego śladów polskości w historii i w mieszkających tam ludziach.

Pomimo przygotowań do obchodów 50-tej rocznicy Rewolucji Październikowej nie było to jednak tak czerwone miasto, jak mogły te nazwy sugerować. Na uniwersytecie leningradzkim i w paru innych uczelniach zrobiono czystkę. Nieformalnym grupkom dyskusyjnym ośmielającym się dyskutować na inne tematy niż postępy w budowie komunizmu podrzucono materiały „terrorystyczne” i „wywrotowe” gwarantujące długoletnie wyroki. Chodziły też słuchy, że zostały zmobilizowane wszystkie „organa”, włącznie ze słuchaczami uczelni wojskowych, aby złapać jakiegoś maniaka mordującego w parkach ludzi i przyczepiającego do ofiar kartki z napisami: *50-ciu na 50-ciolecie...* A w prasie nic: przodownicy pracy, zobowiązania i osiągnięcia bijące poprzednie osiągnięcia i najważniejszy temat: „50 rocznica”...

Tak jak w Polsce rocznice były uświetniane kawałami. W jednym z nich robotnik wracający codziennie z pracy z otepiałym wzrokiem został w końcu zaczepiony przez dzielnicowego: *Co wy Iwanie Iwanowiczu tak codziennie i bez entuzjazmu mijacie budynek naszego RAJKOMU, popatrzcie na fronton, właśnie rozwieszono hasło – 50 LAT REWOLUCJI PAŹDZIERNIKOWEJ – a wy nic, człapiecie jak co dzień.* Robotnik podniósł wzrok, popatrzał, machnął ręką i powiedział *Nu i chwatit* (no i starczy).

Według innej anegdotki w rocznicowym porywie miłościwie panujący pierwszy sekretarz KPZR postanowił codziennie oddawać hołd twórcom komunizmu pochowanym pod murem kremłowskim. Ciężko harując wychodził bardzo późno, około północy. Pierwszej nocy, gdy już mijał grób Stalina, jakaś olbrzymia zwiewna postać jakby napłynęła w jego kierunku. *Przemęczony jestem tą ciągłą walką o Mir* (pokój lub świat) *i dostawami broni dla grabarzy imperializmu* – powiedział sekretarz do siebie i przetarł oczy. Olbrzymia zjawa pochylała się, jakby sięgnęła do maczugi, *Nie, nie, my walczyliśmy o Mir, ale takiej broni nie potrzebujemy. A w ogóle, kim wy jesteście* – „*Ja z drużyny Iwana Groźnego*“ – odpowiedziała zjawa. Następnej nocy spotkał zwiewnego osiłka – duszę woja Piotra Wielkiego. Trzeciej nocy napatoczyła się przezroczyista mizerota, w brudnych szatach, ledwo powłócząca nogami. Sekretarz zdumiony zatrzymał zjawę: *A wy, duchu, z jakich czasów jesteście?* „*Zjawa*“ popatrzyła na niego spode łba i rzekła *Odczep się, spasiony pierdoło, z drugiej zmiany wracam.*

A w prasie nic, pompa i wazelina. Znajomy Stanisław P. dostał kilkanaście lat za gwałt [niewątpliwie o nim wspomniał Solżenicyn w zakończeniu „Archipelagu Gułag”], a w prasie nic – już Pionierzy i Oktiabriata podejmują zobowiązania. Ten Stanisław P., rzeczywiście w dużym gronie zabawiał się z bardzo chętnymi komsomołkami, ale nie było gwałtu – tak jak opisał Solżenicyn – przy każdej okazji okazywał jedynie pogardę do systemu...

Ciocia Kława, portierka, wypita „stakańczyk”: *Riebiata (chłopaki) sąsiad żonę zabił, zawsze przynosiła mu jedzenie na nocną zmianę. Zaciągnął ciało do kotłowni i spalił. Rano znaleźli krwawe ślady i jej włosy.* A w prasie nic – w rajach robotniczo kolchoźnianym nie ma zbrodni. Króluje za to Aurora i bajka o salwie zaczynającej rewolucję! Czy znowu huknie z armaty buntując się przeciwko zakłamanemu i nowym carom – przemykało niektórym w myślach...?

Zostawialiśmy to wszystko. Wiele, wiele bieżących i zapoznanych spraw zaczęło odrywać się od nas na tym wierzchołku naszego leningradzkiego studiowania, ześlizgiwać się wstecz. A my z dyplomami w twardej okładce zaczęliśmy ześlizgiwać się w naszą przyszłość: wtułka, ryczag, *zuubczaatka*, *sojeedinieenije*... „Wtułka”? Czy to jest na pewno to samo, co „tulejka”? – Jakaś zapomniana nazwa z pierwszych ćwiczeń z rysunku technicznego w Warszawie: oś symetrii, przekrój, cieniowanie, wymiarowanie. Czy w technicznym języku polskim będziemy mogli dogadać się, jak nas będą traktowali? Co z naszej wiedzy będzie potrzebne, aby zdyskontować nasze dwa lata studiów w Polsce i cztery w Sojuszu?

Wtułka” to drobiazg, ale odczuwaliśmy, że jest tyle innych rzeczy i terminów, które stoją nieznane przed nami? My „Pszezy”, spędziliśmy cztery młode lata wśród „Kacapów”, „Chochołów” i całej plejady innych poddanych sowieckiego imperium. [„Pszek” wydaje się nawiązywać do dźwięków naszej mowy, w której „sz”, „cz”, „ż”, odróżnia melodię naszego języka od melodii języków naszych pobratymców. W sowieckim żargonie: „Pszeki” – Polacy; „Kacapy” – Rosjanie; „Chochoły” – Ukraińcy.] Żegnaliśmy ten nasz stary gościnny stół wracając do domowych stołów, których tak naprawdę nigdy nie opuściliśmy. Ale jakie będą inne stoły, przy których zasiądziemy w miejscach pracy lub wieczorami z poznanymi po powrocie ludźmi – naszymi rodakami?

Spakowany bagaż nie był obciążony ani Moskiewską ani Stoliczną. Jeżeli wódka może być symbolem jakiejś nostalgii, w Leningradzie była to Wyborowa. Gdy tylko ktoś zauważył ją w „Gastronomie” „wici” błyskawicznie mobilizowały rodaków, nawet telefonicznie w odległych dzielnicach i innych uczelniach, a w Polsce przecież w każdej mieścinie można ją było kupić. Bywało tak, że ktoś tam z drugiego końca Leningradu dzwonił: przyjeżdżajcie, kupiliśmy Wyborową!

Może byliśmy jeszcze za młodzi, aby rozumieć urok czasu przeszłego? Chociaż niezupełnie, Polska była krajem naszego sentymentu. Gdy coś z tych „sowieckich” obyczajów bulwersowało nas, kwitowaliśmy to jednym słowem „Kacapia”, w domyśle – w Polsce jest inaczej. W wielu sprawach było inaczej, ale nie we wszystkich i nie totalnie. Nawet nie przypuszczaliśmy, że kiedyś będą powracały do nas wspomnienia i pomiędzy nasze „Sokoły” będziemy wplatali rosyjskie piosenki..., a na stole postawimy Stoliczną...

W tym ostatnim dniu na „**Wiaziemskim** Pierieulku” było szarawo, która to była godzina? Może było tylko pochmurnie, a może była już „biała noc”...? Postawiliśmy na naszym pożegnalnym stole tak dobrze znaną mu Stoliczną, a stół jak stary alkoholik zaczął udawać, że nie trunkowy, że te plamy to po herbacie i niecierpliwie skrzypiał czekając na pierwsze niedokładne rozlanie. Nie oczekując gości zdziwiło nas pukanie do drzwi, weszło paru młodych ludzi, którzy postawili na złaknionym stole następną butelkę. Byli to nasi sąsiedzi z piętra, studiowali na jakimś innym wydziale.

„Priwiet, priwiet (cześć)”, to wszystko, co o nich wiedzieliśmy mijając się na korytarzu. Przedstawili się: *Jesteśmy Litwinami, chcemy pożegnać się z wami.* Po rozlaniu podnieśli szklanki i kontynuowali: *My też skończyliśmy studia, rozjeżdżamy się w różne strony – pomyślności.* Spytałiśmy, dokąd mają skierowania (były obowiązkowe). Żaden z nich nie wracał na Litwę, a paru wysyłano nad **Ussuri**, gdzie w 1969 r. doszło do lokalnej wojny z Chińczykami.

Po paru kolejkach podnieśli się: *Pomimo, że rozdzielono nas, przyjdzie czas, że połączymy się znowu – wypijmy w tej intencji.* Przyjęliśmy te słowa z radością, pomni przynajmniej słów wieszczka „Litwo Ojczyzna moja” i naszej polskiej sympatii do tego małego kraju, tak bliskiego nam z „krwi i kości”, a czasami demonstrującego złośliwość i nienawiść do naszych zamieszkałych tam rodaków.

Ten dziwny stosunek Litwinów do Polaków, będący wręcz odwrotnością naszej sympatii do nich, intrygował mnie zawsze. Będąc w Ameryce wybrałem się kiedyś na spotkanie z Litwinem, któremu udało się przejść sowiecko fińską granicę i całą Finlandię bez wpadki [Finowie deportowali do ZSRR wszystkich zbiegów]. Spotykaliśmy go jako bohatera, naszego bohatera, ponieważ w naszej historycznej świadomości Litwa i Polska jest jednością. Ten stereotyp jest tak silny, że nasze historyczne związki z Białorusią i Ukrainą, z wielu względów bliższe i ważniejsze niż z Litwą, postrzegamy jako mniej romantyczne i dalsze.

Spotkanie to było zorganizowane przez serdecznie witających go Polaków. Po zakończeniu spotkania na szczerze pytanie, *Dlaczego Litwini są wrogo nastawieni do Polaków*, szczerze odpowiedział (myślę, że szczerze): *My możemy być okupowani przez Rosjan jeszcze pięćdziesiąt lat i nie zrusyfikujemy się. Bez wrogości do Polaków, przy otwartych granicach, w ciągu dwudziestu lat możemy spolonizować się.* Jeżeli właśnie tego boją się bracia Litwini, nie powinni wstępować do Unii Europejskiej. Być może uznają kiedyś, że przystąpienie do Unii Europejskiej to wielki błąd na miarę ich oceny unii polsko litewskiej?

Ciekawe, jak ułożyło się życie żegnających się z nami Litwinów, my wyjechaliśmy, a oni tam zostali? Oprócz chińskiej granicy czekał ich jeszcze Afganistan. Może nie ich, tylko tych młodszych, którzy w tym czasie uczyli się jeszcze w podstawówkach. Pamiętając o nich wyobrażałem sobie tragedię dwudziestolatków branych w kamasze i wysyłanych do Afganistanu, tak jak ich poprzednicy wysyłani byli nad Ussuri.

Już na początku pobytu w USA zasugerowałem Płońskiemu, aby rozpocząć akcję mającą na celu skłonienie partyzantów afgańskich do zaprzestania zabijania sowieckich jeńców. Oczywiście, Afgańczycy nie tworzyliby obozów jenieckich, jednak przy dobrych chęciach państwa zachodnie mogłyby przyjąć dezertersów. Płoński nagłośnił propozycję, podobno wystąpił z taką inicjatywą do odpowiednich władz amerykańskich. Zajęło to zbyt dużo czasu, dopiero pod koniec zaangażowania ZSRR w Afganistanie Amerykanie zagrozili rozpoczęciem tego typu akcji. Moje „kalkulacje” były bardzo proste, im gorzej wypadnie reżym sowiecki w Afganistanie, tym lepiej dla Polski.

Uważałem, że mając perspektywę porzucenia tej brudnej wojny i osiedlenia się na zachodzie, sowieccy żołnierze będą masowo rezygnowali z niesienia „bratniej pomocy” dla kliki afgańskich komisarzy. Ponadto, w ostatnich miesiącach 1980 roku interwencja sowiecka w Polsce wisiała na włosku. Byłaby okazja do wypróbowania w Afganistanie mechanizmów i skuteczności tego typu „demobilizowania” armii sowieckiej. Uzyskane doświadczenia byłyby bardzo przydatne, gdyby Kreml swoim zwyczajem zechciał udzielić „bratniej pomocy” dla naszych komunistów.

Już samo nagłośnienie możliwości, że angażując się militarnie w Polsce Kreml będzie miał drugi Afganistan w sercu Europy, mogło ostudzić co gorętsze głowy zwolenników doktryny Breżniewa. Widziałem też szansę uratowania tysięcy młodych ludzi wysyłanych na front, aby zabijać i ginąć w górach oraz bezdrożach Afganistanu, aby własną krwią tuczyć komunistyczną ośmiornicę. A oprócz Rosjan byli tam Polacy – synowie naszych rozsiansych po całym ZSRR rodaków, także Litwini, Białorusini i Ukraińcy. W pewnym sensie niewolnicy zmuszani do zniewalania innych, a jednocześnie następne pokolenie moich kolegów z LITMO.

Jakiś czas potem Płoński skontaktował mnie z przedstawicielami partyzantów afgańskich w Nowym Jorku z prośbą, abym pomógł im w skompletowaniu aparatury nagłaśniającej na ich demonstracje przeciwko interwencji sowieckiej. W ten sposób poznałem ich przywódcę, Habibullaha Mayara, szczupłego ciemnowłosego dryblasa i całą grupę jego ziomków, starających się uczulić opinię publiczną USA na los swojego kraju.

Przy pierwszym wyjeździe, a było to 23 grudnia, ledwo zdążyłem wrócić, aby zasiąść z krewnymi do wigilijnego stołu. Doradziłem, jaki sprzęt kupić, zamontowałem na ich ciężarówce. Pouczyłem, jak to wszystko obsługiwać, w jaki sposób unikać sprzężenia zwrotnego wywołującego nieznośne buczenie przy niewłaściwym wzmocnieniu i złym ustawieniu mikrofonu względem głośników. Moje instrukcje włącznie z moim językiem angielskim nie były zbyt klarowne. Na ich prośbę w tej pierwszej demonstracji i podczas wielu następnych ustawiałem aparaturę i na bieżąco wszystko kontrolowałem.

W ten sposób na parę ładnych lat zostałem ich specjalistą od nagłośnienia. W firmie, w której pracowałem dorobiłem składane stojaki na głośniki i na mikrofon – w dwóch egzemplarzach. Drugi komplet wykorzystywałem do ustawiania specjalnie zakupionego 12 V zestawu do obsługi naszych demonstracji przeciwko wprowadzeniu stanu wojennego.

Z całej bogatej nowojorskiej Polonii żadna organizacja nie zdobyła się na gest Afgańczyków. Początkowo demonstracje odbywały się z użyciem chrypiącej i słabutkiej ręcznej „szczekaczki“. Mój zasilany z akumulatora 30 watowy zestaw był już o niebo lepszy, ale nie dorównywało aparaturze Afgańczyków. Ponadto, moja inicjatywa pogłębiła podejrzania Polonusów – bo gdy ktoś za własne pieniądze kupił taki system nagłaśniający i „za frajer” obsługuje demonstracje – to nie ma wątpliwości, że jest agentem bezpieki.

Ta mania wszechobecności agentów komunistycznych umiejętnie podsycana przez parę prawdziwych „wtyczek” nie ominęła Afgańczyków. Gdy przed jakimś zebraniem sprawozdawczo wyborczym ustawiałem im aparaturę Habibullah padł na krzesło przy stole na zapleczu i powiedział: *Powariowali ludzie, co drugi nazywany jest agentem Babrak'a Karmal'a* (zainstalowanego przez Sowietów w 1979 roku). Poradziłem mu, aby nie przejmowali się tym, że jest to stara metoda stosowana jeszcze przez carów do niszczenia opozycyjnych grup emigrantów. Dodałem, trzeba patrzeć sobie na ręce, grupowo oceniać skuteczność planowanych działań, a od agentów na terenie USA jest FBI, niech oni się tym zajmują.

Zaprzyjaźniłem się z tymi ludźmi, byli bardzo aktywni. Przy każdej okazji organizowali demonstracje pod sowieckim konsulem i przy ONZ. Jako ich „inżynier” od akustyki uczestniczyłem w większości demonstracji i pochodów. Krzyczałem razem z nimi „Allah Akbar”, co jak mi tłumaczyli oznaczało, „Bóg zwycięży”. Kibicowałem w paleniu flag sowieckich, za co płacili mandaty za zanieczyszczanie powietrza. Był to mój mały wkład w ich wojnę, tak ważną dla nadwężenia komunizmu.



Zasiadając przy ich stołach przekonywałem ich, aby nie zabijali jeńców sowieckich. Docierało to do nich, że branie jeńców do niewoli i przekazywanie gdzieś na zachód zmniejszy wolę walki pozostałych żołnierzy. Przekonywałem też przedstawicieli różnych narodów uwięzionych w ZSRR. Tłumaczyłem im, aby coś zrobili, aby pomogli swoim młodym rodakom wziętym w sowieckie kamasze. Przyznawali mi rację, że trzeba coś zrobić. Z czasem jakieś grupki jeńców przekazano na zachód, część była internowana w Szwajcarii. Nigdy jednak nie wykorzystano możliwości jakie istniały.

Niestety, rządy zachodnie nie były zainteresowane w takim humanitarnym destabilizowaniu armii sowieckiej. Krew przelewali muzułmanie i sowieccy poddani. Im więcej i okrutniej tej krwi przelewano, tym lepiej dla strategicznych celów opływającego w dostatki zachodu. Nie był to też zasobny w ropę Kuwejt ani groźny dla Izraela Irak. Góry afgańskie, a w nich jakoby dzicy mułlowie w jaskiniach, nie byli warci jakichkolwiek innych gestów oprócz dostaw uzbrojenia.

Jednak znani mi Afgańczycy nie byli dzikusami. Wielu z nich miało wyższe wykształcenie a znajomością świata i jego problemów bili na głowę przeciętnych Amerykanów. Tylko na demonstracje część z nich przywdziewała swoje narodowe stroje z turbanami na głowach, przez co wyglądali bardzo egzotycznie. Byli otwarci i uczynni. Z czasem zupełnie bezinteresownie zaczęli obsługiwać polskie demonstracje przeciwko stanowi wojennemu. Ich ciężarówka była trybuną z całym wyposażeniem nagłaśniającym. W ten sposób ze swoim radykiem, a później jako operator aparatury afgańskiej, stałem się dobrze znany pracownikom konsulatu PRL pracowicie filmującym zza okien wszystkie polonijne demonstracje i ich uczestników.



*Habibullah oraz senator D'Amato
witający się z synem znajomych*

Jako muzułmanie nie pili alkoholu, przynajmniej w towarzystwie „niewiernych”. Dlatego też Habibullah przekazywał mi otrzymywane prezenty w postaci mocniejszych trunków. Jedynie na afgańskim weselu z postawionej na moim stole butelki ktoś tam cichcem wzmocnił swój gazowany napój. Trafiłem na to wesele zupełnie przypadkowo. Pewnego razu Habibullah zaprosił mnie na kolację do afgańskiej restauracji mówiąc, że będą tam też Polacy. Nawet bez tego zachęcenia nie odrzuciłbym jego zaproszenia. Afgańczycy byli sympatycznymi ludźmi a ich poznane przy różnych okazjach potrawy były bardzo dobre. Zgodnie z jego sugestią wybrałem się ze znajomą, nie była to jednak Polka, na co chyba liczył. Okazało się, że było to polsko afgańskie wesele z muzułmańskim uprawomocnieniem ślubu branego gdzieś nad Wisłą.

Dwóm Afgańczykom po studiach w Polsce udało się załatwić powrót do Afganistanu z pominięciem ZSRR. Chłopcy poznali wcześniej sympatyczne Polki, które już jako żony towarzyszyły im w tej podróży. Gdy tylko znaleźli się na zachodzie poprosili o azyl polityczny, w ten sposób trafili do USA. Chłopcy mieli opanowany język polski, jednak ich żony ucieszyły się, że będzie jeszcze ktoś, z kim będą mogły porozumieć się w swoim języku. W pewnym sensie zastępowałem ich najbliższych, ze zrozumiałych względów nieobecnych. Byłem zaskoczony takim obrotem sprawy, Habibullah tłumaczył się, że nie chciał, abym zwracał sobie głowę jakimiś prezentami. W ten sposób znalazłem się na tym bezalkoholowym weselu z jedną „procentową” butelką na stole przeznaczoną dla mnie i dla mojej towarzyszk, niestety nie znającej języka polskiego.

Jedzenie było wyśmienite, nawet próbowali nauczyć mnie nazw różnych egzotycznych potraw. Siedziałem przy stole młodych na honorowym miejscu, czułem się ważnym świadkiem tej niecodziennej uroczystości. Po jakimś czasie poproszono nasze dziewczyny na zaplecze, gdzie Afganki przybrały je w afgańskie ślubne stroje. W krótkim muzułmańskim ceremoniale powtórzono ich nadwiślański ślub. Rozpoczęły się tańce, ale nie dla kobiet. Tańczyli sami mężczyźni, a taniec polegał na poruszaniu się w kole. Po paru krokach złapałem, o co w tym tańcu chodzi. Ku zadowoleniu obecnych chyba nieźle sobie radziłem z tą muzyką i tańcem? Tylko moja znajoma czuła się trochę samotnie, nie rozumiała ani języka polskiego ani afgańskiego. Jej ojczystego języka też nikt nie znał. Ale nie marudziła, bo mnie trochę lubiła.

Gdyby nie europejski wystrój restauracji można by było wyobrazić sobie pobyt w górach Afganistanu, przy obficie zastawionych stołach, pośród rozbawionych i przyjaznych ludzi beztriosko świętujących uroczystość zaślubin. Beztrioska i radość nie zawitały jednak do ich ojczyzny. Po wyjściu wojsk sowieckich z Afganistanu nie organizowali już demonstracji. Habibullah sprzedał swoją dystrybutornię napojów gazowanych, od nowego właściciela dostałem jego aktualny telefon. [Parę lat później rozpoznałem tą halę dystrybutorni w reportażu telewizyjnym z relacji o aresztowaniu terrorystów jakoby planujących wysadzenie w Nowym Jorku wielu znanych obiektów. Według tych relacji, pod pieczęć prowokatora z FBI, mieszano tam materiały wybuchowe. Na szczęście Habibullah nie miał z tym nic wspólnego.]

Po wycofaniu się wojsk sowieckich z Afganistanu odwiedziłem Habibullaha, aby znowu zasiąść przy jego stole i pogratulować mu zwycięstwa w tej nierównej wojnie. Powiedziałem mu, że ich pełna poświęcenia walka z sowieckimi najeźdźcami zniechęciła ZSRR do krwawego stłumienia naszego zrywu do wolności. Odwzajemnił się mówiąc, że w ich szeregach walczyli też Polacy, że nasz zryw też im w jakimś stopniu pomógł.

Na moje pytanie, czy wraca do Afganistanu, zaprzeczył. Pochodził z dobrze sytuowanej rodziny, wszystkie dobra zostały w Afganistanie, nie miał jednak zamiaru wracać. Wyjaśnił, że to, co dla postronnych obserwatorów wydawało się wygasającymi walkami, było początkiem długiej wojny domowej. Niestety, jego słowa sprawdziły się. Jak twierdził, interwencja sowiecka naruszyła tradycyjne struktury społeczne w ich kraju uniemożliwiając powrót do poprzedniego stanu. Walka z najeźdźcą utrzymywała różne odłamy religijne i klany we względnej zgodzie. Po jej zakończeniu, twierdził, zorganizowane frakcje będą walczyły pomiędzy sobą tak długo, aż któraś z nich opanuje cały Afganistan.

Przewidywał, że przy dostatku broni i ciągłym zaangażowaniu państw ościennych, walki mogą trwać dziesiątki lat. Zrozumiałem wtedy, że pomimo paru lat spędzonych jako ich „inżynier od akustyki” mało wiedziałem o specyfice ich kraju. Uświadomiłem sobie, w jakim szczęśliwym położeniu w porównaniu z Afganistanem jest Polska. Ostre dyskusje przy naszych polskich stołach; pyskówki; trzy partie tam gdzie jest dwóch Polaków; komuchy i lustratorzy; skini i liberałowie, to istna sielanka w porównaniu z ich klanami i frakcjami.

Habibullah i większość jego towarzyszy pozostaje w USA. Jestem świadkiem, że w godzinach próby byli bardzo aktywni i dawali z siebie wszystko, aby pomóc swojemu krajowi. Chciałbym, aby przepowiednia Habibullaha o dziesiątkach lat wojny domowej nie sprawdziła się, aby jakiś grupa opanowała cały Afganistan i skończyła tą wojnę domową. Jakie by nie były ich zwyczaje lub porządki, być może tak egzotyczne jak ich tańce i ubiory – pokój pozwoli na ewolucyjne zmiany w kierunku, jaki sobie sami wybiorą. Oby jak najprędzej zasiedli do ich „Okrągłego Stołu”, nawet kontrowersyjnego jak w naszym przypadku. Oby międzynarodowa klika, włączając twórców terroryzmu i zarazem mesjaszy walki z „terroryzmem”, dała wreszcie spokój Afganistanowi.

JOGGING

Gdy kończyłem studia studentom ostatnich lat udostępniano spisy zakładów poszukujących absolwentów. Ze względu na Krystynę (zdjęcie obok), która miała jeszcze jeden rok do zakończenia studiów, w rachubę wchodziły jedynie miasta posiadające szkoły baletowe. Po przejrzeniu wszystkich ofert podpisałem umowę przedwstępną z ZWPP „ERA” w Warszawie Włochach. Przed podpisaniem umowy z „ERA” byłem w Gdyni, aby sprawdzić możliwość zatrudnienia w Marynarce Wojennej przy pracach związanych z nurkowaniem. Ich propozycje były „o niebo” gorsze niż w innych firmach. Niepodważalnym atutem ERY było obietnica przydzielenia spółdzielczego mieszkania, jednak z małym haczykiem. Warunkiem otrzymania mieszkania było uzyskaniu stałego zameldowania w Warszawie, co jak starsi ludzie pamiętają mogło być barierą nie do pokonania.



Mając umowę w kieszeni wróciłem do Ełku, aby odpocząć po wyczerpujących końcowych egzaminach. Tuż przed końcem studiów nabawiłem się zapalenia uszu – był to paskudny ból i długi okres rekonwalescencji. Pamiętam jak dzisiaj Zbyszka Reszla i Stacha Szelejewskiego, gdy stawali koło mojego łóżka i grą na klarnetach chcieli odwrócić moją uwagę od bólu. Może też kombinowali, że te wysokie dźwięki torując drogę przez chore uszy zabiją bakterie, szczególnie, gdy od czasu do czasu coś niemiłosiernie fałszowali. Dobrego na wszystko czosnku nie mogłem zażywać. Nawet gdy kroiliśmy cebulę, Stach Szelejewski do trzech dni ze wstrętem odrzucał użyty do tego nóż. Opiekowali się mną jak mogli, pomogły też antybiotyki i naświetlania specjalną lampą kwarcową. Dzięki tym lekarsko muzycznym zabiegom rozpoczynając ostatnie wakacje mogłem znowu pomyśleć o nurkowaniu.

Po powrocie do Ełku rodzice przygotowali ślub kościelny, który wzięliśmy w czerwcu. Trudno to wyobrazić, ale mieszkanie rodziców pomieściło całą rodzinę i moich licznych ełckich przyjaciół, większość jeszcze z czasów szkolnych. Tych, którzy uświetnili nasz ślub cywilny w ambasadzie w Moskwie nie zapraszaliśmy, nie zmieściliby się, a noc poślubną spędziliśmy u sąsiadów za ścianą. Była nawet orkiestra zamówiona przez wujka Gienka, który akurat w tym czasie przyjechał z USA.



Właściwie zrobiliśmy błąd, z leningradzkiej wiary należało zaprosić przynajmniej Ryśka Donocika. Ze względu na ładnie kształtującą się na czubku głowy łysinę nazywaliśmy go biskupem. Większość z nas, a także on sam, przestała używać właściwego imienia i nazwiska. Gdy dwa lata wcześniej Stachu Pietrzak zaprosił go na swój ślub, „biskup” wysłał z sławnego Cieszyna telegram: „PRZYJEŹDŹAM, BISKUP”.

Druty telegraficzne wyginały się pod ciężarem wagi tych słów, a stary telegraf dostał czkawki drukując: „BISKUP”. Tajemnica korespondencji jest rzeczą świętą, pomimo tego wróble dyżurujące na drutach telegraficznych bezbłędnie rozszyfrowały treść depešy. Świadome wagi informacji zwołały naradę na drzewie przy plebanii. Zasadzony w gałęziach kot Mruczek, zamiast wykorzystać wróblowe tokowanie, spadł z wrażenia prosto w objęcia Burka – i tak się to zaczęło! Burek jak Burek, zawsze czekał, nikt na niego nie zwracał specjalnej uwagi. Dopiero, gdy kogut obwieścił nowinę, co gorliwsze niewiasty zaczęły przystrajać domostwa i pognały chłopów do zagajnika, aby nacięli młodziutkich brzózek. Bo oto gruchnęła wieść, że na ślub Zosieńki z Wardęckich ze Stachem od Pietrzaków przyjeżdża BISKUP we własnej osobie.

Po prostu przegapiłem taką okazję. Zamiast czuwać na rogatkach elccy dygnitarze jak zwykle udali się na polowania, lub leczyli kaca po wieczorze w Kormoranie. Nie było szpalerów milicji powstrzymujących tłumy parafian ani też umajonych ulic. Tylko kościół był pełny ciekawych bliższych i dalszych znajomych chcących zobaczyć tą jedną, która zabierała tego wyrośniętego w Elku chłopaka – a ciocie z uwagą obserwowały świeczki, aby ze stabilności płomyków wywróżyć przyszłe losy zawieranego właśnie małżeństwa. Podobno płomyki świeczek nie chwiały się, jednak trudno było porzucić dawny tryb życia.

Wkrótce po ślubie dowiedziałem się, że PTTK organizuje Pierwsze Ogólnopolskie Zawody w Łowiectwie Podwodnym. Po spakowaniu kuszy, płetw, maski i rurki oddechowej pojechaliśmy z Krystyną do Starych Jabłonek koło Olsztyna. Nie byłem członkiem PTTK, ale miałem ze sobą książeczkę płetwonurka wydaną przez Ligę Obrony Kraju. Mój argument, że ogólnopolskie zawody nie powinny być ograniczone tylko do członków PTTK przekonał ich w końcu – musiałem jednak zademonstrować posiadany sprzęt.

Byli bardzo zdziwieni, że nie mam skafandra..., a płetwy, maska i rurka oddechowa to jakieś tam krajowe prymitywy. Inni zawodnicy wyposażeni byli w sprzęt znanych zachodnich marek, patrząc na ich piękne skafandry można było dostać zawrotu głowy. Najwięcej zastrzeżeń budziła moja własnego wyrobu kusza z końcówką zrobioną przez kowala z POHZ w Elku. Omal nie zmienili decyzji: *Z taką kuszą to tak, jakby pozwolić polować na kaczkę z samopalem.* Zażądali „sprawdzenia bezpieczeństwa”, naładowana kusza rzucona na koc z wysokości 1,5 metra nie odpaliła, byłem dopuszczony – przy ledwo ukrywanych ironicznym uśmiechach uzbrojonych w „Maresy” konkurentów. Pomimo, że moja kusza była niezawodna i silna, z pożądaniem patrzyłem na zgrabne pneumatyczne kusze szpanujących „światowców”. W tym czasie mogłem tylko marzyć o takim sprzęcie. Szczególnie te krótkie kusze były bardzo dobre do polowania w naszych wodach o ograniczonej widoczności, w trzcinach i wodorostach.

Każdy płetwonurek otrzymywał kajak z „wiosłującym”, którą to funkcję pełnili żołnierze z pobliskiej jednostki. Mając duże doświadczenie wiedziałem, gdzie i jaką rybę mogę spotkać. Po pierwszym dniu, chociaż zmarznięty na kość, byłem w czołówce. Krystyna w międzyczasie poznała panią Jesionowską z Ursusa przebywającą tam z córką na wczasach. Dzięki temu w czasie długich godzin mojego nurkowania miała sympatyczne towarzystwo.

W drugim dniu zawodów, już z dobrym rozeznaniami akwenu, postanowiłem postawić na węgorze, których większość konkurentów łapała bardzo mało. Przypuszczalnie nie znali obyczajów węgorzy i sposobu ich łapania. Ponadto firmowe ostrza ich strzał nie nadawały się do polowania na węgorze. Moja „kowalska” końcówka była idealna na wszystkie ryby do dwóch kilogramów. Także większą rybę precyzyjnym strzałem i szybkim „osiodłaniem” można było dopaść. Przez te parę godzin nurkowania pracowałem jak maszyna, nie czułem ani zimna ani zmęczenia. Mój „wiosłowy” napracował się przyjmując i pilnując złapane węgorze. W kajaku kotłowały się „punkty” za „głowę” i wagę. Ryb poniżej wymiarów ochronnych nie miałem, same dorodne sztuki.

Mój połów był imponujący, znikły gdzieś ironiczne uśmieszki a sędziom zrzędył miny, bo stali przed ewentualnością przyznania pierwszego miejsca jakiemuś „przybłędzie” ze starymi polskimi płetwami i rurką oddechową z krajowego PCV. Znaleźli na to sposób. Jednemu z ich pupilków podano dziecinne wiaderko do zabawy w piaskownicy napełnione wodą i narybkiem o wielkości około 2,5 cm, jakoby zapomnieli zabrać je z kajaka. Przy pełnej konsternacji postronnych widzów, przy kpiących uwagach: „czym on je łapał”, zaczęto liczyć punkty „za głowę”. Na moją uwagę, że te „kijanki” nie mogły być upolowane ani nawet złapane na wędkę, z powagą wymyślili brak regulaminowych ograniczeń w sposobie połowu. Pomimo, że rybki były całutkie, tylko lekko śnięte, sędziowie wyrezyli „bohatera” sugerując „głuszenie” impetem przelatującej obok strzały. Zignorowali też uwagi o trudności rozpoznania, czy maleństwa te należą do gatunków chronionych posiadających minimalny wymiar. W taki oto sposób spadłem na drugie miejsce ustępując pola przywleczonemu nie wiadomo skąd narybkowi.

Za rok, gdy w zarządzie głównym PTTK przeglądałem dokumentację z tych zawodów, dowiedziałem się, że dostałem nagrodę, której nie widziałem na oczy – a walizeczkę, jaką mi uroczyście wręczyli za drugie miejsce, znalazłem na liście nagród pocieszenia. Takie „pomyłki” pod zarządem niejakiego pana Macke, jakoby „pierwszego płetwonurka PRL”, były chyba na porządku dziennym. Jego kolega Zinzerling twierdził, że Macke jest tak dobry, że nie musi startować w żadnych zawodach na poziomie krajowym: *Bo będąc studentem utrzymywał się z łapania i sprzedawania ryb*. Nie startował!

Ci z definicji „najlepsi” unikali krajowych konfrontacji, aby startować w międzynarodowych zawodach i w mistrzostwach świata, z których najbliższe były planowane w Japonii. Macke darował też sobie coroczne mistrzostwa Europy, które miały odbyć się w Jugosławii. Do „Kadry Narodowej” wytypowano „pociotków”, którym brakowało łowieckich kwalifikacji a tym bardziej moralnych kwalifikacji do reprezentowania Polski. Na najbliższych mistrzostwach Europy jedynym sprawdzonym podczas krajowych zawodów miał być zdobywca „głuszonego narybku”. Gdy natarczywie dopominałem się, aby mnie włączono do reprezentacji, wówczas zrezygnowano z centralnego finansowania wyjazdu na rzecz finansowania przez kluby. Musiałem jechać na własny koszt, jako nowo przyjęty członek warszawskiego klubu PTTK nie miałem szans na dofinansowanie przez spółkę Macke-Zinzerling. Nie miałem też skafandra, na szczęście starzy lokowscy kompani pożyczyci mi skafander i porządną maskę francuskiej produkcji.

W Jugosławii każda drużyna wystawiała dwie pary. Ja byłem w parze z wyglądającym na emeryta Lipskim (podobno mieszkał gdzieś na Saskiej Kępie). Na dosyć wysokiej fali wytrzymał tylko dwie godziny, musiał wygramolić się na skałki gdzie po zdjęciu skafandra wymiotował kompensując odrzut rozwolnieniem. Pozostałe trzy godziny trzymał się burty łódki. Wyglądał tak, jakby był rybą zmuszoną do oddychania powietrzem. Przed zakończeniem zawodów, pomimo zakazu zbliżania się łódek do siebie, podpłynął do mojej łódki kierownik naszej drużyny, Świeżowski z Olsztyna. Nie zważając na moje protesty przeładował na łódkę naszej drugiej pary część moich ryb. Punkty były liczone dla każdej pary oddzielnie dopiero potem sumowano je do wyniku drużyny. Nie robiło to różnicy w drużynowej klasyfikacji, ale szlag mnie trafiał na myśl, że „głuszyciel narybku” zdolny jest do takiej podłości. Zagroziłem im, że zgłoszę złamanie regulaminu i kradzież ryb komisji sędziowskiej. Przypuszczalnie cała drużyna byłaby zdyskwalifikowana, nie zrobiłem jednak tego. Jeżeli po wydarzeniach marcowych „głuszyciel narybku” i „pierwsi płetwonurkowie Rzeczypospolitej” wyjechali z Polski, niewątpliwie mają solidne podstawy do narzekania na „polską kołtunerię”, której dobitnym przykładem byłem właśnie ja, protestujący przeciwko ich machlojkom.

Pomimo tego szwindlu, w wątpliwej asyście „rozwolnionego” Lipskiego, moja para miała więcej punktów, a polska drużyna po raz pierwszy wypadła nadspodziewanie dobrze. Gdyby był ze mną Miki i jeszcze dwóch moich elckich uczniów, zajęlibyśmy drugie miejsce, tuż za drużyną firmową Maresa (włoski producent sprzętu do nurkowania). Po poznaniu polskich zawodników startujących w pierwszych ogólnopolskich zawodach i na mistrzostwach Europy jestem pewny, że nasza elcka brać, nawet z chałupniczym sprzętem, była nie do pokonania. Być może gdzieś indziej też byli dobrzy tropiciele ryb, ale PTTK-owska klika nie chciała mieć konkurencji. Z naszych speców najlepszym w tym czasie był mój uczeń Miki. Dzięki szybkim decyzjom i precyzji strzałów zostawał mnie w pobitym polu, co wybaczam mu jako mojemu wiernemu przyjacielowi.

Drużyna Maresa traktowała te zawody jako reklamę swojego sprzętu. Przypuszczalnie dzięki sowitym „prezantom” skłoniła organizatorów do pozwolenia na filmowanie łowieckich wyczynów swoich zawodników. Uzbrojeni w aparaty do nurkowania „filmowcy” nie byli w żaden sposób kontrolowani. Mogli pokazywać palcem, gdzie w rozpadlinach kryją się największe ryby – sukces był zagwarantowany. Aby znaleźć rybę zawodnicy innych narodowych drużyn musieli wypluwać płuca, ponieważ ustrzelenie znalezionej ryby było błahostką. Podczas tych zawodów pobiłem swój rekord w schodzeniu na głębokość na oddechu. Schodziłem do 25 metrów, zostawało tylko parę naście sekund na szukanie ryb, następne 25 metrów do góry były walką z samym sobą, aby nie zachłysnąć się wodą, zamiast wciągnięcia do płuc tak upragnionego powietrza.

Podczas tych i innych zawodów, a brałem jeszcze udział w mistrzostwach Polski w pięcioboju podwodnym i w mistrzostwach PTTK na Wigrach, widziałem, jak sędziowie fałszują wyniki. Na przykład w konkurencjach indywidualnych na czas machali ręką z już włączonym albo jeszcze nie włączonym stoperem. W ten sposób „korygowali” wyniki w zależności od prywatnych lub finansowych preferencji w stosunku do danego zawodnika – szalbierstwo bez granic.

W pływaniu na odległość i na szybkość nigdy nie byłem „żyłą”, nie mam do nikogo osobistych pretensji za jakiegoś tego typu oszustwa, ale moi następcy powinni znać tę smutną prawdę, o przekupności i stronniczości sędziów. Powinni zrobić wszystko, aby zabezpieczyć się przed tym, powinni mieć współpracowników kontrolujących wyniki. Powinni śmiało walczyć o uczciwe sędziowanie.

To jest bardzo smutne, że uczciwość jest rzadką cnotą. Życie oparte na szalbierstwach jest niewątpliwie o wiele łatwiejsze, gwarantuje szybkie „sukcesy”, tworzy pozorną osobowość. Przecież nawet słodkie dzieciaczki mówią: „to nie ja zbiłem tą szklanke”. Trochę starsi mówią „idę do biblioteki”, zamiast tego uganiają się za piłką. Dorośli mówią „idę na działkę”, a lądują w knajpie. Gdzie jest granica pomiędzy niewinnym kłamstwem brzdozą a szalbierstwem? Niewątpliwie, granica ta jest trudna do zauważenia. Gdy jeszcze tylko marzyłem, aby być studentem, spotykałem młodych ludzi, którzy jakby od niechcenia napominali, że studiują różne mądre rzeczy. Będąc tylko oszustami pysznili się i imponowali innym. Ale przecież oni sami wiedzieli, że kłamią. Jeżeli komuś imponowali, to nie oni, tylko nieistniejące fantomy ich cielesnych powłok.

Jest takie określenie hochsztapler, są też określenia złodziej, oszust..., i wiele innych podobnych. Czy ktokolwiek pasujący do tych określeń, a tworzący swój tak naprawdę nieistniejący fantom, może uwolnić się od prawdy najlepiej znanej dla siebie samego? Na pewno nie, nawet umierając, umrze jako fantom, śliski robal niegodny miana prawdziwego mężczyzny. Nie chodzi mi tu o danie przykładu, pouczanie, lub zdemaskowanie kogokolwiek. Chodzi mi o postawienie tego problemu przed każdym, kto zechce spojrzeć na siebie i na swoją drogę życiową, już wybraną lub dopiero wybieraną. Czy wybrać życie fantomu, czy prawdziwego człowieka? Szczególnie młodzi ludzie powinni uważnie rozglądać się wokoło, nawet przyglądać się swoim rodzicom, bo będąc z nimi codziennie mogą łatwo dostrzec rozbieżności pomiędzy prawdą a wykreowanym wizerunkiem.

Zastanawiam się, czy to tylko w światku nurkowania szalbierstwo gonilo szalbierstwo, czy szalbierstwo jest nieodłączną częścią sportu? W pracy zawodowej, a pracowałem w różnych firmach, stosunki międzyludzkie układały się dobrze. Wbrew pogłoskom lub jakimś obiegowym opiniom praktycznie nie spotkałem szalbierzy. Może miałem wyjątkowe szczęście pracowania z uczciwymi ludźmi? Jak już wspomniałem, zacząłem pracować jako konstruktor w Zakładach Wytwórczych Przyrządów Pomiarowych ERA, do dziś z przyjemnością wspominam ten etap mojego zatrudnienia. Lubiłem konstruowanie, moją ambicją było opatentowanie wynalazku. Udało się mi opatentować parę rozwiązań konstrukcyjnych dotyczących części mechanicznych mierników elektrycznych.

Wbrew popularnemu odczuciu patent nie musi być czymś epokowym lub bardzo trudnym do wymyślenia. Niewątpliwie wiele osób znajduje rozwiązania różnych codziennych problemów technicznych, które miałyby tak zwaną „zdolność patentową”. Wykonując jakąkolwiek pracę prawie każdy usprawnia ją i stosuje, przynajmniej subiektywnie, nowe rozwiązania. Z obserwacji ludzi różnych narodowości dochodzę do wniosku, że Polacy mają niesłychany potencjał twórczy. Może jest w tym coś związanego z naszym językiem? Jak twierdził jeden ze średniowiecznych filozofów, jeżeli nie mylę się [Erazm z Rotterdamu](#), polski język jest językiem szczególnie predysponowanym do nauki, filozofii, i wszelkiej twórczości. [Także [Fryderyk Nietzsche](#), filozof skrajnego indywidualizmu, w wielu wypowiedziach oddał cześć słowiańskim, a szczególnie polskiemu, predyspozycjom do twórczego myślenia.] Niewątpliwie coś w tym jest, Polskie konstrukcje cechują się polotem i oryginalnością rozwiązań, często mają charakter unikalnych innowacji.

Dla ostudzenia zapału domorosłych wynalazców trzeba nadmienić, że aby uzyskać **Patent** należy opisać proponowane rozwiązanie techniczne na tle istniejących rozwiązań o podobnym charakterze. Opis ten powinien spełniać pewne wymagania prawne oraz kończyć się krótkim: „znamiennie tym, że...”. Do tego dochodzą koszty zgłoszenia rozwiązania do opatentowania, badań patentowych, oraz opłat za ewentualną ochronę prawną w kraju i za granicą. Przeciętny człowiek nie może dokonać tego we własnym zakresie, nie powinno to jednak pomniejszać jego satysfakcji, jeżeli sam coś wymyśli i twór jego myśli będzie spełniał jego oczekiwania. W przypadku dużego zapotrzebowania, przewidując finansowe zyski, można zaryzykować zainwestowanie w patent własnych pieniędzy lub znalezienie sponsorów. Zalecałbym jednak jak najdalej posuniętą ostrożność, ponieważ wiele energii, czasu i pieniędzy może być bezpowrotnie zmarnowanych.

Mój pierwszy patent dotyczył skonstruowania mechanizmu umożliwiającego uzyskanie małych przesunięć niezbędnych do ustawiania położenia zera w czułych miernikach elektrycznych. Modele pracowały wspaniale, problem zaczął się, gdy wykonano oprzyrządowanie. Zastąpiono element wykonywany podczas jednego zamocowania na tokarce, elementem z zaprasowaną plastikową główką – błąd w ustawieniu współosiowości był rzędu korygowanej wielkości. Idąc po linii najmniejszego oporu zrezygnowano z wdrożenia.

Drugi patent dotyczył znalezienia sposobu tłumienia drgań bardzo czułych układów pomiarowych. Właściwie był to kontr patent w stosunku do niezmiernie prostego wynalazku opatentowanego przez Francuzów. Wyobraźmy sobie, że do struny gitary przyklejona jest moneta. Oczywiście będzie drgała razem ze struną, nawet wtedy, gdy tylko pukniemy palcem w pudło gitary. Pozostając przy przykładzie struny – francuski pomysł polegał na przepuszczeniu struny przez małe pierścionki umieszczone po obu stronach monety oraz na wypełnieniu ich gęstym i niewysychającym olejem silikonowym. W najważniejszej części patentu Francuzi zastrzegli, że pierścionki te zamocowane są do części nieruchomej (w tym przykładzie do pudła gitary). Olej w pierścionkach tłumił drgania w taki sposób, w jaki hamowany jest samochód wjeżdżający do głębokiej kałuży. W tego typu miernikach nie znano nic prostszego i tak dobrze tłumiącego drgania. Dając mi to zadanie zastępca głównego konstruktora uprzedził mnie, że właściwie nie ma nadziei na znalezienie równie prostego rozwiązania, ale może coś niezbyt skomplikowanego i równie efektywnego wykombinuję.

Jestem przekonany, że nowe koncepcje i rozwiązania bardzo często powstają w podświadomości, być może w tej największej części naszego mózgu, która nie wiadomo do czego służy. „Naładowałem się” różnymi rozwiązaniami technicznymi dotyczącymi tłumienia drgań (jest tego sporo), następnie weryfikowałem pojawiające się w świadomości pomysły. Po wielu koncepcjach, odrzucanych już w czasie początkowej analizy, uświadomiłem sobie, że zamocowanie pierścionków do części nieruchomej nie jest koniecznym warunkiem tłumienia – a tylko to było zastrzeżone. Gdyby zamocować je do części ruchomej, czyli do samej monety, wówczas takie rozwiązanie byłoby czyste patentowo. Po paru minutach spędzonych z ołówkiem i kartką papieru doszedłem do wniosku, że zamocowanie pierścionków do części ruchomej zapewni lepszą, lub co najmniej taką samą efektywność tłumienia drgań. Pomysł nie był oczywisty – jak coś co drga razem z „monetą” może tłumić jej drgania? Wbrew początkowemu sceptycyzmowi zwierzchników koncepcja sprawdziła się, uzyskałem patent, rozwiązanie to zostało wdrożone do produkcji. Francuzi patentując swoje rozwiązanie nie dostrzegli innej alternatywy, musieli gładko przelknąć mój kontr patent.

Pracując w dziale konstrukcyjnym dostałem też zadanie opieki konstrukcyjnej nad wdrożeniem przerywacza światła kierunkowych do sowieckiego Fiata. Była to pokazówka socjalistycznej gospodarki i międzynarodowej (z ZSRR) kooperacji. Identyczny przerywacz był już produkowany do polskiego Fiata przez spółdzielnię „Magneto” w Warszawie – chętnie rozszerzyliby produkcję. Na nasze oddolne sugestie, że przerywacz nie pasuje do profilu naszego zakładu, że bezsensownym jest wykonywanie pracochłonnego oprzyrządowania, gdy inni mają już wszystko gotowe, odpowiadano: *Prywatna spółdzielnia nie może być dostawcą dla ZSRR.*

Szydło wyszło z worka gdy dowiedzieliśmy się, że „sprzedajemy” przerywacze po około 95 kopiejek za sztukę – co zaledwie pokrywało bieżące koszty bez amortyzacji i zysku. Przy takiej cenie spółdzielnia „Magneto” splajtowałaby błyskawicznie. Na jednej z porad dyrektor techniczny starał się dać odpowiedź na różne kłopotliwe pytania. Wyjaśnił, że cena została ustalona jako konkurencyjna do oferty włoskiej (około 1,10 dolara) i jest przeliczona wg oficjalnego (radzieckiego) kursu dolara. Na następne pytanie – *jak prędko wygrywając takie przetargi splajtujemy?* – Odpowiedział: *W naszym przypadku nie zarabiamy, ale całościowo oplaca się to, ponieważ w skali kraju inne produkty sprzedajemy i kupujemy z zyskiem.*

Wielu moich kolegów po studiach w Leningradzie, z racji dobrej znajomości języka rosyjskiego, pracowało przy podobnych „kooperacjach”. Wymieniając się spostrzeżeniami nie znaleźliśmy ani jednego faktu potwierdzającego zyskową sprzedaż do ZSRR jakichkolwiek wyrobów naszego przemysłu. Wszędzie tłumaczono, że zyski są gdzie indziej. Nawet przy zakupie maszyn przepłacaliśmy, maszyny były złej jakości, kupowane bez prawa reklamacji lub zwrotu. Chyba szczytem „kooperacji” i propagandowego zadęcia było uruchomienie w Tewie linii produkcji układów elektronicznych na radzieckiej licencji. Po uroczystym uruchomieniu linii przez samego Gierka i telewizyjnych peanach, na drugi dzień przystąpiono do demontażu i złomowania. Jak przekazał nam Rysiek Dmowski, pomimo złomowania nie mogliśmy zrezygnować z płacenia za zakontraktowane części zamienne i materiały. Jedyną koncesją strony radzieckiej było wstrzymanie wysyłek, ale wszystko musiało być zapłacone co do ostatniej kopiejki.

W takim to „internacjonalistycznym duchu” ZSRR grabiło demoludy, aby mieć środki na ich ujarzmianie i ekspansję komunizmu na świecie. Wiedzieliśmy dużo na ten temat, ponieważ często spotykaliśmy się i wymienialiśmy się spostrzeżeniami. Polska była po prostu sowiecką kolonią, w dodatku arogancko traktowaną. O stopniu podporządkowania świadczył też udział Wojska Polskiego w dławieniu „[praskiej wiosny](#)”. Według słów jednego ze znajomych pracującego w kontroli ruchu powietrznego, właśnie z Polski nadleciały samoloty z sowieckimi komandosami zajmującymi praskie lotnisko. Dla imperialnych interesów „wielkiego brata” nasi kontrolerzy musieli oszukać Czechów prośbą o pozwolenie na awaryjne lądowanie cywilnego samolotu.

Mieszkałem wówczas w pobliżu Okęcia, przez całą noc z 19 na 20 sierpnia 1968 roku słyszałem ryk startujących i lądujących samolotów. W porannych wiadomościach dowiedziałem się o inwazji na Czechosłowację. Po przybyciu do pracy zgłosiłem się do głównego konstruktora inż. Łopuskiego z prośbą o zwolnienie mnie z obowiązków wdrażania przerywacza dla ZSRR. Oświadczyłem, że to jest mój protest przeciwko inwazji na Czechosłowację. Wziął mnie za ramiona i powiedział: *Panie inżynierze, jest pan taki dziecinny...*, – omal mnie szlag nie trafił. Ale było w nim tyle ciepła i dobrej woli, że po chwili ochłonałem i odpowiedziałem: *urodziłem się takim..., i chyba takim umrę.* Poprosił mnie abym usiadł, powiedział, że na temat inwazji ma dokładnie takie same zdanie jak ja, że praktycznie wszyscy ludzie to samo myślą, ale nic nie możemy zrobić. Nie zatrzymamy zakładu, nie wywiesimy transparentów..., być może przyjdzie czas..., bo przecież nie ma nic wiecznego?

Przekonał mnie dobrym słowem, gdyby straszyl i wymyślał, to nie wiem jak daleko zaszedłbym w tej mojej intencji protestu. Był moim pierwszym szefem, wspaniałym człowiekiem i specjalistą wysokiej klasy. Chociaż miałem innych fajnych szefów, inżynier Łopuski na zawsze zapisał się w mojej pamięci jako ideał szefa.

Przeczuwałem tą inwazję. Parę miesięcy wcześniej, gdy byłem na drugich mistrzostwach Polski w łapaniu ryb pod wodą, poznałem Jana Pyżę z Ostrawy. [Nie startowałem, ponieważ za moją intencję protestu w Jugosławii przeciwko machlojce z rybami zawieszono mnie na dwa lata. „Kolesie” z PTTK mieli wolną rękę w kompletowaniu drużyny na mistrzostwa świata w Japonii.] Powiedziałem mu: *Honza, w prasie piszą, że kumacie się z niemieckimi rewizjonistami, Sowietci wejdą do was i nas pociągną.*

Nie wyobrażał sobie takiej możliwości: *Dobry Nemeć myrtwy Nemeć* – odpowiedział. Gdy spotkałem się z nim pod koniec roku na zawodach w Poznaniu zaprosiłem go do Warszawy. Ze smutku wypiliśmy chyba wszystkie piwa w Kongresowej. W czasie inwazji był zmobilizowany w jednostce podwodnej dywersji. Po drugiej stronie rzeki pojawiły się sowieckie czołgi, chcieli je wysadzić, ale dowództwo było widocznie uprzedzone o inwazji i już wcześniej, pod karą natychmiastowej egzekucji, zabroniono im ruszać się z miejsca.

Przecucie tej inwazji ciążyło też nad naszymi wakacjami. W środku lata wybraliśmy się z przyjaciółmi (Miki i Lopek) do Leningradu. Stamtąd bez pozwolenia pojechaliśmy zobaczyć Krym. W myśl sowieckiego prawa wyjazd był nielegalny, ale w normalnych warunkach wpadka groziłaby tylko odstawieniem do granicy. Podzieliłem się z przyjaciółmi moimi przecuciami w sprawie Czechosłowacji. Gdyby w czasie naszego nielegalnego pobytu na Krymie nastąpiła inwazja, wówczas moglibyśmy mieć duże kłopoty. Ciesząc się dobrą pogodą i nurkowaniem w Czarnym Morzu tylko wieczorami, przy kupowanym u miejscowych winie, wspominaliśmy czasami o możliwości inwazji i czy zdążymy wrócić do Polski.

Ryby w tym rejonie Morza Czarnego były bardzo czujne. Był tylko jeden gatunek ryb wylegających się na piaszczystym dnie i nie uciekających, brzydkie były i kolczaste. Przy ściąganiu takiej ryby z ostrza strzały Miki skaleczył się w palec. Intuicyjnie podpowiedziałem mu, aby wysał skaleczenie i wypluł. Gdy przynieśliśmy te ryby na podwórko, gospodarz wygonił dzieci i natychmiast je zakopał. Kolce tych ryb zawierały jakąś substancję powodującą rozległe opuchlizny wymagające specjalistycznych zabiegów. Tym razem udało się, nie musieliśmy dekonspirować się poprzez szukanie pomocy lekarskiej.

Do niebezpiecznych należały też raje płaszczki, zobaczyliśmy taką podczas wieczornej kąpeli, ale nie mieliśmy kuszy. Miki podążył za nią a ja biegałem po brzegu w poszukiwaniu czegoś, czym mógłbym ją złapać bez narażania się na uderzenie jadowitego kolca na ogonie. Znalazłem wreszcie półtorametrowy pręt zbrojeniowy. Po zagięciu końca w kształcie laski dopłynąłem do Mikięgo – raja była już na granicy widoczności. Udało się mi przebić ją i po pchnięciu pręta do zagięcia złapałem prosty koniec, w ten sposób doholowałem ją do brzegu. Po wysuszeniu zabraliśmy ją do Polski jako trofeum do powstającego w Elku klubu płetwonurków.

Mieliśmy terminowe bilety powrotne na pociąg do Leningradu, jednak nie chciało się nam jeszcze wyjeżdżać – pogoda, morze..., i wspaniałe szaszłyki robione przez tubylców trzymały nas jak magnes. Do spieniężenia biletów kolejowych i kupienia lotniczych na późniejszy termin trzeba było mieć sowieckie papiery. Nasz gospodarz nie wiedział, że jesteśmy obcokrajowcami. Był jednak blisko obóz treningowy płetwonurków z Leningradu, tam z „tajną misją” udałem się z Mikim.

Tuż przy bramie obozu spotkaliśmy ładniutką uśmiechniętą blondynkę – ta nas nie wsypie – wyczuliśmy. Spytałem ją o Orłowa, którego znałem z Leningradu, niestety nie było go. Wyjaśniłem jej nasz problem – chyba jednak Miki ją oczarował – sprzedała nasze kolejowe bilety i kupiła powrotne na samolot. Mieliśmy jeszcze parę dni cudownej pogody, pomiędzy krabami, skałkami i miłymi ludźmi. Nawet bez oczarowania, chciała na pewno pomóc młodym ludziom z Polski, którym tak bardzo podobało się Morze Czarne. Parę razy mieliśmy przyjemność gościć ją w Warszawie, gdy specjalnie zatrzymywała się jeżdżąc na różne zawody. Została ona na zawsze w sympatycznej szufladce naszej pamięci.

Ostatniego dnia przed odlotem zaprosiliśmy gospodarza na wino, powiedzieliśmy kim jesteśmy, podziękowaliśmy za gościnę (oczywiście płatną). Oprócz Lopka mówiliśmy płynnie w języku rosyjskim. Lopek doskonale opanował „zdrastwujecie”, „doswidania”, „da” i „niet”. Gospodarz podrapał się w głowę i powiedział: *A ja myślałem, że jest on jakimś ważnym profesorem z Moskwy, który ze mną, prostym człowiekiem, nie chce rozmawiać.* Jeszcze do dzisiaj od czasu do czasu żartobliwie nazywamy go „Profesor z Moskwy”.

Wbrew nadziejom Honzy moje czarne przewidywania spełniły się. Wkrótce po powrocie z Krymu do Polski nastąpiła [inwazja na Czechosłowację](#). Honza korzystając z możliwości odbioru polskiej telewizji w przeciągu paru lat nauczył się płynnie mówić po polsku, często nas odwiedzał. My także odwiedziliśmy go w Ostrawie. W pierwszym dniu po przyjeździe do Ostrawy Honza zaprosił mnie do baru na piwo. Piwosze zorientowali się, że jestem Polakiem, nie spotkałem się jednak z żadną wrogością. Szukając w Pradze ulicy Ukraińskiej, gdzie mieszkała matka Honzy, próbowałem pytać o drogę w języku rosyjskim. Starszy Czech poradził mi: *Przecież jesteś Polakiem, pytaj mnie po polsku, łatwiej zrozumiemy się używając naszych języków niż używając języka rosyjskiego*. Knedliczki, piwo i cudowna Praga, nie wzięły na nas odwetu za ten paskudny udział Wojska Polskiego w inwazji na Czechosłowację. Przed wyjazdem w dalszą drogę do Budapesztu spędziliśmy tam przyjemne i przyjazne dni.

W Budapeszcie zatrzymaliśmy się w mieszkaniu znajomego Węgra, absolwenta LITMO. W tym czasie pracował on w Polsce oddelegowany do jakiejś organizacji RWPG. Byli tam też inni absolwenci po studiach w ZSRR. Całą podróż odbywaliśmy na luzie, bez żadnego handlu na tak zwany „zwrot kosztów podróży”. Nie daliśmy się przekonać mojej mamie, która przed naszym wyjazdem zrobiła dokładny spis, co zawieźć, co przywieźć, aby nie marnować wyjazdu i nie wydawać pieniędzy bez pożytku. Wydawaliśmy pieniądze, jednak dużo mniej niż będąc tam bez przyjaciół. Widzieliśmy też więcej niż jakikolwiek turysta zwiedzający Węgry z oficjalną wycieczką. Poznaliśmy ślady i historię krwawo stłumionego powstania. W stylowych winiarniach delectowaliśmy się węgierską muzyką i winem, spędzaliśmy długie wieczory rozmów polsko węgierskich bratanków, niestety w języku rosyjskim.

Oficjalny turysta nie miałby też szansy spróbować prawdziwie węgierskiego jedzenia. Jeden z naszych przyjaciół wziął nas do jakiejś robotniczej stołówki i uczciwie ostrzegł, co nas czeka. Jadłem ten węgierski gulasz i płakałem ratując się kuflowym piwem – było to o niebo ostrzejsze niż w restauracjach dla turystów. Płakałem też na drugi dzień w ubikacji, już bez piwa, a nawet, gdybym je miał, to bez dogłębnych studiów nie wiedziałbym jak je zaaplikować, aby ulżyć tym wtórnym cierpieniom.

W tym czasie nasz paroletni syn Lesio był pod opieką babci. Bawiąc się na podwórku ukochany babci wnuczek³ zaczął płakać, jakiś dzieciak obrywał motylkowi skrzydełka. Babcia omal nie wypadła z okna na pierwszym piętrze krzycząc: *Niech jeszcze któryś ruszy motylka, to mu nogi z dupy powyrywam*. Czuli to był dzieciak na takie rzeczy, nawet mróweczki by nie przydeptał. Wsławił się też ten wnuczek kilkoma powiedzonkami. Słyszac rozmowę, że znowu komuś urodził się syn, zadał bardzo dociekliwe pytanie: *A skąd będą brały się mamy?* W odróżnieniu od następnych synów z jedzeniem nie mieliśmy kłopotów. W czasie jednego z przyjęć zawołałem go i poprosiłem, aby wszystkim grzecznie powiedział, czego nie lubi jeść. Myślał bardzo długo..., w końcu poważnie powiedział: *Nie lubię chrzanu i musztardy, ale samych, bo z kielbasą to lubię*.



Mały Lesio u dziadka na kolanach.

Mając już paroletnie dziecko zaczynałem przyzwyczajać się do stanu małżeńskiego. Większą część codziennych dni spędzało się w pracy, był jednak czas na spotkania z przyjaciółmi i zabawę przerywaną troskami o dziecko i jego zdrowie. Wspaniałą cechą mojej żony była i jest jej towarzyskość oraz serdeczne zaakceptowanie wszystkich moich przyjaciół. Ułatwiło to znacznie odzwyczajanie się od stanu kawalerskiego oraz nieuniknione rozluźnienie przyjacielskich więzów. Rozluźnienie, jednak nie rozerwanie, pomimo śpiewanego przy coraz rzadszych spotkaniach: *Bo w tej piosence czule żegnam Was...*

3 Zachowała się pocztówka dźwiękowa z głosem „ukochanego wnuczka” nagrana specjalnie dla Babci. Kliknij aby odtworzyć nagranie: [Pocztówka dźwiękowa Lesia](#)

Jako trzydziestolatkowie w większości mieliśmy własne rodziny i dzieci. Już nie było łatwo zorganizować jakąś wyprawę pod namioty, spotkać się i bez poczucia winy zbałamucić gdzieś czas, lub nurkować pół dnia bez usłyszenia: *Jakie to nudne tak czekać na brzegu*. Do tego dochodziły obowiązki utrzymania domu i wszystkie drobne a niezbędne codzienne zajęcia. Małżeństwo było bardzo dużą zmianą trybu życia a praca zawodowa wymagała coraz większego zaangażowania. Poprzedni stan kawalerski i okres nauki ulegały wyidealizowaniu, wyglądały one bardziej różowo, niż było to w rzeczywistości. Z obserwacji wynika, że taka „idealizacja” może doprowadzić do podświadomego obwiniania partnerki lub partnera o przewrócenie dotychczasowego świata do góry nogami. Wiele małżeństw nie wytrzymuje tego typu twardej próby rzeczywistości – ukochane kiedyś osoby mogą stać się w wyobraźni życiowym balastem.

Aby przetrwać taki trudny okres, oprócz płochliwego uczucia zakochania, trzeba żywić uczucie przyjaźni, zazwyczaj trwalsze i ułatwiające rozsądne rozwiązywanie nieuniknionych problemów. Na szczęście moje małżeństwo i większość małżeństw bliskich mi ludzi wytrzymały tą próbę czasu. Myślę też, że problem rozbitych małżeństw polega na braku wyobraźni partnerów. Przyciśnięci obowiązkami codziennego dnia, obowiązkami nie do uniknięcia, uciekają od tych obowiązków i od rzeczywistości. Najbardziej mylącym może być wyobrażenie, że inne osoby są ciągle zadbane, uśmiechnięte, uczynne i pociągające. Mogą być takie, ale nie zawsze i nie 24 godziny na dobę. Jeżeli ktoś zdecyduje się porzucić stary związek i wejść w nowy, wówczas uciążliwa codzienność i obowiązki wrócą jak bumerang, który walnąwszy dobrze w głowę każe wreszcie pogodzić się z rzeczywistością dorosłego życia.

Do czasu urodzenia się pierwszego syna nie znałem prawdziwego uczucia do dzieci. Dziecko to było czyjeś dziecko, do którego powiedziało się „guu guu”, pobawiło się trochę, ale bez jakiegoś wewnętrznego zaangażowania. Wszystko niewyobrazalnie zmieniło się w przeciągu paru miesięcy po zostaniu ojcem. Każde dziecko zaczęło wywoływać trudne do opisanego uczucia: ciepła i radości, gdy dziecko było zdrowe i uśmiechnięte; smutku i przygnębienia, gdy dziecko było chore, nieszczęśliwe lub maltretowane.

Czekając kiedyś na tramwaj przy politechnice zobaczyłem jakiegoś pijanego ojca, który ciągle bił trzylatka. Po paru minutach podszedłem do niego i powiedziałem: *Jeżeli jeszcze raz uderzy pan to dziecko, to tak walnę pana w mordę, że nie podniesie się pan z ziemi* – poskutkowało, nie wiem na jak długo, ponieważ moja zapchana piątka wkrótce nadjechała. W innym przypadku stałem w tramwaju koło siedzącego starego marnie ubranego człowieka. Widziałem z góry jego bezgranicznie smutną pomarszczoną twarz i przeświecone słońcem resztki włosów. Poczulem jakąś nieprzewartą chęć pogłaskania go, powiedziałem mu: *Przecież byłeś kiedyś bardzo, bardzo mały, ktoś głaskał cię po główce. Przecież ciągle jesteś tym, którego kochała przynajmniej jedna osoba na tym świecie – twoja matka – nie smuć się*. Było to tak silne uczucie, że musiałem odejść, aby go mimowolnie nie pogłaskać. Odczucia takie niewątpliwie związane były z zachodzącymi wewnątrz mnie zmianami spowodowanymi posiadaniem dziecka.

Do dziś dnia nie mogę spokojnie patrzeć na reportaże pokazujące piękne kochane dzieci w domach dziecka. Nie mogę usunąć z pamięci pokazanego w telewizji zdjęcia chłopczyka trzymającego na rączkach swoją malutką siostrzyczkę. Wzniesione do góry smutne łagodne oczy tak jakby widziały już niebo. Delikatny uśmiech na twarzy ze śladami poparzeń po gaszonych papierosach zdawał się wybaczać wszystkie przeszłe i przyszłe cierpienia. Trzymał tą małą siostrzyczkę tak, jak Matka Boska trzyma Dzieciątka na świętych obrazkach, jakby chciał razem z nią podążyć za swoim wzrokiem... I uleciał, gdzieś tam, na północy stanu Nowy Jork zmarł skatowany przez matkę narkomanek i jej przyjaciela. Może jeszcze w ostatniej chwili, już nie czując bólu, czekał..., aby ktoś pogłaskał jego główkę...?

Straszne to są rzeczy, straszne, ale prawdziwe. Ludzie z takimi obciążeniami jak mordercy tego aniołka nie powinni mieć dzieci. Nie jest to politycznie poprawne i wbrew naukom kościoła, ale nawet narażając się na ryzyko pomyłek, takie typy powinny być wyjałowione. Nie wystarczy też samo prawo [Megan's Law \[W wielu stanach USA powiadamia się lokalne społeczności o przybyciu pedofilów opuszczających zakłady karne\]](#). Recydywiści pedofile, bez względu na inne kary, powinni być w pierwszej kolejności kastrowani.

Z czego może rodzić się często irracjonalnie złe traktowanie dzieci? Oprócz patologicznych przypadków powodem bywają różne trudności życiowe rodziców: rozpad pożycia małżeńskiego, kłopoty finansowe, pośpiech i brak czasu, mała odporność psychiczna, alkoholizm, itp. Najdziwniejszym jest to, że czasami miłość do dziecka może prowadzić do jego złego traktowania, ponieważ dziecko nie spełnia marzeń i oczekiwań rodziców, lub nie idzie drogą, o której kiedyś marzyli rodzice. Po prostu, wychowując dzieci trzeba w dużym stopniu pozwolić im być sobą. Trzeba kierować i kontrolować rozwój dzieci, ale nie zmuszać ich wszelkimi sposobami, aby były „genialne”.

Osobiście, za największą stratę w moim życiu uważam to, że przez osiem lat nie byłem razem z moimi chłopcami, gdy na pewno najbardziej mnie potrzebowali. Gdybym w jakiś cudowny sposób miał szansę zmienienia czegokolwiek w moim przeszłym życiu, wówczas zrobiłbym wszystko, aby nie było tej ośmioletniej rozłąki z moimi chłopakami.

Właściwie w ich dzieciństwie powtórzyło się w małej skali moje dzieciństwo. Mojego rodzonego ojca nigdy nie poznałem. Miałem ojczyrna, wspaniałego człowieka, ale po powrocie z zesłania najczęściej bywał w terenie na budowach melioracyjnych. Wychowywałem się samopas, nie skończyło się to źle, nabrałem samodzielności i umiejętności radzenia sobie ze wszystkimi problemami. Podobne cechy obserwuję u moich synów, jestem dobrej myśli. Brakuje w nich trochę mojej technicznej smykałki, może dlatego, że wszystkie techniczne sprawy ja brałem w swoje ręce. A może po prostu mają więcej z mojej żony wyrosniętej na muzyce operowej i balecie umiejętnie kształcącej zarówno podopiecznych w szkole jak i własnych synów [[fragment wywiadu](#)].



Jako „jedynaczka” w naszym męskim towarzystwie miała i ma duży wpływ na wszystko..., i to zresztą od momentu urodzenia pierwszego syna, którego powiła na Trzeciego Maja – w dniu swoich urodzin. Od tego dnia, jakby przeczuwając, że po dziecku męczyzna poprawia się, zrezygnowałem ze środków komunikacji miejskiej i zacząłem jeździć rowerem. Po przyniesieniu do domu tak wówczas trudnego do kupienia składaka koniecznym było natychmiastowe odwiezienie żony do szpitala. Trudno mi wyjaśnić, jaki wpływ na tuszę męża może mieć fakt urodzenia dziecka przez żonę, jednak moje obserwacje potwierdzają to dziwne zjawisko. Właściwie wszyscy koledzy po staniu się ojcami zaczęli przybierać na wadze, gdyby któryś nie obrósł tłuszczkiem, byłoby to czymś bardzo podejrzanym?

Jeżdżąc do pracy rowerem oszczędzałem sporo czasu. Zamiast kołatać się tramwajem i EKD do Włoch śmigałem rowerkiem przez prawie wiejskie tereny pomiędzy Ochotą a Włochami. Po drodze mijałem kamień pamiątkowy poświęcony Reducie Orдона, szklarnie, działki i ogródki. W czasie około 15 minut docierałem do ERY. Ta zmiana środka komunikacji wywołała w ERZE swego rodzaju sensację towarzyską – inżynier jeżdżący rowerem. Po pewnym czasie puste przedtem pomieszczenie na rowery zapełniło się rowerami innych cyklistów. Ośmieleni moim przykładem przelamywali niepisane prawo, o wstydlivosti dosiadanania roweru przez „poważne” osoby. Największą sensację wzbudziłem jednak przyjeżdżając zimą na nartach. Przez parę pierwszych dni prawie wszyscy pracownicy zakładu mieli coś do załatwienia w dziale konstrukcyjnym. Zaglądali za deski kreślarskie, gdzie pod ścianą obsychały moje narty. Dołączył do mnie jeszcze jeden „stołeczny narciarz” – razem odciążaliśmy nękaną śniegami publiczną komunikację.

Około 1970 roku przeniesiono mnie w ERZE do nowego działu przy Al. Jerozolimskich i Łopuszańskiej mającego zajmować się minikomputerami. Zgodziłem się na ten transfer, ponieważ z przyjemnością wspominałem pracę na pół etatu w Zakładzie Pamięci Taśmowych Instytutu Maszyn Matematycznych (IMM). Zamiast kupować licencję IMM podjął się skonstruować pamięć taśmową na bazie krajowych materiałów i elementów. Podpisałem umowę do końca roku.

Zaraz po skończeniu dnia pracy w ERZE jechałem do IMM, gdzie do późnych godzin stałem samotnie przy desce kreślarskiej projektując szereg podzespołów. Zależało im na jak najszybszym wykonaniu prototypu, dlatego też zaproponowali mi, że niezależnie jak prędko skończę moją „działkę”, będą płacili do końca roku. W połowie przewidzianego czasu zaprojektowałem czujnik strefowy, czujnik prędkości taśmy, oraz część mechaniczną układu dosuwania głowic wraz z dokumentacją do badań odbiorczych.

Dotrzymali słowa, płacili do końca roku. Po jakimś czasie zadzwonił do mnie inż. Rancewicz, zawiadomił mnie o przygotowywaniu wniosku patentowego na układ dosuwania głowic. Nie miałem nic przeciwko temu, aby moje nazwisko znalazło się na zbiorowym patencie. W międzyczasie dowiedziałem się, że prototypy pamięci taśmowej przeszły pomyślnie badania i uruchomiono ich produkcję. [Pamięć taśmowa PT-3](#) stosowana była w zestawach z maszynami cyfrowymi Odra oraz eksportowana.

Zapomniawszy o patencie byłem bardzo zdziwiony, gdy inż. Rancewicz zadzwonił do mnie po paru latach i zawiadomił, abym zgłosił się do kasy IMM po odbiór pieniędzy za wynalazek. Gdy wręczono mi listę wypłat pomyślałem, że ktoś w złym miejscu postawił przecinek – było tego prawie siedemdziesiąt tysięcy gotówką. Jadąc tramwajem do domu ściskałem pod pachą teczkę i jeszcze nie wierzyłem, że wiozę sumę pieniędzy prawie równą moim dwuletnim poborom. Krystyna też nie mogła uwierzyć swoim oczom, nigdy nie opływała w dostatki, trudno jej było pojąć całe to wydarzenie.

W ciągu paru lat z patentów i z nagród za wynalazczość otrzymałem około 240 tysięcy złotych. Nie przesiadłem się jednak z roweru na samochód, uważałem, że gdy skończą się dochody z patentów, wówczas z pensji nie będę mógł utrzymać samochodu. Wydaliśmy te pieniądze na mieszkanie, na beztrudne podróże – ku zgrozie mojej mamy „marnowaliśmy pieniądze” – i dobrze zrobiliśmy. Przypadek nasz był zaprzeczeniem reguły, według której młodzi ludzie mają wiele zdrowia i zapału, ale nie mają pieniędzy a starzy ludzie mają pieniądze i nic więcej.

Po przejściu do działu minikomputerów w ERZE zawiodłem się srodze. Nie było żadnej pracy konstrukcyjnej, właściwie żadnej innej pracy. Parę osób odsiadywało codziennie osiem godzin nudząc się bezdennie. Jedynym zajęciem – dla fasonu – było przeglądanie jakichś czasopism o tematyce komputerowej. Ten organizowany w ERZE dział minikomputerów był tak potrzebny, jak anegdotyczna „trzecia rękawiczka”: *Przyjechał do stolicy nowobogacki prowincjusz. W sklepie z galanterią poprosił ekspedientkę o trzy rękawiczki. Ekspedientka zaproponowała mu dwie lub cztery – a on nic, upierał się przy trzech. W końcu ekspedientka spytała go, dlaczego upiera się przy trzech rękawiczkach. Klient z miną światowca wyjaśnił „Jak to dlaczego? Jedna na jedną rękę, druga na drugą rękę, a trzecią trzyma się w rękę...”, – dla fasonu”.*

Właśnie „dla fasonu” organizowano ten dział. Gdzieś tam naczałstwo wywachało pieniądze na licencje, Gierek zaczął budować drugą Polskę za dolarowe kredyty. Wszyscy z „siłą przebicia” chcieli załapać się na licencyjne biznesy, a przynajmniej na intratne wyjazdy za granicę. Do tego dotychczasowy profil zakładu nie wystarczał. Na mierniki ERA mogłaby sprzedać licencję a nie kupić. Aby włączyć się do licencyjnej orgii stworzyli „fasadowy” dział minikomputerów, pomimo, że był już w ERZE inny dział zajmujący się małymi systemami komputerowymi. Inżynier [Jacek Karpiński](#) z dobranym zespołem szybkimi krokami zmierzał do zbudowania minikomputera o wielu nowatorskich w skali światowej rozwiązaniach – to właśnie przesądziło o zatrzymaniu prac i likwidacji tego działu. Wbrew potocznym opiniom, to nie tylko rozgrywki personalne wykończyły Karpińskiego, dużą rolę odegrała pazerność naczałstwa na licencyjne miliony dolarów. Mając własną dobrą konstrukcję nie mogliby kapać się w dolarowym bagnie.

Sfrustrowany bezczynnością w pracy postanowiłem zająć się doktoratem. Promotorem mojej pracy doktorskiej został doc. Żelazny z wydziału Mechaniki Precyzyjnej. Wbrew potocznym wyobrażeniom praca doktorska nie jest czymś na miarę odkrycia Ameryki. W jakiejś dziedzinie wiedzy należy sformułować zadanie do rozwiązania, zademonstrować znajomość metod i narzędzi badawczych, napisać i obronić pracę doktorską.

Ze sformułowaniem zadania nie było kłopotów. Korciło mnie, aby znaleźć analityczne rozwiązanie problemu ocenionego przez mojego leningradzkiego opiekuna pracy dyplomowej, jako niemożliwego do teoretycznego rozwiązania. Uogólniając postawiony problem zaproponowałem tytuł: „Wybór algorytmu przejścia głowic przesuwanych”. Słowo „algorytm” mogłoby być spokojnie zastąpione słowem „sposób”, ale wszyscy zgodzą się ze mną, że algorytm „to brzmi dumnie”. Dla przybliżenia znaczenia tego słowa wyjaśnię, że przepis pieczenia ciasta jest niczym innym, jak „algorytmem pieczenia ciasta”. Chodzi mi tutaj o pokazanie, jak czasami nieznaną znaczenia jakiegoś terminu może utrudnić zrozumienie prostego sformułowania.

Najistotniejszym w tym tytule było słowo „przejścia”. Chodziło o wyodrębnienie i porównanie różnego rodzaju przejść do położeń mających losowy charakter. W efekcie udało się ułożyć dosyć skomplikowane równanie, którego „ładkie” rozwiązanie okazało się najtrudniejszym problemem w mojej pracy. Po przesłaniu nad równaniem paru tygodni w żaden sposób nie mogłem go „ugryźć”. Dopadłem jednego z profesorów matematyki na Politechnice Warszawskiej – nic konkretnego nie mógł mi doradzić – oprócz udania się na konsultacje do Instytutu Matematycznego Polskiej Akademii Nauk. Poprosiłem ich o pomoc, po jakimś czasie otrzymałem odpowiedź, że analityczne rozwiązanie tego równania być może w ogóle nie istnieje (a może leniwi byli). Utraciwszy nadzieję na łatwą przysiadłem fałdów i w przeciągu miesiąca z hakiem rozwiązałem to równanie. Jeżeli strzeliłem gdzieś byka, to sam o tym nie wiem. Wątpię też, czy któryś z recenzentów, lub jakakolwiek inna osoba, prześledziła moje rozwiązanie od początku do końca. Piętnaście lat później, gdy nawinęła się mi pod rękę moja praca, sam nie miałem pojęcia jak je rozwiązałem.

W międzyczasie byłem zaproszony do Olsztyna, gdzie była stacja obserwacji satelitów. Chodziło o skonstruowanie przyrządu do bardzo dokładnego pomiaru kątów. Było parę koncepcji. Jedną opartą na dwóch pierścieniach z wycięciami, z elektronicznym podziałem zmian pojemności przy mijaniu się ząbków, lansował pracownik tej stacji. Rozwiązanie takie nie wydawało się mi być najlepszym. Wiedząc już co nieco o gęstości zapisu na obwodzie dysku pamięci dyskowej wpadłem na pomysł wprowadzenie drugiego układu głowic czytających, który obracając się wokół osi dysku rejestrowałby, w porównaniu z nieruchomym układem głowic, więcej lub mniej impulsów w zależności od kierunku ruchu. Właśnie ta różnica dawałaby możliwość bardzo dokładnego określania kąta obrotu drugiego układu głowic. Porównując wszystkie dostępne wówczas sposoby mierzenia bardzo dokładnych kątów doszedłem do wniosku, że w tym czasie przyrząd zbudowany na takim pomysłe deklasowałby inne znane urządzenia.

Mając już wtedy „Kompleks Kuklińskiego” nie zamierzałem palcem kiwnąć, aby mój pomysł znalazł zastosowanie w technice wojennej „wielkiego brata”, jednak pod „zmyłkowym” szyldem opatentowałem go. Od tego czasu technika poszła znacznie do przodu. Około 20 lat później pokazali w amerykańskiej telewizji króciutki reportaż z testu miniaturowej rakiety. Było to niesamowite widowisko – za ochronną siatką rakietka podniosła się i zatrzymała się w jednym miejscu – dosłownie, stanęła nieruchomo. Miniaturowe dyski rozmieszczone na jej powierzchni impulsowo wyrzucały strumienie gazu stabilizującego jej położenie. Doszedłem do wniosku, że pokazali coś, co otwiera nową erę w zakresie systemów sterowania i napędu pojazdów raketowych. W tak małej objętości mogli zmieścić jedynie mikroprocesor z zintegrowanymi wewnątrz obwodami przestrzennej orientacji i sterowania. Inną rewelacją były rozmieszczone na powierzchni rakiety impulsowe silniczki raketowe z układami dozującymi i odpalającymi paliwo.

Po zakupie licencji ERA rozpoczęła adaptację dokumentacji i wdrażanie amerykańskiej pamięci dyskowej. Do kosztów licencji, tłumaczenia dokumentacji, wykonania oprzyrządowania – wszystko w systemie całowym – dochodzić miał import kooperacyjny na najistotniejsze elementy i podzespoły. Pracując przy adaptacji dokumentacji szlag mnie trafiał na myśl, co za kretyn lub łapówkarz kupił takie gówno. To nie znaczy, że wyrób sam w sobie był czymś złym. Był to produkt na poziomie średniej klasy, ale kupiono to, co nasi konstruktorzy mogliby zaprojektować w czasie o połowę krótszym od tłumaczenia dokumentacji.

W międzyczasie Bułgarzy bez wydawania milionów dolarów zaprojektowali i sprzedawali ich własną pamięć dyskową. Całe przedsięwzięcie porównywałem z krajową pamięcią taśmową PT-3 zaprojektowaną i wdrożoną do produkcji bez licencji. Nie była to moja odosobniona opinia, prywatnie wiele osób wypowiadało podobne opinie – ale oficjalnie byliśmy „kupowani” atrakcyjnymi wyjazdami za ocean na parotygodniowe szkolenia.

Podczas wymiany złorzeczeń na tą licencję jeden z moich kolegów z LITMO, który wstąpił do organizacji partyjnej w ERZE, powiedział, że tylko na partyjnym forum można przeciwstawić się podobnym i innym bzdurom. Wziąłem go na wprowadzającego. Wkrótce po przyjęciu mnie do partii dyrektor techniczny, o ile nie myłę się nazywał się Zemła, wezwał młodych „towarzyszy specjalistów” na naradę. Problem polegał na tym, że ERA rozedrgana w licencyjnym ferworze nie wywiązała się z kooperacji z Błoniami. Dyrektorskie zadanie partyjne brzmiało: *„Na podstawie przedstawionej teczki korespondencji i jakichkolwiek możliwych notatek służbowych udowodnić, że to Błonie zaważyło kooperację”*. Absolutnie nie krył się, że chodzi o ewidentną machlojkę. Jako jedyny z „towarzyszy specjalistów” grzecznie poprosiłem go, aby zwolnił mnie z wykonywania tego partyjnego zadania i opuścił jego gabinet. Odprowadził mnie bardzo niechętnym wzrokiem i już nigdy nie zaprosił na żadną naradę. Sam sobie byłem winny, bo moja deklaracja w podaniu o przyjęcie do partii, że wstępuję do partii, aby pracować dla dobra Polski (z pominięciem Ludowej), natychmiast postawiła mnie w konfliktowej sytuacji. Miałem do wyboru, przyłączenie się do koterii i układów, lub odsunięcie na margines.

Wielu starych przyjaciół uważało, że wstępując do partii wplątałem się w tryby PRL-owskiej kariery. Nie robili mi wyrzutów, było to tak normalne, jak zakładanie krawata do garnituru i białej koszuli. Ja, po doświadczeniach paru lat pracy zacząłem dochodzić do wniosku, że bycie inżynierem, nawet dobrym, to zbyt mało, ponieważ obłądna przybudówka partyjno internacjonalistyczna niszczy nasze wysiłki [obecnie mamy inne internacjonalistyczne przybudówki, szczególnie Unię Europejską, wypisz wymaluj ZSSR bis i „starszego brata“ za oceanem]. Przy okazji jakiegoś spotkania napomknąłem kolegom, że zrobiłem już swoją karierę zawodową przed wstąpieniem do partii, a po wstąpieniu przyszedł czas na podjęcie ryzyka korygowania nonsensów naszej rzeczywistości. Czy mi wierzyli?

Formalnie byłem na liście wyjazdowej na szkolenie do USA, wiele osób wyjeżdżało. Byłem przekonany, że za moje „krytykanctwo” dyrekcja wykombinuje cokolwiek, aby mnie pominąć. Gdy opublikowano w „Życiu Warszawy” miejsce i termin obrony mojej pracy doktorskiej natychmiast otrzymałem notatkę o wyjeździe do USA w tym właśnie terminie. Żeby było zabawniej zaakceptowałem ten termin blefując, że po uzgodnieniu z promotorem ukaże się w „Życiu Warszawy” ogłoszenie o przesunięciu terminu obrony. Oczywiście nic takiego nie uzgadniałem i nie przesuwałem. Tak jak oczekiwałem, dyrekcja w pośpiechu zawiadomiła mnie, że wyjazdy w planowanym terminie zostały odwołane.

Działalem bez pudła, ponieważ miałem poufne informacje od osobistej sekretarki obu dyrektorów, głównego i technicznego. Mając uroczą czarnowłosą sekretarkę o zielonych oczach nieopatrnie przetrzymywali mnie zbyt długo przed łaskawym zezwoleniem na wejście do gabinetu. Nie wpadło im do głowy, że ten kwiat żeńskiej urody będzie częstował mnie ich dyrektorskim koniakiem. Im dłużej czekałem, tym więcej napełnionych kieliszków trafiało za doniczkę na stoliku przy fotelu dla oczekujących gości. Dziwili się może tylko, że po każdej takiej wizycie te zielone oczy były bardziej wesole i błyszczące. Z czasem nie tylko koniak trafiał w niewłaściwe usta, ale wszystko z ich ust trafiało do niewłaściwych uszu.

Od chwili odmowy wypełnienia dyrektorskiego „partyjnego zadania” nie miałem w tym zakładzie żadnych szans, starałem się jednak ulżyć zakładowi w wdrożeniu tej obłądnej licencji. Kupiono w tym czasie dziesiątki licencji, dotarłem do centralnego spisu kupionych licencji. Po przeprowadzeniu rozeznania okazało się, że niezależnie od siebie różne zakłady uruchomiły lub uruchamiały wiele elementów i podzespołów powszechnego zastosowania ogólnie dostępnych na zachodzie.

Najrozsądniej byłoby kupować je od oryginalnych producentów, ale wydając miliony na licencje nie zezwalamo na wydanie paru setek dolarów na drobny import. Narzędziownie pracowały pełną parą produkując oprzyrządowania dla drobnych ilości technicznej galanterii, w dodatku w wielu zakładach uruchamiano produkcję identycznych elementów. Po wymianie informacji rozsądni ludzie, których nigdy nie brakowało w Polsce, chcieli podzielić się zadaniami, jednak na szczeblach dyrekcji nie było o tym mowy – każdy sobie rzepkę skrobie. Do dziś dnia nie rozumiem na czym polegał problem – mieli chyba zaplanowane, ile pieniędzy muszą wydać na przygotowanie oprzyrządowania.

W ten sposób oprócz zmarnowanych milionów dolarów na licencje, nie zawierające jak w przypadku ERY żadnych istotnych technicznych „sekrétów“, wydawano miliony złotych na ich uruchomienie. To, co było istotne, jak układy głowic, dyski i napędy, musiało być sprowadzane czyniąc całe przedsięwzięcie zupełnie nieopłacalnym oraz technicznie i ekonomicznie bezsensownym. Jedynym plusem tych wydanych milionów na licencje było unowocześnienie zakładów. Krytycznie patrząc na Gierkowskie „dolarowe długi” trzeba zauważyć, że po „transformacyjnej defraudacji“ wiele w miarę nowoczesnych zakładów bezsensownie zniszczone lub „sprzedano“ powiększając wielokrotnie nasze długi dewizowe.

Cała ta licencyjna „impreza” opłacała się jedynie dla coraz to bardziej nadętych menedżerów wspominających amerykańskie knajpki, gdzie za nasze pieniądze pojono ich i karmiono pod muzykę „country” oraz zabawiano wygibasami rozbierających się „go-go”. Te gołe, nawiasem mówiąc zgrabne dupcie amerykańskich „egzotycznych tancerek”, podbijały ich samopoczucie światowców każąc zapomnieć, co jest, albo nie jest „biznesem” dla naszego kraju.

Po obronie pracy doktorskiej byłem potrzebny w zakładzie jak piąte koło u wozu. Przyjazne ucho doniosło, że dyrektor naczelny po doręczeniu mu mojego zaproszenia na obronę pracy doktorskiej zachnął się: *Ja nie potrzebowałem żadnego doktoratu, aby zostać dyrektorem.* Może też nie potrzebował nawet matury, wywozili się jeszcze ze starej kadry hołdującej maksymie „Nie matura, lecz chęć szczerą...”

Ta egzystencja przypadkowego doktora nauk technicznych zredukowanego z pełnej krwi konstruktora do pracownika przekładającego licencyjną makulaturę nie mogła trwać wiecznie. Całodzienna nuda przewalania papierów a też frustracja spowodowana bezsensownością działania zaowocowały bólami obezwładniającymi lewą nogę od biodra do stopy. Raz na parę miesięcy musiano odwozić mnie do domu, ponieważ nie byłem w stanie iść. Do tego doszły momenty niespodziewanego omdlenia, od którego ratowałem się obmywając twarz zimną wodą lub niskim przysiadem. Podczas obiadu wspomniałem o tych problemach Zygmuntovi Krawczykowi, był bardzo dobrym chirurgiem, pomiędzy jednym a drugim kielichem postawił mi bezbłędną diagnozę: zdeformowanie kręgow. Zdjęcia rentgenowskie potwierdziły jego diagnozę.

Przypomniał mi się wtedy wypadek sprzed wielu lat, gdy podczas wakacji wracałem Osą z wypełnionego błękitem „nadchabrowych” oczu Kalisza do Elku. Późnym wieczorem dojeżdżałem do Białegostoku. Co jakiś czas musiałem czyścić plastikowe okulary na których rozbijały się jakieś muszki a nawet duże chrabąszcze pękające z głośnym trzaskiem. Plagą naszych dróg były nieoświetlone furmanki, szczególnie niebezpieczne, jeżeli jakiś samochód nadjeżdżał z przeciwka. W takim przypadku, nawet przy przepisowej zmianie świateł nadjeżdżającego pojazdu, poświata w okularach znacznie ograniczała widoczność. Miałem około 20 kilometrów do Białegostoku. Odczuwałem już zmęczenie, planowałem zatrzymać się u dobrego znajomego mieszkającego w nowych blokach przy stacji kolejowej.

Po pokonaniu długiej trasy ostatnie kilometry są najbardziej niebezpieczne. Koncentracja oraz poczucie zagrożeń prawie że zanikają. Następuje też odrealnienie poczucia prędkości. Bez obserwowania prędkościomierza może wydawać się, że poruszamy się w tempie spacerowym. Po prostu trzeba wyrobić sobie nawyk ścisłej kontroli prędkości i zaostrzenia uwagi na ostatnich pięciu procentach trasy, w szczególności podczas dojazdu do domu. Z komunikatów przekonuję się, że wiele tragicznych wypadków wydarza się właśnie na ostatnich etapach długich tras.

Dla wybierających się gdzieś grupowo młodych ludzi bardzo niebezpieczne są też pierwsze kilometry ich wypraw. Podekscytowani, z wizją oczekującej ich frajdy, często kończą podróż w karambolu nie odjeżdżając daleko od domu. Innym problemem początkujących kierowców, co często powtarzałem moim synom, jest przecenianie własnych umiejętności. Po objeźdzeniu paru setek kilometrów nowi kierowcy nabywają złudnej pewności, że są już mistrzami jazdy. Śpieszą się bez żadnej potrzeby, ostro startują i hamują, zbierają bezmyślnie mandaty. Często też „ładują” na bagażniku jakiegoś samochodu lub nadstawiają bok nie zdążywszy przeskoczyć przez skrzyżowanie.

Ja nie byłem początkującym kierowcą, już wiedziałem, że te ostatnie kilometry trzeba pokonywać ze zwiększoną uwagą. Z naprzeciwna nadjeżdżała furgonetka – przełączyłem światła na krótkie – furgonetka nie zmieniła świateł. Zwolniłem oczekując na krótkie światła i utrzymywałem kierunek jazdy widząc kątem oka prawe pobocze. Właściwie powinienem zatrzymać się, ale byłem daleko od jakichś miejscowości a droga była praktycznie pusta.

Z chwilą minięcia furgonetki tuż przede mną pojawiła się nieoświetlona furmanka. Zaczęłem hamować jak mogłem najmocniej. Nie słyszałem żadnych dźwięków hamowania. Widząc nieuchronnie zbliżający się tył furmanki czułem się jak zahipnotyzowany. Nie czułem ani nie słyszałem uderzenia. W swoich krótkich światłach z lotu ptaka zobaczyłem spłaszczone dwa koła. Dosłownie, widziana z góry opona koła wozu i moja opona wraz z błotnikiem wyglądały jakby dwie dopiero co połączone wydłużone krople wody. W tym momencie moja świadomość wyłączyła się kompletnie.

Wyłączenie było momentalne, tak jak gaśnięcie telewizor po naciśnięciu guzika, a nawet szybciej, bo nie było żadnej poświaty ani zanikającego do środka obrazu. Do dziś dnia nie mogę zrozumieć tego zjawiska. Powtarzam dokładnie: w kręgu żółtego światła mijania mojego reflektora widzę tył wozu, deski podłogi wozu łączące się z deskami lewego boku wozu opartymi o odchylony na lewo kolek (kłonice). Dokładnie z góry widzę spłaszczone o siebie dwa koła..., i..., kompletna ciemność. Właściwie to był moment, w którym powinienem zginać.

Po oderwania się od Osy na wprost mojej twarzy była kłonica, na której oparte były deski boku wozu. Chyba moja podświadomość, która wiedziała więcej niż ja, wyłączyła, absolutnie wyłączyła mój mózg. Nie odczuwałem żadnego strachu, żadnego napięcia – widziałem rozpląszczone koła..., i raptem..., całe otoczenie przestało istnieć. To wyłączenie świadomości musiało trwać bardzo krótko, chociaż mogło trwać całą wieczność. Zaczęłem wszystko widzieć i odczuwać podczas toczenia się po szosie. Toczyłem się jak zwinięty rulonik dywanu, mięciutko, tak jakby ktoś trzymał mnie wcześniej na rękach, pochylił się i poturlał po szosie. Toczyłem się po lewej stronie jezdni obok furmanki. W czasie obrotów widziałem leżącą z tyłu Osę i gdzieś tam daleko światła jakiegoś samochodu.

Tocząc się uświadomiłem sobie, że musiałem mieć przed chwilą wypadek. Poderwałem się i podbiegłem do Osy, ściągnąłem ją na pobocze. Pobiegłem za furmanką i zauważyłem, że były to dwa szczepione ze sobą wozy, które pokonywały rów i wygrzebywały się na kartoflisko. Woźnica zaciął konie – ani on ani jego pasażerowie nie reagowali na moje wołanie: *Panowie, co robicie, zaczekajcie* – tak, jakbym był niewidocznym duchem. Gdzieś za kartofliskiem był lasek, w którego kompletnej ciemności wkrótce znikli.

Stojąc tak na skraju szosy w słabym świetle księżycy zacząłem oglądać swoje ręce i nogi, dotykać piersi i twarzy – wszystko było na swoim miejscu. Na kasku nie było żadnych śladów, nawet zaczepiony na pasku daszek nie zmienił pozycji. Nie zgubiłem też okularów – tak, jakby nic nie wydarzyło się. Wokoło była kompletna cisza, pusta szosa i puste pole, żadnego ruchu, wszystko zamarło – tylko ja, jakby żywy i obmacujący siebie pod tą księżycową martwością. Stałem na skraju szosy w miejscu, gdzie furmanki wygramoliły się na trochę wyżej położone kartoflisko. Właściwie przestałem cokolwiek rozumieć, tylko dlaczego moja [Osa](#) leżała na poboczu, jakieś trzydzieści metrów z tyłu?

Postawiłem Osę na podnózek i ciągle myśląc o tym, co mi się przydarzyło, usiadłem na siedzeniu. Nie było żadnych pojazdów, zacząłem oglądać Osę, czy można ją uruchomić, zapaliła normalnie. Rączki sprzęgła i przedniego hamulca, zaciskane do momentu oderwania się od kierownicy, były obrócone o około 90 stopni. Przednie koło trzymało powietrze, ale nie obracało się zablokowane błotnikiem. Pod błotnikiem był wahacz obejmujący koło od przodu – został „oblany” błotnikiem. Zderzające się koła wtoczyły blachę błotnika za wahacz aż do zablokowania koła. Patrząc na to doszedłem do wniosku, że aby pojechać, muszę rozerwać przednią część błotnika wzdłuż szwu i odgiąć połówki na boki – zacząłem wyciągać klucze i śrubokręty.

Na przednich owiewkach Osy na wysokości kolan miałem przyłączone dwie aluminiowe puszkę sprzedawane jako turystyczne pojemniki na żywność. W jednej były narzędzia a w drugiej apteczka i inne drobiazgi. W czasie uderzenia puszkę były wytłoczone moimi kolanami na głębokość około trzech centymetrów, jednak nie rozpadły się. Jakby przewidując jakiś taki wypadek, klamerki rzemyków zamykających puszkę przesunąłem kiedyś do zewnętrznych stron puszek, dlatego też podczas tego procesu wytłaczania i rozsuwania zawartości puszek nie poraniłem kolan. Po jakimś czasie udało się mi rozerwać przednią część błotnika i ostrożnie dojechałem do Białegostoku.

Gdy tylko zaspany Bogdan Kutylowski otworzył mi drzwi, natychmiast udałem się do łazienki. Po rozebraniu się zacząłem dokładnie oglądać moje ciało. Nie było żadnych stłuczeń ani siniaków, po prostu, nie wierzyłem własnym oczom. Jedynie od środka dolnej wargi do brody miałem zadrapanie, tak, jakby kot przeciągnął w tym miejscu jednym pazurem. Uzmysłowiłem sobie, że był to ślad zrobiony przez koniec kłonicy, na której oparte były deski boku wozu.

Napełniłem wannę i zacząłem zastanawiać się, jaką dziwną pozycję miało moje ciało, gdy w momencie całkowitego wyłączenia się świadomości przelatywało nad zabójczą kłonicą. Kłonica nie naruszyła daszka, nie wbiła się w moje czoło i nie tknęła nosa. Musiała musnąć brodę na długości około 2,5 cm, ale nie utkwiała między żebrami i nie wyrwała kiszek z brzucha. Zrozumiałem, że to wszystko co zaistniało, było czymś niemożliwym. Zacząłem mieć wątpliwości, czy ja naprawdę żyję?

Po wyjściu z łazienki trudno mi było rozmawiać z Bogdanem, powiedziałem tylko, że miałem wypadek, że wszystko jest w porządku i zapadłem w półsen. W tym majaczeniu widziałem moją matkę – zrozpaczoną – przygotowującą mój i swój pogrzeb. Ale wiedziałem też, że ja żyję na innym świecie, że po śmierci na jednym świecie przechodzi się do życia w innym identycznym świecie, że życie jest kontynuowane tak, jakby nic nie zaszło. Ileż tych światów musiałyby być, aby żyli w nich ci, którzy na moim poprzednim świecie w różnych okresach czasu odeszli?

Myślałem nawet, że gdy obudzę się z tego ciężkiego snu to spotkam Władka Sołomiankę. Nie poszedł na studia i wzięli go do wojska. Gdzieś tam na wiejskiej zabawie poranili go nożami i wrzucili do pobliskiej rzeki. Tak jak ja był jedykiem. Jego matka w czerni chodziła ulicami Ełku, jakby oczekiwała, że jednak zobaczy go pośród nas, często rozbawionych i wałęsających się w czasie wakacji ulicami naszego miasta. Przycichaliśmy na jej widok, wiedząc, że nie ma takiej siły na świecie, która mogłaby ulżyć jej cierpieniu.

Może spotkałbym mojego towarzysza zabaw z trzeciej klasy, z którym budowaliśmy schowki w stosach cegieł z rozbiórki na późniejszym Placu Wolności. Nie widząc go przez jakiś czas wpadłem do jego mieszkania na parterze domu przy ul.1-szego Maja; nazwisko na drzwiach zgadzało się – „Szwed”. Jego matka otworzyła mi drzwi, na moje pytanie o niego odpowiedziała: *Dziecko, on nie żyje*. Oszolomiony tą odpowiedzią wycofywałem się tyłem z mieszkania widząc w mroku korytarza ciężkie łzy spływające po jej zastygłym obliczu.



Już planowałem, że po spotkaniu ich jakoś uda się nam przekazać naszym matkom – na tym pierwszym świecie – że jesteśmy zdrowi i szczęśliwi, że żyjemy, że trzeba tylko trochę poczekać, abyśmy byli znowu razem. A może raczej, że jesteśmy zawsze razem. Po obudzeniu się, ciągle niepewny swojego istnienia, sprawdziłem Osę czy nadaje się do dalszej jazdy i dojechałem do Ełku. Wszystko było na swoim miejscu, mama przygotowała wspaniały obiad, byli moi przyjaciele – niestety, ci którzy odeszli, nie pojawili się.

Wiele razy myślałem o tym wypadku. Mając jakąś wiedzę techniczną zdaję sobie sprawę, że gdybym poruszał się z trochę inną prędkością – większą lub mniejszą, gdybym trochę silniej lub słabiej trzymał kierownicę, gdyby moje koło nie trafiło w koło furmanki a kolana w puszki na owiewkach nadające obrót mojemu ciału, wówczas nie miałbym żadnej szansy przeżycia. W tą księżycową noc jakaś kostucha zagięła na mnie parol a dobre fatum musiało rozegrać z nią losowanie o moje życie.

Oceniam, że w momencie kolizji poruszałem się z prędkością około 15 km na godzinę. Od chwili wyłączenia się mojej świadomości do jej odzyskania moje ciało przebyło drogę około czterech metrów, co pozwala oszacować, że czas wyłączenia się świadomości trwał około jednej sekundy. W tym czasie kostucha losowała sześć numerów totolotka decydującego o moim życiu, a dobre fatum wyciągało z szufladki mojego losu wypełniony kupon, przygotowany na tą okazję – wszystkie numery były wygrane. A może jednak jest jakiś surowy anioł stróż decydujący: „to jeszcze nie twój czas”... i chyba jeszcze parę razy grał w totolotka z kostuchą?

Wracając do mojego wspomnienia o odwożeniu mnie co kilka miesięcy z pracy do domu, myślę, że podczas tego wypadku jakieś przeciążenia zaowocowały narostami na kręgach i dokuczliwymi bólami obezwładniającymi lewą nogę? Po zrobieniu zdjęć rentgenowskich mój przyjaciel lekarz Zygmunt Krawczyk powiedział: *nie przeciążaj kręgosłupa, nie podnoś więcej niż 30 kilogramów, bądź ostrożny z mocnymi przegięciami korpusu – jeżeli bóle będą nasilały się, może być potrzebna interwencja chirurgiczna.*

Gdyby tylko bóle w nodze? W wieku około trzydziestu lat miałem sporo innych nieprzyjemnych sensacji ze zdrowiem. Gdy niespodziewanie złapał mnie atak kamicy nerkowej mdlałem z bólu, myślałem, że umieram. Po wizycie w pogotowiu lekarz zalecił mi odłożenie na bok wszystkiego co lubię, czarnego chleba, ostrych potraw, śledzi, i masę innych rzeczy – a do picia – o zgrozo – tylko woda **woda mineralna**. Na szczęście wieczorem wpadł niezawodny Zygmunt Krawczyk ze skrzynką piwa. Gorące kąpiele, fitolizyna i piwo, szybko doprowadziły mnie do normy. Przy okazji jego przyjaciel Heniek Burkacki przygadał mi, że tylko robotnicy oddają krew w jego punkcie krwiodawstwa przy szpitalu koło „misi” na Pradze. Zacząłem systematycznie dolewać im mojej „inżynierskiej juchy”.

Kiedyś odwiedziłem Zygmunta w przychodni na Bródnie gdzie pracował po dyżurach w szpitalu. Po wyjściu ostatniego pacjenta, kończąc wypełnianie jakichś papierów, zaprosił mnie do gabinetu. W tym momencie zacząłem odczuwać omdlenie, o którym mu kiedyś wspominałem. Powiedziałem: *Zygmunt, właśnie czuję się tak, jak ci kiedyś wspominałem.* Popatrzył na mnie i odparł: *Zaraz wyjmę koniak, od razu poczujemy się lepiej,* odpowiedziałem *Ja nie żartuję.* Sięgnął przez biurko do mojej ręki, za chwilę zerwał się, chwycił mnie na rękę, a chłop był z niego potężny, i zaniósł na kozetkę. W pośpiechu wyjął coś z apteczki i zaaplikował.

Jak mi później wyjaśnił miałem tętno około trzydziestu uderzeń na minutę. Następnego dnia zgłosiłem się na EKG, nie było żadnych odchyłeń od normy. Do dziś dnia nie mam pewności, czy inne podobne przypadki, które zdarzały się mi przez parę lat, też były wywoływane spadaniem tętna? Zastanawiam się też, co mogło wpływać na spadek tętna? Może za głęboko docierałem w te rejony mojego mózgu, które natura pozostawiła poza naszą kontrolą? W pewnym okresie czasu z ciekawości a także pod wpływem chwilowego zainteresowania technikami **Joga** próbowałem kontrolować między innymi odczucie bólu.

Przy wizytach u dentysty miałem wyćwiczone kompletne zatrzymywanie śliny i często rezygnowałem ze znieczulania. Siedząc na fotelu dentystycznym łączyłem ręce na splocie słonecznym i „wybywałem“. Ból oraz wizgot wiertła odsuwało się tak daleko, jak brzęczenie komara za moskitierą w namiocie. Gdy syn Stacha P., też dentysta, dowiedział się o usuwaniu jednego z nerwów „na ból” powiedział, że obydwaj powinniśmy być związani w kaftany bezpieczeństwa i odesłani na wiadomą kurację. Po pierwszym „nalocie” na nielegalny gabinet Stacha w Passaic zabrali mu rentgen, nie zostało nic innego, jak „naprowadzanie” Stacha na dobry kierunek ilustrując poziom bólu mimiką twarzy – udało się.

Jeden z ataków kamicy nerkowej w USA odbywałem według znanej mi rutyny, za wyjątkiem bardzo silnych torsji, które doprowadziły do pęknięcia naczynia krwionośnego w lewym oku – pół białka nabrało czerwonego koloru. Nawet do twarzy mi było i patriotycznie z tym białe czerwonym okiem. Nie dałem się jednak namówić na szpital, ponieważ nie miałem żadnego ubezpieczenia. Zresztą nie wyobrażałem sobie jakiegokolwiek sposobu pomocy lekarskiej – nie skrobaliby mi przecież oka? Na szczęście ataki kamicy nerkowej są coraz rzadsze a bóle nogi i omdlenia całkowicie znikły. Znając opinie kolegów lekarzy o ograniczonych możliwościach medycyny i głównie objawowym leczeniu różnych przypadłości, postawiłem na wydawałoby się najmniej pewnego konia – na mój organizm.

Już po pierwszym ataku kamicy zrezygnowałem z wszelkich ograniczeń mających jakoby zredukować możliwość powtórnych ataków. Świadomie zadecydowałem, że być może będę żył krócej, ale lepiej. Z drugiej strony tłumaczyłem dla swojego ciała: *Daję ci jeść i pić, nie odmawiam ci drobnych przyjemności – musisz dbać o siebie, ponieważ inaczej pójdiesz w odstawkę*. Nie wiem czy pomogło to w czymś...? W USA najlepszym lekarzem okazał się prawie permanentny brak ubezpieczenia medycznego. W każdym bądź razie nawet po sześćdziesiątce czuję się nie gorzej niż w wieku 30 lat.

Gdybym w wieku 30 lat zaczął opychać się medykamentami i drzeć na myśl, że mój ulubiony śledzik z cebulką wyśle mnie do szpitala, do dziś dnia niewątpliwie wykończyłbym się psychicznie. Nawet jeżeli z powodu mojej niefrasobliwości coś mnie jeszcze mocno łupnie, gra była warta świeczki. Te wszystkie lata po trzydziestce były bardzo fajne, bez przestrzegania diety i bez medykamentów w jadłospisie. Oczywiście nie ignorowałem skłonności mojego organizmu do odkładania kamieni nerkowych. Gdy czułem zbliżanie się ataku piłem szklankami sok żurawinowy, niestety w Polsce trudno dostępny. Zgodnie z zaleceniami amerykańskiej medycyny ludowej okazuje się być bardzo pomocny.

Innym wartym zauważenia zaleceniem amerykańskiej medycyny ludowej jest picie soku z kwaśnej kapusty w celu zmniejszenie poziomu kwasu żołądkowego. Obecność tego łagodnego kwasu wyczuwana jest przez czujniki poziomu kwasu powodując zmniejszenie produkcji cholernie mocnego kwasu solnego mogącego strawić nieopatrznie połkniętą łyżeczkę. Środki neutralizujące kwas solny działają tylko chwilowo. Czujniczki, jeżeli jeszcze nie rozregulowane do końca, natychmiast zwiększą produkcję kwasu solnego niwelując działanie wszelkich neutralizatorów.

Wydaje się mi, że w medycynie i kosmetyce zapomina się często, że organizm człowieka jest swego rodzaju automatem regulującym swoje różnorodne funkcje. Zwalczanie czegoś przez neutralizację lub usuwanie nadmiaru niechybnie spowoduje nadprodukcję. Poza chwilową ulgą problem pozostanie lub pogłębi się. Niekiedy lepszym byłoby, jak w przypadku soku z kwaszonej kapusty, oszukanie organizmu poprzez podanie łagodnego substytutu kwasu żołądkowego, a nie neutralizatora.

W odróżnieniu od technicznych automatów nie możemy wymieniać rozregulowanych czujników kontrolujących poziom kwasu w żołądku. Jeszcze gorzej wygląda sprawa zepsutego „programu” produkcji kwasu w zależności od ilości i rodzaju pokarmu zalegającego żołądek. Przydałaby się wbudowana gdzieś w człowieka „stacja dysków”, z której ładowane by były poprawione programy, może ktoś kiedyś coś takiego wykombinuje?...

Niewątpliwie w żołądku i w innych częściach ciała działają jakieś „lokalne programy”, które na pewno kontrolowane są przez centralne programy. Niezależnie od tego, gdzie ulokowane są te „programy” i w jakiej są postaci, mózg człowieka odgrywa bardzo ważną rolę. Mózg człowieka, nie tylko w sensie zbiorowiska szarych komórek, ale jako siedlisko świadomości, psychiki i kwintesencji tego wszystkiego, co odróżnia żywe ciało od identycznego ciała po „wyzionięciu ducha”.

Bez wątpienia wiele chorób związanych jest ze stanem psychiki. Na przykład owrządzenie przewodu pokarmowego bardzo często atakuje ludzi żyjących w ciągłym napięciu i pośpiechu [nawet jeżeli [bakterie](#) sprzyjają powstaniu wrzodów, to ciągłe napięcie i pośpiech zdecydowanie pogarszają sytuację]. Podobnie w okresach załamania psychicznego, lub po przejściu na emeryturę, pojawia się cały szereg fatalnych chorób. Być może jest jakiś przełącznik psychiczny włączający samo destrukcję organizmu nie mającego silnego uzasadnienia swojego dalszego istnienia, nie mającego wiary w sens istnienia?

Jeżeli chodzi o oddziaływanie psychiki na wrzody żołądkowe mam pewne własne doświadczenia. Ze względu na bardzo nerwową sytuację tuż przed wyjazdem do USA nabawiłem się wrzodów żołądka. Popijałem wywar z nasion lnu i coś jeszcze łykałem. Powracające co jakiś czas bóle były bardzo dokuczliwe. Spostrzegłem, że fizyczne i psychiczne oderwanie się od wszelkich zajęć, położenie rąk na brzuchu – przy lekkim skuleniu ciała – wyraźnie uśmierza ból. Ręce rzeczywiście zaczynają grzać, nawet przez gruby sweter lub koc. Nie widzę w tym nic nadzwyczajnego. Takie oderwanie się od normalnego toku życia oraz intensywne skupienie się na uśmierzeniu własnej dolegliwości na pewno daje dobre rezultaty. Jest to na pograniczu wiary, ale naprawdę działa. Będąc w USA, bez żadnych lekarstw, w przeciągu paru miesięcy doprowadziłem swój żołądek do porządku, mogłem znowu jeść przysłowiowe gwoździe.

Działa to też na innych. Gdy wybrałem się na pierwsze w USA Boże Narodzenie do wujka Gienka do Chicago, po obfitej uczcie ich mała córeczka skarżyła się na ból brzucha. Powiedziałem jej *Chodź na rączki do wujka*. Usiadła na moich kolanach a ja położyłem ręce na jej brzuszku. Przeważnie, gdy jest coś nie tak, ręce błyskawicznie robią się wręcz gorące. Musiała to bardzo szybko poczuć, bo przestała kręcić się i zaniemówiła. Po paru minutach zadowolona zeskoczyła z kolan i oznajmiła, że już nie boli ją brzuch. Nie było w tym nic magicznego, ciepło moich rąk wyrwało ją z ciągłej walki bólu z chęcią zabawy. Chwila uspokojenia i skupienia się w sobie wyłączyła ból, niezależnie od tego, jakie błahe świąteczne przyczyny były jego powodem. Tak jest też chyba z uzdrowiaczami, zatrzymującymi na chwilę pośpiech i dającymi wiarę w uzdrowienie. Może też jakieś tam „czujniczki” lub „programy” poprawiają? Ale trudno mi w to uwierzyć.

Osobiście jestem zwolennikiem jak najrzadszego używania leków. Gdy mi coś dolega daję organizmowi szansę, aby sam to skorygował – jednocześnie obserwuję siebie, aby nie zabrnąć w ślepy zaułek. W większości przypadków organizm sam usuwa dolegliwości. Oprócz silnego przeziębienia z symptomami zapalenia płuc lub oskrzeli nie używam żadnych leków. Niestety, nachalne reklamy medykamentów oraz ich łatwa dostępność doprowadza wiele osób do manii zażywania leków. Obserwując Amerykanów można by było dojść do wniosku, że wszyscy są ciężko chorzy. Od rana do wieczora łykają niesamowite ilości tabletek, a bez tabletek na sen, chodziliby chyba wokoło domostw jak lunatycy.

Szalone powodzenie przeboju farmaceutycznego VIAGRA (na „im”potencję) być może ujawnia paskudny stan amerykańskich członków, wydaje się jednak, że ukazuje amerykańskie skrywane kompleksy. Im więcej na ekranach „Rambo“ i trwających godzinami scen łóżkowych, tym paskudniejszy stan psychiki Jankesów szukających chemicznego usztywnienia ich podupadającego poczucia męskości. Abyśmy oglądając na okrągło Hollywood też nie wpadli w jakieś kompleksy. Po spędzeniu w USA pierwszych paru dni przy telewizorze bałem się wyjść na ulicę pomiędzy tych ekranowych pięknych, mądrych i silnych supermanów. Rzeczywistość jest inna, amerykańskie statystyki deformacji tuszą biją wszelkie światowe rekordy, a ubieranie się na co dzień i dbałość o wygląd może doprowadzić do zawrotu głowy – raczej nie z powodu elegancji.

To co widzimy na ekranach nie ma nic wspólnego ze średnią amerykańską rzeczywistością. Wytworne mieszkania i laboratoryjny porządek w domach też nie są wrodzoną cechą tego społeczeństwa. Dowiedziałem się dużo na ten temat robiąc wyceny i prace w domach reprezentantów wszystkich warstw amerykańskiego społeczeństwa. Mogę z czystym sumieniem stwierdzić, że domy Polaków w Ameryce stoją powyżej amerykańskiej średniej. Pomimo mojej rady przymrużania oczu na hollywoodzką „propagandę” warto naśladować najlepsze wzorce. Starajmy się osiągać coraz wyższe standardy życia, dbajmy o zdrowie i wygląd – jednak bez kompleksów.

Amerykańscy nawiedzeni, a jest ich chyba tutaj najwięcej na świecie, co i raz orzekają o szkodliwości różnych produktów. Nie poddałem się żadnym uczonym radom o ograniczaniu spożycia soli, masła, cukru, lub mięsa. Wierzę, że jeżeli mój organizm podpowiada mi, abym coś dobrze posolił, to znaczy, że mój organizm potrzebuje soli. Nawiasem mówiąc badania (ok. 1999 roku) wykazały, że wyeliminowanie soli prowadzi do zwiększonej zachorowalności na te choroby, którym wyeliminowanie soli miało zapobiegać.

Po prostu mam duże zaufanie do tego, co podpowiada mi mój organizm. W okresach gorszego samopoczucia, co przytrafia się każdemu, piję różne herbatki ziołowe wybierając je często na zapach. Zaszkożyć nie zaszkodzą, jeżeli uwierzę, że pomogą, to już jest dobrze. Kiedyś babcia staruszka brała mnie na łąki gdzie zbierała zioła i tłumaczyła: *Popatrz Feluńcia, to jest jak brzuszek boli, a to, aby krew zatrzymać, itp.* A była to wyjątkowa kobieta, głowa rodu i weteran najburzliwszych czasów współczesnej historii. Wierzyłem jej, że na wszystkie dolegliwości natura ma odpowiednie zioła – a wiara cuda czyni.

Podziwiałem też mojego Ciapka, gdy włóczęga zatrul się czymś obwąchiwał trawy i wybierał różne pędy, zawsze mu to pomagało. Gdy był zdrowy trawy nie interesowały go w ogóle. Nie namawiam nikogo, aby naśladował mnie, ale trzeba mieć dużo zaufania do możliwości własnego organizmu. Przy szalonym postępie nauki, super komputerach i super ekspertach we wszystkich dziedzinach, można poczuć się totalnie zależnym od wiedzy i umiejętności innych ludzi. Wierzę, że w większości przypadków organizm człowieka sam jest w stanie korygować własne dolegliwości, oby mu tylko zbytnio nie przeszkadzało.



Dla mnie, po obronie pracy doktorskiej, najbardziej przeszkadzała sytuacja w pracy. Nie byłem w stanie dostosować się do przekładania papierów wdrażanej licencyjnej pamięci dyskowej – brakowało mi wiary w sens całego przedsięwzięcia. Gdy znalazłem pracę w Instytucie Badań Jądrowych (IBJ w Świerku koło Warszawy), ERA bez problemów zgodziła się na moje odejście „za porozumieniem stron”. W IBJ zatrudniony zostałem jako kierownik pracowni konstrukcyjnej implantatora (konstrukcje mechaniczne). Nie było to nic związanego z medycyną – jak mogłaby sugerować nazwa. Pomysł był ciekawy, chodziło o precyzyjne wstrzeliwanie domieszek różnych pierwiastków do docelowego materiału – implantacja. Projektowanie i wykonanie prowadził Zakład Doświadczalny Aparatury Unikalnej (ZDAU) tegoż IBJ.

Lubiłem tą pracę, otoczenie i ludzi. Dyrektor Ciszek cieszył się ogólnym poważaniem, starał się zrobić wszystko, aby w tym niewydolnym socjalistycznym systemie posuwać różne projekty do przodu – nie szło to jednak gładko. Oblędny system zamówień z kooperacji (najczęściej z dwuletnimi terminami dostaw) zmuszał ZDAU do robienia wielu rzeczy, które powinny być dostępne w hurtowniach. Socjalistyczna fikcja planowania nie uwzględniała zdolności przerobowych naszego działu produkcyjnego, powinny być dwa razy większe, itp... Do tego dochodziły problemy kadrowe. Jak głosiła fama mieli tylko jednego spawacza, który bezbłędnie spawał komory urządzeń do wysokiej próżni. Pech chciał, że równie gładko jak spawał, tak gładko pochłaniał alkohol. Wyrzucić go z pracy nie mogli, bo gdy ktoś inny spawał – zawsze były nieszczelności. Paru naukowców obeznanych w analizie obyczajów tego spawacza pilnie go obserwowało, prognozowali, kiedy będzie na tyle trzeźwy, aby można mu było dać następne spawanie – nigdy w „szewskie“ poniedziałki!

Przejąłem pracownię od młodego inżyniera zatrudnionego na kierowniczym stanowisku zaraz po studiach. Nie miał wcześniej praktyki w żadnym dobrze zorganizowanym dziale konstrukcyjnym, dlatego też powstał bałagan. Największym problemem był brak sprawdzania wykonywanej dokumentacji oraz brak systematycznego nanoszeniu zmian i poprawek. Gdy zacząłem sprawdzać poprawność rysunków kreślarka rozpląkała się i wybiegła z pokoju – nikt jej nigdy przedtem nie zwrócił żadnej uwagi. Z czasem znacznie wzrosła jakość jej pracy, a gdy miała jakieś wątpliwości bez skrupowania zwracała się do mnie z pytaniami. Gdy wyjechała do Szwecji zaczęła mnie nawet darzyć sympatią (ktoś korespondujący z nią specjalnie mi o tym doniósł). Może i tam pracowała jako kreślarka?

Inny pracownik, odpowiedzialny między innymi za nanoszenie poprawek do dokumentacji, nagminnie ignorował swoje obowiązki. Po wyrzuceniu do kosza jakiejś wyprodukowanej z błędem części nanosił poprawkę, ale tylko na kopii dla warsztatu. Powodowało to ciągle powtarzanie kosztownych błędów na wydziale produkcyjnym. W tym bałaganiku największe problemy stwarzała stara dokumentacja tworzona i korygowana w bardzo niefrasobliwy sposób. Zupełnie nierealne były też planowane terminy wykonania prototypu implantatora. Moja pracownia była w stanie terminowo przygotować dokumentację, jednak nie mogłem zagwarantować, kiedy warsztat wykona i zmontuje części.

W międzyczasie nastąpiło próbne uruchomienie układu akceleracji. Wiązka zjonizowanych atomów prawidłowo lądowała na tymczasowo zainstalowanym luminescencyjnym ekranie. Patrząc razem z innymi na poświęcie wycofałem się na bok. Czuję, że jest tam jakieś dosyć twarde promieniowanie. Nie byłem jednak na tyle pewny swego odczucia, aby ostrzec starych wyjadaczy z IBJ, cieszyli się tym widokiem o wiele dłużej niż ja. Po jakimś czasie opamiętali się – poziom promieniowania znacznie przekraczał dopuszczalne natężenie. Po tym wydarzeniu miałem wrażenie, że długoletni pracownicy IBJ trochę lekceważą promieniotwórcze zagrożenie – jest to chyba kwestia przyzwyczajenia. Ta ociupinka „nadprogramowego” promieniowania, jakie złapałem, nie zaszkodziła mi. Nawet żartuję, że po tym orzeźwiający muśnięciu po ośmioletniej przerwie Krystyna po raz drugi zaszła w ciążę, dlatego też zrezygnowała ze stanowiska dyrektora artystycznego Warszawskiej Szkoły Baletowej [do załączenia [fragment](#) lekcji z filmu dokumentalnego Krzysztofa Kieślowskiego „Siedem kobiet w różnym wieku”, jeżeli WFFiD zrezygnuje małosłownej odmowy prezentacji ok. 2 min. klipu, pytajcie: wfdif@wfdif.com.pl]

W 1976 roku przeżyłem tam też okres protestów robotniczych po podwyżkach cen żywności. Zakład mechaniczny stanął. Jacyś aktywiści starali się skłonić robotników do pracy, ale z mizernymi skutkami. Kadra w IBJ była wyjątkowo „antysocjalistyczna”, w żartach zapytywali jedni drugich, czy jest już gotowy walizkowy ładunek jądrowy do podrzucenia w KC. W czasie strajku chodziliśmy na dział mechaniczny i z pewną dozą podziwu kibicowaliśmy robotnikom. Wtedy nabrałem respektu do robotników, ponieważ poprzednio widoczni byli tylko partyjni krzykacze, reszta była milczącą większością, o której prawdę mówiąc nic nie wiedziałem.

Ten masowy protest 1976 roku był też chyba podobnym odkryciem dla większości ludzi na stanowiskach technicznych, biurowych i w wolnych zawodach. Myślę, że bez tego ogólnopolskiego robotniczego preludium 1976 roku nie byłoby Solidarności? Wtedy po raz pierwszy robotnicze protesty głęboko wstrząsnęły całym PRL-em. Mam respekt do Gierka, że zgodnie z obietnicą nie użył wówczas wojska przeciwko robotnikom, nie użył go też do końca swojego sekretarzowania. Czasy pomału zmieniały się, taki Józef „Odrąb-Ręka” (Cyrankiewicz) w gronie przed marcowych komunistów nie zawahałby się ani chwili, aby „antysocjalistycznym elementom” sprawić krwawą łaźnię.

Prawdą jest, że Gierkowscy nadgorliwcy stosowali brutalne represje, jak zły sławy „ścieżki zdrowia”. Jednak w tym czasie komunistyczna rzeczywistość PRL odeszła już od modelu „pryncypialnej sowieckiej rzeźni”. Największe zasługi w tym procesie mieli robotnicy, szczególnie ci, którzy samorzutnie stawali się przywódcami lokalnych wystąpień. Są też zasługi po stronie tzw. intelektualistów [grupa trudna do zdefiniowania]. Pora też chyba przyznać, że rządzący „komuniści” też mieli swoje zasługi, przynajmniej bierne. Będąc w większości Polakami nie byli skłonni do masowych krwawych represji.

Widząc absolutną nierealność terminu uruchomienia prototypu implantatora postulowałem zwiększenie naszej „działki” na wydziale produkcyjnym lub korekcję terminów. Postulowałem też zwiększenie moich kompetencji w awansowaniu i premiowaniu moich pracowników, włącznie z możliwością zwalniania i przyjmowania. Pomimo, że wszyscy zdawali sobie sprawę z fikcyjności narzuconych planów, zignorowano moje postulaty. Nie zgadzając się na firmowanie fikcji zwoleń się na własne żądanie.

W 1977 roku urodził się drugi syn. Kiedyś, gdy cyganka w Mińsku wywróżyła nam trzech synów, żartowaliśmy, że zgodnie z legendą mamy imiona Lech, Rus i Czech. Pierwszego ochrzcziliśmy zgodnie z planem, ale drugiemu nadaliśmy imię Bartłomiej. Pomimo, że lubię Rosjan, życie nie jest legendą, a w kalendarzu nie ma imienia Rus. Urodziło się nam zdrowe, silne, i ciągle uśmiechnięte synisko. Przed przeprowadzką na Chomiczówkę zachorował na wirusowe zapalenie płuc. Panowała jakaś epidemia, dziecięce szpitale trzeszczały w szwach. Był bardzo długo w szpitalu, z dziewięciu kilogramów wagi spadł do pięciu. Po zaaplikowaniu środków obniżających gorączkę wypisano go jako zdrowego. Wieczorem dziecko było nieprzytomne od gorączki. Wezwana lekarka, gdy zobaczyła jego całe pokłute ciało, miała bardzo smutną minę. Oddano go nam, aby umarł w domu, a nie w szpitalu.

Po przeprowadzce na Chomiczówkę naszym rejonowym szpitalem był szpital na Bielanach. W ponurych nastrojach zawieźliśmy go tam na izbę przyjęć. Przy pierwszych oględzinach lekarka stwierdziła: *To jest bardzo złe dziecko – omal mnie nie rozniosło. Jak można powiedzieć, że dziecko jest złe, dziecko jest chore – bardzo chore, wypisane ze szpitala przy Koperniku, aby umarło w domu. Jak jakkolwiek lekarz mógł tak postąpić! A pani, zamiast wziąć się do ratowania dzieciaka, to mi go już do trumny wkłada.* Była zaskoczona moim desperackim atakiem, przyjęła dziecko bez jakichkolwiek dalszych komentarzy. Zrobili jednak wszystko, aby go uratować – włącznie z transfuzjami krwi. Wypisano go ze szpitala z chorobą sierocą, przez długie miesiące ta nasza wymęczona kruszyna pomału dochodziła do siebie.



Niejadek i uparciuch był z niego straszny. Gdy wrócił zimą z podwórka chciałem zdjąć buciki – nie – mama zdejmie! Mama akurat zajęta była czymś w kuchni, więc parę razy próbowałem zdjąć, wykręcał nogi jak mógł – dałem mu więc klapa. Zaszklilo mu się w oczkach – *Możesz mnie bić, ile chcesz, i tak ci nie dam zdjąć bucików.* Nie miałem wyboru, zawołałem Krystynę, drogą kompromisu zgodził się, aby mama zdjęła jeden bucik, a ja zdjąłem drugi.

Po odejściu z IBJ zatrudniłem się w zjednoczeniu OMEL zawiadującym branżą przemysłu optycznego i medycznego. Ze służbowego autobusu, który dowoził pracowników do IBJ, znowu przesiadłem się na rower. Była to najdłuższa trasa jaką pokonywałem dojeżdżając do pracy. Z Chomiczówki na Pragę miałem około 17 kilometrów w jedną stronę. W razie potrzeby pokonywałem tę trasę w trzy kwadransy, środkami komunikacji miejskiej traciłem około godziny czasu, a nawet więcej, gdy były kłopoty z przesiadkami. Mój przytroczony do poręczy schodów rower, tuż przy wejściu do zjednoczenia na Mińskiej, wyraźnie nie pasował do samochodów tak wysoko postawionych urzędników, jednak po jakimś czasie przyzwyczaili się do mojego składaka.

Był to okres powstawania i rozwoju wydawnictw drugiego obiegu. Nie wysychającym źródłem tych materiałów byli Byrscy. W całym kraju czuło się atmosferę nadchodzących zmian i rosnącego oporu społeczeństwa. W ramach rowerowej rekreacji jeździłem od czasu do czasu po Chomiczówce i okolicach przekreślając „sprejem” propagandowe plakaty lub uzupełniając ich treść. Łatwo było zauważyć, że było wielu takich „sprejowych” sportowców zdrowo a pożytecznie spędzających wolny czas.

Zbliżał się zjazd PZPR, w centrum Warszawy ktoś wypuścił świnię z napisem „DELEGAT NA ZJAZD PZPR”. Gdzie indziej były rozrzucane lub przyklejane frywolne ulotki dosadnie definiujące „przewodnią siłę klasy robotniczej”, robiło się naprawdę bardzo wesoło. Gdy spadł pierwszy śnieg dzieciarnia ulepiła dużo bałwanów. Patrząc na te sympatyczne postacie z marchewkami zamiast nosów oczyma wyobraźni zobaczyłem, jak dekoracyjnie będą wyglądały z plakietkami „DELEGAT NA ZJAZD PZPR”. Żona oceniła mój pomysł jako artystycznie bardzo udany. Cały wieczór spędziłem robiąc plakietki z myślą obdarowania nimi tłumu bałwanów w Ogrodzie Saskim i w okolicach.

Jednak bałwani nie były tak głupie..., jak bałwany. W jakiś dziwny sposób zwietrzyły, co się święci. Odmawiając przyjęcia moich plakietek stopiły się na kupki przybrudzonego śniegu. Przerabiając z Krystyną napisy na: „MATERIAŁ NA DELEGATA NA ZJAZD”, ledwo zdążyliśmy na spektakl do Narodowego. Po spektaklu, przytuleni jak za dawnych lat, nie darowaliśmy żadnej brudnej kupce śniegu. Nawet pod PSL – chociaż nie był to ich zjazd – zostawiliśmy parę plakietek, aby jednak ulepili przynajmniej jednego porządnego bałwana na zjazd „stowarzyszonej partii“.

W OMELU, jeszcze nie ministerstwie, jednak tuż tuż, nie zauważyłem krążących ulotek ani atmosfery fermentującego oporu, wzmocniono jednak kontrolę dostępu do jedynej kopiarki. Zamykano ją w specjalnym pokoju a klucz wydawano tylko szefom działów. Moja szefowa inż. Jacoszek dawała mi czasami klucz do kopiarki. Pozwalała też odrywać się od papierów na wizyty w różnych zakładach i w Centralnym Laboratorium Optyki. Prowadzili ciekawe prace, bardzo dobrze wiedzieli, co w światowej technice będzie przebojem następnych dziesięciu lat. Wspomnę tylko o odtwarzaczach dysków kompaktowych, w pełni zautomatyzowanych aparatach fotograficznych, nowoczesnych mikroskopach skanujących, drukarkach „plujkach” itp. Jednak bez połączenia z techniką światową ci świetni specjaliści nie mieli szans na opracowanie i wdrożenie tego typu urządzeń do produkcji. Mniej więcej w tym samym czasie narzucono całej branży rozszerzenie produkcji na potrzeby wojsk Paktu Warszawskiego. Może był to przemyślany manewr odsuwający „na zaś” nasze rozwojowe projekty, taki następny dyktat wszechmogącego ZSRR.

Gdy pracowałem jeszcze w IBJ zaciągnięto mnie kiedyś na naradę z radzieckimi „towarzyszami”. Tematem była współpraca w rozwoju badań jądrowych. Po paru godzinach nasiadówki nie miałem wątpliwości, wpuszczano nas po prostu w maliny. Przy „współpracy” w ramach RWPG nie było lepiej. Jako jeden z delegatów OMEL brałem udział w posiedzeniu branżowej komisji RWPG w Olecku. Z punktu widzenia zawodowego i jakichkolwiek efektów, była to czysta strata czasu. Jedynie delegacji czechosłowackiej musiałem sprawić przyjemność, gdy przy zakrapianej kolacji wzniosłem toast za ich świetną postawę w czasie inwazji w 1968 roku. Chłopaki mieli dziwne miny, może nawet podejrzewali mnie o prowokację, ale najwyraźniej podobała się im moja dogłębna znajomość zagadnienia i szczerza adoracja (Rosjanie nie oponowali, udawali, że nie „łapią”, o co chodzi).

Jako specjalista do spraw badawczo rozwojowych poznałem wiele zakładów podległych OMELowi. Z wieloma osobami nawiązały się przyjacielskie stosunki. Wszyscy rozumieliśmy, że w tym socjalistycznym kotle nie uwarzymy tego, co chcielibyśmy uwarzyć. W biurze zjednoczenia atmosfera była bardziej sztywna, trudno było nawiązać bliższe kontakty, a upartyjnienie zjednoczenia było bliskie stu procentom – włączając mnie. Pierwszym sekretarzem był w tym czasie Matłaszek, spokojny człowiek, chyba od wielu lat pracujący jako działacz partyjny. Przed wyborami dał mi polecenie partyjne, abym zgłosił się do obsługi punktu wyborczego na Pradze. Jeżdżąc rowerem i zamalowując plakaty wyborcze postanowiłem sobie, że moja noga nie przekroczy progu lokalu wyborczego. Nie było też w Warszawie mojej mamy, która płaczem i padnięciem na kolana zmusiła mnie do pójścia na poprzednie wybory. Odpowiedziałem Matłaszce, że nie pójdę na żadną obsługę, że nie są to wybory a „samo wybory” – tych niedojdów, co nic porządnego nie potrafią zrobić i wszystko wokół rozwała się. Dodałem, że oprócz tego, nie będę sobie niedzieli marnował, aby tłuc się z Chomiczówki na Pragę. Gdyby tylko on to słyszał, puściłby chyba całą sprawę w niepamięć, ale był tam jeden taki pryncypialny stupajka, który żadnych odchyleń nie tolerował.

Na najbliższym zebraniu partyjnym jednym z punktów, było udzielenie nagany towarzyszowi Sadowskiemu za odmowę wykonania polecenia partyjnego. Matłaszek zredukował moją odmowę do argumentu dalekiego dojazdu i dodał: *Przystalibyśmy po tow. Sadowskiego samochód, nie miałby kłopotów z dojazdem*. W tym momencie wstał chyba we mnie jakiś zły duch. Gdy tylko skończył poprosiłem o głos i wyrecytowałem całe moje uzasadnienie – o samo wyborach itd. Obecni zaniemówili a Matłaszek opuścił bezradnie ręce, którymi rozpaczliwie dawał mi znaki, abym przestał wyklądać „kawę na ławę”. Ciszę przerwał „stupajka” przejmując inicjatywę w swoje ręce. Zbeształ mnie od malkontentów i zarzucił krytykanctwo, taki modny straszak w ówczesnym partyjnym żargonie. Na koniec zasugerował wymierzenia bardziej surowej kary. Matłaszek przystopował go, że nie można zmieniać programu zebrania, zarządził głosowanie, kto jest za udzieleniem nagany, a kto przeciw.

Stał się wręcz cud, tylko parę rąk wystrzeliło do góry, większość z dużymi wahaniami trzymała ręce nie wyżej niż poziom ucha. Parę osób wręcz demonstracyjnie opuściło ręce poniżej podbródków, które podpierali zasypiając w czasie zebrania. Stupajka znowu przejął inicjatywę w swoje ręce: *A wy towarzyszu jak głosujecie*, zwracał się do poszczególnych uczestników zebrania. Na pytanie, kto jest przeciwny udzieleniu nagany – trzy ręce (a może cztery) wystrzeliły do góry. Byli też wstrzymujący się. Byłem zdumiony! W tym wysoko upartyjnionym prawie że ministerstwie trudno było czegoś takiego oczekiwać? Ja miałem własne motywy wstępując do partii i bardziej od innych „niewyparzoną” gębę, wylazło to ze mnie jak sztydło z worka. Okazało się, że ci dotychczas nieznanymi mi ludziami to taka typowa polska rzodkiewka, lekko czerwona z wierzchu a biała w środku.

Pedałując do domu byłem wręcz szczęśliwy, gdyby mnie nawet wywalili z pracy, moje odkrycie było warte takiej drobnej przykrości. Następne dni były czymś niezapomnianym. Prawie niezauważalny przed zebraniem partyjnym, po zebraniu byłem obiektem niecodziennych uprzejmości i serdeczności ze strony praktycznie wszystkich pracowników OMELU – było to nawet krepujące. Czekając przedtem po parę dni na jakieś opracowania otrzymywałem wszystko od ręki. Absolutnie nie spodziewałem się takiego odzewu na moje dosyć proste wystąpienie. To zaskoczeni współpracownicy traktujący mnie dotychczas jako następnego partyjnego karierowicza z sowieckim dyplomem i polskim doktoratem manifestowali swój prawdziwy stosunek do „ludowej“ rzeczywistości.

Wkrótce po tym zebraniu partia przenosiła Matłaszka do innego zakładu. Pożegnanie było solidnie zakrapiane – ponieważ wszyscy lubili tego człowieka. Ja nie ruszałem się z miejsca, w pustym pokoju czekałem na „fajrant”. Około trzeciej wszedł Matłaszek: *Panie doktorze, dlaczego nie zaszedł pan do mnie, czy gniewa się pan na mnie, proszę chociaż na chwileczkę wstąpić do mojego pokoju*. Tak serdecznie do mnie przemawiał, że nie mogłem mu odmówić – a też nie miałem żadnych powodów, aby gniewać się na niego. Wyjął specjalnie schowaną butelkę *Niechże pan wypije ze mną chociaż jeden kieliszek, bardzo pana szanuję, miał pan rację, ale ja nie mogłem nic innego zrobić, musiałem wystąpić przynajmniej o nagane*. Wypiłem i to nie jeden, na koniec uściskaliśmy się. Pomimo niskiego wzrostu i niepozornej postury było to bardzo porządne chłopisko. Jeżeli dzisiaj ktokolwiek chciałby dekomunizować Matłaszka, chyba bym takiego delikwenta wezwał na pojedynek na pięści.

Nie wiem nic o przeszłości Matłaszka. Miał już sporo lat na karku – czy był kiedyś także „stupajką”? A może był jednym z tych, którzy wprowadzali i utrwalali władzę ludową? Wówczas przed włożeniem rękawic bokserskich musiałbym wiedzieć o nim coś więcej. Nawet, jeżeli tak było, zmienił się bardzo. W ogólnym rozrachunku naszych polskich powojennych powikłań było na pewno wielu ludzi, którzy zmienili swój stosunek do komunistycznej rzeczywistości. Można im to wypominać, jednak zmiany, które nastąpiły, były także ich udziałem. Myślę, że było dużo ludzi takich jak Matłaszek, wielu rodaków w różnych sytuacjach miało okazję przekonać się – tak jak ja – że jesteśmy ulepieni z jednej gliny.

Wielu obecnych polityków przesadza z „hura” antykomunizmem skierowanym przeciwko wszystkim byłym partyjnym. Ci, co dla własnej promocji poniewierają tych ludzi, zaganiają ich w sieci sitwy złożonej z byłych komunistycznych dygnitarzy i zarządców. W ręce tych, którzy kiedyś wymyślili obelżywy termin „robole” i nigdy nie przestali traktować „roboli” jako swoich poddanych. Ironią losu byłych zwykłych partyjnych jest to, że kiedyś partyjni bonzowie wykorzystywali ich do uwierzytelnienia swojej władzy. Teraz ci sami bonzowie wykorzystują tę oplukaną szarą masę do demokratycznego zdobywania władzy. Patrząc na pałace, bo trudno dotrzeć do kont byłych partyjnych bonzów, na pewno w dalszym ciągu pogardzają „robołami”, a „robole” nie mają innego wyjścia oprócz głosowania na swoich dawnych i obecnych panów.

Po jakimś czasie szefowa poinformowała mnie poufnie, że dyrekcja nie zamierza mnie zwolnić, ale postanowili, że w najbliższych latach nie będzie żadnych podwyżek ani awansów. Może w ten delikatny sposób przekazała sygnał, abym poszukał sobie innej pracy? Gdy znalazłem pracę w tworzącym się Instytucie Sportu na Bielanach zgodzili się na moje przejście z zachowaniem ciągłości pracy. Było to dobre zakończenie mojego małego buntu, w dodatku do Instytutu Sportu miałem znacznie bliżej i nie musiałem pedałowac przez zatłoczoną Warszawę.

Tworząc Instytut Sportu władze PRL pozazdrościły ZSRR i NRD, gdzie sport był lekarstwem na wszystkie bolączki i braki. Wzorem ZSRR i NRD chcieli stworzyć wylegarnię „super sportowców”. Była nawet pracownia anty-dopingu (raczej dopingu) i pracownia genetyki. Ta druga budziła pewne niepokoje, ponieważ finansowana była przez MSW i wojsko. Czyżby chcieli stworzyć „genetycznych” zomowców i klonowanych żołnierzy?

Fundusze, jakie otrzymał Instytut Sportu, mogły przyprawić o zawrót głowy Polską Akademię Nauk i parę tuzinów innych renomowanych instytutów. Dość powiedzieć, że z obejściem embarga dostaliśmy nowoczesny analogowo cyfrowy komputer, do którego w kolejce ustawiali się specjaliści z Instytutu Lotnictwa. Szwajcarskie magnetofony rejestracyjne, telemetryczne przekaźniki, itp., tworzyły ciągle uzupełnianą bazę techniczną instytutu. Były prowadzone ciekawe prace teoretyczne i techniczne.

Do chwili mojego odejścia doc. Morawski prawdopodobnie jako pierwszy lub jeden z pierwszych stworzył matematyczny model ruchu „bipeda” (istoty dwunożnej). Inna grupa symulowała na komputerze skok o tyczce osiągając interesujące rezultaty. O pracach prowadzonych przez pracownie antidopingu i genetyki, ani o ich planach nie ogłaszano żadnych informacji. Inżynier Buczek, który przeszedł do Instytutu Sportu z Instytutu Lotnictwa, opracował mechaniczną część stanowiska do mierzenia momentów siły (wraz z tensometryczną głowicą pomiarową). Był on doskonałym specjalistą i przesympatycznym człowiekiem, z którym dzieliłem wiele poglądów na tematy polityczne i historyczne. W mojej pracowni powstała reszta układu pomiarowego tego urządzenia. Elektronikę projektował inż. Nowak, aby uruchomić prototyp z własnych zasobów dostarczył parę kluczowych elementów niedostępnych na rynku krajowym. Posiadając fundusze dewizowe na większe zakupy instytut miał jakieś formalne trudności ze sprowadzaniem elementów i podzespołów. Z tego względu nie mogliśmy zaspokoić apetytów wielu ośrodków sportu, chyba, że sami „zorganizowaliby” potrzebne elementy.

Nie lepiej było z uzyskiwaniem drobnych części nawet dostępnych na rynku. Zgodnie z zarządzeniem premiera Jaroszewicza sklepy detaliczne (np. ZURT) nie mogły sprzedawać niczego dla jakichkolwiek zakładów, instytutów itp. Stosując to idiotyczne zarządzenie władza ludowa chciała przypodobac się coraz bardziej buntowniczenmu społeczenstwu. Rozsyłając produkty żywnościowe na cały świat proponowała ZURT-owskie oporniki i kondensatory zamiast mięsa i masła.

Można było oczywiście zamawiac te drobiazgi u producentów lub w centralach handlowych, jednak z terminami dostawy do dwóch lat. Mając dobre pobory kupowałem takie drobiazgi z własnej kieszeni. Działał też zdrowy rozsądek oraz uczynność ludzi z innych instytucji. W przypadku prototypu małe ilości elementów i podzespołów wynoszono „za bramę” za wiedzą lub bez wiedzy dyrekcji producentów.

W taki sposób dostaliśmy potrzebny nam miernik cyfrowy, czujnik prędkości obrotowej i parę innych elementów potrzebnych do wykonania prototypów. Dzięki temu mogliśmy jakoś funkcjonować, jednak cała gospodarka, pomimo wielu wyśmienitych fachowców, grzęzła w odgórnych rozdzielnikach, planach i okólnikach.

W mojej pracowni, a też w sąsiednich, pracowało wielu młodych ludzi, niektórzy zaraz po studiach. Panowała przyjacielska atmosfera, ja ich lubiłem i jestem pewien, że oni mnie lubili. Pomimo niesprzyjającego otoczenia „planowej gospodarki” staraliśmy się zrobić więcej, niż pozwalała nam na to „socjalistyczna rzeczywistość”. Poza „obowiązkami służbowymi” w malowniczych okolicach AWF uprawialiśmy biegi a czasami po pracy zostawialiśmy na dłuższe lub krótsze „rodaków rozmowy”. Był to bardzo fajny okres mojej pracy zawodowej, myślę, że moi byli współpracownicy wspominają go identycznie.

W czasie pamiętnej pierwszej wizyty Jana Pawła II władze PRL próbowały zasiać niepokój i zastraszyć społeczeństwo. W tym celu zarządzono, aby około jednej trzeciej (?) stanu osobowego zakładów i innych instytucji zostało skoszarowanych w budynkach publicznych jako rezerwa ORMO. Chodziło też niewątpliwie o „odchudzenie” tłumów ludzi witających Papieża. Jako kierownik pracowni dostałem partyjne polecenie oddelegowania pracowników do pełnienia tych pozasłużbowych obowiązków. Odpowiedziałem, że po pierwsze, moi pracownicy nie są członkami partii, po drugie, nie słyszałem o jakiegokolwiek organizacji będącej rezerwą ORMO, a nawet gdyby taka organizacja istniała, to nie mam żadnych służbowych podstaw, aby kogokolwiek oddelegować.

Na sugestie, że kierownik pracowni może przy okazji wspomnieć o awansach, premiach i nagrodach, odmówiłem przekupywania lub zastraszania moich pracowników. Odpowiedziałem, że poinformuję ich o tej akcji, ale pod warunkiem podania mi, jaki jest cel tych dyżurów i jakie polecenia mogą być wydawane – czy na przykład może być wydane polecenie bicia pałkami witających Papieża rodaków?... W efekcie, na czele ze mną, nikt nie zgłosił się do „rezerwy ORMO”

Na reakcję nie trzeba było długo czekać. Pomimo, że dokumentacja nagany partyjnej z OMELU była przekazana do instytutu, nikt nie robił mi z tego tytułu żadnych przykrości. Dopiero gremialna odmowa uczestnictwa w akcji „rezerwy ORMO” musiała zwrócić uwagę władz partyjnych na Instytut Sportu i na moją osobę – być może uznali mnie za „prowodyra”. Zwołano zebranie partyjne, na którym zreferowano sprawę jakoby zatajonej nagany z OMEL z podkreśleniem mojego „krytykanckiego” stosunku do socjalistycznej rzeczywistości. Wyciągnięto też sprawę związków zawodowych. Po masakrze robotników na wybrzeżu przestałem należeć do związków zawodowych. Gdy w nowym miejscu pracy chcieli mnie zapisać powiedziałem, że związki zawodowe nie bronią interesu swoich członków, a dbają wyłącznie o interes partii. Uchodziło mi to na sucho, bo przecież wszyscy o tym wiedzieli i nie ingerowali, jeżeli nie musieli.

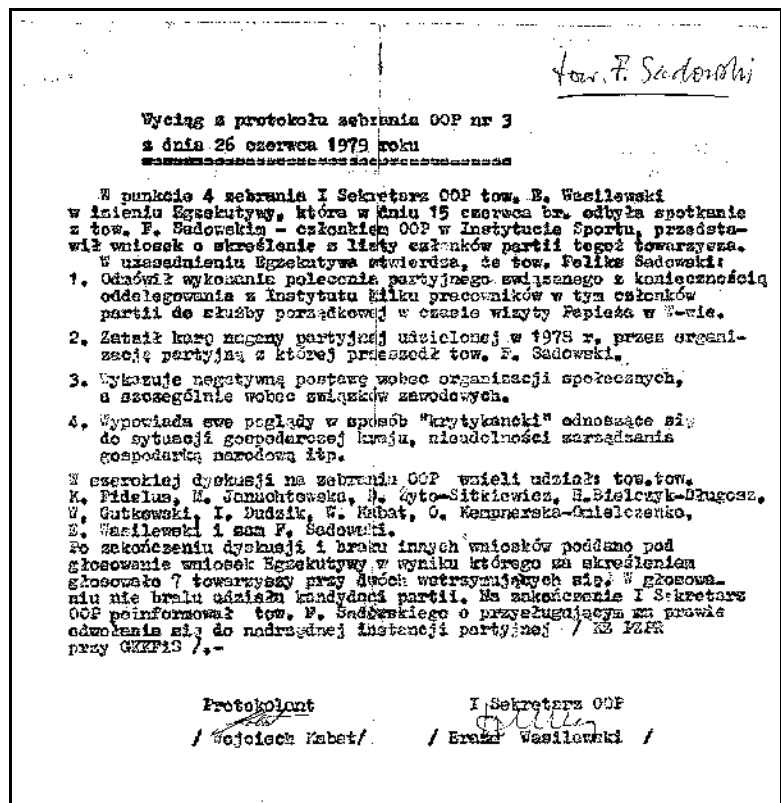
Po „wygarnięciu” wszystkich zarzutów przeciwko mnie dano mi szansę „obrony”. Pamiętając o doświadczeniach z OMELu byłem zdecydowany nie odstąpić ani na krok od moich poprzednio wyrażonych poglądów. Przyznaję, że niektórzy patrzyli na mnie jak na wariata. Dobre stanowisko, wysokie pobory, atrakcyjne wyjazdy – wszystko było do stracenia. Zdawałem sobie z tego sprawę, miałem wewnętrzne zahamowania, czy warto tak ryzykować. Ale była jakaś siła poza moimi kalkulacjami, która nakazała mi nie tylko powtórzyć moje poprzednio głoszone opinie, ale rozszerzyć je i stwierdzić bezprawność próby zmuszania pracowników do udziału w jakichś akcjach ORMO. Było to dobre wystąpienie, wielu obecnych z mieszanymi uczuciami przysłuchiwało się moim racjom. Wiedziałem, że większość podziela moje opinie, a jednocześnie nie ma odwagi, aby mnie poprzeć – było jeszcze trochę za wcześnie na powszechne wyrażanie tego, co ludzie naprawdę myśleli.

Po moim wystąpieniu zarządzono dyskusję. Obecni wypowiadali się bardzo oględnie – jedynie naszej kadrowej kazano coś znaleźć, aby oczernić mój charakter. Polityczne zarzuty były jasne, oprócz naruszenia tak zwanej „linii partii”, nie rzucały cienia na moją osobowość.

Pani Januchowska dokonująca powszechnych operacji fikcyjnego zaszeregowania pracowników z liczniejszych pracowni do mniej licznych była przekonana, że tak jak inni kierownicy biorę z tego tytułu dodatek kierowniczy (chyba ok. 500 zł). Kiedyś dzwoniła do mnie, abym zgłosił się do księgowości, ponieważ zaliczyła do mojej pracowni kogoś z innej liczniejszej pracowni. Chodziło o potwierdzenie przekroczenia minimum upoważniające do dodatku. Pomimo, że mi łapka swędziała, odmówiłem potwierdzenia fikcji – nie pobierałem dodatku za kierownictwo.

Był to bardzo nietypowy krok, ale Januchowska nie wiedziała o tym. Bez cienia wątpliwości scharakteryzowała mnie jako chciwego oszusta wyłudzającego społeczne pieniądze. Ktoś tam jeszcze zarzucił mi niewłaściwą postawę w ważnych ideologicznie sprawach. Być może było to związane z moimi kłopotliwymi pytaniami zadawanymi prelegentowi z KC prezentującemu kiedyś wykład na temat ewolucji i powstania świadomości. Nie potrafił chłopina odpowiedzieć, jak powstała świadomość, którą według Marksa posiadają tylko ludzie. Jeżeli powstała skokowo – musiała być jakaś siła sprawcza – w domyśle Bóg. Jeżeli powstała na drodze ewolucji, bez jednorazowego „stań się“, musiała w jakiejś formie występować w najprymitywniejszych organizmach, konsekwentnie w całym wszechświecie i w martwej materii – znowu Bóg. Tak facet jąkał się po tych pytaniach, że wszyscy przerwali drzemki i różne zamyślenia sugerujące uwagę.

W replice na „rewelacje” pani Januchtowskiej (nie była to zła kobieta, wykonywała jedynie „polecenie partyjne”) oświadczyłem, że wbrew jej osobistym namowom nie pobieram kierowniczego dodatku. Ku zaskoczeniu wszystkich obecnych główna księgowa potwierdziła moje słowa. Ponieważ nie odzegnałem się od „krytykanctwa“ i nie wykazałem żadnej skruchy, przegłosowano wyrzucenie mnie z partii. W odróżnieniu od OMELU były tylko dwie osoby wstrzymujące się od głosu. Zabrakło Matłaszka, także ostrość mojego wystąpienia odebrała odwagę reszcie obecnych. Protokół z tego zebrania zachowałem na pamiętkę – parę lat później niektórzy stwierdzili, że miałem dobre wyczucie nadchodzących zmian. A był to tylko moment mojego przełamanie się, dopełnienie deklaracji złożonej przy wstępowaniu do partii – praca dla dobra Polski – nieważne, że w tym momencie znanej jako „ludowa”.



Wychodząc z zebrania dyrektor instytutu prof. Fidelus zatrzymał mnie. Gdy wszyscy wyszli złapał moja rękę i pogratulował mi serdecznie: *Panie doktorze, świetnie pan mówił, ma pan rację – gratuluję panu.* Niektórzy oceniają go jako hipokrytę, ponieważ głosował za usunięciem mnie z partii. Ja nie oceniam go tak, naprawdę dodał mi otuchy. Chociaż przytłaczająca większość była sercem i myślami ze mną, dla wielu z nich jawne poparcie mnie mogło oznaczać koniec ich życiowej kariery. Nie obalilibyśmy wówczas systemu, nie żywię do nikogo żalu. Jednak każdy taki „bunt“ zmiękczał system i dodawał odwagi innym.

Zastanawiałem się, jaki będzie mój dalszy los. Byłem przekonany, że wcześniej czy później stracę pracę, że być może włączę się w działalność opozycyjną. W przypadku aresztowań i rewizji przygotowałem stopień za zrobioną boczną osłoną balkonu – nie znaleźliby mnie tam – ale ile mógłbym stać na tym stopniu, na wysokości 13 piętra. Znalazłem też na poziomie maszynowni wind nie używany pokój z oknem na dach, wymieniłem zamek na klatkę schodową. Pamiętając „szprychową” zasuwkę z dzieciństwa, mogłem otwierać okno z dachu – byłaby to dobra kryjówka.

W pewnym sensie przygotowywałem się do tego, co rzeczywiście nastąpiło po wprowadzeniu stanu wojennego, „scenariusz” był jednak trochę inny, niż wówczas wyobrażałem sobie. Wiedząc dużo na temat komunizmu przewidywałem, że zlikwidują, zastraszą, lub inaczej „zneutralizują” każdego pojawiającego się lidera. Jediną szansę przywództwa widziałem w hierarchii kościelnej. Uważałem, że jedynie Kardynał Wyszyński mógłby pełnić rolę rzecznika społeczeństwa występującego przeciw systemowi. Zebrałem nawet swoje myśli wystukując je na maszynie. Oryginał przekazałem Byrskim a kopię w folii zamurowałem w szczelinie na nie otynkowanym wówczas balkonie, niewątpliwie jest tam do dzisiaj.

Okazało się, że nasi po marcowi komuniści byli inni niż ich sowieckie pierwowzory. Teraz rozumiem to i na czele z Gierkiem uważam ich za pasywnych uczestników naszego historycznego wybicia się na niezależność. Bez ich powściągliwości, gdyby działali tak jak ich pierwowzory, przeżylibyśmy jeszcze jedno krwawe powstanie. Wówczas nie oczekiwałem takiej powściągliwości z ich strony. Nawet Kardynał Wyszyński starał się powstrzymać powstającą Solidarność przed czysto politycznymi żądaniem, niewątpliwie obawiał się masowych i krwawych represji. Decydującym dla tej powściągliwości „komuchów” był fakt, że w okresie naszego komunistycznego oportunistycznego nomenklatura partyjna stała się już praktycznie czysto polska. Na szczęście zabrakło tych, którzy chlubili się, że rewolucji nie robi się w białych rękawiczkach. Dzięki opatrności, w efekcie wydarzeń marcowych, zostali oni odsunięci od władzy i wielu z nich wyjechało z Polski.

Nie staram się nikogo rozgrzeszać, nieliczne już w tym czasie polityczne morderstwa muszą być ukarane. Powinniśmy jednak uświadomić sobie, że odnieśliśmy zwycięstwo nad systemem, który dla większości światowych obserwatorów był niezniszczalny. Powinien przyjść czas satysfakcji dla nas wszystkich, włączając tych, którzy byli w szeregach partii, oni też mają udział w naszym zwycięstwie. Dla wielu osób mój pogląd nie będzie zrozumiały. Przyznaję, że trudno go zrozumieć, ale jako społeczeństwo byliśmy fenomenem dokonującym rzeczy niemożliwej – to też trudno zrozumieć. Jeszcze do niedawna ja sam nie rozumiałem w jaki sposób, praktycznie bez przelewu krwi, odzyskaliśmy niezależność. Abyśmy jej jednak nie stracili wtrąceni do internacjonalistycznego unijnego kołchozu! Jestem jednak optymistą – ani szwedzki, ani sowiecki, ani unijny potop nie zmoże nas!

Być może perspektywa z jakiej patrzę na nasz „Drugi Cud nad Wisłą” ośmiela mnie do powyższych wypowiedzi? Myślę też, że mam moralne prawo, aby chociażby małą część zasług w naszym zwycięstwie nad komunizmem przypisać członkom PZPR, nawet niektórym wysoko stojącym. Uzurpuję sobie to moralne prawo, ponieważ pośród wielu innych byłych członków PZPR ja mogę wykazać się dobrą „harcerską robotą” i poświęceniem dla przyspieszenia zmian. W tym sensie nie obrażę się, jeżeli ktoś nazwie mnie „komuchem”. Po prostu, w czasie komunistycznego zniewolenia intuicyjnie zorganizowaliśmy się bez praktycznie niemożliwych do utworzenia masowych organizacji antykomunistycznych. Całe nasze społeczeństwo tworzyło nieformalną organizację antykomunistyczną z podzielonymi rolami. Część z nas była w partii – tyle osób ile trzeba było, aby zmylić naszego okupanta, a reszta w bardziej lub mniej cichej opozycji. Po okresie terroru wspólnie, partyjni i bezpartyjni rozmiękczyliśmy zbrodniczy charakter narzuconego nam systemu i uniemożliwiliśmy powrót do masowego terroru. Najodważniejsi ciągle przekraczali granice tolerancji narzucone przez sowieckich nadzorców, tworzyli precedensy ośmielające resztę i przybliżające moment uniezależnienia się.

Wracając myślami do całej historii PRL, do mojego życia od dziecka do dorosłości, widzę wszystko od nowa. Uzmysłowiłem sobie całą fantastyczną prawdę o zaistniałym fenomenie samo organizacji naszego społeczeństwa. Rozegraliśmy nasze wybicie się na niepodległość wręcz w fantastyczny sposób – jeżeli ktoś chce może powiedzieć, że kierowała nami opatrność. Produktami tego procesu samo organizacji byli Wałęsa i Kukliński, ale także Gierek i wielu innych stojących kiedyś po różnych stronach barykady. Z tym, że poczynając od okresu „Oswajania”, a szczególnie w okresie „Oportunizmu”, ta nasza barykada raczej pozorowała walkę o krwawe komunistyczne ideały, niż ją prowadziła. W efekcie na oczach zdumionego świata wygraliśmy z komunistycznym molochem.

Co nas czeka dalej? Czy staniemy się normalnym średnim społeczeństwem? Czy zanika w Polsce jakiś specjalny duch inności często niewyczuwalny przez nas samych a budzący miłość lub nienawiść u obcych? Czy gładko zaadaptujemy dobro i zło współczesnego świata? Chyba nie, ten duch inności istnieje i istnieją zagrożenia globalne i nasze lokalne. Do tych zagrożeń zaliczyłbym obce moloche informacyjne i ekonomiczne; obce wzorce obyczajowe i kulturowe; zanik honoru, złodziejstwo i kłamstwo.

Po wyrzuceniu mnie z partii sprawa stała się głośna. Partia chciała zachować twarz i zmusić mnie do kajania się. Poprzez różne osoby sugerowano mi złożenie odwołania z prośbą o przywrócenie członkostwa. Z zupełnie innych względów moi pracownicy mówili mi: *Szefie, przepros tą partię, zrób to dla nas*, obawiali się, że dadzą im takiego kierownika, który będzie ich intensywnie „resocjalizował”. Osobiście obawiałem się zwolnienia z pracy. Zdawałem sobie sprawę, że mogą mnie nigdzie nie przyjąć, nie reagowałem jednak na te skądinąd rozsądne rady.

Po pewnym czasie pierwszy sekretarz OOP zaprosił mnie na rozmowę i postawił sprawę jasno. Albo napiszę odwołanie i na najbliższym zebraniu oświadczę, że byłem w błędzie, albo dyrekcja zastanowi się czy będę mógł dalej pracować... Gdybym przeprosił obiecywał awans i preferencje w atrakcyjnych wyjazdach zagranicznych. Nie żądał wiele, była to raczej propozycja wyjścia z twarzą dla obydwu stron, nie przyjąłem jednak tej propozycji. Naprawdę nie żądali wiele, wiedziałem jednak, że wszyscy patrzą na mnie, czy złamię się czy nie. Nie chciałem dać złego przykładu młodym pracownikom. Wówczas nie wiedziałem jeszcze, że po dorośnięciu do mojego wieku nie będą mieli takich problemów – chociaż nowa rzeczywistość stawia przed nimi różne inne, być może nie mniej trudne dylematy?

Cała sprawa i mój upór stały się głośne na wyższych szczeblach partyjnych i w okolicach Instytutu Sportu. Z sąsiedniego PIHM zadzwonił do mnie kierownik jednego z działów i zaproponował: *Panie doktorze, gdyby wyrzucili pana z pracy, to ja pana zatrudnię*. Poznałem go wcześniej robiąc rezeźnienie na temat możliwości przetestowania turbinki do pomiarów prędkości kajaków. Czy pozwoliliby mu na taki gest? Po krótkim okresie spokoju wezwano mnie do Komitetu Warszawskiego PZPR. Jeden z sekretarzy starał się przekonać mnie, abym zdobył się na drobny gest i powiedział: „Przepraszam, pomyliłem się”. Rozmowa była spokojna, bez gróźb i szantażu. Wyjaśniłem mu, że jestem dogłębnie przekonany o słuszności moich wypowiedzi, że są to sprawy ważniejsze niż członkostwo w partii, że jeżeli partia tego nie widzi, lub ma inne zdanie, wówczas po prostu nie pasujemy do siebie. Rozstaliśmy się grzecznie, z wyczuwalnym zrozumieniem. Na koniec uścisnął mi rękę i powiedział coś w tym sensie: *Tu nie chodzi o to, kto ma rację, takie są reguły gry, my ze swojej strony nie będziemy starali się wam zaszkodzić*.

Jednak Główny Komitet Kultury Fizycznej i Sportu, któremu podlegał Instytut Sportu, miał na temat mojej rebelii inne zdanie. Wezwał mnie sam Marian Renke (w randze ministra). Niski, beczułkowaty, z wysokim czołem i resztką ciemnych kędziorów – na mój widok nadał się jak indyk. Nie było żadnego wstępu, żadnego „towarzyszu” lub „panie” – natychmiastowe bluzgotanie: *Co wy sobie myślicie, czy wy wiecie, gdzie wy jesteście i co wam kazano zrobić? Takich rzeczy nie będziemy tolerowali, przepraszajcie partię albo won!*. Po rozmowie w GKFiS byłem zaszokowany. Mały koszerny ubowiec, tylko bez nagana w garści. Jakieś trzydzieści lat wcześniej zęby by mi powybił (sam na sam to ja bym jemu powybił).

Nie dopuszczał mnie do słowa, a ja nie paliłem się do żadnych wyjaśnień dla takiego buca. Na koniec pewny swego wykrzyczał: *Kiedy partia wam każe iść i zginąć, pójdziecie i zginiecie, a teraz macie publicznie przeprosić partię*. Miałem na to tylko jedną odpowiedź: *Panie ministrze, ja już nie jestem członkiem partii, tego typu polecenia nie dotyczą mnie*. Po krótkim „do widzenia” wskoczyłem na mój składak i wkurzony pedałowalem na Chomiczówkę.

W tym momencie nabrałem pewności, że nie przeproszę partii. Gdy wracałem rowerem po rozmowie w Komitecie Warszawskim, walczyłem ze sobą: *Może jednak przeprosić partię, coś już zrobiłem, idę chyba zbyt daleko?*. Po pokazówce Mariana Renke nie miałem żadnych wątpliwości – niech się stanie co ma się stać – nie „pszeeproszę”!

Reakcje przyjaciół i znajomych były różne. Jedyne Byrscy utwierdzali mnie w mojej decyzji: *Feliks, nie daj się, nie przepraszaj, nie złam się*. Ale byli oni w fermentującym środowisku Uniwersytetu Warszawskiego. Mieli inne już zrewoltowane otoczenie, żyli dalej od rzeczywistości reprezentowanej przez Mariana Renke. Brałem od nich różne „nielegalne” wydawnictwa przekazując datki na ich drukowanie. Po przeczytaniu rozdawałem je starając się, aby trafiły poza Warszawę, jednak nie miałem ani charakteru ani chęci zostania „rewolucjonistą”.

Inni starzy przyjaciele nie namawiali mnie, abym trwał w moim uporze, nie zachęcali też do przeprosin. Z sytuacji w jakiej postawiłem siebie nie było łatwego wyjścia. Niewątpliwie dziwiła ich moja wolta wstąpienia do partii i wystąpienia przeciwko jej kanonom. Kiedyś wysłuchiwali moich racji przy kielichu, ale w duszy traktowali je jako usprawiedliwienia. Większość trzymała się z daleka od PZPR, niektórzy czując potrzebę działania oględnie wiązali swoje kariery życiowe z Stronnictwem Demokratycznym lub z innymi społecznymi i zawodowymi organizacjami.

Wiedziałem, że gdybym nie miał co do gęby włożyć, nie zostawią mnie na pastwę losu. Gdy jeden z naszych młodszych kolegów popełnił samobójstwo zostawiając swoją białoruską żonę z małym dzieckiem spłaciłszy ich długi za kupione na raty meble. Podobnie, gdyby partia pozostawiła mnie bez pracy, mogłem liczyć na ich pomoc. Z tym samobójstwem związana była romantyczna i tragiczna historia. Śliczna filigranowa studentka z Białorusi zakochała się w jednym z naszych kolegów z młodszego roku. On był zakochany w kimś w Polsce, nie wytrzymał ciśnienia uczuć, po paru miesiącach w Leningradzie porzucił studia i wrócił do Polski. Jej uczucia były tak silne i naiwne, że postanowiła podążyć za nim do Polski – nie było otwartych granic, wyjazd był praktycznie niemożliwy. W jakiś czas później poznała innego naszego studenta. Były elementy przyjaźni i uczucia, być może ten następca przypominał pierwowzór jej pierwszego uczucia. Był ślub i wyjazd do Polski. Niestety małżeństwo zostało przerwane jego samobójstwem.

Wiedziałem, że nie będę sam, ta skłonność do pomagania w gronie moich przyjaciół sprawdziła się kilkakrotnie. Janusz (z rozdziału ŚWIAT CIENI) po śmierci matki pozostał bez opieki i środków do życia. Koledzy ze studiów uratowali go od eksmisji z zapuszczonego mieszkania, skierowali na leczenie i zapewнили pomoc. Gdy powiedziałem wówczas Januszowi, że usunięto mnie z partii, powiedział: *Feliks, coś ty zrobił, jak dałeś się wyrzucić z partii, jesteś skończony, przeproś partię, bo nie będziesz miał żadnej przyszłości!*. Wiem, że mówił szczerze, życzył mi dobrze, nie wyobrażał sobie zmian, które ja podświadomie wyczuwałem. Dla tych zmian, nawet nie wiedząc kiedy nastąpią, podjąłem ryzyko stracenia całego mojego ówczesnego dorobku. Do dziś dnia nie „odrobiłem” tego, co miałem, jednak nie żałuję, jako rekompensatę otrzymałem następny „kawałek” ciekawego życia.

W Instytucie Sportu przekształcono moją pracownię na pracownię konstrukcji elektronicznych. Był to sygnał, abym jako inżynier mechanik sam odszedł, lub będę zwolniony. Spodziewałem się, że coś takiego nastąpi, jednak wiadomość ta wprawiła mnie w ponury nastrój. Byłem w rozterce, nie widziałem siebie jako „prywaciarza”, nie wiedziałem jak utrzymam rodzinę? Zdecydowałem, że jeżeli mnie wypuszczą, wyjadę na rok lub dwa do Stanów Zjednoczonych do moich krewnych.

Wiele osób z mojej rodziny wyjeżdżało i w przeciągu roku byli w stanie zarobić tyle, na ile w kraju musieliby pracować przez wiele lat. Krewni mnie też zapraszali, ale wcześniej nie byłem tym zainteresowany.

Tak złożyło się, że w maju 1980 roku była w Polsce moja cioteczna siostra Elżbieta z mężem. Uzgodniliśmy, że natychmiast po powrocie do USA wyślą mi zaproszenie. Po otrzymaniu zaproszenia bardzo szybko otrzymałem paszport – widocznie władze wolały mieć mnie za granicą, niż w kraju. Po otrzymaniu wizy, 15 sierpnia 1980 roku, znalazłem się w samolocie do Nowego Jorku. W tym dniu w Warszawie strajkowała komunikacja miejska a w Gdańsku rozpoczął się strajk, który zmienił historię XX wieku. Gdybym miał bilet na lot o dwa tygodnie później, nie wyleciałbym w ogóle. Duży kawałek mojego życia po 1980 roku byłby zupełnie inny?

Udając się do USA uwolniłem wielu zwierzchników od podjęcia trudnych decyzji represjonowania mnie, głęboko wierzę wbrew ich chęciom i sumieniu. Zmiany jakie nastąpiły po moim wyjeździe, moje polityczne zaangażowanie w USA, później stan wojenny, przedłużyły mój pobyt na długie lata.

Gdybym został...? Czy z moim charakterem przeżyłbym stan wojenny? Czy teraz czułbym się winny za upadek etosu Solidarności, unikalnego ducha elektryzującego cały naród przeciwko narzuconemu systemowi? Czy po Okrągłym Stole włączyłbym się w jakieś „solidarności“ eksploatujące etos Solidarności dla prywatnych celów? Tego typu pytania pozostaną na zawsze bez odpowiedzi.

WIOSENNE WODY

Przepiękne są rozlewiska Biebrzy widziane „od środka“, szczególnie na wiosnę, gdy płynie się łódką. Przy wysokim stanie wody powstaje wiele odnóg prowadzących w różnych kierunkach. Niektóre odnogi, pomimo początkowo wartkiego prądu, zmieniają się w płytkie i rozległe toki przedzierające się przez krzaki do głównego nurtu. Aby kontynuować podróż trzeba zawracać i szukać innego koryta. Inne odnogi kończą się ślepo w zaroślach lub na jakimś podtopionym podwórku domostwa zbudowanego na wyższym miejscu. Na niektórych odcinkach rozległych podmokłych terenów kilometrami nie widzi się ludzi. W zamian otacza podróżnika soczysta zieleń, bujne trawy, trzciny i krzaki. Powietrze roi się od niekiedy dokuczliwych owadów pracowicie krzątających się wokół różnorodnych kwiatów urozmaicających to wręcz dziewicze królestwo ustanowione jako [Biebrzański Park Narodowy](#).

Woda o brunatnym zabarwieniu nie jest przejrzysta, ale mając kuszę i doświadczenie można ustrzelić jakąś rybę na obiad. Jest też podobno sporo sumów, osobiście nie spotkałem żadnego. Słyszałem, że w tych okolicach sum utopił płetwonurka. Nie musiał to być duży sum. Aby nie zgubić kuszy chłopak przywiązał ją sobie do ręki. Po celnym strzale sum poszedł pod jakieś wykroty zaplątując linkę – nie mógł uwolnić ręki z zaciskającej się pętli. Zabrakło mu ileś tam centymetrów do zbawczej powierzchni – został pod wodą połączony z dogorywającym sumem – szkoda chłopaka.

Gdy przypadkowo stałem się właścicielem motorówki kilkakrotnie pływałem na trasie z Zegrza do Elku. Nie była to duża łajba, ale po dorobieniu szybki i plandeki mogły spać w niej dwie osoby, nawet Lesio mieścił się pośrodku. W czasie ostatniego urlopu przed wyjazdem do Ameryki miałem ją w Elku. Trochę pływałem i nurkowałem, ale nie tyle ile podczas każdego innego urlopu. Starałem się zachowywać tak jak zawsze, ale nie było to łatwe. Nie mogłem uwolnić się od wewnętrznych napięć wywołanych konfliktem z partią. Przez mój upór nie przeproszenia partii najrozsądniejszym wyjściem był wyjazd, chociaż nigdy nie marzyłem o wyjeździe do USA. Taki wyjazd oznaczał pozostawienie pokaźnego jak na warunki PRL dorobku mojego życia. Były nawet momenty, gdy myślałem: „Cholera, dlaczego tej pieprzonej partii nie przeprosiłem”.



Lesio „zdobył” motorówkę z flagą.

Jeden z poznanych w Elku młodych prokuratorów, przeżywaliśmy go „Miszka”, ostrzegał mnie: *Będąc w USA trzymaj język za zębami, jeżeli władze zechcą mieć ciebie w Polsce, to nie obejrzą się, kiedy wylądujesz na Okęciu.* Nie wierzyłem mu *Czyżby władze USA współpracowały z bezpieczeństwem.* Stwierdził, że nie, że są inne sposoby, ale jakie?..., nie chciał mi wyjawić.

Będąc już w Ameryce główkowałem nad tym, co mi „Miszka” powiedział. Skojarzyłem „ekspresowe” lądowanie na Okęciu z obawami „wakacjuszy”, aby nie wpaść podczas okresowych łapanek organizowanych przez urząd imigracyjny. Sposób bezpieczeństwa na sprowadzanie „nieprawomyślnych” mógł być bardzo prosty. Z listów mogli dowiedzieć się, gdzie „zapotrzebowany” mieszka i gdzie nielegalnie pracuje. Wystarczyło, aby jakiś funkcjonariusz w konsulacie w Nowym Jorku wysłał do amerykańskich władz imigracyjnych parę odpowiednio spreparowanych anonimów – i już czekali z otwartymi rękoma na Okęciu. [Podzieliłem się tym spostrzeżeniem z Nowym Dziennikiem.] W anonimach wysyłanych do urzędu imigracyjnego, przypisywanych później brzydkim zwyczajom rodaków, mogli doprowadzić do szału nawet najspokojniejszego amerykańskiego urzędnika imigracyjnego. Dobrane donosiki mogły skłonić go do istnego polowania na niewdzięcznika o podejrzanej przeszłości jakoby opluwającego gościnnie USA. Tego mi „Miszka” nie powiedział, pomimo że był fajnym facetem.

Gdy rozmowa zesłała na tak popularne w tym czasie „nielegalne” wydawnictwa, „Miszka” powiedział mi, że jestem na liście tych, co je przywożą. Chciałem mu nawet dać do przejrzania ostatnie nowości, odpowiedział: *Prędzej czy później przeczytam je*. Jakoś ta przywożona bibuła trafiała do nich, zresztą nie kryłem się specjalnie, ale też nie byłem „hurtownikiem” – rozdawałem tylko to, co sam już przeczytałem. Na moje pytanie: *Co z tego, że macie mnie na liście, zamkniecie mnie i tych innych, którzy przywożą i czytają te wydawnictwa?* Odpowiedział: *Nie zamkniemy, ale ktoś może nie dostać paszportu albo z awansami w pracy będzie miał kłopoty, itp.* Dla mnie jedynym „awansem” było oczekiwane zwolnienie z pracy a paszport po bardzo krótkim oczekiwaniu już miałem.

Prawdę mówiąc nie słyszałem, aby za samo czytanie bibuły kogoś ukarano. Czytelników było bardzo wielu, tak jak ja nie ukrywali się specjalnie. Myślę też, że większość naszych „nadzorców” w duchu była razem z nami. Pomimo odczuwanego w tym czasie rozgraniczenia „my - oni” w swojej masie wszyscy byliśmy „my”. Dopiero parę lat po „okrągłym stole” uzmysłowiłem sobie taką unikalną specyfikę naszego kraju, gdzie wielu strażników solidaryzowało się z więźniami. Wyobrażam sobie starych NKWD-dzistów, którzy kiedyś terrorem wprowadzali władzę sowiecką. Martwi przewracali się w grobach, a większość pozostałych była już na zachodzie. Jako „eksperci” od spraw komunizmu robili różnorakie kariery, pracowali jako naukowcy, lub doradcy i krytycy totalitaryzmu dyskretnie zapominając o swoich niegdyś „zakrwawionych rękawiczkach”.

Taka była właśnie Polska schyłkowego komunizmu. Oprócz najwyższych władz i oficjalnej paplaniny nikt nie traktował ideologii komunistycznej poważnie. A w Polsce „powiatowej”, pomimo ogólnokrajowego paraliżu gospodarczego i docierającej bibuły, życie toczyło się normalnie. „Normalnie”, to znaczy w miarę zgodnie koegzystowali bogatsi i biedniejsi, urzędnicy i petenci, partyjni i bezpartyjni. Rozbudowane znajomości pozwalały na pokonywanie różnych biurokratycznych barier a częstymi powodami do zadowolenia było kupienie lub „załatwienie” czegoś deficytowego, powiedzmy, papieru toaletowego lub kilograma mięsa. Były lokalne hierarchie ludzi ustosunkowanych i jak zawsze i wszędzie: zawodowe, koleżeńskie lub rodzinne „układy”. W porównaniu do „układów” III RP była to jednak „oaza uczciwości”. Ja też miałem w Ełku swoje „układy” ułatwiające PRL-owskie życie, ponieważ było to dawno, z upływem czasu wszystko nabrało jakiegoś specyficznego uroku.

Gdy po „okrągłym stole” zachodziły w kraju najistotniejsze zmiany ja byłem daleko. Dużo „układów” zostało zburzonych, w wielu instytucjach zmienili się ludzie, wiele przedsiębiorstw upadło – niektóre bezsensownie. Część moich bardzo bliskich i sympatycznych znajomych boleśnie odczuła rozpad starego świata znajomości, układów i poczucia bezpieczeństwa. W ferworze dyskusji zapominają czasami, że oni też nie mieli najlepszego zdania o PRL. Do zabawnych jednak zaliczyłbym stwierdzenia, że większość z 9 milionów członków Solidarności wstąpiła do niej na polecenie SB i PZPR, że Wałęsa [być może za wyjątkiem krótkiego okresu czasu] był agentem SB, itp. Jeżeli rzeczywiście tak było, należałoby wystawić pomnik wdzięczności dla PZPR i SB – za skuteczne zniszczenie obcego nam systemu.

A prawda?... Czy da się ją poznać? Wydaje mi się, że szeregowi partyjni i szeregowi pracownicy służb specjalnych przynajmniej sympatyzowali z Solidarnością. Dzięki temu historyczne i wcześniej trudne do przewidzenia zmiany nastąpiły praktycznie bezkrwawo, że w ogóle nastąpiły i w efekcie doprowadziły do upadku komunizmu. Na początku tej fali wielkich zmian wyleciałem do USA. Wszystkie zmiany i wydarzenia w Polsce stały się przedmiotem moich codziennych myśli i troski. Niewątpliwie, nie byłem odosobniony, wręcz przeciwnie, miałem głębokie przeświadczenie, że jakiś duch nawiedził rodaków na całym świecie, którzy siłą swojej połączonej woli wspomagali zachodzące w Polsce zmiany. Rzeczywiście odczuwałem coś takiego, chociaż niektórzy włożą to między bajki.

MIĘKKIE LĄDOWANIE

Po odlocie z Warszawy były dwa międzylądowania, w Berlinie i na Gander. Nie mam pojęcia dlaczego lądowaliśmy w Berlinie, czyżby jakaś mała awaria lub tańsze paliwo? Na lotnisku w Gander mieliśmy krótki postój w tranzytowej poczekalni. Za parę dolarów jakie miałem przy sobie nie kupiłbym nawet piwa. Na szczęście nie musiałem nic kupować, zaopatrzenie i obsługa w samolocie były bardzo dobre. W Nowym Jorku lądowaliśmy przy pięknej słonecznej pogodzie. Spotykała mnie cioteczna siostra Elżbieta z mężem, moim serdecznym kolegą z podstawówki. Poznał ją w czasie mojego pobytu w Leningradzie. Wkrótce po ślubie wyjechali do USA. Przy przejściu z hali przylotów do ich samochodu pogoda straciła swój urok, wręcz trudno było oddychać. Czy było to naprawdę najgorętsze lato z mojego całego pobytu w USA? Być może później przyzwyczałem się trochę do tutejszych upałów i do dużej wilgotności powietrza.

W dniu mojego przylotu do USA, a było to 15 sierpnia 1980 roku, zaczął się przełomowy strajk w Stoczni Gdańskiej. Nikt jeszcze nie przewidywał, że zmieni on historię dwudziestego wieku, tym niemniej przy powitalnym obiedzie było masę pytań i rozważań na temat Polski. Siedzieliśmy do późna, nawet nie zauważyłem przesunięcia wieczoru o sześć godzin. W ciągu paru tygodni poznałem duże grono znajomych i przyjaciół moich krewnych. Zdecydowana większość z nich, tak jak moi krewni, zamieszkiwała w USA od dłuższego czasu. Podczas częstych weekendowych spotkań nie było końca rozmowom o wydarzeniach w kraju. Dzięki ich towarzystwu i przyjaźni mogę twierdzić, że miałem w USA miękkie lądowanie.



Pełna napięcia obserwacja wydarzeń w Polsce pomogła w opanowaniu języka angielskiego. Z trudem i ze słownikiem rozszyfrowywałem artykuły o Polsce, oglądałem wszystkie wiadomości telewizyjne, słuchałem stacji radiowej powtarzającej co pół godziny najnowszy serwis informacyjny (WABC NEWS). Te powtarzane co pół godziny wiadomości pomagały w zrozumieniu mówionego języka angielskiego. Przy każdym powtórzeniu rozumiałem coraz więcej. W pierwszym zapale zacząłem nawet wyznaczać w słowniku po parę stron, aby dzień w dzień nauczyć się na pamięć wszystkich nieznanymi słów, ale było tego tak dużo, że zrezygnowany porzuciłem tę metodę nauki. Zresztą, angielskiego trzeba uczyć się dwa razy, pisanego i mówionego.

Irytowałem się, gdy używałem znane mi słowa i zwroty, a inni nie rozumieli mnie. Dużo zależało od tego z kim rozmawiałem. Ludzie przebywający z imigrantami lub znający angielski imigranci rozumieli mnie lepiej, ja też rozumiałem ich lepiej. Nawet po jakim takim opanowaniu języka angielskiego miałem czasami wrażenie, że niektórzy specjalnie udają, że mnie nie rozumieją. Byłem raczej w błędzie, niekiedy drobne niuanse w wymowie unieruchamiają najbardziej życzliwego słuchacza. W sumie jakoś sobie radzę, chociaż dotychczas cała moja edukacja w języku angielskim ograniczała się do słuchania, czytania i pisanie – bez ukończenia żadnej szkoły.

Słuchanie powtarzających się serwisów informacyjnych stało się moim nawykiem, nawet na noc zostawiałem włączone radio. Polecałbym tę metodę wszystkim pragnącym osłuchać się z dźwiękami angielskiej mowy. A dla przyszłości jak ja dźwięki te wydawały się nie mieć ani początku ani końca. Każde zdanie sprawiało wrażenie jednego rozciągniętego bełkotu. Radziłbym też, aby jak najszybciej znaleźć się w otoczeniu osób nie znających języka polskiego, wówczas nie ma wyboru, angielski sam wchodzi do głowy. Jednak pomimo takiej dobrej rady pobyt w USA lub w innym kraju zaczyna się przeważnie od kontaktów z rodakami.

Wujkiem jednego z moich sąsiadów na Bogusławskiego był **Bolesław Wierzbiański**, redaktor i wydawca Nowego Dziennika, najpopularniejszej polskiej gazety w okolicach metropolii nowojorskiej. Zgodnie z zasadą, że im więcej pozna się ludzi, tym lepiej, mój sąsiad Krzysztof Wierzbiański dał mi jakiś liścik, aby był pretekst do poznania jego wujka. Skontaktowałem się z nim w pierwszych dniach pobytu. Miałem też do przekazania parę wzruszających listów pisanych niewprawną ręką dziadka Demidowicza z Kazachstanu oraz propagandową książeczkę dla dzieci rozdawaną kiedyś w szkołach po śmierci Stalina. – była to część naszej mało znanej historii. Jak już wspominałem wcześniej listy od dziadka Demidowicza przekazałem na ręce pana Wierzbiańskiego dla tworzącego się jakoby archiwum Polaków na wschodzie? Niestety, jakiś diabeł je porwał. Głównym jednak celem mojej pośpiesznej wizyty były wydarzenia w Gdańsku. Przecież znowu milicja i wojsko mogły zaatakować strajkujących stoczniowców.

Zacząłem serdecznie namawiać pana Wierzbiańskiego, aby nie czekając na dalszy rozwój wydarzeń zorganizować demonstrację pod konsulatem PRL przeciwko użyciu siły i przeciwko ewentualnemu atakowi na Stocznnię Gdańską. Nie był zbyt przekonany: *Przecież nie zaatakowali, jak można demonstrować przeciwko czemuś, co jeszcze nie zaistniało.* Jak się później zorientowałem, był na pewno jeszcze inny powód wahań, psychoza podejrzliwości? Przecież przybysze brali się ostro do robienia dolarów, a nie tracili czasu na namawianie do robienia jakichkolwiek demonstracji. Skierował mnie jednak do prezesa Kongresu Polonii Amerykańskiej na dolną część Stanu Nowy Jork, pana Michała Prejslera. [Po wielu latach pobytu w USA nabieram przekonania, że w codziennym życiu byliśmy w Polsce bardziej wolni niż nasi rodacy w USA. Byliśmy także bardziej wolni od Amerykanów, wolnych „na pokaz”. Nie byliśmy zniewoleni doktrynami politycznymi, żądzą posiadania, obawą wypowiedziania politycznie niepoprawnych myśli, wyobcowaniem w rodzinach i kręgach znajomych.]

Ponieważ był to mój pierwszy dzień w Nowym Jorku nie miałem pojęcia jak znaleźć Irving Place, gdzie była siedziba Kongresu Polonii Amerykańskiej. Wierzbiański polecił pracownikowi, znanemu z powodu rekordowej brody jako Bizon, aby wsadził mnie do taksówki i opłacił przejazd. Okazało się, że jednak przekonałem rodaków o konieczności zorganizowania takiej demonstracji. Niedługo potem jechałem jednym z wielu autobusów dowożących demonstrantów pod polski konsul. Pomimo spokojnych charakterów i domatorskich nawyków naszej Polonii była to duża demonstracja, być może jedna z pierwszych przeciwko wydarzeniom, które na szczęście nie zaistniały. Niewątpliwie, mam w tym swój znaczący udział.

Od przyjazdu do USA utrzymywała się słoneczna pogoda, było jednak niemiłosiernie gorąco i duszno. Nawet przez parę następnych lat było mało pochmurnych dni. Dochodziłem do przekonania, że jest tu tak zawsze – po krótkich i intensywnych deszczach – słońce. Był to tylko jednak jakiś „słoneczny“ cykl pogodowy. Z czasem przyszły lata ze sporą ilością pochmurnych dni, z siąpiącymi deszczykami, zawsze jednak z obzewładniającą temperaturą i wilgotnością.

Właśnie podczas tego mojego pierwszego pobytu na Manhattanie było tak gorąco jak w łaźni. Po spotkaniu z panem Prejslerem miałem trochę czasu na spacer, dotarłem do jakiegoś parku. Chciało się mi niemiłosiernie pić, a żołądek był już zupełnie pusty. Aby przy paru dolarach w kieszeni uświetnić spotkanie z Manhattanem, kupiłem Root Beer i banana. Nie miałem pojęcia, co oznacza słowo „root”, ale wiedziałem co to jest „beer”. Pyknęła otwierana puszciczka, lekki dymek z gazowanego napoju pojawił się nad chłodną ciemną cieczą. Aby przedłużyć przyjemność zapaliłem Sporta. Byłem nawet zadowolony, że trafiłem na ciemne piwo, skończyło się jednak tylko na Sporcie. Po pierwszym łyku oniemiałem, miałem w ustach coś takiego jak lekarstwo, a nawet gorzej, jak płyn na pluskwy (padłyby od tego niechybnie). Z zawiedzionym pragnieniem wylałem wszystko nawet nie dojadając banana. Powlokłem się w tym upale na dworzec autobusowy przy 42 ulicy, aby dopiero u moich gościnnych krewniaków namoczyć skołowaciały język.

Sportów przywiozłem sobie na parę miesięcy, w tym czasie nie uznawałem innych papierosów, co niekiedy doprowadzało do konsternacji. Przy weekendowych spotkaniach w gronie przyjaciół tylko na początku zadawano podchwytliwe pytania: *Co ty takiego palisz.* Gdy już wszystkim dobrze w głowach zaszumiało,

wówczas nikt nie zwracał uwagi na zgoła egzotyczny w warunkach amerykańskich swąd Sportów. Dopiero, gdy pracowałem w Royal Wire Corporation, w czasie przerwy śniadaniowej, ktoś raptem podniósł alarm: *Coś się pali, jakieś szmaty czy papiery*. Parę osób rozbiegło się zaglądając za maszyny i w różne zakamarki. Mały Portorykańczyk, który pracował na gitarce, za śwędem trafił na mnie. Mrugnął porozumiewawczo: *Trawka...* Dałem mu spróbować, parę razy zaciągnął się, ciężko mu dym przez gardło przechodził a oczy wychodziły z orbit. Nie dopalił jednak do końca – brakowało „efektów specjalnych”.

Właściwie moje palenie ani nie było ani nie jest prawdziwym paleniem, nie zaciągam się. Do 23 roku życia w ogóle nie paliłem. To znaczy próbowałem zapalić jako sześciolatek. Podglądałem wujka Gienka, który palił papierosy, gdy zgasił dyskretnie odebrałem peta i schowałem się w ciemnym zakamarku. Niestety, przyłapała mnie mama i posadziła przy stole wręczając papierosa, nawet przypaliła. Aby nie dostać lania musiałem wypalić całego papierosa do końca. Trudno opisać, co się ze mną potem działo. Błady, ślaniając się, zwymiotowałem wszystko, co wcześniej zjadłem, chyba też różne wielodniowe zleżałości z furkotem opuściły mój żołądek.

Po tym pierwszym papierosie przez długie lata nawet mi do głowy nie przychodziło, aby wziąć do ręki papierosa. Dopiero na studiach w otoczeniu palących kolegów dałem się „namówić”. Przy każdej imprezie robiło się ciemnawo od dymu. Nie przeszkadzało mi to specjalnie, jedynie zimą gdy wietrzyli moje czułe korzonki zwracałem im delikatnie uwagę: *Rzucicie to śmierdzące świństwo, przecież nie jest to ani smaczne ani przyjemne, po prostu marnujecie bez potrzeby pieniądze*. Miałem niewątpliwie rację, nawet przyznawali mi to. Ale oni mieli swoje wytłumaczenie, że palenie jest nawykiem, czymś w rodzaju nałogu. Nie mieściło mi się to w głowie: *Jaki to nawyk, nałóg? Coś, co jest przyjemne może być nałogiem, można przyzwyczaić się, a papierosy można po prostu odłożyć i nigdy więcej nie brać tego świństwa do ręki*.

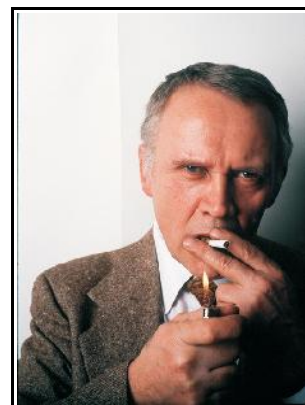
W dobrej wierze zaczęli mi wręcz „naukowo” wyjaśniać: *Gdy wypijeś pierwszy kieliszek wódki, na pewno wstrząsnęło tobą niemilosierdzie, a teraz siedzimy sobie, rozmawiamy na luzie, od czasu do czasu opróżniamy kieliszeczek. Wódka nie jest ani smaczna ani przyjemna, a jednak pijemy ją. Jeżeli przeciągniemy spotkanie i ktoś skoczy po następną butelkę, to jutro kac nam porządnie dokuczy*. Mieli rację, wódka nie jest ani smaczna ani przyjemna, ale rozwiązuje języki, rozluźnia napięcia codzienności, rozpuszcza otoczkę przyrodzonej samotności i zbliża ludzi. Jest niebezpieczna tak jak papieros, może doprowadzić do raka nałogu. W wielu przypadkach bywa przyczyną agresywności, wypadków, i innych tragedii – nie mówiąc o żenujących głupstwach i zawalonych obowiązkach. [Na szczęście po wstawieniu się większość moich przyjaciół była łagodna, czasami tylko ujawniały się ukryte cechy charakteru, typu „Jasio podróżnik”. Po takich „podróżach” prawie wszyscy mieli potwornego, ale zbawiennego kaca.] Mieli rację, nawet w samym smaku wódka jest paskudna, ale jednak popijaliśmy ją przy różnych okazjach.

Nikt jeszcze w tamtych czasach nie znał nałogu Clintona – ale dobili mnie argumentem seksualnym: *Gdy miałeś pierwszy stosunek, raczej nie było tak, jak to sobie wcześniej wyobrażałeś. Z uprzedniego napięcia i oczekiwania czegoś nadzwyczajnego niewiele zostało. Pozbierałeś się, może nawet myślałeś, że nie był wart takiego zachodu, podchodów i włożonej w to energii... A teraz, gdy tylko jakaś sympatyczna dziewczyna pojawi się w zasięgu ręki, od razu sprężasz się i świdrujesz ją oczyma*. Znowu mieli rację, ale w mojej wyobraźni wszystkie te sprawy lokowały się bardzo daleko od śmierdzących papierosów.

Chciałem ich przekonać, że można palić i tak od ręki odłożyć papierosy. Założyliśmy się, że przez rok będę wypalał jednego papierosa dziennie, a po roku rzucę palenie – stawką była butelka gruzińskiego koniaku... I tak się to zaczęło. Na początku częstowali mnie, abym nie zapomniał o zakładzie, po jakimś czasie sam kupowałem papierosy i wypalałem jednego dziennie. Przy różnych uroczystościach wypalałem więcej, ale ciągle byłem przekonany, że w każdej chwili mogę przestać palić. Wreszcie po roku przestałem, oddałem kolegom niedokończoną paczkę bułgarskich „Filtrów”. Nie zdążyłem jednak wygęzkować mojego koniaku. Około tygodnia później były czyjeś imieniny, sięgnąłem do najbliższej leżących papierosów... I tak jak się zaczęło, tak już zostało – musiałem postawić koniak.

Niewątpliwie palenie jest jednocześnie przyzwyczajeniem i nałogiem. Papierosy są wstrętne i śmierdzące, szczególnie dla niepalących. Ponieważ nie zaciągam się (gdybym to zrobił dostał bym chyba torsji jak przy mamuśki „gwoździu”), tłumaczę sobie, że nie zatravam organizmu nikotyną. Jest w tym trochę prawdy, ale nie zupełnie, czasami mam podrażnione gardło. Moje podrażnione gardła to mało, nagle okazało się, że palenie podrażnia rozgorączkowanych „uszcześliwiaczy” ludzkości.

Wyuzdane kompanie antynikotynowe budzą we mnie sprzeciw, nie dlatego, że sam palę. Jest w nich oszustwo i grabież w większości niezbyt bogatych ludzi. Zawsze podwyżki cen uzasadniane są dobrem palaczy, że odrzucą nałóg, jednocześnie skrupulatnie podliczane są miliardy, jakie będą z nich zdarte. Gdyby tylko to? „Nawiedzeni” atakują palaczy z wszystkich stron, dobierają się do osób porzucających małe niedopałki – praktycznie niewidoczne pośród masy innych śmieci zaścielających ulice Nowego Jorku. Kluby, kawiarnie i restauracje zmuszane są do wprowadzania zakazów palenia. Palącym pracownikom zabiera się też klitki, w których dotychczas można było „zakurzyć”. Jeszcze trochę, a nie można będzie palić ani wewnątrz ani na zewnątrz budynków, jedynie za słoną opłatą w specjalnych kiblach z elektrofiltrami wyłapującymi najdrobniejsze cząsteczki dymu papierosowego.



W zamyśle jest to szlachetna krucjata, ale wonieje inkwizycją. Gdy ktoś z jakichś względów chce, lub musi truć się, jest to jego prywatna sprawa. Proporcjonalnie do ilości „nikotynowych samobójców” powinni oni mieć swoje miejsca. Nie palący też powinni mieć swoje miejsca z wolną od dymu atmosferą, ale nie wyznaczone przez decydentów nawiedzonych antynikotynową obsesją. Niech właściciele barów, restauracji itp. kierujący się biznesowym instynktem służenia klientom sami decydują, ile i jakie pomieszczenia będą przeznaczone dla palących lub dla niepalących.

Wręcz szczytem zakłamania i grabieżą w „biały dzień” są wyroki lub porozumienia pomiędzy producentami papierosów a różnego rodzaju oskarżycielami. Producenci nie aniołki, zobowiązują się do wypłacania setek miliardów dolarów jako odszkodowania, między innymi jako zwrot rządowi kosztów leczenia jakoby niewinnych swego nałogu palaczy. Obydwie strony oszukują społeczeństwo i udają, że działają w dobrej wierze. Rząd udaje, że chodzi o wyeliminowanie palenia i rekompensatę kosztów leczenia. Producenci papierosów udają, że doprowadzi ich to do bankructwa. Jednak obydwie strony są przekonane, że zgodnie ze skrupulatnymi wyliczeniami nie tracą a zyskają. Są pewni, że niezależnie od ceny i szkodliwości nałogowi palacze raczej oszczędzą na jedzeniu dla siebie i dla dzieci, niż przestaną palić. Jednak, gdyby naprawdę nałogowcy przestali palić, wówczas obydwie obławiające się strony stanęłyby na głowie, aby zmienić taki stan rzeczy. Powoływano by się na konstytucję, na wolność, itp. Bo czymże jest w końcu palenie – wolnością wyboru – chcę, to palę. Nawet jeżeli nie palący zechcą przebywać w towarzystwie palaczy, będzie to tylko i wyłącznie ich prywatna sprawa. Żaden rząd nie ma prawa wtykania swojego „zaparagrafionego nosa” w odwieczne towarzyskie zwyczaje.

Palenie jest paskudnym nałogiem, jednak zmasowane ataki na palaczy i ustanawianie dyskryminujące prawa są tylko częścią znacznie szerszego problemu – ograniczania wolności jednostek przez różnej maści „uszcześliwiaczy”. Weźmy jako przykład obowiązek nakładania kasków podczas jazdy motocyklem, lub zapinania pasów bezpieczeństwa podczas jazdy samochodem. Kaski i pasy bezpieczeństwa są wspaniałymi wynalazkami. Jeżeli jednak ktoś jest na tyle głupi, że nie używa ich, jest to tylko i wyłącznie jego prywatna sprawa. Nikt nikogo nie powinien karać za głupotę jeżeli nie zagraża ona innym. „Uszcześliwiacze” powiedzą, zagraża finansowo, kosztami pochówku, leczenia, lub innymi kosztami pokrywanymi bezpośrednio lub pośrednio przez społeczeństwo. Dołożą tragedie osobiste, osierocone dzieci, płacz matek, itp. Tak, to jest prawda, ale wolność wyboru ma zawsze swoją cenę. A społeczeństwo powinno odczepić się od przygłupa, który nie zakłada kasku lub nie zapina pasów bezpieczeństwa. W najgorszym przypadku jednego takiego będzie mniej.

Innym przykładem są zakazy kąpieli, w zamyśle dla dobra osób spragnionych pobarszkowania w wodzie. Gdyby nawet wszystkie zbiorniki wodne obstawić zakazami, nic to nie zmieni, woda zawsze znajdzie swoich topielców. Kompetentne władze powinny ostrzegać o istniejących zagrożeniach. Napisy: „NIEBEZPIECZNE WIRY”, „ZANIECZYSZCZENIA”, albo „GÓWNO W WODZIE” – są jak najbardziej wskazane. Ale, jeżeli ktoś przeceniający własne siły chce walczyć z wirami lub kąpać się w gównie, jest to jego prywatna sprawa.

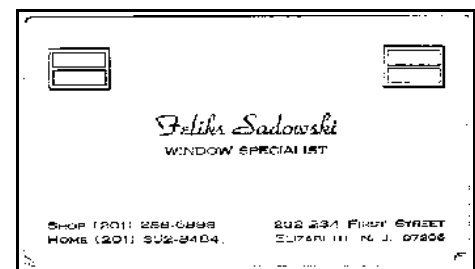
Żadni „uszcześliwiacze” lub strażnicy nie mogą mieć nic do osobistej wolności nie kolidującej z wolnością innych ludzi. Prawo, nie tylko amerykańskie, przekształca się często w stek reakcji na odwieczną ludzką głupotę, indywidualne pomyłki lub nieszczęśliwe wypadki. Ktoś..., ktoś..., ktoś... Ktoś utopił się, więc wprowadźmy zakaz kąpieli. Ktoś spadł z górki, więc wprowadźmy zakaz wchodzenia na górki. Ktoś zjadł muchomora, więc wprowadźmy zakaz zbierania grzybów, i co dalej...? Jeżeli idąc ktoś złamie nogę, czy wprowadzimy zakaz chodzenia? Jeżeli ktoś umrze, czy wprowadzimy zakaz życia?

Trzeba zostawić „ktosiów” im samym i ich najbliższym. Trzeba pozwolić im być mądrymi lub głupimi, szczęśliwymi lub zrozpaczonymi, bez kurateli jakiegokolwiek rządu lub administracji. Gdyby to ode mnie zależało, przy wjazdach do mojego starego Elku poustawiałbym trzywierszowe napisy: „WOLNE MIASTO ELK – TYLKO GŁUPCY NIE ZAPINAJĄ PASÓW – WYBÓR ZALEŻY OD CIEBIE”. Zamiast zakazów kąpieli w pełnych przepięknych jezior okolicach ustawiłbym tablice informacyjne: kto, kiedy i dlaczego utopił się wymieniające przynajmniej typowe przyczyny utonięć. Na jednej z nich byłoby nazwisko mojego kolegi z ławy szkolnej – „Sapera” (Sawickiego).

W USA jest chyba najwięcej ograniczeń i zakazów poprzez które „troskliwi” radni oraz parlamentarzyści chcą przypodobać się wyborcom, wykazać się swoją aktywnością. Przybywając do tego kraju nawet nie podejrzewałem, że w imię „kolektywu”, to znaczy sąsiadów, mieszkańców miasta, powiatu lub stanu – często bezmyślnie ogranicza się codzienną „małą” wolność obywateli. [Oj! w UE jest chyba gorzej.] Zresztą, zaraz po przyjeździe nie interesowałem się takimi drobiazgami – byłem przekonany, że USA najlepszym krajem.

Plan pobytu w USA zakładał znalezienie pracy. Największym problemem była bardzo mizerna znajomość języka angielskiego. Ze słownikiem i w pocie czoła tłumaczyłem sobie kiedyś jakieś króciutkie teksty techniczne, jednak z konwersacją było bardzo słabo. Poszukiwanie pracy trzeba było zaczynać od polskiej gazety – Nowego Dziennika. Umówiłem się z jakimś kontraktorem [pracodawcą] w Elizabeth, nawet był dojazd pociągiem z pobliskiego New Brunswick. Pech chciał, że po długim marszu od stacji kolejowej zastałem firmę zamkniętą. Zacząłem pytać anglojęzycznych sąsiadów z warsztatu samochodowego, gdzie jest mój kontraktor. Coś mi odpowiadali, ale dobrze zrozumiałem właściwie jedno: „Feliks Sadowski”.

Byłem kompletnie zaskoczony, nikomu włącznie z kontraktorem nie przedstawiałem się, a oni wyraźnie mówili „Filiks Sadowski”. Nawet dyskretnie oglądałem kieszonkę od swojej koszuli, czy nie mam tam wystającego jakiegoś dokumentu z widocznym imieniem i nazwiskiem. Gdy następnym razem dotarłem do kontraktora okazało się, że trafiłem na człowieka o identycznym imieniu i nazwisku. Zachowałem jego wizytówkę „FELIKS SADOWSKI WINDOW SPECIALIST”. Zatrudnił mnie.



W tym czasie odnawiał jakiś sklep. Przy straszliwym upale trzeba było wwozić do środka taczki z cementem na wylewaną podłogę, każdy ruch uwieńczony był strumieniami potu. Przyjął mnie ze stawką 2,5\$ za godzinę, gotówką, bez żadnych faworów za imię i nazwisko. W dodatku, godziny pracy liczone były bez zegarka, czyli 25 dolarów za średnio 12 godzinny dzień pracy. Gdy po trzech dniach pracy trafiłem na wypłatę, po zainkasowaniu 75 dolarów, wspomniałem o nadgodzinach. Zwolnił mnie ze skutkiem natychmiastowym, przy tym dodał: *Ty chyba nie przyjechałeś do Ameryki po to, aby pracować, chcesz chyba zostać prezydentem – nie pasujesz mi do mojej brygady.*

Chłopcy ciężko tyrali, nawet odzwyczaili się od rozmów w czasie pracy. Była to moja pierwsza lekcja kapitalizmu – dopóki są chętni do pracy za 25 dolarów za nienormowany dzień pracy – nie dostaniesz więcej.

Wkrótce z ogłoszenia w Nowym Dzienniku umówiłem się na spotkanie z szefem firmy produkującej „Displeje”, tak kiedyś w „Erze” nazywali monitory komputerowe. Rysiek wiozł mnie do Jersey City, a ja widziałem już siebie zatrudnionego w jakiejś zaawansowanej technicznie firmie. „Displejami“ okazały się zgrzewane regały do wykładania towarów. Finansowo jednak awansowałem do 4,5\$ za rzeczywistą godzinę pracy. Miałem tylko jedno dodatkowe polecenie, nikomu nie wspominać, ile mi płacą. Stanowisko też było na wyższym poziomie, zamiast pchania taczek wykonywałem formy produkcyjne, w które wkładano druty i zgrzewano elementy regałów. Czułem, że zbliżam się do wykorzystania swojego doktoratu z zakresu nauk technicznych.

Zdziwiony byłem wyglądem osoby przyjmującej. Miałem rozmawiać z właścicielem, a przyjmował mnie jakiś umorusany facet. Później pokazywał mi jak wykonywać formy, pracowaliśmy razem. Byłem przekonany, że jest starym doświadczonym pracownikiem z pewnymi przywilejami. Na przerwę obiadową wchodził do biura, gdzie reszta nie miała wstępu. Jako Jugosłowianin łatwo „łapał” język polski, zostało mu także coś z czasów wojny, stykał się z Polakami. Za właściciela uważałem „wygalantowanego” faceta wychodzącego czasami z biura, aby obejrzeć pierwsze egzemplarze nowych regałów.

Widocznie nie traktowałem utyłanego współtowarzysza pracy z należytym szacunkiem, któregoś dnia spytał mnie, czy wiem, kto jest właścicielem „Royal Wire Corporation” – ponieważ tak górnolotnie nazywała się ta manufaktura. Wskazałem na lalusia w garniturze i pod krawatem. Wziął mnie za rękę a drugą ręką pokazał na siebie: *Ja jestem właścicielem*. Właściwie Peter, ponieważ tak miał na imię, był współwłaścicielem. Jego wspólnik Joe też chodził umorusany. Przeważnie siedział w oddzielnej zawalonej rupieciami klitce, rzadko bywał w biurze. A elegancik, jak wyjaśnił mi Peter, był ich pracownikiem od spraw sprzedaży.

Była to moja druga lekcja, jak wygląda kapitalizm na poziomie małej firmy. Właściciele pracowali na równi z robotnikami. Nie było nowoczesnego wyposażenia, co się tylko dało, było ciągle naprawiane i wykonywane we własnym zakresie. Dokumentacja produkcyjna nie istniała, czasami jakieś odręczne szkice. Właściwie nie była w ogóle potrzebna. Żadnej zbędnej biurokracji, tylko dochodząca sekretarka i sprzedawca. Zatrudniali najtańszych robotników z Ameryki Łacińskiej. Pracował też jeden murzynek z Afryki jako tako znający język polski. Był kiedyś na kursie przygotowawczym do studiów w Polsce – chyba w Łodzi. Gdy przy jakiejś plemiennej rzezi jego tata przestał być kacykiem, wówczas skończyło się finansowanie. Oprócz mnie był jeszcze jeden Polak, Witek, otwierał i zamykał firmę, ustawiał maszyny, nadzorował produkcję. Był brygadzystą i szefem produkcji w jednej osobie.

Po paru dniach moje formy produkcyjne były porównywalne z formami wykonywanymi przez Peter'a. Zamiast być zadowolonym starał się doszukiwać jakichś braków – taki miał charakter – musiał być najlepszy. Gdy mu powiedziałem, że czepia się bez żadnego uzasadnienia i odejść, obiecał dać spokój i dołożył 25 centów do mojej godzinnej stawki. Ciągle jednak wyłaziły z niego jakieś złośliwości, stawka też była marna. Po dwóch miesiącach znalazłem pracę na Manhattanie. Była do objęcia „posada supera” w budynku (dozorca, drobne naprawy), 6\$ na godzinę plus mieszkanie w „bajsmencie” – zapowiedziałem, że odchodzę. *To idź sobie* odpowiedział. Chodził naokoło, nic nie mówił, a ja kończyłem jakąś formę. Pod koniec dnia zaproponował: *Daję ci sześć dolarów, nie będziesz musiał dojeżdżać na Manhattan, tylko nikomu nie wspominaj ile ci płacę*. Przyjąłem propozycję, bo tak naprawdę nie chciałem być cieciem, nawet na Manhattanie.

Przez parę następnych miesięcy miałem spokój, dopiero po Nowym Roku zrobił mi awanturę, że niedokładnie wykonałem formę na jakieś półki. Zabrałem mu z ręki szkic, zażądałem mierzenia. Przykrywając palcem początek miarki udawał, że za daleko zgrzałem. Odepchnąłem jego rękę, sam przyłożyłem miarkę: *Peter you are sick (jesteś chory), płac mi resztówkę, rozchodzimy się*. Pewny siebie odpowiedział: *Idź sobie, nigdzie nie dostaniesz sześciu dolarów na godzinę*. Podczas przerwy obiadowej powiedziałem Witkowi, że odchodzę, nawet, jeżeli nie dostanę od razu sześciu dolarów na godzinę. Witek zzieleniał. Pomimo kierowania produkcją, przy dosyć dużym stażu, miał tylko pięć dolarów na godzinę. Wyrwało mu się *Zatłukę sukinsyna, od roku obiecuje mi podwyżkę* i zerwał się, aby rozprawić się z Peterem. Zatrzymałem go: *gdy dostanę ostatni czek, pokażę ci go, nie wykpi się, że fantazjuje*. Zaraz po moim odejściu Witek dostał podwyżkę.

Sześć dolarów na godzinę to też nie było wiele, ale trzeba było zgromadzić jakiś zapas gotówki poszukując jednocześnie lepiej płatnej pracy. Po raptownym odejściu od Peter'a nie miałem jednak nic na oku, a trzeba było mieć pieniądze na utrzymanie i mieszkanie. Nie było to prawdziwe mieszkanie, jednak w odróżnieniu od trzech nocy w Elizabeth, gdzie jak paru innych wynajmowałem łóżko w mieszkaniu u emerytowanej Polki, mieszkalem sam w lokalu szumnie nazywanym „studio”. Był to jeden duży pokój z kuchnią gazową, lodówką, zlewozmywakiem i przyległą mini łazienką – wszystko w tylnej części piwnicy domu stojącego na zboczu góry. Część piwnicy z moim pokojem była już całkowicie ponad powierzchnią ziemi, nie było wilgoci, miałem też wspaniały widok na dolną część Manhattanu.

Siedząc bez pracy postanowiłem, że będę szukał zajęcia z ogłoszeń w gazetach amerykańskich, aby pracować pośród ludzi nie znających języka polskiego. Poszukiwania prowadziłem w dwóch kierunkach, pracy, która w jakikolwiek sposób odpowiadałaby mojemu wykształceniu i kwalifikacjom, a jednocześnie jakiegokolwiek innej pracy, aby jak najszybciej mieć pieniądze na wyżywienie i mieszkanie. Zgodnie z tymi założeniami w gazecie „Star Ledger” przeglądałem ogłoszenia o pracy. Miałem przygotowanych parę wersji „Resume”, które wysyłałem starając się dopasować je do potrzeb ogłaszających się firm. Po lepszym poznaniu języka zorientowałem się, że czasami nie rozumiałem niektórych opisywanych w ogłoszeniach specjalności – ktoś tam mógł nieźle ubawić się czytając moje „aplikacje”. Jeżeli otrzymywałem odpowiedź na piśmie, wówczas z zyczeniami powodzenia w dalszym poszukiwaniu pracy. Niekiedy dzwoniono, znaczyło to, że firma wykazuje jakieś przynajmniej minimalne zainteresowanie moją osobą. Jednak z odpowiedziami na telefony nie było łatwo. Mój angielski, pomimo postępów, był ciągle w powijakach. Inną przeszkodą był nasz sposób bycia.

U nas nie reklamuje się własnej osoby, w USA jest to zasadniczą regułą – jestem najlepszy i basta! Po wysłaniu około setki „Resume” nie znalazłem żadnej pracy. Zapas gotówki z poprzedniej pracy niebezpiecznie zbliżał się do zera, myślałem nawet o powrocie do ogłoszeń z Nowego Dziennika i pracy u jakiegoś polskiego kontraktora, gdzie znajomość angielskiego nie jest potrzebna, a czasami podejrzana. Na szczęście po około dwóch miesiącach poszukiwań otrzymałem telefon z zaproszeniem na „interview”. Była to firma poszukująca wykonawcę modeli „Displejów”, tak jak u Peter'a, wyrobów zgrzewanych z drutu. Pasowało to jak ulał do mojej nowej specjalizacji. Okazało się, że ze wszystkich kandydatów byłem najlepszy. Zostałem przyjęty ze stawką 8,5\$ na godzinę plus ubezpieczenia i coś w rodzaju trzynastki. Obiecali też, że po pół roku dostanę podwyżkę. Wkrótce potem zadzwoniłem do Witka i poprosiłem o przekazanie pozdrowień dla Peter'a z informacją, gdzie pracuję, ile zarabiam, oraz że do produkcji „Displejów” będą potrzebowali więcej ludzi. To zapotrzebowanie na nowych pracowników było blefem, ale Peter dał mu następną podwyżkę.

NIE SAMYM CHLEBEM

Jak wspominałem wcześniej pierwszą pracą była praca w Elizabeth NJ [wiele osób błędnie rozumie skrót „NJ”, nie odnosi się on do „Nowy Jork” a do nazwy stanu „New Jersey”]. Takie prace z Nowego Dziennika zaczynało się „od jutra”, jednak nie mając samochodu miałem do wyboru: kłopotliwy dojazd od krewnych lub znalezienie jakiegoś zakwaterowania blisko pracy. W przypadku moich dwóch pierwszych miejsc pracy niezastąpioną pomoc w znalezieniu dachu nad głową otrzymałem od polskich księży – szukałem polskich kościołów.

W Jersey City, tuż przy firmie Petera, był kościółek pod wezwaniem Św. Anny. Nacisnąłem dzwonek przy wejściu do plebanii. Okazało się, że proboszczem był ksiądz Miodowski z dobrą znajomością języka polskiego. Dzwonił do najbliższych parafian wynajmujących mieszkania lub pokoje. W najbliższej okolicy nie było nic wolnego. Zadzwonił na drugi koniec miasta do Józefa Płońskiego, agenta ubezpieczeniowego prowadzącego także handel nieruchomościami i wynajem mieszkań. Miał on właśnie do wynajęcia samodzielny pokój – studio, o którym już wspominałem. Gdy Płoński dowiedział się, że przyjdę, ponieważ nie mam samochodu, chciał natychmiast przerwać rozmowę, ale ks. Miodowski zapewnił go, że nie wyglądam na włóczęgę. W ten sposób przypadkowo zamieszkałem w Jersey City i poznałem pana Płońskiego. W pewnym sensie znajomość ta wpłynęła na cały mój przyszły pobyt w USA.

Urodzony i wykształcony w USA z trudem posługiwał się językiem polskim. Być może jego język polski był trochę lepszy od mojego angielskiego? W pewnym sensie uczyliśmy się nawzajem udoskonalając te trudne dla nas języki. Był weteranem, w czasie II wojny światowej służył w amerykańskiej armii. Oprócz prowadzenia agencji był jednym z wiceprzewodniczących Kongresu Polonii Amerykańskiej (KPA) na stan New Jersey, udzielał się też w paru innych polonijnych i amerykańskich organizacjach.

Pewnego razu przedstawił mnie jakiemuś Polonusowi odnawiającemu ubezpieczenie i powiedział: *On dopiero przyjechał z Polski*. Starszy człowiek z niedowierzaniem spojrział na mnie: *Jak to tak, mówią, że w Polsce nie ma co jeść, a on, (to znaczy ja) ma za dużo sadła*. Rzeczywiście, po weekendowych obżarstwach u moich krewnych i u ich przyjaciół byłem ładnie zaokrąglony, także z Polski nie wyjeżdżałem wychudzony.

Wkrótce potem Płoński zaproponował, że zabierze mnie na zebranie zarządu KPA do Perth Amboy, a był to okres, kiedy władze PRL usilnie kombinowały jak zlikwidować dopiero co powstałą Solidarność. Byłem znowu przedstawiony jako osoba, która dopiero przyjechała z Polski. Odczytano protokół z poprzedniego zebrania, przyjęto program obrad – ale nie było tam nic o wydarzeniach w Polsce. Chyba najwięcej czasu zajęła dyskusja o organizowaniu odpłatnych zabaw w celu zbierania funduszy, między innymi na styczeń planowali jakąś „karciankę”.

Dopiero po formalnym zakończeniu zebrania ktoś rozpoczął rozmowę o sytuacji w Polsce. Przeważały opinie, że władze PRL będą dążyły do krwawej rozprawy z Solidarnością, a może nawet wejdą Sowieci. Słuchając dyskusji zgadzałem się z nimi w jednym – w przypadku interwencji sowieckiej nie odbędzie się bez walk. A ich zabawy, spotkania towarzyskie, itp., nie interesowały mnie, była między nami różnica jednego pokolenia. Temperatura tej rozmowy rosła, co bardziej zapalczywi deklarowali złapanie karabel i ruszenie na odsiecz. W końcu, któryś z uczestników tych pogaduszek z całą powagą doniósł, że ma pewne wiadomości o istnieniu w Polsce zakonspirowanych oddziałów gotowych do natychmiastowego zmobilizowania i walki z komunistami. Nie wierzyłem własnym uszom.

Wreszcie przewodniczący KPA Rainhold Smyczek spytał, co ja sądzę o sytuacji w Polsce. Byłem już solidnie zbulwersowany samym zebraniem – bez najmniejszej wzmianki o wydarzeniach w Polsce – dobiła mnie wiadomość o jakiejś wręcz „podziemnej” armii: *Jak panowie możecie przez całe zebranie pieprzyć o karciankach, gdy w Polsce dzieją się tak ważne rzeczy*. Wyjaśniłem, że nie ma żadnej „podziemnej” lub „cywilnej” armii, że owszem, są oddziały Obrony Terytorialnej Kraju możliwe do szybkiego

zmobilizowania, jednak pod całkowitą kontrolą rządu. Dodałem, że opinie o oddziałach gotowych do walki z komunistami są właśnie na rękę sowieckich namiestników, aby uzasadnić ewentualną krwawą rozprawę z Solidarnością, że nie należy połykać haczyka zarzuconego przez PRL - owską dezinformację.

Może to słowo „pieprzycie” uraziło obecnych? Większość z nich była ludźmi, którzy w młodości z poświęceniem walczyli na frontach II wojny światowej. Niektórzy przeszli przez piekło sowieckich i niemieckich obozów a po wojnie zostali zdradzonymi tułaczami bez ojczyzny. Przeszli trudny okres adaptacji do nowego kraju, w którym ciągle byli jakoś wyobcowani. Żyli we własnym kręgu, utrzymywali tradycje i znajomości, udzielali się w KPA i w różnych innych polonijnych organizacjach. Niewątpliwie moja wypowiedź nie przypadła obecnym do gustu. Po moim wystąpieniu przewodniczący przeszedł na język angielski i powiedział: *Nie wiadomo, kto to jest, musimy uważać na niego, chodźło oczywiście o mnie.*

Oprócz spraw towarzyskich, zbaw i akademii rocznicowych, organizacje te prowadziły działalność charytatywną, trzymano się jednak z daleka od jakiegokolwiek działalności politycznej. Brakowało też w tych polonijnych organizacjach ludzi młodych, powiedzmy w wieku poniżej pięćdziesięciu lat. Ja, w wieku około czterdziestu lat, byłem najmłodszym uczestnikiem tych zebrań. Miałem chęć włączenia się do działalności polonijnych organizacji, ciągle jednak wisiało nade mną sakramentalne „Musimy na niego uważać”. Formalnie, za namową Płońskiego, wstąpiłem nawet do KPA i opłaciłem roczną składkę. Po upływie roku lokalna grupa KPA odmówiła przyjęcia następnej składki, poradzono mi wysłać czek do centrali w Chicago, nie zrealizowano go nigdy?

Niekiedy starsi panowie z naszych polonijnych organizacji z pretensją w głosie stwierdzali: *Wy młodzi przyjeżdżacie do Ameryki, stronicie od naszych organizacji, tylko dolary was interesują.* Jawnym wyrodkiem byłem ja, starający się nie stronić, ale za to byłem bardzo podejrzany. Przy jakiejś okazji świdrujący mnie oczami polonus powiedział: *Reżym nasyla nam tutaj różnych agentów, mój znajomy widział nawet w ubecji akta jednego takiego, ze zdjęciem.* Nie pozostało mi nic innego jak poradzić mu, aby w sprawie tego znajomego mającego dostęp do akt SB skontaktował się z FBI.

Najgłębszego wtajemniczenia doznałem, gdy zaproponowano mi, abym w ramach akcji pomocy dla potrzebujących w Polsce czytał nadsyłane błagalne listy. Oczywiście, mogłem łatwiej niż oni rozszyfrować różne bazgroły pisane na kartkach wyrwanych z zeszytów szkolnych. Po przeczytaniu około dwudziestu listów doszedłem do wniosku, że autorami ich jest zaledwie parę spokrewnionych osób. Udało się mi nawet dobrać strony kartek z zeszytów z idealnie pasującymi liniami odrywania. W treści tych niezbyt wyszukanych listów wymieniane były wszelkie nieszczęścia, jakie mogą spaść na ludzi. Tragiczne wypadki, pomór kurek i świnek, urwane nogi i ręce, najgorsze choroby, bose, gołe i głodujące dzieci.

Były to listy z jednego rejonu, wysyłane z jednej poczty, niektóre nawet na to samo nazwisko, tylko imiona i opisy nieszczęść były trochę zmieniane. Charakterystycznym było twierdzenie, że do najbliższego kościoła jest piętnaście lub dwadzieścia kilometrów, w związku z tym żadnej pomocy od kościoła nie mogą otrzymać. Znałem ten rejon, a nawet, gdybym go nie znał, nie ma w Polsce miejscowości, która leży dalej niż pięć kilometrów od kościoła. Na te wszystkie szczegóły zwróciłem uwagę szacownej komisji rozdzielającej zebrane dary i pokrywającej kosztą wysyłki.

W tej komisji był niewątpliwie ktoś, kto w taki przemyślny i tani sposób obdarowywał swoich krewnych. Zaproponowałem, aby jednak zrezygnować z wysyłania darów do indywidualnych osób, aby wysłać dary do kościołów mających dobre rozeznanie w potrzebach parafian. Jaka była ostateczna decyzja organizacji „Pomoc” z Jersey City, nie wiem? Na pewno jednak obdarowująca krewniaków osoba do łatki SB dołożyła łatkę agenta sowieckiego, bo tylko sowiecki agent mógł mieć dobre rozeznanie w geografii kościołów w Polsce. W dodatku nie robiłem tajemnicy z faktu ukończenia studiów w ZSRR i dobrej znajomości języka rosyjskiego.

Po tym wydarzeniu jeszcze raz zaproponowano mi pracę społeczną. Z dużą dozą złośliwości zasugerowano, abym kwestował na rogatek Jersey City na pomoc dla weteranów: *No, bo taki aktywny i młody z Polski powinien odwdziżyć się weteranom.* Przy tej okazji odpowiedziałem na ich ciągle pretensje, że młodzi z Polski nie garną się do nich. Powiedziałem to, co od dawna miałem na końcu języka: *A gdzie są wasze dzieci, teraz w moim wieku, czy wy wszyscy jesteście bezdzietni. Odczepcie się od „młodych” z Polski, jeżeli któryś chce zbliżyć się do was, natychmiast opluwacie go, że jest agentem bezpieczeństwa.*

Ta psychoza agentów była bardzo powszechna, wręcz przytłaczająca. Po jakimś czasie uzmysłowiłem sobie, że na nic przydadzą się moje zdolności organizacyjne, chęci i zapał, że muszę przyjąć rzeczywistość środowisk polonijnych taką, jaka ona jest, że będę robił to, co potrafię zrobić sam, lub z kimś, kto pomimo psychozy doceni użyteczność moich pomysłów i zaangażowania.

Obserwacje powyższe traktowane powierzchownie mogą być przyjęte jako krytyka naszych Polonusów. Nie jest to moim zamiarem. Ich pokolenie poniosło duże ofiary w imię Polski. Moje pokolenie nigdy nie znalazło się w sytuacjach tak trudnych i tragicznych wyborów. Wydawało się im, że przegrali wygraną wojnę. Dopiero teraz widzą, że z dużym opóźnieniem jednak wygrali tę wojnę. Ta historyczna tragedia ich emigranckiego pokolenia nie mogła pozostać bez śladu. Jednak nie zamknęli się w sobie, tworzyli polskie organizacje, kultywowali tradycje i język, prowadzili polskie szkoły. W międzyczasie w pewnym sensie utracili swoje dzieci. W większości przypadków wykształcone wyniosły się do „parterowej Ameryki”, nie interesowały się patriotycznymi tradycjami rodziców. Oby ich poświęcenie i miłość do Polski przywróciły ich dzieci dla nich i dla nas wszystkich.

Duży wpływ na „utrata” młodzieży naszej Polonii miała i ma nieprzychylna Polakom atmosfera tworzona przez amerykańskie publikatory. Spotykałem Polaków, którzy pozmieniali nazwiska „aby były łatwiejsze dla Amerykanów”. Pomimo, że być Polakiem w Ameryce jest trudniej niż być przedstawicielem jakiegokolwiek innego narodu, trzeba i warto być Polakiem. Ponieważ bycie Polakiem to włączenie się w sferę naszego „narodowego ducha”, który jest unikalny pośród nacji, z wszystkimi jego zaletami i wadami.

W sensie materialnym z samego bycia Polakiem w USA raczej nic nie wynika. Znałem wielu nowo przybyłych Polaków z dobrym wykształceniem i przygotowaniem zawodowym. Pomimo spotkania się z Amerykanami polskiego pochodzenia, między innymi w ramach organizacji [Polonia Technica](#) sporadyczne były przypadki zarekomendowania lub przyjęcia kogoś takiego do pracy na odpowiedzialne stanowisko. Po prostu nie tworzymy klik etnicznych, nie mamy takich charakterów. Taki brak wzajemnego wspierania się może być przykry, ale jest w tym także coś dobrego.

Zaobserwowałem też inne ciekawe zjawisko dotyczące głównie pokolenia potomków naszych powojennych i wcześniejszych emigrantów. Osoby posiadające tylko słabą świadomość swoich polskich korzeni zaczynały interesować się polskim językiem, historią, kulturą i obyczajami. Osoby takie, wyrosłe już w amerykańskim duchu „etnicznej klikowości”, miały skłonność do pomagania rodakom tylko i wyłącznie ze względu na ich polskie pochodzenie. Ale nawet bez klik etnicznych Amerykanie polskiego pochodzenia dobrze sobie radzą, praktycznie we wszystkich statystykach lokują się powyżej średniej

Ponadto, nasz „duch narodowy” zamieszkuje czasami w ludziach nie mających nawet kropli polskiej krwi, są między nimi Rosjanie, Żydzi, Niemcy, a także inni. Wiele takich osób spotkałem w swoim życiu, zawsze były to bardzo miłe spotkania zmuszające do zastanowienia, jakimi ścieżkami ta nasza polska dusza do nich trafiła.

PŁOŃSKI

W odróżnieniu od większości członków naszych polonijnych organizacji, głównie byłych żołnierzy polskiej armii na zachodzie, Płoński był Amerykaninem od urodzenia. [Pan Józef Płoński zmarł na początku stycznia 1999 roku. Dowiedziałem się o tym pod koniec stycznia próbując przekazać do przeczytania fragmenty „Okruców” dotyczące jego osoby. Cześć jego pamięci.] W czasie II wojny światowej służył w armii amerykańskiej. Po wojnie studiował na Rutgers University gdzie skończył Business Administration. Jego przodkowie pochodzili gdzieś z okolic Kolna, znalazł tam nawet swoich krewnych i utrzymywał z nimi kontakty.



Pewnego razu (1983 rok) zobaczyłem w jego biurze duże worki, zdziwiony spytałem, co to jest. Były to przesyłki dla jego krewnych. Wyjaśnił, że nieważne jest to, co jest w środku, a opakowanie – dobrej jakości materiał dzinsowy. Za używane ubrania w środku krewni nie płacili cła, nie płacili też za opakowanie. Gdyby nowy materiał dzinsowy znajdował się w środku paczek, musieliby zapłacić cło. Wspominam o tym, ponieważ zakrawa to na PRL-owską anegdotkę o eksporcie soli „za grosze” w drogich dębowych beczkach. Podobno kontrahent żądający takiego opakowania wysypywał sól do oceanu i odsprzedawał beczki zarabiając krocie. Być może te dębowe beczki nie były anegdotką? Tak jak Płońskiego worki z dzinsowego materiału.

Płoński był właścicielem dobrze prosperującej agencji handlu nieruchomościami i ubezpieczeń (Real Estate and Insurance). Dla ducha i z wewnętrznej potrzeby większość swego czasu poświęcał polityce na różnych szczeblach, od lokalnych spraw miasta, do spraw stanowych i krajowych, nie stronił też od tematów międzynarodowych. Pomimo, że czuł się Amerykaninem, był szczególnie uczulony na sprawy Polski i Polaków. Pewnego razu powiedział mi: *Bydąc w armii amerykańskiej widziałem jak walczyli i ginęli Polacy z polskiej armii. Kiedyś nie byłem związany z żadnymi polskimi organizacjami, ale nie mogę patrzeć, jak zamiast szacunku i wdzięczności poniża się i szkaluje Polaków*, był to jeden z motywów jego zaangażowania. Ubolewał, że Polacy są mało aktywni politycznie, tak, jakby bali się tknąć polityki, że na co dzień działalność polskich organizacji ograniczona jest do mało ważnych spraw. Była to prawda, widziałem to sam.

Oprócz KPA (powtarzam „Kongres Polonii Amerykańskiej”) należał do związku weteranów armii amerykańskiej, był członkiem partii republikańskiej i paru innych organizacji. Ile razy byłem u niego w biurze, zawsze przygotowywał jakieś pisma związane z aktualnymi wydarzeniami, głównie politycznymi. Często dawał mi je do przeczytania i pytał o moje zdanie. Biznes prowadzili jego pracownicy. To on dał mi do przeczytania książeczkę [Arthura Lane](#) „Widziałem Polskę zdradzoną” (pierwszego po wojnie amerykańskiego ambasadora w Warszawie, 1945-47). Z jego podręcznej biblioteczki przeczytałem też „Państwo podziemne” Stefana Korbońskiego a także książkę o szpiegach sowieckich pod tytułem „KGB” i parę innych książek – wszystkie pozycje w języku angielskim (uczyłem się czytając). Miał też dużo broszur, wycinków prasowych i innych ulotnych pism – 99% w języku angielskim.

Nie zrobił oficjalnej kariery politycznej pomimo, że był prawdziwym politykiem. Aby zrobić oficjalną karierę polityczną musiałby zaprzedać się szarym eminencjom amerykańskiej sceny politycznej. Oszustwa, rozbrat z ideałami, kompromis z kłamstwem, są tą mazią smarującą drogę do tego typu kariery politycznej, nie tylko w Ameryce. Pomimo tego, że nie zrobił godnej jego talentom kariery politycznej, i dzięki temu, że nie szedł na kompromisy, zrobił dużo dobrego. Wszędzie i zawsze potrzebni są tacy ludzie jak on, nekający skorumpowanych polityków, poruszający wstydliwie lub poprzez polityczną poprawność ukrywane tematy. Miał wyobraźnię i wizję szkodliwości zaniechania mówienia prawdy. Do tego jest potrzebny prawdziwie polski charakter i sarmacka odwaga.

Nie wspominam o tym po to, aby poprzez kontrast źle przedstawić innych Polonusów. Po prostu osobiście nie poznałem w USA innych działaczy polonijnych o podobnym charakterze i temperamencie politycznym. Byli tacy, ale nie w „moich okolicach”. Jeżeli byli blisko, ich zauroczenie „agentami” było tak silne, że trzymali mnie z daleka od siebie.

Wyjeżdżając w 1980 r. z Polski nie mogłem sobie wyobrazić, aby ktokolwiek mógł mnie nazwać agentem. Ale z ich punktu widzenia (naszych Polonusów), mogłem być jak najbardziej podejrzanym facetem. Jak wspominałem: młody (według ich wieku), garnący się do organizacji polonijnych, po studiach w ZSRR, i co najgorsze – zamiast zaraz po przyjeździe zająć się dolarami lub własną karierą – wykazujący inicjatywę w sprawach politycznych i społecznych. Albo wariat albo agent?

Coś tam może dołożył konsul? Gdy kończyła się ważność mojego paszportu wysłałem go do przedłużenia. W uzasadnieniu napisałem, że staram się o przedłużenie mając zamiar uzyskania stałego pobytu w USA. Dodałem, że w PRL ze względu na wyrzucenie mnie z PZPR nie mam żadnych szans. Zamiast tego mogłem powypisywać różne brednie, nie chciałem jednak ubliżyć inteligencji pracowników konsulatu. Nawet, jeżeli byli zagorzałymi komunistami, w co wątpię, nie byli przygłupami. Przedłużono mi paszport bez żadnych problemów nie omieszkując niewątpliwie wspominać o mojej osobie działaczom polonijnym.

Będąc w sercu nastawieni antykomunistycznie działacze polonijni garnęli się czasami do przedstawicieli PRL-owskiej władzy. Potrzebowali nobilitowania siebie jako ludzi, którym jakakolwiek władza poświęca trochę swojego czasu. Ameryka ich przyjęła, ale nie nobilitowała swoją uwagą. Takie kontakty z przedstawicielami konsulatu nie były zdradą, sprzeniewierzeniem się ideałom, była to normalna ludzka potrzeba nobilitacji, nawet fałszywej, przez przedstawicieli jakiegokolwiek władzy. Rainhold Smyczek, długoletni prezes KPA na stan New Jersey, wysłał swojego syna na studia medyczne do PRL. Ileż było komentarzy w polonijnych barach na ten temat? Jasne, że tak zwana „ubecja” nie kupiła go za te studia, ponieważ był to bardzo porządny człowiek. Jednak plotki podważały zaufanie do niego i do KPA. Właśnie, jeżeli jacyś agenci działali w polonijnym środowisku, działali poprzez rozsiewanie plotek i skłócanie rodaków. Ze mną było łatwo, wysłali go z PRL, aby „wyszpiegował”, kiedy będą „karcianki”, bo tak naprawdę, nie było nic innego do „szpiegowania”.

Płoński też nie musiał obdarzać mnie zaufaniem, ale był inny, analizował moje pomysły i sugestie z punktu widzenia ich przydatności, co jest jego zdaniem dobre i ma sens. Zaskarbił tym u mnie głębokie poważanie i uznanie. Zaraz po poznaniu zasugerowałem mu dwa kierunki działania, pozyskanie poparcia dla Solidarności u emigrantów z krajów pod kontrolą sowiecką i przedstawianie jak najgorszych dla Sowieców perspektyw ich ewentualnej interwencji w Polsce. Przypuszczalnie wiele innych osób miało podobne koncepcje, jednak pan Józef Płoński był niezawodny. W chwili, gdy sam miał jakiś pomysł, a miał ich dużo, lub uznał czyjś pomysł za słuszny – natychmiast przystępował do działania.

Niewątpliwie Sowieci bali się jak ognia „solidarnościowej zarazy”. Jakiegokolwiek wspólne działania z przedstawicielami narodów otaczających Polskę, lub nawet zamierzenia wspólnych działań, miały szansę być nagłośnione przez zachodnie rozgłoszenie dając różnorodne efekty – w większości pozytywne. Można było spodziewać się, że tego typu informacje dotrą do naszych sąsiadów przybliżając im wydarzenia w Polsce, co w przypadku interwencji sowieckiej mogłoby nam pomóc lub nawet utrudnić podjęcie decyzji o interwencji. Mogła też zaistnieć odwrotna sytuacja, przyspieszone rozprzestrzenianie się idei Solidarności mogło zdopingować Sowieców do jak najszybszej interwencji – każdy kij ma dwa końce. Tym niemniej pomysł był wart zachodu, Płoński kilkakrotnie organizował zebrania przedstawicieli grup etnicznych narodów ujarzmionych przez ZSRR. Uczestniczyłem w tych zebraniach i z przyjemnością odnotowywałem wielkie zainteresowanie wydarzeniami w Polsce oraz poparcie zgłaszane przez wszystkich obecnych.

Drugi kierunek działania, czyli zniechęcania Sowietów do interwencji w Polsce, był bodajże najważniejszy. Z czasem dowiedzieliśmy się o działaniach na wysokim szczeblu – niesłuchanie ważną rolę odegrał profesor Brzeziński – w tym czasie doradca prezydenta Cartera do spraw bezpieczeństwa narodowego. Ale, pomimo ówczesnych znanych i nieznanymi działań każda inicjatywa była istotna – w tych sprawach Płoński nie żałował swego czasu i energii.

Szczęśliwie dla nas Sowietci zaangażowali się w niespodziewanie trudną interwencję w Afganistanie. Zaspokajając swój wilczy apetyt ekspansji komunizmu zadławił się małym Afganistanem. Wojna ta mogłaby trwać bardzo długo. Zgodnie z rosyjskim porzekadłem, „a ludzi u nas mnogo” wysyłaliby swoich żołdaków na śmierć podtrzymując zapadającą się gospodarkę daninami z demoludów. W tym trudnym dla nich czasie powstał w Polsce masowy ruch Solidarności mogący podważyć gospodarczą eksploatację Polski. Nie było to tylko zagrożenie gospodarcze, pod przykrywką ruchu związkowego Solidarność miała jak najbardziej polityczny charakter. Czy ktoś to już powiedział, czy nie, można w skrócie podsumować: *„Komuna rządziła okłamując, że wybraliśmy ją dobrowolnie – Solidarność twierdziła, że jest związkiem zawodowym, będąc w pierwszym rządzie ruchem politycznym”*.

W wielu przypadkach reakcje publikatorów amerykańskich na powstanie Solidarności były co najmniej dziwne. Odnosiło się wrażenie, że zbrojna interwencja sowiecka według scenariusza węgierskiego lub czechosłowackiego jest nieunikniona. Wypowiadający się często w tym czasie telewizyjni „sowieciolodzy” oswajali publiczność z ewentualną interwencją, jako z czymś naturalnym i moralnie obojętnym. Wręcz zapewniali Sowietów, że tak jak w przypadku Węgier i Czechosłowacji zachód będzie trzymał się dyskretnie na uboczu. Tego typu nastawienie publikatorów amerykańskich było przyzwoleniem i zaproszeniem do interwencji udzielonym przez elity kontrolujące amerykańskie środki masowego przekazu. Przy takim nastawieniu publikatorów trzeba było przedstawić „co będzie gdyby?” – Gdyby nastąpiła interwencja – temat ten był dyskretnie pomijany przez sowieciologów i innych komentatorów.

Zniechęcając do interwencji można było przewidzieć różne scenariusze: realne, prawdopodobne, lub zgoła fantastyczne. Prawdopodobnym scenariuszem był samorzutny i masowy opór społeczeństwa przyjmujący nawet charakter walki zbrojnej. Realne byłyby sankcje gospodarcze wymierzone w interwentów. Nierealnym byłoby oczekiwanie zerwania stosunków dyplomatycznych z interwentami. Scenariuszem poza granicą fantazji byłaby „Kuba za Polskę”, czyli amerykańska inwazja na Kubę jako odpowiedź na interwencję zbrojną w Polsce. Hasło „Kuba za Polskę” Płoński ocenił jako absolutną fantazję, stwierdził, że brak mi rozeznania amerykańskiej rzeczywistości politycznej – i miał rację. Tym niemniej udało mi się namówić go do opublikowania zdecydowanego żądania zajęcia Kuby w przypadku interwencji sowieckiej w Polsce. Na najbliższą demonstrację Płoński przygotował odpowiednią notatkę dla prasy.

Pomimo kierowania notatki do publikatorów (Press Release), prawdziwym adresatem były inne organa, w dodatku nie amerykańskie. Niewątpliwie, notatka ta i inne podobnej treści trafiały do odpowiednich urzędów, zarówno w Polsce jak i w ZSRR. Ku mojemu zadowoleniu potwierdził to sam „towarzysz” Fidel Castro. Okazało się, że hasło „Kuba za Polskę” dotarło do Hawany, być może bezpośrednio od któregoś z popleczników Castro w Nowym Jorku, może przez Moskwę, a może komuś w polskich „organach” spodobało się to hasło i przemyślnie rozesał je do zainteresowanych „bratnich” służb.

Niezależnie od „listonosza”, Castro dał publiczny odpór „knowaniom CIA łączącym sytuację w Polsce z Kubą”. Jednym z forum na którym Castro wypowiedział się na ten temat był zjazd KPZR w Moskwie. Czyli to, co było absolutnie nierealne dla obeznanych w polityce USA tubylców, w jakiś sposób zaistniało w umysłach „towarzyszy” radzieckich i kubańskich. Osobiście podejrzewam, że to jednak w Polsce, któryś z naszych analityków wywiadu, specjalnie podretuszował i ubarwił tę koncepcję przed przekazaniem jej dalej. Jeżeli tak było, wówczas należałoby takiego faceta „zlustrować”, wręczyć jakiś medalik i upominek w postaci pudełka kubańskich cygar, lub przynajmniej nadać tytuł honorowego harcerza RP.

Na Kremlu mogli mieć wątpliwości, ale wkrótce prezydentem USA został Ronald Reagan, człowiek czynu i antykomunista prawie od urodzenia. Zresztą, parę lat później pokazał co potrafi, zabrał Sowiecom [Grenadę](#). Był to pierwszy mały wyłom w defensywnej polityce zachodu tracącej świat kawałek po kawałku. A Grenada w tym czasie była już taką małą komunistyczną Kubą, z kubańskimi uzbrojonymi po zęby „robotnikami budowlanymi” budującymi dla ZSRR strategiczne lotnisko.

W walce z duchem Solidarności Sowieci nie zasypali gruszek w popiele. W tym czasie nasiliły się w USA akcje przeciwko tak zwanym „faszystom” skierowane w swej istocie przeciwko narodom znajdującym się pod sowieckim butem. Biuro do Spraw Specjalnych Śledztw (OSI) dorwało Franka Walusia⁴ z Chicago (urodzony w 1926 roku) oskarżając go wręcz, że będąc podrostkiem mordował żydowskie dzieci. Broniąc się stracił w sądach cały dorobek swojego życia. Niestety, oprócz strategicznego interesu sowieckiego, Żydzi też mieli swój interes w takim polowaniu „na faszystów”. Z czasem okazało się, że całe to polowania na faszystów i histeria holokaustu, to jeden wielki biznes oparty na szantażu moralnym. Stało się też oczywistym, że jednostronna akcja ścigania domniemanych lub rzeczywistych przestępców z czasów wojny, to nic innego jak zniesławianie całych narodów i pośrednie uzasadnianie sowieckiej dominacji.

Po Walusiu jednym z wielu następnych był Demianiuk, naturalizowany obywatel USA, Ukrainiec z pochodzenia. [W tej sprawie opracowałem tekst: „KGB is Revealing itself”, marzec 1986, sygnowany: S.F.S. Warsaw – Poland. Płoński „podszyłfował” mój angielski oraz udostępnił kopiarke. Rozesłałem około 100 kopii do ośrodków etnicznych i niektórych gazet amerykańskich.] W sprawie Demianiuka ZSRR skwapliwie podesłało sfałszowaną legitymację sugerującą, że był on sadystycznym mordercą Żydów w „polskim obozie koncentracyjnym”. Zauważmy perfidne i ziejące nienawiścią określenie „polski obóz koncentracyjny”, a nie „niemiecki” lub „żydowski”, chociaż to ostatnie określenie, „żydowski obóz koncentracyjny”, byłoby znacznie lepsze niż „polski obóz koncentracyjny”. Z Izraela przywożono świadków bezkarnie łgających pod przysięgą (podobnie jak w przypadku Jedwabnego). Dwoje Polaków mających poświadczyć, że Demianiuk nie jest „Strasznym Iwanem”, jak go oskarżano, wezwano do ambasady amerykańskiej w Warszawie i bez żadnych wyjaśnień anulowano wcześniej wydane wize. Ta żydowsko sowiecka „sprawiedliwość” w amerykańskim wykonaniu wywoływała mdłości i potrzebę reakcji.

Aby zrobić rozeznanie w dalszych planach OSI Płoński zażądał dostarczenia listy z nazwiskami osób, przeciwko którym rozpoczęto lub planowano rozpoczęcie dochodzenia. Po otrzymaniu tej listy zwołał zebranie konfederacji grup etnicznych (National Confederation of American Ethnic Groups). Po analizie okazało się, że wszyscy tak zwani faszyci, to ludzie z Europy Centralnej, nie było żadnego esesmana lub innego hitlerowskiego zbrodniarza. Największa ilość tych „faszystów” pochodziła z krajów zagrabionych przez ZSRR na podstawie paktu [Ribbentrop-Mołotow](#). Na drugim miejscu byli dawni obywatele państw włączonych po wojnie do sowieckiej sfery wpływów.

Taki zestaw nazwisk i pochodzenia wskazywał na sowiecką rączkę usłudze typującą „faszystów” – z krajów, w których nigdy nie było faszyzmu. Resztę, czyli oczernianie narodów przeciwnych sowieckiej dominacji, wykonywali żydowscy siewcy nienawiści działający w USA i na całym świecie. Może były na tej liście jakieś osoby [DOBROWOLNIE](#) współpracujące z hitlerowcami (podkreślam – dobrowolnie), ale po szwindlu z Walusiem i Demianiukiem zarówno OSI jak i wszelkie tego typu listy powinny być raz na zawsze skompromitowane. Kompromitacją jest też fakt, że sowieckich ludobójców nie tylko nie ściga się w USA, a zapewnia się im dostatnie dożywanie ich zbrodniczych dni.

Na tej fali oczerniania narodów uwięzionych w imperium zła były grzywy z szampańskiej piany – czyli upiększanie „sowieckości”. Zapamiętałem film pod tytułem „Idą Ruskie” – w języku angielskim „[The Russians Are Coming](#)”. Otóż, sowiecka łódź podwodna poprzez niewinną pomyłkę nawigacyjną osiadła na mieliźnie przy jakiejś wyspie wewnątrz amerykańskich wód terytorialnych. Zdesperowani marynarze,

4 Patrz: [Human Rights Committee at the Polish-American Council of Florida](#).

pełni obaw przed okrutnym i niewątpliwie zbrodniczym rządem amerykańskim rozbiegli się chyłkiem po wybrzeżu, aby znaleźć cokolwiek do ściągnięcia łodzi z mielizny i oddalić się w kierunku pokój miłującego Kraju Rad.

Aby fabuła była wartka i z dreszczykiem wpadają oni w różne tarapaty, wykazując przy tym tężyznę, roztropność i galanterię godną synów sowieckiej proletariackiej ojczyzny. Przy okazji robią wiele dobrego, ratując między innymi jakieś dziecko od niechybnej śmierci. Pomimo, że trafili do jaskini imperialistycznych zmij, nawiązują serdeczne kontakty z prostym ludem amerykańskim. Nawet godna Romea i Julii nić miłosna nawiązuje się pomiędzy parą młodych ludzi rozdzielonych przez amerykańskich podżegaczy wojennych. W zakończeniu zbratani z „moriakami” mieszkańcy tej rybackiej wysepki ściągnęli łódź podwodną z mielizny. Na wszelki wypadek otaczają ją swoimi łódkami i eskortują ją poza granice amerykańskich wód terytorialnych. Przewrotność ta okazała się zbawczą dla nowo poznanych radzieckich braci. Ci prości Amerykanie swoimi ciałami osłonili sowieckiego U-boot'a przed krążącymi jak sępy samolotami haniebnego rządu amerykańskiego.

Oczywiście, film ten to kompletna bzdura, oprócz prosowieckiej misji propagandowej nie reprezentował sobą nic więcej – było wiele takich filmów, i nie tylko filmów. Takie oczernianie oponentów ZSRR i idealizowanie Kraju Rad było na porządku dziennym. W wielu takich przypadkach niezawodny Płóski interweniował – czasami z mojej inicjatywy, kierując pisma do producentów, sponsorów lub autorów.

Znamienny był film „Dzień później” ([The Day After](#)) rysujący apokalipsę atomowej zagłady USA. Zrównywał on w intencjach i działaniu obydwie strony wymaginowanego konfliktu atomowego. W tym przypadku siewcy defetyzmu i zwolennicy znanego sloganu „BETTER RED THAN DEAD” [lepiej poddać się czerwonym niż zginąć] spotkali się z dosyć szerokimi protestami. Oprócz nieaktualnej już wymowy propagandowej był to bardzo realistyczny film, dla Polaków mógłby być ilustracją tego, co chciał oszczędzić Polsce Ryszard Kukliński decydując się na współpracę z wywiadem amerykańskim. Prawdę mówiąc byłoby gorzej, Polska byłaby jedną wielką napromieniowaną dziurą, gdy w przestrzeniach Ameryki i Rosji przetrwałoby jakieś życie.

W odpowiedzi na protesty, w ramach zadośćuczynienia za „Dzień później”, WABC TV wyprodukowało film pod tytułem „[Ameryka](#)” (1987, pisane z rosyjska z „k” zamiast „c”). Był to film o wymaginowanej okupacji USA przez ZSRR, a właściwie przez wojska ONZ pod rozkazami ZSRR. Była to bardzo realistyczna i wstrząsająca wizja tego, co w takiej sytuacji mogło zaistnieć. Oba powyższe wspomniane filmy były bardzo interesujące, jeżeli ich jeszcze nie pokazywano, polecałbym je polskiej publiczności. O realizmie wizji filmu „Ameryka” może świadczyć fakt, że Kris Kristofferson grający rolę głównego bohatera podczas pobytu w Moskwie na jakimś festiwalu gorąco przeproszał „naród radziecki” za swój udział w tym filmie. Idiotyczne były te jego przeprosiny – za jedną z lepszych ról życiowych – w jednym z najlepszych filmów pokazujących wizję „radzieckiej” Ameryki. Po rozpadzie ZSRR film ten byłby dobrym ostrzeżeniem przed „globalnym” rządem ONZ.

Na szczęście dla Ameryki i dla całego świata w ciągu krótkiej historii ZSRR Polska po raz drugi kopnęła komunistycznego molocha w jaja. Nie jest to tylko nasza zasługa, chociaż, gdybyśmy nie zatrzymali sowieckiego potwora w 1920 roku, wówczas bez filmu można by było oglądać „radziecką” Amerykę...

Na zachodzie przez gardło nie może przejść stwierdzenie, że w całej swojej historii ZSRR przegrało tylko jedną wojnę – właśnie z Polakami. Encyklopedie amerykańskie twierdzą, że to jakieś francusko polskie wojska pokonały bolszewików pod Warszawą. W „encyklopedycznym domyśle” udział Polaków polegał chyba na czyszczeniu butów francuskim oficerom? [Między innymi tania, ale popularna „Funk & Wagnalls New Encyclopedia”.]

Dobrego kopa przyłożyli Sowieci afgańscy Mudżahedini. Reagan też pomógł, jednak bzdurą jest samozadowolenie zachodniego świata, że to oni wygrali zimną wojnę. Oni przetrwali tę wojnę tucząc miszkę potworka handelkiem i różnymi koncesjami. Zastanawiając się głębiej dochodzę do wniosku, że decydującą rolę w tej wojnie odegrali zwykli ludzie, a najbardziej ci zamknięci w samym jądrze „imperium zła”. Ich rola nie była spektakularna, żadnego filmu nie da się na ten temat nakręcić ani zindywidualizować bohaterów. Bohaterami tymi byli wynędzniali zastraszeni ludzie, a bohaterstwo ich polegało na permanentnym chrzaniu roboty, w dodatku w pijanym widzie. Czy ci bezimienni i nieświadomi „bohaterowie” wiedzą, jak walnie przyczynili się do upadku ZSRR?

Po przyjeździe do USA chciałem nawet spopularyzować koncepcję „Eknoterapii” [od słowa Ekonomia], jako odpowiednika „Chemioterapii”. Według tej koncepcji walka z komunizmem polegałaby na świadomym rozkładaniu ekonomii, aż do granicy nędzy. Ludzie przeżyliby, ale ekspansja systemu zostałaby zahamowana – a brak ekspansji oznaczał śmierć komunizmu. Nie było to jednak potrzebne. Od krańca do krańca światowego łańcucha komunistycznego proletariusze wszystkich krajów coraz skuteczniej „chrzani” robotę. Pomimo policyjnego nadzoru komisarzy gospodarka zapadała się w nicość. Właśnie, zapadanie się gospodarki przy naszych i innych kopniakach doprowadziło ZSRR do upadku.

Wracając do propagandowych filmów kształtujących świadomość Amerykanów chciałbym wspomnieć o kilku „dziełach” nawiązujących do spraw polskich. „[Sophie's Choice](#)” jest charakterystycznym przykładem fałszowania historii i bigoterii. [Reżyser Alan J. Pakula (czyli „Pakuła”), w rolach głównych Meryl Streep oraz Kevin Kline i Peter MacNicol, USA 1982 r.] Film ten, powiedzmy że nazwiemy go „Zośka”, oparty jest na noweli Williama Styrona i jako taki nie musi odzwierciedlać prawdy historycznej. Tym niemniej wpisana w historyczne tło fabuła powinna zmieścić się w jakichś rozsądnych ramach.

Pokraczność fabuły „Zośki” jest porównywalna do następującego zmodyfikowanego streszczenia:

Wyobraźmy sobie, że jakiś przedwojenny profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego, z pochodzenia Żyd, tworzy wykorzystaną później przez hitlerowców doktrynę ostatecznego rozwiązania kwestii żydowskiej – czyli wymordowania wszystkich Żydów. Niewdzięczni hitlerowcy zamykają w Oświęcimiu jego córkę, ortodoksyjną Żydówkę, gdzie, aby przeżyć, wysługuje się seksualnie oprawcom. Po wojnie trafia ona do Nowego Jorku. Bez jedzenia i środków do życia snuje się po ulicach omdlewając z głodu. Na szczęście spotyka nonszalanckiego Polaka, światowca – oryginała. Traktuje on ją obcesowo, ale dla zabawy nie daje umrzeć z głodu. Przy okazji włóczy on to swoje koszerne kuriozum pokazując je znajomym i od czasu do czasu rżnie, aby udowodnić, że nie jest pederastą.

Oczywiście, tego typu fabuła tak jak i fabuła „Zośki” wymykałaby się z jakichkolwiek rozsądnych ramek. Więcej, wywołałaby powszechne protesty jako nieprawdziwa i antysemitka. Prawdopodobnie nie zrealizowano by takiego filmu w ogóle, a pomysłodawcę zmuszono by szantażem i groźbami do publicznego kajania się i przeproszania na kolanach wszystkich Żydów [co przytrafiło się Marlonowi Brando za zupełnie niewinną uwagę o dominacji Żydów w Hollywood].

Jak łatwo domyśleć się fabuła filmu „Zośka” jest inna. Do głównych różnic należy zaliczyć to, że ten wymaginowany profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego jest czystej krwi Polakiem. Zośka, jego córka, jest matką, Polką i katoliczką, a jej nonszalancki wybawca, knurek i „dobroczyńca” jest Żydem. Z tego też względu film ten miał entuzjastyczne recenzje, a Meryl Streep, wcielająca się w Zośkę otrzymała za tą rolę Oscara. Reżyser „Pakuła” jakoś nie dostał za ten film Oscara. Opatrzność obdarowała go jednak okazałym kawałkiem rury, który to kawałek podrzucony do góry przez przejeżdżający samochód, przebił szybę jego samochodu i walnął go w ten jego genialny łeb – okazało się skutecznie. Podobnego prezentu opatrności życząc kłamcy Grossowi, autorowi „Sąsiadów“.

To „wspaniałe” Hollywood wyprodukowało wiele filmów o podobnej lub zbliżonej wymowie. Taki film jak „[Escape from Sobibor](#)”, czyli „Ucieczka z Sobiboru”, podszywa się pod film oparty na faktach autentycznych. [Adaptacja książki Richard Rashke’a. Reżyser Jack Gold. Grają: Joanna Pacula (Pacula), Alan Arkin i Rutger Hauer, USA, 1987 r.] Jednak chyba jedynym faktem autentycznym jest fakt ucieczki, reszta jest niczym innym jak praniem mózgow promowanym przez hollywoodzkich producentów.

Hollywoodzka zafalszowana wizja świata to nie tylko ten film. Wszystkie hollywoodzkie wizje świata, bardziej kolorowego niż on jest naprawdę, opierają się na doktrynie propagandy przejętej przez Goebbelsa od komunistów: „*Największe kłamstwo wielokrotnie powtarzane staje się prawdą*”. W rezultacie takich „niewinnych” fałszerstw historia, polityka, stosunki społeczne, moralność, hierarchie wartości i wiele innych spraw – nabierają niezależnego bytu wypierając z ludzkiej świadomości prawdziwy świat. Są oczywiście wyjątki, ale na ciągłe oglądanie większości produkcji Hollywood powinni być skazani, i to bez przedterminowych zwolnień, jej twórcy.

Wracając do „Ucieczki...” Wyobraźmy sobie scenę wprowadzania jeńców do hitlerowskiego obozu koncentracyjnego. Otóż, wrota obozu dziarsko przekracza jakiś zorganizowany oddział. Chłop w chłopą, niedbale, ale elegancko umundurowani, wzrok hardy, krok marszowy, pieśń na ustach. Jednym słowem malowani chłopcy – aż esesmankom robi się miękko w podbrzuszach. Prowadzący ich Niemcy to ostatnie ciury, właściwie nie wiadomo, dlaczego gdzieś po drodze nie zostali oni rozdeptani przez tych „mołojców”...

Scena zupełnie fantastyczna. Chyba nigdzie i nigdy jeńcy wojenni nie przekraczali bram obozów koncentracyjnych w taki sposób jak pokazano to w tym filmie, szczególnie hitlerowskich obozów śmierci. Jednak przy odrobinie uwagi można dowiedzieć się, że ci dziarscy młodzieńcy to sowieccy oficerowie, w dodatku (it happened) sami Żydzi. Takich „bohaterskich” jeńców Hollywood musi podretuszować, wyszminekować i posypać różem. Musi pokazać jak dziarsko wkraczają do obozu, wbrew okrutnej prawdzie ukazującej, że hitlerowcy rozstrzelali na miejscu wszystkich sowieckich oficerów – nawet nie sprawdzając czy jest wśród nich jakiś nie obrzezany Wańka.

To triumfalne wejście do obozu jest mało istotnym drobiazgiem. Do najistotniejszych „historycznych” informacji podanych w tekście po zakończeniu filmu należy wiadomość, że ukrywający się po lasach Żydzi, uciekinierzy z obozu, byli wylapywani przez Polaków, a dwóch z nich zostało zamordowanych, ponieważ mieli dużo złota (jakoby wcześniej skonfiskowanego przez hitlerowców?). Według kolejnej ważkiej informacji, przywódca ucieczki Leon Feldhendler uratował się – jednak po „wyzwoleniu” przez Sowieców został zabity przez Polaków podczas jakiejś antysemickiej konfrontacji. [Po obejrzeniu tego filmu napisałem list protestacyjny (1987.04.24) do Lee Iacocca, prezydenta Chrysler Corporation, która to firma sponsorowała ten film.] Twórcy tego filmu zapomnieli dodać, że tego typu „antysemickie konfrontacje” były walkami polskiego patriotycznego podziemia ze zbrodniarzami z NKWD i UB. Na tych tylko dwóch przykładach łatwo zauważyć od jak dawna Hollywood promuje kompanię nienawiści do Polski i Polaków.

Oczywiście, nie tylko Hollywood specjalizuje się w antypolskich filmach. Kolejnym takim filmem jest [Shoah](#) Claude Lanzmanna (Francja, 1985). Według Lanzmanna moralnymi potworami są wieśniacy gospodarujący na polach obok hitlerowskiego obozu śmierci. Zamiast skonać ze wstydu, że żyją, oni uprawiali pola i starali się przetrwać koszmar okupacji. Lanzmann nie wspomina, że ci prości wieśniacy z okolic obozu i z całej Polski uprawiali swoje pola również po to, aby wyżywić antyhitlerowskie podziemie. Aby ich bracia i dzieci w historycznie bezprecedensowym ruchu oporu mieli swoje zaplecze, aby mogli prowadzić walkę z hitlerowskimi a później komunistycznymi okupantami. [Historia nie zna przypadku totalnie okupowanego kraju, w którym istniałyby podziemny rząd i podziemna administracja, szkolnictwo na wszystkich szczeblach oraz prawie półmilionowa armia.]

W przeciwieństwie do „brzydkich” Polaków jednym z bohaterów Lanzmanna jest Żyd, typowy grabarz swoich współbraci, wypełniający ściśle obozowe procedury wysyłania na tamten świat przywiezionych Żydów. Bohaterstwo jego polegało na wpakowaniu do komory gazowej kolejnego transportu, w którym byli członkowie jego najbliższej rodziny. Nagrywając gdzieś w jakimś kurorcie w Izraelu trochę przydługi wywiad z tym „bohaterem” Lanzmann tworzy nowy standard bohaterstwa – przeżyć za wszelką cenę. Według tego standardu Żydzi zawsze są „bohaterami” – nawet wykonując najbrudniejszą robotę. W odróżnieniu od Żydów goje są zawsze podłymi kreaturami, nawet będąc bezsilnymi świadkami mordowania Żydów.

W filmie Lanzmanna nawet Warszawa jest podłym ponurym miastem, ponieważ w czasie walk w getcie nie zapadła się w piekielne otchłanie. Według Lanzmanna Warszawa bawiła się, ludzie kochali się, chodzili do kin, teatrów i kawiarni. To tak, jakby nie było łapanek, publicznych egzekucji, transportów Polaków do obozów śmierci i na przymusowe roboty. Dziwny jest ten Lanzmannowski świat pełen fałszu, nienawiści i podwójnej moralności. Z tego świata fałszu i nienawiści wyrastają takie „perełki” jak sceny w filmie **"Holocaust"**, w których nie Niemcy ani nie żydowscy policjanci rozstrzelują Żydów w getcie, a jacyś osobnicy w jakoby polskich mundurach i ze znanymi nam orzelkami na czapkach. Nawet, jeżeli żydowscy policjanci w gettach – okrutnością przewyższający hitlerowców – nosili jakieś mundury, to niewątpliwie bez orzelków.

W angielskim filmie **„The Eagle Has Landed”** też występują osobnicy w polskich mundurach – w dwóch wcieleniach. [Adaptacja przygodowej noweli Jack Higgins’a o nieudanej akcji porwania Winstona Churchilla przez niemieckich komandosów. Reżyser John Sturges, Anglia, 1976 r. W rolach głównych: Robert Duvall, Michael Caine, Jenny Agutter, Donald Pleasance oraz Donald Sutherland.] Pozytywnymi bohaterami są niemieccy komandosi. Dżentelmeni w każdym calu, rycerscy, gotowi do wszelkich poświęceń żołnierze – dla zmylenia Anglików przywdziani w sojusznicze polskie mundury. Są tam też inni osobnicy, jakoby Polacy stacjonujący w Wielkiej Brytanii. Banda niezorganizowanych durni. Dżentelmeni Niemcy, po zrzuceniu polskich mundurów, wystrzelują to polskie śmiecie jak kaczki przymarzniete do lodu. Dopiero inni dżentelmeni – Anglicy – nawiązują równorzędną walkę pokonując tych godnych podziwu przeciwników – niemieckich dżentelmenów. [Zarówno w kompanii wrześniowej jak i we wszystkich walkach z Polakami Niemcy ponosili duże straty. Ciekawe, jak niemieccy weterani, jedyni, którzy walczyli z żołnierzami wszystkich sojusznicznych armii, oceniają swoich polskich przeciwników.]

Jeżeli do tych filmów doda się film **Enigma** m.in. o genialnym Angliku pederście rozszyfrowującym tajemnicę Enigmy, nie wspominając, kto tak naprawdę dał aliantom tą niezwykle ważną dla zwycięstwa broń, wówczas otrzymamy zarysy wirtualnego świata tworzonego przez wrogie nam kinematografie. Przywłaszczenie „Ultry” – ponieważ tak nazywają Enigmę Anglicy – wykracza poza film, pokazuje jak nisko upadła Wielka niegdyś Brytania. [W końcu przyznali się, ale jak złodzieje złapani za rękę. Twierdzą, że tylko „przechowywali” tajemnicę Enigmy. Na wszelki wypadek zniszczyli też raporty asów polskiego wywiadu. Będą mogli gnojki chwalić się przed wnukami swoim „wspaniałym” wywiadem, tuszując, że ich własni agenci byli bardziej agentami sowieckimi niż angielskimi.]

Oby opatrność obdarowała wymienionych powyżej twórców filmów, twórców powieści i innych kłamliwych antypolskich „dzieł”, równie szczerze, jak obdarowała Alana „Pakułę” – jakimiś następnymi „pakułowymi rurami” walącymi w ich „genialne łby”.

PROWOKACJA LIPPMANA

Do najważniejszych akcji przeprowadzonych przez pana Józefa Płońskiego zaliczyłbym unieszkodliwienie „Prowokacji Lippmana” [informacje o Lippmanie – New York Times, 1981.05.30]. [Harley Lippman](#) twierdzi, że w ramach wymiany w latach 1975/76 był studentem Uniwersytetu Warszawskiego na wydziale Nauk Politycznych (?). Po powrocie do Stanów Zjednoczonych przez parę lat zatrudniony był przez „Frontlash”, przybudówkę centrali związkowej AFL-CIO do spraw młodzieży. Jako pracownik/aktywista „Frontlash” był prelegentem w szkołach i udzielał się w kompaniach rejestracji nowych wyborców. Niejaki Thomas Kahn, asystent prezydenta AFL-CIO potwierdził, że znał Lippmana od lat. Twierdził jednak, że jeszcze przed „Prowokacją” został on zwolniony ze względu na konflikt płacowy.

Według Lippmana w 1979 roku po zakończeniu dwuletnich studiów dyplomowych w Columbia University o tematyce Centralno Europejskiej i Wschodnio Europejskiej zrobił on magisterkę. Podobno latem 1977 roku pracował jako stażysta w biurze Senatora Patrick’a Moynihan’a w Nowym Jorku [zamaskowanego polakożercy i zacieklego przeciwnika rozszerzenia NATO], a w roku 1978 uczestniczył w letnim kursie ukrainistyki w Harvard University. W dalszej części swojej autobiografii Lippman twierdzi, że od lutego 1980 roku był dyrektorem żydowskiego Komitetu Robotniczego w stanie New England, gdzie starał się uczulić społeczność żydowską na problemy ruchu robotniczego. Był dyrektorem wykonawczy tegoż komitetu, Joshua Muravchik, wyznał, że Lippman zwierzał się mu, że był „uśpionym” agentem FBI i amerykańskiego wywiadu wojskowego (Defense Intelligence Agency). Tak jak we wszystkich tego typu machlojkach – „bierz wodki nie razbieriosz” – jak powiedzieliby Rosjanie. Jedno jest pewne, że pan Lippman był co najmniej sympatykiem „najlepszego z najlepszych ustrojów”.

O istnieniu Lippmana dowiedziałem się zupełnie przypadkowo. W marcu 1981 roku pan Płoński zaprosił mnie na spotkanie organizowane przez Kongres Polonii Amerykańskiej w Perth Amboy, New Jersey. Po drodze jeden z współpodróżnych jadących rozklekotanym mikrobusiem Płońskiego opowiedział o audycji „Good Morning America” podczas której jakiś facet twierdził, że był w Polsce i jako zaufany człowiek Wałęsy został dopuszczony do najpilniej strzeżonych tajemnic Solidarności. [Tego współpodróżnego rozpoznałem podczas mszy pod pomnikiem ofiar Katynia w Jersey City, 200.05.07. Przeprosiłem, że zapomniałem jego nazwisko, pan Leon Szpała pamiętał wiele faktów związanych z Prowokacją Lippmana.]

W opowieści Lippmana zawarte były „rewelacje”: o uzbrojonych bojówkach Solidarności, o tajnych magazynach broni i o oddziałach wojska, które jakoby zdezerterowały pod rozkazy Solidarności. Wypisz wymaluj krok od wojny domowej i politycznych mordów. Opowiadanie to łączyło się z rozpowszechnianymi wśród społeczności polonijnej informacjami o jakichś uzbrojonych oddziałach wojskowych gotowych do walki z komunistami a także z rozpowszechnianymi w Polsce pogłoskami o listach partyjnych i działaczy do wymordowania. Cały wieczór poświęciłem na przekonywanie Płońskiego o zamierzonej sowieckiej prowokacji mającej na celu fizyczne zlikwidowanie solidarnościowej opozycji. Dzięki opatrności, wbrew ostracyzmowi, jaki mnie otaczał, Płoński poważnie potraktował moje sugestie i wziął się energicznie za zwalczanie tej zbrodniczej prowokacji. Informował mnie na bieżąco o wszystkich poczynaniach i przekazywał kopie pism w tej sprawie. Część z nich zachowała się do dzisiaj.

Kim był pan Lippman? Przypuszczalnie przedstawicielem następnej generacji żydowskich czcicieli czerwonego cielca? Przypuszczalnie nie tylko studiował w Polsce, ale został zwerbowany przez służby specjalne. Możliwe, że jeszcze przed wyjazdem „na wymianę” miał już jakieś agenturalne powiązania. Czy był agentem polskim, amerykańskim czy sowieckim?... Znowu „bierz wodki nie razbieriosz”. Dla wielu szarych eminencji Stanów Zjednoczonych polska Solidarność nie była w smak. Naruszała światowe podziały interesów, mogła przerwać strumienie ciepłych dolarek robionych na wszelkich prawdziwych lub wymyślonych konfliktach.

Solidarnościowe zagrożenie sowieckiego imperium nie tylko zagrażało koncepcji [Bertrand Russell'a](#) o wyższości dwuosiolego podziału świata (USA-ZSRR), ale mogło zaszkodzić biznesom takich potentatów jak [Armand Hammer](#) i wielu, wielu innym. [Amerykański potentat biznesu olejowego i chemicznego. Nazwisko ARMAND HAMMER przybrał dla uczczenia sowieckiej symboliki: ARM AND HAMMER = RAMIĘ I MŁOT. Dzięki Sowietom i ścisłym powiązaniom ze wszystkimi sowieckimi przywódcami, poczynając od Lenina, dorobił się olbrzymiej fortuny.]

Niezależnie od „rodowodu” natychmiast po powstaniu Solidarności Harley Lippman pojawił się w Polsce, w jednym z jego „wcieleń” jako turysta. Tajemnicą jest, jak taki dyrektor-agitator-turysta z „żydowskiego Komitetu Robotniczego” w stanie New England został doprowadzony do Wałęsy. Dlaczego jakiś „przyjaciel z Solidarności” (chyba z solidarności komunistycznej międzynarodówki) zadbał o wykonanie dużej ilości zdjęć dokumentujących jego jakoby zażytą znajomość z Wałęsą. Powołując się na te zdjęcia pokazujące Lippmana z Wałęsą podczas posiłków, w kościele, w rozmowie z żoną Wałęsy, w zabawie z jego dziećmi, Lippman uwierzytelniał swoje opowieści.

Dla dalszego uwierzytelnienia swoich opowieści w majowym wydaniu „Life” z 1981 r. Lippman zamieścił szereg jakoby otrzymanych od Wałęsy zdjęć z wydarzeń w 1970 roku. Pierwsze zdjęcie (na 10 stronie) pokazuje Lippmana siedzącego obok Wałęsy i robiącego jakieś notatki. Chyba już nastał najwyższy czas, aby otworzyć akta SB i zidentyfikować tego „Lippmanowskiego przyjaciela z Solidarności” – fotografa dokumentującego przyjaźń Wałęsy z podsuniętym mu prowokatorem.



Relacje Lippmana były bardzo interesujące. Już przylatując do Warszawy 22stycznia 1981 roku, został on jakoby zatrzymany na lotnisku przez agentów MSW. Ponoć jego „przyjaciele z Solidarności” z niepokojem oczekiwali, czy zostanie wpuszczony do PRL. Gdzie i jak zaprzyjaźnił się z członkami dopiero powstałej Solidarności, trudno dociec. Twierdził, że poznał Wałęsę już w czasie swoich studiów na Uniwersytecie Warszawskim. Gdyby mówił o Kwaśniewskim, można byłoby uwierzyć, że go gdzieś na jakichś studiach spotkał... Ale Wałęsę?

W dalszym toku swojej opowieści Lippman opisuje sieć solidarnościowych kryjówek, magazyny broni, oddziały wojskowe. Nawet spotkanie w lesie koło Łodzi z jakimś zbuntowanym generałem. Podróż pełna przygód, ucieczek przed agentami, niebezpiecznych sytuacji. Opowieść godna „Indiana Jones”. [Bohaterstwo, miłość i przygody, czyli bajeczki filmeczki Stevena Spielberga, 1984 i 1989.] Oprócz tych wymyślonych przygód, Lippman przeprowadził nawet wywiad z Marianem Dobrosielskim, zastępcą ministra spraw zagranicznych. Podawał się przy tym za korespondenta „Washington Post” prezentując list polecający od senatora Edwarda Kennedy’ego – „bezpłciowego” liberała i sympatyka semi-komunistycznych koncepcji społecznych.

Nawet, jeżeli pan Lippman był gówniarzem zmyślającym wszystkie swoje przygody. Nawet, jeżeli seria jego zdjęć z Wałęsą była fotomontażem, to jakie siły i układy spowodowały, że jego relacje zaczęły rozchodzić się szybko i sprawnie na cały świat?

Tysiące ludzi chce zarobić pieniądze opisując swoje prawdziwe lub wymaginowane przygody, w przytłaczającej większości przypadków nieskutecznie. Pan Lippman, za pośrednictwem syndykatu stowarzyszonego z New York Times sprzedał swoje rewelacje następującym gazetom: „The Times of London”, „The Vancouver Province”, „The Sacramento Bee”, „Agencia Estado of Brasil”, „The Cleveland Plain Dealer” i „The Anchorage Daily News”. Lista wszystkich publikacji jest trudna do ustalenia, „The Chicago Sun-Times” opublikował jakiś artykuł na ten temat w wydaniu z 15 marca 1981 roku. Pan Lippman nie szczędził swojego czasu dla wszelkich możliwych korespondencji i wywiadów, włączając audycję „Goodmorning America” z 23 marca 1981 roku (ABC-TV)

Czy to był przypadek, czy zorganizowana akcja sowieckich agentów i ich „papuczyków”, bezbłędnie sterujących zachodnimi publikatorami? Tego być może nigdy nie dowiemy się, ale tak jak mówił król zwierząt patrząc na lisa: *Nie pokażę palcem, ale jak pierdolnę w ten rudy łeb, wówczas nikt nie będzie miał wątpliwości, kto tu szachruje*. Lippmana wina lub służba polegała na przekonaniu całego świata, że Solidarność jest organizacją terrorystyczną, że dąży do mordów i zamachów. Chciano udowodnić, że Solidarność jest godna potępienia i odrazy całego cywilizowanego świata, że fizyczne zlikwidowanie jej przywódców i aktywistów będzie racjonalnym i moralnie usprawiedliwionym działaniem. Nie przedstawiam całości fantastycznych i prowokacyjnych enuncjacji „obudzonego” pana Lippmana, dociekliwi mogą sięgnąć do dwóch artykułów w „New York Times” z dnia 30 maja 1981 roku.

Już 25 marca 1981 roku, czyli na początku rozpowszechniania rewelacji Lippmana, Płoński rozpoczął kontrakcję. Występując w imieniu Polskiego Legionu Weteranów Amerykańskich zażądał od niejakiego Mc Bride ze stacji telewizyjnej American Broadcasting Corporation dostarczenia kasety z wystąpieniem Lippmana w programie ABC „Good Morning America”. Pan Mc Bride stał się nieuchwytny. Parę dni później Judy Steinberg z tejże sieci telewizyjnej oświadczyła, że Mc Bride wybył na wakacje, chyba „dyplomatyczne”, odpalił Płoński.

Dzięki zdecydowanym dalszym działaniom Płoński otrzymał w końcu kasetę wideo z nagraniem wywiadem Lippmana. Jeszcze w marcu tegoż roku (1981.03.31) Płoński wystąpił w tej sprawie do następujących osób: George Bush – Vice President; Alexander Haig, Jr – Secretary of State; Charles Percy – Chairman, Senate Foreign ; Clement J. Zabłocki – Chairman, House Committee on Foreign Affairs; William Bradley – Senator, NJ; Jack Kemp – Congressman, NY, Chairman of Federal Communications Commission; Ralph Chrapkowski – National Commander, PLAV; Aloysius Mazewski – President, Polish American Congress; Col. Anthony Podbielski – Polish American Congress Historian; Accuracy in Media, Inc., 777-14th Street, N.W. Washington, DC 20005; oraz do Prezydenta sieci telewizyjnej WABC.

Dopiero 11 maja 1981 roku „The Times of London” opublikował list ówczesnego rzecznika prasowego Solidarności Janusza Onyszkiewicza przeciwstawiającego się tezom Lippmana opublikowanym w artykule „On the Run in Poland With My Friends in Solidarity”. Pod koniec maja 1981 roku polskie Ministerstwo Spraw Zagranicznych wspólnie z Solidarnością zdementowało enuncjacje Lippmana jako fabrykację. Oficjalne „czynniki” PRL nie zapomniały też dodać, że cała sprawa jest szytą grubymi nićmi prowokacją CIA. W ten sposób Płoński stał się dla władz PRL prowokatorem CIA walczącym z prowokatorem Lippmanem. Chyba coś z taktyki złodzieja krzyczącego „łap złodzieja”. Ja w tym czasie byłem nieznanym władzom PRL inicjatorem akcji Płońskiego.

Ze względu na moich najbliższych znajdujących się w bezpośrednim zasięgu władz PRL chciałem cicho siedzieć „jak mysz pod miotłą”. Jednak w końcu siedzenie pod miotłą nie udało się. Natychmiast po otrzymaniu taśmy z wywiadem Lippmana Płoński spytał mnie, jak najpewniej dostarczyć kopię taśmy do Wałęsy. Odradziłem mu wysyłanie jej pocztą, prowokacja nie prowokacja, wszystko, co byłoby adresowane do Wałęsy niewątpliwie byłoby ocenzurowane lub wręcz skonfiskowane. Poradziłem mu, aby znalazł kogoś, kto mógłby dostarczyć tą taśmę osobiście do Wałęsy. Płoński nie znał nikogo, ja też w tym momencie nie znałem nikogo planującego wyjazd do Polski. Złożyło się jednak, że brat mojego serdecznego przyjaciela ze studiów w LITMO był pierwszym elektrykiem na statku „Kalinowski” – odbywającym regularne rejsy do portu w Newarku.

W momencie rozmowy z Płońskim zapomniałem o nim, ale parę dni później po przybyciu do Newarku, Czesiek zadzwonił do mnie. Jak zwykle nasi marynarze podłączali się do jakiejś linii telefonicznej i załatwiali swoje telefoniczne potrzeby (chyba FBI podsuwała im takie podręczne kontrolowane złącza)? Spytałem Cześka, czy weźmie tą taśmę wideo, aby dostarczyć ją Wałęsie. Powiedziałem mu dokładnie, co jest na tej taśmie, że władze PRL mogą ją skonfiskować. Czesiek zapewnił mnie, że przewiezienie taśmy video to jest fraszka – przemycali bele materiałów i inne towary praktycznie bez wpadek.

Przy następnym pobycie powiedział mi, że nie zastał Wałęsy, że zostawił taśmę w jego sekretariacie. Przypuszczalnie za tą drobną sprawę zapłacił później życiem. Ktoś tam czujnym okiem obserwował wszystko, co działo się wokół Wałęsy. Czy oprócz agenta(ów) były tam kamery i mikrofony? Być może tak. W każdym bądź razie po wprowadzeniu stanu wojennego przeniesiono Czeška z linii do USA na linię do Afryki. Dowiedziałem się o tym od osoby wstawionej na jego stanowisko. Jakiś czas później byłem bardzo zdziwiony, gdy Czesiek niespodziewanie zadzwonił do mnie z portu w Newarku. Powiedział, że dostał pozwolenie na jeszcze jeden rejs na linii amerykańskiej – umówiliśmy się na spotkanie w restauracji Bałtyk przy pierwszej Avenue na dole Manhattanu.

W tym czasie objeżdżałem mój fabrycznie nowy samochód, miałem zawieźć go na jakieś zakupy w ramach jego ciągłego dorabiania do polskich marynarskich pensji. Spóźnił się na to spotkanie, był zdenerwowany, twierdził, że Amerykanie nie chcieli pozwolić mu zejść na ląd. Podobno wpisano go na listę załogi w ostatniej chwili korygując wcześniejszą listę. Towarzyszący mu krewni byli na liście pasażerów, nie mieli żadnych kłopotów z zejściem na ląd. Twierdził, że pod pretekstem załatwienia spraw spadkowych w USA otrzymał pozwolenie na odbycie jeszcze jednego rejsu. Patrząc wstecz widzę, że była to kompletna bzdura. Nikt nigdy i nigdzie nie mógł załatwić spraw spadkowych w przeciągu krótkiego postoju podczas przeladowywania statku. Także, żaden z urzędników PRL nie mógł być takim idiotą, aby w coś takiego uwierzyć. Nie zwróciłem jednak wówczas uwagi na ten oczywisty nonsens. Wydawało się mi tylko, że Czesiek jest jakiś inny, że coś go męczy. Miałem wrażenie, że walczy z myślą, aby wzorem wielu innych naszych marynarzy w odpowiedzi na stan wojenny pozostać w USA.

Po „zaokrętowaniu” Czeška i jego krewniaków pojechałem Pierwszą Aleją w „górze miasta”. W okolicy trzydziestej ulicy znajdował się zakład kuśnierski, gdzie Czesiek kupował błamy na futra. Miał też w planie odwiedzenie paru innych miejsc zakupów, ponieważ następnego dnia statek odpływał dalej.

Przy 10-tej ulicy „ruszył z kopyta” czekający na czerwonym świetle samochód policyjny, nie miałem szans, ucieczka na prawy pas skończyłaby się kolizją z jadącymi tym pasem samochodami. Widziałem, jak siedzący obok kierowcy policjant spokojnie przyglądał się zmniejszającej się odległości pomiędzy naszymi samochodami. Kierowca policyjnego samochodu tak manewrował, abym to ja go uderzył w policyjny samochód, nie zdążył jednak, to on uderzył w lewy błotnik mojego samochodu. Mój nowiutki samochód z nie zabłoconą jeszcze lśniąca farbą miał solidnie wgięty lewy błotnik oraz popękane oprawy świateł pozycyjnych. Nie był to zwyczajny wypadek, wóz policyjny nie miał włączonych „kogutów” ani też nie było żadnych sygnałów ostrzegawczych. Po prostu czekał na mnie i na moich pasażerów.

Po zaliczeniu później innych stłuczek zorientowałem się, że procedura powypadkowa była zupełnie nietypowa. Jak spod ziemi zjawilo się kilka oznakowanych i nie oznakowanych samochodów policyjnych, kazali nam czekać. Nie zauważyłem, aby nas fotografowano, wszystkich jednak wylegitymowano i spisano dane osobiste. Nigdy więcej nie spotkałem się z takim traktowaniem pasażerów samochodu biorącego udział w błahym w istocie wypadku. Po około godzinnych ceregielach pozwolono nam odjechać. Czuję się co najmniej podle. Mandat za nie przepuszczenie jakoby śpieszącego się gdzieś uprzywilejowanego pojazdu i pogięty błotnik mojego pierwszego amerykańskiego fabrycznie nowego samochodu.

Obwoźłem chłopaków tam gdzie chcieli, zawiozłem ich w końcu na Greenpoint gdzie, jak twierdzili, były jakieś „patelnie” i inne damskie cuda. Zaszokowany niespodziewanym i pierwszym wypadkiem wymówiłem się u znajomych Czeška od suto zastawionego stołu. Ległem na wyrku w głębi subway’owego mieszkania. Dali mi budzik, abym mógł rano obudzić Czeška i zawieźć go do Newarku na statek. Przypuszczalnie uczta trwała bardzo długo. Z trudem obudziłem Czeška przypominając o jego prośbie odwiezienia go do Newarku. Z ociąganiem pobierał się, ruszyliśmy w drogę.

Ciągle miałem wrażenie, że chce mi coś powiedzieć. Po przekroczeniu Holland Tunelu zapadł w sen przerywany nagłymi przebudzeniami i powrotami do świadomości. Współczułem mu, był solidnie skacowany. Na rampach przy dojeździe do terminalu morskiego w Newarku zaczął majaczyć: *Muszę, muszę rozmawiać z Feliksem, gdzie jest Feliks*. Potrząsnąłem go za ramię, *Jestem tutaj, wiozę cię, obudź się*. Otworzył oczy i spytał: *Gdzie ja jestem*; odpowiedziałem *Dojeżdżamy do portu, ja jestem z tobą, rozmawiamy*. Jakby przypominając swoje majaczenia zamilkł, przed pożegnaniem powiedział: *Wszystko w porządku, zobaczymy się kiedyś jeszcze...*

Nie zobaczyliśmy się już nigdy. Po jednym z powrotów z afrykańskiego rejsu aresztowano go pod zarzutem przemytu. Zmarł w więzieniu śledczym, jakoby na atak serca. Ciało w zamkniętej trumnie oddano rodzinie z poleceniem nie otwierania jej. Oczywiście rodzina nie zastosowała się do tego polecenia. Dziwny był ten atak serca spowodowany widocznymi obrażeniami ciała?

Gdy dowiedziałem się o śmierci Czeška przypomniałem sobie o przewiezionej przez niego taśmie z prowokacyjnym wywiadem Lippmana. Czy mój domysł jest prawidłowy, do dziś dnia nie wiem? Tak jak wszyscy marynarze coś tam zawsze przemyślał, nawet jakieś ikony czy obrazy. Jednakże, gdyby z powodu przemytu nasi marynarze umierali na „ataki serca”, wówczas wybito by całą kadrę naszej marynarki handlowej.

Uświadamiając sobie możliwość powiązania Prowokacji Lippmana ze śmiercią Czeška zacząłem bać się o moich bliskich w Polsce. Przy ostrym picu jeden z dosyć znanych uciekinierów z Polski zaczął mnie kiedyś delikatnie naprowadzać na temat mojej znajomości z Płońskim, przy tym wyraźnie oszczędzał się. Mając dobrą rosyjską szkołę w picu wódki pozwalałem mu nalewać nadprogramowe porcje Smirnowa, jeszcze z napisem na stopce etykiety „Lwów Poland”.

Gdy już uznał, że jestem kompletnie zalany, wysmarkałem mu w rękaw, że Płoński dał mi taśmę wideo o jakimś programie w amerykańskiej telewizji, aby przez okazjnie spotkanego znajomego przekazać ją do Polski. Dodałem, że nie mogłem mu odmówić, ponieważ wynajmował mi mieszkanko i korzystałem z wielu jego uprzejmości, a teraz mam pietra, bo ta taśma była związana z jakąś prowokacją dotyczącą Solidarności.

Wydawało mi się, że przyjął ze zrozumieniem moje zwierzenia. Czy to było tak, czy tylko wydaje mi się, że to było tak? Towarzystwo leżało pokodem, on jeden był prawie trzeźwy ciągle zainteresowany moimi zwierzeniami. Po wyjściu wyrównałem krok i pomyślałem sobie – nie wzięłeś przyjaciela pod uwagę mojej leningradzkiej szkoły „trunkowania” – „*bez wódki nie rozbieriesz, a z wódką też nie wszystkich rozbieriesz*”... Nie wiem, czy całe to wypytywanie było przypadkiem, czy jego zamiarem. W każdym bądź razie nie namierzę go, bo może być „nie pri czom”.

Podczas mojej wizyty w Polsce w 1993 r. przedstawiłem całą sprawę dla brata Czeška. Nie było to łatwe, chociaż łatwiejsze niż spotkanie z Januszem z rozdziału „Świat Cieni”. Zresztą, jako jednemu z nielicznych, zrelacjonowałem mu wówczas to, co opisałem teraz w „Świecie Cieni”. W pewnym momencie powiedział: *Przeczuwałem, że mogą być jakieś powiązania pomiędzy tobą a tym, co stało się z Januszem i Czeškiem*. Nie zdystansował się ode mnie, ale też nie próbował ulżyć mi w moich wewnętrznych rozterkach. Sam muszę nosić ten bagaż, bo nic nie zmieni przeszłości. W tym popieprzonym świecie trudno mieć pewność, kiedy robi się coś dobrego, a kiedy swoim działaniem, nawet wydawałoby się słusznym, wyrządza się komuś krzywdę.

Według jego relacji Czesiek i cała powracająca z Afryki załoga była znanymi marynarzom sposobami, uprzedzona, że w porcie czeka na nich „czarna brygada”. Pozbyli się wszelkiej kontrabandy, byli czyści jak aniołki. Pomimo tego Czeška aresztowano. W jakiś czas później żona dostała pozwolenie na widzenie. Według jej relacji był bardzo zmieniony, roztrzęsiony, jakby już obleczony bladeścią śmierci..., za wyrzuconą za burtę kontrabandę?...

Zestawiając znane mi fakty wydaje się mi, że po wprowadzeniu stanu wojennego Czeška zatrzymano i dano mu propozycję nie do odrzucenia – nadprogramowy rejs do USA. Być może oczekiwali, że dowiedzą się czegoś o organizatorach akcji przeciwko „Prowokacji Lippmana”. Czesiek nie miał żadnych powodów, aby zataić, że taśmę otrzymał osobiście ode mnie. Było to dla nich za mało. Zdawali sobie sprawę, że właściwie jestem niczym w Ameryce (przypuszczalnie przykładali do tego ręce, abym był niczym). Zнали organizacje polonijne i nie podejrzewali, aby organizacje te mogły tak sprawnie wystąpić przeciwko „Prowokacji Lippmana”. Może i słyszeli o Płońskim, ale uważali go za przystawkę do „karcianek” i innych imprez towarzyskich dominujących w działalności tych organizacji.

Przypuszczalnie uważali, że umknęło im coś z ich mapy potencjalnych polonijnych „obiektów specjalnego zainteresowania”, a może naprawdę podejrzewali, że jakieś CIA wchodziło na nie swój teren? Być może wysłali Czeška szantażując go i biorąc jego najbliższych jako zakładników? Amerykanie też w jakiś sposób wywąchali niezwykłość jego pozaplanowego rejsu, stąd kłopoty z zezwoleniem na zejście na ląd i sfingowany wypadek z policyjnym samochodem. Nawiasem mówiąc, po dostarczeniu mojego zeznania i zeznania jednego z pasażerów moja kompania ubezpieczeniowa uzyskała sto procent odszkodowania. Okazało się też, że policjant kierujący samochodem znał język polski i rozumiał nasze rozmowy podczas procedur po wypadku. Dowiedziałem się o tym rozmawiając z nim przed rozprawą o unieważnienie mandatu.

Symptomatyczne było majaczenie Czeška, że musi ze mną rozmawiać. Gdy budził się był świadom, że przecież nic nowego nie dowie się, ponieważ wszystko wiedział. Nie było żadnej organizacji, to tylko Józef Płoński sam narobił „dużego bigosu” dla autorów Prowokacji Lippmana. Czesiek liczył chyba, że po powrocie do Polski jakoś wytłumaczy się z tego – nie wytłumaczył się. Przypuszczalnie męczyli go, aby coś wyznał, o czym nie miał pojęcia, co nie istniało. Szukali informacji o jakiejś nieznanym im organizacji, której nie było. To tylko Józef Płoński „single-handedly” (pojedynczo) załatwił całą sprawę, cześć mu za to.

Istnieje zawsze niebezpieczeństwo przeceniania znaczenia działań, których było się świadkiem, szczególnie, jeżeli można powołać się na jakiś swój własny udział. „Prowokacja Lippmana” jest sprawą przeszłości, czy kiedyś ktoś zada sobie trud wyjaśnienia szczegółów i chronologii wydarzeń. Czy dostępne będą materiały dotyczące aresztowania i śmierci Czeška? Najbardziej interesującym byłoby wyjaśnienie roli Lippmana i jego powiązań z SB lub z KGB. Czy rzeczywiście chciano wymordować jako terrorystów najaktywniejszych polskich patriotów? Tą powojenną część nowej generacji stawiającej ponad wszystko dobro ojczyzny, zdolnej tak jak jej przedwojenny odpowiednik do największych poświęceń.

Coś w tym było, nawet straszenie milicjantów i innych urzędników jakoby autentycznymi spisami osób do wymordowania. Klasyczna sowiecka metoda prowokacji i uzasadnienia wymordowania przeciwników, jakoby autorów takich list. Breżniewowski aparacik mógłby jeszcze raz spróbować totalnego terroru, aby marzenia o wolności w „Nadwiślańskim Kraju” odsunąć o jeszcze jedną generację.

Także w przypadku Prowokacji Lippmana wyczuwam głęboką niechęć większości naszych decydentów do zastosowania krwawych leninowsko-stalinowskich metod rozwiązania „problemu Solidarności”. Trzeba tą naszą nomenklaturę dekomunizować, ale bez przesady, może niektórym z nich należy się też dobre słowo za brak entuzjazmu lub sabotowanie dyrektyw „Prowokacji Lippmana”.

Gdyby mordowano aktywistów Solidarności nasz ukochany zachód nie ruszyłby nawet palcem w bucie. Oprócz chwilowego lamentu i laurek dla szalonych Polaków porywających się z motyką na czerwoną gwiazdę nic byśmy nie zyskali, przybyłoby tylko nowych miejsc martyrologii. Musielibyśmy znowu czekać na odrodzenie się nowej generacji odważnych i gotowych do największych poświęceń ludzi...

Oprócz Płońskiego, na pewno były też inne osoby przykładające rękę do unieszkodliwienia „Prowokacji Lippmana”. Jak dotychczas temat ten jest jakoś dziwnie przemilczany? Pomysłodawcy takiej prowokacji nie mają powodów do chwalenia się, w końcu nie udało się im. Napuszeni zwycięzcy solidarnościowej rewolucji nie chcą mieć współników swojego sukcesu. Nie chcą podziękować Płońskiemu i jemu podobnym, za być może dar życia darowany im i tysiącom innych ludzi.

Patrząc na sprawę „Prowokacji Lippmana” z perspektywy czasu muszę stwierdzić, że temat ten w dalszym ciągu stanowi swoiste „tabu”. W 2000 roku przekazałem specjalistom Uniwersytetu Jagiellońskiego od najnowszej historii moją książkę oraz kopie pism Płońskiego w tej sprawie wraz z kopiami artykułów z New York Times..., CISZA!

Zwróciłem się też do Instytutu Pamięi Narodowej z wnioskiem o udostępnienie dokumentów [Wniosek WP Bi 928 złożony dn. 21 czerwca 2001 roku] akcentując sprawę „Prowokacji Lippmana”. Po wielu ponagleniach i interwencjach w kuriozalny sposób uznano mnie za „pokrzywdzonego” powołując się na znaleziony w materiałach ewidencyjnych zapis, że wyjechałem do USA i nie wróciłem. Przecież żadna „krzywda” z takiego odpowiadającego prawdzie zapisu nie wynikła!

Im więcej czasu mija, tym bardziej intrygującym jest, kto tak naprawdę organizował „Prowokację Lippmana”, jakie osoby i ośrodki są dogłębnie zainteresowane, aby prawda o tej prowokacji nie ujrzała światła dziennego?

BYĆ ALBO NIE BYĆ

To „być albo nie być” ładnie brzmi i wskazuje, że coś tam o Szekspirze słyszałem. Przez długie lata był to także mój codzienny problem bycia lub nie bycia w USA. Ciągłe dostawałem nakazy deportacji, nie egzekwowane jednak w czasie stanu wojennego. Gdy na początku 1981 roku wystąpiłem o azyl polityczny, odmówiono mi. Przecież istniała wtedy w Polsce Solidarność, w interpretacji władz amerykańskich oznaka demokracji. Ja jakoś nie byłem przekonany o transformacji PRL w kraj isticie demokratyczny, a moje kontakty i działania w USA mogły przysporzyć mi dużych kłopotów, gdybym powrócił.

Nawet po wprowadzeniu w Polsce stanu wojennego władze amerykańskie nie bardzo chciały przygarnąć mnie jako swojego rezydenta. Podczas jednej z rozmów w biurze imigracyjnym tłumaczka, dukająca po polsku Niemka z Legnicy, zauważyła: *Ty za dużo rzeczy robisz, czego ty właściwie szukasz w Ameryce.* Niewątpliwie, najmniej kontrowersji wzbudzają przybysze stosujący się do zmodyfikowanego hasła Gierka wypruwający z siebie żyły przy budowie „drugiej Ameryki”. Ja też budowałem, ale nie miałem pewności, co dalej będzie, z tego przynajmniej powodu niezbyt entuzjastycznie.

Po rozpoczęciu pracy jako wykonawca prototypów miałem całkiem dobrą stawkę 8,5\$ za godzinę. Pracy nie było wiele, ponieważ dopiero planowali wejście do tego typu biznesu. Była to duża firma projektująca i produkująca różne opakowania oraz stanowiska do eksponowania towarów. Ja pracowałem w filii zatrudniającej agentów handlowych i projektantów. Otrzymałem olbrzymie puste pomieszczenie, które trzeba było rozsądnie zapełnić. Na początek dali mi katalogi narzędzi i oprzyrządowania. Zamówiłem wyposażenie oraz materiały dla tworzonego wydziału modelowego wyrobów z drutu. Poza kompletowaniem wyposażenia przez parę miesięcy praktycznie nie miałem nic do roboty. Z nudów robiłem dla siebie i znajomych różne przydatne w domu przedmioty. Pomiedzy drobnymi pracami czasami zasypiałem, nadstawiając czujnie uszy, czy ktoś nie schodzi do mojej pracowni.

Po paru miesiącach zawołali mnie na górę, jacyś kooperanci z fabryki na Brooklynie przedstawiali model składanego regału z płaskich łatwych do transportu części. Zgodnie z założeniem powinny być tak zaprojektowane, aby można było zmontować je u odbiorców bez żadnych śrub i narzędzi. Dowiedziałem się, że moja firma miała „dojście” do M&M (cukierki i inne słodycze), na dostawach takich regałów mogli zarobić dużo pieniędzy. Pomimo mojej pomocy były kłopoty z połączeniem przewracających się ciągle segmentów. Po zmontowaniu całość nie była stabilna i łatwo rozpadała się. Wbrew czarującym uśmiechom kooperantów regał nie spełniał założonych wymagań.

Następnego dnia przygotowałem projekt samo zaciskających się półek i boków. Wykonałem parę elementów ilustrujących zasadę łączenia i usztywniania się konstrukcji w miarę montażu. Złapali mój pomysł, polecili wykonanie całego prototypu. Im bliżej było do skończenia, tym częściej i w większym gronie zaglądali szefowie dopingując mnie. Na koniec roku obiecywali taką premię, jakiej jeszcze nikt w tej firmie nie otrzymał. Udało się, M&M zamówiło regały. Słyszałem pogłoski, że pierwsze zamówienie lokowało się na poziomie półtora miliona dolarów. Dla regału nadano nazwę „Golden Profit” (Złoty Zysk), zostałem też uwieczniony na zdjęciach w instrukcji składania regału.

W trybie przyspieszonym dali mi podwyżkę do 11,5 \$ na godzinę i codziennie mówili: *Keep yourself busy*, co oznaczało, że mogę robić co chcę. W dodatku parę kartonów czekolad, cukierków, i innych słodyczy – po demonstracji regału dla przedstawicieli M&M – oddali do mojej dyspozycji. Takie siedzenie bez pracy było trochę nudne, ale mogłem w czasie dnia załatwiać różne sprawy poza zakładem, także wysypiać się w przyległym pomieszczeniu, w którym zorganizowałem sobie prowizoryczne wyrko. Gdy ktoś schodził do mojej pracowni jeszcze na schodach głośno wołał, *Fiiiliks, are you there* – aby nie zaskoczyć mnie drzemiącego. Dowiedziałem się później, że trzymali mnie na wszelki wypadek, gdyby było coś innego do zaprojektowania, lub, gdyby zdecydowali się na kupienie wytwórni wyrobów z drutu.

Korzystając z tego leniwego luzu rozglądałem się za inną pracą, ale bez specjalnego sytuacyjnego dopingu. Firmą, do której byłem prawie przyjęty, była fabryka pomp: „Harrison Pump Corporation”. Rozbudowywali właśnie laboratorium pomiarowe, z wielu kandydatów kierownik wybrał mnie. Znałem aparaturę w jaką byli wyposażeni, wykazałem się też dobrym przygotowaniem do planowanego skomputeryzowania badań.

Po obowiązkowych badaniach lekarskich, kończąc wszystkie formalności, „przejechałem się” na ostatnim papierku. Należało wypełnić druk ubezpieczenia z podaniem beneficjenta w przypadku nieszczęśliwego wypadku lub śmierci. Podałem żonę i zgodnie z prawdą jej warszawski adres. Personalna poprosiła, abym poszedł do gabinetu kierownika laboratorium. Kierownik pogratulował mi, że już jestem przyjęty i zasugerował rozpoczęcie pracy od najbliższego poniedziałku – w tym momencie telefon od personalnej wyrwał go z gabinetu. Mój druk aplikacji (podania) leżał na samym wierzchu pokaznego pliku innych aplikacji. Według adnotacji kierownika byłem najlepszym kandydatem, z uwagą, że na początku mogą być jakieś problemy językowe. Po powrocie od personalnej kierownik laboratorium przeprosił mnie, że niestety nie mogą mnie zatrudnić. Jedną z przyczyn mogło być to, że produkowali pompy dla marynarki wojennej.

Szkoda mi było tej szansy, z pensją na początek kilka razy wyższą niż miałem jako modelarz. Żałowałem, że nie podałem swojego amerykańskiego adresu, przecież nikt nie sprawdzałby, a praca byłaby zbliżona do moich kwalifikacji. Wynika z tego, że trzeba kłamać, a tak naprawdę – bez samo reklamy – nie lubię tego robić. Ten jeden prawidłowo podany adres zmienił całą moją przyszłość w Ameryce. Pracując w tym laboratorium powtórzyłem drogę swojej kariery zawodowej w Polsce. Byłbym jednym z wielu statecznych członków amerykańskiej średniej klasy, z domkiem, basenem, i jakimś pekińczykiem – jazgoczącym od czasu do czasu na odwiedzających mnie równie statecznych gości. Czy dobrze, czy źle? Trudno to ocenić. Myślę, że opatrność uchroniła mnie od ustabilizowanego życia – w zamian zmusiła do ciągłego balansowania na różnych niepewnościach. [Niewątpliwie, gdyby mnie przyjęli, nie byłoby „Okruców“.]

W miarę przedłużania się mojego pobytu w USA przybywało mi latek, a po zaawansowanej czterdziestce trudno załapać się na wysoko kwalifikowaną pracę, szczególnie będąc na liście osób do deportacji. Będąc w imigracyjnym „zawieszeniu”, bez trudu zarabiając na utrzymanie, nie miałem też motywów skłaniających mnie do intensywnego poszukiwania innej pracy, jednak od czasu do czasu odwiedzałem „targi pracy”. Najciekawszym miejscem gdzie zaproszono mnie było Brookhaven National Laboratory na Long Island. Poszukiwali kogoś na miejsce odchodzącego na emeryturę kierownika działu konstrukcji mechanicznych eksperymentalnej nadprzewodnikowej linii przesyłowej. Otrzymałem zaproszenie na „interview”. Po paru wyczerpujących rozmowach wiedziałem, że wykazałem się dobrą znajomością wymaganych zagadnień.

Zabawne, ale odchodzący na emeryturę szef twierdził, że ostatni stopień schładzania nie ma wymiennika ciepła. Unikając nietaktu pokazałem mu ten wymiennik na dużym schemacie wiszącym na ścianie... Warunkiem zatrudnienia był co najmniej dwuletni kontrakt. Na moją uwagę, że nie jestem obywatelem amerykańskim personalna odpowiedziała, że gościli specjalistów z Instytutu Badań Jądrowych w Świerku – nie było żadnych zastrzeżeń typu tajności – dodała, że byli to dobrzy specjaliści. Byłem prawie że przyjęty, obiad, rozmowa z dyrektorem, zwrot kosztów dojazdu i *See you soon*. To „soon” odwlekło się na zawsze, przypuszczalnie sprawdzili, że jestem na deportacyjnej liście.

W innym przypadku zgłosiłem się na „otwarty dzień” w firmie, jak okazało się produkującej sprzęt dla amerykańskiej armii. Dziwiłem się, że po złożeniu „Resume” pomijano mnie w zapraszaniu na rozmowę. Ponieważ uparcie czekałem zostałem zaproszony do sali projekcyjnej. Pokazali firmowy filmik z odrzutowcami – wszelkie dalsze komentarze były zbyteczne. W jeszcze innym przypadku byłem na „interview” w firmie Raytheon. Nie wiedziałem wówczas, że jakiś Amerykanin polskiego pochodzenia konstruował tam właśnie przebój lat dziewięćdziesiątych – system antyrakietowy „Patriot” – szukali inżyniera mechanika.

Po wypełnieniu aplikacji dostałem parę kartek z zadaniami typu dodawanie, odejmowanie i mnożenie. Gdy skończyłem te szkolne rachunki spytałem testującego „górala”: *czy wszystkim osobom legitymującym się dyplomem inżynierskim dajecie takie testy. „Poniał tonkiju aluzju”* – jak powiedzieliby Rosjanie – podziękował mi za zaliczenie testu... Zaczął się też okres pytań o pozwolenie na pracę, w niektórych firmach chcieli nawet oglądać „zieloną kartę”. Także łatka szły do przodu, co bez możliwości powołania się na wysoko kwalifikowaną pracę w USA stwarzało trudną do przekroczenia barierę awansu zawodowego...

Lepiej jednak skończę opowiadać o mojej posadzie „modelarza”. Siedziałem więc sobie w zaciszu mojej pracowni modelarskiej i majstrowałem różne rzeczy. Naprawiałem też od czasu do czasu jakieś biurowe urządzenia. W końcu zaproponowali mi, abym przeszedł do nowo tworzonej filii w North Bergen na stanowisko Hands-on Maintenance Manager. Była to praca łącząca w jednej osobie funkcje kierownika i mechanika utrzymania ruchu, czyli dbania o sprawność maszyn i urządzeń. Aby nie przepracowywać się i w odróżnieniu od usług uprzednio zatrudnionej firmy serwisowej starannie naprawiałem maszyny i urządzenia, z czasem praktycznie nie było nic do naprawiania.

Przez większość dnia siedziałem na zapleczu hali przy swoim stoliku. Od czasu do czasu naprawiałem coś, ale przeważnie czytałem różne rzeczy. Trwało to do momentu, gdy syn właściciela oddał kierowanie firmą w ręce zatrudnionego menedżera. Człowiek ten doszedł do wniosku, że maszyny nigdy nie psują się i żaden Hands-on Maintenance Manager nie jest im potrzebny. Parę osób ostrzegało mnie, udawaj, że coś robisz – nie zamieniłem się jednak w aktora. Dali dobrą odprawę i zwolnili. W międzyczasie zapomnieli o obiecanej premii za skonstruowanie regału „Golden Profit”. Jednak nie mogę narzekać. Przez około dwa i pół roku miałem dobre pieniądze pracując jak w PRL: „Czy się stoi czy się leży dwa tysiące się należy”.

Aby nie tłumaczyć się potencjalnym pracodawcom dlaczego nie mam ani pozwolenia na pracę ani zielonej karty postanowiłem otworzyć własny biznes. Będąc na zasiłku dla bezrobotnych skończyłem półroczną szkołę biznesu, wkrótce po tym zdałem egzamin na uprawnienia elektryczne. Od tego czasu nikt mnie nigdy i nigdzie nie pytał o pozwolenie na pracę lub o zieloną kartę. Szczerze mówiąc w czasie zdawania tego egzaminu nie miałem zielonego pojęcia o zawodzie elektryka. W uprzednich miejscach pracy naprawiałem różne urządzenia elektryczne oraz zakładałem drobne instalacje, było to praktycznie „nic” z profesji elektryka. Po podjęciu decyzji w przeciągu sześciu tygodni nauczyłem się wszystkiego co było potrzebne do zdania tego egzaminu. Zdałem za pierwszym podejściem osiągając średnio 86% poprawnych odpowiedzi. Dla chętnych do zdawania tego typu egzaminów w USA polecam księgarnie Barnes & Nobel sprzedające książki z pytaniami i odpowiedziami z kilku kolejnych egzaminów w różnych specjalnościach.

Wcześniej nigdy nie uczyłem się tak intensywnie, wręcz od rana do późnej nocy. Przy pierwszym czytaniu, z słabą znajomością j. Angielskiego, połowy terminów nie rozumiałem. Aby zrozumieć co to jest „Toggle Bolt” dzwoniłem do Ryśka, ponieważ w żadnym słowniku nie było tego określenia. Podobnie było z wieloma innymi fachowymi terminami, uczyłem się tworząc asocjacje terminów z zastosowaniami. Wielu terminów, nawet przetłumaczonych na język polski, nigdy wcześniej nie znałem. Gdybym miał „żywego” egzaminatora na pewno oblałbym ten egzamin. Przy egzaminie testowym, nawet jeżeli odpowiadając na parę pytań popełniłem karygodne błędy, sprawdzający komputer nie dostał palpacji swojego komputerowego serca – liczył się procent poprawnych odpowiedzi.

Najłatwiejsze były pytania dotyczące obliczeń elektrycznych – odpowiedziałem na nie w pierwszym „przebiegu”. Trudniejsze były pytania dotyczące praktycznych zagadnień i zastosowań. Według opinii „weteranów” próbujących zdać ten egzamin po raz któryś z rzędu najtrudniejszą miała być druga część egzaminu, z zakresu amerykańskiego prawa elektrycznego. „NATIONAL ELECTRICAL CODE” jest grubą książką podzieloną na działy i paragrafy – przypomina zbiór wymagań techniczno eksploatacyjnych jakiegoś potwornie skomplikowanego urządzenia. Z tego punktu widzenia musiałem znaleźć logikę podziału na działy oraz typową strukturę każdego działu. Ułatwiała to poruszanie się w tym monstrualnym zbiorze parametrów, wymagań i zastosowań.

Nie ma żadnych możliwości nauczenia się NEC na pamięć, jednak w drugiej części egzaminu można było korzystać z tej biblii amerykańskich elektryków – najgorszym wrogiem był czas – po parę minut na pytanie. Po otrzymaniu wyników sam byłem zaskoczony. Z NEC dostałem 88% a z pierwszej części egzaminu 84%. Po prostu do dnia dzisiejszego znawcy zagadnienia traktują moje wynurzenia na ten temat jako czystą fantazję. Większość aplikantów, włączając amerykańskich absolwentów wydziałów elektrycznych, zawala pierwszy egzamin a któryś kolejny zalicza na poziomie 80 procent – mam jednak „papiery” potwierdzające moją opowieść.

Z moich doświadczeń w uczeniu się zalecałbym następujące kroki:

1. Rzut okiem na całość przedmiotu: „co to jest i z czym się to je”;
2. Podział materiału na części (działy, zagadnienia, itp.) oraz „rozszyfrowanie” ich struktury, najczęściej składającej się z kilku podobnych elementów;
3. Rozszyfrowanie nieznannej terminologii, definicji, itp., np: „frajer” - osoba ucząca się wszystkiego na pamięć „jak leci”;
4. Zrobienie jak najkrótszych „ściąg” z wszystkich wytypowanych wcześniej części;
5. Wybranie wszystkiego co jest najważniejsze w wszystkich ściągach i zrobienie „super ściąg”;
6. Schowanie wszystkich ściąg i zrobienie ich od nowa nigdzie nie zaglądając;
7. Zweryfikowanie i poprawienie nowych ściąg;
8. Przed egzaminem wyrzucenie ściąg razem z książkami i zeszytami do kosza (UWAGA! Jeżeli chodzi o kosz, to należy wybrać taki kosz, w którym po egzaminach można będzie znaleźć wartościowsze książki i zeszyty);
9. Udanie się na piwo z korzeniami (tylko osoby pełnoletnie).

Do pełnego sukcesu potrzebna jest też swoista „higiena” przedegzaminacyjna. Początkiem jej było zalecenie Nr 9. Wieczór przed egzaminem nie może być poświęcony jakiegokolwiek nauce, przynajmniej od dobranocki dla dzieci do dobranocki dla dorosłych (około 23-ciej). Podczas tego wieczoru trzeba zapomnieć o nauce a także o wyznaczonym na następny dzień egzaminie. Najlepszym sposobem jest właśnie grupowe udanie się na dobre grzane piwo z korzeniami. Sprawdziłem to sam, gdy na pierwszym roku Politechniki Warszawskiej biegaliśmy kiedyś z Placu Narutowicza na dawny Dworzec Centralny. Aromat cynamonu z goździkową zaprawą oczyszczał umysł i uśmierzał zestresowany żołądek. Ważnym jest też to, że schlać się tym nie można, a jeżeli można, to nie należy.

Następnym elementem przedegzaminacyjnej higieny jest walnięcie się do łóżka nie później niż o północy. Gdyby jakieś głupie myśli błąkały się po głowie, wówczas trzeba zdecydowanie wyrecytować: *No tak, nic już nie pamiętam, najwyżej obleję i nie zdam - pora spać.* Zapadając w sen trzeba też uświadomić sobie, że świat nie kończy się na jednym oblanym egzaminie, będą następne. Jeżeli i to nie poskutkuje, ostatnią pigułką nasenną będzie marzenie o sprywatyzowaniu jakiegoś PGR w Bieszczadach. Świeże powietrze, zapach traw i kwiatów oraz tabuny owieczek do liczenia..., sen przychodzi po zliczeniu połowy stada.

Ranek musi być rześki, prysznic albo woda ze studni. Z braku tych luksusów dobry jest też kubek wody wylany na głowę przez kumpla lub kogoś „pod ręką”, kto wcześniej wstał. Później lekkie śniadanko, oraz tuż przed wyjściem zerknięcie na walające się w koszu na śmieci ściągi. Po przejrzeniu, nawet bez czytania, należy spokojnie udać się na egzamin. Jeżeli blisko, wówczas najlepiej piechotką i bez pośpiechu, ponieważ przy zdanym lub nie zdanym egzaminie świat jest przecież zawsze piękny.

Do egzaminów testowych potrzebne jest też wcześniejsze opracowanie odpowiedniej strategii. W trakcie egzaminu konieczne jest przeczytanie wszystkich wariantów odpowiedzi pomimo, że pierwszy czy drugi wydaje się prawidłowy. Przy pierwszym „przebiegu” należy odpowiadać tylko na te pytania, na które można na 100% odpowiedzieć bez zastanowienia. Przy drugim przebiegu odpowiada się tylko na te pytania, na które jest szansa szybkiego wydedukowania prawidłowej odpowiedzi.

Tak się często składa, że w kolejnych pytaniach znajdują się wskazówki, jak odpowiedzieć na wcześniejsze pytania. Trzeba też zauważyć, że w wielu pytaniach część odpowiedzi eliminuje się sama poprzez sprawdzenie: „co by było, gdyby ta odpowiedź była prawidłowa..., lub nieprawidłowa”. Czasami porównanie proponowanych odpowiedzi wskazuje, które z nich są błędne. Koncentracja, zrozumienie tekstu i myślenie decydują o sukcesie. W zależności od przedmiotu warto wcześniej opracować odpowiednie testy „eliminacyjne” i przeciwiczyć je na przykładowych zestawach pytań. Szczególną uwagę należy zwrócić na odpowiedzi zawierające kategorię stwierdzenia. Nie należy też bać się zaznaczać te same numery odpowiedzi w serii kolejnych pytań, może to być trick zmierzający do zmylenia odpowiadającego na pytania.

Ostatni, trzeci przebieg, powinien być kontrolowany ilością niemiłosiernie upływającego czasu. Wybiera się jakieś sympatyczne lub prawdopodobne odpowiedzi, a ostatnie pięć minut poświęca się na losowanie jednej z odpowiedzi w pozostałych do odpowiedzenia pytaniach. Dla ciekawskich proponuję eksperyment polegający na „zaliczeniu” testu z zupełnie nieznanego przedmiotu. Stosując powyższą strategię, przy czterech odpowiedziach na każde pytanie, tylko losując, można uzyskać około 25% „poprawnych” odpowiedzi. Stosując wszystkie zalecenia według proponowanej powyżej strategii, można podskoczyć do 40-stu lub 50 procent „prawidłowych” odpowiedzi – pod jednym warunkiem, że wszystkie terminy (definicje) w pytaniach i odpowiedziach będą zrozumiałe. Przy zdawaniu jakichkolwiek egzaminów, ustnych lub testowych, zrozumienie terminów jest absolutną koniecznością, bez takiego zrozumienia lepiej nie marnować swojego i cudzego czasu.

Rozdzielenie odpowiadania na „przebiegi” pozwala też na wykorzystanie podświadomego działania mózgu. Już przy pierwszym czytaniu wszystkie pytania i odpowiedzi rejestrują się gdzieś w podświadomości. Pomimo zastanawiania się nad jakimś bieżącym pytaniem w tle świadomego działania mózg ciągle pracuje nad wcześniej przeczytanymi pytaniami i odpowiedziami. Coś takiego jak w komputerze sieciowym obsługującym jednocześnie wiele zadań szukania odpowiedzi „podłączonych” do niego „pytań”. Wiercie mi, tak jest, Wasz mózg ciągle pracuje, odkrycie to.

Być może wygląda to wszystko na jakąś szarlatanerię, jednak w USA są specjalne szkoły przygotowujące do zdawania testowych egzaminów. Będąc „przyciśniętym do muru”, ze słabą znajomością języka angielskiego, sam wykombinowałem powyżej opisaną procedurę – zdały egzamin razem ze mną. Mogą być zastrzeżenia na temat uczciwości takiego sposobu zdawania egzaminów, moim zdaniem nieuzasadnione. Jeżeli ktoś wyćwiczy umysł w „obalaniu” tego typu testów, rozwiąże też testy stawiane przez życie w różnych nawet niespodziewanych sytuacjach. Jedynie w przypadku podejmowania decyzji na miarę „życia lub śmierci”, dopóki jest czas na zastanowienie, nie można zgadywać.

Niewątpliwie takie zdawanie egzaminów podważa tak potrzebną ludziom słodką pewność posiadania intymnego uczucia zrozumienia. W różnych miejscach „Okruchów” załączam drobne sugestie na temat mojego poglądu „co to znaczy rozumieć”. Myślę, że każdy powinien znaleźć swoją własną odpowiedź na to pytanie. Być może zrozumienie wszystkiego jest tylko zdefiniowaniem odpowiedniej „talii kart i reguł gry”, a później mechanicznym stosowaniem reguł gry – chociaż podobno człowiek nie jest bezmyślnym komputerem...?

Gdy po utrzymaniu uprawnień elektrycznych przyjąłem pierwsze zamówienie „zaczęłem” od gospodarza, u którego mieszkałem. Otworzyłem parę skrzynek elektrycznych, aby zobaczyć, jak w rzeczywistości wygląda to, co „zaliczyłem” na egzaminie. Później, zamówienie za zamówieniem, zdobywałem doświadczenie. Początkowo nie wiedziałem jak drogie są usługi elektryczne, moje wyceny były śmiesznie niskie. Z czasem kupiłem katalog wycen prac elektrycznych. Przyznaję, że było to zajęcie dające dobry dochód. Robiło się jakąś pracę w ciągu dwóch dni, a zarobek był jak za tydzień pracy w poprzednim miejscu.

Zatrudniałem też od czasu do czasu chłopaków płacąc „cash”, czyli gotówkę. Najniższą stawką było 6 \$ za godzinę a najwyższą 10 \$ za godzinę, w większości przypadków płaciłem 7 \$ za godzinę. Nie wiedząc co będzie ze mną dalej (ciągle na deportacyjnej liście) nie przepracowywałem się, miałem dużo czasu na różne inne sprawy. W gorące dni byczyłem się nad oceanem lub siedziałem w klimatyzowanej bibliotece. Załatwiałem też różne sprawy znajomym i czytałem wszystko, co wpadło mi do rąk.

Przybywała fala byłych internowanych, pomagałem im stawiać pierwsze kroki w USA. Przygotowywałem do egzaminów na prawo jazdy. Zdawali je na moim samochodzie, aż zagrożono mi, że będę ukarany za prowadzenie nielegalnej szkoły nauki jazdy. Wybroniłem się pokazując ważną jeszcze wtedy legitymację członka KPA jakoby „z urzędu” pomagającego nowo przybyłym rodakom. Poradziłem, aby sprawdzili, czy wziąłem chociażby jednego centa, nawet za benzyne, od chociażby jednej osoby z listy, którą mi przedstawili. Pokazywałem nowo przybyłym sklepy i uczyłem jak oszczędnie robić zakupy. Asystowałem w załatwianiu różnych spraw urzędowych, byłem tłumaczem w szpitalach i u lekarzy.

Znając od lat osiadłych w USA przyjaciół moich krewnych byłem pośrednikiem w przekazywaniu „nadwyżek” różnych mebli i innych przedmiotów. Pomimo wymaganego przez władze PRL podpisania oświadczenia, o wywiezieniu „całego mienia”, byli internowani przyjeżdżali z paroma walizkami, a pomoc przyjmujących ich organizacji była symboliczna. W pierwszej kolejności organizacje te znajdowały mieszkanie, o znalezienie pracy musieli starać się sami. Bardzo często sąsiedzi Amerykanie, znający ich sytuację, spontanicznie organizowali się i pomagali w wyposażeniu w najpotrzebniejsze przedmioty. Jest to bardzo sympatyczna cecha Amerykanów, jeżeli tylko wiedzą, że ktoś jest w potrzebie, organizują się i pomagają.

Także w tym przypadku, moja „nadgorliwość” wzbudzała różne podejrzenia. Wierząc w swoje posłannictwo „najgroźniejszych przeciwników komuny” szybko zarazili się psychozą agentów. Będąc w trudnej sytuacji nowych imigrantów przeżywali częste stresy, jedynym moralnym zadośćuczynieniem ich początkowej mordegi była wiara, że ciągle są tymi, których wszechpotężna komuna inwigiluje. Po mojej pomocy w załatwieniu ważnej sprawy jeden z takich sympatycznych byłych internowanych powiedział: *Nieważne, kto ty jesteś, ale będę ci zawsze wdzięczny za twoją pomoc.*

Współczułem im, a czasami byłem wkurzony. Przyjmując słowa podziękowań za pomoc prosiłem, aby w przyszłości oddali część mojego czasu pomagając innym. Mam nadzieję, że nie zapomnieli o tym, że w jakiś sposób pomagają ciągle przybywającym i często niezaradnym rodakom. Zdecydowana większość solidarnościowej emigracji, po pierwszym okresie rozterek i zagubienia, szybko zaadoptowała się i dobrze sobie radzi. Samochody, na początku byle jakie, musieli kupować już po paru miesiącach pracy. Bez samochodu trudno w USA z dojazdami do pracy i z zakupami, także niebezpiecznie. Po dziesięciu latach wiele osób kupiło domy, ponieważ spłacanie pożyczki jest często porównywalne z płaceniem za wynajem mieszkania.

W tym okresie przybywania byłych internowanych chciałem skłonić amerykańskie związki zawodowe do udzielenia im pomocy. Sam nic nie mogłem zrobić, musiałyby wystąpić o to jakaś licząca się organizacja. Zaproponowałem Kongresowi Polonii Amerykańskiej, aby zwrócili się do popierającej Solidarność centrali związkowej AFL-CIO o przyznanie polskim związkowcom jakichś zasiłków na zagospodarowanie. Oprócz zasiłków, szczególnie ważne byłoby przyjmowanie ich do pracy w firmach kontrolowanych przez tą centralę. Opracowałem harmonogram działania, uważałem, że amerykańscy związkowcy byliby w stanie zaoferować taką pomoc i przynajmniej ze względów propagandowych udzieliliby jej. Niestety, KPA odrzuciło ten pomysł pokrętnie odpowiadając, że nie mają środków na udzielenie pomocy. Jest to taki typowy amerykański sposób odwalania spraw – ktoś pisze o gwoździach a dostaje odpowiedź o dupie Maryni. W USA jest to nagminna praktyka uprzejmego zbywania interesantów. [Twarz w twarz nigdy nie powiedzą „nie“, ale tak kręcą, aby pozbyć się interesanta. Dopiero żądanie odpowiedzi „tak lub nie“ zrywa maskę uprzejmości.]

Pomijając KPA sztuka pozbywania się interesantów przez amerykańskie urzędy, szczególnie utrzymywane z podatków, została doprowadzona do perfekcji – takie urzędy istnieją same dla siebie. Na listy, jeżeli nie polecane, praktycznie nigdy nie odpowiadają. Wprowadzono automatyczne centrale telefoniczne – przez naciskanie guzików wybiera się różne opcje – można błędzić godzinami. W najlepszym wypadku dociera się do jakiejś automatycznej sekretarki proszącej o pozostawienie wiadomości, niestety, automatyczne sekretarki nie potrafią odpowiadać.

Przyjeżdżając do USA nie wyobrażałem sobie, że nasza PRL-owska biurokracja była tylko dzieciątkiem w powijakach w porównaniu z amerykańską biurokracją. Narzekania bywających w Polsce Amerykanów na polską biurokrację i przepisy prawne, niewątpliwie uzasadnione, nie zmieniają faktu, że w USA jest jeszcze gorzej. Załatwianie różnych spraw bez znajomości lub czyichś rekomendacji jest równie trudne jak w Polsce, a pieniądze i fawory są nagminnie stosowanym „smarowidłem”. Chyba tylko „po znajomości” USA nie ładuje na liście bardzo wysoko skorumpowanych krajów. Skandal z powierzeniem organizowania zimowej olimpiady w Salt Lake City to tylko szczyt powszechnej korupcji, tak normalnej, że praktycznie niezauważalnej jako jakiś problem. Ileż to razy pokazywali w telewizji skute kajdankami sznureczki urzędników miejskich biorących „swoje” 10% za zlecenia na wykonywanie różnych prac. Co jakiś czas wyprowadzają ich, a nowi od startu biorą swoje dole jakby nigdy nic...

Po rozpoczęciu elektrycznego biznesu byłem częstym gościem w urzędach miejskich wydających odpowiednie pozwolenia. W jednym z nich zostałem serdecznie przywitany jako „nowa twarz” w elektrycznym biznesie. Urzędnik przyjmujący papiery z miłym uśmiechem zadał mi pytanie: *Jak idzie biznes*. Zmyślnie spytał, czy nie chciałem u nich pracować, ponieważ mają wolne etaty. Oczywiście było moje pytanie, na jakie zarobki mógłbym liczyć. Odpowiedział, że zarabia dziewięć tysięcy dolarów rocznie. Zaskoczony spytałem, jak on może przeżyć z tej poniżej głodowej pensji. Na to tylko czekał, uśmiechając się porozumiewawczo, odparł: *No tak, ale wy robicie dobre pieniądze*. Nie dałem ani grosza. Na początku przeciągali wydawanie pozwoleń, raz nawet inspektor złośliwie nie przyjął dobrze wykonanej pracy. Zamiast zwyczajowych 50\$ wysmarowałem skargę na piśmie – nie lubią pism. Zaakceptowali robotę, jednak przez jakiś czas boczyli się trochę na mnie. W końcu dali mi spokój, bo mając dokumentację wydanych pozwoleń wiedzieli, że nie robię dużych pieniędzy.



Czekam na inspekcję.

Nie wykonywałem prac dla instytucji finansowanych z podatków, a były to najbardziej opłacalne prace. Dla przykładu podam, że za jeden zamontowany czujnik dymu brałem od indywidualnych klientów od 90 do 120 dolarów, była to dobra i opłacalna stawka. Gdy zainteresowałem się przetargami i sprawdziłem wyceny wcześniej wykonanych prac, osłupiałem. Za każdy czujnik instalowany w więzieniu jakiś kontraktor brał około 900 dolarów. Państwowe pieniądze wydawane były lekko i hojnie, i to nie tylko w branży elektrycznej. O ile dobrze pamiętam młotki po 3,5\$ jakiś pośrednik sprzedawał armii amerykańskiej po 50 \$ od sztuki, a były też „przebicia” do dwustu razy na różnych tanich „śmieciach” powszechnie dostępnych za grosze.

Jednak z kontraktami dla państwa nie było łatwo. Konieczne były 10% łapówki, albo w najlepszym przypadku posiadanie pod ręką jakiegoś wpływowego urzędnika lub polityka – też najczęściej liczącego na „wdzięczność”. Oprócz tego, chociaż nie było to takie trudne, trzeba było załatwiać pożyczkę na wadium. Nie zdecydowałem się na tą drogę robienia wielkiego „amerykańskiego” biznesu. W oczach wielu ludzi jestem niewątpliwie frajerem..., i dobrze mi tak. Moimi klientami byli najczęściej właściciele domów. W domach jednorodzinnych zamawiali unowocześnienie systemów elektrycznych, więcej mocy, nowe gniazdko, itp. W latach osiemdziesiątych właściciele czynszówek zmuszani byli do instalowania systemów ostrzegawczych przed pożarami. Właściciele sklepów i małych biznesów, jak zawsze, potrzebowali podłączać różne nowe urządzenia.

Lokalne samorządy nadzorujące prace budowlane i elektryczne, żądne pieniędzy dla coraz większego grona zatrudnianych pociotków, ciągle podnosiły opłaty za pozwolenia oraz rozszerzały zakres prac wymagających pozwolenia. Zaczęto oddzielnie obciążać za pozwolenia na gniazdka ogólnego zastosowania, za gniazdka do klimatyzatorów, za gniazdka do suszarek, itp. Nawet za pozwolenie na zainstalowanie dzwonka różne miasteczka wprowadzają oddzielne opłaty. Płodzą coraz więcej przepisów i wprowadzają coraz więcej opłat. Dzielą przysłowiowy włos na czworo, aby wydrenować wyborców, dla których dobra jakoby istnieją.

Tego typu zwyrodnienia każdej administracji i pod każdą szerokością geograficzną są niewątpliwie nieuniknione i nieodwracalne. Gdyby ktoś znalazł sposób, aby zapobiec temu, zgarnąłby kilka Nagród Nobla. Proces takiego zwyrodnienia przebiega powoli, praktycznie niezauważalnie. Czasami tylko następują jakies skokowe zmiany na skutek odosobnionych nagłośnień incydentów. Symptomatyczne są też uzasadnienia podnoszenia opłat za różne uchybienia karane mandatami: „*Podnosimy wysokość kar, aby ograniczyć lub wyeliminować uchybienia*”. Po jakimś czasie okazuje się, że ilość uchybień nie zmniejszyła się, następne podwyżki. Prawda jest jednak bardziej prozaiczna, zgarniane pieniądze zwiększają apetyty.

Prowadząc zakład instalacji elektrycznych przyjmowałem zamówienia od ludzi o różnych etnicznych korzeniach, tu wszyscy są w którymś pokoleniu przybyszami, najmniej od Polaków. Wszystko, czego nie zauważą inspektorzy, Polacy wykonują we własnym zakresie, bez pozwoleń, zresztą nie tylko oni. Aby nie płacić podatku VAT Włosi najczęściej rezygnują z rachunku za usługę, płacą gotówką wyklinając urzędy podatkowe. Żydzi skrętnie zbierają rachunki i radzą, aby przyjąć czek z napisem „cash” (gotówka na okaziciela). Twierdzą, że w ten sposób odbierający zapłatę nie musi naliczać podatku VAT, niestety, banki nie realizują czeków bez zanotowania danych odbiorcy.

Każdy kto może unika naliczania stanowych podatków od sprzedaży i usług. Czasami wręcz warunkiem otrzymania pracy było wykonanie jej bez zgłoszenia. Właściciele domów nie chcą, aby lokalne urzędy podatkowe wiedziały, co zostało zrobione. W oczach lokalnych administracji każda wykonana praca podnosi wartość domu zwiększając podatek od nieruchomości naliczany jako procent jej rynkowej wartości.

Aby nie znaleźć się na „ławeczce” urzędu podatkowego starałem się zawsze dodawać do moich sprawozdań podatkowych orientacyjne sumy zarobione na pracach bez rachunków – strzeżonego Pan Bóg strzeże. Przynajmniej w jednym przypadku taki drobny dodatek „gotówkowy” pomógł mi uniknąć szantażu. Właściciel czynszówki, nowobogacki murzynek, poprosił, abym naprawił dzwonek do mieszkania na pierwszym piętrze, obiecywał przy tym, że będzie miał dużą robotę. Zapłacił gotówką, za jakiś czas zgłosił się z pretensjami, że przestały działać dzwonki do innych mieszkań. Chyba taką „dużą robotę” miał na myśli.

Dom był przynajmniej 80 letni, niewątpliwie dzwonki te nie działały już od dawna. Odmówiłem „gwarancyjnej” naprawy całego systemu, złożył na mnie skargę. Mając „zaksięgowaną” usługę nie poddałem się szantażowi. Innym razem Grek zamówił gniazdko do klimatyzatora, z zastrzeżeniem, że bez zgłaszania pracy w nadzorze miejskim. Po zapłaceniu gotówką zadzwonił za tydzień meldując o zniknięciu zasilania w kilku gniazdkach w kuchni, których odrębnej instalacji w ogóle nie dotykałem. Twierdził, że muszę naprawić, ponieważ inaczej zamelduje wykonanie pracy bez pozwolenia i inspekcji. Odwiedziłem go i pokazałem mu ile ma uchybień, oszacowałem, ile będzie kosztowało ich usunięcie, gdy wezwie inspektora – zamilkł jak niepyszny. Określeń „Polacy”, „Żydzi”, „Włosi”, „Grek” lub „murzynek” nie należy interpretować jako jakichś grupowych charakterystyk, po prostu miałem takie przypadki.

Najbardziej podziwiałem przemysłowość rodaków. Gdy trafiałem do ich domów, znajdowałem tam różne „elektryczne wspaniałości”. W domu przy Jersey Avenue w Jersey City zakładałem nowy serwis (doprowadzenie prądu do budynku). Po zakończeniu pracy właścicielka spytała, dlaczego od dłuższego czasu lecą iskry, gdy metalowy pancerz luźnego kabla przypadkowo muśnie rurę gazową, dodała: *Franek to sobie założył, aby pędzić airkondyszena*. A Franek tak to wykombinował, że na pancerzu używanym jako przewód uziemiający było napięcie. Klimatyzator działał a „wakacjusz” Franek uchodził za specjalistę elektryka.

Niesamowici są ci nasi chłopcy przyjeżdżający na zarobek. Żadna praca nie jest im straszna: elektryka, stolarka, azbesty, mycie wieżowców, telefony, radia i telewizory. Bez skrupułów naprawiają i robią wszystko..., o dziwo, często coś z tego wychodzi. Frankowi „airkondyszena” też działała, na szczęście nikt nie dotknął jednocześnie panczeru kabla i rury gazowej. [Muszę nadmienić, że jest pośród Polaków wielu wspaniałych fachowców obdarzonych technicznymi talentami. Jednym z nich jest mój przyjaciel, Ireneusz Saniewski z Zambrowa, pomimo średniego wykształcenia, wręcz geniusz techniczny].

Zabawni są Hindusi, w czasie wyceny jak spod ziemi wyrasta paru innych. Jeden przez drugiego ogłaszają, ile to rzeczy mają do zrobienia, jak się cieszą, że trafili na takiego doskonałego fachowca..., i jakie to dobre wyceny będą mieli. Oczywiście, po dobieciu targu w tym rozentuzjzmowanym tłumku przyszłych klientów wszyscy znikają, a kontrahent jest przekonany, że za pomocą tego triku dostał cenę o połowę mniejszą. Przyznam, że w takich przypadkach instalowałem najstarsze i najmniej „chodliwe” podzespoły i materiały.

W domach Hindusów można dostać zawrotu głowy. Ich przyprawy są bardzo silne i o dziwnym dla nas aromacie. Bardzo często „zaludnienie” na jeden metr kwadratowy bije na głowę najbardziej zagęszczone M3 z trzema pokoleniami „na pokładzie”. W jednym takim domu miał swój biznes wróżbita z szyldem i z ogłoszeniami w prasie. Chciał, aby zmienić dzwonek na jakiś bardziej donośny. Ze zdziwieniem zaakceptowałem jego telefoniczną informację, że dzwonek powinien być na napięcie sieciowe (mają zazwyczaj dobre wykształcenie, odróżniają wolty od amperów itp.). Po drodze kupiłem dzwon alarmowy i oczekiwałem, że instalacja jest wyposażona w przekaźnik włączający napięcie sieciowe. Niestety, przystosowany do niskiego napięcia przycisk na zewnątrz domu zasilany był napięciem sieciowym.

Odmówiłem wymiany jego egzotycznego dzwonka na dopiero co kupiony dzwon alarmowy. Nie dał się przekonać, dlaczego nie chcę i nie mogę wymienić czegokolwiek w tak niebezpiecznej instalacji. O innych rozwiązaniach nie chciał nawet słyszeć. Tłumaczyłem mu, że w czasie deszczu jakiś jego klient może być śmiertelnie porażony dotykając namokniętego przycisku – w dodatku, zanim pozna z wróżb swoją przyszłość. Chciał, abym założył na jego odpowiedzialność, też odmówiłem, był niepokieszony. Odchodząc poradziłem mu, aby powrócił sam sobie, wtedy dowie się, co go czeka, jeżeli zostawi napięcie sieciowe w dzwonkowym przycisku. Od tej pory nie wierzę w hinduskich wróżbitów, a ten dzwon alarmowy do dzisiaj wala się gdzieś niewykorzystany.

W innym przypadku w zapuszczonej dzielnicy Jersey City właściciel domu chciał wymienić doprowadzenie prądu do budynku wraz z licznikami i skrzynkami bezpieczników. Była to zapuszczona czynszówka z sześcioma mieszkaniami. Właściciel zaakceptował moją wycenę bez żadnych targów, o ile pamiętam 1550 \$ plus podatek i koszt pozwolenia. Byłem zaskoczony, ponieważ większość targuje się, aby uszczknąć chociaż parę dolarów, przy okazji zauważyłem jakieś nieczne błyski w jego oczach. Stara instalacja nosiła ślady licznych manipulacji oraz pobierania prądu przed licznikami. Dzielnica też była taka, że lepiej nie pokazywać się tam po zmierzchu.

Przygotowałem umowę przeplatając etapy wykonania prac etapami częściowych opłat oraz klauzulę, że przed rozpoczęciem pracy da zadatek w wysokości 500\$. Podpisał bez słowa, zamiast gotówki, jak wcześniej obiecywał, dał mi czek. Bezpośrednio po otrzymaniu imiennego czeku pojechałem do jego banku, w kolejce wyprzedziłem go parę osób. Widząc mnie był wyraźnie zaskoczony i zde gustowany. Najwyraźniej chciał wycofać pieniądze. Gdybym wpłacił czek do mojego banku, wówczas za parę tygodni po skończeniu pracy miałbym z powrotem ten czek z opłatą za zdeponowanie czeku bez pokrycia.

Gdy miałem już wszystko gotowe do pierwszej inspekcji zgodnie z umową właściciel miał dopłacić parę setek dolarów, niestety zniknął. Wróciłem do domu i zacząłem dzwonić do niego – nikt nie podnosił słuchawki. Po którymś z kolei telefonie odezwała się żona, obrzuciła mnie, że ona z tą pracą nie ma nic wspólnego i zażądała, abym więcej nie dzwonił.

W biurze inspektoratu zdążyłem złożyć notatkę, że zgodnie z umową o dzieło może okazać się, że nie zdążę przywrócić zasilania przed weekendem. Postanowiłem dać właścicielowi szansę na uregulowanie należności w sobotę do południa.

W sobotę na telefony także nikt nie odpowiadał, albo jego żona wymyślała mi od najgorszych. Około czwartej po południu zdjąłem liczniki i schowałem w jego piwnicy. Nie mogłem ich zabrać, ponieważ w New Jersey liczniki są własnością dystrybutora energii. Zaraz potem zadzwoniłem do właściciela, telefon odebrał jego syn z pretensjami, że odszedłem zostawiając cały dom bez prądu. Poradziłem, aby znalazł umowę i sprawdził kolejność prac oraz cząstkowych opłat – po przygotowaniu do pierwszej inspekcji (rough wiring) był etap następnej opłaty. Prosiłem o zwrócenie szczególnej uwagi na klauzulę, że zgodnie z ustalonymi w umowie etapami realizacji właściciel przyjmuje do wiadomości konieczność przerw w dostawie prądu.

Około siódmej wieczorem dorwali gdzieś inspektora, który zadzwonił do mnie, wyjaśniłem całą sprawę, powołałem się też na notatkę złożoną w biurze. Około północy dzwonili z policji, nie podnosiłem słuchawki, nagrali się na automatyczną sekretarkę. Ze względu na jakieś starsze osoby domagali się natychmiastowego przywrócenia zasilania. Dopiero w połowie niedzieli „odnaleziony” właściciel zadzwonił i zaoferował czek. Spokojnie wyjaśniłem, że nie czek a gotówka, nie parę setek, a cała suma zgodnie z umową. Nie dałem się ubłagać. Zadzwonił ponownie w poniedziałek informując, że ma całą sumę w gotówce.

Był to najtrudniejszy przypadek wyegzekwowania zapłaty. Po tej nauczce jeszcze staranniej przygotowywałem umowy, z pułapkami w razie trudności w ściągnięciu należności. Miałem też zawsze drobne „techniczne” zabezpieczenia, gdybym musiał przerwać pracę z powodu odmowy płacenia – wówczas ktoś inny miałby duże kłopoty z jej zakończeniem. Byłem chyba jednym z nielicznych kontraktorów, który nie stracił ani centa z należności za wykonane prace.

U tego „znikającego właściciela” spotkałem się z fenomenem, którego do dzisiaj nie mogę zrozumieć. Po zamianie podłączenia przewodów neutralnego i pod napięciem licznik zmieniał kierunek obrotów. To znaczy, można było okresowo przełączać te przewody, wówczas naliczone już kilowaty „odkręcały się”. Co ci specjaliści od bezpłatnego prądu zrobili, nie mam pojęcia? [Najczęstszym sposobem zasilania małych budynków jest doprowadzenie jednej fazy z uziemionym środkiem, lub dwóch faz systemu „Y”, też z uziemionym środkiem. Pomiędzy środkiem (od którego odprowadza się przewód neutralny) i ramionami faz(y) podawane jest napięcie od 110 do 120V, w zależności od systemu zasilania. Pomiędzy ramionami faz(y) jest mniej więcej podwójne napięcie stosowane do zasilania urządzeń pobierających większą moc.]

Słyszałem o okresowym ustawianiu liczników wody w odwrotną stronę, oby tylko w „minusy” nie zabrnąć, ale prąd, to jednak nie woda. Zostawiłem te liczniki na „prawidłowym biegu”, bo chyba nawet inspektor nic by z tego nie zrozumiał? Formalnie skrzynki licznikowe są plombowane, posiadają też specjalny zamek, którego nigdy nie udało mi się otworzyć. Mając już wykupione pozwolenie na wykonanie pracy często prosiłem faceta z elektrowni, aby otwierał mi te zamki. Jeżeli montowałem nowe skrzynki licznikowe, wówczas zrywałem pokrywę razem z zamkiem wyrzucając ją do śmieci. Jednak w biedniejszych dzielnicach w wielorodzinnych domach mieli jakieś sposoby na otwieranie zamków, i nie tylko.

Jeden z moich klientów miał czynszówkę w dzielnicy zamieszkałej przez „Spanioli”. Niektórzy nazywają tych ludzi „Portorykanie”, chociaż jest to cała mozaika narodowości z Południowej Ameryki posługująca się językiem hiszpańskim lub portugalskim. Właściciel Bernie, bo tak miał na imię, był Żydem z polskimi korzeniami. Sam nie znał języka polskiego, ale jego ojciec oprócz języka znał polską kuchnię, wspominał czasami o jakichś polskich smakołykach. Od pierwszej pracy jaką wykonałem dla niego autentycznie polubiliśmy się. Był młodszy ode mnie, ale miałem wrażenie, jakbym go znał od dzieciństwa.

Była to dosyć nietypowa sytuacja, ponieważ wcześniej tylko w towarzystwie Żydów z ZSRR mogłem czuć się podobnie. Brakowało mu takiego typowego „zadęcia” wyczuwalnego u Żydów amerykańskich. Nie miał też żadnego „holokaustowego” syndromu, jaki wyłazi z Żydów amerykańskich, gdy zobaczą kogoś, kto jakoby z mlekiem matki nałykał się antysemityzmu. Przy takich spotkaniach z „zadętymi” nie pomagały żadne uprzejme słówka lub uśmiechy, trzeba było od razu przechodzić do biznesu, aby nie zapadło głupie milczenie.

Otóż, którejs zimowej nocy około czwartej rano Bernie zerwał mnie z łóżka. Po jakimś pożarze w panelach elektrycznych wszystko w jego czynszówce zgasło, ogrzewanie nie działało, jednym słowem kryzys na cztery fajerki. Na domiar złego była to noc z soboty na niedzielę, znane mi dystrybutornie były pozamykane na cztery spusty (nie było jeszcze Home Depot otwartego w piątki i świątki). Miałem w garażu dużo materiałów, znając jego budynek wybrałem wszystko, co mogło być potrzebne w takiej sytuacji. Wyrwawszy najstarszego syna z błogiej drzemki wziąłem go do pomocy, wkrótce byliśmy na miejscu.

Po zrobieniu rozeznania okazało się, że spalony jest główny automatyczny wyłącznik wraz z przyległościami. Nie mogłbym też połączyć przeciętej przez strażaków napowietrznej linii zasilania. Tak ją ciachnęli, że bez samochodowego podnośnika nie dostałbym się do tego miejsca. Przyjechał Bernie – panel i skrzynka wyłącznika wyglądały opłakanie, powiedział: *Musisz dzisiaj podłączyć zasilanie, ponieważ lokatorzy, szczególnie z małymi dziećmi, będą mnie po sądach ciągli.* Wzięliśmy się z Lechem do roboty, a Bernie mu dałem zadanie, aby na około czwartą po południu załatwił pogotowie elektryczne do podłączenia linii ze słupa. Miał też dzwonić do wszystkich dystrybutorni, gdyby trafił w jakiejś na żywą duszę, prosiłem o powiadomienie mnie.

Pogotowie elektryczne zapowiedziało, że odmówi podłączenia odciętych przez strażaków przewodów bez uprzedniego zatwierdzenia instalacji przez inspektora nadzoru. Robiliśmy robotę a Bernie szalał na telefonach, aby znaleźć inspektora. Miał do dyspozycji tylko parę nazwisk, które pamiętałem. W międzyczasie wciągnęliśmy z Lechem nowe kable do rury serwisu a Bernie znalazł otwartą dystrybutornię, dostałem tam wyłącznik automatyczny 200A pasujący do osmolonej obudowy – dało się ją odczyścić i pomalować. Znalazł też inspektora, miałem u niego dobrą markę, gdy dowiadywał się od klienta, że robotę robił „Safex”, przyklejał zieloną kartkę „APPROVED” bez sprawdzania instalacji. Po krótkiej rozmowie inspektor zadzwonił do pogotowia elektrycznego, w ten sposób około czwartej po południu rzeczywiście zabłyśły światła oraz zaczęła działać instalacja sterująca pieca olejowego. Dopiero wtedy zaczęliśmy rozmawiać o cenie, powiedziałem 800 dolarów. Bernie nawet nie mrugnął okiem – *You got it.*

Przyczynę pożaru łatwo było wydedukować. Potężne napięcie od którego zaczęło gotować się wewnątrz skrzynki zostawiło ślad aż do usuniętej zaślepki. Niewątpliwie ktoś wpychał coś przez ten otwór. Za podwieszanym sufitem schowany był kabel 30A z osmalonym i stopionym końcem. Prowadził do mieszkania dozorca w „Basement apartment” (mieszkanie w wysokiej piwnicy). Dozorca miał klucz do pomieszczenia elektrycznego, niewątpliwie chciał dogrzewać się „kazionnym” prądem.

W czasie, gdy Bernie szalał na telefonach zawołałem dozorcę i powiedziałem mu o moim odkryciu, odpowiedział: *To nie ja, a właściwie nie musisz nikomu o tym wspominać.* Trudno byłoby udowodnić jego winę, istnienie osmolonego kabla zwałałby na swoich poprzedników. Oprócz tego trzeba było jak najszybciej przywrócić zasilanie niszcząc część „dowodów rzeczowych”. Obiecałem mu nie wspominać o całej sprawie, chyba, że ktoś będzie skarżył Berniego. Wyjaśniłem, że jako świadek będę musiał zeznawać na temat uszkodzeń i ich przyczyny. Obiecał, że nikt nigdzie żadnej skargi nie złoży i dotrzymał słowa, ponieważ dozorca jest jak matka. [W ogólniaku zestawialiśmy łańcuszek: woźny to jest stróż – stróż to anioł – anioł to matka.]

Lokatorami Berniego byli ludzie z hiszpańskojęzycznej Ameryki zwani potocznie Portorykańczykami lub Spaniolami. Tak jak nowo przyjezdni Polacy „fixują” (naprawiają) wszystko od zegarków do samochodów. Mają tylko trochę więcej bałaganu w mieszkaniach oraz ostrzejsze są zapachy ich kuchni.


Ich młodziutkie dziewczyny są czasami wyjątkowej urody. Niestety, po pierwszym dziecku większość z nich zmienia się nie do poznania, tak jak żółte delikatne kwiatuszki dyni zamieniają się w pękate owoce po zapyleniu. Polki pod tym względem są o wiele „trwalsze”.

Często na terenie jednej budowy pracowałem właśnie ze „Spaniolami”. Ja robiłem elektrykę, a oni np. ściany, szpachlowanie i malowanie. Wbrew potocznym opiniom o ich „lepkich” rękach nigdy nie przytrafiło się mi, aby coś zginęło. Pracując na jednej budowie byli solidarni, koleżeńscy i uczynni – znajdując jakieś zapomniane cudze narzędzia pytali „is it yours?”. Gdy przynosili pizzę lub szli po kawę – zawsze proponowali poczęstunek.

Spotkałem też na budowie murzynów z Jamajki. Przy okazji rozmawialiśmy na różne tematy. Wykazywali się oni wręcz niespotykaną u przeciętnych Amerykanów znajomością różnych zagadnień. Tak jak czasami półzartem a bardziej serio mówiłem, że polski robotnik w porównaniu z amerykańskim robotnikiem jest wysokiej klasy inteligentem – tak i Jamajczycy górowali nad amerykańską przeciętnością. Jeden z nich z przekorą twierdził, że w każdym momencie mógłby zdać na dowolną amerykańską uczelnię. Wysmarowałem mu na płycie gipsowej trudne równanie – rozwiązał je błyskawicznie. A jego angielski...

Po prostu, różne stereotypy o nacjach i rasach są mało precyzyjne. Są bardzo fajni a także wykształceni Murzyni. W szkole biznesu zaprzyjaźniłem się z Portorykańczykiem, miał na imię Felix. Jedna z naszych sympatycznych czarnych koleżanek zapraszała mnie na prywatkę. Nie wybrałem się – w tym czasie byłem dobrze obstawiony w innym kolorze. Są fajni i sympatyczni Żydzi, szczególnie z wymierającej już grupy naszej przedwojennej inteligenckiej emigracji żydowskiej. Wielu z nich robi dla nas a jednocześnie dla siebie dużo dobrego. Zachowując tych ludzi w sympatycznej szufladce mojej pamięci nie wspominam o nich w „Okruchach”. Być może przyjdzie czas, aby i o nich wspomnieć, aby powiedzieć im parę miłych słów, zapewnić, że moje „odpowiedzi” dla żydowskich siewców nienawiści ich nie dotyczą.

Poruszane tematy związane z Żydami są właśnie odpowiedzią na agresję ich krzykliwych przywódców, jak zwykle zagłuszających niema większość. Atakują oni gojów jak wściekłe psy z jednym zamiarem, kąsać i zarażać wściekizną, nie oszczędzają też dzieci. Jednym z przykładów był podręcznik przygotowany do wprowadzenia nowego przedmiotu – „Nauki o Holokaucie”. [„Holocaust and Genocide: A Search For Conscience”. Student Anthology by Harry Furman Editor in-Chief, Curriculum Guide by Richard F. Flaim and Edwin W. Reynolds, Jr. Editorsin-Chief. Developed under the auspices of the State of New Jersey Department of Education, published by the Anti-Defamation League of B’nai B’rith, 823 United Nations Plaza, New York, N.Y. 10017; 1983.] Informacje o aktualnej wersji tego podręcznika (wrzesień 2007) dostępne są w witrynie: [EricWebPortal](http://EricWebPortal.com).

ANTI-DEFAMATION LEAGUE			
OF B'NAI B'RITH			
TO <input type="checkbox"/>		INVOICE R 77-2748	
Safex Service Mr. Sadowski Cash Pickup		DATE May 2, 1985	
RETURN UPPER PORTION OF THIS INVOICE WITH YOUR REMITTANCE			
QUAN.	TITLES DESCRIPTION	Q	AMOUNT
UNDER SEPARATE COVER WE ARE SENDING YOU THE FOLLOWING:			
XXX 20	The Holocaust and Genocide: A Search for Conscience	9.95	199.00
	Anthology for 50 students		39.80
	20% Discounts		
	Paid in Full		159.20
			
ANTI-DEFAMATION LEAGUE OF B'NAI B'RITH			

Był to ziejący nienawiścią paszkwil na wszystko co nie żydowskie, poniżający i opluwający katolicyzm, Polaków i innych współobywateli naszej dawnej sarmackiej ojczyzny. Po przeczytaniu dałem Płońskiemu listę moich uwag na temat tego podręcznika, kupiłem też pudełko tych podręczników. Rozmawiając z wydawcą podręczników przez telefon [Ani-Defamation League of B'nai B'rith] jakoś niedokładnie przeliterowałem moje nazwisko. Zrozumieli, że na końcu jest „y” zamiast „i” i potraktowali mnie jako Żyda, wytargowałem nawet 20% zniżki. Przy odbiorze przyglądali się mi dyskretnie, w końcu spytali, czy jestem Żydem. Jakoś im moja fizjonomia nie pasowała do nazwiska z „y” na końcu oraz do zainteresowania nauką o holokauście. Odpowiedziałem, że jestem Polakiem, nie wycofali się jednak ze zniżki. Na ich pytanie wyjaśniłem, że jest wiele osób zainteresowanych tematyką tego podręcznika, które chcą zapoznać się z jego treścią przed ostateczną decyzją gubernatora o wprowadzeniu go do programu szkół w New Jersey.

Płoński opracował krytyczną recenzję i wysłał wraz z podręcznikami do oceny różnym politykom i organizacjom włączając Archidiecezję w Newarku. Dzięki Płońskiemu podręcznik został wycofany a wprowadzanie tego przedmiotu zawieszono. Mój udział polegał na podarowaniu zakupionych podręczników oraz na wskazaniu oczywistych bzdur i zafalszowań. Syntetyczną oceną podręcznika było stwierdzenie, że tekst podręcznika ma tyle wspólnego z prawdą, co posiadanie przez Niemców helikopterów jakoby krążących nad lasami i wspomagających Polaków w wyłapywaniu uciekinierów z obozu w Treblince [Prymitywni Polacy przeszukujący lasy wspomagani byli przez zaawansowanych technicznie Niemców latających nad lasami w helikopterach... Co za bzdura!!!] Dopiero po około 10 latach wprowadzono do szkół zmodyfikowany program nauczania o holokauście. Program ten także nie jest wolny od nienawiści, kłamstw i zafalszowań, co mogłem stwierdzić, gdy mój syn chodził do szkoły. Informacje o aktualnym programie (wrzesień 2007) w witrynie: [State NJ_education/holocaust/curriculum](http://StateNJ_education/holocaust/curriculum).

Ciągle zdumiewa mnie głupota Żydów, szczególnie amerykańskich, tak jak w przypadku wspomnianego podręcznika. Kłamstwa, przeinaczenia, sianie nienawiści to nic innego jak eskalacja antysemitycznych nastrojów w USA, już teraz w skali, jaka nigdy nie istniała w Polsce. Czy są ślepi, czy specjalnie to robią i w jakim celu? Nieustająca prowokacja, zresztą chyba tak, jak z krzyżem na zwirowisku i sprawą Jedwabnego. W sprawach, w których mogą mieć konkretne zyski, tak jak banki szwajcarskie lub inne dobra materialne do zagarnięcia, można to zrozumieć. Powinni jednak zrozumieć, że robią dużo złej krwi. Na dłuższą metę na pewno „przejadą się” na tym. Przejadą się też na paranoicznym podręczniku bez sensu spotwarzającym całe narody i religię, jednocześnie instruującym amerykańskich radykałów, jak Niemcy traktowali Żydów. Oby co rozsądniejsi Żydzi przeczytali taki podręcznik od dechy do dechy i przemówili do rozumu tym paru wariatom, jątżącym to, co jest dawno zagojone, albo nigdy nie było raną.

Tak pechowo składa się, że co krok człowiek spotyka się z różnymi sprawami związanymi z Żydami. Powinni czegoś nauczyć się od nas i zejść z pierwszego planu. Tak też było w 1987 roku, gdy po wielkich perypetiach moja żona z dziećmi znalazła się w obozie uciekinierów we Włoszech – zaraz „wylazła” sprawa związana z Żydami. W tym czasie Amerykanie przestali przyjmować jakichkolwiek uciekinierów za wyjątkiem przybywających z ZSRR. Dziwni to byli uciekinierzy, z ZSRR wyjeżdżali legalnie. Telefonując często do obozu w Latinie rozmawiałem z opiekunką „moich uciekinierów”. Dowiedziałem się, że na wyjazd do USA nie ma nawet jakichś wstępnych rozmów kwalifikacyjnych. Ich obozowa opiekunka powiedziała mi: *Co najmniej rok, a może dwa, USA nikogo innego nie przyjmie.*

O tym, że biorą ludzi z ZSRR dowiedziałem się od mojej żony. Jeździli do Rzymu i innych miejsc, gdzie spotykali tych ludzi. Żona doskonale zna język rosyjski – spotykając takie grupki zaczynała konwersację w języku rosyjskim. Nawet dzieciaki rozpoznając ich charakterystyczny wygląd i zachowanie, mówiły, mama a ten pan lub ta pani to ruskie. Niektórzy z zagadywanych zapytywali: *Riadi eto widno czto my ruskije*. Jednak nie byli to Rosjanie, tylko Żydzi z ZSRR. Jak wynikało z rozmów Włochy były tylko stacją tranzytową, po paru tygodniach „Rosjanie“ ci odlatywali do USA.

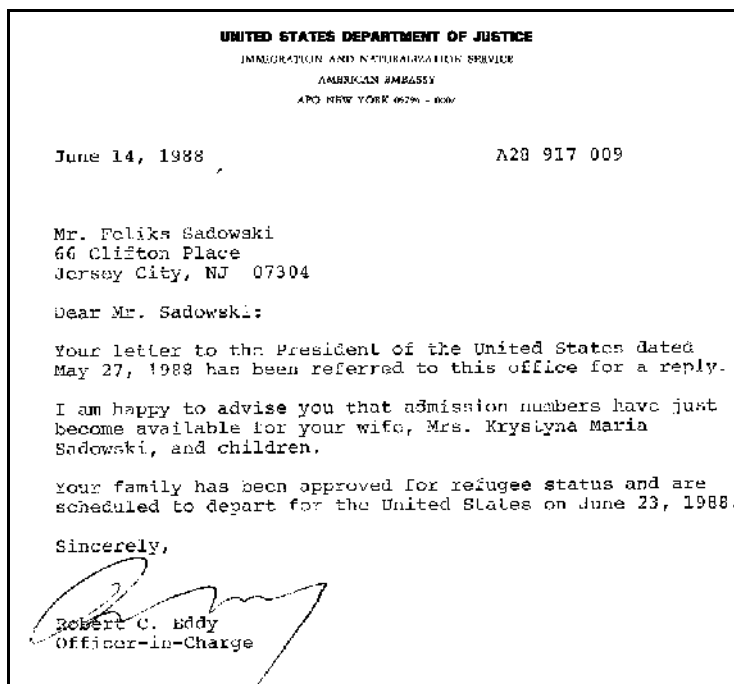
Perspektywa oczekiwania paru lat na połączenie z rodziną a też wizja wyrastania dzieci w obozie dla uciekinierów wstrząsnęły mną. Byłem bezsilny, przecież nie miałem nawet prawa pobytu w USA, byłem na liście osób do deportacji – nie miałem pojęcia, co robić. Na wszelki wypadek zadzwoniłem do ambasady amerykańskiej we Włoszech i jakiejś miłej pani zajmującej się sprawami imigracji przedstawiłem sytuację mojej rodziny. Potwierdziła, że przynajmniej przez dwa lata nie ma żadnej szansy na wyjazd do USA. Spytałem więc, kogo przyjmują, odpowiedziała, tylko Ormian z ZSRR. Udałem zdziwienie, że w ten sposób tą małą Armenię błyskawicznie wyludnią, dodałem, że według moich informacji przyjmują tylko Żydów z ZSRR. W końcu przyznała mi rację, powiedziała, że mają dyrektywy, aby całą pulę na Europę Wschodnią przeznaczyć właśnie dla tych ludzi – żadnych Rumunów, Węgrów czy Polaków – tylko Żydzi z ZSRR.

Rozmowa stawała się coraz bardziej interesująca. W pewnym momencie wygrzebałem z szuflady magnetofon i zacząłem nagrywać. Spytałem, kto dał im taką dyrektywę, po naciskach z mojej strony powiedziała – Departament Stanu. Zrobiłem transkrypcję rozmowy i wraz z „wygładzonym“ przez Płońskiego komentarzem rozesłałem do wszystkich członków amerykańskiego kongresu, do organizacji etnicznych, do wyselekcjonowanych publikatorów, urzędów i ludzi. A miałem już w komputerze parę baz danych z bardzo szerokim i ciekawym zestawem adresów, w sumie około 1.100 listów. Po mojej akcji coś w tej sprawie pękło. Wkrótce dowiedziałem się, że ambasada USA zaczęła przeprowadzać rozmowy kwalifikacyjne a moi uciekinierzy przeszli badania lekarskie, i na tym wszystko stanęło.

Wkrótce Reagan wybierał się do Moskwy. Po drodze w Helsinkach wygłosił piękne przemówienie o prawach ludzkich, o rozdzielonych rodzinach, itp. Bardzo mi to pasowało, ale w Ameryce łatwiej dotrzeć do środka ziemi niż do Prezydenta. Jediną szansą było dotarcie do Reagana w „locie“ pomiędzy Waszyngtonem a Moskwą. Raniutko, tuż po wysłuchaniu reportażu z przemówieniem Reagana, napisałem do niego list. Płoński „wygładził“ mój tekst i za około sto dwadzieścia dolarów wysłałem telegram do Reagana na adres ambasady USA w Helsinkach.

Dostał ten telegram! A że był to człowiek nietuzinkowy i z gestem, wkrótce otrzymałem list z informacją: *Jestem szczęśliwy zawiadomić, że w związku z pismem do Prezydenta rodzina wylatuje do USA w dniu 23 czerwca 1988 roku.* Od wysłania telegramu do przylotu moich bliskich minął niecały miesiąc. Przylecieli, pomimo, że ciągle byłem na liście osób do deportacji. Przy okazji tuszę sobie, że moja akcja w sprawie „ormiańskiej imigracji“ wielu gojom z naszej części Europy skróciła czas oczekiwania na wyjazd do USA – niech im się dobrze wiedzie.

W tym czasie miałem przygotowane bazy komputerowe z adresami członków amerykańskiego kongresu, rządu, publikatorów i wielu polityków. Spędziłem bez przesady tysiące godzin w bibliotekach i w domu wystukując wszystko na klawiaturze.



Leci się...

Moim zamysłem było udostępnianie tych baz danych dla organizacji polonijnych i innych organizacji etnicznych z Europy Centralnej. Chyba wszyscy, za wyjątkiem Płońskiego, nabrali jeszcze większych podejrzeń w stosunku do mojej osoby. Gdy zaproponowałem, aby KPA kupiło sobie komputer i stworzyło bazę danych wpływowych rodaków, itp., szybko odzegli się od czegoś podobnego – tak jakbym namawiał ich do jakiegoś poważnego antyrządowego przestępstwa. Dopiero gdy prezydentem KPA na stan New Jersey został Ludwik Wnękowicz komputeryzacja ruszyła z miejsca.

Obecnie są inne możliwości docierania do polityków i różnych organizacji – na przykład internet. W latach osiemdziesiątych moje bazy danych były czymś unikalnym a w niektórych aspektach są unikalne do dzisiaj, chociaż już mało aktualne. Po „Okrągłym Stole” większość z nich nie była aktualizowana ponieważ bezpośrednia pobudka do ich stworzenia przestała istnieć. W umiarkowanym zakresie korzystał z nich Płoński, gdy podsuwałem mu jakiś pomysł. Korzystały z nich też inne organizacje oraz osoby prywatne.

Pierwsze tematyczne „mass mailing” rozesłaliśmy z Płońskim w 1987 roku. Płoński wyrównał „wyboje” w moim angielskim tekście i firmował go jako „NATIONAL CONFEDERATION of AMERICAN ETHNIC GROUPS, Inc.”, dał też koperty i pokrył koszt wysyłki. Ja zrobiłem resztę, wydrukowałem na moim komputerze około sześciuset imiennie adresowanych listów i rozesłałem do „targets”, czyli celów naszego eksperymentu. Impulsem była specjalna audycja „ABC TV NEWS SPECIAL” pod tytułem: „Capitol to Capitol” (1987.09.22), czyli w tłumaczeniu: „Stolica do Stolicy” – chodziło o Waszyngton i Moskwę. W tym czasie wszelkie, nawet symboliczne i sytuacyjne zestawienie wybranych w 99,9% wyborach „Priedsedateli Wierchownogo Sovietsa” z amerykańskimi kongresmanami, było w moim pojęciu bluźnierstwem (teraz już nie, zrozumiałem, że „zdalne sterowanie” istnieje wszędzie). Zapowiedzieli w dodatku, że następna audycja będzie poświęcona „Prawom Człowieka”.

Z oficjalnych doniesień amerykańskich publikatorów wszyscy już wiedzieli, że w ZSRR nie ma innych „ludzi” oprócz Żydów, których prawa są gwałcone przez tą resztę niecznych „hominidów”. Nawet nie spodziewaliśmy się z Płońskim, że nasze „mass mailing” coś zmieni. Jednak podczas audycji przestali mówić o „jedynych ludziach – Żydach”. Oprócz „mowy trawy”, w ostatnich segmentach audycji, amerykański „kapitol” „zagadał” o prześladowanych Ukraińcach. Byliśmy lekko zaskoczeni skutecznością naszej akcji, a Ukraińcy na pewno pieli z radości, że w amerykańskich publikatorach stali się wreszcie Ludźmi i to z dużej litery. Cieszę się, że przyłożyłem do tego swoje „trzy grosze”.

Przy okazji nasuwa mi się refleksja na temat wizji świata prezentowanej przez amerykańskie publikatory. Można odnieść wrażenie, że świat to tylko Ameryka ewentualnie z dodatkiem Izraela, że ta cała reszta to jakaś wielka puszcza „branzalijska” z dzikimi szczepami Franców, Germów, Brytwanów i innych zupełnie szczątkowych pozostałości jaskiniowców w postaci, jakichś Finlandynów, Rusaczy, Swinów i Austriapiteków... A na samym końcu tej „terra incognita” są też jakoby jakieś Polana do „fire places” (kominków) i parę innych praktycznie nie znanych grup aborygenów.

Jeżeli ktoś pomyśli, że żartuję, to trzeba aby przez jakiś czas oglądał ABC TV „World News Tonight” (w powszednie dni o 18:30). Zaczyna się to od paru zgwałconych kobiet i kilku nieboszczyków, a kończy na Wielkojebliwym Waszyngtońskim Świecie – tak właśnie wygląda świat w przekazie tej dosyć popularnej audycji. Opium dla ludu – czyli sport – pokazuje mistrzostwa świata w palancie. Sport ten jest praktycznie nieznanym poza USA. Są to jednak mistrzostwa świata, ponieważ poza USA nie istnieje żaden świat. Jeżeli jakieś inne dyscypliny pojawią się na szklanym ekranie – to tylko te, w których wygrali Amerykanie. Prawdę mówiąc Sowietci byli ociupinkę uczciwsi w relacjonowaniu różnych wydarzeń ze sportu światowego. Spostrzeżenie to zmieniło moje priorytety sympatii, w Polsce za czasów PRL kibicowałem za USA przed ZSRR, w tej chwili kibicuję za Ruskimi przed Amerykanami.

W relacjach z [Igrzysk Olimpijskich 1996](#), aż do momentu zdobycia pierwszego medalu przez USA, nic nie mówiono o medalistach, szczególnie, że pierwszy złoty medal podczas tej olimpiady zdobyty został przez Polkę. Dopiero po zdobyciu złota przez USA zaistniał świat, oczywiście w stylu „World News Tonight”. Na okrągło „America America über Alles” – brakowało tylko jakiegoś Führera z podniesioną ręką a Berlińskie Igrzyska z 1936 roku stanęłyby przed oczyma jak żywe.

Symptomatyczną chorobą publikatorów amerykańskich jest uczulenie na Polskę i Polaków. Podczas wszelkich relacji z otwarcia Olimpiad, akurat gdy nadchodzi nasza drużyna, kamery wędrują gdzieś w bok a fonie wypełnia czyjś donośny głos wspominający z rozrzewnieniem jakieś zakurzone sukcesy amerykańskich sportowców. Podczas którejś „Operation Sail” nasz żaglowiec uratował amerykańsko brytyjską załogę i powrócił do portu tracąc szansę w transatlantyckich regatach. Oczywiście, telewizja wysoko oceniła to poświęcenie – podali przy tym, że tak rycerskiego czynu dokonali żeglarze..., rosyjscy... Przeciężni Amerykanie ani nie mogli nic zrozumieć z nazwy żaglowca widocznej na burcie, ani też nie mają pojęcia, jaka jest różnica między polską i rosyjską banderą.

Tego typu obserwacje nie dotyczą tylko sportu. Sukces wyborczy Solidarności w wyborach po „Okrągłym Stole” skłonił stacje telewizyjne do przeprowadzenia wywiadów z „przedstawicielami Polonii”. Wybrano parę spracowanych bezzębnych staruszek myjących garnki gdzieś na zapleczu obskurnej restauracji. Oczywiście te spracowane słabo znające język angielski kobiety nie były gorsze od tysięcy innych Polaków, cieszyły się tak jak my wszyscy. Wybrali jednak sukinsyny te panie, aby nie pokazać, że są tysiące Polaków świetnie prezentujących się i znających język angielski, przy których reporter przeprowadzający wywiad wyglądałby jak szmaciarz.

Do tego można dodać tylko wiceprezydenta Gore. W leksykonie historii pana Gore w Powstaniu Warszawskim walczyli tylko Żydzi. Zdziwiającym jest, jak taki głąb mógł być wiceprezydentem...? Jest wielu takich głąbów, raczej świadomych fałszerzy. Co bardziej tolerancyjni (samoujeblivi) Polonusi nawołują nas do bicia się w piersi..., „*Ponieważ nie informujemy, ponieważ nie docieramy*”. Zamiast w piersi należałoby raczej bić w mordy – gdy ktoś chce być dziennikarzem, wiceprezydentem lub inną nadętą szyczą, nie może być głąbem. Zaznaczam jednak, że nie wskazuję palcem na wiceprezydenta Gore lub na jakąś inną konkretną osobę, bo by mnie zaraz FBI wsadziło do pierdła. Zaznaczam też, że uwagi moje nie dotyczą zwykłych Amerykanów, porządnych ludzi, którym też łapska swędzą, aby niektóre mordy sprać.

DWIE STRONY MEDALU

Po spędzeniu dwudziestu lat w Ameryce ciągle mam trudności z ułożeniem sobie jakiejś jednoznacznej wizji Ameryki. Nie zmuszam też siebie do ułożenia takiej wizji i postawienia kropki nad „i”. Ameryka jest bardzo różnorodna, zdaję sobie sprawę, że wszelkie wizje będą zależały od „punktu widzenia”. Mój punkt widzenia to spojrzenie na wielką aglomerację miejską „Big Apple” – jak nazywany jest Nowy Jork i okolice. Do tego dochodzi obserwacja ludzi i wydarzeń oraz przekazów amerykańskich publikatorów. Oprócz obserwacji jest też ułożone ze skrawków różnych informacji odczucie tej wielkiej nie poznanej osobiście reszty USA. Dobrze byłoby mieć jakieś „podkłady”, aby odczucie było udokumentowane, nie zawsze jednak można powołać się na „dokumentację”, trzeba także polegać na odczuciu.

„Babcia Staruszka”, która przeżyła trzy wojny, opowiadała o różnych wydarzeniach, z których dzięki jakiemuś takiemu odczuciu wychodziła obronną ręką – szczególnie w czasie I-szej i II wojny światowej. Brakowało wyżywienia, ponieważ okupanci wprowadzali drastyczne ograniczenia w prywatnym obrocie produktami żywnościowymi, konieczne było „szmuglowanie” jedzenia ze wsi do miasta. Groziły za to surowe kary i konfiskata tak potrzebnych do wyżywienia licznej rodziny produktów. Jak pamiętam z opowiadań, dzięki jakiemuś wręcz telepatycznemu wyczuciu niebezpieczeństwa, babcia zawsze zatrzymywała uczestniczki takich wypraw i nakazywała ukrycie się, jak okazywało się później w najodpowiedniejszych momentach.

Nie chodzi mi tutaj o niebezpieczeństwo, ale o umiejętność „odczuwania” różnych rzeczy. Może odrobinę czegoś takiego mam po babci, a może zupełnie nieświadomie musiałem wyrobić w sobie tego typu umiejętność, aby skompensować nadszarpnięty poprzez wybuch granatu słuch. Od chwili wybuchu granatu w 1944 roku do 1976 roku nie wiedziałem, że jestem w poważnym stopniu głuchy. Podczas badań przed przyjęciem do pracy w Instytucie Badań Jądrowych okazało się, że jedno ucho lokuje się trochę poniżej 50% a drugie ucho trochę powyżej 50% normalnego słuchu. Potwierdziło się to przy badaniach przed niedoszłym rozpoczęciem pracy w Harrison Pump Corporation. Do czasu tego drugiego badania nie wierzyłem, że mam tak słaby słuch. Ani ja, ani nikt z otoczenia nie spostrzegał tego.

Dopiero po tym drugim badaniu zacząłem zastanawiać się nad tym, jak ja mogłem normalnie funkcjonować z tak słabym słuchem. Przypuszczalnie musiałem nauczyć się rozumieć ludzi częściowo ze słuchu, a częściowo widząc ich usta, mimikę i gesty, być może też w jakiejś części „słyszac” ich myśli. Miałem zawsze wrażenie, że nawet gdy ktoś przestawał mówić, albo mówił coś innego niż myślał, zawsze prawidłowo rozpoznawałem intencje rozmówcy. Najłatwiej było (jeżeli było) odbierać takie „przekazy” od rodaków. Po rozpoczęciu studiów w ZSRR dosyć szybko zaskoczyłem „na fale” języka rosyjskiego. W USA zajęło mi to znacznie więcej czasu, ponieważ język angielski jest trudniejszy, a właściwie są to „dwa” języki, mówiony i pisany. „Dychotomia” ta rozciąga się też na „wnętrze” i samoprezentację Amerykanów.

Bardzo myląca jest do perfekcji doprowadzona rozbieżność pomiędzy „wnętrzem” amerykańskich rozmówców a ich zewnętrzną samoprezentacją. Nie jest to czymś unikalnym, wiele narodów i grup ludzkich wypracowuje sobie swoisty sposób bycia. Tak jak Rosjanie przy każdej okazji demonstrują niezwykłą serdeczność przekazując „poceluje, pozdrowienia i priwiety” – tak Amerykanie są obowiązkowo „very well, excellent, fabulous”. Używają także dziesiątków innych określeń i sposobów dla przedstawienia siebie jako najszcześniejszych i najbardziej fartownych ludzi na świecie. Nawet w sytuacji ostatecznej po pytaniu „jak się masz” umierający na raka Amerykanin odpowie „wspaneale”.

Podróżni odwiedzający Amerykę Polskę i Rosję będą narzekali, że w Polsce nie widzi się na ulicach tłumów uśmiechniętych ludzi, wręcz demonstrujących wszystkim, jacy są oni szczęśliwi i jak im się dobrze wiedzie. Albo, że żegnając się z jakimś nawet przypadkowo poznanym człowiekiem, nie „obcałowują” go wylewnymi słowami włączając dziesięć pokoleń wstecz i w przód. Codziennosc jest codziennością,

większość ludzi nie jest na co dzień ani specjalnie szczęśliwa ani nieszczęśliwa, a my w naszym sposobie bycia jesteśmy naturalni. Mamy też pewną skalę możliwości naturalnego uzewnętrzniania odchyłek od codzienności w jedną lub drugą stronę.

W Ameryce, przy ciągłej szczęśliwości na twarzy, trzeba „wizgotać” i skakać do góry wymachując bezładnie rękoma, aby wyrazić uczucie „nadszczęśliwości”. Uczucie nieszczęścia mogłoby być wyrażane poprzez powrót do normalnego wyrazu twarzy, jednak nie wszystkim Amerykanom udaje się to. Oglądając reportaże z ruin po zniesionych huraganami miejscowościach, o zawalonych budynkach, które pogrzebały członków rodzin, o pożarach, gdy jako jedyny przyodziewek pozostała piżama – ze zdziwieniem konstatujemy – Amerykanie są niezmiennie szczęśliwie uśmiechnięci. Czasami tylko wstydliwie wytrą jakąś łezkę lub parę łezek, jeżeli stracili psa albo kota. Nie ma w tym nic złego, nie jest to też krytyka takiego sposobu bycia – po prostu, postronny obserwator powinien umieć zajrzeć pod amerykańską maskę szczęśliwości ukrywającą ich prawdziwe twarze. Dobrze by też było, aby wybierający się za granicę Amerykanie zdawali sobie sprawę z istnienia różnych sposobów bycia.

Taki nie rozumiany amerykański sposób bycia może być bardzo niebezpieczny np przy nawiązywaniu jakiejś współpracy, przy zawieraniu umów, a także w różnych sprawach urzędowych i w prywatnym obcowaniu. Jak słyszałem wiele osób i biznesów w Polsce „przejechało się” na umowach z Amerykanami, być może przez brak zrozumienia ich sposobu bycia. „Kantować” i my potrafimy, ale powinniśmy wiedzieć, że Amerykanie robią ta z rozbijającym uśmiechem, z solennymi zapewnieniami, że są najuczciwsi i najlepsi, że wszystkie rozумы pozjadali. Są też mistrzami w dawaniu takich pieniędzy, które szybko wracają do ich kieszeni razem z pieniżkami obdarowanych. Musimy się w tym trochę podszkolić, aby te pieniżki zatrzymywać dla siebie, a może nawet odwrócić kierunek lotu dolarowych bumerangów...?

Przyznaję, że brakuje mi „punktu widzenia” ulokowanego gdzieś w sercu Ameryki, pośród farmerów, lub też w innych nieznanym mi miejscach tego olbrzymiego i zróżnicowanego kraju. Ze strzępków informacji oraz polegając na „odczucia” wyobrażam sobie tą „prowincjonalną” część Ameryki jako zupełnie inną niż nowojorska metropolia. Właściwie, czym jest to, co odczuwa się, prawie widzi się, bez wewnętrznego komfortu powołania się na rzeczowe obserwacje i dogłębne osobiste doświadczenie? Kiedyś przeczytałem bardzo dużo książek amerykańskich klasyków. Może książki te stworzyły uludę istnienia jakiegoś „odczucia” Ameryki w postaci przedłużenia opisywanych w nich wizji do czasu, gdy ja znalazłem się w tym kraju?...

Konfrontując te wizje z tym co obserwowałem w USA byłem zaskoczony. Oglądając „Talk Show’s” i inne programy w amerykańskiej telewizji zaczynałem mieć wrażenia sprzeczne z moją „wyczytaną” wizją Ameryki. W pewnym momencie doszedłem do wniosku, że Amerykanie są bardzo ograniczonymi ludźmi a telewizja odzwierciedla ich poziom intelektualny i gusta. Po kilku latach pobytu doszedłem jednak do wniosku, że to mała grupka twórców codziennej „kultury” nieustannie „urabia” te gusta tworząc prymitywne wzorce zachowań i zainteresowań przeciętnych Amerykanów.

Zastanawiałem się, gdzie zaginęła Ameryka wspaniałych ludzi, nieprzekupnych szeryfów, żon i matek nie ogarniętych seksualną obsesją, mężczyzn budujących domy dla swoich rodzin, a nie rozwalających po drodze wszystkiego i wszystkich? Okazuje się, że poza marginesem publikatorów być może jest taka Ameryka? Trzeba tylko przestać oglądać amerykańskie filmy i telewizję, wtedy, przynajmniej sporadycznie, zobaczy się tą inną, być może prawdziwą Amerykę.

Niewątpliwie o istnieniu tej innej Ameryki wiedzą cokolwiek zarządcy publikatorów. Peter Jennings z ABC TV rozpoczął kiedyś w programie „World News Tonight” cykl wstawek zatytułowany: „Co myśli Ameryka”. Były to rozmowy z farmerami i mieszkańcami małych miejscowości. Pomimo prób „ukierunkowania” tego myślenia według woli jego szefów nie bardzo mu to wychodziło, dlatego też żywot tego cyklu był bardzo krótki. Najbardziej dramatyczne i krótkie otwarcie telewizyjnego okna na tą inną Amerykę spowodowane

było wysadzeniem federalnego budynku w Oklahoma City (1995). Pokazano wtedy parę spotkań i wywiadów z mieszkańcami oficjalnie nie istniejącej Ameryki.

Zdumiony słuchałem najzwyczajszych ludzi z „zapadłej prowincji”: farmerów, właścicieli małych biznesów, nauczycieli, pastorów i innych. To nie byli ci wynaturzeni Amerykanie pokazywani w różnorodnych paranoicznych programach z ciągłymi „beep” zamiast wulgaryzmów. Byli to normalni ludzie, myślący, logicznie i składowo wyłuszczeni swoje racje. Byli przeciwko brutalizacji życia promowanej przez telewizję. Byli przeciwko obyczajowości wszczepianej przez „masową kulturę”. Byli przeciwko pokrętnemu ograniczaniu przyznanych im przez konstytucję praw. Tym samym byli też przeciwko tym, których jakoby sami wybrali, także przeciwko publikatorom, dzięki którym mogli wreszcie powiedzieć szerszemu gronu to, co oni na te tematy myślą. Niestety, po opadnięciu napięcia wywołanego oklahomską tragedią, publikatory znowu zaczęły ich ignorować. Pomogło to jednak dostrzec amerykańskie sprzeczności. Na co dzień normalni ludzie, a w publikatorach mordercy (wszelkie wiadomości), paranoicy (talk shows), „eksperci” (nawet od wykałaczek), „celebrities” (uwielbiani – przeważnie alkoholicy i narkomani), biznes (giełda i wszelkie machlojki), oraz jeszcze parę innych stron wielowymiarowego amerykańskiego medalu.

O mordercach już wspominałem wcześniej. Powtarzając się zasugeruję, że to, co pokazywane jest na początku wszelkich wiadomości, powinno być pokazywane w więzieniach z najgorszymi przestępcami. Niestety, z braku wyobraźni, z niechęci pokazywania normalnych ludzi i wydarzeń, zupełnie przeciętni wyrobownicy publikatorów zapełniają czas swoich codziennych relacji różnej maści makabreskami. Prawdą jest, że krwawe sceny i różne nieszczęścia, chociaż dalekie od osobistych doświadczeń widzów, przykuwają uwagę zwiększając „oglądalność”. Niewątpliwie, o wiele trudniej byłoby przyciągnąć uwagę widzów innymi tematami, do tego potrzebni by byli mistrzowie, których zawsze i wszędzie jest bardzo mało.

Co siedzi w człowieku, że takie krwawe reportaże przykuwają uwagę. Może satysfakcja, że przytrafiło się to komuś, a nie mnie? Coś z instynktu samozachowawczego, z „ego” człowieka nazywanego poziomem natury, w odróżnieniu od poziomu kultury [[Socjobiologia i psychologia ewolucyjna w sporze "natura czy kultura?"](#)]. Niewątpliwie telewizja i wszystkie inne środki przekazu informacji, dostarczające nam w nadmiarze wszelkich produktów z „dreszczykiem”, są wytworem specyficznego rodzaju kultury. W odróżnieniu od jakiegoś trudnego do sprecyzowania staroświeckiego rozumienia pojęcia „kultura”, jest to w pewnym sensie nowy rodzaj kultury powstały pod koniec XX wieku i często określany jako kultura techniczna (lub informatyczna) z podtekstem „masowa” (dla wygody nazwijmy ją „TECHKULTURA”).

Mam wrażenie, że poprzez oddziaływanie tej techkultury, która zaczyna dominować, człowiek schodzi do poziomu natury, do nagich instynktów: najeść się, wyżyć się seksualnie i zagarnąć jak najwięcej różnych dóbr dla siebie. Zresztą, priorytety dóbr do zagarnięcia nie są określane przez rzeczywiste i niezbędne potrzeby, lecz przez wszechobecną informację przesyłaną kanałami techkultury. Tworzy się jakieś niesamowite sprzężenie zwrotne, od którego nie możemy wyzwolić się, coś jak czarna dziura zasysająca całe cywilizacje. Musimy produkować coraz więcej i coraz efektywniej tworzyć odbiorców tej produkcji (pogardliwie: „roboli”, lub delikatniej „producentów/konsumentów”). Aby tworzyć odbiorców tej produkcji, musi być coraz więcej informacji przesyłanych kanałami techkultury. Okazało się, że najskuteczniejszymi informacjami stymulującymi odbiorców techkultury i wszelkich dóbr są informacje odwołujące się do poziomu natury – powtórzę: jatkanie, najeść się, wyżyć się seksualnie, zagarnąć jak najwięcej, itp.

Kółko zamyka się bez możliwości jego rozerwania. Wydawałoby się, że pomysł towarzysza Mao mógł rozwiązać problem: wszyscy ubrani w jednakowe mundurki, miska ryżu na dzień, czerwona książeczka jako jedyna literatura – a jeżeli już telewizor, to tylko jeden z programem rozpoczynającym się od słów „Dzień dobry Towarzyszu Mao”. Niestety i dobrze, rozwiązanie to nie zdało egzaminu. Nawet, gdyby Mao zbudował stalowy Chiński Mur, zapadłby się on do środka... Mao, ZSRR z całym obozem i inne zamknięte enklawy ignorujące instynkty ludzkie z poziomu natury nie mogły dotrzymać kroku szalonemu postępowi techkultury napędzanej prymitywnymi instynktami ludzkimi.

W tym całym kołowrocie jest coś niesamowitego, jakieś fatum, ponieważ żaden kraj i społeczność nie może odizolować się od zacieśniającej się w skali światowej spirali sprzężenia techkultury z ludzkimi instynktami z poziomu natury. Wszystko, co ma jakiś związek ze staroświeckim rozumieniem kultury, wylatuje na obrzeża tej spirali, a całe społeczności w maseczkach z napisem kultura przez małe „k” zapadają się w otchłań wysoko zaawansowanego techkulturowego prymitywu. W pewnym sensie przesadzam z tą „czarną dziurą”, jak dotychczas czarne dziury dobrze egzystują tylko w naukach teoretycznych – w codziennym życiu i realnym świecie istnieją jedynie „skończoności”. Tym niemniej jacyś ludzie o tym umyśle powinni dokładnie ten temat przeanalizować. Jeżeli nawet nie znajdą rozwiązania, może dadzą wskazówki, jak ten proces „zaciskania spirali” kontrolować, lub jak przygotować się do niechybnego pęknięcia spirali.

Patrząc sobie przez okno na oświetlone słoneczkiem ulice, na zaparkowane samochody, na kobietę spacerującą z wózkiem, na drzewa i kwiaty, fatalistyczne wizje „pęknięcia spirali” wydają się oczywistą przesadą – świat jest normalny, żadnej spirali nie widać. Samochody i inne techniczne wspaniałości w domu oraz w miejscach pracy są jak najbardziej potrzebne i użyteczne. Wystarczy jednak zajrzeć do Internetu. Tam codzienna normalność zamienia się w około 80% połączeń z adresami oferującymi paranoję i pornografię – chyba jednak nie jest to zupełnie normalne. W całym „cywilizowanym” świecie statystyki wskazują na wzrost przestępczości stymulowanej wzorcami i ofertami przekazywanymi kanałami techkultury – to też nie jest normalne. Bezwzględna chęć posiadania przedmiotów i używek, oszalałe i wypaczone instynkty seksualne – wszystko to rodzi się i potęguje w zacieśniającej się spirali techkultury i natury.

Symptomatycznym jest, że będące częścią techkultury publikatory nadają dla zбочeńców i przestępców statusy przynajmniej jednodniowych „celebrity” (uwielbianych). Bardzo często takie statusy kreują dziennikarze produkujący różne reportaże – wychodzą oni ze skóry, aby zabłysnąć swoim dowcipem i elokwencją, jednocześnie unikają oceny moralnej opisywanych przestępstw. Jest to chyba swego rodzaju choroba publikatorów, prezentują krwawe lub inne brzydkie fakty bez potępienia i umieszczenia ich na skali złych lub dobrych zachowań.

Tego typu model dziennikarstwa staje się powszechny nie tylko w USA. W 1993 roku czekając na przesiadkę w Białymstoku kupiłem gazetę z dużym nagłówkiem na pierwszej stronie zachęcającym do przeczytania reportażu: „*NAFTOWCY Z KŁAJA DOKONALI ODWIERTU W RUROCIĄGU*”, a mniejszymi literami „*GEJZER BENZYNY WYTRYSNAŁ NA DZIESIĘĆ METRÓW*” (opis istoty tekstu z pamięci). W całym artykule nie było ani jednego określenia „złodzieje” a dziennikarz wychodził ze skóry, aby jak najbardziej ubarwić swój przekaz. Po przeczytaniu czegoś takiego przestępcy byli niewątpliwie usatysfakcjonowani – nawet, jeżeli nie udało się im napęścić przygotowanych na tą okazję beczulek. Jednocześnie inni potencjalni złodzieje będą mieli zachętę, aby ich też szumnie nazwano „nafcjarzami”. Ciekawe, czy dziennikarz „krasomówca” wyleciał z pracy za gloryfikowanie przestępstwa, czy dostał jakąś premię?

Wracając do USA, jest wiele ludzi dostrzegających zagrożenia zaciskającej się spirali splotu techkultury z naturą człowieka, niestety, publikatory rzadko dają im szansę wystąpienia przed szeroką publicznością. Większym wzięciem cieszą się „zieloni” oraz całkiem śmieszni przeciwnicy futer. [Nie przepadam za „zielonymi”, ich egzaltacja trąci fałszem i promocją własnych powłok wystawianych na obiektywy publikatorów. Jednak mimochodem i w małym stopniu są „prorokami” jednego z aspektów „pęknięcia spirali”.] Aby do „zieleni” dodać „pieprzności” pokazują od czasu do czasu jakieś lekko ubrane egzaltowane dziewczę przywiązujące się do czubków drzew albo krzykliwych nagusów, którzy poprzez pokazywanie gołych dup demonstrowują swoją niechęć do futer.

Pokazują także różne sekty, jakoby posiadające vademecum na wszystkie problemy tego świata, a przemilczają poważnych przeciwników techkultury, jak np. Chrześcijańska Koalicja ([Christian Coalition](#)). [Organizacja założona w 1989 roku przez Pat Robertson’a – posiada około dwóch milionów członków i sympatyków. Główne cele: umocnienie rodziny; obrona poczętego życia; poddanie edukacji kontroli rodziców i lokalnych społeczności; ochrona rodzin przed rujnującymi podatkami; karanie przestępców i ochrona praw ofiar; ochrona przed

zalewem pornografii; ochrona instytucji małżeństwa; ochrona wolności wypowiedzi religijnej.] Ta koalicja, oraz inne organizacje o podobnym profilu, to miliony ludzi umiejętnie ignorowanych przez amerykańskie publikatory. Może są nudni poprzez ciągle moralizowanie, ale obiektywnie istnieją i mają dużo ważnych rzeczy do powiedzenia.

U nas „Europejczycy” lub „mózgowcy” nazwaliby ich prowincjonalną kołtunerią albo ciemną masą. Pasowałoby też określenie „zaściankowość”, które w połączeniu z poprzednimi powinno tworzyć odczucie niechęci do zazwyczaj konserwatywnej prowincji i do czegoś, co znamy jako „chłopski rozum”. Tak też jest w USA, zaściankowość to nic innego jak „provincialism”, coś, co nie jest warte uwagi, wręcz śmieszne, albo „wieśniackie”. Zgodnie z hasłem „Nowy Jork Stolicą Świata” narzucane są całej Ameryce i reszcie świata wzorce lansowane przez co najmniej lekko wypaczoną wielkowiejską amerykańską technokulturę.

W tej chwili nie ma też nikogo, kto skorygowałby przegięcie amerykańskich publikatorów w kierunku paranoi i często zakłamywania rzeczywistości, chyba, że jakaś amerykańska „Mława” skutecznie zaatakuje Waszyngton. Nie będzie to łatwe, jeszcze sporo wody upłynie w Potomaku zanim „Oral Room” powróci do statusu „Oval Room”. Nawiasem mówiąc, szkoda mi tego Reaganowskiego statusu Białego Domu, ponieważ wiążą się z nim moje osobiste przeżycia, wręcz troska o ten symbol Ameryki. Z nadmiaru wolnego czasu podczas budowania „drugiej Ameryki” miałem różne pomysły, czasami bardzo nietypowe, jeden dotyczył „Białego Domu”.

Akurat w dniu zamachu na Ojca Świętego, jako świeżo zatrudniony wykonawca modeli, byłem na wizycie w filii mojej firmy w Passaic. Produkowali tam różne plastikowe wyroby do ekspozycji towarów. Smród ciętych arkuszy plastyku mieszał się z wyziewami rozpuszczalników i klejów. Była to typowa, prawie że średniowieczna manufaktura, zapchana do granic możliwości ludźmi, maszynami i towarami. Pracowali głównie „Spaniole”, część z nich w ogóle nie umiała porozumiewać się w języku angielskim. Po zapoznaniu się z zakładem i z ich działem modelowym ulokowałem się na podwórku tuż przy podjeździe dla ciężarówek. Wyrwawszy się z duszących oparów łapałem majowe słońce i czekając na kierowcę dopalałem kończące się już Sporty.

Było chyba około południa, ze środka dochodziła muzyka nadawana przez jakąś hiszpańskojęzyczną stację. W zależności od gustu właściciele radyjek preferowali różne melodie, znośne jak piosenki Julio Iglesias, lub puszczali takie kołowroty na jedno kopyto, że mózg stawał. W pewnym momencie nastąpiła niespodziewanie długa przerwa w muzyce, najwyraźniej zdenerwowany głos podawał jakiś komunikat. Za chwilę podbiegło do mnie paru pracowników i w łamanym hiszpańsko angielskim coś mi tłumaczyli. Przez jakiś czas nie mogłem nic zrozumieć, ponieważ mój angielski też był dobrze przełamany, ale w polską stronę. W końcu dotarło do mnie, [zamach](#) na Papieża. Zamroziło mnie, od razu nie miałem wątpliwości, kto maczał w tym palce. Nic więcej nie mogłem zrozumieć, dopiero wieczorem dowiedziałem się, że jest poważnie ranny. Oczywiście było, że zamach ten wymierzony był w serce zmian, które następowały w Polsce.

Wcześniej, trzydziestego marca tegoż roku, widziałem bezpośrednią transmisję, podczas której John Hinckley Jr. dokonał zamachu na prezydenta Reagana. Te dwa zamachy dokonane w tak krótkim odstępie czasu uświadomiły mi, że gdyby były skuteczne, mogłyby sparaliżować zmiany w Polsce. Gdyby były skuteczne, przypuszczalnie cała późniejsza historia nie byłaby taką, jak ją teraz znamy. Koincydencja zamachów była wręcz przytłaczająca. Byłem wstrząśnięty, ponieważ od początku prezydentury lubiłem Reagana. Wpływ na to miał Płoński, aktywny republikanin, a może było to jakieś wyczucie, że obok Jana Pawła II był to drugi człowiek zdolny rzucić wyzwanie komunizmowi.

W październiku 1983 roku zaszokował mnie zamach w Libanie znany jako [Beirut barracks bombing](#), w którym zginęło 241 żołnierzy amerykańskiej piechoty morskiej. Szokiem był nie sam zamach, rzecz bardzo częsta w tym rejonie, a relacja wartownika dyżurującego przy wjeździe na teren koszar – przeżył ten zamach. Rutynowo zatrzymał tą wyładowaną materiałami wybuchowymi ciężarówkę.

Kierowca samobójca spokojnie uśmiechał się do niego i nie zważając na nic ruszył wjeżdżając pod budynek koszar, efekt był tragiczny. Trudno mi po latach przytoczyć relację tego wartownika, ale rozumiałem, że tego typu zamachowca nic i nigdzie nie może zatrzymać. Oczywiście, najbardziej spektakularnym celem zamachu byłby Reagan, w dodatku wysadzony w powietrze razem z Białym Domem. Gdyby coś takiego zaistniało, niewątpliwie stary KGB-owiec Andropow pożyłby z radości trochę dłużej, zamiast zemrzeć na początku 1984 roku. Jednocześnie mogłoby to być śmiertelnym ciosem dla zepchniętej do podziemia Solidarności.

Moje frustracje związane z zamachami skojarzyłem z łatwością, z jaką można zostać w Ameryce pilotem. Miałem w Polsce podstawowe wykształcenie szybowcowe oraz fajne wspomnienia z przebywania w powietrzu. Trafiła mi kiedyś do rąk reklama szkoły pilotażu w Teterboro, z ciekawości zadzwoniłem. Pomimo, że formalnie trzeba było być amerykańskim obywatelem, mając pieniądze mógłbym zostać pilotem nie będąc nawet rezydentem..., money, money, money. Ze względu na dosyć duży koszt zrezygnowałem. Pomimo zapewnień „naganiacza” ze szkoły pilotażu, o nie egzekwowaniu wymogu posiadania obywatelstwa, wszedłbym także w konflikt z amerykańskim prawem. Co innego, gdyby do takiej szkoły zapisał się ktoś z myślą odwiedzenia Reagana samolotem wypchanym materiałami wybuchowymi. Znaleźliby się sponsorzy chętnie pokrywający koszt szkolenia, samolotu i „faszerunku”.

Łaziło mi to po głowie przez parę miesięcy. Na początku 1983 po rozmowie z Płońskim udałem się do National Security Agency aby podzielić się z nimi moimi obawami, m.in. o możliwości użycia samolotu pasażerskiego z zagranicy, w którego bagażu mógłby być umieszczony ładunek jądrowy zdetonowany przy podejściu do lotniska, np w Waszyngtonie. W takim przypadku nie tylko prezydent, ale cała elita polityczna i wojskowa zostałaby wyeliminowana pozbawiając Amerykę w chaosie i bezbronną.

Inną możliwością brzemienią w podobne efekty byłoby zmontowanie w ambasadzie sowieckiej przemyczonego w bagażach dyplomatycznych ładunku jądrowego i zdetonowanie go w chwili podjęcia decyzji o wojnie z USA. Łatwo wyobrazić sobie, że takie ataki jądrowe nie zostawiłyby żadnych śladów wskazujących na agresora, który mógłby zwalić wszystko na wypadek z bronią jądrową będącą w arsenale USA.

[Jako ciekawostkę podam, że „ładunek jądrowy w ambasadzie” stał się kanwą filmu „[Diplomatic Siege](#)” (1999 r.), z tą różnicą, że „samoujeblivi” amerykańscy filmowcy przypisali USA umieszczenie ładunku jądrowego w swojej ambasadzie w Bukareszcie. W Polsce film ten jest znany pt. „[Wróg mojego wroga](#)”. Obok kopia tekstu mojego „scenariusza” przekazanego w marcu 1983 roku dla NSA i FBI.]

I analyzed information about radiation applied to the U.S.A. Embassy in Moscow. It is obvious that they decided to do it for some top importance reason. In the case of war for both countries U.S.S.R. and U.S.A. it could be a decisive factor to save their top decision and command staff. It is possible that they monitored U.S.A. Embassy building to scan radiation distribution for creating a computerized picture of Embassy inside. They could search for implanted small rocket with a powerful warhead, which could destroy with seconds concentrated top leaders. While this possibility is enlightened it became quite possible from the technical point of view. This kind of device could be designed transported and assembled from comparatively small pieces. It is need to remember that soviet's leaders have not any moral, customary and other limitations in their aspire to take control over the world. It could mean that top U.S.A. officials could be defencelessly eliminated at the beginning of the total war. The danger of such possibility could not be underestimated.

NSA miało swoje biuro w dosyć obskurnym budynku, o ile dobrze pamiętam w East Orange NJ przy ulicy Evergreen. Po naciśnięciu dzwonka dosyć długo czekałem. Niewątpliwie przed wpuszczeniem oglądali mnie przez kamerę, zastanawiali się, kto to odwiedza ich bez zapowiedzi. Zaraz po wejściu doskoczył do mnie niski krępy facet, a miał w oczach coś takiego, że aż ciarki przechodziły.

Nie był podobny do żadnego „ekranowego” agenta USA – jak ich pokazują w amerykańskich filmach. Ubrany był byle jak, łapska jak bochny, oczy dziwnie rozstawione, niezbyt gęste ciemne włosy nad kwadratowym czołem – istny Frankenstein. Przy niskim wzroście wyczuwało się siłę goryla i gotowość walnięcia głową w stylu podwarszawskich żulików, a te ręce – oby tylko za głowę nie chwycił – zostałyby odseparowana z wybałuszonymi ze zdziwienia oczami. Jeżeli było jakieś filmowe skojarzenie, to raczej z mafijnym wykonawcą wyroków.

Okazało się jednak, że nie był to ani mafioso ani urzędnik przyjmujący interesantów. Po bezceremonialnym obmacaniu mnie odsunął się na bok a do tego pokoju/przedśionka wszedł porządnie ubrany facet, któremu wyłuszczyłem przyczynę swojej wizyty. Po krótkiej rozmowie i zrobieniu kopii mojej „pisaniny” (w „początkującym” j. angielskim) powiedział mi, że oni nie zajmują się takimi sprawami i skierował do FBI w Newarku. To „nie zajmują się” było zbliżone do stwierdzenia, że w ogóle nie istnieją. Oficjalnie, oprócz numeru telefonu w książce telefonicznej i adresu, prawie, że nie istnieją.

W FBI w Newarku nie było takiego goryla. Gregory G. Z., „Special Agent” przyjął do wiadomości moje obawy i to co napisałem oddając mi kopie moich kartek. Z poczuciem dobrze spełnionego internacjonalistycznego obowiązku wróciłem do domu. Wszystko, co im wyłuszczyłem, było „do zrealizowania”, oby tylko ktoś zacięty wpadł na taki pomysł. W duchu też liczyłem, że może przestaną mi w końcu przysyłać nakazy deportacji. Ale gdzie Krym gdzie Rzym a gdzie Waszyngton. Nakazy tak jak wcześniej znajdowałem co jakiś czas w skrzynce na listy.



Jednak pod koniec tegoż roku prasa doniosła o zainstalowaniu na Białym Domu obrony przeciwlotniczej. Ucieszyłem się serdecznie, licząc nawet na jakąś premię. Nie miałem wątpliwości, że przyjęto moje ostrzeżenie. Niestety, ktoś z National Security Agency lub z FBI jakiś medalik lub dyplom otrzymał. Także premię za dbałość o bezpieczeństwo prezydenta przyszłego natowskiego sojusznika ktoś mi zachachmęcił. Gdybym tak Breżniewowi powiedział, w jaki sposób Amerykanie podsłuchiwali jego rozmowy w służbowym samochodzie, odpaliliby na pewno jakąś „Wołgę” z barkiem, nie pożałowałyby także kawioru na zakąskę. A Amerykanie nic, następny nakazik deportacji.

Niewątpliwie, taka obrona Białego Domu nie jest łatwą sprawą. We wrześniu 1994 roku [Frank Eugene Corder](#) chciał chyba powtórzyć wyczyn [Matthiasa Rusta](#) lądującego na Placu Czerwonym w Moskwie. Przypłacając całą eskapadę życiem Corder rozbił samolot zatrzymując się na ścianie Białego Domu. W przypadku pojawienia się samolotu Corder’a wyposażeni w [Stingery](#) agenci zawiedli, na szczęście nic krytycznego nie wynikło. Cordera uznano za samobójcę, który nie miał żadnych złych intencji w stosunku do Clintona. Ale, gdyby miał ten samolocik wyładowany materiałami wybuchowymi, długo trwałoby odbudowywanie Białego Domu, nie byłoby też skandalu z Moniką w „Oral Room” [„Oral” od „oralny”].

Nawiązując do moich ostrzeżeń zauważyłem też inną zbieżność. Od 1984 roku Amerykanie zaczęli przestrzegać, aby najważniejsi przywódcy nie grupowali się w jednym miejscu i w jednym czasie. Jeżeli już wcześniej mieli takie procedury, to przynajmniej przypominałem im o tym – parę razy prasa odnotowała ich skrętne stosowanie. Znowu ktoś zachachmęcił moją premię wysyłając do mnie następny nakaz deportacji. Premia premią, niech ją szlag trafi, trzeba było tak robić. Górnolotnie mówiąc, była to nasza racja stanu. Póki ZSRR było silne i trzymało nas za gardło, wszystko, co mogło ZSRR zaszkodzić, nawet tylko potencjalnie, było naszą racją stanu. Trzeba było tak robić, nawet gdyby mnie za to deportowali lub wsadzili do pierdła za wtykanie nosa w nie swoje sprawy. Trzeba było tak robić, nawet gdybym tak jak Kukliński był związany jakąś wymuszoną przysięgą na wierność PRL i konstytucyjnemu „bratu” – na szczęście nie byłam.

Zgodnie z moim ówczesnym rozumieniem „naszej racji stanu” nie miałbym żadnych hamulców, aby poświęcić mój czas i energię nawet na współpracę z amerykańskimi „służbami”. Jednak teraz, gdy Polska jest wolna, ja nie byłbym wolny od wcześniejszych powiązań. Może jest wielu rodaków, którzy weszli kiedyś w jakieś powiązania, a teraz z lenistwa lub na podstawie jakiegoś kontraktu nie są wolnymi? Myślę, że tak jak Kukliński, będą jednak zawsze pamiętali o nadrzędności naszej „polskiej racji stanu” – niezależnie od tego, gdzie, kiedy, i w co wdepnęli. Niezależnie od tego, czy było to dawne ZSRR, Rosja, USA lub jakikolwiek inny kraj.

Dla tych, którzy uwikłali się kiedyś w układy z Sowietami (i nie tylko) trzeba by było dać szansę oderwania się od przeszłości. Zdumiało mnie skazanie człowieka, który po odzyskaniu niepodległości dobrowolnie zgłosił swoje uprzednie agenturalne związki. Po prostu ktoś zrobił następcom KGB wielki prezent zmuszając takich ludzi do dalszej współpracy. Czas płynie, jest już najwyższa pora, aby wszystkim cudzym agentom dać szansę na uwolnienie się od uprzednich układów. Wyobraźmy sobie, jakie rozterki po odzyskaniu niepodległości przeżywałby [Ryszard Kukliński](#), gdyby nie wpadł lub nie uciekł tuż przed stanem wojennym? Miałby do wyboru, pozostać w dalszym ciągu agentem amerykańskim, albo dobrowolnie zdekonspirować się i być skazanym, a przecież zrobił „dobrą harcerską robotę”. Wykazał się niezwykłą odwagą i poświęceniem – tylko przypadkiem uniknął śmierci w PRL, lub o ironio, uwięzienia w wolnej już Polsce.

Osobiście bardzo wysoko oceniam czyn Kuklińskiego. Gdy powstała Solidarność byłem przekonany, że nawet na bardzo wysokich stanowiskach byli tacy Polacy jak on. Było to chyba w 1985 roku – przypadkowo trafiłem na obiad do państwa Krzyżanowskich, mieszkali na Manhattanie w okolicach 100-nej ulicy. Byli już w wieku emerytalnym, pochodzili z Wołynia. O ile nie mylę się pan Ludwik Krzyżanowski był profesorem polonistyki i współpracował z Nowym Dziennikiem. Jak zwykle w takich przypadkach na początku rozmawia się na różne grzecznościowe tematy, z czasem rozmowa zeszała na temat Ameryki. Była tam też ich kuzynka, Monika, trochę młodsza ode mnie. W pewnym momencie pan Krzyżanowski popatrzył na nas i powiedział: *Wy młodzi idealizujecie Amerykę, wydaje się wam, że jest doskonała, nie jest jednak tak, jak myślicie.*

Ponieważ poprzednio rozmawialiśmy o sytuacji w Polsce, o wprowadzeniu stanu wojennego i o tym, co może być dalej, chciałem sprostować to jego dosyć jednoznaczne „podejście” o uwielbianiu Ameryki. Zaraz po wprowadzeniu stanu wojennego zdziwiony byłem, że nie było żadnych wcześniejszych międzynarodowych ostrzeżeń pod adresem władz PRL. Uważałem za niemożliwe, aby władze USA nie wiedziały o planowanym wprowadzeniu stanu wojennego. Nie chodzi mi o niesobowe zdobywanie informacji. Po prostu wierzyłem, że musieli takie informacje otrzymać od ludzi wbrew własnej woli zaangażowanych w przygotowywanie stanu wojennego. Powiedziałem mu o tym, dodałem, że Amerykanie nie zrobili nic, aby ostrzec nas o planowanym wprowadzeniu stanu wojennego. W tym czasie takie zatajenie informacji o planach wprowadzenia stanu wojennego uważałem za zdradę naszej racji stanu i brzydki gest ze strony Ameryki. Była to właśnie moja odpowiedź na jego przypuszczenie, że „młodzi” Polacy z Polski są bezkrytycznie zakochani w Ameryce.

W obecnej chwili nie mam jednoznacznych poglądów na temat, czy Zachód powinien ostrzegać Polaków o planach wprowadzenia stanu wojennego, czy nie, może byłoby więcej ofiar. Wydaje się jednak, że odpowiednio sformułowane ostrzeżenia nie sprowokowałyby zbrojnego oporu. Niewątpliwie, rządy PRL i ZSRR powinny być poinformowane o wiedzy zachodu na temat planów wprowadzenia stanu wojennego i zagrożone wprowadzeniem różnych dostępnych sankcji. Niestety, po wprowadzeniu stanu wojennego zamiast ostrzeżeń i sankcji przeciwko właściwemu sprawcy, czyli ZSRR, Amerykanie nałożyli sankcje na PRL, uciążliwe dla społeczeństwa a nie dla rządu. Był to absolutny niewypał i pozerstwo dające większe pole popisu Urbanowi „wyżywiającemu się razem z rządem”.

W tym czasie sprawa Kuklińskiego nie była znana. Parę miesięcy po rozmowie pan Krzyżanowski zmarł. Wkrótce po jego śmierci informacje o Kuklińskim zostały opublikowane w prasie polonijnej. To, co w mojej rozmowie z panem Krzyżanowskim było tylko moją wizją, okazało się prawdą. Potwierdzeniem, że w sytuacjach krytycznych zawsze znajdują się pośród nas ludzie na miarę stworzonej przez naszego wieszczka postaci Konrada Wallenroda. Dzięki opatrności nie było takich ludzi ani za mało ani za dużo. Nie tworzyli konspiracji zbrojnej i nie rozpoczynali beznadziejnej walki.

Moim zdaniem nie ma problemu oceny moralnej postępowania Kuklińskiego vis a vis postępowania innych naszych wojskowych, lub dylematu, kto jest zdrajcą a kto nie. Nasi wojskowi i my wszyscy nie mieliśmy wielkiego wyboru. Większość musiała pozostawać w układach, jakie narzuciła nam po jałtańska rzeczywistość. W sytuacji jaka była, nie było ani możliwości ani potrzeby walki zbrojnej. Gdyby jednak z jakichś względów doszło do interwencji zbrojnej, wówczas zdecydowana większość naszych wojskowych wiedziałaby, po której stronie stanąć. Wiedzieli też o tym przywódcy ZSRR. Niewątpliwie wiedza ta powstrzymała ich przed interwencją według scenariusza węgierskiego lub czechosłowackiego.

Jeszcze przed opublikowaniem informacji o Ryszardzie Kuklińskim w dziwnych okolicznościach zetknąłem się z tym nazwiskiem. Nie chodzi mi o nazwisko jakiegoś Kuklińskiego, których wg komputerowej książki telefonicznej tylko w północno wschodnich stanach USA było ponad stu. Pewnego wieczoru zadzwonił do mnie z Greenpointu Stach P. zapraszając, abym przyjechał, ponieważ poznał bardzo fajnych chłopaków pletwonurków. Gwar w słuchawce wskazywał, że jest w jakimś rozweselonym towarzystwie, a to, że zadzwonił do mnie w takiej sprawie zdarzyło się po raz pierwszy i ostatni. Nie miałem akurat chęci gdziekolwiek wyjeżdżać, powiedziałem, że w przyszłości chętnie umówię się na jakąś wspólną wyprawę. Podał mi wtedy numer telefonu do Kuklińskiego pletwonurka, imienia nie zapisałem. Po pewnym czasie zapomniałem o całej sprawie i nigdy do niego nie zadzwoniłem.

Gdy opublikowano informacje o seniorze Kuklińskim a później o śmierci jego synów, nie kojarzyłem tego z telefonem od Stacha P. Dopiero po odnalezieniu mojej notatki o „pletwonurku Kuklińskim” skojarzyłem to z informacją, że syn pułkownika Kuklińskiego był pletwonurkiem i zginął w niewyjaśnionych okolicznościach. Czy był to ten sam Kukliński – pletwonurek, którego telefon kiedyś mi podano?... Zbieżność nazwiska i hobby (jak przypuszczam) jest wręcz zastanawiająca? W moich starych notatkach mam zapisane: „*Kukliński, pletwonurek Tel. (212)628-9185*”. Sprawdziłem ten numer w komputerowej książce telefonicznej, nie jest tam wymieniony. Oznacza to, że osoba lub instytucja posiadająca ten numer zastrzegła wyłączenie go z publicznie dostępnych informacji o abonentach. [Komputerowa książka telefoniczna wydana w 1995 r. W grudniu 1999 roku zadzwoniłem na ten numer, wg nagranej informacji wyłączony jest z użycia?]

Gdyby tym Kuklińskim pletwonurkiem był rzeczywiście syn Ryszarda Kuklińskiego, to chłopak był wyjątkowo nieostrożny. Rozumiałbym go, że mógł mieć dość napuszonych amerykańskich „scuba diver’s”. Może nie tyle napuszonych, ale udających kapłanów ceremonii nurkowania. Nie było u nich nic z niewymuszonej zabawy i radości, jaką mieliśmy nurkując w Polsce, a tylko aktorska egzaltacja okazywana w odpowiednich momentach.

Po amerykańskim prawie jazdy licencja pletwonurka była moim drugim amerykańskim dokumentem. Po jej uzyskaniu tylko raz wybrałem się na wspólne nurkowanie z amerykańskimi pletwonurkami. Miała to być ekscytująca wyprawa, zatopione auta i samolot. Oczywiście było i auto i samolot, nawet zatopione. W jakimś „gliniankowym rezerwacie” ulokowali kilka wraków na dnie zalanych wodą dołów po kamieniolomie i oznaczyli ładnie bojkami. W mojej grupie „kapłanów nurkowania” wrzało – a teraz nurkujemy przy bojce zaczepionej do zderzaka auta. Po przerwie na pełne zachwyty komentarze, wyprawa na dno po linie bojki przyczepionej do jakiegoś samolotowego orczyka. Zachwytem nie było końca, „shit”, czyli gówno, a nie ekscytująca „wyprawa”.

Dla normalnego polskiego pletwonurka był to cyrk, w którym widzowie po opłaceniu biletów wstępu udają, że są cyrkowcami i zachwycają się swoim własnym aktorstwem. Nie dziwiłbym się Kuklińskiemu juniorowi, że miał dosyć tych podwodnych wyreżyserowanych „przygód”. Na szczęście miałem parę butelek piwa i sympatyczne towarzystwo, co pozwoliło mi wytrwać do końca tego ceremoniału. Postanowiłem jednak, że nawet gdyby gołą miss Ameryki zakotwiczyli na dnie pod bojką, to już nigdy na taką „wyprawę” nie pojedę.



Oczywiście nazwisko „Kukliński” w zestawieniu z „pletwonurek” mogło być czystym przypadkiem. Mogła to też być „wędka” zastawiona na kogoś, kto z jakichś „ojcowskich” względów chciałby go bliżej poznać. Jeżeli była to „wędka”, wówczas ci, którzy zastawiali takie wędki, partaczyli robotę, tak jak to się często zdarza dla przemądrzalców szukających pod lasem a nie widzących Ames’ów pod własnym nosem. [[Aldrich Ames](#), wysokiej rangi oficer CIA. Przez prawie piętnaście lat (od 1980) sprzedawał dla ZSRR i Rosji najgłębsze tajemnice szpiegowskie. W szczególności winien jest śmierci dziesiątków agentów pracujących dla USA. Na szczęście, na początku swojej kariery przeoczył Kuklińskiego].

Czy była to źle zarzucona wędka, czy prowokacja? Mniej więcej w tym czasie zorientowałem się, że ktoś nienaturalnie dużo wie o moim prywatnym życiu. Taki „ktosio” mógłby to wszystko znać kontrolując przynajmniej moje rozmowy telefoniczne i rozmowy ludzi związanych ze mną. W dodatku ten „ktosio”, chyba z nudów, zaczął zabawiać się wydzwanianiem do mnie i nagrywaniem się na mojej automatycznej sekretarce (powinni go jednak „wyktosiować”, chyba, że robił zaplanowane eksperymenty psychologiczne).

Nawiązując do rozdziału „INTERNATIONAL CENTER” dodam, że w czasie wieczoru z „muzykiem” nie dano mi spokoju. Otrzymywałem coraz bardziej dramatyczne telefony od „ktosiowej” podszywającej się pod głos mojej „skośnookiej”. Prośby o ratunek – że jest uwięziona w jakiejś szkole w podłej dzielnicy w Newarku – były ciągle przerywane. Miałem wątpliwości co do autentyczności jej głosu, ale, jeżeli autentyczny, to przecież nawet żadnej znanej mi ciury nie zostawiłbym bez pomocy. W dodatku kogoś, z kim byłem bardzo blisko od paru lat. Pojechałem nawet do Newarku, znalazłem komisariat policji w miejscu jakoby bliskim jej uwięzienia: *Daj adres, kto kiedy porwał, kim jest ta porwana osoba dla ciebie... To jest twoja „girlfiend”?* Nie martw się, znalazła sobie innego – mamy takich meldunków na kopy.

Spodziewałem się, właściwie wiedziałem, że jest z „muzykiem”, i tak trzeba było – ale raptem te telefony? Kto tak dokładnie wszystko wiedział i potrafił takie przedstawienie odegrać? Nie przypuszczałem, aby wpakowała się w jakąś kabałę. Sam ją uczyłem, aby przestała być naiwnym dzieckiem uśmiechającym się do wszystkich napotkanych ludzi. Nauka nie poszła w las, skutecznie zmieniła sposób bycia, jaki wyniosła z bezpiecznego domu rodzicielskiego i miasteczka uniwersyteckiego, gdzie niczego nie zamykano na klucz. A oprócz tego była to inteligentna dziewczyna, mając dostęp do telefonu w pierwszej kolejności dzwoniłaby na „911”, a nie do mnie.

Na drugi dzień wieczorem nie miałem już żadnych wątpliwości, jakie to „ktosie” robiły sobie zabawę. Nic, tylko zgodnie z powiedzeniem moich przyjaciół myśliwych „pierdolnąć w ten rudy łeb”. Dzwonili jeszcze przez dłuższy czas przy innych okazjach wykazując się niezwykłą znajomością zupełnie prywatnych spraw. Bawili się, w ramach relaksu ja też zacząłem zabawiać się z podsłuchiwaniami wiedząc, że pilnie słuchają. Oby ich też gdzieś kiedyś trafiła jakaś „Pakułowa rura”, aby te rude łby nauczyły się, że pewne sfery ludzkiego życia, nawet podsłuchiwanie, nie są zaproszeniem do zabawy.

Nie należy tego mojego wyznania traktować jako generalnego potępienia „rudych łbów”. Na pewno jest pośród nich więcej porządnych łebków, niż zwichrzonych rudych czupryn. A oprócz tego nigdy, nawet w najintymniejszych rozmowach, nie zbliżyłem się do Clintonowskich telefonicznych obsesji. Jeżeli był seks, to nie telefoniczny.

Pomijając „rude łepki”, Ameryka jest pięknym, fajnym, i jeszcze dobrze urządzonym krajem. Jeżeli piszę coś złego, to czasami dla wyrównania naszego polskiego bałwochwalstwa na temat Ameryki. Ameryka jest krajem porządnych ludzi, między innymi milionów naszych rodaków. Ludzi o wielkim sercu i umiejętnościach dzielenia się z potrzebującymi. Jednak ta przyjazna Ameryka jest naszpikowana arogancką administracją, coraz bardziej totalitarnymi urzędami i agencjami poza wszelką kontrolą. Większość Amerykanów nie jest jeszcze w stanie uświadomić sobie, w jakim stopniu zdegenerowała się amerykańska demokracja, że znaleźli się na krawędzi totalnej kontroli społeczeństwa. Nie znają ani dnia ani godziny, kiedy obudzą się z „rękoma w nocniku”.

JANEK KENNEDY PADŁ

Janek jest odpowiednikiem imienia John, analogicznie jak Jan Paweł zastępowane jest w j. angielskim przez John Paul. Nie chodzi mi jednak o osobę tak znaną jak Papież ani też o jakiegoś tam zupełnie nieznanego Johna. „Janek” Kennedy to po prostu [John F. Kennedy, Jr.](#), syn zamordowanego prezydenta USA Johna Fitzgeralda Kennedyego (w skrócie [JFK](#)). Dlaczego jednak Jan a nie John? Jest to dosyć proste, ponieważ uogólniając jego rodzinne związki mamy prawo nazywać go Jan. Od lat najpilniej strzeżoną w USA tajemnicą było to, że matka „Janka” Kennedyego miała koneksje z rodem Radziwiłłów. Sekret ten związany jest z jakimś kompleksem amerykańskich publikatorów zabraniającym publikowania czegokolwiek sympatycznego o Polsce i Polakach. Chociaż nie tylko o Polakach, o wszystkich narodach naszej dawnej Rzeczypospolitej Sarmackiej.

Zgodnie z takim kompleksem publikatory USA nie mogły dopuścić do ujawnienia, że żona JFK i podziwiana gospodyni Białego Domu ma jakieś rodzinne powiązania z Polakami. Jeżeli już coś publikuje się o Polsce, to wspomnienia naszych dawnych szewców i krawców udających prześladowanych hrabiów, ofiar zakodowanego jakoby w polskich genach antysemityzmu. Zawarte w nagłówku słowo „padł” odnosi się oczywiście do śmierci „Janka”, gdy 16 lipca 1999 roku około 21:39 prowadzony przez niego samolot zniknął z ekranów radarowych.

Z niebywałą „genetyczną” hipotezą „wyjaśniającą” śmierć „Janka” wystąpił Richard Ebstein, Izraelski genetyk molekularny zatrudniony przez Jerozolimski [Herzog Hospital](#). Ten „wybitny” specjalista orzekł, że rodzina Kennedych obarczona jest genem ryzyka, co w sposób jakoby „naukowy” ma wytłumaczyć nagłą śmierć tak wielu członków rodu Kennedych. Konował ten wypowiadając taką „hipotezę” postawił się w rzędzie hitlerowskich „naukowców” przypisujących Żydom jakiś domniemany genetyczny „defekt rasowy” powodujący w skali historycznej ciągle powtarzające się holokausty.

Zastanawiając się nad bredniami Ebsteina przyjrzyjmy się, w jakie to ryzykowne sytuacje wpędził Kennedych ich domniemany „gen ryzyka”. Najstarszy z braci JFK [Joseph P. Kennedy, Jr.](#) zginął w czasie II wojny światowej. Pilotowany przez niego samolot wybuchł w powietrzu nad Kanałem La Manche. Rzeczywiście, musiał być cholernym ryzykantem, aby w czasie wojny nie zaszyć się gdzieś na zapleczu, tak jak zrobiło to wielu możnych pobratymców Ebsteina. Szczególnie, że do dnia dzisiejszego nie wiadomo, dlaczego jego samolot tak sam przez siebie wybuchł w powietrzu?

JFK był jeszcze większym ryzykantem, został prezydentem USA. Pomimo największego stopnia ryzyka, polegającego na nie poddawaniu się „zdałnemu” sterowaniu, jego geny ryzyka skłoniły go do przeciwstawienia się atomowym zbrojeniom Izraela, do utrzymywania zrównoważonych stosunków z krajami arabskimi, a także do zamiaru odebrania prywatnym bankom monopolu na „kreowanie” dolarów.

Młodszy brat JFK, [Robert F. Kennedy](#) ignorując los starszego brata nie utemperował swoich genów ryzyka i wstąpił w szranki wyborcze o fotel prezydenta USA. Najbardziej ryzykanckim posunięciem była jego deklaracja kontynuowania polityki swojego zamordowanego brata. Niedługo potem, podczas publicznego celebrowania przedwyborczego zwycięstwa w Kalifornii, został zastrzelony. Dziwny musi być ten „gen ryzyka” Kennedych przyciągający jak magnes kule zamachowców?

Następnym ryzykantem okazał się syn zamordowanego prezydenta „Janek” Kennedy. Nie dość, że nie dał się wciągnąć w narkomanię, machlojki i różne inne świństwa, wychowany został na najlepszych sarmackich wzorcach honoru i uczciwości, wierności i odwagi. Przy jego wykształceniu, obyciu, elokwencji, i innych walorach osobistych, miał stu procentową szansę wygrania wyborów – jeżeli nie w 2004 to w 2008 roku. Był to zaiste śmiertelny „gen ryzyka”. Niezależny prezydent o nieposzlakowanej opinii nie poddający się szantażom i machlojkom byłby groźbą, której szare eminencje Ameryki nie mogły ignorować.

Jedynie w przypadku najmłodszego brata JFK Edwarda Kennedyego śmiertelny „gen ryzyka” nie zadziałał. Bariere ochronną stanowił całkiem pokaźny bagaż różnych „sprawek”, między innymi wypadek, w którym zginęła jadąca z nim kobieta [[Ted Kennedy](#)]. Ta skandaliczna historia z 1969 roku pozbawiła go szans na prezydencki fotel. Mając kupę grzechów na karku tańczy tak jak mu grają, wyszkolił się w mowach pogrzebowych, w których nie zaryzykował wypowiedzenia ani jednego słowa prawdy, którą niewątpliwie zna. Ta jego cecha gwarantuje mu tchórzliwe dożywanie jego szmatławego żywota, chyba, że przełamie się i zmienacka walnie pięścią w stół, aby zaskoczyć katów włączających „gen ryzyka”.

Nie licząc na zastraszonych lub przekupionych „możnych” tego świata trzeba samemu mieć oczy i uszy szeroko otwarte, pomimo tego spostrzeżenie manipulacji nie jest łatwe. Tuż po zaginięciu pilotowanego przez „Janka” samolotu północnoamerykańskie publikatory jak umówione prezentowały identyczne komentarze. Wydawałoby się, że wszystko jest oczywiste, podawane opisy tragedii i jej prawdopodobnych przyczyn były zgodne co do joty. Jednak ta nieprawdopodobna zgodność setek publikatorów i tysięcy dziennikarzy, gdy jeszcze nie było nic wiadome, mówi sama za siebie – sterowane kłamstwo. Także później komentatorzy wręcz odczytywali jeden i ten sam tekst.

Według tego konspektu zabronione było zadanie pytania, kto był mechanikiem obsługującym „Janka” samolot i czy samolot był sprawny? Czy „Janek”, który otrzymywał różne groźby, nie był czasami ofiarą zamachu – dokonanego chociażby przez wariata? Na ten temat nie padło ani jedno pytanie, ani jedno słowo komentarza, dominowała znana nam z czasów „dyktatury proletariatu” jednomyślność cenzurowanych mediów.

Do obłędu doszło w momencie, gdy wszyscy komentatorzy powołując się na jakieś materiały archiwalne triumfalnie objawili, że jedynym marzeniem „Janka” było spalenie jego ciała i rozsypanie prochów w oceanie. Dodatkowo, aby wskazać na „ojcowską wola” zorganizowania takiego obcego tradycji Kennedych pogrzebu, wszyscy komentatorzy jednomyślnie odnaleźli jakiś drobny fragment dawnego przemówienia JFK, który tak zmanipulowano, aby uzasadnić kremację zwłok jego syna. W szczególności zamięłowanie JFK do żeglowania poparte zdjęciami żaglówek przerobiono na testament żądający rozsypania prochów w oceanie – aby nie pozostały żadne ślady. Zgodnie z tą samą procedurą spalono „hurtowo” ciała jego żony i jej siostry oraz rozsypano ich prochy w oceanie.

Jak naprawdę było z tymi ciałami?... nie wiadomo. Z chwilą znalezienia wraku samolotu podano, że w środku jest jedynie ciało „Janka”. Jest to wiarygodna informacja, ponieważ pilot powinien być zawsze przypięty pasami. Za parę godzin ogłoszono, że w środku znajdowały się trzy ciała, co w świetle pierwszego komunikatu zakrawa na manipulację mającą na celu usunięcie podejrzeń, że to wybuch rozerwał samolot wyrzucając z kabiny ciała nie przypiętych pasami pasażerek. Na manipulację zakrawa też brak telewizyjnych reportaży pokazujących wydobywanie ciał i wraku samolotu, pomimo obecności helikopterów transmitujących na żywo całą akcję ratunkową. Później, telewizyjne teleobiektywy pokazały jedynie moment przeładowywania ze statku do sanitarki jakiegoś białego pakunku o wielkości człowieka, jednak był to tylko jeden pakunek.

Tak zwana autopsja odbyła się w szaleńczym tempie. Po wydobywaniu wieczorem jakoby trzech ciał następnego dnia rano było po autopsji i po kremacji ciał. O godzinie dziewiątej rano przekazano prochy w celu rozsypania ich w oceanie, istne stachanowskie tempo. Przecież autopsji dokonuje się w „godzinach pracy”, czyżby wyrwano z domowych pieleszy jakiegoś patologa, aby natychmiast w nocy zajął się nieboszczykami? Nawet, gdyby tak było, jak w przeciągu paru godzin uporał się on z trzema ciałami? Także kremacja ciał zajmuje sporo czasu, to nie spalenie zapałki. Jest jeszcze jeden aspekt kremacji, prawny. W tym przypadku spalenie ciał, przed ustaleniem przyczyn wypadku, zakrawa na niszczenie dowodów rzeczowych. Gdyby okazało się, że wypadek nastąpił na skutek przestępstwa, wówczas ciała zamordowanych mają wagę dowodu rzeczowego.

Więcej, oficjalnie podano, że żadnych zdjęć pośmiertnych lub dokumentujących autopsję nie wykonano. Wygląda na to, że postanowiono uniknąć kłopotów, jakie sprawiły zdjęcia z autopsji zamordowanego ojca „Janka”, prezydenta USA? Brak zdjęć z autopsji pokrętnie uzasadniono jakoby niebezpieczeństwem opublikowania ich przez prasę brukową, istna paranoja! Ustanawia to zupełnie nowy standard przeprowadzania autopsji, jeżeli zostanie szeroko przyjęty, wówczas po natychmiastowym spaleniu zwłok nikt nie podważy orzeczenia jakichkolwiek grabarzy, spalone i utopione dowody rzeczowe przestają być dowodami, iście gangsterska mentalność. Ewenementem był też pokazany w telewizji protokół z oficjalnej autopsji trzech ciał: „*Wszystkie trzy osoby poniosły natychmiastową śmierć w momencie uderzenia samolotu w wodę*”. Wygląda na to, że autopsji dokonał jakiś konował stachanowiec na miarę Ebstejna? Ciekawym jest też, czy w prosektorium mieli piec krematorijny, czy palili ciała w jakimś dołku polewając je obficie benzyną, przecież krematoria nie są czynne w nocy? Cały ten pośpiech i natychmiastowe nocne palenie ciał jako żywo napomina mszę satanistyczną.

Zaskakującą też była decyzja przejścia operacji poszukiwań i „pochówku” przez rząd federalny. Zaraz na początku odsunięto wszystkie lokalne służby uprawnione i wręcz zobowiązane do przeprowadzenia akcji znalezienia i wydobywania ciał oraz szczątków samolotu – tak jak to było w przypadku przybrzeżnych katastrof samolotów pasażerskich. Jednemu z telewizyjnych korespondentów wyrwało się *Dobrze poinformowany przedstawiciel rządu stwierdził, że rząd musi przeprowadzić całą akcję, aby inni nie zrobili tego*. Dlaczego rząd tak bardzo obawiał się, aby „inni” nie zrobili tego? Czyżby rząd USA chciał coś ukryć?

Zamiast odtransportować szczątki samolotu do hangaru Gwardii Narodowej, jak początkowo planowano, odtransportowano je do bazy wojskowej. Tłumaczono to wyjątkowym szacunkiem otaczającym rodzinę Kennedych a telewizja pokazała zablokowane drogi wokół tej bazy. Istotnie, niezwykle „szacunek”, tak jakby w wojskowym hangarze zdeponowano tajemnicę na miarę XXI- wieku. Oznajmiono przy tym, że wyniki badań wraku małego samolotu „Janka” nie będą znane wcześniej niż za rok, może za dziewięć miesięcy? Do tego kuriozalnego komunikatu nie omieszkało bez żadnych badań dodać, że nie ma oznak „foul play” (w tym kontekście „brudnych spraw”).

Dlaczego więc nie pokazano szczątków samolotu publiczności, czyżby znowu rząd amerykański obawiał się brukowej prasy? Nie pokazano też zdjęć robionych przez podwodne kamery, niewątpliwie także zostały zniszczone, aby nie przedostały się do „brukowej prasy”. Znalezione na początku poszukiwań oderwane koło samolotu „Janka” nie sprowokowało pytań, w jaki sposób tak solidnie przymocowana i chowana w obrysie samolotu część została odseparowana?

Do „konspektu” oficjalnych amerykańskich publikatorów należało też przedstawienie „Janka” jako lotniczego matolka a także ryzykanta obdarzonego Ebstejnowskim „genem ryzyka”. Zaczęto od pogody, twierdzono, jakoby około 21:30 widok oceanu zlewał się z widokiem nieba sugerując, że „przygłupawy” pilot mógł nawet lecieć „do góry brzuchem”. Jest to kompletna bzdura, lot odbywał się w okolicach metropolii nowojorskiej, gdzie przy bezchmurnej pogodzie, jak była, całą noc widoczne są światła niezliczonych siedlisk ludzkich. Dodatkowo, o tej porze roku takie hipotetyczne zlewanie się widoku oceanu z niebem może nastąpić znacznie później, dopiero po godzinie 22:30. Ostateczny kłam czynnikowi „pogody” zadają oficjalne raporty: „*Pogoda prawie idealna, z lekkim nasyceniem powietrza oparami wilgotności (haze), jednak bez mgły i innych czynników ograniczających widoczność*”. Jeżeli było jakieś „haze”, to po maksymalnym natężeniu około 17-tej stopniowo zmniejszało się. Przy tym wszystkim publikatory zataiły nagraną rozmowę „Janka” z docelowym lotniskiem: *Widzę wasze światła, schodzę na niższy pułap*, zaraz po tej rozmowie samolot zniknął z ekranów radarowych.



Krytycznego dnia widoczność około 20:00.

Oczywiście, oficjalne komunikaty o pogodzie zostały przemilczane, publikatory powołały się na Internet, który jakoby wykrył „śmiertelne” warunki pogodowe na trasie przelotu „Janka”. Następną „melodią” był jakoby brak wprawy „Janka” w nocnych lotach. Twierdzili, że mógł nie wiedzieć, do czego służy tak zwany „sztuczny horyzont”. Zapomnieli dodać, że musiał umieć korzystać ze sztucznego horyzontu, ponieważ nawet dzienny lot w chmurach wymaga tej umiejętności, że może być trudniejszy niż lot w nocy. Znalaziono paru „ekspertów”, raczej na poziomie szewców, którzy chyba nigdy nie zasiadali za sterami samolotów. Twierdzili oni, że nie wiedząc, co to jest sztuczny horyzont, „Janek” mógł skierować samolot prosto w dół nawet nie zdając sobie z tego sprawy, wbrew doświadczeniu nawet każdego kierowcy samochodu oceniającego prędkość na podstawie rytmu pracy silnika i szumu powietrza.

Innym białoleniem telewizyjnych „ekspertów” było stwierdzenie, że w ramach przygotowań do uzyskania licencji „Janek” „wylatał tylko” 40 godzin. Czterdzieści godzin w powietrzu to nie jest mało. John McColgan i Arthur Marx, „Janka” instruktorzy, pomimo początkowej niechęci do „wyznań”, przyznali, że „Janek” był bardzo rozważnym pilotem, nie ryzykantem, że pomimo oficjalnych 40 godzin szkolenia latał już od 1982 roku zaliczając setki godzin pilotażu jeszcze przed uzyskaniem licencji pilota. Oprócz prowincjonalnej rozgłośni radiowej (Seattle) informacje te zostały kompletnie przemilczane przez resztę publikatorów.

Inne lokalnie podane informacje także zostały kompletnie przemilczane. Mała gazeta „The Martha’s Vineyard Times” zacytowała relację Victora Pribanic, który spacerował sobie po plaży i o godzinie „wypadku” usłyszał głośny huk z kierunku, gdzie spadł do wody samolot „Janka”. W tym samym czasie reporter innej lokalnej gazety, „Vineyard Gazette”, widział jasny błysk na niebie. Nic dodać nic ująć, rząd USA nie potrzebuje żadnych naocznych świadków – czy jeszcze żyją?

Tak jak w przypadku zabójstwa prezydenta Kennedyego, kiedy około 50-ciu świadków i innych poinformowanych ludzi w szybkim tempie zginęło w wypadkach lub zmarło na skutek fatalnych chorób, tak i w tym przypadku „epidemia śmierci” mogła dotknąć wszystkich niewygodnych świadków tego tragicznego wydarzenia. „Janek” Kennedy padł, tuż za nim podążył jego krewny i bliski przyjaciel Antoni Radziwiłł, w trybie przyspieszonym zmarł na raka. Zgodnie z tym schematem jeszcze paru „niepokornych” krewnych i znajomych spopielenych nieboszczyków być może przeniosło się już łono Abrahama, publikatory milczą? Więcej informacji o tych i podobnych sprawach: [JFK JR. Evidence](#).

Po prostu, trudno było zamordować piastującego urząd Prezydenta USA ojca „Janka”. Łatwiej było zamordować w czasie kampanii wyborczej jego stryjka. Najłatwiejszym okazało się zamordowanie „Janka”, przyszłego prezydenta. Cechą charakterystyczną wszystkich zamordowanych była ich niezależność i trudność kontrolowania ich przez szare eminencje światowego „przeznaczenia”. Najprawdopodobniej wkraczamy w nową erę Herodów. Już noworodki mające perspektywę wyrośnięcia na porządnym ludzi i trudnych do kontrolowania liderów tuż po urodzeniu będą „usypiane” w szpitalach.

Oprócz „naukowych” rewelacji Ebstejna głos oddano samozwańczemu „przyjacielowi” „Janka”. Dziwny to „przyjaciel”, który pisząc oczerniające książki o ojcu, stryjku i matce „Janka” twierdzi obecnie, że był obdarzony zaufaniem „Janka” i jego powiernikiem. Dowiedzieć się o tym można z szeroko nagłośnionego artykułu opublikowanego 19 lipca przez New York Post (Cindy Adams, „*John Jr. Feared Flying Into Vineyard*”). W tej plotkarskiej kolumnie zrelacjonowano zwierzenia [Davida Heymanna](#), któremu jakoby na dziesięć dni przed śmiercią „Janek” wyznał, że jest marnym pilotem, że boi się planowanego na 16 lipca lotu do Martha’s Vineyard. Brednie te powtórzono także 21 lipca w „USA Today”, szeroko dystrybuowanej codziennej gazecie i w innych publikatorach. Zgodnie z opublikowanymi sugestiami Heymann, obywatel USA i Izraela, jakoby był agent Mosadu (izraelskiego wywiadu), miał pomóc „Jankowi” w napisaniu artykułu o tej agencji.

New York Post nie poprzestał na „uwierzytelnieniu” braku lotniczych kompetencji „Janka”. John Podhoretz (syn Normana Podhoretza, lidera amerykańsko żydowskiego komitetu AJC) w bardzo oryginalny i szczególnie ohydny sposób uczcił całe wydarzenie. Jako edytor New York Post opublikował artykuł zatytułowany „Rozmowa w piekle”. Artykuł ten ukazał się w pierwszym wydaniu New York Post (1999.08.21), z następnych wydań został usunięty.

W artykule tym Podhoretz przedstawia wymaginowaną rozmowę szatana z Joe Kennedym, protoplastą wymordowanej gałęzi rodu Kennedych. W rozmowie tej szatan (słowami Podhoretza) nawiązuje do skrytobójczych śmierci prezydenta Kennedyego i jego brata Roberta Kennedyego oraz do śmierci „Janka”. Kwintesencją paranoicznej wyobraźni Johna Podhoretza jest jakoby pakt z szatanem zwarty przez protoplastę wymordowanej gałęzi rodu Kennedych. Belzebub-Podhoretz „wspomina”: *„Pamiętam, jaki byłem szczęśliwy, gdy w 1912 wezwałeś mnie, chciałeś być bogatym, sławnym i potężnym, chciałeś też, aby trwało to poprzez pokolenia, chciałeś być protoplastą generacji, która będzie rządziła Ameryką”*.

Według Podhoretza, bogactwo, sława, potęga i przywództwo osiągnęte przez gojów, jest szatańską sprawką, w domyśle, jedynie Żydzi uprawnieni są do takich przywilejów i z „bożej łaski” uzyskują je jakoby bez pomocy szatana. Przeczy to jednak wstępnemu wyjaśnieniu, dlaczego szatan był taki szczęśliwy „kontraktując” duszę Joe Kennedyego. Otóż według Podhoretza, szatan działał jako promotor Żydów, chciał zemścić się za Żydów, których imigracji do USA Joe był przeciwny? Stosując tego typu narrację Podhoretz nieopatrznie sugeruje, że Żydzi są pod specjalną opieką szatana.

W dalszym ciągu tego sadystycznego artykułu ulokowany w umyśle Podhoretza” szatan opisuje, jak mścił się za Żydów zabijając dzieci Joe Kennedyego i jego ostatnią nadzieję w osobie „Janka” Kennedyego. W zakończeniu tego eseju nienawiści do gojów Podhoretz swoimi szatańskimi słowami napomina smażącego się jakoby w piekle Joe Kennedyego: *„Kiedykolwiek pomyślisz, że twoja rodzina znowu odradza się do glorii, ja muszę coś zrobić, tak jak zrobiłem to w czasie ostatniego weekendu z twoim wnukiem Johnem”*, w zakończeniu dodaje *„Cel uświęca środki”*..., rzeczywiście, nic dodać ani ująć.

Jeżeli Podhoretz i podobnie myślący nie podpisali jeszcze paktu z szatanem, to taki pakt uprawomocnił się bez podpisu, trafią tam gdzie rządni władzy chcieliby widzieć wszystkich, którzy mogą stanąć na ich drodze. Ta symbolicznie polsko irlandzka krew „Janka” będzie ich prześladowała do dni sądu ostatecznego.

John Podhoretz i jego spółka, posądzając Joe Kennedyego o pakt z szatanem, zapominają dodać, że był on genialnym matematykiem i obdarzonym wizją biznesmenem. Człowiekiem, który zrobił majątek dzięki swoim umiejętnościom, bez klikowych powiązań nieistniejącej wówczas kliki Irlandczyków. Opluwając w publikowanych książkach protoplastów „Janka” zapominają też dodać, że przynajmniej jeden czyn Johna Fitzgeralda Kennedyego seniora (zamordowanego prezydenta) stawia go ponad wszystkich Podhoretzowskich siewców nienawiści.

Będąc w czasie II wojny światowej dowódcą amerykańskiej łodzi podwodnej, po staranowaniu i przecięciu jej na pół przez japoński okręt, JFK dokonał rzeczy wręcz niemożliwej. Z odnowioną kontuzją, ryzykując własnym życiem, ubrał ciężko rannego marynarza w swój żakiet ratunkowy i holował go przez pięć kilometrów do brzegu trzymając w zębach jeden z troczków żakietu. Trzeba wspomnieć, że od czasu studiów JFK miał uszkodzony kręgosłup, która to kontuzja pozwalała mu na uniknięcie służby wojskowej. Na własne życzenie wstąpił do marynarki wojennej, walczył bez dekowania się gdzieś na zapleczu. Takiego właśnie człowieka, jego ojca, brata i syna przedstawia się teraz jako istoty godne pogardy i szatańskie pomioty.

Według późniejszych poufnych doniesień ładunek wybuchowy umieszczony był w tylnej części samolotu. Podczas obniżania pułapu wyzwalacz ciśnieniowy spowodował wybuch. Do braku zdjęć z autopsji doszła informacja, że z powodu „nieporozumienia” różnych agencji rządowych zniszczone zostały wszystkie zdjęcia dokumentujące poszukiwania i wydobycie szczątków samolotu oraz ciał ofiar.

DOLAROWE BUMERANGI

W wyniku II wojny światowej gospodarki wielu państw i ich waluty były w opłakanym stanie. W 1944 roku w Brenton Woods zorganizowana została konferencja, podczas której utworzono [Międzynarodowy Fundusz Walutowy](#). Jednym z celów utworzenia tego funduszu było ustabilizowanie kursów wymiany walut państw członkowskich poprzez ustalenie ich wartości w stosunku do złota i do dolara. Umawiające się strony zobowiązały się też do wzajemnej pomocy w razie wystąpienia chwilowych problemów w bilansach płatniczych poszczególnych krajów.

Do 1971 roku ustalenie wartości innych walut w stosunku do dolara było jednoznaczne z ustaleniem ich wartości w stosunku do złota. W 1971 roku podczas kadencji prezydenta Nixona USA wycofało się z zabezpieczenia wartości dolara poprzez zniesienie jego wymienialności na złoto. W międzyczasie dolar zdobył takie zaufanie, że pomimo braku wymienialności na złoto jest do dzisiaj jednym z standardów stosowanych w ocenie wartości innych walut.

Zniesienie wymienialności dolara miało sens, ilość pieniędzy w obiegu nie może być ograniczona rezerwami złota. Pieniądze są tak potrzebna dla gospodarki, jak krew dla organizmu. Przy małej ilości krwi człowiek słabnie, nie jest w stanie normalnie funkcjonować. Podobnie brak odpowiedniej ilości pieniędzy w obiegu zmniejsza popyt a brak popytu ogranicza produkcję – czyli występuje coś w rodzaju kryzysu gospodarczego. Natomiast nadmiar pieniędzy moglibyśmy porównać do transfuzji płynu fizjologicznego bez czerwonych ciałek krwi. Bezwartościowe pieniądze zalewają rynek powodując inflację. Wszystko drożeje przy ciągłym spadku wartości dodrukowywanych pieniędzy a gospodarka jak serce, zaczyna mieć kłopoty z przepompowywaniem coraz większej ilości bezwartościowego szmalu.

Niewątpliwie natura kryzysów gospodarczych jest bardziej skomplikowana, nie należy powyższych ilustracji traktować jako próby ich wyjaśnienia. Chodzi mi jedynie o podanie jakiejś prostej analogii ilustrującej wpływ polityki monetarnej na życie gospodarcze kraju. Dodatkowo, przy coraz bardziej zdecydowanych żądaniach finansowych różnych grup społecznych, ta prosta analogia może być ostrzeżeniem dla zwolenników dodrukowywania pieniędzy bez uwzględnienia poziomu produkcji i wymiany dóbr (bez tak zwanego „pokrycia“).

Zarówno na rynku wewnętrznym jak i międzynarodowym bardzo ważne jest zaufanie do danej waluty. W wielu krajach świata rodzime waluty wypierane są przez obcą walutę, najczęściej przez dolary. Spotkałem się z ocenami (1986r.), że dwie trzecie znajdujących się w obiegu dolarów krąży gdzieś poza USA lub błogo spoczywa w różnych kryjówkach jako zabezpieczenie na czarną godzinę. Sporo z nich wywieźli nasi rodacy spędzający „wakacje” przy budowie „drugiej Ameryki”. Łatwo wyobrazić sobie, jakie efekty spowodowałyby pojawienie się tych wszystkich dolarów z powrotem w USA. Chyba coś takiego jak w post sowieckiej Rosji, gdzie w potrzebie drukowali miliardy rubli – natychmiastowa inflacja. Jednak dzięki zaufaniu do dolara wszystkie dolary pochowane w pończochach, krążące z rąk do rąk oraz przekazywane w rozliczeniach na wewnętrznych rynkach różnych państw wzbogaciły i wzbogacają USA ludzką pracą i towarami po koszcie wydrukowania zielonych banknotów.

Ciekawostką dla większości ludzi, włączając obywateli USA, może być procedura tworzenia zielonych banknotów. Wszyscy wiedzą, że drukuje je rząd Stanów Zjednoczonych, ale ta wiedza jest mylnie rozumiana. Powiedzmy sobie, że rząd amerykański dodrukował miliard dolarów, aby dopasować ilość banknotów do aktualnego poziomu produkcji i wymiany dóbr w USA. Powstaje pytanie, czy dodrukowane przez rząd amerykański nowe pieniądze są własnością tego rządu, lub społeczeństwa USA? Czy mogą zmniejszyć amerykański dług państwowy zaciągnięty w różnych bankach? Przecież dla podatnika amerykańskiego taka możliwość byłaby bardzo korzystna. Trzeba by było mniej podatków na spłatę długu i jego obsługę, co pożera rocznie co najmniej 25% zebranych podatków.

Koszt drukowania miliarda stu dolarowych banknotów wyniósłby około pół miliona dolarów, co jest małą sumą w porównaniu z okrojeniem przynajmniej o jeden miliard czubka długu z jednoczesnym zmniejszeniem kosztów jego obsługi (załóżmy o 5%, około 50 milionów dolarów) – wszystko to za jedyne pół miliona! Oczywiście, decyzja o dodrukowaniu dolarów musiałaby odpowiadać realnym potrzebom rozwoju rynku, aby nie stworzyć nacisku inflacyjnego poprzez nadmiar gotówki w obiegu.

Okazuje się, że rząd amerykański nie może w ten sposób zdyskontować rozwoju gospodarczego wypracowanego przez całe społeczeństwo. Może drukować i zgodnie z konstytucją drukuje dolary, które po kosztach produkcji przekazuje do zamawiającego je Banku Rezerw Federalnych ([System Rezerwy Federalnej USA](#)). Ktoś może pomyśleć, że to też nie jest źle, ponieważ FEDERAL RESERVE BANK użyje tą miliardową „rezerwę” na potrzeby „federalne”, w domyśle rządu amerykańskiego. Kłopot jest w tym, że nazwa „FEDERALNY” nie jest zastrzeżone tylko i wyłącznie dla rządu amerykańskiego lub jego agend. Każdy może otworzyć cokolwiek i nazwać „Federalny(ne)”. Na przykład ktoś może otworzyć „FEDERALNE BIURO ODSZCZURZANIA”, będzie ono miało tyle samo wspólnego z rządem amerykańskim, co nic – prawie tak jak Federal Reserve Bank.

Tak naprawdę, popularnie nazywany FEDERAL RESERVE BANK jest stowarzyszeniem banków prywatnych tworzącym konglomerat finansowy znany jako „FEDERAL RESERVE SYSTEM”. Niezależnie jak to wszystko nazywać, konglomerat ten nie jest agendą rządu amerykańskiego. Nawet Federal Reserve Board wytyczający politykę walutową jest niezależny od rządu i parlamentu USA; oprócz takiego małego pocieszenia – rząd USA zatwierdza przewodniczącego Federal Reserve Board. Gdyby jednak jakkolwiek rząd nie chciał zatwierdzić tego amerykańskiego „GENSEK’A” („generalnego sekretarza”) – ryzykowałyby swoje unicestwienie. Federal Reserve Bank może jednym pociągnięciem pióra zmienić stopy procentowe wywołując chaos finansowy i gospodarczy.

Można tylko marzyć, aby prywatne banki zrzeszone w Federal Reserve System bardziej dbały o dobro i rozwój gospodarki USA oraz o uszczęśliwianie szarych Amerykanów, niż o zyski banków i wtajemniczonych spekulantów walutowych. Podobne marzenia mogą mieć też obywatele wszystkich państw kontrolowanych przez Międzynarodowy Fundusz Walutowy włącznie z Polską. Wydaje się, że „nasza” Rada Polityki Pieniężnej także bardziej dba o zyski banków i spekulantów walutowych, niż o nas i naszą gospodarkę.

Jakie więc będą dalsze losy tego dodrukowanego miliarda dolarów po trafieniu do sejfów Federal Reserve System? Oczywiście, banki nie potrzebują gotówki dla siebie. W obrotach między bankami królują transfery elektroniczne, papiery wartościowe i чеки. Taki miliard dolarów przyda się w okresie świąt, gdy ludzie wybierają więcej pieniędzy na świąteczne zakupy, szczególnie w latach boomu gospodarczego. Można też część tych dolarów wpakować w samoloty i rozesłać w różne strony świata, aby gdzieś tam ugrzęzły. We wszystkich przypadkach prywatny bank „federalny” (pokrywając jedynie koszt drukowania) obraca nimi według ich wartości nominalnej. W związku z coraz powszechniejszym użyciem „plastycznych pieniędzy”, wkrótce banki nie będą potrzebowały płacić „aż” po pięć centów za papierek drukowany przez rząd amerykański. Odpowiednio powiększone ilości „wirtualnych pieniędzy” będą swobodnie krążyły bez materializowania się w postaci zielonych banknotów. Powstaje pytanie, dlaczego więc, szczególnie po rozpadzie ZSRR, zaczęto masowo drukować banknoty według nowych wzorów?

Mało osób zauważyło „specjalne” przygotowanie amerykańskiego społeczeństwa i opinii międzynarodowej do masowego drukowania banknotów dolarowych według nowych wzorów. Przygotowanie to polegało na rozpowszechnieniu „nieautoryzowanych” przecieków, że gdzieś w krajach arabskich (niektóre „przeciuki” wskazywały na Syrię) istnieje doskonała drukarnia masowo produkująca dolarowe banknoty o różnych nominałach, wręcz niemożliwe do odróżnienia od oryginałów drukowanych na zamówienie Federal Reserve Bank. W ten sposób uzasadniono potrzebę wyemitowanie nowych wzorów banknotów oraz rozpoczęcie ich masowego drukowania.

Przy tej okazji, wbrew pogłosce o masowo produkowanych „idealnych” fałszywkach, zapewniono cały świat, że znajdujące się w obiegu dolary (domyślnie nawet fałszywe) nie tracą na wartości. Sprawa jest prosta, gdyby zaczęto masowe drukowanie banknotów bez jakiegokolwiek wiarygodnego uzasadnienia, wówczas taka nadzwyczajna aktywność mennicy USA wzbudziłaby podejrzenia i utratę zaufania do dolara.

Po bliższym przyjrzeniu się pretekst do wymiany dolarów, a raczej do masowego ich „dodrukowania”, nie wytrzymuje krytyki. Gdyby gdziekolwiek istniała taka „fabryka” idealnie podrobionych dolarów, wówczas rząd amerykański musiałby zająć oficjalne stanowisko w tej sprawie i zareagować na to, jak na bardzo niebezpieczną agresję przeciwko USA. Nic takiego nie nastąpiło. Zamiast zniszczyć jakoby pracującą gdzieś w krajach arabskich fabrykę fałszywych dolarów rząd amerykański używając byle jakich pretekstów zdemolował fabrykę farmaceutyków w [Sudanie](#).

Czyżby nielegalna mennica produkująca perfekcyjnie wykonane dolary, w dodatku w krajach arabskich oskarżanych o finansowanie terroryzmu, nie interesowała Amerykanów? Coś w tym wszystkim nie gra. Jedynym rozsądnym wyjaśnieniem rozprzestrzenienia pogłoski o „arabskiej fabryce dolarów” jest uzasadnienie masowego druku dolarów, które jakoby są coraz mniej potrzebne, wręcz zastępowane przez plastikowe pieniądze.

Przyjmując taką hipotezę pogłoski o samolotach wypchanych dolarami przestają być tylko pogłoskami. Czy samoloty te lądowały w Moskwie? Niekoniecznie, tym niemniej po upadku ZSRR pękły tamy utrzymujące tam „depresję dolarową”. Tak jak przy pęknięciu tam miliardy dolarów wdarły się rynki walutowe postsowieckich krajów. Dolarowa „fala uderzeniowa” „zmyła” miejscowe waluty podtapiając chwiejną gospodarkę. Niezależnie od tego, w jaki sposób amerykańskie dolary trafiają do ludzi i firm w „post” krajach, jest to proces o zdecydowanie ukierunkowanym przepływie: papierowe banknoty grzęzną (lub zaczynają cyrkulować) wewnątrz granic tych państw, a towary i różne inne dobra wypływają za granicę. Być może jest to jeden z czynników boomu gospodarczego lat 90-tych w USA i wręcz trudnego do zrozumienia katastrofalnego regresu w byłych krajach ZSRR?

Prognozuję [pisane w 1998r.], że około 2001 roku nowe „dolarowe depresje” wypełnią się a „zamelinowane” tam dolary wypłyną na światowy rynek walutowy, strach pomyśleć, co będzie dalej? Jeżeli wydarzy się coś takiego, wówczas przyjdzie dzień walutowej apokalipsy [od 2005r. w związku z ciągłym spadkiem wartości dolara taka „apokalipsa” przydarzyła się posiadaczom „zamelinowanych” dużych ilości dolarów]. Pomimo wahań kursów naszej złotówki powinniśmy jednak trzymać się złotych, ewentualnie „euro”. Wzrost wartości złotówki związany między innymi z spadkiem wartości dolara utrudnia nasz eksport i stymuluje import zwiększając deficyt handlowy i bezrobocie. Podsumowując, z perspektywy 2007 roku dewaluacja dolara stała się faktem. Czy wywołana została jego „nadprodukcją”? Do tego jeszcze nikt nie przyznał się.

W monopolu Federal Reserve System na nowiutkie środki płatnicze jest jeden wyłom. Wszystko co brzęczy bite jest przez rządową mennicę i zgodnie z wartością nominalną używane jest przez rząd amerykański jako żywa gotówka. Tymi drobiazgami rząd USA może płacić za zaspokojenie swoich drobnych potrzeb. Niewątpliwie, starcza tych moniaków na papier toaletowy i kawę dla kongresmanów – grube potrzeby zaspokajane są pożyczkami udzielanymi przez banki.

Aby kongresmani nie zatruli się nadmiarem kupowanej za „rządowe” monety kawy mennica amerykańska wzdraga się z masowym wprowadzeniem monet jednodolarowych. Mała ilość tych monet w obiegu tłumaczona jest brakiem ich popularności – osobiście przyjąłbym nawet kontener, pomimo, że ich wymiary i waga są rzeczywiście odstrasające. [Od 2000r. wprowadzany jest nowy wzór monety jednodolarowej.] Podobno w odróżnieniu ode mnie Amerykanie nie lubią tych monet i z pogardą myślą o wszystkich, którzy chcieliby w ten sposób uszczuplić dochody Federal Reserve System.

Być może brak monet jednodolarowych udałoby się wytłumaczyć „chytryością” urzędników Federal Reserve System. Gdyby większość tych monet przechwytywali, wówczas zastępując je banknotami jednodolarowym, za który zapłacili po pięć centów, na każdej przechwyconej monecie „zarabialiby” dziewięćdziesiąt pięć centów plus dodatkowe dochody ze sprzedaży przetworzonych na złom monet.

Konkurując z rządem USA w zakresie monet banki bardzo chętnie z nim współpracują, wręcz zachęcają rząd USA do zaciągania pożyczek. W pewnym sensie udzielające pożyczek banki pożyczają rządowi pieniądze wydrukowane przez pożyczający je rząd. Po spłacie wraz z procentami długów „wykreowane” w ten sposób pieniądze zasilają banki Federal Reserve System. [W rzeczywistości jest to bardziej skomplikowane, tym niemniej obsługa finansowa rządu USA daje bankom gwarantowane i monstrialne dochody.] W procesie tej cyrkulacji banki udzielające pożyczek mają jedną słodką pewność, że rząd federalny i różnego szczebla zadłużone administracje samorządowe nie mogą zbankrutować. Trudno w to uwierzyć, ale pośród obywateli wszystkich państw świata najwięcej takich „państwowych” długów na głowę ludności mają właśnie Amerykanie. [Być może i my już doganiamy Amerykę, ponieważ „nasze” banki słyną z zdzierstwa i wysokiego oprocentowania kredytów.]

Są marzyciele pragnący, aby drukowane przez rząd USA banknoty wydawane były przez ten rząd zgodnie z ich nominalną wartością. Starczyłoby przynajmniej na utrzymanie przepastnej rządowej biurokracji. Tak wydane banknoty równie dobrze trafiłyby na rynek i do banków, tylko, że z drugiej strony okienka. Nie udało się to jednak nikomu. Kennedy próbował coś podobnego wprowadzić, ale skończył marnie... [W czerwcu 1963 wydając [Executive Order 11110](#) polecił wydrukowanie czterech miliardów dolarów jako środków płatniczych rządu USA bez przekazywania ich do Federal Reserve Bank.] A jak jest u nas?

Oddając się marzeniom... Jak pięknie byłoby gdybyśmy tak jak Amerykanie mogli wysłać do obiegu za granicą ponad dwa razy tyle złotych, ile ich krąży w Polsce. Nie musielibyśmy czekać na jakieś fundusze na budowę autostrad. Za te „lekką ręką” drukowane złotóweczki wybudowałibyśmy wszystkie autostrady, w dodatku takie, że Niemcom zzieleniałoby oczy. Byłaby to tylko kwestia zaufania do naszej waluty i gospodarki. Jednak przedwczesny „nadmiar zaufania” umożliwiający zastąpienie złotych walutą europejską też może być groźny. Nie śpieszmy się z przemiałem złotych, przynajmniej do czasu, dopóki nasz rozwój gospodarczy i wymiana dóbr nie osiągną standardów rozwiniętych krajów.

Poza ciekawostką kursowania ponad dwóch trzecich dolarów poza granicami USA jest jeszcze inna ciekawostka. Ktoś zadał sobie trud oszacowania sumy długów jakie mają w bankach USA wszystkie kategorie dłużników: indywidualni obywatele USA; firmy i korporacje; rząd USA i wszystkie inne administracje samorządowe różnego szczebla. Oszacowano też totalną wartość rynkową całej Ameryki: wszystkich domostw, wszystkich firm i ich wyposażenia, gruntów prywatnych i rządowych, krów, świń i (*żartobliwie*) wróbla na dachach. Trudno to wszystko wymienić – szacunki mogły czegoś nie ująć.

Porównanie wartości długów z totalną wartością Ameryki (połowa lat osiemdziesiątych) wykazało, że aby spłacić wszystkie długi, trzeba by było oddać wierzycielom około dwa i pół razy więcej, niż warta jest cała Ameryka. Z tego względu najgorszym rozwiązaniem dla banków byłoby wybycie dłużników na jakąś Atlantydę. Nawet gdyby odeszli goli i bosy, banki dostałyby tylko jedną Amerykę, zamiast dwóch i pół Ameryk. Niestety, Atlantyda podobno zatonała już dawno temu, także pożyczkodawcy nie pozwoliliby na desperacką defiladę dłużników, aby czwórkami pogrążali się w odmętach Oceanu Atlantyckiego. Co w tym wszystkim jest? Oszustwo – czy normalne mechanizmy funkcjonowania tak potrzebnych banków.

Kiedyś mój najmłodszy syn na standardowe pytanie rodziców: *Kim chcesz być?*, odpowiedział: *Bankierem; Dlaczego? ... Bo w banku są pieniądze*. Mała córeczka naszej pracującej w banku przyjaciółki nie rozumiała, dlaczego w domu ciągle brakowało pieniędzy, gdy mama miała ich tak dużo w banku... Rzeczywiście, w banku są pieniądze, w pewnym sensie jest więcej pieniędzy, niż wpłacono do banku licząc wraz z kapitałem założycielskim. Czy to jest możliwe?

Myli się każdy, kto wyobraża sobie, że bankowe „pieniądze” istnieją w formie banknotów lub monet. Większość tych pieniędzy istnieje w formie odpowiednich zapisów w księgach bankowych. Z tego względu, gdyby wszyscy deponenti chcieli wycofać swoje depozyty, żaden bank nie mógłby ich wypłacić. Między innymi trudność polega na tym, że wpłacone pieniądze pożyczane są jak najszybciej innym klientom.

Pożyczkobiorcy kupują za pożyczone pieniądze domy, auta, ubrania..., a nawet jedzenie (karty kredytowe). W czasie tych transakcji pieniądze nie giną. Sprzedawca samochodów systematycznie dostarcza pieniądze z powrotem do banku. Były właściciel domu też wie, gdzie złożyć gotówkę za dopiero sprzedany dom. Właściciel nawet najmniejszego sklepiku niesie swój utarg do bankowego depozytu. Także napadający na sklepikarza bandyta bezpośrednio albo pośrednio przekaże ten utarg do banku. Tak czy inaczej pożyczone pieniądze zawsze trafiają znowu do banku.

Korzystając z tych powracających pieniędzy bank będzie w stanie udzielić następnych pożyczek, pomimo, że są to te same pieniądze, które już wcześniej były parę razy pożyczone. Takie krążące pieniądze mają to do siebie, że oprócz notowanych czasami na obrzeżach numerów telefonów nie mają notatek, ile razy przeleciały przez „przewód pokarmowy” banku tucząc go niemiłosiernie. Prawdę mówiąc, na większości tych pieniędzy nie można robić notatek, ponieważ nie występują w formie banknotów. Wydaje się to dziwne, ale tak właśnie funkcjonują banki.

Grubsze sumy pożyczane są w formie gwarantowanych przez bank czeków, w formie bezgotówkowych przelewów, elektronicznych transferów, itp. W tej też formie powracają do systemu bankowego. Mniejsze sumy, np. płaconych co miesiąc rachunków, też często mają formę czeków lub transferów, a zakupy, nawet tak drobne jak na jeden obiad, coraz częściej regulowane są przy pomocy „plastykowych” pieniędzy. Do większości operacji finansowych gotówka nie jest w ogóle potrzebna. Bankom wystarcza około dwudziestoprocentowy zapas gotówki od sumy wpłat wniesionych przez klientów. Pożyczki zaś przekraczają sumy wpłat od czterech do siedmiu razy – nic tylko bankierem być!... Pod warunkiem, że publika ma zaufanie do banku i przynosi pieniądze.

Niewątpliwie istnienie dobrego systemu bankowego (obok giełdy) jest bardzo ważne – umożliwia kumulowanie środków dla firm i ludzi mających pomysły, co zrobić z oszczędnościami innych ludzi. Zarówno wśród bankierów jak i pożyczkobiorców są jednak kombinatory niestrudzenie dążący do zagarnięcia cudzych pieniędzy. Tymi którzy tracą pieniądze, są najczęściej drobni ciułacze. Rządy cywilizowanych krajów, świadome funkcji banków i doceniające wagę zaufania do systemu bankowego, udzielają gwarancji, że ciułacze nie stracą swoich pieniędzy – przynajmniej do pewnej sumy. Pierwszym zabezpieczeniem jest zobowiązanie banków do ubezpieczenia przynajmniej części wkładów swoich klientów. W razie upadku banku firmy ubezpieczające zwracają klientom ubezpieczoną część straconych pieniędzy (w USA do 100.000\$, a u nas, śmiechu warte!). Przy dużej ilości równocześnie upadających banków firmy ubezpieczające ratowane są funduszami ze skarbu państwa – oczywiście na koszt wszystkich podatników.

Coś takiego wydarzyło się w USA w latach 1982-1995, w którym to okresie czasu upadło około 600 instytucji finansowych. W 1980 roku Kongres USA zaaprobował „[Depository Institutions Deregulation and Monetary Control Act](#)” rozszerzający zakres działania instytucji finansowych a wkrótce potem Ronald Reagan rozluźnił przepisy regulujące działalność banków, w szczególności kas pożyczkowych nazywanych najczęściej „Loan and Savings Associations”. To „rozszerzone” działanie doprowadziło w efekcie do największego po kryzysie z lat wielkiej recesji załamania małych instytucji finansowych. W ocenie niektórych specjalistów rząd USA, czyli podatnicy, musieli zrekompensować straty deponentów sięgające kosztów odbudowy Europy po zniszczeniach II wojny światowej.

Kozłem ofiarnym rzuconym na pożarcie publikatorów był niejaki Charles Keating, prawnik i finansista urodzony w Cincinnati, Ohio, USA. W 1984 kupił on Lincoln Savings w Kalifornii, inwestował pieniądze klientów w tak zwane „śmieciowe obligacje” nie informując ich o braku jakichkolwiek zabezpieczeń finansowych. Zabierając drobnym ciułaczom niejednokrotnie oszczędności ich życia, legalnie zamieniał je na wysokie pensje i nagrody dla swoich krewnych i przyjaciół. Za zasłoną dymną całopalenia Keating’a wiele innych wysoko postawionych osobistości USA uniknęło jego losu (skazany został na 10+10 lat odpowiednio w 1990 i 1993 roku). Czekać tylko, kiedy u nas „wykręca” podobny numer.

Ale nie martwmy się o przyszłość Keatinga, nie poszedł z torbami i nie cierpi potwornych katuszy, „business is business”. Trzeba wspomnieć, że więzienia dla takich macherów przypominają komfortowe ośrodki wypoczynkowe z indywidualnymi domkami, ogródkami i wszelkimi wygodami. Goście mile widziani, na każde żądanie dawane są przepustki umożliwiające załatwianie spraw biznesowych poza więzieniem. Za dobre sprawowanie w tych komfortowych warunkach wyroki są poważnie redukowane.

Podobnie komfortowo „odpoczywał” Ivan Boesky (3 lata od 1988r.) i Michael Milken (1990r., z 10 lat odsiedział około trzech lat). Byli oskarżeni o wykorzystywanie poufnych informacji (insider trading), a ten ostatni uzyskał w dodatku przydomek „króla śmieciowych obligacji” (junk bonds). Oczyszczając z pieniędzy drobnych ciułaczy wzbogacali siebie i stowarzyszonych osobników. Ponadto, w ramach „charytatywnych” dotacji, nie żalowali pieniędzy na wsparcie Izraela i organizacji żydowskich w USA.

Oprócz tych, którym lekko podwinęła się noga, są całe tabuny „finansowych geniuszy” robiących w podobny sposób olbrzymie fortuny. Można ich rzeczywiście nazwać „nadludźmi”, ponieważ nie tylko wykorzystują informacje niedostępne dla zwykłych ludzi, ale potrafią tworzyć zaplanowane trendy i wahania pozwalające na „genialne” przewidywanie, w co i kiedy inwestować. Wygrywają bezbłędnie, tak jak szulerzy grający znaczonymi kartami.

Temat ten łączy się w pewnym stopniu z przeprowadzoną w Polsce reformą systemu emerytalnego polegającą na inwestowaniu funduszy emerytalnych w różne operacje papierami wartościowymi. Według zamierzeń inwestowanie powinno pomnożyć przyszłe emerytury, i tak często bywa. Ale, gdy coś nie wypali, wówczas wszystko może być stracone, nawet bez możliwości wskazania winnych. W takim przypadku rząd, czyli wszyscy obywatele, będą pokrywali straty i utrzymywali emerytów. Wniosek z tego jest taki, trzeba bardzo uważnie sprawdzać tego typu instytucje zanim powierzemy im swoje pieniądze. Szczególny obowiązek ma rząd: kontrola, kontrola..., i jeszcze raz kontrola prześwietlająca wszystkie aspekty działalności autoryzowanych firm.

Polacy w metropolii nowojorskiej też mieli swoich „geniuszy finansowych”, którzy utworzyli „Bank Inwestycyjny [Karczewskich](#)”. Reklamowali się w polonijnych programach telewizyjnych stojąc przed półotwartą kasą pancerną wypełnioną makietami sztabek złota. Przypuszczalnie malowali te makiety tanią farbą w spreju. Mieli też jakoby zabezpieczenia hipoteczne. Powołując się na te zabezpieczenia przyjmowali pieniądze obiecując procenty wielokrotnie większe niż w innych podobnych instytucjach. Przy takich obietnicach już na pierwszy rzut oka widoczna była grubymi nićmi szyta machlojka. Pomimo tego wiele osób zostało oślepionych atrapami sztabek złota, zdeponowali pieniądze. Początkowo wypłacali procenty, w końcu cała piramida nie runęła. Ci, którzy mieli zdrowy „chłopski rozum”, nie dali się naciągnąć. Inni do dzisiejszego dnia przeklinają ten moment, w którym zobaczyli w Karczewskich sejfie ładnie ukształtowane klocuszki pięknie pomalowane złotą farbą.

Opisując powyższe przypadki nie chodzi mi o podważanie zaufania do banków, są bardzo potrzebne [szkoda, że nie są to już nasze polskie banki]. Potrzebne są też „pieniądze” w postaci czeków i przelewów bankowych, bez oblekania się w formę banknotów. Dużą rolę w tworzeniu takich „bezgotówkowych pieniędzy” mają zabezpieczenia hipoteczne, są dobrym „generatorem” wartościowych pieniędzy pobudzających gospodarkę i wymianę dóbr.

Zupełnie przypadkowo trafiłem na informacje o istnieniu w USA „lokalnych pieniędzy” tworzonych przez małe społeczności. W mieście Ithaca (Stan Nowy Jork, Tompkins County) w użyciu są lokalne pieniądze nazwane „[Ithaca hours](#)”. Szczegóły, kto je emituje, w jaki sposób ustalana jest ich ilość itp., nie są w tej chwili istotne, jednak sam pomysł wydaje się być godnym zainteresowania. Używane one są przez lokalną społeczność do wzajemnych rozliczeń za usługi, czynsze, zakupy, itp. Także część lokalnych podatków przyjmowana jest w „HOURS”, które z kolei wypłacane są jako składnik pensji urzędników i za usługi dla miasta. W ten sposób kółko zamyka się, krążące „HOURS” w pewnym stopniu uniezależniają lokalną społeczność od oficjalnych pieniędzy, ich podaży i wahań kursu. „Lokalne pieniądze” ożywiają miejscowe rzemiosło, rolnictwo i handel. Takie lokalne pieniądze, nazwijmy je „podpieniądze”, naruszają monopol potężnych banków – być może z tego względu informacje o nich są trudno dostępne, wręcz przemilczane.

Z braku szczegółów, które mogłyby być bezdennie nudne, można popuścić wodze fantazji. Wyobraźmy sobie jakąś małą miejscinę, w której upadły wszystkie „socjalistyczne” przedsiębiorstwa. Przy dużej ilości bezrobotnych sklepiki i inne drobne biznesy udają, że istnieją. Popadają w ruinę domki, ponieważ właściciele nie mają pieniędzy na remont. Lokalni rolnicy i badylarze ograniczają produkcję, ponieważ z braku pieniędzy miejscowi nie są w stanie nic kupić. Nawet złodzieje stracili nadzieję na znalezienie czegoś wartościowego, razem z bezrobotnymi przesiadują na ryneczku czekając, aż ktoś z zewnątrz łaskawie da się okraść. Jednocześnie roboty jest pełno, tylko nie ma pieniędzy, absolutny marazm.

Miejscowy burmistrz stracił nadzieję na jakiegokolwiek zmiany, zamknął się w swoim zdezelowanym gabinecie ucząc się języka angielskiego, aby jak najszybciej wyjechać do kuzyna w USA. Będąc przy literze „B”, trafił na słowo „[barter](#)”, w tłumaczeniu jest to wymiana dóbr i usług bez użycia pieniędzy [jeżeli nie oszacowany i nie zgłoszony do opodatkowania stanowi w USA przestępstwo podatkowe.] Ponieważ nie dostał wizy, postanowił wprowadzić w swojej „parafii” „podpieniądze”, czyli coś w rodzaju zobowiązań płatniczych za wymianę różnych dóbr i wykonane usługi.

Jaškowi z Mokrej przeciekał dach, namówił Macieja z Gontowej, aby mu go wyremontował. Skrętnie zapisał w swoim notesiku, ile Maciej powinien dostać za wyremontowany dach. Złożyło się, że Kuba z Trzonowej znalazł się na wrywaniu zębów a Kowalskiemu ze Stajennej nie rozwaliła się jeszcze do końca stara kuźnia, i tak dalej, dalej, dalej... Burmistrz, jako człowiek skromny, odliczał tylko 5% na konto miejskiej kasy. Po paru miesiącach Jurek z ulicy Podupadłej wyremontował z tych pięciu procent cały gabinet burmistrza, a za zarobione „podpieniądze” kupił od podmiejskiego hodowcy pół prosiaka. Na dopiero co oczyszczonym za miejskie „podpieniądze” ryneczku zebrała się pokaźna grupa miejscowych nowobogackich, aby zjeść prosiaka popijając samogonem dostarczoną za „podpieniężny” kredyt przez Szymona z Gazowniczej. Na drugi dzień weterynarz z Kobylej obłowił się na leczeniu skacowanych biesiadników zbierając pokaźną sumę „podpieniędzy”. Jako jedyny człowiek ciągle planujący wyjazd do stolicy przechwytywał zapomnianą walutę emitowaną przez rząd i banki – w krótkim czasie wyjechał mercedesem, aby leczyć monetarnego kaca dokuczającego najwybitniejszym naśladowcom Federal Reserve System.

Eksperyment Ithaca jest niewątpliwie bardzo interesujący, w dodatku wprzęgnięty w system podatkowy, przez co legalny. Jeżeli chodzi o „barter”, faktem jest, że istniał on i istnieje – przypuszczalnie żadne urzędy podatkowe nie zlikwidują go. W sytuacji stagnacji i braku „dobroczyńców” zapewniających rozsądną egzystencję lokalnych społeczności „podpieniądze” mogłyby być ostatnią deską ratunku likwidującą marazm i ożywiająca życie gospodarcze.

Inną ciekawostką jest „Sovereignty Proposal” przedstawiona m.in w [Monetary reform](#). Niezależnie od tego, jak by się to przetłumaczyło, chodzi o nadanie specjalnych praw dla stanowych i lokalnych samorządów umożliwiających „bezprowcentowe” pożyczanie pieniędzy na określone społecznie potrzebne inwestycje.

Oczywistym jest, że z bieżących podatków trudno jest oszczędzić na budowę np. nowej szkoły, oczyszczalni ścieków, lub obwodnicy wokół miasta. Oprocentowane pożyczki zaciągane są w komercyjnych bankach, co w warunkach amerykańskich podraża inwestycję kilka razy a wieloletnie spłacanie może wręcz zrujnować lub zniechęcić podatników do jakichkolwiek inwestycji.

W 1999 roku, na bazie „Sovereignty Proposal”, zgłoszona została propozycja legislacyjna „*State and Local Government Empowerment Act*” **HR 1452**. [Izba niższa parlamentu USA, popularnie nazywana „Kongres”, oznacza swoje kolejne akty legislacyjne literami „H.R” (od House of Representatives). Izba wyższa, Senat, oznacza swoje kolejne akty legislacyjne literami „S”.] Projektodawca, kongresman Ray LaHood (republikanin, Illinois), postawił sobie za cel stworzenie nieobciążonych procentami „pieniędzy” na kredyty dla samorządów stanowych i lokalnych, które to pieniądze pożyczane byłyby na określone klasy inwestycji „społecznie użytecznych”. [Powołując się na Konstytucję USA, projekt ustawy używa sformułowania „stworzenie” pieniędzy, chodzi jednak o udostępnienie bezprocentowych kredytów.] Gdyby uchwalono takie prawo, łatwo sobie wyobrazić, ile wybudowano by nowych mostów, dróg, szkół, ujęć wodnych, oczyszczalni ścieków, itp., dając zatrudnienie dla dużych rzesz ludzi oraz zdecydowanie ożywiając gospodarkę.

Zgodnie z procedurami, przed ewentualnym nadaniem dalszego biegu, propozycja H.R. 1452 miała być analizowana przez kongresowe komisje bankowości i budżetu. Nie znam dalszego jej losu, wydaje się jednak, że lobby bankowe chroniące monstrualne dochody banków uśmierciło ją. Przeciwnicy tej inicjatywy legislacyjnej straszili naciskiem inflacyjnym wprowadzanych w ten sposób pieniędzy. Zwolennicy argumentowali, że propozycja wprowadzenia do obiegu 72 miliardów dolarów rocznie nie stworzy nacisku inflacyjnego. Jako przykład podawali, że w 1994 roku banki Federal Reserve System wprowadziły do obiegu 142,5 miliarda dolarów nie tworząc żadnego nacisku inflacyjnego. Ciekawe, ile milionów złotych rocznie wprowadza do obiegu Narodowy Bank Polski, być może wzorem Federal Reserve System dodrukowuje pieniądze i przekazuje je po koszcie drukowania dla oddanych w obce ręce banków?

Innym „straszakiem” jest nadmierne zwiększenie zatrudnienia spowodowane inwestycyjnym „boomem”. Oponenti opisanej propozycji twierdzą, że brak siły roboczej spowoduje związany z nim nieproporcjonalny wzrost pensji i siły nabywczej społeczeństwa. Argumentują, że ilość zarobionych pieniędzy, tak czy inaczej, będzie czynnikiem tworzącym inflację. Pozwolę sobie uchylić się od oceny „za i przeciw”. Tym niemniej, coś w tym jest. Być może Rada Polityki Pieniężnej w swojej ślepej dbałości o inflację boi się wzrostu zatrudnienia, jak przedstawiono to w powyższej?

Przedstawiając powyższe obserwacje i przemyślenia zachęcam naszych „kapitanów” kapitalistycznej żeglugi do większej otwartości i informowania społeczeństwa o mechanizmach krążenia „walutowych bumerangów”. A może potraktować poważnie koncepcję kongresmana Ray LaHood'a i ruszyć ze zmniejszającymi bezrobocie robotami publicznymi finansowanymi z bezprocentowych kredytów? Narażając się nawet robiącym „kokosowe interesy” bankom!

W zakończeniu tego tematu postaram się wyjaśnić, co może być rozumiane jako „Sovereignty”? Raczej nic innego jak „władczość”, czyli, „kto tu rządzi”, kto ustala prawa i wdraża je. Powinny to być prawa rozsądnie dobre i rozsądnie egzekwowane. Będą właśnie takie, jeżeli będziemy „władcami” i wybierzemy odpowiednich przedstawicieli reprezentujących nas – WŁADCÓW. Jedyną możliwością wyboru takich przedstawicieli są niezależne i bezstronne publikatory oraz ORDYNACJA WYBORCZA w oparciu o jedno mandatowe okręgi wyborcze.

DRUGIE POKOLENIE

Po pokoleniu z czasów II światowej wojny tym drugim pokoleniem jest moje pokolenie. Gdy wyrastałem wojna ciągle żyła w bólach i wspomnieniach pokolenia moich rodziców. Ich wspomnienia, razem z moimi mglistymi wspomnieniami wybuchu granatu, niewątpliwie odcisnęły piętno na moim dalszym życiu. W odróżnieniu od pokolenia moich rodziców i poprzednich pokoleń moje pokolenie nie zaznało wojny, nie było postawione przed ekstremalnymi wyborami, ani też nie przeżyło zdrady aliantów w 1939 roku zostawiających nas później na pastwę sowieckich komisarzy. Wyrastaliśmy w PRL, niezależnie od tego, jaką była PRL-owska rzeczywistość, była ona normalnością naszych powszednich dni.

Tak też złożyło się, że w odróżnieniu od większości przedstawicieli mojego pokolenia, moja droga życiowa była dosyć skomplikowana. Po drodze poznałem wiele ludzi, nie z oglądu, ale zaglądając im do duszy, oni też zaglądali do mojej duszy odciskając w niej swoje piętno. Dlatego też zastanawiam się, jaka może być różnica w moim widzeniu świata w porównaniu z tym, jak widzą świat ludzie z „pierwszego” pokolenia i ci z mojego pokolenia, którzy nie mają moich doświadczeń, lub nowe pokolenie rosnące po „Okrągłym Stole“.

Zazwyczaj przeżywa się życie w małym świecie aktualnego otoczenia. Otoczenia nie tylko w sensie miejsca pobytu, raczej głównie w sensie zaistnienia pośród małego grona osób. W moim przypadku miejsce pobytu często zmieniał się, zmieniał się także grono otaczających mnie osób, jednak ciągle był to mały świat mojego otoczenia. Przedstawiając moją książkę dla większego świata, w którym istnieją znani ludzie, czuję się tak, jakbym wybrał się w ryzykowną podróż opuszczając zaciszną prowincję mojego małego świata. Nie bałem się i nie boję się ryzykownych podróży. W tej nowej podróży najbardziej ciekawi mnie i intryguje to, co ten większy świat powie o takim „borsuku”, który całe życie przesiedział gdzieś w różnych norkach wtrącając swoje trzy grosze do czegoś, co nie jest jeszcze nawet historią? Po paru latach od pierwszego wydania wiem, że znani ludzie nabrali wody w usta. Pozostają mi tylko wierni czytelnicy, niestety, pozbawieni także głosu w wielu innych sprawach.

Zgodnie z moją początkową intencją, „Okruchy” stanowią urywki obserwacji, łączą wydarzenia z różnych okresów czasu, dotyczą różnych zagadnień i sfer życia, chyba coś takiego jak samo życie, składające się z mozaiki różnych okruszków. Wbrew cichej nadziei raczej nie udało się mi przedstawić mojej wizji świata. Czasami sam nie jestem pewien, jak ja go widzę? Patrząc wstecz uświadamiam sobie, że nawet w zależności od aktualnego nastroju jedno i to samo wydarzenie można różnie postrzegać i interpretować.

Sporo miejsca w „Okruchach” poświęciłem sprawom związanym z Żydami. Wielu z nich będzie miało do mnie pretensje, nie powinni mi jednak zarzucić, że kłamię. Ilość miejsca, jakie poświęciłem tym tematom jest proporcjonalna do ilości różnych spraw związanych z Żydami wciskających się codziennie do mojej świadomości. „Wciskających się” jest zbyt delikatnym określeniem, jest jakaś ciągła agresja tych tematów w efekcie doprowadzająca do krytycznych reakcji. Całkowicie inaczej jest z moimi znajomymi żydowskiego pochodzenia, zdecydowana większość – właściwie wszyscy – nie mają z tym nic wspólnego.

Tak się złożyło, że poprzez parę osób poznanych jeszcze w Leningradzie poznałem w USA spore grono imigrantów z ZSRR. Myślę, że większość z nich jest pochodzenia żydowskiego, chociaż niektórzy mogli podawać się za Żydów, aby tylko wyjechać z ZSRR. Utrzymywaliśmy ze sobą kontakty, czułem się w ich towarzystwie równie dobrze, jak w towarzystwie moich rodaków. Po prostu nie ma między nami jakiegoś uprzedzenia i czegoś, co zamraża normalne obcowanie z chwilą spotkania Polaka z amerykańskim Żydem. Mógłbym pomyśleć, że dotyczy to tylko tych paru osób, znanych mi jeszcze z czasów studiów? Nie jest to jednak tak, większość z tego towarzystwa poznałem dopiero w USA. Łatwość kontaktów z nimi widzę w tym, że przyjechali oni do USA jako dorośli i nie byli poddani antysarmackiemu praniu mózgow, jakie niewątpliwie przechodzą Żydzi w USA i w Izraelu.

Tylko jeden z poznanych w tym towarzystwie osobników był bardzo namolny w wynajdywaniu dziury w całym. Potwierdza to jednak moją tezę o wpływie „wyrastania” w Izraelu lub USA, ponieważ wyemigrował on z ZSRR do Izraela będąc jeszcze подростkiem. Poznałem tego człowieka przy pierwszym spotkaniu ze starym znajomym z Leningradu. Grisza wynajmował duże mieszkanie w Jersey City i aby było lżej opłacać czynsz dobrał sobie współmieszkańca. Spotkanie przeciągnęło się do późna, zostałem na noc. Na drugi dzień rano jego współmieszkaniec zaproponował przejażdżkę rowerami do dopiero urządzanego Liberty Parku. Po dotarciu do nabrzeża przy Statui Wolności stanęliśmy przy balustradzie nad zatoką. Po zamienieniu paru słów o pogodzie jakby mimochodem stwierdził: *Wy Polacy jesteście antysemitami*. Zdziwiło mnie to z grubej rury wypowiedziane stwierdzenie. Przecież z nimi, Żydami, spędziłem miły wieczór. Ani mnie ani Griszy nawet do głowy nie przyszło, aby roztrząsać jakieś polsko żydowskie problemy.

Byłem tym „polskim antysemityzmem” tak zaskoczony, że nic mu nie wygarnąłem, a trzeba było dać jakąś adekwatną odpowiedź na jego niegrzeczne, wręcz prowokacyjne stwierdzenie. Odpowiedziałem: *Można Żydów lubić albo nie lubić, jest to indywidualna sprawa. Można mieć pośród Żydów znajomych, przyjaciół, albo wrogów – to też jest indywidualna sprawa, ale antysemityzm to jest coś takiego, czego nie łączę ani z sobą, ani z moimi rodakami*. Na moje pytanie, dlaczego ma taką opinię, wspomniał o jakimś krótkim pobycie tranzytowym w Polsce, zaraz po wojnie. Jedyne zarzut jaki miał przeciwko Polakom polegał na stwierdzeniu: *Gdy byliśmy zakwaterowani w budynku, Polacy na nas patrzyli, domyślnie z nienawiścią, tego jednak nie dodał*. Jak ja mogłem na ten jego „dowód” polskiego antysemityzmu odpowiedzieć?

Czy jacyś mieszkający w okolicach Polacy mieli odwracać się, czy klapki na oczy zakładać? Odpowiedziałem: *Oczy są do patrzenia, zwróć uwagę, że rozmawiając z tobą patrzę na ciebie. Czy z tego powodu, że jesteś Żydem, mam z zażenowaniem patrzeć w ziemię – wracajmy lepiej do domu*. Griszy nigdy o tym nie wspomniałem, jednak gdy znalazł innego współmieszkańca, wpadałem do niego z większą przyjemnością. Tego byłego współmieszkańca nigdy więcej nie spotkałem. Widocznie nie pasował do normalnych ludzi obracających się w towarzystwie Griszy.

Grisza był i jest uniwersalnym artystą. Może nie zdobył wielkiej sławy, jednak we wszystkim co robił był dobry, naprawdę dobry. W Leningradzie zajmował się pantomimą (tyle wtedy wiedziałem). Zafascynował go Marcel Marceau, znał też polską szkołę pantomimy. Starał się spopularyzować ten rodzaj sztuki w USA, ale w erze „filmów akcji” była to trudna sprawa. Działał, dopóki dostawał jakieś fundusze od sponsorów na utrzymanie jego „objazdowego” teatru pantomimy. W międzyczasie pracując jako „modelarz na luzie” zrobiłem mu panel sterujący oświetleniem i obsługiwałem niektóre przedstawienia jako „technik oświetlenia”. Mając sam niewiele dotacji zaskoczył mnie płacąc mi za moje usługi.

Raz w roku, o ile dobrze pamiętam w lutym, organizował spotkania „artystów”. A jego działalność w tym zakresie była bardzo szeroka. Malował, rzeźbił, robił biżuterię – trudno to wszystko wymienić – nawet nie będąc znawcą widziałem, że ma to ręce i nogi. Gdyby go ktoś rozreklamował, chłopak zrobiłby olśniewającą nowojorską karierę. Tak się w tej Ameryce zdarza, że czasami nawet osoby pochodzenia żydowskiego nie zawsze są doceniane. A może brakowało mu żydowskiego ekstremizmu, aby być godnym promowania?

Griszy „imprezy” były czymś samym w sobie. Rozsyłał własnoręcznie zaprojektowane zaproszenia z małą adnotacją w stylu: *„Zaleca się przyniesienie jakiegoś alkoholu i coś oryginalnego do zjedzenia”*. Przez grzeczność nie nadmieniał, że hamburgery nie należą do oryginalnych potraw. Nie wiem jak radził sobie z sąsiadami, chyba też ich zapraszał. Muzyka, tańce, i to wszystko, co przy takich okazjach zakłóca spokój bogobojnych mieszczuchów, trwały do późnych nocnych godzin.

Zaproszone towarzystwo było bardzo różnorodne, włączając mnie, wyrosniętego na babcinym kozim mleku. Byli tam też Amerykanie o trudnej do określenia maści, Spaniole i inni, jednak z przewagą żydowskich emigrantów z ZSRR. Taka mieszanina różnych ludzi nie kreowała żadnych problemów. Nie mieści się to w pale, skąd różni spece od jątżenia codziennie wynajdują jakieś polsko żydowskie problemy.

Według takich speców, musiałbym na każdym spotkaniu prosić o głos i składać oficjalne przeprosiny, albo stać w kącie i zawstydzony patrzeć w podłogę? – Paranoja.

Z ciekawostek tego towarzystwa przypominam dobrego kompana do kielicha. Załapał się na żydowską emigrację z ZSRR wyjeżdżając z Łotwy. Miał chyba jakieś problemy z uznaniem poprawności zaszeregowania go jako Żyda. Przy kielichu zwierzył się: *Żydzi nie uznają mnie za Żyda, do Łotysza nie jestem podobny, kim ja mam w końcu być?*. Poradziłem mu: *Naucz się dzień dobry i do widzenia w języku polskim, zaadoptuj cię jako Polaka*. Była to jakaś nietypowa rozmowa, praktycznie jedyna, jaką miałem tam na tematy pochodzenia. Dominowały żarty, tańce i śpiewy. Z wiadomych względów powstrzymałem się od śpiewania, ale mimo nadszarpniętego słuchu chętnie uczestniczyłem w tańcach. Jedną z moich partnerek była kobieta, na oko w moim wieku, robiąca wrażenie, że tylko ciałem jest pośród tego rozbawionego towarzystwa, a jej umysł i osobowość dryfują gdzieś bardzo daleko.

Ze skrucłą przyznaję, że zawsze interesowały mnie kobiety, chociaż ta właśnie nawet nie była w standardzie mojego gustu (zupełnie staroświecki – drobne wiotkie kobiety bez silikonowych biustów). Jednak było coś ciekawego w tej jej psychicznej nieobecności pośród rozbawionego towarzystwa. Nie była też rozmowna, nawet w tańcu jakby nieobecna. Przyjechała na to spotkanie z Pensylwanii, ożywiła się jedynie w gronie paru osób, które rozmawiały o „New Age” – rozdawała im jakieś odbite na ksero informacje. Pomimo dziwnego sposobu bycia miała w sobie coś interesującego. Jej najbliższe towarzystwo traktowało ją z jakimś szacunkiem, może jako kapłankę „New Age”. Po którymś tańcu dałem jej telefon, aby zadzwoniła do mnie, gdy znowu będzie w naszych okolicach. Zaproponowała, abym wpadł do Pensylwanii, ale w tamte strony jeździłem tylko latem ponurkować w Delaware River.

Za parę miesięcy wpadła do Jersey City, zadzwoniła, zaprosiłem ją do knajpki na obiad. Była smutna, wręcz przygnębiona. Przy lampce wina rozluźniła się i nabrała rumieńców – nawet pojawiające się już zmarszczki jakby znikły. Pytała, dlaczego nie odwiedziłem jej, a właściwie ich, w Pensylwanii. Kupiła tam za grosze kawałek jakiejś farmy z zabudowaniami gospodarczymi. Dzieliła to wszystko na „kajuty“ i wynajmowała dla różnych poszukiwaczy nowości. Trudno mi wyobrazić sobie, jak na przykład stodołę można podzielić na indywidualne części?... Może jakieś piętrowe kabiny? W każdym bądź razie miała już spore grono osób przyjeżdżających głównie na weekendy. Właśnie w czasie weekendów było tam najwięcej ludzi, bo oprócz wynajmujących przyjeżdżali przypadkowi goście, dla których organizowała spanie. Jak wyjaśniła mi, tworzyli grupę „wyznawców” New Age. Szczerze powiedziała, że liczyła, że też wynajmę jakąś kajutę – rozczarowałem ją.

Słyszałem coś wcześniej o „[New Age](#)”, nawet w telewizji była jakaś audycja na ten temat. [Wykładowca historii sztuki, Jose Arguells, na podstawie wątpliwej interpretacji astronomicznego kalendarza Majów ogłosił, że 17-go sierpnia 1987 roku rozpoczyna się „New Age”, czyli coś w rodzaju „Nowej Ery”.] Wyobrażałem New Age jako jakiś kult, czy coś w tym rodzaju. Spytałem ją, co to takiego jest: *Dla mnie jest to sposób utrzymania, z tego żyję*. Po prostu nie miała żadnej pracy, która dałaby jej utrzymanie. Od młodości związana była z jakimiś grupkami w rodzaju „ludzi kwiatów” czy hippisów. W międzyczasie urodziła syna (w czasie tej rozmowy miał około dwudziestu lat) a ta farma w Pensylwanii była jednym z jej kolejnych przystanków życiowych

Spytałem czy ci, którzy przyjeżdżają do niej, wierzą w coś takiego jak „New Age”, czy traktują to jako religię? Wątpiła aby ktokolwiek traktował to jako religię, nie wykluczyła jednak takiej możliwości. Było podobno wiele takich zgromadzeń „New Age”. Organizowane były seminaria, mieli swoją literaturę, muzykę i kryształowe „fetsze” – a ona przy okazji zapewniała utrzymanie dla siebie i swojego syna.

Miała aktualnie problem z synem. Właśnie przed naszym spotkaniem wykryła, że przygotował sadzonki marihuany. Narkotyki nie były jej obce, jednak gdyby założył plantację na jej farmie, wówczas w krótkim czasie straciłaby cały swój „New Age” przybytek. Po prostu sąsiedzi traktowali ich bardzo podejrzliwie, natychmiast zawiadomiliby policję. Przyczyna podejrzliwości sąsiadów była bardzo prozaiczna.

Aby nadać kolorytu i zainteresować swoich klientów wymyślała różne obrzędy. Zbierali się na przykład przed świtem słońca wykonując skłony, przegięcia i krążenia rękoma. Witali w ten sposób pojawiające się słońce. Ponieważ mieli przy tym bardzo poważne miny, sąsiedzi zaczęli traktować takie obrzędy jako jakieś kultowe msze. Wolałaby, aby sąsiedzi traktowali je jako gimnastykę poranną, ale nie mogła zamienić tych zabaw na gimnastykę, nie pasowałoby to do „New Age”.

Zniszczyła sadzonki marihuany, ale martwiła się coraz bardziej przyszłością swojego syna. Jej nieustabilizowane życie spowodowało, że syn nie miał żadnego zawodu, nie mogła wyobrazić sobie, co on będzie dalej robił. A perspektywa, co może zrobić – jak te sadzonki marihuany – wprawiała ją w wisielczy humor. Jej pokolenie odrzuciło wszelkie reguły i konwenanse świata ich rodziców. Miało też to pokolenie skłonności do rebelii, do tworzenia swoich religii, do negowania wszystkiego, co przeszłe pokolenia reprezentują. Jednak patrząc na swojego syna nie chciała, aby jego życie było jakimś powtórzeniem jej życia.

Ta jej jakby nieobecność, jaką zauważyłem poprzednio, a także smutek, stały się bardziej zrozumiałe. Chyba tak czuli się jej rodzice, gdy rozpoczynała swoją drogę życiową razem z innymi podstarzałymi już twórcami „kontrkultury”. Nie widziała żadnych perspektyw dla swojego syna, zastanawiała się nad własnym życiem. Mając ten swój mały „New Age” biznes liczyła przynajmniej na jakąś tymczasową stabilizację.

Zastanawiała mnie jej szczerość. W większości Amerykanie traktują takie „kultowe” sprawy ze śmiertelną powagą. Nawet „jogging” (bieganie) staje się misterium odprawianym z wielkim namaszczeniem. Rozstaliśmy się jak ludzie postawieni przed ponadczasowymi problemami czasami nazywanymi konfliktem pokoleń. Właściwie, w jej i jej syna przypadku nie było konfliktu pokoleń, szedł jej drogą. Nie były to moje problemy, ale przez jej szczerość odczułem je jako moje, nie mogłem jej niczego rozsądnego poradzić, ani nawet pocieszyć – oprócz „good luck” na pożegnanie.

Przy innej okazji jeden ze znajomych Griszy wyłuszczył mi swój projekt postawienia pomnika dla Solidarności, a było to niedługo po wprowadzeniu stanu wojennego. Marzył, aby w centrum Nowego Jorku postawić bardzo prosty monument w postaci ściany z cegieł w kształcie litery „V” ze złączonymi rękoma wyrastającymi ze skrzydeł ściany i z napisami „Solidarność” w różnych językach. Zastopowałem go krótko: *Gdybyś nawet dostał pieniądze na tą ścianę z cegieł i na te rączki, to kto ci da miejsce i pozwolenie na jej postawienie w Nowym Jorku?*

W kręgu imigrantów z ZSRR poznałem dużo różnych ludzi. Nie byli wolni od wewnętrznych niesnasek, od frustracji i załamań psychicznych, niektórzy popadali w alkoholizm – po prostu średni przekrój emigracyjnych losów. Obawiam się, że po opublikowaniu „Okrucich”, ten świat moich sympatycznych znajomości z Żydami ucieknie w przeszłość, tak jak świat żydowskich miasteczek w Polsce. Ale prawda i honor moich rodaków są ważniejsze. Może moi żydowscy znajomi przyznają mi rację, że to co piszę, nie ma z nimi nic wspólnego. Może znajdziemy jakieś okazje, aby spotkać się i wspomnieć dawne czasy.

Rosjan praktycznie nie spotykałem, to znaczy osób deklarujących swoją rosyjskość jako cechę odróżniającą ich od emigrujących z ZSRR Żydów. Tacy, którzy wyjechali z ZSRR podając się fałszywie za Żydów, nie dystansowali się od reszty towarzystwa, nie było też tematów lub dociekań, kto jest Żydem, kto Polakiem, a kto Rosjaninem – byliśmy wszyscy z wielkiego sowieckiego łagru.

Poza tym towarzystwem spotkałem tylko jednego człowieka, który przedstawiał się jako Rosjanin. Był kiedyś przykładowym komsomolcem i przodownikiem pracy. Może z rekomendacji ojca oficera zaufano mu i jako przodownik pracy został zakwalifikowany na komsomolską wycieczką do Włoch. Coś go zaskoczyło w tych kapitalistycznych Włoszech. Porównanie jakoby radzieckiego dobrobytu z kapitalistyczną nędzą nie wypadło tak, jak mu całe życie wmawiano. Chodził zgodnie z poleceniem, nie odłączając się od całej grupy równie zasłużonych komsomolców, jednak w międzyczasie coraz bardziej tracił zaufanie do Komsomolskiej Prawdy. Zaczął nawet rozglądać się, jak czmychnąć gdzieś na bok, ale nie było to łatwe.

Tuż przed zaokrętowaniem zaszył się w porcie pomiędzy jakimiś ustawionymi na nabrzeżu kontenerami. Walczył sam ze sobą: *Co będzie z moim ojcem oficerem, jeżeli nie wrócę, co będzie z moją rodziną*. Zatykał uszy, gdy przez megafony nawoływano go, aby zjawił się na pokładzie już spóźnionego statku. Wytrzymał wszystko, nawet po odpłynięciu statku postanowił nie wyłazić z kryjówki do następnego dnia: *Bo może jacyś z „posolstwa” będą na mnie czatowali*. Nie znając ani słowa po włosku uciekł chyłkiem z portu. Zdesperowany i głodny zaczął błąkać się po okolicach. Wreszcie ktoś zainteresował się nim i trafił do [Fundacji Tolstoja](#) sponsorującej przyznanie mu wizy imigracyjnej do USA.

Gdy go poznałem mieszkał z Polakami. Był samotny, taniej mu wychodziło wynajmowanie mieszkania razem z naszymi „wakacjuszami”. Pokazał mi nawet listy od ojca proszącego aby wrócił, ponieważ cała rodzina i jego komsomolski kolektyw czekają na niego, że nic mu nie grozi za tą pomyłkę; *Nie dowieraju mówił, Gdybym tylko wrócił, zaraz mnie do pierdła wsadzą*. Nie był zachwycony Ameryką, pracował jako cieśla. „Wakacjusze” zmieniali się i wyjeżdżali do Polski, a on, prawie tak jak w ZSRR, był przykuty do jednego miejsca. Nie wiem, jak potoczyły się jego dalsze losy, ale chyba po Gorbaczowskiej odwilży wrócił do Rosji. Przy okazji niewątpliwie nauczył się trochę polskiego i angielskiego. [Język polski nie powinien sprawiać Rosjanom żadnych trudności, tak ja w starej anegdotce: Przyjechała delegacja kołchoźników, aby bratać się z polskimi wieśniakami. Jeden z nich, zaskoczony dziwnym „akcentem” spytał: „W jakim języku wy w końcu rozmawiacie?”. Po określeniu języka jako polski wypytywał; jak jest w języku polskim „stoł” – „stół”, „chleb” – „chleb”, „noż” – „nóż”... W końcu doszedł do słowa „żopa” – „dupa”. Sfrustrowany wydusił z siebie – „Warto to było dla jednego słowa język wymyślać?”.]

Oprócz Griszy bywałem u innych emigrantów, rozmawialiśmy o doświadczeniach z Rosji, z USA, o Izraelu i amerykańskiej polityce. Temat polskiego antysemityzmu nie istniał, gloryfikowali trochę Izrael, a ja czasami wyrażałem przeciwne opinie, nie tworzyło to jednak atmosfery konfliktu polsko żydowskiego. W zagadnieniach masowej kultury amerykańskiej byliśmy zgodni – nie będę wyłuszczał, na czym ta zgodność polegała, ponieważ niektórzy Amerykanie mogliby poczuć się urażeni, jeżeli sami nie mają identycznego zdania.

W 1991 roku zacząłem pracować jako wykładowca w Technical Career Institutes na Manhattanie. Po otrzymaniu tak zwanej „zielonej karty” postanowiłem zrezygnować z uprawnień elektrycznych i zacząć robić coś bliższego mojemu wykształceniu. Według naszych standardów było to coś na poziomie dwuletniego studium, pomiędzy szkołą średnią a uczelnią wyższą. W grupie studentów I semestru, którym wykładałem wszystkie przedmioty z zakresu chłodnictwa i grzejnictwa, większość stanowili imigranci z ZSRR. Wielu z nich miało skończone studia wyższe, właściwie program TCI nie mógł im dać nic nowego. Otrzymywali jednak jakieś stypendia na adoptację w USA. Wykorzystywali je, aby otrzymać darmowy „wikt i kwaterunek”. Oprócz języka radzili sobie bardzo dobrze, górowali nad swoimi amerykańskimi kolegami.

Pośród paru innych studentów byli Murzyni i Haitańczyk po antynarkotykowej odwykówce. Miejscowi mieli bardzo duże braki wyniesione ze szkół średnich, organizowano dla nich dodatkowe zajęcia z matematyki. Koszta studiów pokrywane były z rządowych programów likwidacji bezrobocia, resocjalizacji, itp. Takich, którzy opłacali te studia z własnej kieszeni, oprócz jednego Polaka, chyba w ogóle nie było. W ten sposób prosperuje w USA wiele uczelni umiających znaleźć studentów za nauczanie których płacą podatnicy. W takich uczelniach specjaliści z działów rekrutacji i pomocy finansowej są niekiedy ważniejsi od wykładowców, ponieważ dzięki nim uczelnie te mają zapewniony byt.

Jednym z moich studentów z ZSRR był syn byłego strażnika łagru w Iwdielu Gidroliznym. Jak już wcześniej wspomniałem, zaszokowany byłem amerykańską polityką imigracyjną akceptującą strażników sowieckich obozów koncentracyjnych. Nie byłem jednak zatrudniony do grzebania w życiorysach rodziców moich studentów. Od pierwszego wykładu nawiązały się z nimi dobre stosunki. Nie dotyczyło to tylko imigrantów z ZSRR, ale całej różnorodnej grupy.

Murzyni, przeważnie z zapuszczonych dzielnic Nowego Jorku, mieli największe braki. Ten z narkotykowej odwykówki po pierwszych zajęciach obwołał mnie „Voodoo” (miał bardzo poważną minę, później opowiadał mi o różnych dziwnych sprawach i haitańskich obrzędach). Ale i bez tego nadania mi rangi haitańskiego czarownika miejscowi studenci autentycznie lubili mnie. Pomimo mojego nie najlepszego angielskiego rozumieli mnie lepiej, niż innych wykładowców. Gdy doszliśmy do rozwiązywania równań (równoległe „powtórkowe“ grupy nie doszły do tego) z radością obserwowałem, jak wręcz jeden ponad drugim zaczęli wyrywać się do tablicy. Pamiętali, że było coś takiego w szkole, ale nigdy nie potrafili rozwiązywać równań, nie wierzyli, że kiedykolwiek nauczą się tego.

Jednym z tych studentów był szczupły chłopaka z Bronx'u. Widać było, że nie wyrastał samopas, jego ojciec był dobrze zarabiającym kierowcą ciężarówek. Spytał mnie kiedyś, czy po skończeniu studiów będzie miał szansę na dobrą pracę. Oczywiście, przy przyjęciu na studia obiecywano odpowiednie skierowanie, ale w rzeczywistości każdy musiał zadbać o pracę sam. Ufał mi, chciał usłyszeć moje zdanie na ten temat. Powiedziałem mu, że formalnie dostanie parę rekomendacji, ale jednym z kłopotów w uzyskaniu pracy będzie właśnie kolor jego skóry – taka jest prawda. Gdyby doniósł komuś o tej rozmowie, to musiałbym tłumaczyć się z grzechu „niepoprawności politycznej“. Zgodził się ze mną, że niechęć zatrudniania Murzynów nie wynika tylko i wyłącznie z rasowych uprzedzeń. Sam zdawał sobie sprawę z poziomu szkół w murzyńskich dzielnicach i z wizerunku, jaki tworzą wychowani na ulicach narkomani i rabusie.

Robił on jednak dobre postępy, miał szansę na ukończenie studiów bez ulg za kolor skóry. Poradziłem mu, aby nie przejmował się początkowymi niepowodzeniami w znalezieniu pracy – a gdy znajdzie jakąkolwiek pracę, aby ją wziął. Dodałem, że powinien robić więcej niż wymagają i uczyć się wszystkiego, wówczas będzie awansował. Trzeba tylko mieć dużo cierpliwości, pracować i zbierać pieniądze. Z czasem – powiedziałem mu – może zostać właścicielem zakładu. Mając swoje pieniądze i dobrą historię kredytową, będzie mógł dostać pożyczkę. Będzie mógł negocjować odkupienie zakładu od odchodzącego na emeryturę właściciela lub otworzyć własny zakład. Radziłem mu, aby systematycznie i od początku poznawał najdrobniejsze niuanse działania firmy, dostawców i klientów, potrzebną dokumentację, sprawy podatkowe itp. Może podążył tą drogą?

Z imigrantami z ZSRR pracowało się bardzo dobrze, większość nie miała żadnych problemów z programem, chociaż z językiem angielskim byli lekko „na bakier“. Głównie z myślą o nich przy każdym teście typu „pytanie – cztery odpowiedzi” uczyłem ich trików tej amerykańskiej specjalności. Wyjaśniałem też wiele prostych a praktycznych rzeczy przydatnych na początku ich amerykańskiego życia. „Tubylców” poprosiłem, aby wyłapywali moje angielskie niepoprawności, lub słowa zbliżone do żargonowych śmiesznych lub „mocnych“ określeń. Hiszpańskojęzyczni ostrzegli, że słowo „ciocia” nie powinno być używane w przyzwoitym towarzystwie.

Zdobyłem wśród moich studentów taką popularność, że po zebraniu wyników anonimowej ankiety oceniającej wykładowców, wielu starych pracowników składało mi gratulacje. Podobno nigdy jeszcze żaden wykładowca nie otrzymał takich notowań. Pytano mnie, tak jak kiedyś pytał mnie Zakrzewski w Leningradzie, „*Co ty z nimi zrobisz?*”, a ja nic nie robiłem. Oprócz partnerskiego traktowania, jasnych kryteriów oceny, pomagania, odnosiłem się do nich z sympatią i bez żadnych uprzedzeń ze względu na rasę i pochodzenie. Oni czuli to i odwzajemniali się w pełni. Nie było, jakby ktoś mógł przypuszczać, żadnych polsko żydowskich problemów, nikomu coś takiego nawet do głowy nie przyszło. Może ktoś w przyszłości nauczy tych moich żydowskich studentów jakiejś nienawiści do Polaków, ale nie będzie to łatwe. Nie wyrosli w nienawiści, w ZSRR Polska była widziana jako normalny kraj i jedyne „okno na świat”... Będą też chyba pamiętali swojego pierwszego amerykańskiego wykładowcę?

Po paru miesiącach zaczęły się dziwne rzeczy. Sale gdzie miałem mieć zajęcia zajmowane były przez inne grupy. Gdy dostawałem zastępczą salę, była tak dobrana, aby część studentów nie miała gdzie usiąść. Spokojnie chłopakom tłumaczyłem, że ciągle interweniuję, aby mieli godziwe warunki studiowania. Organizowali się i wbrew prowokacjom nie składali skarg na mnie, a na rzeczywistych twórców konfliktowych sytuacji. W laboratorium klimatyzatorów ktoś wypuszczał freon lub w inny sposób unieruchamiał stanowiska do ćwiczeń. Zmuszony byłem do sprawdzania stanowisk przed zajęciami i ściągania technika odpowiedzialnego za ich stan. W końcu zacząłem przygotowywać raporty o braku gotowości laboratorium do zajęć i interweniować u szefa wydziału.

Czy była to zawiść? Uczyłem dobrze, byłem popularny wśród studentów, a oprócz tego oprócz dyrektora koledżu byłem drugą osobą legitymującą się doktoratem. Symptomatyczna była wizytacja mojego wykładu. Zgodnie z regulaminem zapowiedziano ją, ale na nie istniejący w kalendarzu dzień 31 kwietnia. Zrozumiałem o co w tym wszystkim chodzi, zacząłem nosić ze sobą kieszonkowy magnetofon. Pojawili się bez uprzedzenia w innym terminie – facet z dziekanatu dezorganizujący mój rozkład zajęć z szefem kierunku chłodnictwa i grzejnictwa.

Ten ostatni wyszedł przed końcem wizytacji. Był namiętym palaczem, pomimo zakazu nawet w czasie prowadzenia wykładów palił papierosy. Wszyscy znali jego namiętność, ale nikt nie zwracał na nią uwagi. Tak jak inni tępieni palacze w czasie przerw paliłem papierosy na ewakuacyjnej klatce schodowej. Zaczęły się naloty z administracji, aby przyłapać mnie na paleniu, absolutnie selektywne. Na szczęście studenci z mojej grupy zawsze mnie na czas ostrzegali. Już wyczuwali dziwną atmosferę tworzoną wokół mojej osoby. Raport z wizytacji zdumiał mnie – absolutne nonsensy. Nieistniejące uchybienia, mówienie nie na temat, itp. Ku mojemu zdziwieniu, nie mieli pretensji do mojego angielskiego (było tam wielu wykładowców, dla których mógłbym być wzorem na tym polu).

Na szczęście miałem cały wykład zarejestrowany na taśmie, mogłem udowodnić tendencyjność zarzutów. Przetrzymani ten raport do momentu zakończenia pierwszego kwartału. Dopiero w czasie sesji egzaminacyjnej – gdy po egzaminach musiałem sprawdzić testy i oddać wyniki przed wyjściem do domu – złapali mnie, abym go podpisał. Oczywiście, odmówiłem podpisania, bo nie było nawet czasu na przeczytanie raportu. Zabierając kopię do domu, uprzedziłem, że ustosunkuję się do raportu po skończeniu sesji egzaminacyjnej. W najbliższym czasie paru „przyjaznych” wykładowców niespodziewanie zaczęło dawać dobre rady, że oni też mieli złe pierwsze raporty z wizytacji, że to jest normalne, że wszyscy podpisują takie raporty bez żadnych konsekwencji. Po zakończeniu sesji egzaminacyjnej złożyłem pisemny komentarz do raportu z wizytacji z załączeniem kopii nagrania. Pokrzyżowało to ich szyki, nie mogli zwolnić mnie przed upływem 90 dni, po których musieli zapewnić co najmniej ubezpieczenia. Okazało się później, że już od dłuższego czasu administracja uczelni była w konflikcie ze związkami zawodowymi, nie wносиła opłat za ubezpieczenia.

W ten sposób rozpocząłem drugi kwartał wykładów. Ze zdziwieniem skonstatowałem, że z dużej grupy nowych wykładowców zaczynających pracę razem ze mną zostałem sam. A zostałem dlatego, że nie dałem się namówić do złożenia podpisu pod spreparowanym raportem z wizytacji. Zresztą, zawsze byłem ostrożny w składaniu podpisów, szczególnie, gdy ktoś mnie natrętnie namawiał. W powstałej sytuacji, gdybym po przepracowaniu 90 dni zachorował, musieliby, ale nie mogliby zabezpieczyć leczenia. Starzy pracownicy byli członkami związku zawodowego, pomimo konfliktu związku zawodowego z pracodawcą nie tracili ubezpieczenia.

Aby „wyjść na swoje“ w ciągu paru tygodni nowego kwartału zarzucili mi niesubordynację i jakoby ignorowanie poleceń dziekanatu. Bez uprzedzenia, z pisemkiem datowanym dzień wstecz, poprosili o nie pojawianie się więcej na terenie uczelni. Kończyłem właśnie wykład o „defrost free” systemach. Zapowiedziałem studentom, że to jest mój ostatni wykład, że odchodzę.

Pośród moich starych studentów było paru nowych – zaczęli składać mi gratulacje, że na pewno odchodzę na wysokie stanowisko. Tylko moi studenci z pierwszego semestru orientowali się, co jest grane. Jedli chleb nie z jednego pieca, mając sowieckie doświadczenie, tak jak my, umieli „czytać między wierszami”. Dołączył do nich Hindus, wiedział, że nie jest to awans. Gdy w czasie pierwszego kwartału złośliwie zgoniono na mój wykład trzy grupy połowa studentów stała w zaduchu. Hindus podburzał innych, wręcz nie docierały do niego moje wyjaśnienia, że to nie ja zażyczyłem sobie prowadzić zajęcia dla wszystkich równoległych grup, w dodatku w małej sali. Z paru innymi studentami, z „wtłoczonych” dodatkowo grup złożył na mnie skargę. Po przejściu do mojej grupy traktowałem go bez żadnych uprzedzeń. Najwyraźniej miał wyrzuty sumienia, byłem zaskoczony serdecznością i tonem jego przeprosin, przepraszał, że dał się namówić na taką awanturę przeciwko mnie.

Szczególnie serdecznie żegnali się ze mną moi „rosyjsko żydowski” studenci. Paru czekało na mnie przy wyjściu, zadeklarowali, że zorganizują protest. Byłem naprawdę wzruszony, podziękowałem im i poprosiłem, aby dali sobie spokój: *Riebiata, eto nie waszoje dielo, a w obszcze eto normalno*. Obiecali, że gdy skończą studia, wówczas mnie znajdą i zaproszą na oblewanie dyplomu. Zapomnieli o tym, ponieważ do końca studiów mieli jeszcze prawie dwa lata. Dla nowo przybyłych imigrantów był to bardzo długi okres czasu wypełniony dużą ilością zmian. Oprócz tego, po prowokacyjnej odpowiedzi Instytutu na moją prośbę o rekomendacje, wstąpiłem w sądowe szranki. Jeżeli wiedzieli o tym, wówczas przynajmniej przez grzeczność, nie chcieli zrobić zamieszania podczas oblewania dyplomu...

Jest wiele spraw związanych z Żydami, które mnie irytują, często walę z „grubej rury”. Ale dla moich studentów dałem wszystko najlepsze, co mogłem dać. Jeżeli kiedyś przeczytają moje „Okruchy” i będą pamiętali samych siebie, może umówimy się na jeszcze jeden wykład? A może – gdy tylko zdrowie dopisze – poprzestaniemy na szklance Moskiewskiej i damy sobie spokój z wykładami. Dziwny jest ten świat... jak śpiewał Niemen.

Niektórzy spośród tych moich żydowskich studentów nosili nazwiska, które bardzo źle zapisały się w naszej powojennej historii. Wiedziałem, że przecież nie oni wybrali sobie nazwiska. Nigdy nie wpadłbym na pomysł, aby zasugerować komukolwiek przeproszenie za nazwiska lub za pochodzenie – nawet, jeżeli były jakieś rodzinne powinowactwa. Analogicznie ci, którzy żądają od nas przeprosin za nie popełnione zbrodnie, powinni zostawić nas wszystkich w spokoju, włączając mnie i moich studentów. Powinni dać nam szansę normalnego obcowania. Popieprzony jest ten świat... jak zapomniał zaśpiewać Niemen!...

Będąc w USA, oprócz osób pochodzenia żydowskiego, miałem bardzo dużo bliskich spotkań „drugiego pokolenia” z Ukraińcami. Wyrastając nie znałem żadnych osób pochodzenia ukraińskiego. Może były takie osoby w moim otoczeniu, ale nie zdawałem sobie z tego sprawy. Podobna sytuacja była z Żydami, dopiero dzisiaj przypominając nazwiska ze szkoły lub znajomych mogę zgadywać, które z tych nazwisk mogły wskazywać na żydowskie pochodzenie?

W odróżnieniu od nieznanymi mi osobiście Żydów, do których miałem jedynie uczucie współczucia, słowo Ukrainiec kojarzyło się z czymś negatywnym. Wspomnienia naszych repatriantów z terenów Zachodniej Ukrainy, a także filmy i publikacje typu: „O człowieku, który się kulom nie kłaniał”, były tą esencją stereotypu o Ukraińcach. Oprócz filmu o Świerczewskim, jakoby zastrzelonym przez ukraińskich bandytów, pamiętam jakiś film o esesmanach walczących w bandach ukraińskich – to było wszystko, co z braku osobistego doświadczenia mogłem sobie przyswoić.

Pierwszymi poznanymi Ukraińcami, być może zrusyfikowanymi (rozmawiali tylko w języku rosyjskim), byli Kuroczka i Bogusławskij – współmieszkańcy z pierwszego semestru w Leningradzie. Od początku znajomości nie było między nami żadnych uprzedzeń. Przypuszczalnie było wokoło więcej Ukraińców, ale w odróżnieniu od nas nie stanowili jakiegś możliwej do rozpoznania grupy. Właściwie nikt z otoczenia nie afiszował się swoimi narodowymi korzeniami. Oprócz Żydów nie pokazywano też palcem, kto jest kto.

Jednym z poznanych Ukraińców był starszy wiekiem pracownik administracji instytutu, pochodził z Zachodniej Ukrainy. Dowiedziałem się o tym przy jakiejś uroczystości w ramach spotkania z okazji „polskiego dnia”. Po paru dobrych kielichach z sympatią zaczął wspominać przedwojenne czasy, żałował: *Żeby Polacy nie byli takimi panami, dogadalibyśmy się i byłoby inaczej*. Wtedy jeszcze nie wiedziałem, że Ukraińcy, tak samo jak Polacy, są „panami” – dopiero w USA słyszałem tak dobrze znane nam „pan, pani” wplecione w ukraińską mowę.

Następnymi poznаныmi Ukraińcami byli sympatyczni młodzi ludzie, których spotkałem w Kijowie, o czym wcześniej wspominałem. Miałem też krótką rozmowę z ukraińską parą, gdy wracając z jedynych moich studenckich wakacji na Krymie zatrzymałem się we Lwowie. Bez pozwolenia na pobyt nie mogłem nocować w hotelu. W przeciągu paru godzin, jakie mogłem wygospodarować, chciałem zobaczyć to miasto. Z braku przewodnika i czasu zwiedziłem tylko centrum Lwowa. W jakiejś kawiarni, gdzie wpadłem, aby dać wytchnienie moim zdeptanym nogom, usiadłem przy parze rówieśników.

Gdy tylko dowiedzieli się, że jestem Polakiem, on i ona zaraz zaczęli mi udowadniać ukraińskość Lwowa. Miałem wrażenie, że bali się, abym w czasie mojego krótkiego pobytu nie spakował i nie zabrał ich odwiecznego Lwowa. Byli sympatyczni i uprzejmi, nie mogę im nic zarzucić, ale nie mogli wyzbyć się kompleksu na temat odwiecznej ukraińskości Lwowa. Po prostu, może za mało znali historię, może nawet nie wiedzieli, że kiedyś nie było nazwy „Ukraina”, ponieważ była Ruś Kijowska lub Małoruś, niby jako taki dodatek do Wielkorusi.

O ile nie myślę się nazwa Ukraina publicznie zaistniała w XIX wieku. W pewnym sensie nazwa ta odzęgkuje się od małej przylepki do Rosji, raczej nawiązuje do statusu kresów wschodnich Rzeczypospolitej Sarmackiej. W tym sensie moi rozmówcy mieli rację. Odnosząc nazwę „Ukraina” wstecz, Lwów był zawsze ukraiński, ponieważ był częścią naszej wspólnej Rzeczypospolitej. Ale, z tym poczuciem historycznej wspólnoty w ramach Rzeczypospolitej Sarmackiej są duże problemy – zarówno po stronie polskiej jak i ukraińskiej. Zaciekli „ukraińscy” zarzucą mi rewizjonizm i próbę udowodnienia, że Ukraina była i jest polska. Polacy będący na bakier z historią zarzucą mi, że Pierwsza Rzeczpospolita była tylko Polską z mało liczącymi się dodatkami.

Jednak, gdyby nie te dodatki i ich potencjał ludzki oraz ekonomiczny, Rzeczpospolita w okresie swojej świetności nie byłaby mocarstwem na skalę europejską. Bez potencjału wszystkich zrzeszonych narodów Rzeczpospolita nie obroniłaby siebie i Europy przed zalewem wyznawców Mahometa. Bez tych dodatków wszyscy, od Krymu do Kanału La Manche, rozkładalibyśmy zgodnie dywaniki i bili pokłony Allahowi. Może bylibyśmy szczęśliwi?

Dla Ukraińców poczucie wspólnoty z I-szą Rzeczpospolitą niweczyło ich przekonanie, że tylko Polacy byli „panami”, a oni byli wyzyskiwani przez polskich panów. Polacy z nieświadomości zgodzą się z Ukraińcami, że „panowie” na Ukrainie byli tylko Polakami. Pomijając to, że w tamtych czasach pojęcie narodowości było raczej bardzo mgliste, faktem jest, że oprócz Polaków rycerstwo składało się także z Białorusinów, Litwinów i Ukraińców. Kozacy, mający mieszaninę krwi wszystkich naszych narodów, mieli też swój stan rycerski nobilitowany przez Rzeczpospolitą Sarmacką. Pomimo tego większość naszych wschodnich sąsiadów doszukuje się teraz swoich korzeni tylko i wyłącznie w chłopach pańszczyźnianych, wręcz nie przyznają się do swojej części historii Rzeczypospolitej Sarmackiej...

Moim zdaniem składa się na to wiele czynników:

- I. Rycerstwo i nobilitowani ludzie używali języka polskiego jako języka mającego na terenach Rzeczypospolitej Sarmackiej międzynarodowy status. Podobny trend istniał też kiedyś w Polsce, gdy nasi nobilitowani używali języka francuskiego. Używając języka francuskiego nie przestali jednak być Polakami – nie wykreślamy ich z naszej historii.
- II. Drugim czynnikiem jest to, że Polacy traktują wszystkich wielkich ludzi, jakich w całej naszej wspólnej historii dała nam opatrzność, jako tylko i wyłącznie Polaków. Takie „łakomstwo” było nam potrzebne dla pokrzepienia serc w czasach, gdy wszyscy byliśmy wykreśleni z mapy Europy. Teraz po raz pierwszy wszyscy zaistnieliśmy w ramach niezależnych organizmów państwowych (oprócz Kozaków). Pora, aby sprawiedliwie podzielić się tym wspaniałym kapitałem naszej wspólnej historii oddając należną część innym narodom wchodzącym w skład Rzeczypospolitej Sarmackiej.
- III. Trzecim czynnikiem jest brak zrozumienia, że o potęgę Rzeczypospolitej Sarmackiej decydowała praca chłopów pańszczyźnianych i rzemieślników, którzy wszędzie w tych czasach nie mieli poczucia narodowości. Jest to bardzo ważna, chociaż mało spektakularna część naszej wspólnej historii.
- IV. Czwartym czynnikiem jest brak zrozumienia specyfiki czasów, w których zaistniały różne pamiętne wydarzenia historyczne. Gdy na Podhalu chłopci pańszczyźniani przecinali piłami panów, traktujemy to tylko jako bunt chłopów. Gdy chłopci na Wołyniu robili to samo ze swoimi panami, traktujemy to jako wyraz ukraińskiej nienawiści do Polaków. W obu przypadkach nie chodziło chłopom o obojętną im narodowość swoich panów, a o nieznośny ucisk. W tych starych zaszłościach zarówno Polacy jak i Ukraińcy doszukują się konfliktu narodowościowego przenosząc wstecz dwudziestowieczne doświadczenia.
- V. Piątym czynnikiem jest polityka naszych okupantów działających według starej jak świat zasady „dziel i rządź”. Mistrzami w tym byli propagandiści sowieccy, którym udało się przekonać naszych wschodnich sąsiadów, że ciemnieżyli ich polscy panowie, a oni byli tylko i wyłącznie wyzwyskiwanym proletariatem.
- VI. Szóstym czynnikiem jest demonizowanie i zaściankowe widzenie historii. Szanując osobiste tragedie i uczucia ludzi, którzy kiedykolwiek doznali krzywd z rąk przedstawicieli innego narodu, trzeba zauważyć, że w całej wzajemnej historii narodów dawnej Rzeczypospolitej Sarmackiej ilość tych ludzi i cierpień była nieporównywalnie mała w porównaniu do cierpień, jakie wywołały konflikty z Niemcami i z Rosjanami. Po prostu, patrzymy na te sprawy selektywnie, tak jakby historia konfliktów dotyczyła tylko naszych zaścianków, nie zwracając uwagi na to wszystko, co działo się wokoło.

Aby zrozumieć specyficzną sytuację Litwinów, Białorusinów i Ukraińców można przeprowadzić „eksperyment historyczny”, który mam nadzieję będzie zrozumiałą dla nas wszystkich. Wyobraźmy sobie sytuację, w której w fazie schyłkowego feudalizmu Polska graniczyłaby na zachodzie z Francją. Polscy panowie, w odróżnieniu od pospólstwa, używaliby języka francuskiego i hołdowaliby francuskim obyczajom. Wówczas chłopci i reszta społeczeństwa porozumiewającego się po polsku byłaby wyobcowana, skłonna wykorzystać każdą nadarzącą się okazję do uwolnienia się od dominacji „obcych” panów.

W takiej sytuacji Sowietci nie mieliby żadnych trudności, aby zrewolucjonizować Polaków przeciwko ich „francuskim” panom. „Francuscy” panowie uciekliby z Polski, być może zaczęliby traktować siebie samych jako Francuzów? Ci, którzy nie zdążyliby uciec, zostaliby wymordowani przez Sowietów przy współpracy

polskich wieśniaków... Na szczęście nie mieliśmy wspólnej granicy z Francją, a nasi panowie już na wcześniejszym etapie przestali posługiwać się językiem francuskim.

Litwini, Białorusini i Ukraińcy nie byli w takiej szczęśliwej sytuacji, przez długi okres czasu nie było nawet granicy pomiędzy nimi a Polakami. Także proces budzenia się świadomości narodowej, zarówno pośród ich panów jak i w reszcie społeczeństwa, nie zakończył się do nastania burzliwych czasów początku XX wieku. W tej sytuacji większość ich elit zasilila polski potencjał ludzki i stała się Polakami. Tak jak my nie możemy winić Francuzów, że nasi panowie byli kiedyś nazywani „francuskimi pieskami”, tak i nasi wschodni sąsiedzi nie powinni nas winić, że ich panowie stali się „Lachami”. Po prostu takie były zrządenia historii, nie istnieje żadna możliwość odwrócenia zaszłości. Jedno, co my Polacy możemy zrobić, to odstąpić od traktowania jako tylko Polaków tylu wyśmienitych obywateli naszej kiedyś wspólnej Rzeczypospolitej, których dały nam ościenne narody.

Po tym historycznie nie do uniknięcia „obrabowaniu” naszych sąsiadów z ich najprzedniejszych ludzi Polacy stali się bogatsi o wielki potencjał ludzki, którym opatrność równo i sprawiedliwie obdarza wszystkie narody. Połączenie tego potencjału z naszym potencjałem pozwoliło nam przetrwać najgorsze czasy naszej historii. Teraz, gdy wszyscy mamy mniej lub bardziej niezależne własne kraje, Polacy powinni pamiętać, że żadne nowe granice NATO lub Wspólnoty Europejskiej nie powinny nam przeszkodzić w spłaceniu naszego historycznego „długu krwi” narodom tworzącym kiedyś naszą wspólną Rzeczpospolitą Sarmacką.

Oczywiście, opatrność nie przestała obdarzać nas wszystkich najprzedniejszymi ludźmi – równo i sprawiedliwie. We wszystkich krajach powstawały i powstają nowe elity, z małą różnicą, elity powstające w krajach „obrabowanych” przez Polaków zaczynają prawie wszystko od nowa, bez historycznych korzeni. Być może ten brak korzeni i pozostałości bolszewickiego „różnij polskich panów” skłaniają część tych nowych elit do wrogości do Polski? Poza starym bolszewickim „różnij polskich panów” naiwnością byłoby sądzić, że Rosja zostawi nas samych sobie, bez zrobienia wszystkiego, aby nas poróżnić.

W umysłach naszych wschodnich sąsiadów to bolszewickie „różnij polskich panów” bierze swój początek w czasach pańszczyzny. Zapominają, że kiedyś w całym znanym świecie istniała pańszczyzna lub nawet niewolnictwo. Wiązą upadek pańszczyzny na swoich terenach z sowiecką rewolucją i wyróżnieniem polskich panów. Prawda jest trochę inna, to właśnie na terenach rdzennie polskich, jeszcze przed sowiecką rewolucją, odchodzono od pańszczyzny – ale bez wyniszczenia kraju i serii głodowych klęsk. Pokutujący kompleks „polskich panów” i mentalność chłopów pańszczyźnianych jest ciągle żywym zwycięstwem sowieckiej propagandy tkwiącym w umysłach naszych wschodnich sąsiadów.

Spotkałem w USA Ukraińca z Zachodniej Ukrainy (1999 r.), który w rozmowie o polsko ukraińskich sprawach wspomniiał, że według słów jego matki jakiś bogaty „polski pan” wymyślał swoim wyrobnikom od bydła. Nie potrafił mi wyjaśnić, dlaczego takie odzywki były jakimś znamieniem odwiecznej wrogości pomiędzy Polakami i Ukraińcami. W dalszej rozmowie zgodził się w końcu, że polscy panowie tak samo odzywali się do polskich wyrobników. Nie kwestionował też, że w czasach PRL nazywano niepokornych robotników bydłakami. Także w ZSRR słyszał słowo „skotina”, którym chętnie szermowali komunistyczni zarządcy.

Oprócz jego spotkałem więcej nowych emigrantów z Ukrainy, którzy czują się lepiej z polskimi „wakacjuszami”, niż z już bardzo zamerykanizowanymi ukraińskimi emigrantami z czasów II wojny światowej. Także perspektywa czasu i miejsca znacznie obniża narodowościowe emocje, oprócz jednego małego spostrzeżenia, my i Ukraińcy jesteśmy ulepieni z tej samej gliny, aż dziw bierze, jak przy naszych sarmackich charakterach, potrafimy w miarę zgodnie rozmawiać na kontrowersyjne tematy.

Wydaje się, że sprawa odległej historii jest już raczej jasna. Zarówno polscy jak i ukraińscy pańszczyźniani chłopcy od czasu do czasu rżnęli swoich panów bez żadnych narodowościowych preferencji. Tym niemniej w czasie rozbiorów i tworzenia się poczucia odrębności narodowej Ukraińców nie było jeszcze wrogości do Polski. Późniejsze powstanie poczucia odrębności narodowej u Ukraińców było dla Polaków wielką stratą, tak jak stratą byłoby skaptowanie przez Niemców naszych górali jako „Germański Lud Góralski”. Historia i polityka zaborców dzielących nas, aby łatwiej nami rządzić, dokonała reszty, rozdzielając nas raz na zawsze. Prorocza wizja Szewczenki, o upadającej i przygniatającej Ukrainę Rzeczpospolitej, niestety, sprawdziła się. Wyciągnijmy z tego właściwe wnioski.

Najświeższe, w związku z tym najboleśniejsze, są wspomnienia z okresu II wojny światowej. W sprawie tej pokutuje wiele nieścisłości. Utało się, że własowcy byli Ukraińcami – nie jest to zgodne z prawdą. [Andriej Własow](#) był sowieckim generałem, który na początku wojny przeszedł na stronę Niemców. W armii Własowa mogli być Ukraińcy, ale tylko w takiej samej proporcji, jak w innych sowieckich oddziałach. Innym mitem jest jakoby masowe poparcie Ukraińców dla hitlerowców. Według jakiegoś opracowania Centrum Szymona Wiesenthala, które to Centrum trudno posądzać o pro ukraińskość, było tylko siedem tysięcy Ukraińców współpracujących z hitlerowcami (ilość Polaków oszacowano na pięć tysięcy). [Ciekawostką w życiorysie Wiesenthala jest jego wstąpienie do NKWD zaraz po zajęciu Lwowa przez Sowieców. Wysokie stanowisko komisarza NKWD jest obłudnie tłumaczone, jako obrona przed zesłaniem na Syberię. Chyba w ramach takiej „obrony” przed zsyłkami na Sybir komisarze NKWD grzebali swoje ofiary „na miejscu” w masowych grobach odkrytych po wejściu Niemców. I takiemu to „komisarzowi” dano wysokie odznaczenie RP?]

Zupełnie odrębną częścią doświadczeń naszych wschodnich sąsiadów są oddziały wojskowe spontanicznie powstające po wejściu Niemców (czerwiec 1941r.). Po prawie dwuletniej sowieckiej okupacji oddziały takie powstawały od Ukrainy do Estonii dla walki z ZSRR. Była to naturalna reakcja na sowieckie mordy i zsyłki. Niemcy witani byli jako wyzwolicieli, ponieważ w tym czasie nie było nic bardziej potwornego niż sowieckie zbrodnie. Gdybyśmy my przez ten sam okres czasu doświadczyli sowieckiej okupacji, wówczas tak jak nasi wschodni sąsiedzi witalibyśmy niemieckie wojska chlebem i solą. Do walki z Sowiecami stanęłyby nie pojedyncze dywizje, a całe armie współpracujące z Niemcami. Opatrzność oszczędziła nam rozterek i związania się z którymkolwiek z totalitarnych potworów XX wieku. W odróżnieniu od naszych sąsiadów nie mieliśmy wątpliwości, że mamy dwóch wrogów. Przy olbrzymich stratach wyszliśmy z tej strasznej wojny z honorem.

Raz utworzone antysowieckie oddziały znalazły się pod niemieckim dowództwem. Los tych wykorzystywanych przez Niemców oddziałów i ich koniec składają się na tragedię, jakiej nie przeżyli żadni inni żołnierze. Idąc pod dowództwo niemieckie mieli zrozumiałe patriotyczne motywy, kończyli tę wojnę jako straceni stojący na moralnie nie do obronienia pozycjach. Trzeba zauważyć, że oddziały te, zaszeregowane często jako formacje SS, nie reprezentowały narodów naszych wschodnich sąsiadów. Były częścią tragicznej historii tych narodów – o wiele tragiczniejszej niż nasza – powinniśmy to zrozumieć.

Wielkim cierniem w naszych doświadczeniach z czasów II wojny światowej są mordy dokonywane na polskiej ludności. Dla jakichkolwiek mordów tego typu nie było i nie ma usprawiedliwienia, tak jak nie było i nie ma usprawiedliwienia dla mordów, których byliśmy świadkami zupełnie niedawno w byłej Jugosławii. Z zażenowaniem musimy stwierdzić, że jest coś w naturze ludzkiej, co w przypadku przenikania się różnych nacji i religii doprowadza do takich tragedii. Z dumą możemy stwierdzić, że za czasów naszej wspólnej Rzeczpospolitej Sarmackiej, praktycznie nie było mordów, zarówno na tle etnicznym jak i religijnym. Jedno, co może ukoić nasze emocje, to porównanie skali tych wydarzeń liczonej w ilości ofiar, ze skalą innych podobnych wydarzeń zaistniałych w XX wieku. Jest to bardzo smutne ukojenie, bo niewątpliwie, w innych rejonach świata działy się jeszcze gorsze rzeczy. Pozostaje proste i od serca wypowiedziane „Przebaczamy i prosimy o przebaczenie”. Ponadto, ilość Ukraińców zaangażowanych w takich akcjach była bardzo ograniczona i w żaden sposób nie reprezentuje zachowań przeważającej większości ukraińskiego społeczeństwa.

Z rodzinnego przekazu wiem, że moja matka dostała swoją pierwszą pracę na Zachodniej Ukrainie. Pracowała w ośrodku zdrowia w Probuźnie, którego kierownikiem był lekarz Ukrainiec. Może była w nietypowej okolicy, nie było tam „polskich panów”, wszyscy bogaci gospodarze byli Ukraińcami. Z jej wspomnień wynika, że nie było żadnej wrogości. Dopiero przed rozpoczęciem wojny musiała nasilić się działalność agentów organizujących antypolskie bojówki. Dowiedziała się o tym od swojego zwierzchnika Ukraińca. Wezwał ją na rozmowę i ostrzegł o organizowaniu bojówek, które będą zdolne do mordów i innych działań przeciwko Polakom. Serdecznie jej radził, aby wyjechała, ponieważ może być bardzo niebezpiecznie, usłuchała go i wróciła do Wilna. Gdyby nie usłuchała go, może nie byłoby „Okruchów“?



Być może po wejściu Sowieców ukraińscy bogaci gospodarze też porzucali swoje gospodarstwa i wyjeżdżali jak najdalej, bo przecież już bardzo dużo wiedzieli, co zrobią z nimi Sowieci po „wyzwoleniu” spod panowania „pańskiej Polski”. W dodatku NKWD nie uznawało subtelnych rozróżnień, kto był bogaty, ten był panem i Polakiem. Niewątpliwie ucieczka od sowieckiego panowania i przedwojenne polskie obywatelstwo uratowało wielu Ukraińców, pozwoliło na wyrwanie się na zachód. Między innymi takich właśnie Ukraińców spotykałem w USA.

Trudno ocenić liczebność ukraińskiej diaspory w USA. Jeżeli dobrze pamiętam podczas jakiegoś spotkania Konfederacji Grup Etnicznych ktoś wspominał o około siedmiuset tysiącach Ukraińców. Największe ich skupiska są w okolicach Chicago, Cleveland i Nowego Jorku. Oprócz Ukraińców uczestniczyli w tych spotkaniach przedstawiciele innych europejskich narodów pod sowiecką okupacją (z Europy Centralnej) a nawet Niemcy i paru Polaków pochodzenia żydowskiego. Jednak po Polakach Ukraińcy byli najbardziej widoczni i najliczniejsi.

Polacy uważali Ukraińców za bardzo skonsolidowanych, twierdzili, że my nigdy nie będziemy tak skonsolidowani. Znając polski i rosyjski bez trudu rozumiałem język ukraiński. Często słuchałem audycji ukraińskiej, która była prowadzona przez ukraińskiego duchownego zaraz po programie radiowym „Dwóch Edwardów”. Wbrew naszej opinii o skonsolidowaniu Ukraińców, oni sami byli zupełnie innego zdania. Prowadzący audycję nawoływał: „*Obyśmy tak jak Polacy trzymali ze sobą*”. Rodzi się podejrzenie, że „etnicy” nie mają o sobie zbyt dobrych opinii, szczególnie na własny użytek. Inną naszą opinią jest pogląd o jakiejś wyjątkowej konsolidacji Żydów. Często słyszymy nawoływania „*Obyśmy tak jak Żydzi...*”.

Ze względów na rosnącą w USA niechęć, wręcz nienawiść do Żydów, nie zalecałbym naszym rodakom, aby naśladowali Żydów. Tym niemniej, gdy spojrzysz się na środowisko żydowskie ich własnymi oczyma, ich jedność ma poważne pęknięcia. [Na przykład organizacje jak: „American-Jewish Alternative to Zionism”, „[Opposing Zionism](#)”, „American-Jewish League Against Communism” (stan ok. 1986r.)] Szczególna wrogość nie mająca odpowiednika pośród chrześcijan istnieje pomiędzy paroma żydowskimi odłamami religijnymi. Słyszałem nawet o paleniu flag izraelskich przez Żydów z Williamsburg’u (dzielnica Nowego Jorku), w ten sposób „uświatniają” rocznice powstania Izraela.

Do tego dochodzi bezpardonowa walka paru szkół rabinackich o przywilej odprawiania misterii przy atestacji koszerności produktów. [W amerykańskich supermarketach, wbrew napisom przy wejściach: „Kosher and not kosher products”, królują koszerne produkty. Oprócz jawnie oznaczonych, pozostałe oznaczone są w sposób niezrozumiały dla szerokiej publiczności. Parę szkół rabinackich walczy, nawet na pięści, o grube pieniądze zgarniane za każdy ceremoniał „koszeryzacji” (po około 40 tysięcy dolarów). Jest to ukryty „podatek” ściągany ze wszystkich obywateli dla dobra żądnych mamony rabinów. Jednocześnie wmawia się publiczności, że po odprawieniu przez rabina „czarów”, koszerne produkty nabierają jakiejś nadzwyczajnej jakości. Na sklepy i biznesy reklamujące się jako nieżydowskie nakładane są surowe grzywny, włączając odbieranie pozwoleń na działalność gospodarczą.]

Osobnym rozdziałem niesnasek jest „wolna amerykanka” przy rozszarpywaniu różnych „spadków” i funduszy na „pomoc” dla ciągle rosnącej rzeszy ofiar holokaustu. Specyficznym zwierciadłem stosunków wewnątrz jakiejś grupy są też listy do redakcji zamieszczane w różnych etnicznych gazetach. Najwięcej takich krytycznych w stosunku do współplemieńców listów znajdowałem w żydowskich publikacjach. Głównym tematem tych listów było coś dobrze znanego wszystkim grupom etnicznym – w tym przypadku opisy jakichś świństwewek na melodię *Tylko Żyd Żydowi może coś takiego zrobić*.

Istne burze nie znajdujące etnicznego naświetlenia w publikatorach nie żydowskich wywoływały skandale i skandaliki osób żydowskiego pochodzenia. Niewątpliwie gwiazdą pierwszej jasności była stażystka prezydenta Clintona Monica. Pośród innych dawnych gwiazd poczesne miejsce zajmował Woody Allen. Tego typu skandaliki zawsze wywołują wewnętrzne burze ze szkwałami na melodię: *Jak on/ona/oni mogli nas tak zniesławić*. Aby takie ciekawostki poznać, wystarczy od czasu do czasu zajrzeć do publikacji różnych grup etnicznych lub posłuchać ich audycji. Nie wszędzie można kupić tego typu gazety lub miesięczniki, jednak zawsze można znaleźć bibliotekę specjalizującą się w zbieraniu nawet bardzo rzadkich publikacji. W moich okolicach była taka w Newarku.

Poprzez Płońskiego, mającego szerokie kontakty z różnymi grupami etnicznymi z Europy Centralnej, miałem okazję poznać wiele osób i ich życiowe drogi. Wiedząc już wiele o zbrodniach sowieckich byłem zaszokowany materiałami filmowymi pokazującymi zbrodnie popełnione w państwach bałtyckich. Filmy te były nakręcone w 1941 roku zaraz po ucieczce sowieców. Od Ukraińców dowiedziałem się o największej zbrodni ludobójstwa dokonanej w XX wieku – dostałem taśmę wideo z wstrząsającym filmem pod tytułem „The Harvest of Sorrow”. Czerwoni komisarze zamienili całą wschodnią Ukrainę w jeden wielki obóz śmierci, po prostu zabierali żywność „na eksport”. W ten zyskowny sposób w głodowych mękach, wymordowali około siedmiu milionów Ukraińców. Była to „kara” za przeciwstawianie się kolektywizacji. Zabraną żywność ZSRR eksportowało na zachód, a zachodni korespondenci z entuzjazmem opisywali szczęśliwy żywot ludzi radzieckich, jakoby przekazujących nadwyżki żywności swoim gnębionym przez kapitalistów braciom.

Gdyby w 1920 roku Sowietci zajęli Polskę, taki sam los spotkałby naszych chłopów, a też Ukraińców na Zachodniej Ukrainie. Szczęśliwie dla Polaków i Zachodnich Ukraińców nawała sowiecka została zatrzymana i cofnięta. My mieliśmy dwadzieścia lat na odbudowę państwowości, a Zachodni Ukraińcy na okrzepnięcie ich świadomości narodowej. Trzeba pamiętać, że w zwycięstwie nad czerwoną armią Ukraińcy pod wodzą Petlury też mieli swój udział. Niestety, nie udało się zrealizować koncepcji Piłsudskiego o federacji Polski i Ukrainy. Niewątpliwie, do dnia dzisiejszego, wizja utworzenia takiej federacji nie daje spać rosyjskim imperialistom.

Oprócz kontaktów w ramach konfederacji grup etnicznych było wiele kontaktów w codziennym życiu. Masarnia w Jersey City – Europa Meat Provisions – przez długie lata prowadzona była przez ukraińską rodzinę. O jej popularności wśród Polaków decydowała jakość wyrobów, nie było żadnych wzajemnych uprzedzeń. Było też więcej różnych biznesów posiadających mieszaną polsko ukraińską klientelę. Większość Ukraińców dobrze znała język polski, nie było żadnych kłopotów w porozumiewaniu się, nawet, jeżeli ktoś nie znał języka angielskiego.

W 1987 roku na bazie programu ChiWriter zaprojektowałem polskie czcionki ekranowe i drukarskie dla komputerów osobistych. Przy okazji pożyczyłem od Ukraińców ich elementarz i opracowałem czcionki dla języka ukraińskiego, od tego był już mały kroczek do zaprojektowania czcionek dla języka rosyjskiego. Paru osobom przekazałem dyskietki z plikami zaprojektowanych czcionek oraz wysłałem do producenta programu ChiWriter. Za jakiś czas Horstman Software, twórca ChiWriter, zaczął oferować czcionki rosyjskie jako załącznik do swojego programu. Nie wiem, w jakim stopniu wykorzystali moje opracowania. Nawet nie próbowałem dochodzić jakichś praw, zapotrzebowanie na te czcionki nie mogło przynieść jakiegось istotnego zysku.

W przypadku Ukraińców chciałem mieć osobistą satysfakcję, że jako Polak opracowałem przypuszczalnie pierwszy w USA zestaw ukraińskich czcionek dla komputerów osobistych. Około 1989 roku zgłosiło się do mnie dwóch Ukraińców (chyba z Cleveland) z prośbą o odstąpienie im moich plików z ukraińskimi czcionkami. Za symboliczną opłatą stu dolarów przekazałem im całość z życzeniami, aby rozpowszechnili moje opracowanie wśród Ukraińców. Zrobili dobrą robotę. Od czasu do czasu jacyś Ukraińcy dzwoniли do mnie z pytaniami dotyczącymi różnych problemów związanych z wykorzystaniem czcionek. Przypuszczalnie dystrybutorzy sprzedawali pliki anonimowo pozostawiając mój adres z telefonem zamieszczone na końcu wzorcowego tekstu.

Dzwoniący często zaczęli rozmowę w języku ukraińskim, dziwili się, że jestem Polakiem nie znającym języka ukraińskiego. Na prostsze pytania odpowiadałem, przy bardziej skomplikowanych problemach radziłem, aby skontaktowali się z dystrybutorami. Jednym z dzwoniących był Sviatoslav Karavansky. Opracowywał słownik ukraińsko rosyjski i dla ułatwienia pracy potrzebował dołączenia paru liter rosyjskich nie występujących w języku ukraińskim. Przerobiłem jego zestaw a też przygotowałem „batch file”, aby w prosty sposób otwierał program pisania na swoim dopiero kupionym komputerze. Honorowo zapłacił mi za moją pracę a po wydaniu słownika przysłał jeden egzemplarz z grzecznościową adnotacją – „jako współtwórca słownika“.

We wszystkich takich prywatnych kontaktach nie odczuwało się żadnej różnicy pomiędzy Polakami i Ukraińcami – właściwie nie ma różnic. Jesteśmy jakby wyciosani z jednego pnia. Moja obserwacja potwierdziła się, gdy na przełomie 97/98 roku trafiłem na ukraińską zabawę noworoczną w Passaik’u. Obchodzą swój Nowy Rok według kalendarza juliańskiego, czyli o czternaście dni później – akurat w dniu moich urodzin. Zaprosił mnie poznany u Stacha P., Łemek, sympatyczne chłopisko. Wyrósł gdzieś na Pomorzu, ponieważ w ramach akcji „Wisła” tam wysiedlono jego rodziców. Przy jego stoliku wszyscy rozmawiali w języku polskim, myślałem, że ze względu na mnie i jego żonę – była Polką. Zdumiałem się, gdy w ramach odwiedzania się za gościnę zacząłem chodzić do barku po jakieś trunki – przy barku wszyscy też rozmawiali po polsku. Spytałem później: *Jak to jest, że wy Ukraińcy rozmawiacie po polsku*, odpowiedzieli: *Bo tak jest nam wygodniej*.

Być może większość z nich wyemigrowała lub przyjechała na zarobkowe „wakacje” z Polski. Wiemy jak trudno było pod panowaniem sowieckich komisarzy wyjeżdżać z Ukrainy. Z Ukrainy wyjeżdżali tylko ci, którzy dorobili sobie żydowskie metryki. Powodem używania języka polskiego mogły też być jakieś różnice pomiędzy językiem ukraińskim i językami naszych Bojków lub Łemków. W takim przypadku, jak za czasów Rzeczypospolitej Sarmackiej, język polski pełniłby zapomnianą funkcję języka międzynarodowego.

Nawet, gdyby rozmawiali w języku ukraińskim, też dałbym sobie radę. Znając język polski i rosyjski łatwiej rozumiałbym Ukraińców, niż naszych górali mówiących swoją gwarą. W czasie tego wieczoru „podróżowałem” do wielu grupek i stolików. Jako Polak wszędzie spotykałem się z serdecznością i miłym traktowaniem, nie wyczułem żadnej wrogości. Był to bardzo miły wieczór, z wielką przyjemnością wspominam go.

Znajomość z naszym Łemkiem, który mnie zaprosił, przerwała się. Powodem tego był znajomy, u którego poznałem go. Nie wynikało to z żadnych „polsko łemkowskich” uwarunkowań, były to tylko „męsko damskie” sprawy. Jako „przyjaciel” wdał się w romans z jego żoną. Była to sprawa charakteru, coś w rodzaju samca biegającego z ciągle dymiącym członkiem. Szczycąc się wyższym wykształceniem i wielkim „światowym” obyciem uwiódł tą zmanierowaną kobietę – małżeństwo rozpadło się raniąc tego sympatycznego człowieka i ich syna. Takie sprawy zdarzają się wszędzie, niezależnie od różnic etnicznych i innych uwarunkowań. Ze względu jednak na to, że był Łemkiem, ten przypadek sprawił mi szczególną przykrość.

Gdy opowiadał mi o tym miałem wrażenie, że oddzielał sprawy męsko damskie od „plemiennych” uwarunkowań. Wspominał też, jak wcześniej przywiózł z Polski swojemu polsko łemkowskiemu synowi ilustrowany poczet królów polskich. Bez żadnych dodatkowych komentarzy zrozumiałem, jak bolesnym był dla niego fakt, że jego „przyjaciół” zrobił mu takie świństwo. Poczuję się prawie tak, jakbym to ja osobiście, z racji swojej polskości, był temu winny.

Opowiadał mi też o jeszcze innym incydencie, który nie wynikał ze spraw męsko damskich. Przyjechał kiedyś z Polski jego znajomy, Łemek: *Poszliśmy do naszej polskiej knajpki i w pewnym momencie zaczęliśmy rozmawiać w swoim języku. Po jakimś czasie podeszła do nas kelnerka i poprosiła: „Chłopaki, pójdźcie gdzieś indziej, bo ci pijacy przy sąsiednim stoliku chcą wszcząć burdę”*. Wyszli, ponieważ mieli więcej rozumu niż zachlane towarzystwo obok. Przykro mi było, szczególnie po bardzo przyjaznym i miłym spędzeniu Nowego Roku w towarzystwie naszych Łemków, Bojków i Ukraińców.

Starłem się przedstawić mu jakieś przynajmniej minimalnie sensowne wytłumaczenie źródeł tego typu zachowania. Rozumiał, że pijani i prymitywni ludzie od czasu do czasu okładają się sztachetami, dzielnicą na dzielnicę lub wioską na wioskę, że agresywność ludzka jest powszechnym fenomenem nieobcym wszystkim społeczeństwom. Zdaję sobie sprawę, że było to bardzo mizerne wytłumaczenie.

Wspomniałem też, że być może ujawniająca się czasami u Polaków agresywność w stosunku do jakoby „obcych” wynika z pozostałości nie uświadomianego pancerza. Pancerza broniącego naszej odrębności w czasach, gdy nie istnieliśmy jako państwo, że może dzięki temu pancerzowi przetrwaliśmy. Nie jestem przekonany o słuszności takiego tłumaczenia, ponadto, osobiście nigdy nie byłem świadkiem podobnego zdarzenia. Jak wspominałem wcześniej, miliony ludzi przyjeżdżających zza naszej wschodniej granicy zaraz po upadku ZSRR nie spotykało się z nienawiścią. Pomimo, że być może opisany powyżej przypadek agresji był czymś rzadkim, chciałem o nim wspomnieć.

Pomimo całkowitej zmiany mojego stereotypu o Ukraińcach, wyniesionego z czasów początku PRL, mam też małą przykrą obserwację. Nie będzie ona dotyczyła Ukraińców jako całości (narodu), a bardzo zwyczajnego spostrzeżenia, że Ukraińcy nie są uodpornieni na machlojki, szczególnie w układzie, gdy powinni być bardzo czuli na narodowościowe reperkusje takich machlojek.

W Jersey City była ukraińska unia oszczędnościowo pożyczkowa „SAMOPOMICZ”. Właściwie tylko z nazwy była ukraińską, ponieważ gros deponentów stanowili Polacy. Ze względu na kłopotliwe dojazdy przez Manhattan na Greenpoint zamknąłem rachunek w Polsko Słowiańskiej Unii Kredytowej i jak wielu innych Polaków zacząłem odkładać pieniądze u Ukraińców. W najbliższych okolicach nie było wtedy żadnej polonijnej kasy a wszyscy pracownicy tej kasy posługiwali się płynnie językiem polskim i zapewniali uprzejmą obsługę.

U schyłku lat osiemdziesiątych, po boomie budowlanym, zamarł ruch na budowach. Było to powiązane z ogólnym zastojem amerykańskiej gospodarki. Masę Polaków zazwyczaj zatrudnionych w budownictwie kończyło swoje „wakacje”, ponieważ koszty utrzymania zaczęły przekraczać rzadko przytrafiające się zarobki. Wyjeżdżając wycofywali swoje pieniądze powodując naruszenie rezerw gotówki w bankach, kasach itp, w których stanowili znaczny procent deponentów. Szczególnie ucierpiała „Samopomicz” w Jersey City.

Jeszcze przed tym kryzysem trzymałem u nich ponad czterdzieści tysięcy dolarów, od nich też wzięłem pożyczkę na dom. Nawet nie sprawdzałem, jakie oprocentowanie oferują inne banki – byłem przekonany, że w mojej unii kredytowej dostanę najlepszy procent. Zaufanie to prysło, gdy po wyjeździe mojej matki zaniósłem jej książeczkę oszczędnościową, aby do sumy około 150 dolarów dopisali procenty. Machinalnie popatrzyłem na wpis, okazało się, że zamiast dopisania procentów odjęto 50 dolarów.

Ktoś w tej kasie wpadł na prosty sposób „zarobienia pieniędzy”, sprawdzali czy potrzebne do założenia konta numery rejestracyjne podatników (Social Security) były wydane przez właściwy urząd i czy uprawniają do podjęcia pracy w USA. Wielu „wakacjuszy” wymyślało sobie numery, a najczęściej było tak zwanych numerów „bankowych” nie upoważniających do podjęcia pracy. Pod tym pretekstem dla dużej grupy osób nałożyli fikcyjne kary w wysokości 50 dolarów na głowę. Gdy poprosiłem o wyjaśnienie, powołali się na federalny urząd podatkowy („IRS”) jakoby nakładający takie kary. Zażądałem pokazania odpowiedniego pismo z IRS, nie mogli go „znaleźć”. Na moje nalegania, po dłuższym okresie oczekiwania, pokazali mi ręcznie spisana listę około 250 nazwisk („ciapnęli” około 125.000\$).

Było oczywistym, że ręcznie spisana lista nie mogła powstać w IRS. Tym niemniej byli pewni, że żaden z nielegalnie pracujących „wakacjuszy” nie złoży na nich skargi. Po sprawdzeniu w IRS nie miałem już żadnych wątpliwości, była to machlojka. Po utracie zaufania sprawdziłem w bibliotece gazety z okresu czasu, gdy brałem pożyczkę. Okazało się, że w komercyjnych bankach mogłem dostać pożyczkę na lepszych warunkach. Na moją interwencję zwrócono 50 dolarów, ale w sprawie zawyżonego procentu zaczęli mnie straszyć, że będę musiał natychmiast spłacić całą pożyczkę. W odpowiedzi na pogróżki rozpocząłem sprawę sądową, która w paru wariantach i przy zmieniających się stronach trwała około pięciu lat. Ze względu na przejście upadającej unii kredytowej przez agendę rządu amerykańskiego, nie sądziłem się z Ukraińcami, ale w pewnym sensie z rządem USA, dokładnie, z NCUA (**National Credit Union Administration**).

Ten konflikt z ukraińską unią kredytową nie zmienia mojego pozytywnego nastawienia do Ukraińców. W porównaniu do tego co nas łączy i może łączyć w przyszłości, był to bardzo drobny prywatny incydent, nie wart zapamiętania. Ratowali się przed upadkiem, zdesperowani weszli na drogę ewidentnego przestępstwa. Byłem zadowolony, że po wstępnej fazie miałem jako przeciwników agendę rządu amerykańskiego a nie Ukraińców. W efekcie sprawę „przegrałem”, National Credit Union Administration zabrało mi dom. W porównaniu z wiedzą, jaką zdobyłem, jest to też drobna sprawa, oprócz tego, przeżyłem niesamowitą przygodę, ponieważ prawdziwie męskie przygody nie polegają na wycieczkach do wesołego miasteczka.

Przedzierając się przez amerykańską dżunglę sądową odkryłem, że w ustach przedstawicieli rządu amerykańskiego kłamstwo jest prawdą a ewidentne krzywoprzysięstwa mają moc dowodów. Dowody rzeczowe w postaci pism i zapisów w księgach traktowane są jako sformułowane w jakimś jeszcze nie rozszyfrowanym starożytnym języku lub niszczone. Zgodnie z wolą administracji zapisy prawne przestają istnieć a reguły postępowania sądowego są prostytuowane. Sędziowie i personel sądów posłusznie przekręca fakty i manipuluje procedurami, aby zadowolić aroganckich reprezentantów rządu USA. W efekcie, poznana prawda o sądownictwie amerykańskim i nagminnych machlojkach amerykańskiej administracji całkowicie zmieniła mój pogląd na temat amerykańskiego „państwa prawa”.

A „Samopomoc”?... Spadkobiercy tej unii kredytowej powinni odnaleźć oszukanych ludzi i zwrócić im „pożyczone” w chwili kryzysu pieniądze. Tak powinni postąpić godni Sarmatów Panowie – Ukraińcy, bez zwracania uwagi na resztę różnej maści tałatajstwa, dla którego honor jest słowem bez pokrycia.

WŁAMANIE DO RAJU

W latach 90-tych XX wieku reportaże telewizyjne i prasowe o strajkach głodowych stały się tematem „umilającym” codzienne życie Polaków. Niewątpliwie, była to bardzo oryginalna, raczej nie spotykana poza Polską forma strajkowania. Czym właściwie jest strajk głodowy? Jeżeli intencje osoby lub osób strajkujących są poważne, strajk głodowy jest deklaracją oddania życia w przypadku, gdyby żądania nie zostały spełnione. Zakładając, że ktoś ma poważne intencje poświęcenia swojego życia, trzeba zastanowić się, jakie sprawy są tego godne.

Zrozumiałym może być oddawanie życia ludzkiego w czasie wojny, w obronie czyjegoś życia, w walce z groźnymi przestępcami oraz w momentach zagrożenia podstawowych wolności. Nawet w takich sytuacjach życie ludzkie nie jest oddawane dobrowolnie lub z entuzjazmem. Żołnierze, policjanci i inne osoby, w których obowiązki wpisane jest ryzyko utraty życia, bardzo często uchylają się od dokładnego wypełniania tego typu „służbowych” obowiązków. Tylko nieliczne jednostki wypełniają taki „służbowy” obowiązek do końca, lub dobrowolnie oddają życie w sprawach najwyższej wagi – takich ludzi nazywamy bohaterami. Jeżeli świadomie lub przez przypadek oddadzą życie w sprawach o miernej wadze, nawet nazywając ich przez grzeczność bohaterami, w duszy będziemy traktowali ich jako pechowców lub nawet durniów, tracących życie za byle jaką błahostkę.

Czy ludzie przystępujący do strajków głodowych są bohaterami, czy durniami? A może postępowanie ich można inaczej określić? Gdyby byli bohaterami, musielibyśmy być dumni, że obecne pokolenie Polaków roi się od bohaterów. Chłop w chłopca i baba w babę kładą się pokotem – odkładają żarcie i życie na zaś, aby później lepiej pożreć i pożyć. Aż korci, aby ktoś dał im szansę zostania „bohaterami”. Pomijając stopień słuszności ich żądań – żadnych ustępstw – aż do czasu ich głodowej śmierci.

Byłby to jakiś nowy wzorzec bohaterstwa, nasz twórczy wkład w odświeżenie zapleśniałego już trochę kapitalizmu. Wskazalibyśmy pracującym całego świata, jak w warunkach kapitalizmu usprawnić walkę o doczesne dobra. Należałoby też jakoś krótko i gustownie nazwać ten nowy wzorzec bohaterstwa – aby go odróżnić od zwykłego pędu do bogacenia się. Budując „drugą Japonię” odpowiednim byłoby połączenie słów „kapitalizm” i „kamikadze” – z takiego mezaliansu wyjdzie łatwa do zapamiętania nazwa „kapikadze”. Byłaby pewna różnica, kamikadze byli śmiertelnie poważni w swoich intencjach, aż do wyzionięcia ducha. Nie słyszałem jedna, aby któryś „kapikadze” zagłodził się na śmierć...

Jeżeli jednak w powszechnym odczuciu *kapikadze* nie dorosli jeszcze do miana bohaterów, to kim oni w końcu są? Czy są terrorystami, czy są samobójcami? Żaden jednak za większą kromkę chleba nie dokonał np. samo spalenia. Do naszych *kapikadze* najbardziej pasowałoby określenie „szantaż”. Moralny szantaż wzorowany na demonstracyjnych samobójstwach ludzi oddających życie za jakieś wielkie sprawy, dla dobra całego społeczeństwa, a nie dla polepszenia bytu jakiejś mniejszej lub większej grupy ludzi. W dodatku, wymuszone polepszenie bytu jednej grupy odbywa się niekiedy kosztem innych grup, lub kosztem całego społeczeństwa popadającego w spiralę coraz nowych żądań. Jednocześnie paraliżowane jest prawo i witalne funkcje zapewniających egzystowanie i rozwój tegoż społeczeństwa. Po prostu, trzeba spojrzeć prawdzie w oczy, skończyć z obłudą i kłamstwem. *Kapikadze* zgrywają się na bohaterów, a w istocie szantażują całe społeczeństwo. Nie tylko szantażują społeczeństwo, ale ubliżają pamięci setek tysięcy tych z naszych rodaków, którzy oddali swoje życie za wartości najwyższe.

Burdy pod parlamentem, żądania dążące do wyrwania sobie co lepszych kąsków powinny wywołać zdziwienie i szok. Postępują tak, jakby Polska od czasów II wojny światowej cieszyła się dobrobytem, a tylko żądający byli dyskryminowani i trzymani na najniższym poziomie życia przez resztę społeczeństwa, jakoby opływającego w dostatkach. Trzeba zdać sobie sprawę, że ta reszta społeczeństwa to nie są jednostki, które uczciwie lub nieuczciwie wzbogaciły się działając indywidualnie, są to ludzie z innych grup zawodowych, też nie opływających w dostatki.

Poważni ludzie, przywódcy związków zawodowych i inni, zachowują się jak rabusie oślepieni cudami zaopatrzenia w zapelnionych towarami sklepach. Ręce im świerzbą, idą, aby złupić bezbronnych przechodniów, emerytów i innych mniej sprawnych ludzi, aby zabrać im pieniądze i natychmiast kupić to, czego domaga się ich niepokonana żądza posiadania. Po latach pustych półek i kartek na kości ich psychika włamała się do konsumpcyjnego raju, zawyli z żądzy posiadania i nie licząc się z nikim i z niczym wyrwywają dla siebie wszystko, co ich rozbiegane oczka dostrzegają. Dufni w swoje siły nie spostrzegają, że fortuna rabusiów może zmienić się i padną ofiarą innych silniejszych rabusiów.

Tak, jak u schyłku I-szej Rzeczypospolitej różne rody rozdrapywały dla siebie przywileje, tak teraz różne grupy zawodowe wyrwywają od terroryzowanego rządu różnorakie koncesje. Tak jak kiedyś magnaci utraciwszy poczucie dobra ojczyzny szantażowali Rzeczpospolitą prywatnymi wojskami, tak teraz „związkowe armie” szantażują Rzeczpospolitą bandami swoich członków niszczącymi mienie społeczne, wszczynającymi burdy i paraliżującymi różnorodne dziedziny życia niezbędne do normalnego funkcjonowania państwa. W tym wszystkim są różnice, magnaci nie cieszyli się poparciem większości społeczeństwa. Jednak nasi współcześni związkowi magnaci często znajdują milczące poparcie bazujące na nieaktualnym już stereotypie – „państwo to nie my” – co oznacza, wszystko przeciwko „nie naszemu państwu” jest dobre dla nas. Totalna paranoja!

Od najbogatszych do najbiedniejszych wszyscy mają za mało pieniędzy. Każdy chciałby osiągnąć konsumpcyjny raj tak dobrze widoczny w witrynach sklepów, w reklamach i na filmach. Są już bardzo bogaci ludzie, być może złodzieje. Być może ci, którzy rządzą, też są złodziejami – wówczas strajkujący i protestujący powinni żądać ukrócenia ich złodziejskich procedurów. Jeżeli będą żądali zrównania z nimi wymuszając szantażem lub siłą swoje przywileje, wówczas w takim wzajemnie okradającym się społeczeństwie bieda zamieni się w nędzę – bez żadnych perspektyw zmian na lepsze. Przecież jest wiele grup społecznych, które czują się pokrzywdzone, nie mających środków i organizacji zdolnych do szantażowania rządu i pośrednio całej reszty społeczeństwa. W skrajnych przypadkach strajkujący zamieniają się w terrorystów biorących jako zakładników ludzi, którym poprzez swój zawód służą. Tak jak klasyczni terroryści obwieszczają *„Jeżeli nasze żądania nie będą spełnione, wówczas za śmierć, okaleczenie, lub inne straty niewinnych ludzi, będą odpowiedzialni jacyś oni, którzy nie spełnią naszych żądań”*.

Polska nie była, nie jest, i nigdy nie będzie rajem – ponieważ nigdzie na świecie nie ma raju. Dla własnego dobra nie możemy włamywać się do nie istniejącego raju – musimy opamiętać się! Niewątpliwie, są i będą grupy ludzi zarabiające mniej niż inne grupy ludzi. Grupy takie mogą mieć słuszne pretensje i żądania, ale niedopuszczalnym są burdy i szantażowanie rządu oraz całego społeczeństwa. Grupy takie mogą zgłaszać swoje żądania, jednak w formie nie wyrządzającej krzywd innym ludziom, bez niszczenia czyichkolwiek dóbr. W krańcowym przypadku mogą dążyć do zaspokojenia swoich żądań poprzez wybór swoich przedstawicieli, którzy po wyborze zaspokoją ich żądania.

Przy najbliższych wyborach wszyscy, którzy żądają, aby rząd był odpowiedzialny za ich płace i przywileje powinni zjednoczyć się i wybrać przedstawicieli obiecujących odtworzenie PRL. Kandydatów jest wielu: obłudników obiecujących gruszki na wierzbie – aby tylko dorwać się do władzy i pomnożyć własne mająteczki; „sprawiedliwych” – dopóki są w opozycji; „mądrych” – dopóki krytykują; „solidarnych” – po obłowieniu się kosztem innych.

Jeżeli nie odtworzymy PRL, wówczas jakikolwiek rząd, sejm lub prezydent: prawicowy, lewicowy, lub innej maści, nie może pozwolić na panoszenie się „związkowych band” wszczynających burdy i zamieszki. Jeżeli odtworzymy PRL, zaczniemy wszystko od początku: poprzez kartki na kości do nowego stanu wojennego. Po drodze „władza ludowa” odrąbie wiele rąk, aby nie sięgały do półek „sklepów za firankami”.

Po prostu nie ma innego wyjścia, albo idziemy nową drogą, albo wracamy do PRL – inaczej zginiemy w anarchii. Społeczny terrorizm i uzbrojone w kije, petardy i kamienie bandy zniszczą Rzeczpospolitą. Nasuwa się wręcz obawa, że jeżeli nie teraz, to przy innej okazji, wrogowie naszej niepodległości ukrycie lub otwarcie będą inspirowali i popierali społeczny terrorizm.

Specyficzną formą społecznego terroryzmu jest blokowanie dróg, przejść granicznych oraz akty wandalizmu. Tak jak kiedyś na rozstajnych drogach rozbójnicy rabowali pieniądze i inne dobra, a czasami mordowali, tak teraz, współcześni rozbójnicy blokują rozstajne drogi i ograbiają ludzi z ich czasu i pieniędzy a czasami mordują poprzez uniemożliwienie ratunku lub stresi wywołane ekstremalną sytuacją. Jeżeli rząd nie upora się ze współczesnymi rozbójnikami, wówczas zdesperowani ludzie będą sami z nimi walczyli, będą rozjeżdżali ich swoimi pojazdami lub będą dokonywali innych desperackich aktów doprowadzających do tragedii.

Niezależnie z jakich przyczyn i jakie grupy stosują blokady dróg i przejść granicznych, rząd nie może tolerować tego typu zachowań. Po wyczerpaniu perswazji i ostrzeżeniach rząd musi odblokować drogi stosując wszystkie dostępne środki, włącznie z aresztowaniami i użyciem siły do usuwania barykad oraz sprzętu blokującego drogi. Innym przejawem społecznego terroryzmu są strajki takich grup zawodowych, które wypełniają społecznie niezbędne i bardzo ważne funkcje. Grupy takie szantażując poprzez narażenie zdrowia i życia innych obywateli, lub poprzez sparaliżowanie życia gospodarczego i normalnego funkcjonowania społeczeństwa, chcą wymusić spełnienie swoich żądań. Niezależnie od stopnia słuszności przedkładanych żądań, rząd musi podjąć zdecydowaną akcję przeciwko takim szantażom.

Jako przykład akcji rządu przypomnę trochę niespodziewane ale bardzo skuteczne rozwiązanie zastosowane przez prezydenta Reagana. W 1981 roku, amerykański związek zawodowy kontrolerów ruchu powietrznego zapowiedział strajk. Wysuwali żądania skrócenia czasu pracy, podniesienia zarobków i uzyskania innych przywilejów. Jak zwykle w takich przypadkach związkowcy uzasadniali swoje żądania chęcią podniesienia bezpieczeństwa pasażerów i liczyli, że wizja bałaganu i szoku gospodarczego wymusi spełnienie ich żądań.

W negocjacjach związkowcy nie wykazali żadnej elastyczności. Wbrew ostrzeżeniom 11.800 związkowców z ogólnej ilości 15.000 przystąpiło do strajku. Reagan wydał natychmiastowe polecenie zwolnienia wszystkich 11.800 strajkujących z dożywotnim zakazem zatrudniania ich na stanowiskach kontrolerów lotu. Dodatkowo ich związek zawodowy został zdelegalizowany a zwolnionych kontrolerów zastąpili kontrolerzy wojskowi. Jednocześnie przyjęto do pracy nowych ludzi, którymi po intensywnym szkoleniu zastąpiono wszystkich zwolnionych.

Pomimo kilkakrotnych nawoływań do ogłoszenia amnestii i umożliwienia powrotu do pracy żadnej amnestii nie ogłoszono. Musieli przekwalifikować się i rozpocząć pracę w innych zawodach z zarobkami dużo niższymi niż połowa ich dawnych zarobków. Zaraz po zwolnieniu z pracy były akty sabotażu mające na celu spowodowanie poważnych wypadków lotniczych, na szczęście nieskuteczne. Gdyby nie było kontrolerów wojskowych Reagan nie zawahałaby się sprowadzić potrzebnych specjalistów z zagranicy. Od tego czasu żaden inny amerykański ogólnokrajowy związek zawodowy pracowników pełniących niezbędne dla społeczeństwa funkcje nie odważył się na ogłoszenie strajku.

We wszystkich tego typu konfliktach najtrudniejszą sprawą jest ocena stopnia słuszności wysuwanych żądań. Najczęściej żądania dotyczą płac i świadczeń gwarantowanych przez pracodawców. Grupy zawodowe żądające podwyżek przeważnie pomijają milczeniem swój aktualny poziom zarobków lub innych rekompensat za zatrudnienie. Jest też jakaś psychoza publikatorów, które komentując nowe żądania pomijają to, co dani pracownicy otrzymują za swoją pracę i na jakim poziomie lokują się w porównaniu z innymi podobnymi grupami zawodowymi.

W niektórych branżach zarobki robotników w USA wynosiły około 30\$ (1998r.) za godzinę. Tak dobrze zarabiający pracownicy często domagali się dalszych podwyżek oczekując, że społeczeństwo, powiedzmy inni robotnicy zarabiający 15\$ za godzinę, lub bezrobotni, będą ich serdecznie popierali. Coś w tym wszystkim musi być totalnie popieprzone, po prostu inni powinni mieć szansę zastąpienia robotników, którym stawka 30 dolarowa z dodatkiem innych świadczeń wydaje się zbyt niską.

Nie piszę tego, aby utuczyć pracodawców, po prostu podpowiada mi to zdrowy rozsądek. Niestety, w wielu branżach w USA powstały związki zawodowe zmuszające pracodawców do zatrudniania tylko i wyłącznie swoich członków (**Closed shop**). Przeczy to zasadzie wolnej konkurencji na rynku pracy. Takie silne związki zawodowe nieuczciwie żerują na innych ludziach zarabiających o wiele mniej nie dopuszczając ich też do zajętych przez siebie stanowisk. W pewnym sensie ci inni mniej zarabiający kupując wyroby produkowane przez „closed shops” finansują związkowych monopolistów. Taka „chciwość” związkowych monopolistów doprowadza czasami do zrujnowania ich warsztatów pracy.

My nie musimy „odkrywać Ameryki”. Potężne kiedyś związki zawodowe potężnego kiedyś przemysłu hutniczego USA tak skutecznie walczyły o coraz większe płace i przywileje, że przemysł ten został zredukowany do małej części swojej uprzedniej potęgi. Nie pomogły wymuszone na pracodawcach umowy zbiorowe „gwarantujące” bezterminowe zatrudnienie, związkowcy stracili pracę i niejednokrotnie musieli opuścić swoje domostwa. Całe miasta wokół amerykańskich ośrodków ongiś najpotężniejszego na świecie przemysłu hutniczego opustoszały a ich mieszkańcy szukali zatrudnienia w innych zawodach i innych rejonach Ameryki – zaczęli wszystko od początku. Aby nie podążyć za pracownikami przemysłu hutniczego, równie potężne związki zawodowe przemysłu motoryzacyjnego USA, uratowały ten przemysł ograniczając swoje żądania, a nawet godząc się na redukcję płac.

Decydującą rolę w tych wszystkich procesach odgrywa międzynarodowa konkurencja. Gdyby USA nie otworzyło swoich rynków na wyroby zagraniczne, wówczas nie byłoby w USA dostępnych dla przeciętnych obywateli samochodów i wielu innych wyrobów. Zmonopolizowane przez „closed shop” firmy produkowałyby wyroby z coraz większym udziałem kosztu robocizny – w efekcie, tak czy inaczej, firmy opanowane przez związkowych monopolistów traciłyby nabywców nie będących w stanie kupować coraz droższych wyrobów.

Problem otwartości rynku dla zagranicznej konkurencji zawsze budzi napięcia i kontrowersje. Trudne decyzje ustanawiania ceł na różne wyroby i produkty muszą być tak dokładnie wyważone, jak ilość pieniędzy na rynku. Różne ograniczenia importu lub cła dają korzyści producentom chronionych w ten sposób dóbr, jednocześnie reszta społeczeństwa ponosi wyższe koszty przy nabywaniu tych dóbr – otrzymując też często wyroby o gorszej jakości. Dopiero nieograniczona konkurencja wymusza najwyższą jakość przy najniższych cenach. Idealnym byłoby takie wyważone zmniejszanie barier ochronnych, aby jak najszybciej nasze wyroby znajdowały krajowych i zagranicznych nabywców już bez żadnych barier ochronnych.

Dużą rolę w zbywalności naszych produktów i wyrobów odgrywa też świadomość społeczeństwa, a może raczej moda. Małpia moda kupowania zagranicznych produktów podkopuje nasz własny byt. Ilekroć będę miał szansę kupienia czegoś polskiego wówczas zawsze wybiorę nasz produkt, nawet, gdyby był troszeczkę gorszej jakości (przeważnie wmawia się nam, że coś innego jest lepsze), lub nawet troszeczkę droższy. Każdy taki zakup będzie o odrobinę zmniejszał bezrobocie i poprawiał nasz bilans płatniczy – czyli w jakiś sposób będzie pomagał mnie, moim najbliższym i innym rodakom.

Ten obowiązek pomagania leży też na rządzie, pomimo, że w miarę prywatyzacji, rząd będzie w coraz mniejszym stopniu zaangażowany w dysputy płacowe z poszczególnymi grupami pracowników. Tym niemniej do obowiązku rządu powinna należeć pomoc w rozwiązywaniu różnych konfliktów a czasami interwencja chroniąca przed upadkiem ważne gałęzie gospodarki. Tak też stało się w USA, gdy na początku 1980 roku rząd USA żyrował pożyczką 1,5 miliarda dolarów ratując przed upadkiem trzeciego co do wielkości amerykańskiego producenta samochodów – Chrysler Corporation. Ponadto, szczególnym obowiązkiem rządu jest utrzymanie przemysłu obronnego, dbałość o jego rozwój i zabezpieczenie zamówień. Nie jest to sprzeczne z wolnorynkowymi zasadami, wszystkie kraje dbają o przemysł obronny poprzez kontrakty, subsydia i odpowiednią politykę podatkową.

Pomimo, że nasi specjaliści nie są gorsi od ich odpowiedników w USA lub na zachodzie, jeszcze przez długi czas nierealnym będą ich żądania dorównania w wynagrodzeniu specjalistom zatrudnionym w wysoko rozwiniętych krajach. Pomocnym byłyby jakieś porównawcze kryteria zarobków różnych krajowych grup zawodowych. Kryteria takie uwzględniające wykształcenie, doświadczenie, uciążliwość, itp, mogłyby pomóc w ocenie słuszności wysuwanych żądań płacowych. Nie chodzi o ustalenie jakichś obowiązujących tabel zarobków, kryteria takie dawałyby możliwość moralnej oceny słuszności wysuwanych żądań, wpływałyby na stopień poparcia tych żądań przez społeczeństwo.

Niezależnie od stopnia słuszności żądań wysuwanych przez różne grupy zawodowe, pozytywną cechą wszystkich strajków i akcji protestacyjnych jest uaktywnianie się i samo organizacja dużych grup społecznych. W takich grupach wyłaniają się działacze i organizatorzy, którzy wraz ze wszystkimi członkami tych grup uczą się działalności społecznej i politycznej. Po zrozumieniu szkodliwości społecznego terroryzmu, prywaty i wandalizmu, działacze ci mogą zrobić wiele dobrego dla całego społeczeństwa – przy proporcjonalnym w stosunku do innych grup zabezpieczeniu interesów własnych grup.

SPRAWIEDLIWOŚCI PAŁACE

Na początku pobytu w USA najbardziej irytowały mnie różne nawet niewinne publikacje stawiające w krzywym świetle Amerykę, która w odróżnieniu od ZSRR musiała być idealna. Jakiś filmik, w którym amerykański policjant był przestępcą, albo audycja przedstawiająca sędziego lub wysokiego urzędnika amerykańskiego jako podłą świnię wywoływała wewnętrzny odruch oburzenia. Czytając w prasie amerykańskiej różne krytyczne artykuły o rządzie amerykańskim lub o amerykańskiej demokracji, uważałem autorów tych artykułów za durniów lub za ukrytych agentów sowieckich (co często było prawdą). Audycje telewizyjne o aferach politycznych, o „ciemnych” stronach działalności CIA, o łamaniu prawa przy popieraniu reżimów zwalczających komunistycznych rebeliantów traktowałem jako zrealizowane według scenariuszy napisanych w Moskwie.

Po przyjeździe do USA, czyli po wyjściu spod „cienia komunizmu”, był to w pewnym sensie naturalny odruch. Trafiając na wiarygodne relacje podważające dobre imię Ameryki ciągle szukałem jakichś usprawiedliwień nie burzących moich wyobrażeń. Trwało to dosyć długo, przynajmniej do końca lat 80-tych. Później odpadły klapki z oczu nie pozwalające na dostrzeganie brzydkich stron Ameryki, właściwie klapki takie nie były już potrzebne.

W czasie mojego pobytu zmieniała się także Ameryka. Po upadku ZSRR Ameryka stała się jedynym mocarstwem światowym, w euforii zwycięstwa zmiany następowały jeszcze szybciej, raczej w „gorszą stronę”. Przyznaję się obecnie sam przed sobą, że nie wszystkie moje uprzednio pomyślane złorzeczenia na amerykańskich dziennikarzy i reporterów były uzasadnione – w myśli przepraszam ich za to.

Największym szokiem i jednocześnie unikalną przygodą było poznanie amerykańskich sądów. Nie tylko sądów, także amerykańskich prawników i pracowników administracji rządowej. Przyznaję, że poza amerykańskimi doświadczeniami nie miałem na tym polu żadnych innych liczących się doświadczeń. Jeżeli w Polsce będzie tak samo jak w USA, to marny będzie los naszej demokracji – ponieważ w obecnym stanie amerykańska demokracja stoi „nad przepaścią”, brakuje tylko dużego kroku w przód..., jak to pięknie o staniu nad przepaścią powiedział kiedyś Gomułka.

Ameryka wznosi coraz to okazalsze budynki sądowe i coraz szumniej je nazywa. Do typowych nazw należą „Centra Sprawiedliwości”, „Pałace Sprawiedliwości” i „Kompleksy Sprawiedliwości” (u nas też zaczynają małpować Amerykę). Chyba tak jest na całym świecie – im bardziej wyszukane nazwy upiększają przybytki „sprawiedliwości”; im więcej górnolotnych napisów wyryto na ścianach „ostoi sprawiedliwości”; im więcej eksponowanych Temid z zawiązanymi oczyma – tym mniej sprawiedliwości. Sąd jest tylko sądem, nie zawsze w sądzie króluje sprawiedliwość, jest to zrozumiałe i zawsze tak było. Zrobienie z sądu „pałacu sprawiedliwości” nic nie zmienia, jest tylko oszustwem potrzebnym dla zatuszowania przepoczwarzania się sądu w targowisko. Targowisko, gdzie kupuje się „sprawiedliwość”, gdzie „sprawiedliwość” udzielana jest po znajomości lub dawana jest jako danina dla możnych tego świata, a co gorsze, gdy sąd wykonuje polecenia tajnej policji.

Bywały kiedyś pałace, w których możnowładcy dawali więcej sprawiedliwości niż w amerykańskich „pałacach sprawiedliwości”. Popatrzmy na sprawę O.J. Simpsona – w jednym sądzie niewinny morderstwa, w innym sądzie morderca – oba wyroki prawomocne. W lutym 1999 roku uniewinniono amerykańskiego pilota, Richarda Ashbyego od zarzutu nieumyślnego spowodowania śmierci 20 pasażerów kolejki linowej w Dolomitach (1998, Włochy, [Cavalese](#)) – nie ma winnych? Jednocześnie wiadomo, że dowody winy zostały zniszczone. Wręcz gangsterska mentalność, martwy świadek przestaje być świadkiem, zniszczone dowody przestają być dowodami. Zresztą, cały świat obejrzał pikantny spektakl amerykańskiego systemu sprawiedliwości. Prezydent Clinton popełnił parę kryminalnych przestępstw, między innymi krzywoprzysięstwo i nie został uznany za winnego!

Praktyka prawa w USA stała się praktyką „udzielania prawa”, bez żadnego prawa. W wielu przypadkach jest zbiorem oszukańczych działań i manipulacji o skali trudnej do wyobrażenia. Z tego powodu zdesperowani Amerykanie zaczęli dokonywać samosądów na sędziach i innych urzędnikach amerykańskiego wymiaru „sprawiedliwości”. W odpowiedzi na samosądy zainstalowano bramki wykrywające metale i pojawili się uzbrojeni strażnicy chroniący „kapłanów sprawiedliwości”. Większość ludzi nie styka się z tym na co dzień, przynajmniej do pewnego czasu. Dopiero wówczas powstaje jakieś dziwne odczucie wywracające do góry nogami wyobrażenie o prawie i systemie sprawiedliwości USA. Wyobrażenie wytworzone na całym świecie przez setki filmów idealizujących amerykański system sprawiedliwości.

Pamiętam, gdy na początku pobytu w USA przeczytałem w polonijnej gazecie wynurzenia Polaka, który sprzedał część swojej ziemi dla jakiegoś inwestora. Inwestor wbrew umowie kupna sprzedaży wykorzystał przyległy do posesji sprzedawcy teren na uciążliwą inwestycję. Sprawa oparła się o sąd, w którego skorumpowanych łapkach sprzedawca stracił praktycznie wszystko, co posiadał. Przyznam, że czytając te wynurzenia nie miałem zaufania do opowieści naszego rodaka. Po uzyskaniu własnych doświadczeń nie miałbym zaufania do wynurzeń podkreślających bezstronność i uczciwość amerykańskich sądów, może oprócz spraw rozstrzyganych przez ławników.

Wydawałoby się, że w Ameryce – kraju nasyconym do obłędu prawnikami – prawnicy ci reprezentują bardzo wysoki poziom zawodowy. Niestety, jest to banda miernot robiących co krok różne pomyłki i idiotyczne posunięcia. Ich siła polega na sile korupcji i układów. Ze mną, amatorem uczącym się języka angielskiego, amerykańskiego prawa i procedur sądowych, „wybitni” amerykańscy prawnicy nie mogli poradzić przez długie lata. A poradzili dopiero wtedy, gdy sędziowie razem z prawnikami dostali „białej gorączki” i już nie zważając na żadne elementarne prawa i procedury sądowe, prostytuowali się zupełnie.

Aby w skrócie opowiedzieć o moich sądowych przygodach, muszę wrócić do mojego zwolnienia z Technical Career Institutes („TCI”). Po zwolnieniu zdecydowałem się nie powracać do elektrycznego biznesu i zrezygnowałem z przedłużenia uprawnień na prowadzenie zakładu usług elektrycznych – zacząłem poszukiwać wysoko kwalifikowanej pracy. Zdawałem sobie sprawę, że mając 50 lat nie będzie to łatwe, mogłem jednak uzupełnić moje „Resume” o pracę wykładowcy w TCI.

Zadzwoiłem do TCI z prośbą o rekomendacje na piśmie – w końcu rozeszliśmy się w miarę zgodnie. Gdy opuszczałem TCI szef mojego wydziału Giudice powiedział mi: *Jest mi przykro, ponieważ wiem, że potrafisz wykładać.* Najbardziej „ciętym” na mnie był dziekan Matthews, wojujący podobno z magisterką, ale to nie on wystawiał rekomendacje. W odpowiedzi na moją prośbę obiecano dobre rekomendacje zawierające informację, że zwolniono mnie ze względu na zmniejszony nabór i „seniority” dające przywileje dłużej zatrudnionym pracownikom.

O konflikcie TCI ze związkami zawodowymi nic w tym czasie nie wiedziałem. Nawet gdybym wiedział, darowałbym im sfabrykowany raport z wizytacji mojego wykładu. Mijały miesiące, a ja nie otrzymywałem obiecanych rekomendacji. Na przełomie 1991/92 wysłałem list z prośbą o rekomendacje. Zamiast obiecanych wcześniej dobrych rekomendacji przysłali mi kopię specjalnie sporządzonej dyfamacyjnej (zniesławiającej) „notatki do akt”. Notatka podpisana przez dziekana Leffa była czystą złośliwością, ponieważ prawie pół roku po moim odejściu nie musieli spisywać żadnej notatki – mogli po prostu nie odpowiedzieć na moje pismo.

W międzyczasie byłem w paru miejscach na rozmowach z potencjalnymi pracodawcami. Wiedziałem, że dobrej pracy nie dostaje się od ręki, że trzeba mieć cierpliwość. Podczas wizyty w hucie wysokogatunkowej stali powiedziano mi, że moje kwalifikacje pasują jak ulał do ich zapotrzebowania – szukali kierownika i wykładowcy w dziale szkolenia zawodowego – byłem prawie przyjęty. Jednak po jakimś czasie dostałem list z informacją, że byłem jednym z trzech najwyższ zakwalifikowanych kandydatów, jednak z jakichś względów wybrano innego kandydata. Nie miałem wątpliwości, że przed ostateczną decyzją kontaktowali się z TCI, które w „Resume” wymienione było jako moje ostatnie miejsce pracy.

Jeżeli ktoś im przekazał informacje podobne do zamieszczonych w notatce podpisanej przez Leffa, to i tak wykazali się uprzejmością, informując mnie na piśmie o bardzo poważnym potraktowaniu mojej kandydatury. [W trakcie rozprawy prawnicy TCI otrzymali sfabrykowaną wersję pisma, w którym z trzech wyselekcjonowanych osób zrobiono grupę wyselekcjonowanych osób. Datowane wstecz pismo napisano na nowym druku z nowymi numerami kierunkowymi telefonów, które to numery wprowadził dostawca usług telekomunikacyjnych parę miesięcy po dacie oryginalnego pisma.]

Łącząc notatkę TCI z paroma innymi niepowodzeniami w znalezieniu odpowiedniej pracy, poprosiłem znajomego właściciela firmy (Harbor Repairs, INC.) o sprawdzenie, jak TCI odpowie na zapytanie o opinię. Ich odpowiedź skłoniła mnie do skierowania sprawy na drogę sądową. Po wstępnych rozmowach z kilkoma prawnikami wybrałem kancelarię, która po przejrzeniu mojej dokumentacji rokowała duże nadzieje na wygranie sprawy, jednak po miesiącu zrezygnowali. Przypuszczalnie skontaktowali się z TCI lub z ich prawnikami, lub w inny sposób ocenili, że sprawa nie będzie łatwa i nie zagwarantuje odpowiedniego zysku. Postanowiłem samodzielnie rozpocząć i prowadzić sprawę.

Pierwszym zadaniem było poprawne sformułowanie i prawidłowe doręczenie mojego pozwu (Complaint) do właściwego sądu. Po intensywnym rozeznaniu w dostępnych bibliotekach pokonałem tą dosyć trudną barierę i 4 stycznia 1993 roku otworzyłem sprawę przeciwko TCI. Przeciwnicy wynajęli bardzo dużą firmę prawniczą specjalizującą się w obronie pracodawców posiadającą filie w całej Ameryce.

Już na początku specjaliści z tej firmy kropnęli się źle uzasadniając przeniesienie sprawy z sądu stanowego do sądu federalnego. Nie przeciwstawiłem się temu ruchowi, ponieważ sąd federalny w odróżnieniu od zatłoczonego sądu stanowego dawał nadzieję na sprawniejsze rozpatrzenie sprawy. Tuż po przeniesieniu zorientowali się, że popełnili błąd, skorygowali podstawę przeniesienia z „różnicy obywatelstwa” (diversity of citizenship, dotyczy różnych stanów) na „jurysdykcję federalną” (federal question jurisdiction).

Korekta odbyła się bez zezwolenia sądu (pierwsza machlojka) a mój terminowo złożony sprzeciw przeciwko podstawie zmiany jurysdykcji, pomimo moich kolejnych wystąpień, nie był rozpatrzony przez około dwa następne lata (super machlojka). Głównym sędzią został Peter K. Leisure a pomocniczym (magistrate judge) Michael H. Dolinger. „Cicha” zmiana jurysdykcji dawała im szansę na manipulacje pozwalające na odrzucenie części mojego pozwu jako odnoszącego się do prawa pracy. [Dysputy pracownicze oraz czas i forum składania pozwu regulowane są przez National Labor Relations Act z 1935 roku oraz Labor Management Relations Act z 1947 roku.]

Dolinger wyznaczył pierwszą konferencję na dzień 26 lutego 1993. Na szczęście wyjechałem z dużym zapasem czasu i po zaparkowaniu przy stacji PATH koło Grove Station w Jersey City długo czekałem na połączenie z World Trade Center. W końcu bez żadnych wyjaśnień odwołano wszelkie połączenia. Okazało się, że potężna bomba omal nie zwalił jednego z dwóch najwyższych nowojorskich wieżowców stojących nad stacją PATH na Manhattanie. Dotarłem okrężną drogą jeszcze przed wyznaczonym czasem.

Wchodząc przez nie zamknięte drzwi do pomieszczeń „Honorable” Dolingera natknąłem się na faceta przemykającego przez korytarzyk przy głównym wejściu. Niski, ciemnowłosy, okazało się później, że był to właśnie sędzia. Byłem trochę zdziwiony stanem jego odzienia. Ciemnobrązowy w delikatne paski garnitur był utyłany w czymś, co przypominało drobniutkie piórka – tak jakby przed chwilą okładał się poduszkami ze swoim partnerem – murzynkiem o niewieścim wyglądzie i zachowaniu. Sekretarki już nie było, dlatego nikt nie odpowiadał na moje pukanie, wchodząc zaskoczyłem utyłanego sędziego i jego partnera.

Jako reprezentant przeciwników (kancelaria prawnicza Jackson, Lewis, Schnitzler & Krupman) pojawił się Scott T. Baken. Uprzejmościom sędziego i Bakena nie było końca – był to typowy sposób bycia amerykańskich profesjonalistów – tym bardziej uprzejmi, im bardziej chcą „narąbać” klienta. Przyjąłem plan „discovery” (obowiązkowej wymiany informacji i dokumentów) a wkrótce potem zaskoczyłem przeciwników wyprzedzając ich ruch w tej sprawie. W międzyczasie otrzymałem ich odpowiedź na pozew (Answer), w ten sposób rozpoczęła się moja sądowa Odyseja.

W trakcie tej sprawy napisałem około półtora tysiąca stron różnych dokumentów (w pozostawiającym wiele do życzenia, ale skutecznie rozumianym J. Angielskim). Przeciwnicy, posiadający do dyspozycji potężne biuro prawnicze, paru oddelegowanych do tej sprawy prawników, maszynistki, sekretarki i personel pomocniczy, „wyprodukowali” ponad dwa razy więcej papierów. Mój koszt w dolarach oceniam na około 1.500\$, ich koszt musiał przekroczyć 400.000\$. Sprawa trwała ponad pięć lat i została „wygrana” przez TCI, reprezentowanego przez jakoby najlepszych amerykańskich adwokatów – przy pełnym zaangażowaniu sędziów po stronie TCI.

Podczas jednej z konferencji u sędziego Dolingera zdziwiony byłem zmianą jego wyglądu, duże ciemne okulary dokładnie zasłaniały oczy. W pewnym momencie zdjął je machinalnie odkrywając potężny czarny siniak pod lewym okiem. Na tej konferencji przeciwników reprezentowała sympatyczna Żydóweczka, oboje zauważyliśmy tą sędziowską „ozdobę”. Sędzia przeprosił nas na chwilę i wyszedł. Korzystając z okazji zaskoczyłem ją pytaniem, „czy sędzia Dolinger jest Żydem“, odpowiedziała twierdząco. Na moje podobne pytanie dotyczące jej osoby i [Bakena](#) też odpowiedziała twierdząco. Nie chcę tu zasugerować, że sądowe machlojki przypisuję tylko Żydom. Wydaje się, że cały system sądowniczy USA jest przesiąknięty machlojkami.

Właściwie niepotrzebnie pytałem o pochodzenie najważniejszych „aktorów” w mojej sprawie, nawet bez jakichkolwiek pytań wiadomo, że przynajmniej w metropolii nowojorskiej zdecydowana większość sędziów i prawników jest Żydami. Zakładając, że moi „aktorzy” unikali wzajemnych faworów z tytułu „etnicznego braterstwa”, takie nasycenie Żydami zawsze stworzy podejrzenia, co do bezstronności postępowania w sprawach między gojami i żydami.

Do ciekawszych wydarzeń zaliczę wizytę w biurze prawników TCI w celu przejrzenia zażądanych w ramach „discovery“ dokumentów. Oczywiście, przedstawili małowartościową sieczkę, pojawił się natomiast dyrektor administracyjny TCI Eric Biederman – zgodziłem się na rozmowę. Ku mojemu zdziwieniu nie odstępujący mnie ani na krok prawnik natychmiast zniknął. Było to wbrew przepisom wymagającym obecności prawnika przy takiej rozmowie, zostałem sam na sam z Biedermanem.

Zaczął w sposób standardowy – od marchewki – że nie będąc prawnikiem zrobiłem bardzo dobrą robotę, ale on chciałby tą sprawę zakończyć. Po moim podziękowaniu za uznanie natychmiast przeszedł do „kija”. Oświadczył, że są w stanie sprawdzić, na jakich podstawach przebywam w USA, czy rozliczałem podatki, czy nie rozminąłem się z prawem w jakichkolwiek innych sprawach. Z pewnością siebie dodał, że każdy robi jakieś błędy, gdybym kontynuował sprawę przeciwko TCI, wówczas narobią mi wiele kłopotów, włącznie z deportacją.

Na zakończenie przedstawił czarną wizję przyszłości mojej rodziny i złożył propozycję – pięć tysięcy dolarów oraz znalezienie ekwiwalentnej pracy wykładowcy. Na moje pytanie, w jaki sposób znajdzie mi pracę wykładowcy, odpowiedział, że ma kontakty z żydowskim biurami zatrudnienia w stanach New Jersey i Nowy Jork. Podziękowałem za propozycję i poprosiłem o czas do namysłu – dał mi swoją wizytówkę, abym zadzwonił za parę dni. Z czasem dowiedziałem się z innych źródeł, że takie „żydowskie” biura zatrudnienia specjalistów rzeczywiście istnieją. Gdybym zgodził się na tą „propozycję nie do odrzucenia”, to może żydowscy „personalni” darowaliby mi moje kozie mleko, którym w zastępstwie matczynego byłem kiedyś karmiony.

Był to oczywisty szantaż, zrobiłem natychmiast sprawozdanie z tej rozmowy. Dzwoniąc do Biedermana za parę dni poprosiłem dwóch świadków, aby przysłuchiwali się rozmowie korzystając z dodatkowych telefonów i robili notatki. Nie mogłem nagrywać, ponieważ w stanie New Jersey zabronione jest nagrywanie rozmów telefonicznych bez uprzedniego uzyskania zgody wszystkich rozmówców [w niektórych stanach jest takie dziwne prawo chroniące szantażystów i oszustów]. Podczas tej rozmowy „na luzie” Biederman powtórzył prawie wszystkie groźby jakie pod moim adresem kierował.

W tym czasie, korzystając z błędów przeciwników, byłem gotowy do złożenia nowej wersji pozwu pod nazwą First Amended Complaint. Mając nową, znacznie udoskonaloną wersję pozwu, dowód szantażu i żądania „discovery” w ich bramce, liczyłem na osiągnięcie porozumienia na poziomie 30 tysięcy dolarów. Aby zwiększyć swoje szanse wynająłem na czas negocjacji prawnika (Jonathan Sack), który po przejrzeniu dokumentacji ocenił możliwość zawarcia porozumienia na poziomie pięćdziesięciu tysięcy dolarów. Dałem mu numer telefonu prawników TCI i poleciłem ustalenie terminu negocjacji. W czasie negocjacji mój prawnik zaszokował mnie – zamiast grać „na bramkę” przeciwników, strzelał do mojej bramki. Wręcz nie dopuszczał do głosu przeciwników, przekonując mnie, abym zaakceptował wcześniej złożoną przez TCI i popartą szantażem ofertę. Zaszokowany zgodziłem się na porozumienie praktycznie na warunkach TCI.

W czasie oczekiwania na wydrukowanie wstępnego porozumienia mój prawnik w rozmowie z Biedermanem zaczął plotkować o wspólnych krewnych, szczególnie o jakiejś kuzynce – podobno niezłej dupie. Szlag mnie omal nie trafił na tą rodzinną spółkę Sack-Biederman. Nawet nie krępowali się zbyt długo tą rozmową, przeplatana wychwalaniem się różnymi zawodowymi i towarzyskimi sukcesami.

Po powrocie do domu postanowiłem popsuć im humory, zwolniłem ze skutkiem natychmiastowym mojego prawnika oraz skutecznie odwołałem wszelkie ustalenia, ponieważ umowa nie była jeszcze podpisana. Aby zmusić mnie do zawarcia wstępnie wynegocjowanej umowy mój zwolniony prawnik natychmiast dołączył do zespołu przeciwników. Sędzia Dolinger też stanął po ich stronie, parę miesięcy później dał mi propozycję nie do odrzucenia, albo zgodzę się na uprzednio „wynegocjowane” porozumienie, albo nie dostanę nic. W odpowiedzi na tego typu szantaż stronniczego sędziego pomocniczego wystąpiłem o odsunięcie go od sprawy, sędzia główny oddalił moje wystąpienie.

Od tego momentu zacząłem zdawać sobie sprawę, że z takim dobranym zespołem prawników i sędziów nie mam żadnych szans. Do sędziów dołączył personel sądowy, część moich wystąpień nie była rejestrowana w oficjalnym wykazie historii sprawy (Docket Record), a w ostatniej fazie odmawiano przyjmowania moich papierów. Pomimo tego postanowiłem prowadzić sprawę tak długo, jak tylko będę mógł stwarzać sytuacje uniemożliwiające zamknięcie sprawy pod któryś z wielu możliwych pretekstów. W efekcie zadufani i arogancy przeciwnicy stracili parę setek tysięcy dolarów, przy moim minimalnym koszcie. Ja nie wygrałem – oprócz satysfakcji z samotnej walki – w tym przypadku z kliką żydowskich prawników i sędziów. Zdobyłem też doświadczenie, które pozwoliło mi w paru innych przypadkach na uniezależnienie się od amerykańskich „super” prawników.

Najważniejszą częścią formalną rozgrywki było zaszeregowanie paru roszczeń mojego pozwu (causes of action) – czy podlegają one prawu stanowemu czy federalnemu? Po pierwszej wersji pozwu złożonego w sądzie stanowym, już po przeniesieniu do sądu federalnego, udało się mi przeforsować przyjęcie przerobionej drugiej wersji pozwu. Gdyby przeciwnicy byli uważni, wówczas w odpowiednim momencie mogliby nie dopuścić do przyjęcia przez sąd poprawionej drugiej wersji, pomogłem im w tym poprzez parę ruchów, których efektu początkowo nie przewidzieli.

Po prostu, po dotarciu w mojej samo edukacji do odpowiednich ustaleń prawa federalnego, starałem się uciec jak najdalej od jego nożyc mogących zagrozić dwóm z trzech roszczeń mojego pozwu. Zagrożenie nie było nieuchronne, przeciwnicy zamierzali użyć prawa federalnego jedynie do obrony, co zgodnie z ustaleniami spraw precedensowych nie pozwala na automatyczne odrzucenie tych roszczeń. Trzecie roszczenie pozwu, zniesławienie (DEFAMATION CLAIM), absolutnie nie podlegało prawu federalnemu, ale mogło być rozpatrzone przez sąd federalny na zasadzie „dołączonej jurysdykcji” (pendent jurisdiction).

Dwa pierwsze roszczenia mojego pozwu, złamanie ustnej umowy o pracę (BREACH OF AGREEMENT CLAIM) i oszukańcze nakłonienie do rozpoczęcia pracy (FRAUDULENT INDUCEMENT CLAIM), w przereklamowanej i przyjętej przez sąd wersji pozwu uciekały spod nożyc prawa federalnego – w efekcie cała sprawa powinna być cofnięta do sądu stanowego (remanded).

Nawet bez preredagowania, a szczególnie po preredagowaniu, były sprawy precedensowe jasno stwierdzające, że pomimo bezwzględnej dominacji jurysdykcji prawa federalnego w sprawach konfliktów z pracownikami w zakładach, w których istnieją związki zawodowe (organized labor), prawo federalne nie chroni pracodawców stosujących oszukańcze praktyki.

Przeciwnicy argumentowali, że do rozpatrzenia tych dwóch roszczeń pozwu niezbędna będzie interpretacja umowy zbiorowej, jednak jednym z udokumentowanych faktów podanych w uzasadnieniu „oszukańczego nakłonienia” był fakt, że nie byłem członkiem związku zawodowego. Ponadto, były sprawy precedensowe stwierdzające, że zacytowanie lub stwierdzenie istnienia jakiegoś zapisu w umowie zbiorowej, nie stanowi interpretacji umowy zbiorowej. Innym moim argumentem przeciwko jurysdykcji federalnej był standardowy test stosowalności tego prawa. Polega on na istnieniu zadośćuczynienia przewidzianego w ramach prawa federalnego – w mojej sprawie takie zadośćuczynienie w ramach prawa federalnego nie istniało.

Pomimo niepodważalnych argumentów przeciwko jurysdykcji federalnej, i po faktycznym samo pozbawieniu się tej jurysdykcji przez sąd federalny, sędziowie postanowili pomóc „towarzyszom” prawnikom w „utopieniu” mojego pozwu. Gdyby dopuścili do rozprawy przed ławnikami (nie przegapiłem terminu zgłoszenia „Jury Demand”) wówczas TCI nie miałyby żadnych szans. Dlatego też sędziowie postanowili eliminować roszczenia pozwu jedno po drugim, zaczynając od najgroźniejszego dla TCI „oszukańczego nakłonienia”.

W pierwszej decyzji na wystąpienie TCI o odrzucenie całej sprawy, sędziowie odrzucili tylko „oszukańcze nakłonienie”. Dla zmylenia mnie oraz stworzenia fałszywego poczucia sukcesu, pozostawili dwa inne roszczenia pozwu. Zarzucili też „federalną wędkę”, z myślą nakłonienia mnie do wystąpienia w sprawie jakoby możliwego dołączenia roszczenia o złamanie przez TCI federalnego prawa emerytalnego [ERISA – Employee Retirement Income Security Act, 1974 r.] Gdybym załapał się na ERISA, ugrzązłbym po uszy w jurysdykcję federalną. Nie wpadłem jednak w tą finezyjną pułapkę. Złożyłem też zastrzeżenia (objections), zabezpieczające możliwość apelacji, oraz zaprotestowałem przeciwko rozszerzaniu mojego pozwu o nieistniejącą problematykę ERISA.

Zaraz na początku procedur odpowiadając na żądanie przedstawienia mało istotnych dokumentów TCI dostarczyło kopię protokołu porozumienia ze związkami zawodowymi w sprawie rozwiązania dysputy ubezpieczeniowej (District 65 Security Plan Insurance Reconciliation). Na podstawie tego jednego dokumentu powinienem gładko wygrać roszczenie „oszukańczego nakłonienia”. Z tego powodu stosując monstrualną argumentację sędziowie zostawili roszczenie „złamania umowy”, a ciachnęli „oszukańcze nakłonienie”.

Usuwać to roszczenie pozwu zignorowali zasadę nie wkraczania w kompetencje ławników. Żądanie rozpatrzenia sprawy przez ławników automatycznie pozbawia sędziów prawa interpretacji faktów (Question of fact), mogą rozstrzygać tylko i wyłącznie kwestie proceduralne i prawne (Question of law). Rozstrzygnięcie kwestii, czy w tekście pozwu są sformułowania wymagające interpretacji układu zbiorowego czy nie, było tylko i wyłącznie problematyką „Question of fact” do oceny przez ławników.

Jako następne wzięli „pod siekiere” roszczenie pozwu o zniesławienie (DEFAMATION CLAIM), absolutnie poza jurysdykcją federalną, wymagające interpretacji faktów. Pomijając jednoznaczną wymowę prawa i spraw precedensowych sędziowie bezczelnie sami dokonali interpretacji faktów, w efekcie bezkarnie odrzucili to roszczenie pozwu.

Aby zachować prawo do złożenia apelacji i nie dopuścić do utraty możliwości cofnięcia sprawy do sądu stanowego, dobrowolnie wycofałem roszczenie złamanie umowy (Voluntary dismissal). Tak czy inaczej, w świetle prawa stanowego, roszczenie to byłoby połączone z roszczeniem „oszukańczego nakłonienia” i jako „zapasowe” czekało na taką okazję.

Zrobiłem mały błąd nie żądając ostatecznego wycofania roszczenia złamania umowy (Voluntary dismissal with prejudice), który to błąd przy bezstronnym panelu apelacyjnym nie miałby istotnego znaczenia. Jednak skorumpowani kolesie-sędziowie sądu apelacyjnego, pomimo korzystnych dla mnie spraw precedensowych, stwierdzili, że sprawa nie jest sfinalizowana do końca w sądzie niższej instancji i odrzucili apelację nie zwracając sprawy do tego sądu!!!

Trik ten, niezgodny z procedurą wymagającą zwrotu sprawy do sądu niższej instancji, miał na celu pozbawienie mnie na zawsze gwarantowanego prawem merytorycznego rozpatrzenia mojej apelacji przez sąd apelacyjny. Z trudem, korzystając z zupełnie egzotycznych podstaw proceduralnych, udało się mi powrócić na wokandę sądu federalnego oraz doprowadzić do powtórnego przekazania sprawy do sądu apelacyjnego. Szczytem „nagiej” korupcji było orzeczenie sądu apelacyjnego – zawierające klauzule „*Nie do publikacji, nie może być precedensem prawnym w tym, i w jakimkolwiek innym sądzie...*”.

Przyczyna wydania takiego orzeczenia była prosta, wszystkie sprawy precedensowe, nawet orzekane przez ten sam sąd apelacyjny, wykazywały błędność decyzji sądu apelacyjnego. Klika prawniczo sędziowska odniosła haniebne zwycięstwo. W międzyczasie, przypuszczalnie z powodu astronomicznych kosztów prowadzenia sprawy, Biederman pożegnał się ze swoją posadą dyrektora administracyjnego, podobno Leff także wyleciał z roboty.

„Ci wspaniali prawnicy w swoich wspaniałych biurach” od początku rozprawy obiecywali TCI szybkie „wyrolowanie” amatora z Polski. Po każdym jakoby „ostatecznym” ruchu świecili oczami. Doszło do tego, że dla „zachowania twarzy” podobno zredukowali do około 80% swoje niebotyczne obciążające TCI rachunki. Po prostu wyszli na błaznów, którzy tylko przez rasowo zorientowane machlojki i powszechną w Ameryce korupcję zdołali uzyskać urągające prawu „zwycięstwo”.

Aby dotrzeć do końca amerykańskiej „drabiny” sprawiedliwości, złożyłem odwołanie do sądu najwyższego USA. Powołałem się głównie na fakt złamania konstytucji USA gwarantującej prawo do rozpatrzenia sprawy przez ławników. Sąd najwyższy USA, nie mający obowiązku rozpatrywania odwołań, przypuszczalnie uznał, że łamanie konstytucji USA nie jest problemem godnym jakiegokolwiek zainteresowania.

SDNY-nyry
93-cv-155
Lecture, J.

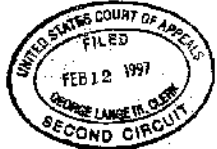
UNITED STATES COURT OF APPEALS
FOR THE SECOND CIRCUIT

S U M M A R Y O R D E R

THIS SUMMARY ORDER WILL NOT BE PUBLISHED IN THE FEDERAL REPORTER AND MAY NOT BE CITED AS PRECEDENTIAL AUTHORITY TO THIS OR ANY OTHER COURT, BUT MAY BE CALLED TO THE ATTENTION OF THIS OR ANY OTHER COURT IN A SUBSEQUENT STAGE OF THIS CASE, IN A RELATED CASE, OR IN ANY CASE FOR PURPOSES OF COLLATERAL ESTOPPEL OR RES JUDICATA.

At a stated term of the United States Court of Appeals for the Second Circuit, held at the United States Courthouse, Foley Square, in the City of New York, on the 12th day of February one thousand nine hundred and ninety-seven.

Present: HONORABLE RICHARD J. CARDAMONE,
HONORABLE RALPH K. WINTER,
Circuit Judges.
HONORABLE ROBERT J. WARD,
District Judge.



FELIKS SADOWSKI,
Plaintiff-Appellant.

- v. -

No. 96-7936

TECHNICAL CAREER INSTITUTES, INC.;
AND DOES I, II, III, IV, AND V,
Defendants-Appellees.

The Honorable Robert J. Ward of the United States District Court for the Southern District of New York, sitting by designation.

ISSUED AS MANDATE
3/2/97

Zresztą łamanie konstytucji i korupcja sądów w USA jest tak powszechna, że nikt już nie może zatrzymać postępującej degeneracji podstaw amerykańskiej demokracji.

Po zdobyciu doświadczenia z prawnikami TCI poprowadziłem sprawę przeciwko ukraińskiej kasie „Samopomoc”. Ku mojemu zadowoleniu, w krótkim czasie, zostałem sam na sam z prawnikami rządowymi USA reprezentującymi National Credit Union Administration (NCUA). Jako prawnicy byli o wiele gorsi od prawników TCI, mieli jednak jeszcze większy wpływ na sędziów. Do chwili pojawienia się w sądzie prawnika NCUA z Waszyngtonu, sprawy toczyły się prawidłowo, po pojawieniu się tego prawnika na którymś z posiedzeń, po jego niedozwolonej prawem „prywatnej” konwersacji z sędzią, wszystko szło na opak. [Głównym „rozgrywającym” z ramienia NCUA był niejaki Richard Schulman, szef Paula Sosnowskiego. W latach 1998/99 Schulman „zajął” Polsko-Słowiańską Unię Kredytową, jedną z największych tego typu unii kredytowych w USA. Zdymisjonowany zarząd tej unii oskarżył NCUA o kierowanie się „polakożerczymi” sentymentami. Po odejściu z NCUA koronnym świadkiem zarządu stał się Sosnowski cytując różne machlojki NCUA i obelżywe wypowiedzi Schulmana. Pomimo braku szans w skorumpowanych sądach amerykańskich należy wysoko ocenić determinację członków zarządu, którzy wydali znaczne sumy z własnej kieszeni, aby przeciwstawić się nagminnym „polakożerczym” działaniom różnych przedstawicieli amerykańskiego rządu.]

Doszło do tego, że NCUA zaangażowało do współpracy FBI. Na początku 1995 roku, na podstawie pewnych symptomów, doszedłem do wniosku, że moje rozmowy telefoniczne są kontrolowane. Przypuszczalnie FBI przejrzało też całą moją „teczkę” i nic istotnego przeciwko mnie nie znalazło. Pod koniec roku NCUA „omyłkowo” włożyło do pliku kierowanych do mnie papierów kopię ich wewnętrznej korespondencji (datowaną 95.05.25) z informacją o zleceniu dla FBI „zajęcia się” moją osobą. Podobno zlecenie takie było podpisane przez sędziego pomocniczego RONALDA J. HEDGES. „Pomyłkowe” przesłanie takiej informacji nie miało żadnego innego sensu, oprócz próby zastraszenia mnie. Nie zostałem dłużny, wystąpiłem do FBI o wyjaśnienie, dlaczego w związku z cywilną sprawą sądową zainteresowani są moją osobą. Pisma wysłałem do urzędu stanowego FBI i do ich kwatery głównej w Waszyngtonie. Pomimo oficjalnie dostępnego dokładnego adresu, „dowcipnisie” z FBI w Waszyngtonie polecieli poczcie zwrócić mój list jako niedoręczalny..., z powodu..., „niewłaściwego kodu pocztowego”. Po wysłaniu w nowej kopercie, bez żadnego kodu pocztowego, przyjęli. Po tym „meczu pingpongowym” stanowe FBI odpowiedziało na piśmie, że nic na temat „prześwietlania” mnie nie wiedzą – jednak..., jeżeli..., „coś w tym jest”, to tylko i wyłącznie zgodnie z prawem.

W tym cyklu spraw z NCUA doszło do sprawy NCUA przeciwko mnie o zabranie mi domu. Po długotrwałych i uciążliwych dla NCUA procedurach prowadzonych przez stronnicy sąd, zablokowałem sprzedaż poprzez petycję do sądu upadłościowego, w międzyczasie „sprzedawałem” dom „na raty”. Cztery lata mieszkalem za darmo pobierając dodatkowo czynsz z wynajmowanej części domu. Po podsumowaniu tej „transakcji” okazało się, że sprzedając ten dom uzyskałbym mniej pieniędzy niż „wybrałem” w ciągu tych czterech lat.

W przypadku przerwania spłaty kredytu proces zabrania domu trwa parę miesięcy. Problem NCUA polegał na ich nagminnym i aroganckim łamaniu obowiązującego prawa, co skwapliwie wykorzystywałem. Przerwałem spłaty w odpowiedzi na sprzeczną z prawem zmianę kredytodawcy, bazując na tym miałem prawnie wybaczalny pretekst (Legal Excuse Doctrine). Nie chodziło mi jednak o preteksty, do pewnego momentu byłem przekonany, że NCUA nie ma szans na wygranie sprawy. Udało się mi wydostać od przeciwników krytyczne dla nich dokumenty, niestety, NCUA przeszło na „ręczne sterowanie” sędziami.

Niewątpliwie w całym tym cyklu spraw ustanowiłem trudny do pobicia rekord, cztery lata zamiast oferowanych przez innych prawników paru miesięcy. Prawnicy tacy mając dostęp do raportów sądowych, nachalnie oferują swoje usługi. Sprawdzając ich oferty nie znalazłem lepszej niż sześć miesięcy. Bez żenady, ale za słońg opłatą, oferują zatrzymanie procedur wywłaszczenia na pół roku.

Prawniczka prowadząca sprawę w imieniu NCUA, pomimo współpracy sędziów, przez te cztery lata wykończyła się wręcz psychicznie. Autentycznie, szkoda mi jej było, o czym paru osobom wspominałem. Po jej ostatnim błędzie i po drugiej z kolei licytacji domu, wystarczyłoby moje oświadczenie złożone pod przysięgą, że nie otrzymałem zawiadomienia o terminie sprzedaży.

Prawo wymaga, aby takie zawiadomienie było wysłane listem poleconym oraz zwykłym. Jeżeli adresat odmówi przyjęcia listu poleconego, wówczas przyjmuje się, że zawiadomienie zostało poprawnie doręczone listem zwykłym. Prawniczka NCUA zaniedbała wysłanie listu poleconego. Musiałaby biedaczka po raz trzeci zaczynać procedurę sprzedaży od początku. Po moim ruchu stwierdzającym, że wbrew prawu nie wysłała zawiadomienia listem poleconym, próbowała bronić się przedstawiając pod przysięgą fałszywą kopię pokwitowania wysłania listu poleconego. Oprócz mojego nazwiska nie było nawet mojego adresu, nie mówiąc nawet o potwierdzeniu poczty o przyjęciu przesyłki poleconej.

Miałem pokusę, aby zgodnie z amerykańskim standardem składania fałszywych oświadczeń pod przysięgą, złożyć kontr oświadczenie – była szansa na następne pół roku darmowego mieszkania – honor jednak ma swoją cenę. Przy okazji zakupiłem sobie z sędziny akceptującej udowodnione „pokwitowaniem” krzywoprzysięstwo. Zastrzegając, że nie składałem oświadczenia pod przysięgą, wysłałem w kopercie identycznie pokwitowanie, tylko z nazwiskiem sędziny, bez adresu i potwierdzenia pocztowego, o jakoby wcześniejszym wysłaniu do niej listem poleconym odpowiedniego oświadczenia pod przysięgą, uzasadniającego anulowanie sprzedaży domu. Była chyba wściekła, ale te amerykańskie prostytutki sprawiedliwości mogą wszystko znieść – nawet plucie im w gębę.

NCUA miało jeszcze możliwość dochodzenia swoich monstrualnych kosztów w odrębnej sprawie przeciwko mnie. Byłem przygotowany na taką ewentualność i dałem im o tym znać. Wykorzystując odpowiednie przepisy zabrałem też błyskawicznie wszystkie pieniądze zdeponowane u syndyka upadłościowego – zanim NCUA spróbowało położyć na nie rękę. Mając perspektywę dalszej „walki na noże”, NCUA, pod byle pretekstem, zaproponowało porozumienie o wyrzeczeniu się jakichkolwiek wzajemnych roszczeń. Po sfinalizowaniu porozumienia wpadłem do prawniczki NCUA (Kathleen M. Noonan) z eleganckim bukietem. Wywoławszy ją do recepcji zaszokowaną pocałowałem w rękę, dodałem, że niezależnie od naszej walki „na noże”, polskim zwyczajem kobiety mają specjalny przywilej otrzymywania kwiatów.

Należały się jej kwiaty. Od faceta, który w imieniu NCUA przejmował dom, po przekazaniu kluczy, usłyszeliśmy wyjątkowy komplement jakim Noonan mnie obdarzyła (Ron Kraszyk, Weichert Realtors). Charakteryzując właściciela przejmowanego domu i jakieś możliwe problemy radziła, aby wszystkie formalności były zapięte na ostatni guzik, dodała: „*Sadowski is very intelligent man, he gave us hard competition*”, co można streścić: „*Dał nam popalic*”.

Wpadłem też z kwiatami do biura szeryfa. Wzruszyła mnie kiedyś szczerłość pracownicy przyjmującej papiery. Bez uprzedniej zgody szeryfa nie chciała potwierdzić przyjęcia składanego pisma. Spytałem ją, czy ma takie specjalne polecenie, aby selektywnie zaszczycać mnie wyjątkowym traktowaniem, bo przecież jej obowiązkiem jest przyjmowanie i kwitowanie przyjęcia korespondencji – potwierdziła. Spytałem, czy wykonując swój obowiązek i przyjmując pismo ode mnie, tak jak od wszystkich innych, może mieć przykrości – znowu potwierdziła. Wszystkie cztery kobiety znajdujące się w tym pomieszczeniu włączyły się do rozmowy i zapewniły mnie, że kiedy tylko mogły, starały się obsłużyć mnie lepiej niż innych interesantów, takie też miałem wrażenie. Należały się im kwiaty.

Po zakończeniu „służbowych” kontaktów otrzymały je – były bardzo zaskoczone – w tym biurze, zabierającym między innymi domy, nikt ich nigdy nie obdarował kwiatami. Otrzymałem też kiedyś sympatyczny list z okolic Waszyngtonu, bez nazwiska adresata, widocznie ktoś dobrze poinformowany o machlojkach chciał w ten sposób dodać mi otuchy.

Niewątpliwie, we wszystkich sądach, w których byłem, zaszczycono mnie specjalnym traktowaniem. W sądzie w Hackensack, 12 grudnia 1999r., oficer Libertelli spytał mnie, czy byłem sowieckim pułkownikiem „*ponieważ sędzia boi się Ciebie*”? Zamiast puknąć się w czoło zasugerowałem mu, aby zawsze, gdy zobaczy mnie, jako pułkownikowi pierwszy oddawał honory. Czyżby FBI rozpuszczało o mnie jakieś niesamowite pogłoski? Może jestem przewrażliwiony? Ale zebrana dokumentacja różnych machlojek ma swoją wymowę. A może takie są właśnie sądy amerykańskie? Poza wszelkim „może” jest pytanie, kto i co wygrał – w pieniężnym kryterium moi przeciwnicy dostali w dupę w stosunku mniej więcej jeden do dwustu pięćdziesięciu. W jakichkolwiek moralnych kryteriach ich porażka jest tak totalna, tak jak totalną jest korupcja amerykańskiego systemu sprawiedliwości.

JAK NIE KIJEM TO PAŁKĄ

W całym „cywilizowanym” świecie obserwujemy wyjątkowy „humanitaryzm” w stosunku do sprawców przestępstw. Okrutni mordercy chronieni są przed karą śmierci. Recydywiści zwalniani są przedwcześnie „za dobre sprawowanie”. Przestępstwa dokonywane przez stróżów prawa są tuszowane, a wielu drobnych przestępców unika jakiegokolwiek kary. Społeczeństwa licytują się w coraz bardziej „humanitarnym” traktowaniu przestępców i w zapewnianiu im coraz bardziej luksusowych warunków odbywania kary. Wydawałoby się, że takie traktowanie przestępców i stwarzanie im dobrych warunków odbywania kary łagodzi ich charaktery oraz skłania do powstrzymywania się od przestępstw po wyjściu na wolność?

Powszechną praktyką w USA stało się przedterminowe zwalnianie przestępców. Czasami zwalniani są bez odsiadki, ponieważ sądownictwo nie zapewniło im godziwych warunków „zakwaterowania” i jakiś sędzia wydaje nakaz „rozrzedzenia” cel. Skutki takiego postępowania oglądane są codziennie w telewizji – połowa ciężkich przestępstw popełniana jest właśnie przez recydywistów na zwolnieniach warunkowych. Po przejściu w latach 90-tych w Nowym Jorku i w stanie Nowy Jork władzy przez republikanów zaczęło się bardziej surowe traktowanie przestępców, co dało pozytywne rezultaty.

Niestety, w Polsce powtarzane były nieudane eksperymenty USA i innych krajów polegające na łagodnym i eleganckim traktowaniu przestępców, co spowodowało wzrost przestępczości. Nasi domorośli obrońcy demokracji i „humanitaryzmu” twierdzą, że to jest cena płacona przez społeczeństwo za wolność i demokrację. Być może część z nas uznaje tę cenę jako adekwatny koszt wolności i demokracji – dopóki koszt ten nie dotknie nas samych. Matka, której jedyne dziecko zamordował jakiś bandyta lub zboczeniec nie znajdzie ukojenia w wyższości demokracji. Przestępca torturujący swoje ofiary będzie bohaterem w pierdłu, bo zdarł skórę z jakiegoś przypadkowego przechodnia, a ofiara będzie inwalidą do końca życia. Wszyscy „przelotni” bywalcy policyjnych aresztów śmieją się z policjantów i poszkodowanych osób, ponieważ, ze względu na „znikomą szkodliwość społeczną”, nikt nie może przerwać ich nawyku popełniania drobnych przestępstw.

Policjanci też nie są święci. Paru prokuratorów i policjantów w Chicago zostało oskarżonych o świadome doprowadzenie do skazania niewinnego człowieka na śmierć (1999r.). Publikatory przewidują, że w najgorszym dla nich przypadku odsiedzą po parę miesięcy. Popularnie rozumiana uczciwość wymiaru sprawiedliwości wymagałaby skazania tych policjantów i prokuratorów na karę adekwatną nieudanej próbie popełnienia morderstwa – tylko cudem i w ostatnim momencie niewinnie skazany człowiek uszedł śmierci a aroganccy prokuratorzy „zaliczając” tego typu „sukcesy” pną się do góry „po trupach niewinnych ludzi”.

Inną sprawą bulwersującą metropolię nowojorską była sprawa śmierci [Amadou Diallo](#). Nieuzbrojony imigrant z Afryki został dosłownie rozstrzelany przez czterech policjantów w cywilu. Wychodząc z klatki schodowej padł pod gradem ponad czterdziestu pocisków. [Może był to tajny wyrok śmierci?] Właściwie nie robi to większej różnicy, czy ktoś jest zabity jednym pociskiem czy czterdziestoma, ale świadczy o nastawieniu psychicznym stróżów prawa. Szokującym jest też wyposażenie policji nowojorskiej w pociski z wydrążonymi czubkami ([Hold Off on Hollow-Point Bullets - New York Times](#)). Pocisk taki wchodząc do ciała masakruje okoliczne tkanki. Policja wymyśliła uzasadnienie, ale nie jest ono warte funta kłaków, chodzi wręcz o wytworzenie atmosfery terroru i strachu przed policją.

W istocie w całej Ameryce narasta brutalność policji. W tej walce pomiędzy policjantami i przestępcami coraz więcej niewinnych ofiar zostaje okaleczonych lub zabitych, najczęściej bez ukarania ani przestępców ani policjantów. Jednocześnie, pomimo chwilowych sukcesów policji w paru aglomeracjach, w długich przedziałach czasu przestępczość wzrasta. Czy ten trend wzrostu przestępczości jest nieunikniony? Czy doświadczenia bardzo egzotycznej enklawy o nazwie Singapur mają jakąś uniwersalną wartość?

Na samo słowo Singapur [Michael P. Fay](#), amerykański rezydent nastolatek, łapie się za dupę. Jako obywatel amerykański czuł się bezkarny, wyładowywał swoją młodzieńczą energię bazgrołąc graffiti itp. Gdy go przyłapano, nie spuszczał z tonu, przez pewien okres czasu podtrzymywały go na duchu amerykańskie protesty przeciwko chłości. Rzeczywiście, odpowiadając na apel prezydenta USA władze Singapuru zmniejszyły ilość uderzeń w gołą dupę, ale jednak parę „bambusów” dostał. Po otrzymaniu lania wrócił do USA, jednak bez aureoli bohatera uwięzionego przez jakiś singapurski reżym, był tylko gówniarzem, któremu obito dupę. Zamiast triumfalnej miny i wywiadów, chyłkiem uciekał od reporterów i kamer telewizyjnych.

Jak dotychczas, żaden inny rozwydrzony młodzieniaszek, nawet nie spróbował pójść w jego ślady. Wszyscy rezydenci i obywatele Singapuru palą się do działań o „znikomej szkodliwości społecznej” powstrzymują swoje zapędy do czasu wyjazdu, aby dopiero po przekroczeniu granicy wyładować swoje ukryte namiętności. Wystarczy zajrzeć do statystyki [Crime Statistics Singapore](#), Singapur jest jednym z najbezpieczniejszych krajów na świecie w wielu kategoriach z najniższym poziomem przestępczości liczoną na 100.000 mieszkańców.

Tanie, proste rozwiązanie – chłosta. Nie trzeba więzień i tysięcy strażników, kozioł i wyćwiczony „tata” z bambusową różgą – w zamian spokój i bezpieczeństwo. Wniosek z tego jest tylko jeden, każdy przestępca, oprócz przestępstw politycznych, w pierwszej kolejności i bez żadnej taryfy ulgowej powinien być skazywany na publiczną chłostę. [Wspaniałym spektaklem byłaby publiczna chłosta wymierzana politykom i urzędnikom za przestępstwa kryminalne (np. brania łapówek).] Po zaliczeniu chłosty nie tylko przestępstwa „o znikomej szkodliwości społecznej”, ale i drobne odsiadki, mogłyby być całkowicie darowane. Za parę lat mielibyśmy puste więzienia i samochody zostawiane na noc bez zamykania na kluczyki. Zaręczam, że raz obity osobnik dopiero po wyjeździe do bardziej „humanitarnych” krajów Unii Europejskiej spróbowałby od nowa jakiegokolwiek „graffiti”.

Oprócz odciążenia sądów przez spadek przestępczości można byłoby je dodatkowo odciążyć poprzez uproszczenie procedur wymierzania chłosty. Po prostu, dobrowolne przyznanie się do winy i podpisanie stosownego oświadczenia gwarantowałyby najniższy wymiar kary – na przykład dwa „bambusy”. Delikwent mógłby bronić się przed sądem, ale po skazaniu dostałby co najmniej cztery „bambusy” i dodatkową karę pieniężną lub „odsiadkę”, itp.

Ważnym byłaby odpowiednio „uroczysta” oprawa chłosty i widowia. Najlepszą widownią byłiby „kolesie” chłostanego i ludzie narażeni na ciągłe nękanie czynami „o znikomej szkodliwości społecznej”. Przy okazji mielibyśmy do zaoferowania nie lada atrakcję turystyczną. Aby przyciągnąć turystów z „humanitarnej” reszty świata biura turystyczne z wyprzedzeniem organizowałyby wycieczki do obejrzenia ceremoniału prawdziwej chłosty. Chłostanych należałoby unieruchamiać w wyremontowanych starodawnych dybach lub stylizowanych nowych dybach zrobionych przez naszych wspaniałych rzemieślników – turyści wykupywaliby kopie na pniu. Wkrótce musielibyśmy przerobić większość więzień na muzea lub klasztory dla „nawróconych” przestępców – już bez żadnej „szkodliwości społecznej”. Po prostu – remontować dyby i już zapraszać zagranicznych turystów, za parę lat włos im z głowy nie spadnie.

Marzenia... Marzenia... A może jednak spróbować? Przecież po otwarciu granic z Europą każdy może znaleźć dla siebie odpowiednie miejsce. Nie będę pokazywał palcami, jednak wszystkie następujące kategorie: kieszonkowcy, pederaci, narkomani, pedofile, i temu podobni – trafiliby tam, gdzie mają najbardziej humanitarne warunki bytowania. My w zamian moglibyśmy przyciągnąć zielonych. W Bieszczadach jest jeszcze dużo wysokich drzew, latami mogliby demonstrować przywiązani do wierzchołków. Przeciwnicy futer mogliby biegać na golasa w adoptowanych do tego celu po sowieckich bazach. Miłośnikom małp moglibyśmy nieodpłatnie wynająć opustoszałe klatki w podupadających ogrodach zoologicznych..., tylko trochę pokombinować, wówczas razem z Europą osiągniemy kosmiczną harmonię deklasującą „New Age”.

Sceptycy powiedzą: „Tak..., ale zawsze występuje nadużywanie władzy”. Nie wiem, czy wzorcowy Singapur znalazł już jakieś rozwiązanie tego problemu. Wdrażając chłostę – na początku według singapurskiego modelu i importując ich bambusowe różgi razem z obsługą – zaproponowałbym naszym singapurskim mistrzom następujący eksperyment, np. złodziej za drobne przestępstwo dostaje dwa „bambusy” a policjant za takie samo przestępstwo cztery „bambusy”, itp. Byłby kłopot z sędziami, ponieważ sędziowie nie mogliby orzekać w swoich sprawach. Trzeba byłoby oddawać sprawy sędziów w ręce ławników wybranych z grona przestępców ukaranych za odpowiednie przestępstwa – na długą metę pozytywne efekty murowane! Nawet burdy stadionowe, korupcja i łapówkarstwo zostałyby zredukowane do poziomu praktycznie zerowego.

Panowie Sarmaci, jak wkraczać do Europy to śmiało, z husarską fantazją i skutecznością szarej piechoty. Musimy wnieść coś nowego, dla nich i dla siebie. Małpowanie zachodu w postaci zablokowanych dróg i bójek na stadionach nie jest godne chwały naszych przodków! A więc do dzieła, nie na Kowno i Kijów – jak to drzewiej bywało – a na Berlin, Paryż i Londyn – z nowymi pomysłami i z energią nie rozpuszczoną jeszcze w sadle dobrobytu!

REFLEKSJA

„Okruchy”, tak jak wysuszony piasek podniesiony w dłoni, przesyją się pomiędzy palcami pamięci, wiele ziarenek uleciało i uleci na zawsze. Okruszki, które zatrzymałem, być może nie są najważniejsze, ponieważ nie zawsze pędzi się za najważniejszymi sprawami – przynajmniej dlatego, że chyba nikt nie wie, jakie sprawy są najważniejsze. Tym niemniej pisanie „Okruchów” było swego rodzaju przygodą, próbą siebie i swojej relacji z zewnętrznym światem. Tak jak każda przygoda – przygoda pisania – niesie ze sobą wielką niewiadomą. Musi nieść taką wielką niewiadomą, bo cóż to za przygoda bez ryzyka.

Początkowo planowałem włączyć do „Okruchów” mój życiorys. Był on jedną z części „brudnopisu”, byłoby to jednak niepotrzebnym balastem – „Okruchy” są czymś więcej niż życiorysem. Pozostaje jednak coś, co można nazwać „korzeniami”. Prawdę mówiąc nikt w rodzinie nie pomyślał o tworzeniu genealogii, być może nie udałoby się coś takiego stworzyć? Przynajmniej dlatego, że praktycznie nic nie wiadomo o rodzinie mojego ojca. Jednak z przekazów rodzinnych dowiedziałem się, że jedna z prababek, gdy zdenerwowała się, podobno zlorzczyła po białorusku. Inna prababka podobno była Litwinką.

Szkoda, że nie mam pewności o posiadaniu domieszek krwi Białoruskiej i Litewskiej. Byłbym bardzo zadowolony mając taką mieszaninę krwi narodów wchodzących kiedyś w skład Rzeczypospolitej Sarmackiej. Do pełnego usatysfakcjonowania przydałaby się jeszcze odrobina krwi ukraińskiej, być może w linii rodziny mojego ojca byli jacyś Ukraińcy? Nawet, jeżeli nie było Ukraińców, poczuwam się do historycznej wspólnoty z nimi. Historycznie, jako Polak, jestem także Białorusinem, Litwinem i Ukraińcem.

Z małymi „przewalankami”, my wszyscy, potomkowie dawnej Rzeczypospolitej Sarmackiej, mamy jednak wspaniałą wspólną historię. W pewnym sensie historia polskich Żydów jest też mi bliska, ten rozdział historii został jednak zamknięty na zawsze, pomimo, że w Izraelu znajduje się bardzo dużo polskiej krwi, niech im się dobrze wiedzie.

Z tego „babcinego” dziedzictwa moi synowie mają w dodatku odrobinę węgierskiej krwi, jakaś prababcia ze strony żony była Węgierką. I tak to jest w naszym kraju, będąc Polakami mamy całe bogactwo krwi ościennych narodów, włączając Niemców, Rosjan i Żydów, którzy tyle stuleci pośród nas zamieszkiwali. Dzięki temu bogactwu, połączonemu w jedność zwanej polskim duchem narodowym, jesteśmy jako naród bardzo młodzi, genetycznie i intelektualnie. Przyszłość jest otwarta przed nami szerokimi wrotami, wkraczajmy w nią śmiało!

Feliks Sadowski

OPINIE

Jan Koźbiel, Spółka Wydawnicza Prószyński i S-ka, Warszawa, 6 lipca 1999 r.: „... *nie możemy podjąć się ich wydania (Okruchów). Trudno bowiem uznać je za niewinne wspomnienia tylko człowieka doświadczonego - to w istocie egzegeza i krytyczne opisanie dziejów Polski i świata współczesnego w ogóle, ich i jego ocena*”.

Jakub Karnowski, Sekretarz Gabinetu Politycznego Leszka Balcerowicza, Wiceprezesa Rady Ministrów, Ministra Finansów, Warszawa, 27 stycznia 2000 r.: „*W imieniu Prof. Leszka Balcerowicza, Wiceprezesa Rady Ministrów i Ministra Finansów, dziękuję Panu za otrzymany list oraz książkę Pana autorstwa. Pańska książka jest interesującym obrazem polskiej rzeczywistości, choć wiele zawartych w niej myśli może budzić kontrowersje*”.

Paweł Mieczkowski, Westchester, Ohio, luty 2000 r.: „*Wiele tematów poruszanych przez autora znamy z własnego doświadczenia, niektóre z nich stanowią tabu*”.

Czesław Karkowski, „Przegląd Polski“ (dodatek do „Nowego Dziennika“), Manhattan, NY, 3 marca 2000 r.: (Okruchy) „... *stanowią zatem zapis życia, doznań, przemyśleń i spostrzeżeń gromadzonych przez wiele lat. Życie amerykańskie to tylko fragment tych wspomnień, ale ciekawy i ważny - osobiście, dla autora (bo to przecież jego losy), ale i dla nas, którzy chcemy w cudzych doświadczeniach zobaczyć własne przeżycia, porównać czyjeś przejścia z naszymi, skonfrontować przemyślenia i porównać wnioski*”.

Lew Khmielkovsky, Dziennik ukraiński „Svoboda”, Parsippany, NJ, 31 marca 2000 r.: „... *w książce Feliksa Sadowskiego jest wiele różnych spostrzeżeń i wątków o szerokim zakresie tematycznym, od nurkowania do analizy polityki finansowej możliwych tego świata*”.

Col. B. Mark-Nadolczak, Staten Island, NY, USA, 31 maja 2000 r.: „*Gratuluję Okruchów i życzę powodzenia w kontynuowaniu tego typu działania*”.

Oksana Mostowycz, Lexington, KY, USA, 10 czerwca 2000 r.: „*Przeciął Pan przestrzenie od Kazachstanu do Ameryki i to daje dużo porównawczej wiedzy. To prawda, że serca ludzkie wszędzie te same, czyste i uczciwe, lub spalone męczeństwem życia*”.

Krystyna Godowska, „Tygodnik Nowojorski“, Nowy Jork, 15 stycznia 2002 r.: (Książka) „*Jest rewelacyjna, ale ma trochę nieadekwatny tytuł. To nie są „Okruchy“, to kawał fantastycznego, bogatego w wydarzenia, prawego życia!*”.

Autor o książce: „*Nie jest to autobiografia, chociaż dużo tego jest. Nie jest to publicystyka, chociaż..., chociaż są wątki polityczne, społeczne, obyczajowe, przygodowe, sensacyjne..., tak jak w życiu. W pewnym sensie..., OKRUCHY XX WIEKU*”.

Powrót: [KOLEJNY ROZDZIAŁ](#)

Książka „Okruchy” jest udostępniana jako „freeware”. W związku z tym za korzystanie z książki nie jest pobierana żadna opłata. Akceptowane są jednak dobrowolne datki od osób, które w ten sposób zechcą wynagrodzić pracę autora przekazując DOWOLNĄ kwotę (darowizny), z kraju lub zagranicy, na konto autora:

Nr rachunku: PL 22 2340 0009 6550 1030 0000 218

Kod SWIFT: EFGBPLPW